

① I.A. 985.060
chw.

TOMASZ STALIŃSKI

CIENIE W PIECZARZE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1971

CIENIE W PIECZARZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 199

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

TOMASZ STALIŃSKI

CIENIE
W PIECZARZE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1971

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Widziane z góry, październik 1967. (Wyczerpane)

Celem większej jasności tekstu podajemy kursywą najważniejsze polityczne dygresje Autora — dotyczące rzeczywistości krajowej, a ujęte przez niego w nawiasy.



11 1.985.060

chw.
④

I

Molo w C... to najdłuższe molo w Polsce: wrzyna się głęboko w zatokę, jego ciemne, podpróchniałe od dołu i podgniłe belki, wspierające się na niebudzących pełnego zaufania, poprzegryzanych przez wodę, wbitych w dno drewnianych słupach, stanowią, mimo wszystko, bezpieczny, obrzeżony białą balustradą pomost, ofiarujący spacerowiczom możliwość przejścia się ponad rozfalowanymi i rozbryzganymi, zielono szarymi teraz wodami Bałtyku, na których kołyszą się wygodnie, niby w fotelu rozsiadłe mewy, nic sobie nie robiące z ciągłej huśtawki w górę w dół. Czasem, ale to już w pełni zimy, kiedy na zatoce sporo jest brudnawej lodowej kry, przyplływają tu także niewielkie, kolorowe, zazwyczaj ciemno zielone lecz nieraz wręcz tęcze kaczkami nie kaczkami, zwane przez miejscowych znawców nurami. Istotnie, nurkują one z upodobaniem, pozostając nieraz pod wodą bardzo długo — można się zabawiać liczeniem sekund i zgadywaniem, gdzie wypłyną, bo pojawiają się z powrotem w miejscach zupełnie niespodziewanych i kilkanaście metrów od punktu, w którym się zanurzyły, umiając przy tym przepłynąć pod sporymi kawałami kry. Nury owe najwidoczniej świetnie się w tym miejscu czują, nikt na nie nie poluje, bo są podobno, na swoje szczęście, bardzo niesmaczne, zatoka, a zwłaszcza okolica mola w C... to dla nich bezpieczna, ciepła Riviera; przylatują tutaj zimą z dalekiej, podbiegunowej północy, aby w domu nie zamarznąć, na wiosnę zaś wracają do siebie. Tak więc, objawia się tu względność rzeczy, dobitnie demonstrowana właśnie na przykładzie rozmaitych odczuwań, doznawanych przez rozmaite istoty w stosunku do jednych i tych samych zjawisk: co dla jednego stworu ciepłe, to dla innego zimne i na odwrót. Względność odczuwań u istot żyjących to sprawa zdumiewająca, równie zdumiewająca jest ilość tych odczu-

wań, a także ich nadaremność, bo przecież ujęte, jak wszystko co przynależy do życia, w beznamiętnie obiektywną i bezlitosną niczym licznik taksówki ramę czasu, ciągle przemijają, nieustannie wsiąkają w niebyt. Tryliony tryliardów nieustająco przybywających i odchodzących niezauważanych śmierci, śmierci stających się udziałem odczuć, doznawanych wciąż przez wszelkie żyjące istoty, to najbardziej nieobojętne i zdumiewające zjawisko świata, zdumiewające zwłaszcza przez samą pozorną niewidoczność. Choćby miliardy galaktyk ulegały jakimś gigantycznym procesom rozszczepialnych wyładowań o niewyobrażalnej dla człowieka sile, nie da się to przecież porównać z wciąż się mnożącym kosmosem ludzkich i nie tylko ludzkich (nie sam tylko człowiek jest na świecie) doznań, niewidzialnych, a przecież skoro odczuwalnych to realnie istniejących, z owym kosmosem drobnych wrażeń, wciąż przemijających i wciąż tworzących się na nowo: ubywają jedne, przybywają inne, ale wszystkie wszakże, choć z zimną, nieugiętą pedanterią posegregowane w czasie, pozostają wobec siebie równorzędnie współistniejące. Bo przecież, skoro nie ginie ani materia ani energia, skoro materia jest, w przybliżeniu mówiąc, formą stężonej energii, zaś energia formą rozrzedzonej materii, to nie może również ginąć forma energii, utrwalona w zjawisku doznawania, bez względu na to, czy doznania są psychiczne czy fizyczne czy mieszane, łączone, podwójne, psychofizyczne. Co się staje z tą ciągle, póki trwa na świecie życie organiczne, odnawiającą się czyli powiększającą swój zasób energią, gdzie się ona magazynuje i w co przetwarza? Może znajdzie się kiedyś jakiś super Einstein, który wyjaśni tę sprawę, a w każdym razie rzuci na nią światło? Wspomogą go zapewne przyszłe super komputery, potrafiące w sekundę rozwiązywać problemy, nad którymi ludzkość trawiła niegdyś tysiąclecia. Ten nad-Einstein czy Einstein Einsteinów będzie nowoczesną inkarnacją wielkich proroków, poprowadzi umysł ludzki na górę Synaj Absolutu, na dach i wierzchołek świata — choć może się wtedy okazać, że jest to tylko jeden z tysiąca, miliona, tryliona, z nieskończonej liczby wierzchołków, które wypełniają świat aż po horyzont a raczej aż po nieskończoność, bo horyzont to tylko pojęcie chwilowe, pomocnicze, to złudzenie, żadnego horyzontu nie ma, są tylko coraz to nowe, przesuwalne linie, ograniczające nasze widzenie i oddalające się w miarę naszego posuwania naprzód, proporcjonalnie do niego. Na razie jeszcze jednak pojawienie się takiego super proroka czy super Einsteina jest odległe, poprzedzić go musi odpowiednie przygotowanie techniczne, które potrwa może i setki lat — choć rzecz taka potrafi też raptownie, nawet bez przygotowania, dokonać się skokiem. Są takie rzuty myśli jednym zrywem otrzą-

sającej się z więzów zrutynizowanej, stopniowej ewolucji. Juliusz Verne wszakże przewidział wiele z dzisiejszych wynalazków, nie mając pojęcia, jaką drogą się do nich dojdzie. W naszych czasach syntezę syntez naszkicował ogólnie pewien uczony francuski zakonnik, co do którego jedni twierdzą, że był geniuszem, a inni, że tylko dyletantem, a także trochę heretykiem, choć początkowo i w zasadzie katolickim, mistykiem. Mało komu wiadomo, że przeszło sto lat wcześniej uprzedził go niezbyt poza Polską znany (choć żył i pisał w Paryżu) poeta Juliusz Słowacki, który w poemacie prozą „Genezis z ducha” pokazał ewolucyjną jedność wszechświata — od kamienia do wszechwładnie królującego Ducha, Tylko, że największe odkrycia bywają długo nie zauważane — dopóki realizacyjna aparatura nie podciągnie się do ich poziomu.

Ale, wracając do ciemnozielonych nurów i do związanej z nimi względności odczuwania, polegającej na tym, że ciepło im jest w bałtyckiej zatoce koło uzdrowiska C... nawet podczas najostrejszej zimy, stwierdzić trzeba w tej chwili (początek łagodnego raczej i bezśnieżnego grudnia) kompletną nieobecność owych ptaków: są one dziś tylko wspomnieniem, bo wcale ich koło mola nie ma i najbystrzejsze oko nie dopatrzyłoby się ani jednego pomiędzy huśtającymi się na brudno zielonej fali mewami. Mewy te zresztą bynajmniej nie pozostają ciągle na wodzie. Nie patrząc na pozór na nic, śledzą jednak pilnie nielicznych snujących się po molo spacerowiczów i jak tylko dojdą do wniosku, że któryś z nich ma je zamiar pokarmić, na przykład przyniesioną w papierze porcją zeschniętego chleba, natychmiast wzlatują z wody trzepocząc eskadrą i przyfruwają nad molo, zniżając się i przelatując ponad ludzkimi głowami z ostrym piskiem, co nieodparcie przywodzi na pamięć znany w Polsce film Hitchcocka „Ptaki”.

Spacerowiczów na poczerniałych, pociętych szczelinami deskach ponad czterysta metrów liczącego sobie mola jest w tej chwili, przy ostrym, szerokim, niosącym rozpylone bryzgi morskiej wody wietrze, niewiele, ale jednak tu i ówdzie się trafiają: widać ich naraz kilku, czasem nawet kilkunastu. Molo ofiarowuje swym bywalcom różne perspektywy, widoki w rozmaitych kierunkach. Oczywiście, dużo zależy od tego, w którym punkcie jego długości taki obserwator się znajduje. Najpierw bowiem, na dwóch trzecich tej długości, jest ono szerokie i położone dosyć wysoko, bo około pięć metrów nad poziomem wody; na dole jest tam co prawda niższe piętro, a raczej parter, posiadający także długą, prostopadłą do mola odnogę, jednak promenowanie nim zostało zabronione, bo wiele podpróchniałych i przegniłych belek powypadało i pozostało tylko coś w rodzaju poziomo poło-

zonej drabinki, pomiędzy stopniami której faluje zielona woda; młodzi ludzie czasem chodzą tam mimo zakazu, ale nic to przyjemnego, bo trzeba się mocno trzymać poręczy — łatwo się pośliznąć i złamać nogę. Gdy więc górną częścią mola spacerowicz dojdzie do dwóch trzecich (przeszło), jego długości, wówczas zobaczy jasno zielony, zamknięty teraz, prostokątny kiosk, a nad nim wznoszący się wysoki, metalowy, biały, zaopatrzony w poprzeczne belkowania maszt, do wierzchołka zaś masztu zbiegają się koncentrycznie druciane liny, ograniczając sobą i wyznaczając powietrzny, lecz wyraźny, stożek przestrzeni. Od tego miejsca, po obu stronach kiosku, prowadzą w dół strome, też oczywiście drewniane i szerniałe stopnie, którymi schodzi się na końcową, wyłącznie już parterową część trasy. Do wody jest tu blisko, najwyżej z półtora metra, a brak balustrady (zastąpionej teraz przez pomalowane na biało, lecz miejscami obskrobane z farby i przezierające rdzą łańcuchy, przyczepione do równie białych słupków) sprawia, że idzie się jakby bezpośrednio wśród rozfalowanego, lecz rozstępującego się morza, zwłaszcza, że molo ulega tu stopniowemu zwężeniu, jak zdążający do swego dzioba pokład statku. I wreszcie dochodzimy do punktu najwyższego, końcowego czy kulminacyjnego, do owego dzioba właśnie. Istniała dawniej w tym miejscu pieczołowita koncentracja podwójnej linii łańcuchów, zabezpieczających nieostrożnego turystę przed wpadnięciem do wody, na metalowym zaś zielonym, smukłym słupie wisiał zgrabny dzwon alarmowy, pod nim zaś duże ratunkowe koło z korka czy z gumy. Teraz jednak wygląda tu dosyć mizernie: dzwon i koło zniknęły (może dlatego, że to po sezonie), z łańcuchów pozostały tylko bezużytecznie wiszące obrywki i nic już nie oddziela obserwatora od falującej wody, co zresztą w sezonie ma swoje znaczenie, tędy bowiem (oprócz głównego miejsca przystaniowego, czyli owego kiosku i masztu) wsiada się na kursujące po zatoce spacerowe statki. Obecnie natomiast można by co najwyżej zejść do wody i utonąć: pozostaje tylko odrobina drzewa pod nogami, za to pejzaż szeroki we wszystkich kierunkach — ile dusza i oczy zapragną.

Na prawo, tam gdzie kończy się rozfalowana, pomarszczona, pozostająca w ciągłym ruchu, lecz jakoś w nim zastygła, rozległa tafla wód zatoki, rysują się na tle nieba, jak pokrzywione w różne strony patyczki, dźwigi, maszty i wieżyczki wielkiego portu. Gdy dobrze natężyć wzrok, widać też tonący niemal w morzu ciemny cypelek — to zachodni kraniec obrzeża portu, ten, gdzie odbyła się jedna z pierwszych nierównych bitew Drugiej Wojny Światowej. Przeciwny znów widok ofiarowuje lewa strona krajobrazu: stanowi ją widniejący nie tak daleko wysoki, lesisty, nie tyle

cypel, co górzysty i podłużny półwysep, schodzący bezlistnym teraz, ciemnym grzbietem stromo do bielejącej u jego podnóża plaży. A za nim, w drugim planie, unoszą się na tle nieba białe prostopadłości nowych bloków: to przedmieścia innego, niedalekiego miasta portowego, tego powstałego między wojnami, z którego Polacy tak byli kiedyś dumni.

Jeśli obserwator nie zrazi się porywistymi zadęciami wiatru, który byłby nawet w stanie strącić go z wąskiego dziobu mola, to może z całą pewnością doczekać się widoku statku lub kilku statków, uroczyście przemierzających horyzont w tę lub ową stronę, w lewo czy prawo (strona lewa i prawa to pojęcia czysto ludzkie, zależne od różnicy pomiędzy ludzkimi rękami i ich funkcjonalnymi uzdolnieniami: człowiek, wbrew zewnętrznym pozorom, nie jest symetryczny, czego dowodem choćby posiadanie jednego serca i to po lewej stronie). Statki te, nieco widmowe, odświeżenie białe, albo też ciemne, grzęzną na horyzoncie w zielono burej gmatwaninie fal, na pozór stoją w miejscu, lecz w istocie posuwają się, bo nikną w końcu tu lub ówdzie, zależnie od kierunku, w jakim przemierzały półkoliste przestworza zatoki. Długo można obserwować to majestatyczne pojawianie się ich i znikanie w buro zielonym a potem siniejącym odmcie, jeśli jednak kogoś utrudzi sterczenie na wietrze, atakującym z coraz to różnych stron i miotającym bezceremonialnie w twarz luźne bryzgi wody, jeśli ów ktoś odwróci się wreszcie tyłem do morza i ruszy w powrotną drogę ku nadbrzeżnej plaży, zwłaszcza zaś, gdy wejdzie już po śliskich, krzywo wydeptanych stopniach na owo wyższe, obwiedzione balustradą piętro, wtedy oczom jego ofiaruje się pełna panorama wybrzeża oraz uzdrowiska a raczej w tej porze roku miasta C...

Po lewej ręce i na wprost mola widać z daleka przede wszystkim kilka typowo niemieckich wieżyczek z wykuszami, galerijkami, stromymi czerwonymi dachami i wysokimi, wąskimi oknami — wszystko stylizowane na jakieś miniaturowe zamki legendarnie osławionego Zakonu Krzyżackiego, który kiedyś przed wielu wiekami szarogęsił się tutaj i wypchał, zaproszony, żeby było śmieszniej, przez polskiego księcia, z rodziny dynastycznej, nazwanej później w historii Piastami (mało kto w Polsce wie, że oni sami, Piastowie, wcale siebie tak nie nazywali, a nazwa jest ukuta przez nowożytnych historyków). Obok czerwonych dachów i szaro-żółtawych, jakby przydymionych, murów miasteczka, szklą się nad samym morzem bezużyteczne niemal poza sezonem lekkie, rozległe pawilony wystawowo kawiarniane, ukoronowane półokrągłą, piętrową nadbudową, z biegnącymi wokół wysokimi, łukowatymi oknami — kiedyś, za niemieckich czasów,

było w tym miejscu słynne kasyno gry. Dalej, ponad dachami starawych domostw miniaturowego zresztą śródmieścia, wysmukła się na tle nieba wąska, ciemnoczerwona, znowu nieco jakby przydymiona (*zresztą wszystko dzisiaj sprawia takie wrażenie*), wieża gotyckiego kościoła, szpiczasta i w poprzek nieco zębata, jak trójkątna paszcza krokodyla. A jeszcze dalej horyzont zamknięty jest wznoszącą się nad miastem, łagodną, ciemną plamą bezlistnych teraz, górzystych lasów.

To by było z lewej strony i na wprost mola. Jeśli natomiast przejdzie się ku prawej balustradzie, wówczas oczom spacerowicza narzuci się przede wszystkim bliski, szeroko nad brudnożółtawą plażą rozsiadły hotel — rozsiadły jak jakiś ogromniasty zasobny wielkopański dwór, złożony z centralnego trzonu i po obu jego stronach symetrycznie z nim spojonych bocznych oficyn — segmentów.

Hotel ma również stromy, ciemnoczerwony ziemiański dach, pośrodku tylko ukoronowany jasnoseledynową (nie wiedzieć dla czego) kopułką w kształcie hełmu, zwanego niegdyś w pruskich czasach pikelhaubą. Poza tym mury budowli pod względem koloru dzielą się na prostokątne partie ciemnoszare lub jaskrawo żółte, ostatnie w tej chwili — jak wszystko tutaj — stonowane, znowu niby lekko osmalone dymem. Całości dopełnia wielki napis, którego czerwone neony bywają wieczorami widoczne z morza, czyli z przepływających statków — bywają, bo nie zawsze się owe litery zapala, choć ostatnio, jak się zdaje, rzecz weszła już w zwyczaj. Jest to w ogóle bardzo stary hotel, mieszkawał w nim kiedyś od czasu do czasu Kajzer Wilhelm. Zresztą wszędzie tu byli jeszcze przed dwudziestu laty Niemcy: oni pobudowali to miasto-uzdrowisko, licząc, że w zatoce więcej jest niż na wielkim Bałtyku przeróżnych wodorostów, alg, rozmaitego morskiego gnicia, które wytwarza w powietrzu porcję zbawczego jodu, znacznie większą niż na surowym otwartym północnym morzu. Mądrze to sobie Niemiaszkowie wymyślili, pobudowali wszystko przemyślnie, choć z pewnym brakiem taktu (owe stylizowane na krzyżackie zameczki zawile budowle), gnieździli się tutaj, spraszali gości i zarabiali pieniądze, gdy oto pewnego dnia wyrzuciło ich z tego wybrzeża jak z procy i to wyrzuciło daleko, zarówno w przestrzeni jak i w czasie — w historii ostatniej wojny parę dni znaczyło częstokroć więcej niż dawniej całe wieki. Zgubiło ich żarliwe posłuszeństwo, jakie okazywali swemu najwyraźniej zwariowanemu wodzowi, który z bezprzykładną furią przeafastrygował Europę na różne strony i fasony, nie wiedząc co robi i dla kogo w ostatecznym rachunku to robi. Posłuszeństwo i solidarność, jedne z najbardziej wątpliwych i dwuznacznych cnót ludzkich,

bardzo były kultywowane w Niemczech a zwłaszcza w Prusach. I oto skutki.

Trwa kapryśny początek ciepłego grudnia i wtem, nie wiadomo jak, kiedy, dlaczego, sceneria pogody na zatoce ulega raptownej a pozytywnej przemianie. Znikają gdzieś chmury, pojawia się specyficznie tu sklepienie bladobłękitne niebo, przyświeca ożywiająca, bo ujaskrawiająca wszystkie kolory, słońce; wiatr, ze zgnile, mokro bryzgającego, staje się ostry i sucho orzeźwiający. Natychmiast też, jak przy zmianie świateł w operze, przeistacza swój kolor i charakter morze: woda z brudnoburo zielonawej robi się nagle ciemnogramatowa, przechodząca miejscami (sposobem zresztą nader złożonym) w szafir i seledyn, inkrustowany bardzo białymi, wąskimi grzbietami piany. Zmianę sytuacji od razu odczuwają siedzące dotąd z rezygnacją na rozhuśtanych falach mewy, które, ożywione, latają teraz wokół mola, wydając ostre piski i wzbogacają ową raptownie zrodzoną feerię kolorów, łuskając w słońcu białością swych brzuchów. Grzywy równie, choć w inny sposób, białej, rozpryskującej się piany, atakują teraz, ze słyszalnym mimo ogólnego rozszumienia sykiem brzeg pojaśniałej naraz plaży. Znawca tutejszej sytuacji powiedziałby, że wszystkie te zmiany scenerii wynikły ze sztormu, który musiał się niedawno zacząć na wielkim morzu. Nagły sztorm na otwartym Bałtyku to ciemny granat wody i pienista biel fal na bezpiecznej zatoce — wie o tym każdy tubylec, obecnie już oczywiście tubylec polski, przybyły częstokroć z Wilna, Grodna czy Lidy. Ta zautomatyzowana jego wiedza i reakcja, to też składniki owego wciąż nieobliczalnie wzrastającego magazynu ludzkich odczuwań, składających się w sumie na nieznaną jeszcze i niezbadany ładunek energii o tajemniczym dotąd dla ludzkości charakterze (*choć przecież wiadomo uczonym, że żywy, funkcjonujący mózg ludzki emanuje z siebie w sposób zupełnie sprawdzalny fale elektromagnetyczne — oto więc jakaś droga do przekroczenia tajemniczej bariery, za którą leży przepastna kraina ludzkich myśli i odczuwań, droga do obalenia wzniesionej niegdyś przez człowieka przegrody, między tym co fizyczne a tym co psychiczne*).

Złożony melanz czy koktajl mieniących się i wciąż ruchomo przetwarzających kolorów, jakim jest w tej chwili woda zatoki naokoło mola w C... nie istnieje jednakże sam w sobie, bowiem kolory, ich kombinacje, ruchy, oraz pochodne nastrojowo wrażeniowe osiągają swój byt jedynie w odbiorze postrzegającego je człowieka: wszak kolor to nic obiektywnego, to sposób reakcji ludzkiego oka. Tylko więc człowiek, bierny świadek tego rodzaju pozbawionych na razie znaczenia wydarzeń, staje się ich katalizatorem, przez swój z nimi kontakt wyzwała nieustające narodziny

i narastanie wciąż się w świecie zwiększającej sumy energii wrażeńiowej, o której kiedyś przyszedł super Einstein stwierdzi, że nie ginie, lecz gromadzi się i przetwarza. Na szczęście na molo w C..., mimo ostrego wiatru i niesprzyjającej pory roku, jest właśnie akurat jeden taki człowiek, samotny i skupiony, który nie ma obecnie nic innego do roboty, jak obserwować, czyli chłonać zmysłami bezludne choć tak aktywne otoczenie i fabrykować zeń energię wrażeńiową. Człowiek ów znajduje się w tej chwili na całym, czterystu a może pięciuset niemal metrowym molo (nikt nie obliczał długości) dokładnie sam jeden.

Jest to mężczyzna pięćdziesięcioparoletni, ubrany w ciepłą, puszystą, kratkowaną jesionkę, kupioną za dwa tysiące złotych w warszawskim sklepie „Adam” — Polacy z upodobaniem krytykują swoje socjalistyczne wyroby, ale tym razem posiadacz płaszcza bardzo go sobie chwali, stwierdzając, że stanowi on (płaszcz) doskonałe, fizyczne i duchowe (bo te rzeczy wiążą się z sobą, jak zawsze u człowieka) zabezpieczenie przed sztormową pogodą. Beret natomiast trzyma Roman Zaleski (gdyż tak można by go nazywać, a lepiej, dla uproszczenia, po prostu Romanem) w kieszeni, słusznie obawiając się, że wiatr może mu go porwać i zwiać do morza. Roman, mimo swego wieku, pozostał człowiekiem zahartowanym, w pełni sił fizycznych, o co zresztą na swój sposób dba — lubi na przykład biegać (zostało mu to z młodości) i czasem, na bezludnej uliczce, w deszczowy wieczór nieliczni przechodnie ze zdumieniem obserwują starszego pana w płaszczu, rwącego naprzód po chodniku w tempie (pochlebiał sobie) co najwyżej dwudziestu sekund na sto metrów. Każdy mężczyzna skłonny bywa wierzyć, że on właśnie osiągnie nieosiągalne i nigdy się nie zestarzeje.

Tak więc, pełen wiary w swą niezniszczalność — od lat prawie na nic nie chorował — Roman śmiało nastawia gołą głowę na seryjne ale zmienne, porywiste ataki sztormowego wiatru, licząc w tej chwili, że grudniowe słońce, jaskrawe, lecz nie grzejące, po trochu go jednak opali, a opalenie, zwłaszcza w zimie, jest oczywiście ważnym składnikiem mitu o wiecznej młodości. Idąc w stronę brzegu, trzyma się prawej strony mola, tej gdzie lepiej widać hotel, który go zresztą trochę nudzi (*zna zbyt dobrze jego tandetne, szablonowe, pseudo-luksusowe, „polskoludowe” uroki, oraz jego łupieżczo chciwą a do tego niegrzeczną i raczej nieudolną załogę*), omiata go więc wzrokiem pobieżnie i omija, z upodobaniem za to wiodąc oczyma po plażowym i zarazem lesisto-górzystym brzegu, doprowadzającym do owego, nad niedalekim horyzontem się wznoszącego, najwyższego, czarnym lasem porośłego półwyspu. Zna to wszystko na pozór, a przecież za każ-

dym razem wygląda tu inaczej — złudzenie to wynika oczywiście nie tylko ze zmian pogody lecz i z faktu, że postrzegający przedmiot się zmienia, na przykład starzeje. Krzepiącą jednak jest rzeczą, że do tego samego pejzażu wracać można po latach i wzmacnić się, utwierdzić, jego niezmiennością.

Roman wędruje teraz górną częścią mola, obramowaną białą balustradą. Po obu stronach stoją tu szeregami wysmukłe zielone słupki, z których każdy zaopatrzone jest w trzy lampy o mlecznych kloszach: dwie z tych lamp zwisają po bokach słupa na jego łukowatych odgałęzieniach, trzecia zaś koronuje jego wierzchołek. Prawdę mówiąc, Roman nigdy nie widział, aby wszystkie te lampy zapalono naraz. Obecnie, poza sezonem, molo od zapadnięcia grudniowego wieczoru (a zapada on wcześniej, jeszcze przed czwartą) tonęło w częściowej ciemności, oświetlone tylko lampą z co dziesiątego (nieregularnie zresztą, średnią obliczył sobie Roman) słupa, i to, oczywiście, jedną — pozostałe dwie nie brały w owej nader skąpej feerii udziału. Wybrzeże natomiast w nocy, czy raczej wieczorem, rozjarzało się po obu stronach mola defiladą długich szeregów świateł, narastających również w głąb, aż po owe lesiste góry na niedalekim w gruncie rzeczy horyzoncie. Wszystko zresztą jakoś się wtedy przybliżało, zwłaszcza ów cypel, gdzie miała miejsce patetyczna i bohatersko stracona, polska inauguracja Drugiej Wojny, a także port obok, nad którym unosił się nocą świetlisty maszt sygnalizacyjny. Te nocne perspektywy i widokowe możliwości mola trwały jednak zimną samą w sobie i dla siebie, nikt bowiem tutaj w grudniowe na przykład wieczory nie chodził, z wyjątkiem co najwyżej dwuznacznych par, a i ich wizyty ze względu na ślizgawicę, zimno i wichry mają teraz cel dosyć wątpliwy, raczej demonstracyjny. Natomiast w sezonie, dni jak wiadomo są tak długie, zaś wieczory tak jasne, że oświetlanie mola nie miałyby wtedy w ogóle najmniejszego celu. W rezultacie więc owe mleczne lampy, uczepione po trzy do każdego zielonego słupa, odgrywają w dziewięćdziesięciu procentach rolę czysto dekoracyjną i to tylko za dnia, świadczyłyby o tym zresztą także fakt, że niektóre są zbite a niektóre bez żarówek. Również kredowo białe, pomalowane marynarską farbą balustrady, okazywały się dziś, przy zbliżeniu, obdrapane i plamiste. Znacznie bardziej nieskazitelną białością szczyścić się mogły mewy, które siedziały teraz właśnie na owych balustradach, lub zgoła spacerowały grupami po deskach mola, pozwalając podchodzić do siebie zupełnie blisko. Te niezbyt sympatyczne ale dekoracyjne ptaki mają łapy i dzioby o czerwieni laku, grzbiety i skrzydła szarawoniebieskawe, koniec ogona czarniawy, czarne kropki koło oczu, resztę natomiast, podbrzusze, podgardle,

szyje, łby, całkiem śnieżnej, jak się to mówi niepokalanej, białości, co w obecnym słońcu prezentowało się znakomicie.

Tymczasem, pomimo słonecznej gali, obskrobane balustrady przypominały, że w gruncie rzeczy jest tutaj po trochu tandetnie oraz szmacianie i to nie tylko z powodu pory po czy poza sezonowej, ale w ogóle, dla zasady. Molo było stare i w istocie nikt nie miał zamiaru zasadniczo go odmładzać, wychodząc z założenia, że i tak spełnia ono aż nadto swą spacerowo pejzażową funkcję, skoro innego nie ma. Rzeczą tę podkreślały jeszcze długie, szerokie szczeliny między szerniałymi deskami czy belkami, po których się szło. Najwyraźniej, belki owe rozsuwały się w miarę upływu czasu i nacisku milionów osobników obojga płci, spacerujących tu latami (*współczynnik „spacerogodzin” na metr kwadratowy, jakby powiedziano, posługując się modnym w socjalizmie pseudo-statystycznym i pseudo-racjonalizatorskim językiem, musiał tutaj być ogromny i w miarę upływu czasu rósł, jak owa tocząca się lawina przemijających, ale i sumujących się wrażeń ludzkich*), w rezultacie czego przez utworzone pod nogami podłużne choć nierówne szczeliny, z łatwością obserwować można było kłębiącą się kilka metrów pod nogami, zieloną w tej perspektywie (taki układ światła?), wodę zatoki. Nasuwało to nieodparcie myśl o wydarzeniu, które miało miejsce dawno temu, parę lat po wojnie. Oto nurkowie, bobrujący pod mołem, stwierdzili, że na dnie zatoki coś tutaj leży: po dokładnym badaniu okazało się, że był to wrak niemieckiego „niszczyciela”, ze sporym zapasem bomb głębinowych i wszelakich innych materiałów wybuchowych. Tak więc, beztrzęsocy Polacy przez parę lat spacerowali sobie po gotowym w każdej chwili wybuchnąć wulkanie. Co jednak najlepsze, to fakt, że już po ogłoszeniu całej sprawy i czasowym zamknięciu mola, celem usunięcia zwłok żelaznego podwodnego potwora, mnóstwo osób, nic sobie nie robiąc z zakazu, przełaziło przez postawione niskie barierki i w najlepsze korzystało z uroków nadwodnej promenady. Tej brawury nigdy by nie zrozumieli zdyscyplinowani, zracjonalizowani i ostrożni Niemcy. Niemcy jednak nie mogli też zrozumieć wielu innych, znacznie, wydawałoby się, prostszych rzeczy i w rezultacie właśnie pewnego dnia wymiotło ich stąd, jakby kto dmuchnął. Dlaczego jednak wymarzony ten rewanż nie przyniósł Polakom takiej radości jak powinien, to już inna sprawa — ćwierka o niej w tym kraju każdy wróbel. Prawdopodobnie zresztą żaden rewanż i żadna kara nie przynoszą należnego zadośćuczynienia i satysfakcji, przychodzą bowiem w innym czasie i w innych okolicznościach niż te, które istniały w momencie popełnienia czynów karygodnych. Karze się przy tym nie tego, kto popełnił przestępstwo, karze go też kto inny, a nie

ten co był ofiarą, nie tylko bowiem okoliczności, ale i opłynięty nimi człowiek, nawet jeden i ten sam człowiek, ulegają zmianie. Już starożytny dialektyk przypominał, że niesposób wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki: twierdził to bardzo dawno a jednak sprawa jest nadal aktualna, najwidoczniej tkwi ona w istocie rzeczy i to w stałej istocie rzeczy. Wszystko jest ruchome, prócz zasady ruchu, wszystko jest zmienne, prócz zasady zmienności. Mamy więc wreszcie jakąś stałą i pewną regułę, ale mała z niej dla człowieka pociecha, także ten co ją sformułował nie może się cieszyć uzyskaną przez to sławą, bo już dawno zdmuchnęło ze świata resztkę pyłu po jego kościach (*chyba, że duch jego unosi się nad wodami, ale czy jest to duch indywidualny? Jeśli nawet ów przyszedł Einstein stwierdzi, że energia duchowa, zawarta w myślach, uczuciach i wrażeniach, pozostaje niezniszczalna, to daleko jeszcze stąd będzie do niezniszczalności samej osoby, osoby, stanowiącej podmiot owych wrażeń, a co za tym idzie, daleko do osobistych pośmiertnych satysfakcji*).

Ale, wracając wciąż do mola w C..., cóż będzie z jego powoli lecz stale i nieuchronnie rozsuwającymi się belkami? Teraz, w zimie, szczeliny między nimi stają się tak szerokie (być może drzewo kurczy się od chłodu), że realnie już grozi utknięcie w nich obcasem, oczywiście męskim, bo damskie szpilki są tu w ogóle wykluczone, toteż, w każdą słoneczną niedzielę, gdy molo w południe zapełnione bywa spacerującym tłumem mieszkańców C..., wszystkie miejscowe eleganki zaopatrują się w trzewiki o szerokich obcasach, tak zwane „czótenka” — bez tego chodzenie tutaj mogłoby się okazać wręcz niebezpieczne.

Odpowiedź na swe pytanie znalazł Roman niezadługo, wkraczając mianowicie na szeroką, obramowaną wygodnymi ławkami prostokątną, również drewnianą platformę, która jest rozpiętym już nad plażą a nie nad wodą początkiem mola, a dla wracającego z o pół kilometra oddalonego dziobu spacerowicza stanowi zakończenie na pozór monotonnej, w istocie zaś tak urozmaiconej nadwodnej wędrówki. Leżał tu oto stos świeżutkich desek, przygotowanych najwyraźniej do naprawy i odnowienia pomostu. Można by to uznać za wielki postęp, przed laty bowiem, gdy belki mola w owej jego końcowej, najniższej a więc najbardziej na niszczące działanie wody narażonej części, zaczęły gwałtownie gnić i kruszyć się, wycięto je po prostu w trzech miejscach, tworząc w ten sposób trzy prostokątne, obwiedzione białą balustradą baseniki, w których cierpliwi amatorzy rybołówstwa łowili godzinami nieprawdopodobnie małe rybki, tak małe, że aż dziw w jaki sposób potrafiły połknąć przynętę. Roman zastanawiał się wówczas, czy całe molo, w miarę swej postępującej degeneracji, bę-

dzie wycinane, podobnie jak amputuje się człowiekowi chore kończyny i wycina zakażone tkanki. Nieco beżładnie rzucone, ale świeże i ładnie pachnące, deski zdawały się teraz sugerować prognozę bardziej optymistyczną, inna rzecz, że molo było już nader stare i wymagało remontu zasadniczego, przede wszystkim w swej części podwodnej, remontu na który (Roman, jako dziennikarz bo przecież nie tylko literat, wiedział to dobrze), nikt się w tym regionie nie zdobędzie, był to wszakże region produkcyjny, w głównej mierze stoczniowy, a niezliczone rzesze przybywających do C... amatorów kąpieeli, widoków i owegoż mola traktowano jako zło konieczne, robiąc jedynie wyjątek dla niezbyt zresztą licznych „cudzoziemców dewizowych”. Wyjątek ów polegał zresztą na tym, że cwana, zgrana i bezczelna kadra z ex-kajzerowskiego hotelu bezlitośnie a precyzyjnie obłupiała przybyszów ze skóry, wykorzystując ich nieznamość ogromnie tutaj skomplikowanych przeliczeń obcej waluty. Przybysze ci nie budzili oczywiście niczyjego współczucia, uważano bowiem, z właściwą Polakom absolutną wiarą w bezbrzeźną niewyczerpalność zachodniego kapitału, że i tak turyści „zza żelaznej kurtyny” mają sto czy tysiąc razy więcej pieniędzy, niż mieszkańcy tego kraju. O cudzoziemców owych dbano zresztą do czasu, tak jak dba się przed zarżnięciem o świnie — szarańczę natomiast, czyli masę krajowych wczasowiczów, zalegającą C... w sezonie, traktowano z należną pogardą i nieprawdopodobną było rzeczą, aby znalazły się pieniądze na przykład na renowację i modernizację namiętnie przez przybyszów użytkowanego mola: nie opłaciłoby się to nawet mimo milionów, przynoszonych przez każdorazowo w sezonie egzekwowane opłaty za wstęp na ów upragniony pomost. Jedną z niezgłębionych, niezgłębianych i niezgłębialnych zagadek ustroju socjalistycznego (*czy raczej komunistycznego*) jest fakt, że dokłada się tutaj do wszystkiego tego, na czym w kapitalizmie się zarabia. Polacy, fatalistycznie przyjąwszy swój ustrój, jako irracjonalny lecz nieodparty dopust losu, nie próbują świętokradczo rozwikływać jego tajników, poprzestając na niemniej zresztą pasjonujących i irracjonalnych zagadkach swego budżetu personalnego: fantastyka tych problemów nie ustępuje zresztą zgoła szyfrom i palimpsestom budżetu państwa. Osobliwe to w ogóle dziedziny życia i nikt z zewnątrz nie potrafi zanurzyć się w nie choćby wyobraźnią. A tu właśnie Roman...

Tymczasem jednak Roman odbiegł akurat myślą od wywołanych widokiem kupy beżładnie rzuconych desek refleksji ekonomiczno-ustrojowych, bo oto kończy się jego nadwodna i nadplażowa wędrówka, wobec czego samotny ów turysta wkracza na stały ląd, na okrągły, wyżwirowany plac, oddzielony od morza

dwoma półkolistymi (a może ćwierć kolistymi), kolumnowymi, oszklonymi galeriami, plac, gdzie w głębi znajduje się biała, przesadnie ozdobna koncertowa muszla. Na placu owym biegnie śródkiem krótka, ujęta w dwa szeregi ławek aleja, resztę zaś powierzchni koła zajmują dwie symetryczne grupy w półkolistę szpalery ustawionych drzew, bardzo równiutko i starannie przyciętych, prezentujących oczom swe kalafiorowate bukiety pieńków, teraz oczywiście bezlistnych: są to przeważnie platany i lipy. W przeciwieństwie do mola, wszystko wygląda tu niezwykle porządnie, znać pieczołowitą rękę jakiegoś fachowca, widać rolnicza czy ogrodnicza natura Polaków wzięta przez chwilę jednak górę nad osobliwym niedbalstwem, wywołanym w tym kraju powszechnie a stosowanym solidarnie dzięki brakowi indywidualnych „bodźców materialnych”. Tajemniczy ten dla ustrojowego cudzoziemca termin oznacza po prostu ogólne przekonanie, że skoro wszystko jest państwowe, to niech się o to wszystko troszczy państwo. Z poglądu owego wyłamują się chłopci, jedyni wyjątkowi w tym kraju posiadacze zarówno swych warsztatów pracy jak i owoców tej pracy, ale znaczeniem swej niezwyklej roli przejmują się już tylko na wsi ludzie starsi: młodzież również marzy, aby zrzucić jarzmo ciężkiej, tudzież małego, jak sądzi, szanowanej wiejskiej harówki, prysnąć do miasta i pogрузić się w błogiej, choć nieszczególnie płatnej socjalistycznej nieodpowiedzialności. Socjalistyczny, czyli uspołeczniony (*a więc z konieczności upaństwowiony*) znaczy w nieubłaganej praktyce życia — niczyj. Tak więc, paradoksalnym zrzędzeniem mechanizmu świata, rosną w tym ustroju zastępy ludzi lekkomyślnych, nieodpowiedzialnych i indywidualistycznie wyosobnionych, jak mawiali krytykujący kapitalizm komuniści — zalienowanych. Bardzo by się temu zdziwił Marks, człek z całkiem innej epoki, ale komużby co przyszło z tego zdziwienia: już za późno, klamka zapadła, w dodatku proces, który tu zachodzi, nie zrozumie nikt za kapitalistyczną barierą (*zwłaszcza nikt spośród naiwnie i na cudzy koszt komuniżujących zachodnich „intelektualistów” — Roman spotykał ich w swym życiu krocie*), chyba że system ruszy dalej na Zachód, spełniając w sposób opaczny, lecz jedynie jak się okazało możliwy, prorocstwa swego brodatego a nieostrożnego (zbytnią pewność siebie to forma nieostrożności) filozofa.

W chwili, gdy Roman zachrzącił butami na żywirowym placu, padło widać jakieś tajemnicze hasło do następnej gwałtownej odmiany, bo oto nagle okazało się, że słońca znów nie ma, są natomiast ciemne chmury, że morze z szafirowej hojności przeszło, nie wiedzieć kiedy, w szaroolowianą czy stalową ascezę, że wiatr z orzeźwiająco rześkiego stał się z powrotem dokuczliwie zgniły.

Mewy sfrunęły z mola, część znów kołysze się na huśtawce przeczesywanych wiatrem fal, inne frasobliwie spacerują brzegiem plaży. Zaskoczony i wytrącony z toku swobodnie, wieloma strumieniami naraz, płynących myśli, Roman szybko kieruje się ku lewemu krańcowi deptaku, gdzie są przejścia w zielonym odgradzającym to miejsce od miasta parkanie, przejścia pomiędzy równie zielonymi, oszklonymi budkami. Tu właśnie latem stoją bileterzy, zaś z drugiej strony owego ogrodzenia, po lewej ręce, w ścianie niejako budynku zdrojowego, znajdują się zainstalowane pod łukowatymi podcieniami, nieczynne teraz kasy.

Zielone, łukowate ich nisze, są właśnie elementem dużej a dziwacznej budowli, położonej na lewo od osi, na której leży molo (na wprost tej osi wzniesiono szklane, kolorowo oklejone pudełka pawilonów wystawowych, ukoronowane wyniosłą, półokrągłą antresolą), budowli, która z oddali nasuwała właśnie niezbyt miłe reminiscencje krzyżackiego zamku. Dopiero z bliska widać całą pretensjonalność i dziwaczność tego tworu, stanowiącego niesymetryczne zestawienie paradoksalnie różnych elementów: ni to pałac, ni to kościół, obfituje w wieże i wieżyczki, czerwone dachy, osobliwe kopułki, galerijki, wykusze, półokrągłe niby włoskie „loggie”, a zarazem długie, wąskie, przywodzące na myśl gotyk okna. Najwyższa wieża, rozszerzona u góry w obwiedziony galerią sześcian, spełnia rolę latarni morskiej, poza tym bucha z niej często czarny, leniwie kłębiasty dym, bo są tam wewnątrz jakieś błotne łazienki, czy coś takiego. Budowla jest zresztą długa, z każdej strony inaczej się prezentująca, połączona szklaną galerią z oficynami.

Na tym jednakże dziwactwo się nie kończy, bo oto z lewej strony w głębi, między bezlistnymi kikutami drzew, tkwi inny ponury budynek, którego wieża, również z mola widoczna, bije tym razem wszelkie już rekordy niezdrowej imaginacji ornamentacyjnej. Czy możliwa jest mieszanina gotyku z bizantyzmem, a wszystko w kształcie mużułmańskiego minaretu, z jakimiś kielichowatymi czy łodygowatymi odgałęzieniami, w dodatku całość ciemnoczerwona, inkrustowana niemiłymi odmianami czerni i szarości? Możliwe to jest, skoro istnieje; podobno zaś jak twierdził pewien germański filozof, wszystko co istnieje jest rozumne. Tutaj co prawda trudno tę rzecz sprawdzić, co więcej, nikt się o osobliwości tej wieży nie troszczy, w każdym razie nie teraz, gdy turystów brak, po mieście zaś snują się jedynie tubylcy, dla których niecodzienny przecież pejzaż C... jest już rzeczą najzwyczajszą w świecie.

Od tego miejsca właściwie zaczyna się reprezentacyjna ulica dziwnego miasteczka. Z początku, póki idzie się wzdłuż budynku

zdrojowego, między tym budynkiem a kontrastującymi z nim szklanymi, kolorowo oklejonymi sześcianami kawiarni i wystaw, stojącymi na miejscu dawnego kasyna, jest to jeszcze przestronny, poziomy niby plac, wyłożony jak mozaiką romboidalnymi taflami z kamienia. Potem, obok niespodziewanie drewnianej, obwiedzionej schodkami, starej i nieco teraz niechlujnej willi, ulica rusza ukośnie, dosyć stromo pod górę ku widocznemu niedaleko ciemnoczerwonemu kościołowi z jedną wieżą, obitą zieloną, miedzianą blachą. Ulica nie ma chodników ani jezdni, bo tędy się tylko chodzi i to dosyć efektownie, po posadzce jakby, gdzie smuga gładkiego asfaltu inkrustowana jest dwubarwnymi, kwadratowymi płytami z granitu. Takim to wygodnie przestronnym torem czy chodnikiem wędruje się teraz w rojowisku licznych już tutaj przechodniów ostro pod górę, między dwoma szeregami secesyjnych, germańskich kamieniczek, zaopatrzonych w obszerne, oszklone lokale sklepowe, kina i kawiarnie (*świętosławione na swój sposób czasy mieszczańskiej secesji: w nowych pudełkowatych, socjalistycznych blokach sklepu szuka się nieraz kilometrami, tu natomiast, wiadomo, staroświeckie, przemyślne i zasobne Szkopy dobrze obmyślili sobie te rzeczy*), wędruje się ku placykowi, czy raczej skrzyżowaniu kilku ulic, stanowiącemu niewielkie „serce” miasta: sforsowawszy stromą tutaj, skróconą kamiennymi schodami skarpe ulicy obok kościoła, znajdujemy się już bowiem pomiędzy pocztą, dworcem kolejowym i wielką oszkloną kawiarnią, zwąca się dość pompatycznie „Srebrny Jar”. Wszystko pod ręką, przed nami nasyp kolei, pod który ulica wpełźnie ciemnowym tunelem, a za torem kolejowym, nad poprzecznie przecinającą miasto autostradą, wznoszą się strome, lesiste aleje szeroko rozprzestrzenionej dzielnicy willowej. Ot i całe C...

Zapomniało się w tym miejscu na chwilę o morzu, o jego hojnej zmienności, bezcelowym bogactwie barw, ruchomych kształtów, falowań, szumów, poświstów, nawet zapachów: jest ono zaledwie o jakieś pół kilometra stąd, lecz tu, wśród owych ciężkawo przyozdobionych kamieniczek, na wyłożonej kamiennymi płytami platformie u ostrołukowego wejścia do kościoła, o morzu się zapomina, choć wystarczy spojrzeć w dół, aby zobaczyć między konarami bezlistnych drzew ołowianą teraz jego taśmę. I w ogóle, wśród normalnego ruchu krzątających się przechodniów, samotny a beczynny spacerowicz zapomina na chwilę, po co tu przyjechał. Po co tu przyjechał i to po raz drugi: dokładnie w rok od tamtego grudnia. Wszystko opóźniło się o rok i trzeba zaczynać w nowej, choć na pozór dokładnie analogicznej sytuacji. Ale „nie wstępuje się do tej samej rzeki”. Nie ma analogicznych sytuacji po upływie czasu — trzeba spróbować udźwignąć rzecz

na nowo i to z obciążeniem, z balastem tamtego grudnia i całego warszawskiego roku. Wtedy obejrzał sobie wszystko tak samo jak dziś: molo i jego belki, zielonoszare morze, statki, pejzaże, mewy, a także zanotował w pamięci, i nie tylko w pamięci, osobliwe zmiany scenerii na zatoce. Wtedy trwał ciepły, bezśnieżny, rzeźwy grudzień i teraz trwa ciepły bezśnieżny, rzeźwy grudzień. Ale są to grudnie różne, przedzielone niby fosą, przestrzenią tego roku, w którym coś niecoś się przecież zdarzyło. Obraz grudnia w C... okazuje się względnie nieruchomy, pozostał sobą, ba, nawet się utrwalił, ale to jedyny, niewielki dorobek. Oczywiście, za względnie korzystny i nie do pogardzenia uznać trzeba fakt, że start jest jeszcze w ogóle możliwy i że, w zasadzie, nic się tutaj (*i w ogóle w Polsce — paradoksalne to szczęście*) nie zmieniło. Opis mola w C... byłby więc osiągnięciem ugruntowanym, ale resztę należy skonstruować na nowo. Tylko czy Roman potrafi dziś odtworzyć cały zamysł po raz drugi — oto jest pytanie. I czy to świadectwo utożsami się z tamtym świadectwem — sprzed roku? Bo, zarówno wtedy jak i teraz przyjechał wszakże do C..., aby dać świadectwo. Świadectwo, jak to sobie zamarzył i zamierzył, a także sumarycznie i zastępczo nazwał — swojej szmacianości. Wtedy już był bezradnie, bezkształtnie szmaciany i teraz jest dalej bezradnie, bezkształtnie szmaciany, ale za każdym razem w inny sposób: wtedy był bezradny w sposób czysty, ogólny, społeczny, więc niejako bezosobowy, podczas gdy dziś jest upokorzony i ubezwłasnowolniony dotkliwiej, także (może przede wszystkim) indywidualnie, chyba przez wiadomą, właśnie w C... rozpoczętą historię ostatniego roku. Stał się na przestrzeni, tego odcinka czasu — mówił to sobie nadal skrótowo, ujmując rzecz za pomocą owego, orzeźwiająco samokrytycznego i upraszczającego, zastępczego określenia — jeszcze dokładniejszą i jeszcze bardziej bezradną a więc doskonalszą niż wtedy szmatą, czyli budzącą własny niesmak, mało kształtną ludzką plazmą, ale nie miał dziś w sobie tamtej zbawczej, psychicznej pustki, którą chciał wówczas utrwalić jako swoje rehabilitujące świadectwo: bo kto czynnie da świadectwo pustce, ten się ocali, przestanie być pusty, protest przeciwko pustce zapełni go. Lecz dziś, po roku, powstały nowe elementy: nie był teraz tylko pusty, był aktywnie a pocieszenie duchowo skołatany, jeśli zaś skołatany personalnie, to już nie przez ogólną szmacianość, lecz również przez swoje jakieś zindywidualizowane tarapaty. Czy to źle czy dobrze, może dzięki temu łatwiej jeszcze będzie (łatwiej, bo autentyczniej, namacalniej) dać świadectwo szmacianości uogólnionej; łatwiej, ale inaczej niż zamierzył, wtedy bowiem zamyslił sobie dać świadectwo tylko i jedynie pustce oderwanej od życia w tym zaś celu należało strzec

się osobowych konkretów. Obecnie sytuacja jest inna i nasuwa się pytanie, czy należy ją wykorzystać choćby dla celów fabularno-formalnych. Pytanie nie łatwe do rozstrzygnięcia: myśli rozproszyły mu się niczym sytuacja szachowa, unicestwiona przez rozsypanie wyróconych figur. Stał oto pośród secesyjnych kamieni-czek i rozważał, jakby rzecz odtworzyć, a raczej, poniekąd, kontynuować, ale myśli nie łączyły się z sobą, nie spajały, choć pod spodem, gdzieś na dnie, Roman chwycił już może zarys, cień nowej syntezy. Musi go schwytać dokładnie i mocno, w tym celu przecież przyjechał właśnie tutaj po owym straconym a zarazem darowanym roku. Rok darowany — to przypomniało osobliwe słowa o okupacji, jakie wypowiedział w swoim czasie wielki, choć zmarnowany krytyk, R...

II

Krytyk R... — cóż za niezwykła postać, niezwykła przede wszystkim dlatego, że, całe życie pracując jak galernik, nigdy nie był w stanie osiągnąć przekonywająco uchwytnej, choćby ułamkowej syntezy, wcielić się w cokolwiek bez reszty, dać rzecz zakończoną, nie zaś otwartą na wszystkie strony i zaopatrzoną w dziesiątki znaków zapytania, symbolizujących rodzące się w trakcie pisarskiego trudu zwątpienia. Erudyta, poliglota, niestrudzony twórczy czytacz (*twórczy dosłownie, bo każdy margines książek, które wchłaniał, wypełniał pisanymi kopiowym ołówkiem niezliczonymi uwagami, częstokroć daleko wybiegającymi poza serwowany mu przez dzieło materiał myślowy*), mógł na kims nieuprzedzonym czy powierzchownie sądzącym robić wrażenie improduktywa, po którym, obiektywnie niby rzecz biorąc — zostanie tylko kilka przekornych paradoksów, kilka niecodziennych lecz przerafinowanych czy rozwichrzonych aforyzmów. Nie była to prawda, był to jedynie towarzyszący mu stale nieźyczliwy osąd, płytki choć powszechny, nie umiejący sobie poradzić ze złożonością zjawiska. Złożoność ta wynikała też z faktu, że krytyk R..., aby rozwijać swe bardzo w istocie skondensowane i uporządkowane zamierzenia myślowe, musiał mieć do tego kanwę i podniętę: kanwę stanowiły przeczytane książki i to częstokroć nawet drugorzędne, przebrzmiałe polskie powieści czy dramaty (*drugorzędność była tu zamierzona i akcentowana: R... uważał, że właśnie z prowincjonalnej drugorzędności polskiej kultury zaczerpnąć należy asumpt, bodziec do wyjścia poza nią, poza samego siebie, co*

w rezultacie przyniesie odnowę, a przynajmniej zgromadzi energię, potrzebną do przedsięwzięcia tej odnowy), podniecię zaś dostarczały polemiki i to polemiki, dotyczące nieraz problemów rozmyślnie wybranych na chybił trafił, R... podkreślał bowiem, że nie chodzi mu ani o przedmiot czyli pretekst ani o rację, lecz o zademonstrowanie metody poznawczej w której, niczym w zwierciadle, odbija się jego idea krytyczna, pomyślana jako zarazem negatyw i pozytyw, jako obalenie tego, co do obalenia dojrzało i przez to samo oczyszczanie placu pod nową budowę, za którą czuł się odpowiedzialny, której chciał patronować, zostać prekursorem. W istocie był prekursorem, lecz niejako na marginesach, przynajmniej tak skromnie choć i z goryczą o tym sądził: jego młodzieńcza powieść, powstała gdzieś tam, na galicyjskiej prowincji, skąd pochodził, wyprzedziła swym nowatorstwem i oryginalnością o kilkadziesiąt lat późniejsze francuskie „antypowieści” — cóż, kiedy nikt tego nie docenił, nikt nawet się o tym nie dowiedział i nie dowie — bo już za późno. Czy odkrycie, które w odpowiednim okresie nie odegrało swej zapładniającej roli, lecz pozostało nieznanne i izolowane, jest nadal odkryciem? I przeciwnie: czy jest odkryciem uporządkowane podsumowanie myśli, znanych już przedtem, odkrycie wtórne, które jednak trafia akurat precyzyjnie na podatną sytuację historyczną, na swój moment i przekształca się, sublimuje w iskrę, która z niespodziewaną zaraźliwą szybkością pędząc po przypadkowym drucie, staje się bezpośrednią przyczyną detonacji, ostatnim i ostentacyjnym ogniwem procesu, poprzedzającego wybuch? Tak było z Marksem i marksizmem, rzekomym bo nie oryginalnym, kompilatorskim raczej wynalazkiem naszej epoki, który wywołał przecież gigantyczne i nieodwracalne, a co do swej jakości przez własnych twórców nie przewidywane skutki. Zresztą dziejami ludzkości kierowały nader często idee dowolne, czy zgoła irracjonalne, trafiające na podatny układ płaszczyzn i elementów: pewien germański zawodowy myśliciel, dopatrując się niezłomnej, zaokrąglonej i sklepionej rozumności świata, nie dostrzegł jakimś cudem asymetrycznego rozwichrzenia wszechrzeczy, gdzie przypadkowe iskry padające w przypadkowe miejsca powodują gigantyczne wyładowania, o których nie zawsze wiadomo, co za sobą i w jakim kierunku pociągną, bo reakcje są łańcuchowe, nieobliczalne, nieprzewidywalne: za wiele tu czynników wchodzi w grę aby można je objąć myślą, a co zbyt skomplikowane, to już, choć realne, staje się przynajmniej z pozoru — irracjonalne. Z pozoru, bo fakt, że Stalin był nieprawym dzieckiem Marksa a Hitler — Hegla, ma jakieś tam swoje wytłumaczenie, lecz tak zawiłe i tak uzależnione od, w ostatniej chwili, na ostrzu brzytwy się decydujących, nie-

przewidywalnych „kwantowych” procesów przeznaczenia, że badań nad tą sprawą nikt się nie podejmuje, jak i nad ową nieskończoną mnogością wciąż płynących wrażeń, która zafrapowała Romana tam, na molo, a właściwie frapowała go w tym miejscu zawsze, choć ruchliwość morskich pejzaży i ich bezcelowego nieustannie mieniącego się i opalizującego bogactwa (bogactwa ofiarowującego się każdemu obserwatorowi czy nawet obojętnemu przybyszowi, bez względu na jego poziom moralny oraz gatunek wrażliwości) była tylko zewnętrznym symbolem ruchliwości innej, nieustającej i nieobjętej ruchliwości psychicznej. Tym i tamtym, to znaczy ową próbą ujęcia w jedno prawo wszystkiego, zajmie się może w niedocieczonej przyszłości ów jakiś super Einstein, który swą syntezą zagasi przyszłych super Hegłów i super Marksów (*ciekawe, że wszyscy ci trzej wyrosli z niemczyzny, choć niekoniecznie dobrze się ona z nimi obeszła, wielbiąc bez zastrzeżeń tylko jednego — aryjczyka Hegla*). A na razie kontentować się trzeba tajemnicą, choćby tak w skutkach niemądrą jak absolutystyczne rządy dziwacznych spadkobierców Marksa na niezmiernych a nie wyeksploatowanych połaciach świata, podczas gdy stłoczone na europejskim półwyspie kraje starego, mieszczańskiego kapitalizmu, te właśnie, o dziwo, na których czynił swe płodne w rzekome prorocтва obserwacje, niefortunnie uparty, polemicznie agresywny, choć pełen altruistycznych i w ogóle najlepszych intencji filozof rewolucji, kraje te zatem, w niewiele lat po Druhej Wojnie, pękać jęły niemal od dobrobytu, podpierane przez swe potężne zaplecze, przez niepojęcie nowe mocarstwo plebejskich milionerów, pozbawioną niemal historycznej przeszłości a junacko zapatrzoną w przyszłość Amerykę. Dlaczego życiodajny amerykańizm nie popłynął bez przeszkód po wygłodzonych obszarach europejskiego i azjatyckiego Wschodu? Tajemnica, irracjonalna tajemnica, zadająca kłam wszelkim prawom materialnej ekonomii, choć w imię tych praw właśnie europejski inteligent Marks postawił amerykańizmowi tamę — nie wiedząc zresztą wcale że to robi, był bowiem pracownikiem przyszłości, przed którym terażniejszość zasłoniła istotny cel i znaczenie jego pracy. Robił, nie wiedząc co robi (człowiek strzela, Pan Bóg jego kule nosi) i w rezultacie, aby się dopełnić Wielki Paradoks, rządzone w imieniu ludu kraje Wschodu stały się domeną wyrafinowanych i rozdygotanych inteligentów, a na „elitarnym” Zachodzie coraz szerzej i głębiej zakorzenił się plebejski, egalitarny, codzienny praktycyzm. Gdy Roman rozmawiał w Monachium z bratanekami, czuł się niepotrzebnym i upokorzonym materialnie dziedzicem starej, inteligentkiej Europy, podczas gdy tamci chlubilili się wolnym od tradycyjalnych uprzedzeń i balastów, młodzień-

czo zdobywczym empiryzmem. Kraje, kształtowane w imię Nowego okazywały się stare, zaś kraje kontynuujące stary porządek — całkiem się odnowiły. A może nowe nie jest tu nowym, czy stare starym, może przeszkadzają a zarazem decydują słowa, które w ogóle jak się okazuje, o całe niebo wydatniej kształtują dzieje ludzkości, niż czynią to jakiegokolwiek prawa materialne? I któż pojmie oraz wyjaśni to wszystko — chyba ów oczekiwany super i nad Komputer dalekiej przyszłości, ale wtedy już, *post factum*, nic to nikomu nie pomoże, będą nowe problemy, a miniona historia, jak zawsze, cofnie się w bezinteresowny cień. Tak więc, z komputerem czy bez niego, bezradność, kompletna bezradność; z niej zaś właśnie — szmacianość, przed którą oto Roman chciał się ratować, definiując ją przynajmniej raz dokładnie i bezlitośnie — to znaczy bez najmniejszej litości dla siebie: taka miała być jego ekspiacja.

Ów Wielki Komputer jedynie mógłby również wyjaśnić dramat twórczy krytyka R..., wyjaśnić, dlaczego jego tak odrębne i wynalazcze, w dodatku poparte erudycją (gwarantującą oryginalność, bo pozwalającą uniknąć powtórzeń i zapożyczeń) dzieło intelektualne nie mogło się stać własnością ogółu kulturalnego w Polsce ani za granicą, nie mogło w ogóle być ocenione, ani nawet przyswojone czy powszechnie zauważone, ba, chronicznie nie potrafiło w nic konkretnego się wcielić, żeby zrealizować wreszcie animatorską ideę swego twórcy, ideę prekursorstwa, która pozwoliłaby kulturze polskiej wyzwolić się ze swej drugorzędności i wkroczyć na pierwszą linię frontu walki, toczonej (rzekomo — bo i tu nie brak złudzeń, R... zresztą antycypował rzecz, pisząc wiele na temat światowej „zdrady klerków”), o prymat myśli i koncepcji nowej, nie tej po stokroć przeżutej, co najwyżej przybieranej w inne, maskaradowe szaty. Ale zamysł krytyka R... nie mógł osiągnąć powodzenia, bo dzieło jego, choć w istocie mocno związane w sobie i określone, zewnętrznie wpisane było w dzieła inne, sypkie i mało ważne: z krytyki ich małości zaczerpnąć chciało oddech do swojej wielkości, ale przez to, że tematycznie w nie wpisane, jakoś się od nich uzależniło formalnie, konstrukcyjnie, okazało się pełne przeróżnych odniesień do wydarzeń i twórców nie wszystkim, a przynajmniej nierównomiernie wszystkim (nie mówiąc w ogóle o zagranicy) znanych, do przebrzmiewających wierszy, dramatów, nowel, artykułów polemik. Dzieło R... wprawdzie uzależniło się od nich czysto zewnętrznie, ale w społecznym odbiorze okazało się to decydujące: któż zada sobie trud zebrania wszystkich, na obszarze kilkudziesięciu lat i pomiędzy wielu barierami pokoleniowymi, regionalnymi, granicznymi i językowymi (o nieszczęsna tajemnicza

Polsko!) rozproszonych punktów odniesienia, aby odczytać rozpiętą w nich i zaszyfrowaną wynalazczą, syntetyczną koncepcję krytyka R..., jego kamień filozoficzny i klucz interpretacyjny? Takich czytelników nie było i oto, monolityczne w zamyśle, dzieło krytyka R... wydawało się przygodnym obserwowanemu cząstkowe, chaotycznie fragmentaryczne, zawieszony w powietrzu, uznano je za różnokierunkową wirtuozerię, nie zaś za określoną co do kierunku konsekwentną walkę: w mnogości szczegółów, nie dostrzegano i nie dostrzeżono torsu wielkiej całości. Wystarczyło zresztą tego wszystkiego, aby R... został jakoś sławny czy raczej osławiony, nie wystarczyło, aby go zrozumiano i posłuchano, aby stał się, jak zamierzył, animatorem, wskazującym drogę odkrywca i przewodnikiem. Najwyraźniej jeszcze wyczuwali w nim wielkość młodzi — tych nie razi donkiszoteria, raczej podnieca — ale im znowu brakło doświadczenia, perspektyw czasowych oraz erudycji, aby podążyć za R..., rzeczywiście go rozumiejąc. Był już stary, po trochu zgorzkniały, obciążony rodziną, drugorzędnymi, przypadkowymi kłopotami i w końcu — uwierzył że tak być musi, że życie jego i praca (bo nie koncepcja — o tej nigdy nie zwątpił) mają jakiś zasadniczy mankament, nie pozwalający mu się skupić i odnaleźć dla swych treści odpowiedniej formy: czytelnej, zbiorczej, syntetycznie uniwersalnej. Było już za późno, robił jeszcze heroiczne wysiłki, lecz teraz często budziły one śmiech, przedwojenna Warszawa, czy lekkomyślna Warszawka kawiarniano-redakcyjna drwiła z tego prowincjusza, który nigdy nie uznał jej za swoją a chciał jej przewodzić. Bojkotowano go, odmawiano polemik, ograniczając się do szyderstw; książek, skleconych na pozór na prędcę z wybranych artykułów, nie czytano, nikt nie próbował podążyć za przewijającą się w nich nitką Ariadny, nie było ich zresztą w księgarniach, „jakby je ktoś złośliwy wykupił”. „Życie polega na tym, że nie można żyć” — mawiał teraz. Kapitulował coraz częściej i uciekał do ulubionego „świata w świecie”: do gry w szachy. Ale, wierny konstrukcji swego trudnego i trudności kochającego umysłu, nie grywał całych partii, lecz zajmował się tylko wycinkowymi koncepcjami problemowymi — w tej hermetycznej dziedzinie, jako autor kilku przeoryginalnych zadań, „trzychodówek” uzyskał sławę światową, nie łączoną zresztą zgoła z jego osobą i nazwiskiem. Chętnie teraz pograżał się w anonimowych korespondencjach z nieznanymi ludźmi, zrezygnował z przewodnictwa i ze zrozumienia u ogółu, rzeczywiście jął się rozpraszać, próbując małych, autonomicznych dziedzin problemowych, gdzie dałoby się pokazowo przewyciężyć rzekome ciężące na nim fatum niezdolności do wcielania swych zamysłów w skończoną formę. Powiększał w ten sposób osnuwającą go famę

nieporozumień, bezpowrotnie oddał się od syntezy, tors rzeźby stawał się coraz mniej widoczny. Rozumiał to, gryzł się, ale nie widział wyjścia, fatalistycznie uwierzył w klęskę. I oto nagle huknął grom: wojna, ruina, okupacja, a z nimi, jak najniespodziewaniej, „czas odnaleziony” czy, jak właśnie powiedział, „czas darowany”, okazja, na którą czekał lata, kilkadziesiąt lat. Ale w jakichże warunkach nadeszła!

Roman zapamiętał brodatego starca, jakaś, o ciemnych, ponurych oczach, jak ze związanymi sznurkiem menażkami, w niezgrabnej, mocno podniszczonej jesionce, wspinał się po stromych, nie oświetlonych schodach do tak zwanej Kuchni Autorów. Warszawska codzienność okupacyjna okazała się w swej brutalnej fantastyce jedyna i wręcz nieporównywalna w skali światowej (*nie przeżyła czegoś podobnego żadna inna stolica europejska — owszem, brutalność Niemców osiągnęła wyższe rekordy w miastach rosyjskich, o czym zresztą Rosjanie, wierni swej pesymistycznej, bo pogardliwej wobec odbiorców zasadzie nie ujawniania wszystkiego i podawania własnej, fikcyjnie uproszczonej, nieugiętej, według specyficznego oceny ważności wyselekcjonowanej wersji wydarzeń, częstokroć milczą; natomiast w zorganizowanym melanzu brutalności z nieprawdopodobną, kunsztowną fantastyką, okupacyjna Warszawa była i pozostała smutnie a obłudnie bezkonkurencyjna — choć tylko strzępy tego przeniknęły do literatury czy do znanych świata relacji*), toteż bezprzykładna owa postać bytowania stworzyła sobie również nader osobliwe, z paradoksalnie rozbieżnych elementów spojone instytucje czy ośrodki organizacyjne. Takim dziwnym dla normalnego okresu i normalnego społeczeństwa (*choć co właściwie jest normą i kiedyż to pokrętnie w czasie i przestrzeni umieszczona Polska odpowiada jakiegokolwiek normie?*) była właśnie, istniejąca aż do Powstania i całkowitego zburzenia lewobrzeżnej Warszawy, Kuchnia Autorów. W wysoko sklepionych biurach i w salonie ekskluzywnego przed wojną międzynarodowego Klubu Literackiego ulokowała się obecnie dziadowska, upokarzająca stołówka, gdzie jednak za parę groszy można było podtrzymać życie choćby kilku porcjami najprostszej zupy i gdzie, w jakiejś specyficznego a nie pozabawionej miętego polskiego ciepła izolacji, zachowano resztę hierarchicznego szacunku dla tak niedawno jeszcze błyszczących na literackim, publicznym parkiecie matadorów polskiej kultury, teraz pojawiających się w tymże samym, tradycją i szczytnym, bo kulturotwórczym, snobizmem uświęconym miejscu w charakterze zszarzałych, wygłodzonych nieraz i zziębniętych, a w każdym razie mocno skłopotanych petentów. Można się tutaj było dopatrzeć nawiązania do legendarnej tradycji narodowej martyrologii

i to nawet emigracyjnej — wszakże ci ludzie, pochyleni nad stolikami i szepczący do siebie rzeczy porozumiewawcze czy ironiczne, rzadko zaś (właściwie prawie nigdy) patetyczne, zamknięci jak w muszli pośrodku milionowego miasta, opanowanego przez dziwaczne, niedostępne i nieprzenikliwe w swym apodyktycznym obłędzie czy zapamiętaniu i uświęconym tajemniczą organizacją okrucieństwem mrowie przybyszów, na pozór z niedaleka a w istocie z księżycą, ustrojonych, dla odróżnienia od normalnych tutejszych przechodniów, w sztywno kloszowe, niespodziewanie niebieskie uniformy — ci więc ludzie z Kuchni Autorów stanowili w istocie jak najprawdziwszą, choć na pozór wewnętrzną, duchową Emigrację. W tym kraju, od trzystu przeszło lat, kiedy to zaczął on słabnąć i niszczyć, co doprowadziło do oddania go przez Europę we władanie tworzącym się po obu stronach żelaznym, z machiavelską precyzją zorganizowanym ośrodkiem państwowej siły, potęgom, które po wielekroć potem wziąć miały Polskę w swe bezmyślne kleszcze, nie bacząc, że prędzej czy później mściło się to na nich samych w sposób mniej lub więcej nieprzewidywalny, lecz zawsze katastrofalny (*osobliwym trafem — choć osobliwość jest zapewne w skomplikowanym wektoralnie świecie ludzkiej historii po prostu normą — zrozumiał tę doniosłą dla Europy, mimo iż niewidoczną dla niej, rolę Polski akurat brodaty filozof rewolucji, Marks — jednakże w twórczym samozadowoleniu do głowy mu zapewne nie przyszło, iż formułuje oto teorie, które stworzą instrument do z czasem jeszcze całkowitszego, niż podczas zaborów, unicestwienia bezbronnej polskiej specyfiki*), w tym zatem kraju, gdzie myśl narodowa z reguły pomieścić się nie może w ramach tak czy inaczej spaczonyj i sterroryzowanej rzeczywistości, emigracja polityczna i duchowa (*te dwie sprawy przenikały się z sobą w sposób specyficznie polski*) odgrywała od dawna olbrzymią rolę, licząc w swych szeregach najwyższe narodowe autorytety: myślicieli, działaczy i, co najważniejsze poetów, otrzymujących w polskim życiu specyficzną rangę wieszczą. Tylko że emigrantom z okupacyjnej Kuchni Autorów czegoś jako emigrantom nie dostawało: może patosu i poczucia gorzkiej wolności, dawanych przez obczyznę, wybraną dobrowolnie, może decydował fakt, że była to właśnie KUCHNIA, że wspólne życie stołecznej elity duchowej związało się tym razem, wręcz symbolicznie, z najprymitywniejszymi problemami alimentacyjnymi. Niemcy zresztą chcieli zaabsorbować tymi problemami całe społeczeństwo Warszawy, w tym celu wydali przepisy, w myśl których dostarczanie do miasta nie reglamentowanej żywności obwarowane było na wszelkie przypadki odmienianymi karą śmierci. Oczywiście, kar tych nie egzekwowano, nietyl-

zresztą z braku ochoty, co z braku fizycznej możliwości, trzeba by bowiem rozstrzelać całe miasto, które bez szmuglowanej ze wsi strawy skazane zostawało bezapelacyjnie na krótkoterminową śmierć głodową: toteż szmuglowali wszyscy, korzystali zaś z tego również sami Niemcy, przy tym ci drobni, szaraki z Wehrmachtu, którzy wynieśli z domu hodowaną jak świętość tradycję sprawnej organizacji życia (*naród ten, nie ulega wątpliwości, zaprzepaścił swe obrzymie możliwości przez baranie ubóstwienie ślepej dyscypliny i porządku, w przeciwieństwie do Polski, która upadła kiedyś przez szlachecki kult indywidualnej samowiedzy i niechlujnej częstokroć nonszalancji: zresztą licho wie, co tu lepsze*), ci więc schludni a ubodzy duchem, Niemiaszkowie nie mieli pojęcia, że w dużym stopniu żyją i jedzą dzięki przedsięwziętym na wielką skalę działaniom nielegalnym, takim na przykład, jak potajemne przenoszenie do granic miasta w worku zwłok poćwiartowanej świni — działaniom określanym w żargonie szkopskich obwieszczeń słowem „bandytyzm”. Groźny bandyta, wędrujący z owym workiem pod zbawczą, choć i najeżoną niebezpieczeństwami, mroczną osłoną wszechwładnej godziny policyjnej umożliwiał oto nie tylko życie warszawiakom, lecz sprawiał, że przeniknięty błogością poczucia swej sprawnej, patriotycznej przydatności, szeregowy konformista z Hanoweru czy Magdeburga, żył w syrenim grodzie mniemaną wielkomięską normalnością — oto paradoks obłudy, chroniący uczestników każdej ideowo-totalistycznej formacji przed widokiem straszliwych kłów upióra, który sprawuje nad nimi rząd dusz. Ideowo totalistycznej, bo szarańcza, jaka wrzeźniem 1939 Pańskiego roku z bezprzykładną, maszynową, lecz entuzjastyczną gwałtownością załała Polskę, była niewątpliwie najbardziej świadomą i ideową armią świata: każdy jej uczestnik od szewca do generała śpiewał na życzenie jak ptak wszystko, czego go wyuczył Hitler i Goebbels o rasie, misji, tudzież Wielkiej Rzeszy. W tej niebiesko umundurowanej armii nie widziało się wcale, jakby to można było sądzić na zasadzie tradycyjnych doświadczeń, żadnego pruskiego „drylu”, przeciwnie, między żołnierzami i oficerami panowała (*nieznana, o paradoksie! w przedwojennej Polsce*) koleżeńska swoboda, wynikała z faktu pełnej, świadomej a patriotycznej solidarności — patriotyzm, spojony z poczuciem specjalnej doniosłej misji, stwarza osobny rodzaj poufnego międzyludzkiego porozumienia: było to porozumienie, oparte na zbrodniczym głupstwie, ale oni wcale jeszcze nie wiedzieli, jak dalece los zadrwił sobie z ich najświętszych uczuć, zamieniając oto w nieświadomych czy przymusowych bandytów ich samych. Bandyta dzięki ideowości — najżałośniejszy to chyba bandyta świata.

W trzy lata później Stalin, który, przez zdumiewająco błędne (pewno dlatego, że nigdy nie podróżował po świecie) rozeznanie sytuacji europejskiej, sam ściągnął sobie i Rosji na głowę tę szarańczę, aby w ostatniej chwili rzucić się do rozpaczliwej z nią walki, mając już wtedy pewność, że nie przegra (*największe potęgi kapitalistyczne i burżuazyjne sprzymierzyły się — o nietrwała logiko rzeczy świata tego — aby mu pomóc*), wygłosił i wydrukował szeroko rozpowszechnioną obłudną mowę, w której stwierdził, że wojnę wygrywają nie czołgi, armaty i samoloty, lecz armie, wyposażone w ideę, na przykład właśnie Armia Czerwona. W rzeczywistości najbardziej ideową i świadomą swej idei armią świata była na początku wojny armia Hitlera; armia czerwona za to, choć urobiona przez zamknięte pojęcia porewolucyjnej Rosji i popędzana przez specyficzne mózgi kadry politruków, walczyła w istocie długo po prostu o życie; utwierdzała ją w tym ideowa, wolna, od względów taktycznych pryncypialność Hitlera i jego wodzów, niszczących i mordujących na zimno wszystko, co się dało, z setkami tysięcy rosyjskich jeńców wojennych włącznie. Nie zwyciężyła więc (*na ówczesne szczęście teraz już jedynie przez straszliwych „niebieskich” opanowanej Polski*) armia ideowa, lecz runęła w końcu na Zachód armia bijąca się o byt, wspomagana przy okazji całą potęgą materialną, wytworzoną, — jak mawiał wódz narodowych socjalistów i jego siłający masowo dusze kulawy twórca nazistowskiej dialektyki, — przez świat plutokratyczny, przez świat pracowitych, pragmatycznie przedsiębiorczych burżujów i mieszczan angielskich, oraz odrębny, osobliwy świat plebejskich nowych bogaczy amerykańskich (*Stany Zjednoczone — myślał Roman — to jedyna, na przekór nazwom, prawdziwa „demokracja ludowa” na świecie: elity wyrastały tutaj w ciągu dwóch, trzech pokoleń, nie na zasadzie odziedziczonych przywilejów lub majątków, lecz tylko i wyłącznie dzięki ciężkiej, agresywnie przebojowej, pełnej samozaparciu pracy, która w tym kraju świeżych a nieograniczonych możliwości przynosiła rezultaty fantastycznie wielokrotnione*).

Oczywiście, owa wojenna walka o życie, toczone bezpardonowo (*obustronnie bezpardonowo, bo w końcu nikt tu już ani nie okazywał ani nie oczekiwał litości, czy też jakichkolwiek zwycięzajowo-kombatanckich, wspaniałomyślnych norm postępowania, określanych niegdyś przez Anglosasów słowami 'fair play', a dziś zgodnie przez obie wysokie strony, czyli Czerwonych i Niebieskich, uznanych za śmieszny przeżytek dawno minionych i zbankrutowanych czasów*) przybrała sobie także i po stronie rosyjskiej oficjalne godło ideowe, przy czym, rzecz ciekawa, nietyle komunistyczne (co ze względu na burżuazyjnych sojuszników mogło

być kłopotliwe) lecz nacjonalistyczne, wyrażone sloganem „wojna ojczyzniana”. Intuicja i w istocie świadomość prawdziwej psychiki swego narodu, połączone z taktyczną chytryością, której zabrakło Niemcom, podyktowały Stalinowi ów zbawczy dla ówczesnej Rosji powrót do hasła narodowych, jakie najniespodziewaniej w świecie zastąpiły mit „światowej ojczyzny robotników i chłopów”. Znalazły się nawet swobody i fawory dla latami przydużonej do ziemi rosyjskiej cerkwi prawosławnej. A gdy jeszcze przyszły sukcesy militarne i nowa młodzież w szeregach, pojawił się też nowy entuzjazm. Tak więc, w drugiej fazie wojny, rzeczywiście stały naprzeciw siebie w śmiertelnych zmaganiach dwie ideowe (naturalnie każda na swój sposób) armie, z tym, że ideowość Niebieskich malała w miarę porażek, podczas gdy takąż cechą Czerwonych rosła w miarę zwycięstw. Ideowość zresztą, tak, wbrew opinii obu wodzów mniemał Roman a z nim pełen ironicznego, wisielczo wykpişzowskiego humoru okupacyjny ludek warszawski — bynajmniej nie była zaletą, lecz czymś w rodzaju bzika, a przy tym formą megalomańskiego braku pokory i natrętnego zaglądnania Panu Bogu w karty. Nigdy w dziejach ludzkości nie dokonano większych zbrodni niż w imię zbitek pojęciowo słownych, zwanych ideologiami, zbitek pieczołowicie zaokrąglanych i porządkowanych przez po profesorsku cywilnych, za nic nie odpowiadających filozofów. Duch krucjaty opanował wówczas Europę, albo raczej duch dwu krucjat — oto sedno obłądu tych czasów.

Pragmatyczni, zdolni jedynie do kwakersko-purytańskiego idealizmu Anglosasi długo nie byli w stanie pojąć tego nowego, choć starego zjawiska („nowe średniowiecze”), myśląc wciąż w prostocie ducha, że chodzi tu, jak w poprzednich wojnach, o szeroko pojęte interesy państwowo-narodowe. Gdy zrozumieli, było już za późno. Roman nie mógł zapomnieć rozmowy z pewnym amerykańskim pułkownikiem, który brał udział w inwazji na Europę, potem pierwszy wjechał do wyswobodzonego obozu koncentracyjnego, gdzie otoczył go tłum ludzkich szkieletów w pasiakach, wyjąc, klękając a także wskazując na górę niedopalonych, straszliwie wychudzonych, nagich zwłok ludzkich, oraz na zgłiszczną komory gazowej i krematorium. Dziarski i szlachetny młody oficer rodem z Nevady, z wykształcenia historyk sztuki, humanista, humanitarysta i tak dalej, trząsł się i dygotał na to niepojęte wspomnienie. — Nie do wiary, co zrobiła ze sobą dzisiaj stara Europa, kolebka kultury i humanizmu, pozostawiona samej sobie, swoim patriotyzmom i nacjonalizmom, swoim ideologiom i obłądom — powtarzał ów pełen dobrych chęci pragmatysta. Miał zresztą jakąś tam rację, choć formułował ją zbyt prosto. Roma-

nowi przypomniało to fragment młodzieńczego poematu polskiego wieszczki wieszczów (też przez większą część życia emigranta), Adama Mickiewicza, poematu dziwnie zatytułowanego „Kartofla” a poświęconego wyprawie Kolumba i sprowadzeniu przezzeń z Ameryki do Europy kartofli, czyli ziemniaków. W poemacie owym, pisanym w roku 1819 w Wilnie, a dziejącym się w roku odkrycia Ameryki (to ważne, ze względu na chronologiczne umiejscowienie spraw przyszłych), znajduje się zdumiewająco prorocza wizja, nie dostrzeżona przez nikogo — jak zwykle polskie proctwa. Roman umiał jej słowa na pamięć, w poemacie wypowiada je przejęty wieszczym duchem archanioł Rafael:

*„Wtem anioł Rafał stąpił na średnie lazury,
Trzykroć jaśniejącymi wymusknął się pióry:
Wielki wyrok — zawoła — mamy dać, Niebianie!
Nie dość zważać co było: zważmy, co się stanie:
Pięćset kręgów za słońcem nie wymierzy ziemia, —
Patrzcie, jaka noc gruba Europę zaciaenia!
Zewsząd płacz, narzekanie, jęk rozległ się głuchy,
Pałą się krwawe stopy, brząkają łańcuchy,
Spędzona groźnym trzaskiem samowładców bicza,
Rąbie się o ich krzywdę trzoda niewolnicza.
Patrzcie! Z dala wędrowiec ku tej przybił stronie,
Ze łzami przez nasute gruzem stąpa błonie;
Z pewnością mu rozwaga nie odgadnie pilna,
Kędy stały Paryże, Londyny i Wilna.
Wtenczas nad Światem Nowym swobod gwiazda błysnie,
Cnota się i nauka pod jej promyk ciśnie.
Mnisze więzy, despotów złamią się postrachy,
Złoty Kapitol wolne utkwi w niebie dachy,
Przed nim naród zdumionych ziemian na twarz padnie,
A lud Król berłem równym uległych zawładnie,
Do stóp swoich tyrany staroświeckie pognie
I z wolnej skry w Europie nowe wznieci ogień”.*

Piękne prorocstwo i, jak sądził Roman, proamerykańskie, („złoty Kapitol” to Waszyngton, boć chyba nie Kreml?!), tyle, że na razie spełniła się głównie jego część pesymistyczna — tak to zresztą bywa, zwłaszcza w Polsce — tym od dwustu lat rozdrożu i wygwizdowie narodów, gdzie najłatwiej zawsze było naśladować Kassandrę.

Ale wróćmy, tak jak często wracał myślą Roman Zaleski, do owego „oka cyklonu”, czyli do pierwszej zimy w okupacyjnej Warszawie, a raczej do maleńkiej, iluzorycznej, lecz jakoś trwa-

jącej oazy polskiego ciepła, którą, wśród powszechnej wokół grozy stanowiła owa Kuchnia Autorów. Ciepła, złączonego z bezradnością, a co za tym idzie — z potrzebą czynnej filantropii, ba — koniecznością pilnego uciekania się do niej. Bo, gdy w całej Warszawie zmuszeni do przedziwnych dla nich zajęć inteligencji nieszczęśliwi handlowi, szmuglowali, spekulowali, to ów praktyczny szaf nie ogarnął tylko pewnej grupki stołecznych obywateli: starszych bywalców Kuchni Autorów. Ci ludzie pozostawali zdani na łaskę i niełaskę tajemniczych (choć ostatecznie nie tak znów bardzo) źródeł zasobów i działań dobroczynnych: byli jawnym dowodem, że Niemcom udało się uderzyć w nich najsukuczniej, dzięki utrudnieniom życiowym uniemożliwić im prosperowanie umysłowe, do którego byli przeznaczeni, odizolować ich od społeczeństwa i sparaliżować życiodajną funkcję duchową, jaką w tym społeczeństwie winni spełniać. Tak by się wydawało — a jednak...

A jednak w Kuchni Autorów nie tylko zjadano głodowe porcje „drugiego”, oraz pożywne, coraz bardziej esencjonalne zupy, które niejednego z dawnych wirtuozów pióra przez pierwszą okupacyjną zimę wręcz utrzymały przy życiu. Nie tylko, bo owe zupy, a także wspólny rytuał ich konsumowania, umożliwiły właśnie wspomnianą zbawienną, parę godzin dziennie trwającą emigrację z otaczającego życia, zbawienną, bo ułatwiającą zachowanie resztek (*z czasem w miarę przywykania do okupacyjnej rzeczywistości resztki te regenerowały się i rozrastały*) duchowej niezależności. Tak więc, w paradoksalny sposób, dziadowska owa kuchnia, umieszczona w secesyjnym pomieszczeniu dawnego pretensjonalnego nieco klubu, stała się jakimś mikrokosmosem polskości, jej ekstraktem, zarodkiem, czy konserwą, taką jakąś Arką Noego, gdzie przechowywały się typowe osobniki rzadkich duchowo gatunków, pokpiwających z siebie nawzajem, lecz w głębi duszy kurczowo wierzących, że ta przypadkiem czy cudem zachowana odrobinka dawnej atmosfery wystarczy im do życia i przeżycia.

Idea Arki Noego, jakiegoś wyizolowanego ale za to dobrze oświetlonego miejsca, gdzie w symbolicznym skrócie spotykają się ze sobą reprezentanci różnych kręgów i warstw narodowego życia, miała w literaturze polskiej swoje tradycje — zwłaszcza w ojczyźnie rozebranej („Ani jej widzieć wieczorem ni z rana — bo rozebrana”), trójpodzielonej i skomplikowanej winkrustowanej między różne narody i terytoria, kiedy właściwie nie wiadomo było dobrze, gdzie jest w istocie, materialnie rzecz biorąc, owa Polska. „A to Polska właśnie” mówi, wskazując na serce, jedna z postaci „Wesela” — narodowego misterium scenicznego — gdzie przedwcześnie zmarły, gorączkowy, młodzień-

czy wieszcz, tytan pospiesznej, póki starczy życia, pracy, zebrał razem wszelkie postaci, symbolizujące narodowe bytowanie w czasie i przestrzeni: z okazji podkrakowskiego wesela miejskiego poety z chłopską dziewczyną, przez scenę defilują wszelkie stany, warstwy czy — jakby rzekli marksiści — klasy, a do tego rzecz cofa się w historyczną głębię, bo oto na owym przedziwnym Weselu pojawiają się zjawy, duchy, widma narodowej przeszłości i wszystko splata się wreszcie w jeden półsenny, pół koszmary powolny, choć opętany, taniec. Na podobną ideę wpadł niedaleki w czasie tamtemu warszawski prozaik (warto tylko pamiętać, że Kraków na początku stulecia był Austrią a Warszawa — Rosją), pisząc powieść „Ozimina”, historię jednej balowej nocy, gdzie, tym razem nie w wiejskiej chacie lecz w błyszczącym salonie, spotykają się symbolicznie wszyscy — wszyscy reprezentujący Polskę, polskość i jej wszelakie, zaszyfrowane dla egoistycznego świata a tak skłębione i bolesne tutaj — perypetie. Perypetie — łagodne słowo, lecz jakże w nim treść wieloraka: oczywiście dla rodaków, dla swoich, dla wtajemniczonych.

Tak więc, idea polskiego symbolicznego skrótu, idea ukazanej w pisarskim olśnieniu narodowej Arki Noego, nawiedzała nie rzadko wyobraźnię pisarzy tego kraju — po Drugiej Wojnie miał do tej wizji czy metody sięgnąć prozaik nowej już generacji; w książce swej „Popiół i diament” ewokował on też nienajgorszy polski sabat, rozgrywający się dla odmiany w Lublinie, mieście, gdzie w 44 roku ulokowały się pierwsze, tworzone przez przybyłych z Rosji komunistów, polskie władze, o których jedni myśleli tak, inni siak, lecz które bez względu na ową, dotyczącą ich sprawę różnorodność sądów, konstruowały skuteczny tygiel czarownic, w którym uwarzyć się miała — i uwarzyła — nowa, czerwona tym razem Polska. Po wielu latach ówże sam autor (podczas okupacji również bywalec warszawskiej Kuchni Autorów) przeszedłszy wiele piekieł i wiele kręgów rozsądku podszytego szaleństwem (tak to częstokroć bywa w dziwnym polskim komunizmie), rzucił w świat, omijając jakoś cudem sidła cenzury, nową mutację „Wesela” i „Ozimy” — własne, inne wesele (dosłownie, bo chodziło o głośne w Warszawie lat sześćdziesiątych zaślubiny pewnego znanego aktora, na które wynajęty został stary magnacki pałac niedaleko stolicy), a właściwie jego strzęp, fragment, „miazgę” nowego polskiego życia. Roman podziwiał tę rzecz, ale to już całkiem inna historia...

Jednak sprawa okupacyjna była tragicznie zabawną lecz we wspomnieniach rozrzewniającą materializacją owej uporczywej pisarskiej wizji czy metody. Bowiem w Kuchni Autorów spotkało się właśnie wszystko co arcy-polskie — nawet to co zapomniane

domości. Tak na przykład, pojawiać się tam zaczął siwy, widmo-
czy egzystujące na zatartych minionym czasem marginesach świa-
wo bladej obraz szlachcica, starca z wielkim psem przy nodze
— utrzymanie takiego psa to był w okupacyjnej Warszawie
problem trudniejszy niż utrzymanie człowieka. Okazała się rzecz
nie do wiary: był to poeta o sporym kiedyś nazwisku — jak
meteor przemknął przez życie literackie młodopolskiego Krakowa
lat temu blisko czterdzieści. Przemknął i zniknął — jego mało
obfita twórczość przeszła do podręczników historii literatury,
wiersze obrosły mchem i bluszczem swojego czasu, autor gdzieś
się zagubił, stracił, nikt nie pamiętał, że jeszcze żyje. I oto nagle
objawił się w okupacyjnym niedostatku i to w dodatku z psem,
z nieodłącznym, ogromnym psem, którego wszyscy pensjonariusze
Kuchni Autorów dokarmiali ukradkiem a solidarnie. To ci dopiero
historia!

Dziwolągów zresztą tam nie brakowało — dziwolągów syn-
tetycznych i symbolicznych, z których każdy reprezentował jakiś
płąt polskiego życia duchowego i przeszłości — bo wobec tego
co się stało wszystko już było tylko zamkniętą przeszłością. Owe
dziwne postacie, wmieszane, jak zjawy z „Wesela”, między pos-
policie codziennych bywalców lokalu demonstrowały jednak swą
normalność tym, że musiały jeść i to jeść na oczach ludzkich.
Jedli więc po społu: wielki satyryk, jadowity pamflecista, który
swym drwiącym gwizdem towarzyszył polskiemu życiu przez nie-
mało dziesiątków lat, obierając sobie za ulubiony cel szyderstwa
Żydów i semityzm, obok zaś młody, wyblakły żydowski intelekua-
lista, unikający na ogół ludzkich spojrzeń, niebezpiecznie przeni-
kliwych: nie było ich zresztą nazbyt wiele, gdzież bo Żyd-Polak
miał przetrwać, jeśli nie w owej narodowej jadłodajni, pół sto-
łowce a pół sanktuarium — nawet literat faszyzujący, który pod
koniec wojny miał odznaczyć się rzadką, a właściwie niebywałą
w Polsce, ideologiczną kolaboracją z hitleryzmem, nigdy, choćby
wygłaszając antysemityczne filipki, nie patrzył w stronę żydowskiego
kolegi — taki był kodeks tego miejsca, takie jego obyczaje (*zresztą Żydów przewinięto się tam więcej — jeśli w ogóle wiadomo „kto jest Żydem” — potem dopiero po wojnie, wyjaśniało się nieraz czyjeś incognito, tak czy owak powodów do zdziwienia czy zgoła zdumienia znacznie było więcej: pewien na przykład stały żelazny bywalec Kuchni, który nagle znikł jak owa przysłowiowa, nieznaną dziś ludziom kamfora, okazał się pułkownikiem polskiego podziemia, skoczkiem spadochronowym, łącznikiem z Zachodem, który zginął wraz z generalissimumem, „londyńskim” premierem, w słynnej, ponurej katastrofie lotniczej*). Jadła też w Kuchni dziwaczna, nieco kokieterijna, staroświecka, jakby opa-

lizującą naftaliną przesypana pani, z czasem okazała się ona autorką metapsychiczno-reinkarnacyjnych powieści, na których wychowywało się niegdyś całe pokolenie egzaltowanych polskich niewiast czy podlotków a także co inteligentniejszych pomocnic domowych. I młody, zadziorny poeta komunistycznej awangardy ze Lwowa (*nie bardzo jeszcze wtedy wiadano, że awangardyzm artystyczny i komunizm to dwa różne światy — nazwisko Żdanowa nawiedzać miało inteligencję polską dopiero po wojnie*). I stary majestatyczny dyrektor teatrów, wiekowy komediant z brodą, przywodzącą na myśl Boga Ojca. I wiele jeszcze innych przedziwnych a winkrustowanych z rozmyślną niedostrzegalnością w zszarzały tłumek zwykłych gości osób, na zasadzie cichej umowy wysiadujących przy stolikach dłużej, jeszcze trochę po godzinach pokarmu, aby powymieniać spojrzenia, szepty, zadumane półsłówka, dyskretnie sarkazmy. Głośno się tu raczej nie mówiło — chyba przy rzadkich (święta) okazjach alkoholowych. A więc jakieś inteligenckie misterium, nie tylko szopka — zresztą w Polsce przedstawienie szopkowe to na zasadzie ludowej, religijnej i wszelakiej tradycji — właśnie misterium. Wesoło i smutno naraz, parodia i powaga dziwnie spojone, tragedia i komedia sąsiadujące ze sobą...

I właśnie, bo od tego się rozpoczął cykl obecnych skojarzeń Romana, stałym, systematycznym i nieugiętym gościem Kuchni Autorów był krytyk R... W życiu jego zaszły teraz ogromne zmiany, ale czy na pewno zmiany na gorsze? Kto widział obdartego niemal, coraz gwałtowniej jakającego się starca, zawsze ze związanymi sznurkiem menażkami, a w zimie z workiem, do którego chował kradzione na ulicy kawałki węgla, dla nakarmienia nimi żelaznego piecyka z długą rurą w swym pustym sublokatorskim pokoju, ten musiał osądzić, że wielkiemu krytykowi powodzi się bardzo źle. On sam jednak mniemał o tej sprawie całkiem inaczej, najlepszym dowodem ukuty przezeń i puszczony między znajomych termin „czas darowany”. Bo oto krytyk R..., straciwszy spalone w pamiętnym wrześnie mieszkanie i opuszczony przez córki, które wyjechały za pracą gdzieś na prowincję, wolny od obowiązków, od pokus polemicznych, od lektury pism (*jako iż żadne poza tajnymi biuletynami nie wychodziły*), od wszelkich norm dotychczasowego życia, pozostał w swym mansardowym, odnajętym za pół darmo pokoiku — samotny, sam na sam z białą kartą papieru, nareszcie mogąc się zmierzyć z centralnym problemem i dramatem swego życia twórczego i życia w ogóle, spróbować uchwycić i utrwalić w słowach syntezę tego, co nurtowało jego umysł od najwcześniejszej młodości, potwierdzić jednym, koronującym i podsumowującym dziełem, że twórcze jego życie

było harmonijnie sklepioną kopułą, nie zaś, jak to wmawiali oszczercy, beładnym rumowiskiem wieżyczek i ułamków muru. Czas darowany i to w okresie, gdy nie było wokół ludzi szczęśliwych — to zaiste prezent nie byle jaki!

Czy krytyk R... czas ten wykorzystał czy, chory teraz na serce, na wątrobę, na żołądek, nie został obdarowany zbyt późno? Czy pozbawiony nagle wszelkiej opieki i samotny w swym fizycznym zniedołężnieniu, parający się węglem, zakupami, grzejący na swym piecyku i dźwigający z trudem wodę do mycia, nawiedzany różnymi cyklami bólów, które na długie godziny przykuwały go do żelaznego łóżka, był w stanie śledzić i utrwalić wewnętrzną pracę myśli, czy w ogóle kontynuacja tej pracy dokonywała się w nim, nagle jakby zatrzymanym, statycznie unieruchomionym, tak samo jak wówczas gdy zanurzony po uszy w wirze polemik, opędzający się oponentom i oszczercom, nie miał czasu jej się oddać, widując ją tylko z daleka, w krótkich chwilach skupienia i zamyslenia, jako utęskniony cel marzeń i dążeń? Różnie o tym mówiono; faktem jest, że pracował teraz dużo i skrycie: parę godzin pośrodku dnia spędzał w Kuchni Autorów, gdzie zaopatrywał się też w jedzenie na wieczór i rano, przedtem zaś i potem orał uparcie. Zapewne nie posiadał już biblioteki, notatek, zbiorów, latami gromadzonych zasobów „myśli w konserwie”, ostatecznie jednak nie wszystkie warszawskie księgozbiory spalone zostały we wrześniu 1939 — to miało się stać dopiero w pięć lat później, w czasie Powstania. Zarobkować zbytnio nie musiał — lekcje języków i płatny instruktaż gry w szachy wystarczyły w pełni na jego skromne potrzeby, z czasem z Londynu nadchodzić zaczęły zapomogi dla wybitnych pisarzy, a krytyk R... był przecież przed wojną członkiem Polskiej Akademii...

Mógł więc pisać i pisał, ale stopniowo, gdy podziemne życie kulturalne w Warszawie, na złość szalejącemu wokół precyzyjnemu niemieckiemu absurdowi (*absurd szalejący PRECYZYJNIE, to zaiste jedyny w swoim rodzaju wynalazek rodaków Hegla*), wzbogaciło się i ustabilizowało, krytyk R... jął się dobrowolnie udzielać wszystkim wokół, ba — rozpraszać po prostu. Wygłaszał, jękając się niemiłosiernie, w prywatnych, rzecz prosta, domach odczyty (sprawa ta była oficjalnie, nie z powodu jękania oczywiście, karana śmiercią, ale nic sobie z tego nie robił), zorganizował, jako sokratyczny nestor, klub młodych filozofów, a także konspiracyjny turniej szachowy — po prostu jakby zlekceważył „czas darowany”, jakby zateśknił za epoką, gdy nie mógł pracować.

Mimo to pisał — dzieło powstało. Tyle, że nigdy go nikt nie zobaczył. Prawo pechowej serii, prawo jego życia, podziało

i tutaj: w sierpniu 1944 dzielnica, gdzie całą wojnę zamieszkiwał krytyk R..., jedna z pierwszych znalazła się pod ogniem. Ranny w nogę filozof i, jak lubił mawiać, „klerk”, po zaciekłym oporze wyniesiony został z domu przez hitlerowskich Ukraińców i porzucony gdzieś na ulicy. W nocy próbował się jeszcze przyczoić do piwnicy swego domu, gdzie ukrył rękopis, lecz znów przyłapano go i odstawiono na plac „zbiorczy”, skąd, nieprzytomnego, wywieziono do podwarszawskiego szpitala, tam zaś, dalej nieprzytomny, zmarł po paru tygodniach. Rękopisami nikt się nie interesował, uznano to za starczą manię. Dopiero po wejściu Rosjan do zburzonej, opanowanej przez fetor spalonych trupów Warszawy, powróciły zabłąkane gdzieś córki krytyka R... Z dzieła, które pisał podczas okupacji i które miało odtworzyć wreszcie w zamkniętym materiale słownym tors jego koncepcji, ocalało zaledwie parę luźnych, unoszonych przez wiatr kartek. Odnalazł się za to w dużych fragmentach jego przez całe życie pisany pamiętnik, pełen autowiwisekcyjnych zwierzeń, dygresji i aforyzmów. Gdy, w kilkanaście lat później, po okresie stalinowskiej blokady mózgów, udało się wreszcie ów dziwaczny manuskrypt wydać (*oczywiście skreślono przedtem sporo zbyt jaskrawych nonkonformizmów i zbyt trujących narodowych wątpień*) okazało się, że, w głównej swej partii, traktował on o niemożności pisania ciągłego, był zbiorowiskiem wspaniałych lecz nieskoordynowanych, aforystycznych rzutów myśli w różnych kierunkach: składała się z nich całość, charakterystyczna i jakoś jednolita, lecz jednolita na pewno w inny sposób, niż to się całe życie marzyło krytykowi R... Pisać o niepisaniu, móc wyrazić niemożność — to na pewno było co innego, niż całożyciowy tego człowieka „sen o szpadzie”. Ale właśnie wyrazić niemożność wyrażenia, a może, mówiąc językiem dwadzieścia lat późniejszym, wyrazić w pełny sposób swoją niepełność czyli szmacianość, to właśnie była idea, nawiązująca do owej nieudanej (choć kto wie?) koncepcji „czasu darowanego”, czasu zatrzymanego na przekór wszystkiemu, co się dzieje wokół, zatrzymanemu po to, by, przez autodefinicję, zrehabilitować swe półistnienie: coś, co zostaje w pełni określone, nie jest już połowiczne. Roman uważał się poniekąd za ucznia krytyka R..., z którym stykał się podczas okupacji. I oto idea czasu darowanego, jeszcze pod wpływem lektury pewnej sławnej a w Polsce niemal nieznannej książki, nawiedziła go teraz z nieodpartą siłą. Uznał to za ostatnią w swoim życiu okazję autookreślenia, za ostatnią możliwość uchwycenia choć na chwilę siebie — samego siebie, tonącego nieuchronnie w ogromnym ogólnopolskim, statycznym choć zarazem skłębionym wirze płynnej szmacianości (jestestwa ludzkie, płynące bezwolnie w jednym tylko,

irracjonalnie lecz ostro naprzód rwącym strumieniu czy kanale nie przez nich tworzonej historii — w jednym z wielu, lecz akurat tym, zdeterminowanym beznadziejnie i na całe życie, więc też na całą wieczność — bo wieczność będzie projekcją życia — wybranym bez swej woli, czyli przydzielonym przez opatrność, dziwacznie, swoiście izolowanym kanale — cóż za niesłychana osobliwość, lecz i nieugięta, nieustępliwa realność zarazem) uznał więc to za jedyną możliwą jeszcze okazję zatrzymania życia, uzyskania czasu darowanego i — dania świadectwa wieloletniemu bytowaniu własnemu oraz otaczającemu, powszechnemu, okazję dla owego „wymierzenia sprawiedliwości widzialnemu światu”, jak to patetycznie nieco określił Conrad. Po to właśnie, aby celem szerszego spojrzenia zatrzymać życie, Roman przyjechał rok temu do C... Wtedy się nie udało, bo życie niespodzianie podeszło go inaczej, w swój stary, dawno wypróbowany sposób. Lecz oto jest tu po raz drugi, równo rok potem, w jakoś mało zimowym grudniu i C... jest takie same, jak zdążył je sobie utrwalić wtedy, z owym długim pomostem mola, opustoszałymi, szklanymi kawiarniami, z czerwonym kościołem, lesistymi górami i widoczną stąd lub stamtąd, ciemnofioletową czy jasnosiną taśmą morza, a właściwie zatoki, po której suną z daleka widmowe okręty, niczym biało spiętrzone szkielety. Tło jest to samo, czas jest niemal ten sam — szkoda tylko, że Roman się zmienił przez owe tegoroczne wydarzenia, przez co, choć nie zmienił się jego zamysł, zmieniły się jednak zapewne, niczym u krytyka R... w czasie okupacji, podmiotowe (jak mawiał tenże krytyk R...) możliwości realizacyjne. Spróbować jednak jeszcze można — i trzeba: to jedyne chyba co pozostało do zrobienia w tym pięknie rozpoczętym życiu.

III

Próba dania świadectwa własnej wieloletniej bezradności i przez to teź bezradności przewyciężenia, czyli ekspiacji za nią, przyszła Romanowi do głowy po, spóźnionej zresztą, lekturze pewnej sławnej powieści sławnego rosyjskiego (*a raczej, jak się teraz mówiło, radzieckiego*) poety, który napisał ową powieść pod koniec swego, mimo wszystko zmarnowanego życia, spędzonego o zmierzchu czyli w ostatnich jego latach przeważnie w domu literatów pod Moskwą — takie „domy literatów”, czy w ogóle artystów, zwane inaczej „domami pracy twórczej”, osobliwe zbio-

rowe pensjonaty o dość wysokim standardzie materialnym, mają w krajach socjalistycznych swoją tradycję — są niby symbolem doniosłej roli artysty w kolektywizmie, w istocie również dowodem pewnego socjalistycznego zakłopotania: no bo każda praca jest tutaj uspołeczniona czyli upaństwowiona, oraz odgórnie zaplanowana, a co zrobić z indywidualistycznym składaczem rymów lub dźwięków? Choćby sugestie wychodzące od kolektywu (*czytaj: od państwa, w gruncie zaś rzeczy od powołanych do pilnowania spraw ideologiczno-kulturalnych reprezentantów tego państwa, boć państwo nie jest tworem bezosobowym, bezosobowe są w nim tylko zorganizowane zbiorowiska specjalne, sprawujące funkcję zabezpieczającą egzekwującą, na przykład policja czy wojsko*), choćby więc te sugestie były nie wiedzieć jak precyzyjnie określone i obwarowane w sposób skutecznie fiskalny, to jednak składacz słów czy dźwięków musi wykonywać swą czynność samodzielnie, ba, samotniczo i jedynie wtedy, kiedy ma na to rzeczywistą ochotę, o czym decyduje już wyłącznie sam. Tę kłopotliwą nieco, a w każdym razie nie typową dla kolektywizmu sytuację po trochu zrekompensować mają przeróżne formy organizacyjno-obyczajowe, zbliżające twórców do siebie i jakoś tam niwelujące ich twórczą samotność: zrzeszenia, związki i właśnie takie domy zbiorowej pracy, czy zbiorowego wypoczynku, niewątpliwie zaś zbiorowego jedzenia (co do spania to sypia na ogół każdy sobie, jeśli nie liczyć takich czy owakich flirtów, dla których sytuacja bywała tam dość sprzyjająca, o czym Roman sam miał okazję się przekonać, nie gdzie indziej jak tu, w opuszczonym niemal podczas pierwszej połowy grudnia domu zrzeszeniowym w C... Było to, rzecz jasna, w tamtym grudniu, rok temu — teraz trwał inny grudzień, jedno okrążenie dalej, tyle, że podobny zewnątrznie do poprzedniego i objęty przez to jego refleksem: a więc chyba bogatszy, choć osamotnionemu i zawiedzionemu Romanowi wydawał się uboższy; zresztą, ze sprawą przeróżnych dobytków i zmienności, zamkniętych w psychice dwunogiego osobnika, rzecz się miała jak z owym bogactwem mieniających się morskich pejzaży lub raczej z ich odbiciem w rozfalowanej i rozedrganej wrażliwości chłonnego odbiorcy — zasoby to olbrzymie lecz ich obiektywna, potencjalna dynamika zgoła jest niewymierna i czekać trzeba dopiero na odkrycie praw, które, z pomocą zawiłych wzorów i równań ustalą współzależność tego co psychiczne i tego co fizyczne, tego co subiektywne i tego co obiektywne, tego co jednostkowe i tego co zbiorowe).

Owe domy pracy twórczej zdawały się w nikłym, lecz jednak wyraźnym odczuciu Romana wykazywać pewne podobieństwo z okupacyjną Kuchnią Autorów — instytucji tej zresztą nie miał

już widocznie nigdy zapomnieć, skojarzyła mu się ona raz na zawsze z kamiennym zapachem mrozu warszawskiej Nocy Narodowej (tak określił okupację znów nie kto inny, jak krytyk R...). Oczywiście, asocjacja z Kuchnią Autorów byłaby niesprawiedliwa: załóżnie się tam podtrzymywało życie, boleśnie i nieraz tragicznie, podczas gdy w niektórych dość zasobnych domach pracy twórczej bawiono się w Polsce wcale nie najgorzej. Podobieństwo tkwiło jednak w owym zbliżeniu do siebie czy wspólnym zakwaterowaniu pegazów, w zagęszczeniu tego, co normalnie bywa rozrzedzone. W pierwszym, okupacyjnym wypadku elementem cementującym okazał się głód i strach śmierci własnej lub zgoła narodowej, w drugim pragnienie dostatnio uregulowanego spokoju, zaimpregnowane racjonalizatorskim a prostodusznym przekonaniem kolektywizatorów, że pisarze mają sobie wzajemnie dużo do powiedzenia, co jest oczywiście absolutnym błędem, gdyż w zawodzie tym każdy unikać winien jak ognia rad czy uwag drugiego — czego rzecz prosta unifikacyjne umysły owych kolektywizatorów ani rusz nie są w stanie przyjąć. Tak czy owak, zarówno smutna Kuchnia Autorów jak i turystycznie czy wakacyjnie nieraz rubaszne Domy Literatów miały dla Romana Zaleskiego jedną wspólność: były symbolem czasów anormalnych, czasów kiedy, jak to sobie określał, działo się nie wiedzieć co, czyli rzeczy nie do pojęcia.

Rzeczy nie do pojęcia zaczęły się dziać w Polsce z dniem 1 września roku 1939 (w Czechosłowacji wcześniej, w Rosji grubo wcześniej, w Jugosławii później, na Węgrzech grubo później i tak dalej), najgorsze jednak, że o ile Zachód po wojnie powrócił jakoś do normy, to Wschód, a z nim Polska dalej w najlepsze kotłuje się i tarza w owych, pokojowych już obecnie rzeczach nie do pojęcia, ba, żywioł niepojętości rozlewa się i przyska niczym nielasowane, płynne wapno na coraz to nowe obszary kuli ziemskiej. Ustabilizowany w swym złudnym dosycie Zachód niewiele się tym przejmuje, może jedni Amerykanie, dzięki swej *cowboy*'sko dziecięcej psychice czują czasami niebezpieczeństwo i coś tam po „zwycięstwie” niezdarnie próbowali robić, zaczynając (czy symbolicznie?) od samobójstwa swego ministra wojny, co, porażony nagle objawioną apokaliptyczną wizją przyszłości, wyskoczył z piętnastego albo i jeszcze wyższego piętra. Lecz uporządkowany na pozór Zachód Europy, nie rozumiejący zasady naczyń połączonych, która mówi, że, jeśli gdzieś na świecie długo i bezkarnie dzieje się nie wiedzieć co, to, prędzej czy później, wszędzie na świecie może a nawet musi dziać się nie wiedzieć co, ten Zachód drogą za swą lekkomyślność zapłaci. Roman wiedział to na pewno i dlatego wyrozumiałą pobłażliwością kwitował zmotory-

zowaną, naiwnie junacką krzepkość życiową swych bratanków z Monachium: byli, nie wiedząc o tym, skazani, mieli przed sobą jeszcze tę smugę omraczającego wszystko cienia, którą on miał już poniekać za sobą. Zostaną zeszmaceni — ani się obejrzą.

Europa zachodnia, „kolebka cywilizacji” jak rzezimieszek obeszła się z przyznającymi się do niej i deklarującymi nieodwzajemnioną miłość krajami Wschodu: tymi między Bałtykiem a morzem Czarnym i Adriatyckim, między Dunajem a Dnieprem. Kongres Wiedeński rozdzielił je, i to jak się okazało, aż na okres całych stu lat pomiędzy żywioł germański i żywioł rosyjski, Kongres Wersalski za to ponadawał im wprawdzie niepodległość, lecz nie zadbał o zapewnienie ochrony, opieki, poparcia, równouprawnienia w „europejskości”, gdy więc na ciemniejącym horyzoncie tej strony świata pojawiły się złowrogie postacie Stalina i Hitlera, los młodszych, choć nieraz w istocie doświadczeniem starszych braci, był już wobec kunktatorstwa tamtych, zachodnich, politycznie sytych i zadowolonych z siebie — przypieczętowany. Padli więc, lecz wraz z nimi padła lekkomyślna Europa, nie rozumiejąca, że ci ze Wschodu są jej częścią i że ich wykrwawienie to jej własny upływ krwi, że bez nich jest tylko kadłubem. Całą ich winą było tylko to, że nie mieli siły politycznej i materialnej — lecz jeśli brak siły jest winą, to chrześcijańska i humanitarna zachodnia Europa przekona się kiedyś, jak bardzo jest winna. Roman czekał na to, nie współczuł im — tyle, że nie będzie dokąd jeździć na kapitalistyczne, uspokajające niczym długotrwały letarg urlopy.

Zachodniacy zresztą niewrażliwi byli na wszelkie ostrzeżenia, także i na to, którego udzielił im swoją książką ów rosyjski Poeta, spędzający życie w literackim domu pod Moskwą. Owszem, książka jego stała się *best-seller*'em, otrzymała najwyższą nagrodę pisarską świata, przerobiono ją na amerykański film czy na operę, ale w istocie nie o to przecież szło: nie była wcale wydarzeniem literackim, autor zresztą nigdy przedtem nie parał się prozą, była czymś całkiem innym, czymś zgoła niesłychanym. Ale, żeby to pojąć, trzeba samemu mieszkać na Wschodzie — może właśnie wśród brzoźowych lasów w podmoskiewskiej, oficjalnej, literackiej „daczy”.

Niedobrze i niespokojnie mieszkało się tam autorowi sławnej książki. Żył i żył osaczony długie lata, atakowano go za estetyzm, elitaryzm, oderwanie od narodu, trwał samotny, izolowany powszechnym lękiem otoczenia. W Rosji to nie były żarty, bo Moskale są pryncypialni — jedynie tylko w Polsce dało się określić okres stalinowski jako „dyktaturę złagodzoną przez bałagan”, w Kraju Rewolucji bałagan nie łagodził lecz zaostrzał. Przy czym naród

polski, obok braku pryncypialności sublimującego się zresztą częstokroć w przykry serwilizm i zanik cywilnej odwagi, ma jeszcze swoją inną broń rozkładającą: poczucie śmieszności, śmieszności, której stwierdzenie daje stwierdzającemu satysfakcję i poprawia samopoczucie; jest to, inaczej mówiąc, zmysł wisielczego choćby humoru. Drwina jako diagnoza wyjaśnia absurdalność czy utopizm danej sprawy bez długich filozoficznych korowodów i roztrząsań: jest na pewno metodą i postawą płytszą, lecz za to skuteczną, wprost i nieuchronnie wiodącą do celu — mało co się przed nią ostoi. Trafiają się jednak ludzie, którzy twierdzą, że ośmieszanie i wykpiwanie jest świadectwem prymitywizmu, do nich należał niestety krytyk R..., mało też humoru posiadał Poeta z podmoskiewskiej, izolowanej rezydencji, ofiara nagonki oczerniającej i bojkotującej.

A jednak on zwyciężył: w rezultacie, o dziwo, zwyciężył. Miał swoją sławę, terror go ominął, w więzieniu nawet jakoś nie siedział, przetrzymał Stalina i w końcu — dał światu swoje świadectwo o rewolucyjnej Rosji, ową powieść, co otrzymała najwyższą międzynarodową nagrodę, której mu zresztą przyjęć nie pozwolono. I w parę lat potem umarł, umarł zwyczajnie we własnym łóżku, jedyny radziecki twórca, którego książka obiegła świat, pozostając nieznaną — w Rosji. Przetrzymał i wygrał, jako że, o paradoksie czy o logiko, w kolektywizmie wygrać może tylko jednostka, nigdy grupa. Bo grupa to już polityka czyli rzecz niewybaczalna, a jednostka to tylko dziwactwo i upór. Oczywiście w najlepszym wypadku, jeśli jej się poszczęści, jeśli po drodze nie trafi do ciupy i nie zostanie zniszczona jak miliony innych.

Dziwactwo i upór naszego Poety to było nie byle co: szczytne dziwactwo, heroiczny upór. Niestety, istota, specyfika tego dziwactwa, jego nieprawdopodobna, samotna śmiałość umknęła świadomości Zachodu, choć ten książkę otrzymał — oceniłaby rzecz Rosja, lecz nie dane jej było przeczytać. Owa istota sprawy polega, mówiąc najkrócej, na tym, iż Poeta w swej jedynej powieści poważył się na gest dla kraju Rewolucji wręcz, powtórzmy, nieprawdopodobny: WZRUSZYŁ RAMIONAMI NA HISTORIĘ. Na historię, w której przez lat kilkadziesiąt tkwił zanurzony duszą i sercem.

Żeby ocenić tę niebywałą śmiałość, trzeba odczuć na własnej skórze, jak bardzo komunizm czy marksizm, zwyciężając w jakimś kraju (*co zresztą, rzecz ciekawa, jak dotąd w Europie było zawsze rezultatem niwelującej stare stosunki powszechnej wojny — rewolucja przychodziła dopiero jako wtórny rezultat owej wojny: w Rosji carskiej — wojny przegranej, w krajach Europy Środkowo-Wschodniej niecałe trzydzieści lat później, wojny wygranej*

przez Czerwoną Rosję; obłąkany Hitler był tu więc w jakiś sposób katalizatorem rewolucji — natomiast Polska w roku 1920 opóźniła całą rzecz o te właśnie dwadzieścia parę lat, za co zresztą Zachód, jak zwykle, wcale jej nie podziękował, uważając, że była to jakaś zwariowana, lokalna wschodnia wojenka, na którą wystarczyło wysłać paru oficerów — obserwatorów, wśród nich Weyganda i... młodego De Gaulle'a), jak zwyciężając zatem dzięki wytworzonemu na skutek wojny bezkrólewiu, czyli politycznej próżni, system komunistyczny rozpoczynał natychmiast szerzyć w opanowanych krajach KULT HISTORII. Historii pojętej idealistycznie, po heglowsku, czy licho wie po czyjemu, jako mechanizm logicznie i konsekwentnie, poprzez różne transformacje oraz wstrząsy, zdążający wzwyż do apogeum postępu, którym jest społeczeństwo bezklasowe a więc komunistyczne. Ogromna, rzecz prosta, rola w propagowaniu tej wizji logicznej i postępowej historii wyznaczona została pisarzom, literatom: ciekawy pomysł, na Zachodzie mało komu dotąd przychodziło do głowy, że literatura piękna ma być jako całość narzędziem jednolicie, jednokierunkowo wychowawczym, instrumentem lansowania czy wbijania do głowy jednej jedynej historyczno-politycznej wersji wydarzeń. W fanatycznie pryncypialnej, tragicznie skrwawionej rewolucyjnej Rosji natomiast przeosobliwa ta koncepcja opanowała umysły działaczy i pisarzy niczym ogień, bez trudu ogarniający złoża suchej słomy: stała się ideą powszechną i, jak tam się chętnie mawia, „płomienną”, obrosła w imponderabilia i przyzwyczajenia, ogłosiła się czymś tak oczywistym i niemożliwym do zakwestionowania, jak powietrze, kiedy się nim oddycha. Nawet pisarze, którzy w pierwszym, łagodniejszym jeszcze stadium rozwoju bądź co bądź zażenowanej na początku socjalizmu cenzury (młody kat też się żenuje) zdecydowali się, świadkami Szołochow i Tołstoj, opisać straszliwe okrucieństwa i gwałty zarówno rewolucji jak kontrrewolucji, w żadnym wypadku nie odważyliby się zakwestionować rozumności historii, zwłaszcza na tym rosyjskim jej etapie — ba, tego rodzaju świętokradczy pomysł w ogóle by im pewno nie przyszedł do głowy. Potem, rzecz prosta, przez długie lata, wielotysięczne falangi pisarzy-epigonów schematycznie, absolutnie słały nieugiętą logikę owej historii, nie uważając na przedziwne, niesamowite meandry czystek, egzekucji, na paradoksalne (co zwłaszcza ważne dla pisarza) przemiany słów oraz łask wyrosłego z rewolucji tyrana, łask z dnia na dzień przechodzących w niełaskę. Uznano, że stukilkudziesięciomilionowy lud tego kraju potrzebuje owej terapii, utwierdzającej go w mniemaniu, jakoby wszystko cokolwiek się w Rosji dzieje było logiczne, choćby nawet każde dziecko widziało królujący absurd, jakoby logika mogła

być chwilowo dla ludu niewidoczna, lecz mimo to nieugięta, wszechwładna i wszechobecna. W końcu i sam lud uznał, że ta konwencja literacka jest konieczna, ba — że jest nawet krzepiąca, bo ukazując idealnie logiczny obraz rzeczywistości, tak bardzo odbiegający od tego co się naprawdę dzieje, wskazuje cel dążeń, przez to zaś usprawiedliwia, tłumaczy egzystencję ogromnie i wyraziście daleką od logiki czy w ogóle zwykłego sensu. Staje się bowiem ta konwencja literacka niezbędną pociechą — tak jak wódka; jej pocieszycielstwo wynika właśnie z faktu, że ostentacyjnie nie przystając do konturów rzeczywistości, a będąc legalnie rozpowszechnianą, staje się jedynym możliwym tej rzeczywistości zaprzeczeniem: jedyną dopuszczoną opozycją (bo ucieczka to opozycja), sztuczną, co wynika z faktu że przynależy do sztuki. A czymże jest sztuka: czymś w samej swej istocie sztucznym, co widać też w pokrewieństwie słów jak choćby „art” — „artificial”.

Tymczasem, niespodziewanie, po latach terroru i zalegalizowanego, znormalizowanego strachu, kiedy to owa konwencja historycznej rozumności stała się jedyną pociechą, po latach, co ciekawsze, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, kiedy konwencja w końcu, dzięki absurdom Zachodu, zaczęła żyć nowym życiem, uzyskując prawdziwe czerwone rumieńce, kiedy wreszcie pierwsze lata rewolucji i wojen rewolucyjnych obrosły szacowną patyną zaokrąglonych, wyidealizowanych, pięknie podmalowanych wspomnień, których nikt nie sprawdza tak już są drogie i niezbędne — wtedy nagle stary człowiek spod Moskwy postanowił wrócić do samychże początków i dokonać ich rewizji: tak go widać męczyła szczytna obsesja nie wypełnionego obowiązku, nie wymierzania w swoim czasie pisarskiej sprawiedliwości dookolnemu światu, nie dopełnienia, kiedy było trzeba, trudu utrwalenia historycznej (tym razem naprawdę) wizji, owa obsesja wyrzutu sumienia, niczym u Lorda Jima, obsesja, która w cudowny jakiś sposób przetrwała wszelkie, przychodzące z wiekiem zrosty, skostnienia, ukrwienia mózgu, przezwyciężyła też najstraszliwsze moralnie prawo ludzkiego świata: prawo przyzwyczajania. I nagle dokonał się cud: stary człowiek spojrzął na dawne lata w sposób młodzieńczy, nie skażony ani przymusem ani nawykiem, ani kultem legendy ani obawą przed zdradzeniem ojczyzny, wcielonej tu w miliony ludzkich, duchowych przyzwyczajzeń, urobionych przez pilną wiekoletnią pracę sugestywnych hagiografów. Spojrzął i — wzruszył ramionami. Jak normalny, bezradny, bezwinny, pełen najlepszych chęci inteligent z tamtych czasów. Wzruszył ramionami, przez co, umęczony i bezwolny — odzyskał nagle cudownym, wizjonerskim sposobem, młodość, wolność, osąd i decyzję. Tak wiele — za

jednym zamachem. Choć ile go to kosztowało niewymiernego, kwantowego, ponad racjonalnego wysiłku szarej kory mózgowej — któż to wie? Co ważne jednak, odzyskał również, jak to w okupacyjnej Warszawie zamarzył był sobie krytyk R..., swój czas utracony, rekompensując go w owej dacy pod Moskwą pozorną beczynnością — czasem darowanym.

Wzruszyć ramionami nad historią czy jakimś jej fragmentem, zakwestionować sens lub celowość takiego a nie innego przebiegu wydarzeń, wyrazić własną niewiedzę, wątpliwości, bezradność? Oczywiście. Historia ludzkości czy poszczególnych narodów była absurdem przez długie wieki, motorem zaś masowych, tragicznych i gwałtownych wydarzeń stawały się niejednokrotnie idee zgoła szalone czy obłąkańcze, lub co najmniej w perspektywie późniejszych odkryć i doświadczeń, całkowicie błędne (*nie zaprzeczają temu wszakże i marksiści, uważający za taką błędną ideę religię — a wszakże impulsy i motywacje religijne stały u podstaw wielowiekowej historii europejskiego średniowiecza, decydując choćby o tak ważkim politycznym ewenemencie jak Wyprawy Krzyżowe*). Przekonanie o stałej rozumności historii jest mitem, utopią — z równym powodzeniem można by sądzić coś przeciwnego: że dziejami Rosji po I Wojnie Światowej za władnęły jakieś „biesy”. Ciekawa przy tym rzecz, iż autor słynnej, proroczej powieści „Biesy”, przedstawiając postaci swych anarcho-komunistycznych wywrotowców, nie sądził, aby mieli oni kiedykolwiek zapanować nad Rosją, przeciwnie, był zdania, że to zachód Europy stanie się socjalistyczny (*podobnie zresztą sądził brodaty filozof z Trewiru*), Rosja natomiast pozostanie carska, chłopska i Boża, aby wreszcie odrodzić świat, przekazując mu „nowe słowo”. Tak to człowiek strzela a Pan Bóg mu kule nosi, tak to zabawnie i paradoksalnie krzyżują się ludzkie jednostkowe koncepcje czy przewidywania z częstokroć przypadkowo irracjonalnymi skrętami historii.

Stary Poeta spod Moskwy rozumiał to wszystko w perspektywie lat (może właśnie dlatego musiał tak długo czekać i milczeć, aby uzyskać ową perspektywę, aby uzyskać pewność) rozumiał też tragiczną winę rosyjskiej inteligencji, która marzeniami swymi wyhodowała rewolucję, ani przypuszczając, że hoduje własną zgubę. Oto na przykład bohater książki, klasyczny inteligent, czytający po paru latach przedziwnego piekła nalepione na murze rewolucyjne proklamacje, teraz już proklamacje nowej absolutystycznej władzy: „... raz jeden w życiu wpadł w zachwyt nad bezwzględnością tego języka i jasnością myśli. Czy za tę chwilę nieprzezornego entuzjazmu musiał płacić słuchaniem przez całe życie zawsze tych samych, wściekłych krzyków i żądań, coraz bardziej

niezyciowych, niezrozumiałych i niespełnialnych? Czyżby tą chwilą zbytnej życzliwości zaprzedał się na całe życie?"

Kto wywołuje duchy (biesy to wszakże też duchy), ten musi się liczyć i spodziewać, że gdy naprawdę przyjdą, będzie na świecie arcystrasznie. Historia to nie harmonijna i pogodna gra rozumnej mozaiki elementów, lecz niezwykła loteria, materializacja zamierzeń, będące częstokroć niesamowitą, jakościową ich transformacją — i to już transformacją nie do cofnięcia. „Tak było już kilka razy w historii. To co w pomysle było idealne, podniosłe, stawało się grube w miarę realizacji. Tak Grecja stała się Rzymem, tak rosyjskie Oświecenie stało się Rewolucją. Weź na przykład słowa Błoka „My dzieci strasznych lat Rosji” i zaraz zobaczysz różnicę epok. Kiedy Błok to pisał, należało jego słowa rozumieć przenośnie, figuralnie. Dzieci nie były dziećmi, ale potomkami duchowymi, inteligencją, strachy zaś nie były straszne, lecz wieszczce, apokaliptyczne, a to są różne rzeczy. To co było wówczas przenośnią należy dziś rozumieć dosłownie; dzieci są dzieci, strachy są straszne. Na tym polega różnica”.

Rosja, dziwna Rosja, to kraj w Europie jakże „nie typowy”: car, bojarzy, dworska kamaryla, potem arystokracja, ziemiaństwo, urzędnicza szlachta, z drugiej strony niezliczone mrowie ludu, biednego i ciemnego. A pośrodku? W tym właśnie rzecz, że nic pośrodku: nie powstało tu silne, krzepiąco prozaiczne mieszczaństwo, demokracja liberalna, burżuazja — tylko właśnie owa niezwykła, rewolucyjno-marzycielska inteligencja, apelująca — w osobliwy sposób przetwarzając socjologię dalekiego Marksa — do nielicznej tu klasy robotniczej. Robotnik, rzekomy budowniczy nowożytnej historii, stał się więc oto, wobec rozkładu biurokracji i armii, narzędziem uzyskania władzy dla kadrowej grupki inteligenckich zawodowych rewolucjonistów, jak to określił Trocki, wspartej żarliwymi westchnieniami równie inteligenckich marzycieli-kibiców, zaś szeroką konkretną siłę napędową stanowili chłopci, których zwiedziono nadaniem ziemi, aby ją oczywiście potem odebrać. Wszystko od góry do dołu, od cara do „muzyka”, nienormalne, niesocjologiczne, niematerialne, ba — widmowe zgoła — więc i rezultaty podobne, szalone. „Była to choroba wieku, rewolucyjny szal epoki. W myśli wszyscy byli czymś innym niż w słowach i uczynkach. Nikt nie miał z tego powodu czystego sumienia. Każdy mógł się uważać za winnego, za tajnego przestępcę, niezdemaskowanego oszusta. Z byle powodu wpadano w szal samobiczowania się. Ludzie fantazjowali, oskarżali się nie tylko ze strachu, ale z własnej woli, pod wpływem chorobliwego popędu, w stanie metafizycznego transu, z niepohamowanej pasji do sądzenia samych siebie”.

Tak więc, poprzez dziwaczne i straszliwe meandry owej inteligentko nędzarskiej rewolucji ciągnął stary Poeta w domu literatów pod Moskwą swoją epopeję bezradności. Dzieło było nierówne, rozpoczęła się samą, nieskomentowaną lecz odmalowywaną historią — może Poeta łudził się, iż uda mu się omamić cenzurę i wydać rzecz w ojczyźnie, w niezmierzonej matuszce Rosji, dla własnego, najbardziej zainteresowanego czytelnika. Dopiero ostatnia partia książki zrywa ze złudzeniami i niedopowiedzeniami: wstrząsająca bezradność człowieka, steranego historią, nie przeszkadza mu w dokonaniu gestu najważniejszego — właśnie owego wzruszenia ramionami nad tejże historii bezrozumnym paroksyzmem. Wzruszenie ramionami jest też świadectwem, pełnym swoistej godności, a jakże odmiennym od setek tysięcy innych świadectw, które ukształtowała w Rosji wszechmocna, urabiająca dusze, umysły i usposobienia — konwencja. Jedno jedyne świadectwo nie konwencjonalne, jeden jedyny niewierny Tomasz, jedna mała kropla, rzucająca się samotnie pod prąd olbrzymiej rzeki. A przecież Poeta wygrał, choć książki jego nie przeczytała Rosja i nie zrozumiał Zachód. Wygrał, bo umarł u siebie w kraju, bo umarł w łóżku, nieugięty, wolny — wzruszając na historię ramionami. Gest to nietylko na wagę złota, co na wagę zbawienia duszy — pisarskiej duszy.

Roman też chciał zbawić swą duszę. Miał już dosyć, zupełnie dosyć, był dożywno przemęczony i zgnębiony brakiem nadziei, gdy oto nagle wpadła mu w rękę niedostępna w Polsce książka starego Poety i — doznał olśnienia. To była wszakże realizacja zamysłów krytyka R..., który postanowił wykorzystać przymusową bezczynność jako czas darowany i dokonać wreszcie autodefinicji, czyli autorehabilitacji, usprawiedliwiającej własną, domniemaną improduktywność. Takiej właśnie rehabilitacji potrzebował i Roman: rehabilitacji za bezwolne branie udziału, za mówienie a raczej pisanie półprawd, pół myśli, pół obrazów — pisał wszakże, samorzutnie już dostosowując się do wymagań cenzury (*która zresztą, będąc bojaźliwie zmienna i podejrzliwie chimeryczna, nigdy nie zadawałniała się złożonym jej dobrowolnie haraczem, lecz zawsze, dla pozorów choćby, wypaczała jakąś precyzyjniejszą myśl, czy skreślała co celniejsze sformułowanie, nie troszcząc się o powstające w ten sposób ostentacyjne luki myślowe, zresztą luk tych nikt prawie nie dostrzegał, bo ze słowa drukowanego wszyscy się teraz w duchu śmieli, choć mówili o nim jak najpoważniej*), pisał z taktyczną obłudą i chytryością, wkładając w to dużo absurdałnego w istocie wysiłku, szlifując subtelnie sformułowania, aby w czymkolwiek, w rytmie czy melodii słowa, różniły się one choć odrobinę od przyjmowanej wokół konwencji.

I pod tym względem znalazł swój odpowiednik w książce samotnego poety spod Moskwy, którego bohater, postarzały i zrezygnowany, pisuje, aby żyć, popularne szkice, traktujące o różnych tematach, oczywiście jak najbardziej neutralnych i oderwanych od wszelkiej politycznej aktualności: „Szkice te pisane były przystępnie, najprostszym językiem, odbiegały jednak od zadań, jakie stawiają sobie popularyzatorzy, zawierały bowiem poglądy sporne, przypuszczenia dowolne, niesprawdzone, lecz zawsze żywe i oryginalne. Były cenione przez amatorów i sprzedawały się łatwo”.

Łatwo — otóż to. Romanowi żyło się właściwie dość łatwo, na pewno łatwiej, niż większości ludzi wokół, w zburzonej i przez szereg lat próbującej żyć na nowo Warszawie (zanim się jej to wreszcie — rzecz imponująca a mało zrozumiała — udało). Początkowo swoją przewagę przypisywał zachowaniu przedwojennego mieszkania, tego, w którym żyli i zmarli jego rodzice. W samym śródeczku Warszawy, Koszykowa przy Marszałkowskiej, rzecz wydawałaby się niemożliwa a jednak stała się ciałem: pośród pustyni wypalonych murów-szkieletów, murów-kikutów, murów-widm, ocalał oto jeden, udekorowany gruzem i rozbitym szkłem, lecz w istocie swej, tak w substancji kanałowo-instalacyjnej jak i w formie ścian, podłóg i wszelakich konstrukcji, zgoła nietknięty, dom z innego świata, dom starowarszawski, pięcioletni, o dwóch bramach i podłużnym, ciemnym, zawsze piwnicznie chłodnym, jak górską pieczarą podwórzu. Gdy Roman, w parę dni po wyzwoleniu (*termin ten przyjęto powszechnie, bo cóż, innego nie było, a poza tym w istocie wyzwolono wszakże Warszawę od Niemców, którzy przez pięć lat swego panowania dali niezrównany pokaz bezmyślnego, choć tak precyzyjnie zorganizowanego terroru — wobec stworzonego przez nich obłądnego strachu bez wyjścia, improwizowany komunizm, zwany na razie „łagodną rewolucją”* wydawał się czymś w rodzaju naiwnej pajęczyny, przez której oczka bardzo się łatwo będzie przemknąć co przemyślniejszemu owadowi), więc Roman wróciwszy z popowstaniowej podwarszawskiej, tragikomicznej tułaczki, ujrzawszy na podwórzu ceglasto kamieniste gruzowisko, sięgające pierwszego piętra, pewien był, że domu, tak jak i innych domów w tej dzielnicy, zgoła już nie ma. Stał więc w poszczerbionej kamiennej bramie z lekko ściśniętym sercem lecz i z osobliwą ulgą, że jest jakoś wolny od wszystkiego i ma rzecz, jak to później mówiono w Warszawie „z głowy” (*mowa warszawska posiada swoje ewolucyjne nawarstwienia, nakładające się na siebie, jak złoża łupkowo wapienne, nie co dziesięć wieków lecz mnie więcej co dziesięć lat: wyrażenie „mieć coś z głowy” urodziło się chyba właśnie w dziesięć lat później, już w Warszawie na nowo skryształizowanej, ko-*

munistycznej, z olbrzymim, królującym nad miastem niczym Jasna Góra pompatycznie gigantycznym, radzieckim „w formie” drapaczem chmur pośrodku), potem dopiero, wpatrując się bystrzej, dostrzegł, że przez stromo napiętrzony gruz wiedzy wydeptana górską ścieżką do drugiej bramy, gdzie była właśnie ich klatka schodowa. Na przekór trudnemu dojściu, kamienne „mieszczkańskie” schody okazały się nietknięte, tyle, że nieco wyszczerbione i zasypane mieszaniną tynku ze szkłem; cało nawet wyszły secesyjne posągi, stojące w niszach na każdym piętrze i trzymające, zbitą teraz oczywiście, żarówkę. Po oszczyszczeniu owych schodów, po ustąpieniu smrodu trupiej zgnilizny, powrócił tutaj jakimś cudem starowarszawski zapach: mieszanina stęchlizny, kocich odchodów i osobliwej, niby anyżowej wody kolońskiej — zresztą dawny, nieuchwytny lecz realny koloryt (synteza zapachu, światłocieni i przestrzenno-okiennych układów, organizujących całość kształt nastroju) powrócił również do mieszkań, przestronnych, ciemnawych, z dużymi przedpokojami i łazienkami, z wysoko sklepiionymi, popękanyymi teraz i w dziwne mapy porysowanymi sufity — wysokość nie przeszkadzała zresztą zielonawemu pół czy ćwierć mrokowi, wywołanemu przez bliskość rzucającej stały cień frontowej oficyny. Były też jeszcze strome, kręte, cuchnące całą gamą woni schody kuchenne — wszystko niczym w dawnych, burżuazyjnych, jak obecnie mówiono, czasach. Mieszkać dziś w starym mieszkaniu, to przecież w lewobrzeżnej Warszawie cud i przywilej — w wiele lat potem dopiero, gdy zaczęto budować przeszklone bloki nowoczesnych klitek, małych i standartowych, ale zaopatrzonych w elektrociepłownicze komforty (stało się to oczywiście po przeminieciu epoki stalinowskiej neosecesji — też w perspektywie czasu potrzebnej, bo jakżeby wyglądała historyczna stolica zupełnie bez secesji), przedwojenne mieszkania jęły chromać, wykazując swą przestarzałą niedogodność. Ale tuż po wojnie zachowanie namiastek dawnego życia, zachowanie wspomnień, było w Syrenim Grodzie luksusem — co innego taki Kraków: ten pozostał jedną wielką pamiątką i chował głowę we wspomnieniach, jak przysłowiowy struś w piasku.

Wszelako mieszkanie nie okazało się głównym elementem przewagi Romana nad otoczeniem, owej sytuacji, w której żyło mu się łatwiej niż innym inteligenckim współpetentom czy współaspiratorom do normalności (*choć właściwie cóż to jest normalność: pojęcie dowolnie umowne, związane z pewnym czasem i pewną grupą ludzką; nienormalność, która zaczęła w Polsce swe rządy od września 1939, aby po wojnie, przekształcona, trwać dalej, objawiła się na przykład niektórym, maniacko do dawnego typu normalności przywiązanym obywatelom tym, że pensja mie-*

sięczna przestała wystarczać na miesięczne utrzymanie, lecz zaspokajała potrzeby powiedzmy na tydzień; mimo to zarówno podczas okupacji jak i po wojnie ludzie w Warszawie prokurowali sobie pieniądze aby żyć, i to nieźle, cały miesiąc; takim więc czy owakim sposobem tworzyli własną namiastkę normalności, sztuczną normalność — choć któż wie, co naprawdę jest sztuczne a co naturalne). Główny element pozornej łatwości życia Romana stanowiło to, że był literatem, że pisał — w prasie, dla filmu, recenzje, książeczki — takich właśnie literatów, wszytkorobów bez bliższej, specyfikującej definicji, bardzo teraz potrzebowano. Roman nigdy nie zapomniał proroczych słów pewnego sowieckiego oficera, wypowiedzianych w lesistej, przewianej zapachem sosnowych szyszek, mokrych grzybów i zmieszanego teraz ze śniegiem piasku podwarszawskiej miejscowości lotniskowej, która to miejscowość (jak przedtem owa miła sercu choć smutna — zawsze to, co arcy-polskie jest smutne — Kuchnia Autorów), wobec wypędzenia wszystkich ludzi z Warszawy awansowała do rangi nowego inteligentckiego centrum. Roman poszedł do willi szkolnego kolegi, dowiedziawszy się, że kwaterują tam „sowieciarze”: chciał po raz pierwszy zobaczyć wyswobodzicieli i także, najpewniej, nowych władców. Dwaj młodzi oficerowie, chętnie pijący wódkę, a również śpiewający piosenki, mówiący przy tym po trochu posiekaną, niechęcący archaizowaną polszczyzną, byli bardzo sympatyczni, nawet wylewni i braterscy. Za tą wylewnością jednak czała się jakaś nieuchwytna rezerwa: odnosiło się wrażenie, że wiedzą coś, o czym nie chcą czy nie mogą mówić, uważając zresztą owo mówienie za zbędne, bo rozmówca sam prędzej czy później na pewno się o wszystkim dowie. Ten domyślny kodeks rozmowy został złamany przez jednego z gości, który uderzony natrętnie dociekliwymi pytaniami Romana na temat przyszłości, spytał go nagle, kim jest z zawodu, a usłyszawszy enigmatyczne określenie „literat” rozpromienił się w szerokim uśmiechu. — A, to wam będzie bardzo dobrze — powiedział — u nas literaci mają dobrze. To był pewno odbłask łakomej legendy o życiu w owych Domach Autorów — w Polsce zresztą miało się to później rozwinąć zgoła inaczej, a z czasem nawet doprowadzić do warszawskiej świętej wojny: partia — literaci. No cóż — Polska nie Rosja, to dobrze i źle zarazem.

Chwilowo jednakże wszystko się zgadzało, Romanowi szło zupełnie dobrze. Wybaczone mu nawet, a raczej przymknięto oczy, że działał z bronią w ręku (i nie tylko z bronią — o tym zresztą mało wiedziano) w Armii Podziemnej — od razu się bowiem okazało, jak dwojako można było walczyć z Hitlerem: prawidłowo i nieprawidłowo. Absurd ten zresztą po latach naprawiono,

tym co za nieprawidłową walkę otrzymali długoletnie więzienie — wypłacono odszkodowania, tym natomiast co zainkasowali karę śmierci — nic już nie dano, najwyżej rodzinom i to po cichu. Potem znów kiedyś zaczęto o tych nieszczęśnikach głośno mówić, później znowu ucichło, w dodatku za każdym razem zupełnie nie wiadomo dlaczego — jak to w komunizmie. Komunizm zazwyczaj odwołuje swe absurdy czy przestępstwa („*błądy i wypaczenia*”) grubo po fakcie, gdy rzecz nie ma już konkretnego znaczenia. Oczywiście, w Polsce było to wszystko rozwodnione i dodatkowo spaczone psychologiczną specyfiką tego społeczeństwa: każdy konformizm jest tu trochę zafałszowany, nie całkiem szczery, bo ludzie rozbijają wszystko śmiechem, a także rozkładają chytrym podwójnym myśleniem. Stąd też to co w Rosji realne i pełne grozy, jak Wielkie Czystki za Jagody, Jeżowa czy Berii u nas okazywało się sztucznym naśladownictwem, gdy zaś już popełniono zbrodnię, to całkiem bez celu, sensu, rezultatu („... to gorzej niż zbrodnia, to błąd”). I tak, między innymi, po kryjomu rozstrzelano siedemnastu wyższych oficerów, którzy po wojnie przyjechali z Anglii, aby służyć nowej Polsce. Jawnie natomiast zrobiono proces tego, co ich do Polski sprowadził, ministra wojny, jednego z głównych, wybitnych (podobno) komunistów, którego aresztowano i storturowano (*w latach zresztą po śmierci Stalina, wyszedłszy z więzienia, doszedł on znów do najwyższych stanowisk w państwie — analogiczna zresztą huśtawka odbyła się w sąsiednich, zsocjalizowanych przez Rosję krajach; tyle, że one nigdy przed tym nie zaznały bratniej słowiańskiej niewoli wchodząc za to sto lat w skład CK Austro-Węgier, a przed tym bawiąc się z Turkami i inną zaborczą plagą*). Zrobiono też publiczny, dziwaczny proces kilku generałom z Armii Podziemnej, którzy, pełni mniemanego realizmu oraz najlepszych patriotycznych chęci zgłosili się do komunistów jeszcze podczas wojny. Podesądni przyznawali się wprawdzie do różnych nie popełnionych zbrodni, ale robili to wahająco, z omówieniami i pogłębiającymi motywację psychologicznymi wywodami, bez cechującego procesy w Moskwie zapału i jednoznacznej prostoty. Wiadomo — Polacy naród mało pryncypialny, więc cała rzecz nosiła cechy wtórności, naśladownictwa, odbłasku, nie autentyczności. W rezultacie ludzie się bali, ale sporo się też śmiano, co w Moskwie by się nie zdarzyło. Przy tym świeżo przeżyte bestialstwa niemieckie zatarły wiele, przytępiając wrażliwość — Polska wszystko otrzymuje „po sezonie”, mdłe i wystygłe — nawet ideologiczne okrucieństwa tudzież sławne pranie mózgow. W dodatku sami wykonawcy byli niezbyt pewni siebie, bali się na parę frontów: Stalina, społeczeństwa, własnej partii. Znajdo-

wało się też wśród nich sporo przybyłych z Rosji ludzi pochodzenia żydowskiego; ci bali się podwójnie, żyjąc podskórnym strachem, że może przyjść to, co już nieraz przychodziło, i co rzeczywiście po latach przyszło, tyle że w innych czasach i w innej sytuacji; Żydów owych ukarano w parę etapów później, gdy zliberalnieli, a więc nie za terror lecz za rozmiękczenie, nie za stalinowską Rosję lecz za Amerykę czy Izrael; wszystko, jak zawsze w Polsce, personalnie zawikłane i mylące, mało pryncypiów, dużo taktyki i niezrozumiałej dla postronnego widza (*a takich widzów żyło w kraju wiele milionów*) walki o władzę.

Ale polski stalinizm to była już teraz historia, starzyzna sprzed dwudziestu lat. Roman wspominał ten okres, tak jak robiło to wielu ludzi z jego pokolenia, głównie pod kątem osobistego urządzania się i powtórnego wrastania w życie, niczym drugą młodość. Wyszedł z konspiracji, do beznadziejnych walk politycznych, prowadzonych przez broniących się i żywiących jeszcze złudzenia dawnych (*bo z dawnego świata*) przyjaciół nie wtrącał się, do partii, rzecz prosta, nawet w celach „wallenrodycznych” też nie wstąpił. Wziął się do neutralnego politycznie pisania (było wszakże o czym pisać: okupacja, wojna, odradzanie się Warszawy) i — o dziwo — miał sukcesy, miał nawet satysfakcję, choć nigdy jej nie przeceniał, wiedząc, że z czasem trzeba będzie zapłacić.

Na razie nikt o zapłacie nie wspominał. Pozwolono wprowadzić wyzywać się tylko częściowo, ale wydawało się, że mnóstwo tu się znajdzie okazji do subtelności, dwuznaczności, aluzji, że na tej ograniczonej tematycznie przestrzeni można będzie, za pomocą zmiany intonacji, napięcia, barwy głosu, powiedzieć wszystko, co się zamierzy. Zgubne złudzenia: wciągnęły już niedjednego, aby go potem przekreślić i to na zawsze. Z okna można wychylać się do pewnej granicy, ale za daleko można wychylić się jedynie raz. Tylko że Polacy, położeni między zdziennym Zachodem a oszalałym Wschodem, mają już instynktowny lęk przestrzeni, toteż długi czas nikt się nie wychylał, licząc, że jakoś się i tak uda — w ten sposób, z góry zgadując życzenia cenzury, całe pokolenie pisarzy skarłało i, kiedy przyszła po latach faza jawnego buntu, nie mieli już społecznego autorytetu, w dodatku społeczeństwo tymczasem się zmieniło, nadeszły nowe generacje, dla których właśnie to co istnieje było normą (Roman miał się o tym dotkliwie przekonać nie gdzie indziej, jak tutaj, w C...), komuniści bowiem znają doskonale jedno prawo — prawo zapominania i przemijania: w swoim niewyrażanym nigdy głośno pesymizmie wiedzą doskonale, że nikogo z ludzi pamiętających przeszłość nie przekonają, należy więc ich tylko zmusić do mil-

czenia i — czekać na nowe, nieświadome historii zastępy młodzieży, dla których nienormalność będzie już właśnie normą. Dla starszych zaś, stworzyć trzeba neutralną na pozór konwencję, słowną konwencję, jak w Rosji. Pisarz, publicysta, dziennikarz nie będzie już wyrażał siebie, lecz będzie wypełniał właśnie ową ograniczającą i porządkującą konwencję. Wypełnianie tej konwencji może się nawet z czasem stać czynnością zgoła przyjemną, satysfakcjonującą, bezinteresowną, jak gra w szachy czy mah-jonga, grający zaś uważa, że wszystko jest w porządku, bo skoro wszyscy grają, to nikt nie może mieć pretensji akurat do jednego jedyne go gracza — w ten sposób nawet pisarze dawnej prawicy (*pojęcie to zresztą, wobec zmienionych warunków społecznych, straciło obecnie wszelkie znaczenie*), z pogodą ducha jeli się powszechnie nobilitowanego trudu wypełniania komunistycznej konwencji interpretacyjno-terminologicznej, pomijającej jedne fakty historyczne a w sposób zaaprobowany i uświęcony oświetlającej inne. I oto natura i osobowość określonego człowieka w sposób organiczny bezboleśnie ulegała zmianie: na emigracji mówiono, że to jakieś pranie mózgow, wyrafinowany szantaż, terror, przymus, gdy w istocie kryła się tu konsekwencja bardzo prostej alternatywy, wynikłej z faktu, iż w ustroju kolektywistycznym wszelkie możliwości działania jednostki zależą od państwa: możecie pisać tak jak my chcemy, albo milczeć. Milczenie w tym wypadku równało się niebytowi, który to stan, w przeciwieństwie do czasów okupacji, nie posiadał obecnie w niczyich oczach żadnego nimbu, tak to sprytnie zostało urządzone — choć właściwie nie wiadomo, kto był tym reżyserującym wszystko spryciarzem, bo każda rozmowa z kimś wyżej postawionym wzbudzić musiała przekonanie, że na samym szczycie rozsiedli się przeważnie ludzie prymitywni, formułujący swe życzenia w sposób prostacki i bezceremonialny. Dopiero o parę szczebli niżej znajdowali się inteligenci — wykonawcy, którzy otrzymawszy transmisję z góry, lub też wyczuwszy jakimś siódmym węchem intencje owej góry, we własnym już zakresie troszczyli się, aby życzeniom zwierzchników nadać formę godną intelektualizmu, odpowiednio wyrafinowaną i atrakcyjnie sformułowaną. Niektórzy z nich kierowali się przy tym podświadomym, rozgrzeszającym przekonaniem, że nonsens który trwa nie może być nonsensem, bo to byłoby zbyt proste, a świat jest przecież złożony (znowu utajone dziedzictwo heglizmu). W ten więc sposób sprawdzała się warszawska anegdotka, opisująca, jak to Stalin, Hitler i Mussolini założyli się, który z nich zmusi kota do jedzenia musztardy. Wygrał Stalin, bo podczas gdy tamci terroryzowali kota pogroźkami i biciem, chytry Gruzin po prostu posmarował mu musztardą podogonie, wobec czego niewinne

zwierzę we własnym dobrze pojętym interesie jęło ową musztardę wylizywać. Rewelacyjnie proste a jakże skuteczne.

Roman Zaleski, człowiek bezpartyjny, też oczywiście nie miał pojęcia, kto to wszystko wymyśla i robi, gdzie są ci filozofowie, bo jakoś na partyjnej, widzialnej gołym okiem górze intelektualistów, jak się rzekło, nie dotrzymał (*„Komunizm to pierwsze w historii absolutystyczne rządy filozofów”* — powiedział pewien sławny krakowski profesor). A może owymi filozofami stawali się oni sami, podwładni, zwłaszcza inteligenci, literaci, którzy w taki wyrafinowany, dialektyczny sposób chcieli uzasadnić zawstydzającą oczywistość przymusu, jakiemu ulegali? (*znowu kot i musztarda?*). Można by odnieść takie wrażenie, wysłuchując na przeróżnych zebraniach wielu znakomitych przemówień partyjnych kolegów, którzy z ogniem i swadą usprawiedliwiali każdą zmianę kierunku na przeciwny i z olbrzymim przekonaniem (*w gruncie rzeczy wcale nie tak nieszczerze, bo z prawdziwą egzaltacją*) mówili rzeczy odwrotne do wczorajszych, formułując mądrze i zawile to, co im nakazano prymitywnie (*morfologia polskiej rewolucji była więc paradoksalna: u góry tkwili owi ludzie prości, choć nieraz taktycznie perfidni, wykształceni tylko na marksistowskim brewiarzu, poniżej ludzie wykarmieni, jak to w dziwnej Polsce bywa, samą wydestylowaną śmietanką kultury światowej, a jeszcze niżej, u szerokiej podstawy społecznego stożka, wegetowali duchowo ludzie naprawdę zwyczajni i bezradni, którzy chcieli żyć, zaś tamtych wszystkich mieli za nic, cierpiąc ich jednak z musu*). Długie lata trwała więc owa jedyna w swoim rodzaju komedia zmienności i kamuflażu. Wyborni intelektualiści trudzili się bezinteresownie a w pocie czoła (*ściśle interesownych nie było znów tak wielu*), aby udowodnić i przekonać, że to, co wczoraj nazywało się czarnym, dziś, w ogólnonarodowym interesie zwać należy białym: wymaga tego patriotyzm, zagrożony przez niecne zamiary imperialistów. Raz uroczyście nadawano chłopom ziemię na nowych i starych obszarach, drugi raz nadanie owo uroczyście lub po cichu cofano. Raz niszczone rzemieślników jako niecną burżuazyjną „prywatną inicjatywę”, doprowadzając do wyludnienia całych zatrudnionych w rzemiośle miasteczek, po czym nagle rzucano hasło popierania i hołubienia rzemiosła, jako niezbędnych i chwalebnych „usług dla ludności”. Raz „piętnowano” i „demaskowano” to, raz coś przeciwnego, raz była odwilż, raz przymrozek, raz wymyślano na antysemitów, drugi raz na Żydów, raz na nacjonalizm drugi raz na kosmopolityzm, raz na drobnomieszczan, drugi raz na „trockistów”, raz lansowano modę na słowo „patriotyzm”, drugi raz na „internacjonalizm”, raz popierano książki takiego pisarza, drugim razem przeciwnego. I, co

najciekawsze, nikt w gruncie rzeczy nie wiedział DLACZEGO tak się dzieje. Działacz, o którym do niedawna pełno było w prasie, z chwili na chwilę zapada w raptowny niebyt; nagle komuś zarzuca się jako zbrodnię to, co robił wczoraj, choć wczoraj było to sławione, polecane, stawiane za wzór, nakazane. Dlaczego, skąd ta zmiana? Tego nikt nie wie, ale też i nikt nie pyta, wszyscy zresztą mają krótką pamięć, nikt nie rejestruje przeszłości, najważniejsze jest aby wiedzieć, przeczuć, co się mówi i poleca DZISIAJ. Tak żyje Warszawa — w pogoni za „linią” — a prowincja trwa w sobie, ogłuszona, wsłuchana poprzez swe partyjne uszy w zaskakujące skoki i harce czyli instrukcje Centrali.

Bohater nasz próbował omijać te wszystkie sprawy, wyłączyć się z pogoni za sztucznym, w dodatku coraz to innym zajęciem, być poza, ponad, z boku, lecz wtedy to co pisał wyjaławiało się z wszelkiej już aktualności, z resztek, z pozorów życia. Bo takie życie tu tworzono, innego nie było — i ono właśnie stawało się NORMALNOŚCIĄ, koszmarną, groteskową, ale normalnością, w której opętany kołowrót dawali się wkręcić najpoważniejsi ludzie, profesorzy, artyści, technicy, organizatorzy, dzięki czemu nikt już nie był poważny. A z jakiego powodu się dawali? Z bardzo prostego, zdefiniowanego mimowolnie w dowcipie radzieckiego satyrycznego pisma *Krokodyl*: — Dlaczego u was w stołówce nie ma wyboru? — Jakto nie ma: jest. Możecie jeść albo nie! Przy tym nieustanny ów kołowrót irracjonalnych niespodzianek degenerował ludzi — podniecał ich nadmiernie, odbierając jednocześnie jakikolwiek zmysł równowagi i solidarności. W rezultacie szerzyła się zawiść, donosy, oskarżenia: jedni drugich przywoływali do porządku (*aktualnego*), potwierdzając tym prawdziwość anegdorki o polskim piekle, gdzie Polacy sami siebie wpychają do wrzącej smoły.

W istocie ludzie piszący byli w sytuacji najgorszej, bo mogli wprawdzie uzyskać pewną niezależność materialną („*wam będzie dobrze*”) ale właśnie kosztem gorliwego podążania za skrętami i łamańcami cenzorsko redaktorskimi, stanowiącymi chyba odbicie jakichś walk i przemian na nieznaną bliżej górze, ale walk nie wiedzieć jakich, w dodatku odbicie przekształcone i wysublimowane w zupełnie co innego; podobna rzecz ma miejsce u Platona, mówiącego o cieniach w jaskini: byt dostrzegalny przez człowieka to cienie postaci zewnętrznych, obserwowane z jaskini, to odbicie bytu innego, niepoznawalnego. Romana zdumiewała tylko rygorystyczność, z jaką egzekwowano przestrzeganie tej konwencji nieznanych czy niezrozumiałych cieni w słowie pisanym — dopiero ktoś świadomy wytłumaczył mu z czego rzecz wynika:

rządzili oto przecież starzy, przedwojenni komuniści, dla których w swoim czasie broszura agitacyjna była najważniejszym, wręcz jedynym środkiem działania. Stąd bałwochwalczy kult słowa pisanego i biblijna obawa przed nim — historie dość anachroniczne w epoce światowego zasięgu wielojęzycznego radia.

Roman zresztą już z góry, jeszcze w czasie okupacji, wiedział co będzie w razie objęcia władzy przez komunistów. Wiedział od ojca, który był starym socjalistą, a nikt nie żywi do siebie takiej abominacji i zarazem nie zna się nawzajem tak dobrze, jak socjaliści i komuniści — wszak większa część Manifestu Komunistycznego poświęcona jest obelżywej polemice z socjalistami. Po wojnie wprowadzili komuniści przyjęli, czego dawniej nigdy nie robili, ochronną nazwę socjalizmu (*podobnie jak Stalin nakazał komisarzom ludowym przechrzcić się na ministrów, a sam, w miejsce zgrzebnej białej bluzy, przybrał bogato uorderowany mundur marszałka*), jednak po dawnemu pozostali komunistami, dziwne zaś dla postronnych obserwatorów skoki i łamańce jakie produkowali, były zapewne odbiciem procesu szlifowania czystości doktrynalnej, tę bowiem czynność brodaty ojciec ruchu uważał za sprawę dla rewolucji najważniejszą, ważniejszą nawet od walki z wrogiem klasowym, która to walka rozumie się wszakże i dokonuje sama przez się. Tak czy owak, choć Roman był grubo wcześniej uprzedzony co będzie, to jednak i on dał się, na swój sposób oczywiście, wkręcić w ów szlifierski kołomąt. Gdy, po dwudziestu paru latach, przeglądał wszystko co napisał, stwierdzał, że jak w owej platońskiej jaskini, znajdowało się tam mimowolne odbicie bytów oficjalnie mu nieznanych, owych etapów partyjnych walk o władzę, czystek i zmian taktycznych, owych falowań odgórną polityczną modę, lansującej w różnych okresach różne oświecenia spraw narodowego bytu, a także dopuszczającej ujawnianie czy wyjaskrawienie raz tych, raz innych wydarzeń historycznych. Tak więc i on był służą różnym nieznanym mu panów, niewolnikiem rozmyślnie przez nich planowanych i ukazywanych nadziei, wpadającym w coraz to nowe pułapki, które to urządzenia miały na celu pozbawienie go indywidualnej odporności, zniwelowanie i przystosowanie do chimerycznie na pozór zmiennych, ale przez kogoś tam (*nawet przez bardzo wielu*) branych całkiem na serio celów ogólnych. W rezultacie, wielokrotnie dał się wziąć na kawał i to kawał wręcz demoniczny, polegający na przeprowadzeniu w człowieku zmiany jego wewnętrznych dyspozycji, inklinacji, imponderabiliów — zmiany dokonywanej w sposób nieznaczny, stopniowy, lecz nieodwracalny, tak jak nieodwracalne jest starzenie się i obumieranie komórek mózgowych czy nerwowych. W gruncie więc rzeczy pozwolił się w pewien

sposób zeszmacić i trwał w swej szmacianości, a miał już przecież pięćdziesiąt sześć lat i rzecz wydawała się absolutnie bez wyjścia, nie do cofnięcia czy poprawienia. Na ruletce życia gra się tylko raz.

I oto, nagle, do rąk Romana dostała się książka Poety spod Moskwy, a z nią przyszło olśnienie. Jeszcze nie wszystko stracone: można wyzwolić się ze swej bezradnej szmacianości, opisując ją, opisując dokładnie, szczerze, z wiwisekcyjnym autokrytycyzmem, aplikując w ten sposób Historii to, na co ona niejednokrotnie zasługuje: wzruszenie ramion. Trzeba wziąć kąpiel prawdy, pisząc dla siebie, nie dla żadnego wydawnictwa, nie dla żadnej cenzury czy redakcji — i pisząc wszystko. Napisać wszystko — w jakiej formie: powieści, traktatu, eseju, pamfletu? To się zobaczy, nad tym należy się namyśleć, uprzednio jednak trzeba sobie zdobyć to, o czym marzył całe życie krytyk R...: czas darowany. Nie chodzi tu tylko o czas w ścisłym tego słowa znaczeniu, złożony z miesięcy, tygodni, dni i godzin, lecz o czas jako wymiar i luz psychiczny, o oderwanie się od wszystkiego co tak czy owak wiąże i deformuje, o to, by wysiąść skutecznie ze stworzonej w inteligenckiej Warszawie karuzeli czy huśtawki, gdzie rzeczywiste i pozorne paradoksyzmy, owa przeplatanka sztucznie wywołanych skurczów i rozluźnień, nie pozwalały na spojrzenie z boku, bez czego nie może przecież być autentycznego wzruszenia ramion. A więc na przykład C..., najpopularniejsza w Polsce miejscowość plażowa, gdzie grudzień w opustoszałym teraz Domu Pracy Twórczej pozwoli wsłuchać się nie tylko w poszumy czy poryki o sto pięćdziesiąt zaledwie metrów oddalonego północnego morza, lecz również w siebie, w nieobecnego jakoś przez tyle lat siebie. Oto idea niespodziewana lecz tym bardziej atrakcyjna!

IV

Tak by się wydawało: pusta w grudniu miejscowość kąpielowa, swym wyzbyciem się normalnych sezonowych atrakcji, swym wyludnieniem i zimową nieprzydatnością stworzy okazję do skupienia, zachęci do wejścia w siebie, celem wyszukania a potem skryzostowania myśli nie wypowiedzianych, lecz przez lata obecnych, które fermentują, jątrzą, gnębią. Tymczasem miejscowość demonstrowa niespodziewany urok swej pustki, w opuszczeniu uwypatnia swe piękno, piękno trochę mieszczańskie, sybaryckie,

ale nieodparcie, choć w osobliwy całkiem sposób, malownicze. Malowniczość tę latem gęszy szum wielotysięcznego, przepływającego tędy tłumy przybyszów, młodych wczasowiczów z przeróżnych fabryk i biur w całej Polsce, chłopców w białych koszulach z krajowego nylonu, dziewcząt w krótkich spódniczkach, wysoko pokazujących obnażone uda, a także młodych małżeństw z dziećmi, tu i ówdzie samotnych panów, co to wybrali się na osławione w Polsce wakacyjne polowanie erotyczne, wreszcie grupki łobuzów, pozujących na modny nihilizm, hałaśliwych rozrabiaczy w dzinsach, mających twarze błazenkowatych głupców z wiejskiej gospody, rzuconych dziwnym trafem w niepojęty świat miejskości. Po obu stronach owego wyżwirowanego placu, z którego wchodzi się na samotne dzisiaj molo, szumią w upalny wieczór rozgadaniem dwie ogródkowe kawiarnie, na tarasach wyniesłego półokrągłego pawilonu też pełno jest stolików, w ciemności widać żarzące się ogniki papierosów, słychać śmiechy i przenikliwe szepty, w środku placu, obok koncertowej muszli, tryska wielka, mlecznie rozpylona a od dołu kolorowo oświetlona fontanna, przed której kroplami panny i marynarze chronią się na ławkach, w owych półkolistych, oszklonych pasażach, oddzielonych od świata ciemnozielonymi, arcy teraz gęstymi, tworzącymi szczelną zasłonę szpalerami lip i na kwadratowo przyszczyżonych platanów. Pośród gęstwiny łyskają światła latarni, niczym kołyszące się, bo przesłaniane poruszonymi przez wiatr gałęziami lampiony, jaskrawa, ciepła kolorowość nielicznych zresztą neonów ma w sobie coś chińskiego, szmerzący tłum rozlewa się nieustannie nie tylko po owej głównej, ostro w górę wiodącej arterii, będącej ni to rynkiem ni to deptakiem, ale po wszystkich stromych, bocznych uliczkach, wśród planowo malowniczych promenad, spiralnie kręconych kamiennych schodów, romantycznych mostków, rozpiętych nad schodzącymi ku plażom, przepaścistymi, wilgotnymi, obrośniętymi dzikawym, wysokim zielskiem parowami; wieczorna ciżba jest wszędzie, szumi, szmerze, szeleści, stuka dziesiątkiem tysięcy butów, pantofli, drewniaków, tańczy w stłoczonych dancingach, szturmuje bary, kioski, kiermasze, szuka rozrywki, nie wiedząc, że czynność ta wyczerpuje się w samym szukaniu, że wieczór w C... jest tylko dekoracją, wśród której błądzi tłum, aby, coraz bardziej nasiąknięty zmęczeniem, rozlewać się wreszcie leniwie ku natłoczonym, społecznym i prywatnym, nieraz byle jakim kwaterom, pozostawiając koło północy na ulicach ostatnie niedobitki mniemanego *dolce vita*: co wytrwalszych pijaków, na końcu już wyciekających z kilku szklanych baraków dansingowych i z jazgoczącego nad samym morzem dwoma tanecznymi orkiestrami wielkiego wilhelmowskiego ho-

telu (orkiestry rozmieszczone są tu w dwóch narożnych, otwartych na zatokę, wysokich, wyposażonych u sufitu w galerie salach, a sale owe znowu położone są w bocznych przybudówkach, spojonych symetrycznie po obu stronach z wielkim hotelowym torsem), dalej zaś mamy jeszcze nieliczne, zakochane czy podniecone pary, zdecydowane skosztować swą bliskość w opustoszałym nocą plenerze uzdrowiska, oraz równie nielicznych, wobec niezbyt bezpiecznej pory, amatorów szumu fal niespokojnego teraz Bałtyku, huczącego sobie nocą między czarnymi słupami mola i plażą w asyście mrugających portowych czy nadbrzeżnych świateł. Stopniowo wszystko cichnie, parę godzin wypoczynku i znowu zaczyna się nowa faza „kurortowego” życia: zastępy plażowiczów po jakim takim śniadaniu zdążają z różnych stron ku morzu, gdzie pas bladego, częstokroć jakby skołtunionego i niezbyt czystego piasku doprowadza ich wreszcie do tego, co jest najważniejsze, do rzeczywistego bogactwa, które nigdy nie zawodzi: do samego morza właśnie. W blasku upalnego słońca, jasnoszafirowe czy szklisto-błękitne, nieruchome niemal wody zatoki nie mają właściwie określonej barwy, są nieuchwytnym, rozjarzonym, grającym wewnątrz, przesypującym czy przelewającym się kalejdoskopem kolorów, choć są też w zasadzie równomiernym, syntetycznym jednym kolorem, któremu nie wiadomo czy przypisać wieczny barwny ruch, czy też przyznać wszechogarniającą statyczność, będącą syntezą przeciwieństw a więc i ruchu z bezruchem. Wszystko to dzieje się zapewne zamknięte w jakimś kąciuku źrenicy ludzkiego oka, jest niewymierną jak dotąd lecz przecież realną sumą pewnego kwantum energetycznych procesów ludzkiej wrażliwości, toteż, zanim super-fizycy (wtedy już może metafizycy) super-czasów zbadają tę sprawę, rację mają malarze impresjoniści, że kierując się empiryczną intuicją, mieszają farby i nakładają je w sposób paradoksalny, usiłując w swych niebываłych, kolorowych miksturach uchwycić, zakłąć i unieruchomić coś z owej tajemniczej optycznej energii, która kiedyś da się zdefiniować i może — przekształcić w każdą inną energię, a więc w każdą inną materię. Wszystko się wtedy wyjaśni — choć przyjdą zapewne z kolei inne problemy do rozwiązania. O te niebotyczne sprawy nie troszczy się na razie plażujący, rojący się nad bladobłękitną taflą zatoki tłum: ten, wypaliwszy skórę na słońcu i gorliwie a planowo wyhasawszy się w wodzie, przygotowuje się już do popołudniowego szturm na przetłoczone, obsługiwane przez zapoconych kelnerów restauracje, bary, stołówki, potem znowu do drugiego szturm na sklepy, wystawy, kiermasze, kina (raptem dwa), teatr, dansingi. I wreszcie znowu wieczór i znowu rzeka ludzka popłynie ową piękną ulicą bez jezdni, uliczkami

gdzie umocowane na słupach podłużne prostopadłością z wstawioną w środek żarówką imitują chińskie lampiony, ciemnymi alejami wzdłuż plaży, mołem aż do jego krańca, na którym dumnie króluje teraz alarmowy dzwon, i znowu zacznie się błędzenie cizby w poszukiwaniu z rozrywką, nastrojem, intensywnością, barwnością, przygodą. I tak w kółko przez dwa, trzy miesiące, gdy pogoda pozwoli, podobnie jak we wszystkich nadmorskich kurortach świata, sezonowa egzystencja toczy się typowo, aż banalnie, tyle że jakoś za bardzo płytko, po wierzchu, tandetnie: specyficznie infantylny, nie opierzony jeszcze, nie świadomy siebie, szmaciany właśnie uniwersalizm zalał te opuszczone, ponemieckie plaże, tarasy, aleje. Wszystko co się tu kłębi, to mieszczaństwo, nowe socjalistyczne mieszczaństwo, któremu gromko wmawiano, że jest dumnym i bohaterskim, sprawującym rządy proletariatem, gdy w istocie ma się tu do czynienia z najbardziej nieświadomą, niezdecydowaną i niesolidarną grupą ludzką, jaką tylko można sobie wyobrazić, zbrojną jedynie w niewyraźne impulsy, jak snobizm (*i to snobizm skierowany, o dziwo, ku Zachodowi, ku filmowej amerykańskości*), chęć awansu zewnętrznego: istna to armia potencjalnych dezertków. Brodaty prorok rewolucji uznał nie wiadomo dłaczego proletariata za klasę przewodzącą nowym czasom, w istocie tutaj wrastała oto w mieszczaństwo bezwolna politycznie, częściowo niedawno ze wsi przybyła magma ludzka, urabiana po swojemu przez przywódców, albo obłąkanych w swym przerafinowaniu teoretyków i fanatyków czystej taktyki, albo ślepo posłusznych, brutalnych wykonawców, magma w dodatku absolutnie nieświadoma swej politycznej niedoczynności i bezwolności, firmująca potakującą masą przeróżne sprawy, na które nie miała i nie ma najmniejszego wpływu. Ciekawie pomylił się długowłosa filozof rewolucji: mimo to słowne jego tezy podtrzymywano nadal z całym nabożeństwem, choć były one w tych warunkach zwykłą fikcją — i na to również należało wzruszyć ramionami!

Roman pamiętał C... z kilku spędzonych tu kiedyś upalnych dni właśnie jako taki kurortowy oleodruk. Niemcy, wielcy miłośnicy oleodruków i oleodrukowego romantyzmu (w istocie całe ich życie było jakoś oleodrukowe) stworzyli tutaj pieczołowicie taką konwencję słodkiej choć i szumnie przestrzennej, nadmorskiej sielanki. W jaki sposób oleodruk mieszczański przerósł w oleodruk mieszczańsko-socjalistyczny — to był ciekawy problem, nie wiadomo: dla socjologów czy dla takich jak jakiś nowy Marks filozoficznie wszystkoidalnych badaczy społeczeństw tudzież myślicieli o społeczeństwach. Dla antykomunistycznego sceptycyzmu Romana zawierał się tu jednak pewien szkopuł: oto mieszczańsko-

filisterski czy oleodrukowy awans społeczny robotników i chłopów, cokolwiek by się o nim złego mówiło i jak bardzo nie zgadzałyby się z własną teorią, to jednak — był awansem. Na plaży w C... naprawdę opalali się górnicy ze Śląska, po oświetlonych ukrytymi wśród liści mlecznymi kulami i pseudo lampionami alejkach naprawdę błądzili wytapiacze z huty w Częstochowie, a także „wsioki”, pracownicy PGR-ów czyli Państwowych Gospodarstw Rolnych. Może więc inna droga awansu nie istnieje, ta jest jedyna, może tylko Roman, przyplątany z dawnych czasów inteligent „ma za złe”, szuka dziury w całym, chce, żeby się było stało to, co się nie stało. Możliwe, uwzględniał tę hipotezę, używał jej sporego procentu prawdopodobieństwa, ale nie sprzyjała ona wyrażeniu myśli sceptycznej, owemu wzruszeniu ramion nad historią — a to w nim dominowało, to musiał spełnić, bo choćby nawet miało się okazać tylko częściowo słuszne, to jednak było potrzebne: nikt tego w dzisiejszej Polsce nie robił, wdrażana na wszelkich zebraniach, w telewizji, prasie i radio jednomyślność stała się szkołą wyrzeczenia jakichkolwiek własnych poglądów, szkołą obojętności i indyferentyzmu, szkołą duchowego skarlenia, podyktowanego przez samozachowawczą, życiową ostrożność, szkołą wewnętrznej szmacianości właśnie. Szmacianość okazała się powszechnym faktem, dla ocalenia przed nią warto było przedstawić na piśmie tezę choćby tylko częściowo słuszną, hipotetyczną, roboczą, ale, w powodzi fałszu i pozorów, dającą jakiś rzeczywisty negatywny impuls: to społeczeństwo ginęło wszakże, zatracalo wszelkie oblicze właśnie przez brak wewnętrznych sprzeciwów. Aby rzecz zrealizować, należało umiejscowić się w warunkach neutralnych, nijakich, gdzie żaden fałszywy czy prawdziwy urok, żadna doraźna wątpliwość, przynoszona przez toczące się wciąż życie, nie zamąci czystości owego zamysłu, owego jednostronnego może czy dyskusyjnego, ale skryształizowanego i na pewno potrzebnego planu (*prawo do niestuszności zostało temu społeczeństwu odebrane: wszystko co głoszone, miało na sobie firmowy znak słuszności — cóż za okropne nieporozumienie*). Dlatego też Roman wybrał C... w grudniu: sądził, że o tej porze owa fabryka zbiorowych uroków, fabryka urlopowych snów, tracąc swą sezonową rację bytu, traci w ogóle wszelki intensywniejszy wyraz, mogący odwrócić uwagę, zaabsorbować swym nastrojem. Tymczasem bardzo, ogromnie się pomylił: okazało się, że istotna, głębsza malowniczość i atrakcyjność C... objawia się dopiero właśnie poza sezonem, gdy, w pozornej pustce i ciszy, daje się usłyszeć rzeczywisty oddech tego miejsca, odczuć klimat jego historii, jego sytuacji, jego żywołowego a nie sztucznie stworzonego tła nastrojowego, zarówno tła ludzkiego jak poza ludzkiego.

I oto Roman dał się zaskoczyć, uległ nie przewidywanemu nastrojowi i, jak najniespodziewaniej, w miejscu gdzie masowo preparowano sztuczne przygody, przeżył przygodę — prawdziwą. Było to akurat przed rokiem i wcale a wcale nie sprzyjało napisaniu septycznej książki.

Piękno C... w owym grudniu, zimnym, zmiennym, przewianym ciągłymi wiatrami, ale dzięki temu, od czasu do czasu, rozjaśniającym się nagłym, jak przypomnienie, blaskiem słońca, polegało na dwóch luksusach: wszechobecnej pustej przestrzeni i wszechobecnym morzu. Pustka stała się urokiem, przestronno było wszędzie, wśród wyludnionych szklanych pawilonów, między bezcelowo teraz spiętrzonymi tarasami kawiarni, na placu u stóp owej dziwacznej, żółtawej jak łodyga wieży, placu prowadzącym do mola, latem natłoczonym gęstą, ciemną zielenią platanowych szpalerów, a teraz pustym, wolnym, przedmuchiwanym zimnymi bałtyckimi wiatrami i ofiarowującym hojnie wielostronny widok na falującą wodę, wodę zieloną, wodę ołowianą, wodę szarobłękitną, wodę szmaragdową lub szafirową, inkrustowaną bielszymi od śniegu bryzgami, a czasem znów jednolicie ciemnofioletową, gdzie tylko brzuchy wlatujących mew przypominają o bieli.

Plac był pusty, bo bezlistny, otóż to, i w ogóle całe C... było teraz bezlistne, w tym kryła się tajemnica jego nagłej, przestrzenno-morskiej pejzażowej hojności. Latem miasto tonęło w przepysznym bogactwie zieleni: przylegające do plaży parki w przepożyczeniach kwietnymi gazonami pośrodku, obrzeżone były szpalerami lip, platanów, włoskich orzechów, klonów, kasztanów, buków, jaworów, jesionów, brzoź płaczących, wierzb i licho wie czego jeszcze, tworzących zawsze ciemne, duszące się w zieloności, w zapachu kwitnących lip i akacji, tajemnicze aleje. Całe miasto chroniło się od morskich wiatrów owym zielonym murem, a na dookołnych górach również szumiały miliony i miliardy liści, jedynie z winkrustowanymi w nie z rzadka grupkami sosen czy świerków (*jedno z najwyższych w C... położonych miejsc: obelisk — pomnik żołnierzy radzieckich posiadał nawet specjalną asystę, w postaci okalającego jego platformę kwadratu drzew, na którego boki składały się szeregi ciemnozielonych syberyjskich świerków i odświętnych włoskich tuji*). Liście rządziły tu wszystkim: łatwo sobie wyobrazić jak różnobarwne, przepyszenie pastelowo różnokolorowe musiały być te rzędy jesienią — wczesną i późną. Roman nigdy tego nie widział, ale miał wyobraźnię i dlatego liczył na grudzień, kiedy to z przepychu liści nic już nie zostanie i, wobec tego, nic nie będzie już kusić czy odwracać uwagę. Tymczasem bardzo się przeliczył: zimą, dzięki wytworzonej przez absencję liści pustce, rządzi tutaj bezapelacyjnie, dyktatorsko, żywioł najbardziej in-

intensywny i wciągający — morze. O ile przedtem zieleń była wspa-
niała, lecz zawsze jakoś oleodrukowa (*bo wszędzie czuło się, że
jej rządy, choć tak bujne, są rezultatem interweniującej i planu-
jącej działalności człowieka*), o tyle teraz intymność pustki i mo-
rza, widzianego poprzez gołe gałęzie, stawała się czymś bez reszty
naturalnym, wszechobecnym, nieodparcie przejmującym, okupują-
cym uwagę i przepajającym wrażliwość nieustannie, od rana do
nocy, boć nie da się zapomnieć o tym, co nas przenika i napełnia
bezpośrednio a dotkliwie, przejmując do kości zimnym, północ-
nym porywistym sztormem, lub rozjaśniając nagle złudnym, polot-
nym, lecz jakże przez to cennym i intensywnym, błękitno słonecz-
nym uspokojeniem. Atrakcyjny teatr morza odgrywał teraz swe
przedstawienia wszędzie i bez przeszkód, dzięki pustce, która
otworzyła nieprzewidywalne przedtem perspektywy: wodę z blis-
ka falującą czy też nieruchomą, jak rozpięta w dali wstążka, po
malarsku dekoracyjną czy po rybacku realną, widać było z naj-
osobliwszych miejsc, z różnych bezlistnych alejek, otwartych, bo
obrzeżały je tylko patyki drzew, stojące szeregami, z wspartej
schodami platformy przed czerwonym kościołem i w ogóle z całej
owej stromej ulicy — deptaku, z okien i tarasów wysokich,
duszących się dawniej wśród liści domów, z przeróżnych miejsc
wśród wznoszących się nad miastem leśnych wzgórz, a także po
prostu z okna pokoju w pensjonacie pracy twórczej, położonym
naprzeciwko owego wielkiego, rozsiadłego niczym dworzyszczce,
wilhelmińskiego, żółtoszarego hotelu z ciemnoczerwonym jak pur-
purowa łuska, miejscami mocno przydymionym dachem. Hotel
królował po drugiej stronie szerokiej asfaltowej ulicy, a morze
widać było pobok jego ścian i ponad sąsiadującym z nim parkin-
giem, łysym teraz czyli pustym; kołyszący pomruk przypiływu czy
ryk sztormu dochodził do uszu Romana bezpośrednio, nie tłumio-
ny przez szum drzew: ogromne, asymetryczne ramy z pni i gałęzi
kasztanów, klonów i lip nie zasłaniały teraz widoku na wiodące
do kręcących się jak centryfuga drzwi hotelu półkoliste, wykła-
dane kostką i obrzeżone balustradami chodniki, jedyną zaś zieloną
dekoracją była grupa wysmuklających się przed frontonem, bar-
dzo wysokich, zaaklimatyzowanych tutaj jakimś cudem, hima-
lajskich cedrów, widome świadectwo ludzkiej (*a raczej niemieckiej,
co prawda i Niemcy są ludzie*), praktycznej inwencji zdobniczej,
zaprzęgającej Matkę Naturę do swych celów.

Tylko morze nie dawało się zaprząć do niczych celów, było
swoje własne, niezależne, władcze a chimerycznie zmienne, wciąż
na nowo potrafiło zaskoczyć, zadziwić nowością formy i szaty,
zafascynować bogactwem swoich perspektyw i koloro-kształtów,
niewymierną różnaitością ruchów i bezruchów, zamkniętych, jak

utrwalony wewnątrz morskiej muszli szum, w ludzkim oku i uchu. Raz było zdobiącą brzeg dalekiego horyzontu, znieruchomiałą jasnobłękitną tasiemką, kiedy indziej prześwitującą między drzewami wstęgą płynnego ołowiu, czasem jawiło się gdzieś z góry jak mieniąca się i iskrząca odbiciami tafla blasku, niekiedy znów, w zimny wieczór, z bliska trwało przed oczyma jak ciemnoszafirowy lub czarnofioletowy mur. Tak więc, morze rządziło tu wszechwładnie, dzięki zimowej pustce, zaś pustka narzucała się wrażliwości i wyobraźni dzięki morzu, które eksponowała. W tym wszystkim tkwił człowiek, rozedrgany, uczulony, wsłuchany w szумы wiatrów i stłumione, nosowe rżenie dalekich okrętowych syren czy jęki pływających boi, tkwił jakby stale w plenerze, w otwartej pustce, na przecięciu i styku płaszczyzn poziomych, pionowych, ukośnych, w przestrzennych, ruchomych, wciąż się przekształcających powietrznych prostopadłościanach i stożkach, wśród wszechobecnego wrzącego morza, przeciętego jednak statyczną, prościutką strzałą sześćsetmetrowego pomostu, wśród wody, gór, powietrza i miasta, chłonący w siebie to wszystko, poszczególne elementy i ich transformujące się wciąż mieszaniny, rejestrujący wrażenia, niczym najczulszy, najbardziej wiernie utrwalający sejsmograf. I stąd wzięta się początkowa idea Romana, aby pracę swoją, jeśli ma być prawdziwa, najprawdziwsza, rozpocząć od opisanie tego wszystkiego: to miało być tło, tło zarówno żywiotowe czyli bezosobowo-przyrodnicze jak i tło ludzkie.

Bo przecież, oprócz mola, plaż i nadmorskich platanowych alei, istniało jeszcze miasto, osobliwe strome miasto, którego wszystkie zakątki odwiedził wówczas Roman w niezliczonych spacerach. To osobliwe miasto nie miasto było wyrazem niemieckiej, po staroświecku jeszcze burżujskiej dążności do zindywidualizowanej pełni doczesnego istnienia, oczywiście możliwej dla ludzi zamożnych czy bogatych, a tacy w przeważającej większości zamieszkiwali C... w przedwojennej epoce, gdy miasteczko, tudzież zbiorowisko willi na zboczach gór, żyło ze słynnego kasyna gry; kasyno stało nad morzem, u wejścia do mola, tam gdzie obecnie zagnieździły się lekkie szklane pawilony wystawowo kiermaszowe, a spalone zostały przez wkraczających zimą 1945 żołnierzy radzieckich; wypaleniu uległy wtedy również, zachowując jednak swe mury i formę (*co umożliwiło późniejszą rekonstrukcję*) niektóre miejskie kamieniczki na ulicy-deptaku, poza tym jednak C... ocalało, podczas gdy sąsiednie, wielkie stare miasto portowe od którego zaczęła się wojna, zamienione zostało przez Rosjan w zgliszcza i ruiny już po zdobyciu. Polska Ludowa z nagłą, irracjonalnie prestiżową, jak to w komunizmie bywa, hojnością, zajęła się pieczołowitą rekonstrukcją jego staromieszczańskich, koron-

kowych, przeglądających się w morzu kamieniczek i patrycjuszowskich pałaców. Natomiast w niezniszczonym prawie C... pracy było znacznie mniej: wypełniono lekkimi szklanymi pawilonami plac po kasynie, odbudowano lub „zaplombowano” owe nieliczne wypalone kamieniczki w centrum, dołożono z boku, za torem kolei, nieco symbolicznych, standartowych bloków robotniczych, ostatnio na zamiejskich wzgórzach wyrosło parę smukłych, przeszklonych wieżowców. Poza tym jednak wszystko, czyli ogólna koncepcja i styl miasta, pozostało jak przed wojną, w dawnym smaku i sosie, tyle, że Niemców zastąpili przybysze zza Buga, babuszki z Lidy i gospodarze lub rzemieślnicy z Nowej Wilejki lub Oszmiany, którzy objęli w posiadanie niezrozumiale romantyczne, obce, szkopskie uliczki. Oczywiście, wobec długo nie ustalonych, wciąż zmienianych i biurokratycznie zawitych stosunków własnościowych (*nadać czy nie nadać, głowiła się Polska Ludowa, a głowiła się tak długo, aż ludzie stracili resztkę zaufania i machnęli ręką*), remontów było za mało, sporo domów postarzało się, zniszczyło, zarysowało, poszczerbiło, wiele zaś odnowiono „po gospodarstwu”, załatano, zaopatrzone w dziwaczne, drewniane częstokroć przybudówki i podpórki — drzewo było wtedy jeszcze najtańszym bo kradzionym budulcem — nie brakło też zresztą brudnawych, roztrzęsionych ruder, chowających się wstydliwie w cieniu. Ale główny, kamienny trzon miasta pozostał nienaruszony, tkwiąc wyniośle choć pretensjonalnie (*co prawda pretensjonalność to pojęcie względne, zależy skąd, z jakiej epoki się patrzy*) nad taflą zatoki i dając świadectwo minionemu a tak absurdalnie roztrwonionemu niemieckiemu „słodkiemu życiu” (*deutsche vita* — tak to kiedyś nazwano).

Talleyrand miał powiedzieć, że kto nie żył przed rewolucją, ten nie zna prawdziwego uroku życia — sprawa nadal aktualna, bo rewolucje wciąż się zdarzają. Rzeczywiście, dla swojskich przybyszów z Lidy czy Grodna, architektura C... mogła być walnym potwierdzeniem tej tezy. Czegóż tu nie było, jakich przemysłnych a zindywidualizowanych sposobów użyto aby stworzyć owo wrażenie pełni życia, pełni, objawiającej się każdemu poszczególnemu posiadaczowi willi we własny, indywidualny sposób. Zresztą i mieszczańskie kamieniczki, w malutkim, jakby pokazowym centrum, niezwykle były zróżnicowane: czerwone, zębate gotyckie domy ze spiczastymi wieżyczkami, okna wysokie, ostrołukowe, jakieś wykusze, nisze, odchłanne stropy w prozaicznym sklepie, tajemnicze krużganki w najzwyczajniejszej czynszowej kamienicy, wyszczerbione lecz malownicze, kręte, zewnętrzne schody, efektowne graniastosłupowe narożniki, albo znowu domostwa okrągłe, jak średniowieczne baszty czy ceglane rondle, z więziennymi,

średniowiecznymi okienkami, biegnącymi wokół, z wejściem na szczytowy taras, przypominający forteczną platformę obserwacyjną. Każdy dom inny, tu, w centrum, cóż dopiero mówić o górzystych, zawiłych, bocznych uliczkach, dziwnych, ale dziwnością rozmyślną, dekoracyjnie uplanowaną. A już wille w lasach, na zboczach okalających centrum C... łagodnych wzgórz, to była po prostu istna orgia pieczołowitej inwencji przestrzenno-ornamentacyjnej (*Niemcy mają inwencję nie swobodnie kapryśną, lecz nawet w kapryśności, pieczołowitą — świadkami i Beethoven i Bach, jeden Mozart jest autentycznie, jednorodnie lekki*).

Wprost uwierzyć nie sposób, jak bardzo natrudzono się tutaj, aby wyzyskać przestrzenność, wielopoziomowość i wielorakość układów geometrycznych, aby wypełnić je dekoracyjną wygodą, narzucającą wciąż swój estetyzm, swój romantyzm rodem z hoffmanowskiego domku dla lalek, a jednocześnie na wskroś funkcjonalną, ba, luksusową. Organiczne łączenie pojęcia piękna z pojęciem wygody, to już wydaje się bardzo niemieckie, a co dopiero, gdy włączyć się w labirynt szczegółów, admirując (*bo dla admiracji zostały przeznaczone*), owe różnokształtne tarasy z kolumnami, schody, balustrady, galeryjki, loggie, podcienia, przesłicznie kute żelazne ogrodzenia i kraty, owe wybrzuszone, wysklepione, malowniczo oszklone werandy, owe okna wypukłe, powycinane w romby i łuki, owe teatralne mansardy, owe dziwne kamienne piramidy, kryjące w sobie na przykład prozaiczny garaż, owe wymyślne mozaikowe chodniki i posadzki z kolorowych płytek, rzeźbione, wyniosłe i ciężkie odrzwia domów, do których prowadzą kręte schody, aby na kamiennej platformce u wejścia, przed zadzwonieniem móc popodziwiać sobie jeszcze jakieś kamienne ptaki czy inne stwory. A niezrównania spadzistość czerwonych, drobniotko kratkowanych dachów, zbrojnych w wieżyczki i tajemnicze okienka? A maleńkie kaplice, dziwaczne przybudówki, samotne oficyny? A wielkie kamienne domy, stylizowane na tyrolskie, górskie chałupy, pomalowane w poprzeczne i podłużne pasy; a rozmaite tynki i glazury? A różnokolorowe szybki, składające się na ogromne, wielkie jak w kościele, witrażowe okna? A kamienne mosty, przerzucone między domami, a tajemnicze, wielogłębinyne balkony z kolumnami wszelkich rodzajów? A różnokształtne lampy na zdobnych w kamienne ornamenty słupach, a efektowne mleczne kule na owych platformach u szczytu schodów? Nie, dajcie spokój, ktoś ogromnie się tu potrudził, aby uderzającą wygodę połączyć z uderzającym pięknem. Czy trud to jednoznacznie chwalebny? Ha, jak dla kogo. Dla warszawiaka jest tu rzadka okazja do wytarzania się w secesji ile dusza zapagnie, bowiem w Warszawie ciż sami pieczołowici Niemcy spalili ową

secesję doszczętnie. Ciekawe że, gdy ten pilny, twórczy, choć miłujący oleodruki i sztance, arcypracowity naród wziął się do mordowania, burzenia i palenia, to osiągnął w owych czynnościach perfekcję, nieznaną w historii (*godnego poprzednika, już na miarę dzisiejszych czasów mieli Niemcy w Turkach, którzy w 1915 roku zniszczyli śmiercią głodową półtora miliona Ormian; oczywiście, olbrzymie rezultaty w tej dziedzinie choć poza konkursem, rezultaty na miarę swych gigantycznych zamierzeń osiągnął Związek Radziecki: mówi się o jedenastu milionach chłopów zmarłych z głodu w czasie kolektywizacji, oraz o kilkunastu czy nawet dwudziestu milionach ludzi, mrących powolną śmiercią w stalinowskich obozach pracy — ale tym, jak w ogóle Rosją, lekko-myślny świat zewnętrzny interesuje się mało, bo dokumentacji brak — w Kraju Rad nie popełnia się błędu informowania o czymkolwiek, czy też nieostrożnego pozostawiania śladów*). Tak więc Niemcy, we właściwy sobie pieczołowity sposób, dali światu spektakl niezwykle pouczający; wynikło z niego jak na dłoni, że skoro naród tak pracowity, zdyscyplinowany i w gruncie rzeczy zdolny, potrafi raptem zmajstrować niewiarygodnie demoniczną, wielomilionową zbrodnię, to można z całą pewnością sformułować nowe przysłowie: nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło. O tej irracjonalnej prawdzie Niemcy przekonali najpierw ościenne narody, po czym dobitnie objawiła się ona im samym, gdy za jednym zamachem utracili owoce swojej kilkusetletniej, pilnej pracy na Wschodzie, między innymi taką perełkę specyficznego lecz konsekwentnego smaku, jak uzdrowisko C... Wiadomo skądinąd, że gdy Stwórca chce kogoś ukarać, odbiera mu uprzednio rozum.

Wracając do C..., to nie należy sądzić, że było ono wyłącznie skonstruowane z kamienia, cegły, betonu, cementu. W swej zdobniczej encyklopedyczności twórcy miasta nie zapomnieli o drzewie. Nie tylko w bocznych, stromych uliczkach, gdzie w ciemnowych latem, bo szczególnie otulonych zielenią, domach mieszkali ludzie ubożsi, lecz w wyniosłych willach, lub nawet w samym śródmieściu nie brakło drewnianych konstrukcji czy dobudówek. Tu szerokie oszklone werandy z drewna poczerńałego od starości, ówdzie, w ogrodach, drewniane oficyny, otoczone martwym obecnie, śpiącym na zimę żywopłotem, całe wielokątne domki, jakby górskie szalety czy schroniska, chronione wymyślnym, zębatym parkanem, wmontowane w ceglanych domach balkony z drewnianymi kolumnkami, zielone okiennice, dziwne żaluzje, jakieś tu i ówdzie zawieszane, stare, spróchniałe belkowania. No i, oczywiście, święta mania upiększania, owa artystyczna pasja ornamentacyjna, realizowała się także w drzewie: oto przeróżne drewniane

arkady, balustrady z lekkiego orzecha, powycinane w przemysłne liry, harfy, amfory, hieroglify, koronki, ciężkie dębowe drzwi całe w drobiazgowych, precyzyjnych rzeźbach, swojsko skrzypiące dziś schody z wygiętymi, podtrzymywanymi przez drewniane chimery poręczami, rozliczne rzeźbione gryfy, kotwice, a także jakieś sowizdrzałsko nibelungowskie, drwiące paszcze na drewnianych tympanonach. Drzewa tu więc nie brakło, tyle, że jest ono, jak wiadomo, mniej trwałe niż kamień, toteż w owych drewnianych uliczkach dużo było zgnilizny, próchnicy, pleśni, niejedno trzeszczało, chyliło się, pękało, a nawet, przy głównej arterii, niedaleko dziwnego maurytańsko-egipsko-bizantyjskiego domu zdrojowego, widniała okropnie poczerniała, sypiąca się, rozdygotana ruina, podparta na chybił trafił jakimiś słupami, gdzie strychy szczyrzyły się ciemnymi dziurami wybitych okien. Remontów długi czas nie robiono, jako że prawa administracyjno-własnościowe w kraju rewolucji zbyt wydawały się przybyszom ze Wschodu zawile i niepewne. Poza tym przybysze ci nadal przywiązani byli do sielskiego zaścianka i choć synowie ich zostawali już nawet inżynierami w niedalekiej stoczni, czy architektami w owym patrycjuszowskim niegdyś mieście portowym, oni trwali w dawnych chałupniczo-gospodarskich zamiłowaniach, zbijali z desek jakieś przepierzenia, majstrowali na tyłach domów kurniki, koślawe chałupki, ba — chlewy zgoła, choć hodowli podobnej zabraniano tu surowo; trafiały się także dziwne, pomieszane uliczki-aleje, nieraz paropoziomowe, powikłane, strome, gdzie dzisiaj zamiast zieleni pełno było czarnych pni drzewnych i powyginanych patyków-gałęzi. I oto nagle, wprost z takiej podpróchniałej, wilgotnej alei wychodziło się do centrum, na ową jedną ulicę i dwa skrzyżowania, pięknie oświetlone „chińską” ciepłotą paru wielkich różnokolorowych neonów, na ów symboliczny fragment wielkiej metropolii, gdzie, jak po rynku małego miasteczka na Wschodzie, spacerowali sobie wieczorem od kościoła do „Delikatesów” obecnie, w zimie, niepodzielni panowie tego miejsca: nowi, socjalistyczni mieszkańcy. Przeważała młodzież, ileż młodzieży, mrowie, nieprzeliczone mrowie. — Że też wojny na nich nie ma! — mruczał stary mistrz brzytwy z Wilna, pracujący w spółdzielni fryzjerskiej, obok głównego skrzyżowania; ściszał zresztą głos, bo oprócz niego goliły tam gości dwie dwudziestoletnie blondyny, ondulowane anioły o różowych, pyzaty buziach i oczach z niebieskiej majoliki.

Osobliwa rzecz: to niby miasto, pełne wszelakich sprzeczności w czasie i w przestrzeni, w historii i demografii, gdzie nie było dwóch podobnych domów, ani pięciu ludzi pochodzących z jednego miejsca, miało dziś w sobie jakąś jednolitość, jakiś zde-

cydowany klimat. Roman nie dostrzegwał tego latem, gdy odstręczała go owa oleodrukowo kurortowa, przelewająca się tędy, beztwarzowa, standartowa magma „szmacianego uniwersalizmu”, teraz rzecz tę odczuł i dostrzegł po raz pierwszy. Oczywiście, jedności były różne: pierwsza, to ta kamiennie-zdobniczo-achitektoniczna, rozplanowana, obsadzona drzewami, okolona parkami i plażami jedność, stworzona przez Niemców. W pustce kamienia, szkła i morza Roman wyczuł dopiero jej indywidualność, zaczął z nią obcować, znaleźli się sam na sam: rzadko kiedy obcuje się tak intensywnie i intymnie z miejscowością. Osobliwa przy tym rzecz, że chłonąc pretensjonalny przecież nieco luksus tych wygodnych kamieni, mijając puste, przewiewane mokrym wiatrem tarasy, placyki, pomosty, przemierzając długim krokiem lub treningowym biegiem, ornamentacyjnie zaplanowane aleje, Roman nie myślał o tych, co to wszystko wykonywali i stworzyli — o Niemcach. Ciekawe, swoją drogą jest zawsze, jakim sposobem ci namiętni miłośnicy zdobnictwa, wygody i podręcznego romantyzmu, stali się na pewien czas narodem morderców: nie należało karać „zbrodniarzy wojennych”, lecz przeciwnie, przechować ich jak najdłużej, przeprowadzać nad nimi drobiazgowo badania psychologiczne, aby wyjaśnić tę zagadkę. Byłaby to zapewne dla ludzkości sprawa najważniejsza, tylko że ludzkość nie zwykła zwracać wówczas uwagi na sprawy najważniejsze — stąd i późniejsze niespodzianki. Ale Roman nie myślał już o tym; chociaż spacerował wśród niemieckich kamieni, nie czuł próżni, bo opłynięty był także innym, jednolitym żywiołem: zakotwiczoną tu nad wszelkie spodziewanie swojskością. Jakaś polska kresowa hałastra, przybłądy z czterech stron świata i czterech wiatrów, niemłodzi już dziś ludzie, przynieśli tu ze Wschodu swoje bałagulskie, beztrosko naiwne ale i praktyczne ciepłko (*Roman znał przedwojenne Kresy, służył tam w wojsku, miał rodzinę*) i — na przekór niemieckim mieszczańskim ornamentom — stworzyli tu jakiś swój sugestywny klimat czy mikroklimat. Roman to czuł, i nagle, po paru rozmowach ze starym fryzjerem, starym portierem, starym kelnerem, rozumiał oto, że jest bezpieczny, zapominał o komunizmie, który tak go moralnie gnębił w Warszawie, zdawało mu się, jak by odpłynął sobie od tego wszystkiego gdzieś daleko. Sprawili to starzy ludzie, z którymi zamieniał po parę słów dziennie — młodzież już była inna, młodzież to osobna i nieznaną, niepokojącą sprawą. Ale ci, jego rówieśnicy, niby zagubieni tu gdzieś, w dziwacznie niegdyś luksusowym, przez dziwacznych Niemców zbudowanym, dziwacznym uzdrowisku nad Bałtykiem, dali mu od dawna już nie doświadczone poczucie ciągłości i trwałości: że nie żyje się przecież na zwariowanych, syp-

ko dialektycznych piaskach komunizmu, lecz u siebie, wśród swoich, bezpiecznie i w duchowym uciszeniu. Chłonąc na pustym, obramowanym szklanymi szóstkami bulwarze przestrzeń i wiatr, lub karmiąc na molo nadlatujące teraz chmarami mewy, poczuł się oto, od dwudziestu paru lat po raz pierwszy, na prawdziwym urlopie, doznał przeżyć bohatera hemingwayowskiego „Pożegnania z bronią”, który zbiegłszy z oszalałego frontu, w samym środku wojny, ucina sobie naraz błogą idyllę nad szwajcarskim jeziorem. Błogość i bezczynność, czyli błoga bezczynność to stan niespodziewany, stan niezbyt sprzyjający realizacji zamysłu, z którym tu przyjechał: wzruszyć ramionami na Historię.

V

Tak, to był czas darowany, ale darowany zgoła inaczej niż sobie to Roman uplanował. Zresztą, może zawsze czas darowany odmienny jest od naszego uprzedniego wyobrażenia? Świadczyłyby o tym również przypadek wynalazcy owego terminu, krytyka R... — choć właściwie krytyk R... był tu nie tyle wynalazcą, co po prostu sparafrazował proustowskie określenie: czas odnaleziony — chodziło w gruncie rzeczy o coś po trochu podobnego, o odtworzenie duchowej przeszłości i wystawienie jej całościowego świadectwa, o cofnięcie się i rekonstrukcję. Więc przecież krytyk R... zaczął po dwóch latach owego wymarzonego czasu zapewniać go czynnościami, imitującymi przedwojenny kołowrót zajęć dorywczych, zarobkowych, w ogóle rozmieniających życie na drobne, zaczął organizować owe tajne turnieje szachowe, kółka filozoficzne lub pisywać do konspiracyjnych gazetek, ukazujących się w nakładzie stu czy dwustu egzemplarzy (*w okupowanej przez Hitlera Warszawie wszystko, najniewinniejsza czynność o charakterze zbiorowym, musiało być konspiracyjne — mimo to funkcjonował nawet tajny uniwersytet; Polacy stają się znakomitymi organizatorami gdy im tego ktoś zabroni*). A zatem krytyk R... nie wytrzymał wymarzonego czasu darowanego, kiedy to mógł bez reszty zagłębić się w siebie i poświęcić swemu dziełu, nie wytrzymał i — poszukał namiastek, poszukał znienawidzonej przed tym atmosfery drobnych zajęć. Czy krytyk R... wykazał w ten sposób swoją małość, swoją niezdolność do stanięcia oko w oko z czystym, wyzbytym wszelkich ubocznych elementów wysiłkiem ducha? Trudno wydać nań jednoznaczny wyrok, był prze-

cież człowiekiem, zaś życiem ludzkim rządzi zapewne jakiś rytm, niezależny od wszelkich osobistych planów i zamierzeń, rytm w pewnym sensie biologiczny a więc w konsekwencji bio-psychiczny (*nigdy nie należy zapominać, że energia jest wysublimowaną formą materii, wobec czego materia to stężona postać energii*). Ten rytm działa sam przez się, niezależny od czegokolwiek, jak cykliczne prawo przyptywów i odpływów morskich. Cóż o tym jest w stanie powiedzieć człowiek, który nie zna nawet godziny swojej śmierci i chodzi po świecie z ukrytą w swym wnętrzu bombą zegarową, o wskazówce, nastawionej na nieznany moment: moment ów może przyjść za pięć minut, może i za dwadzieścia lat. Bardzo to demoniczny pomysł, skazać człowieka na noszoną w sobie niepewność, której absolutnie pozbyć się nie sposób — chyba właśnie z życiem. Nie wszyscy zresztą odczuwają świadomość zadziwiającego faktu, że można umrzeć każdej chwili: człowiek automatycznie chroni się w pozorną niewiedzę, czy neglizującą lekkomyślność, nieliczni tylko żyją z pełnym, wciąż obecnym poczuciem niebezpieczeństwa. Takim był Franciszek Kafka, pytający w rozpaczy, przed którą nigdzie nie znajdował schronienia, jaki sędzia wydał na niego ten straszliwy, nie podlegający zaskarżeniu wyrok.

Jaki sędzia? Ba — któż o to pyta: jedni nie odczuwają potrzeby takiego pytania, drudzy nie chcą się dowiedzieć, trzeci łudzą się, że już wiedzą. Jednym z najlepszych narkotyków, który zagłusza pytania i wprowadza nas w pewien rytm uchwytny a tak regularny, że wydaje się konkurować z tamtym, najwyższym rytmem przyptywów i odpływów jest zaabsorbowanie się czynnościami najprostszymi, najkonieczniejszymi, oddanie się ich miarowej monotonii: konieczność spełniania tych czynności nie może ulec zakwestionowaniu, bo służą one do podtrzymania życia i zapełniają czas, jednocześnie zaś są nieważne, nie indywidualne a więc w jakiś sposób żywiołowe — zatem żywioł przeciw żywiołowi, człowiek ma jednak swoją samoobronę. Chodzi tu, rzecz prosta, właśnie o urlop, zwyczajny mieszczański urlop, kiedy nie liczy się czasu, bo mierzy się go jedynie poprzez sprawy obojętne: godziny posiłków, drzemka, spacer, poranna kawa, wieczorna lektura — koniecznie nieważna, jakieś zagraniczne trillery — i nasłuchiwanie przed zaśnięciem, czy morze huczy sztormowo, czy też szmerze i pluszcze uspokajająco. Słowem, właśnie taki pobyt w C... Pobyt ten, dzięki panującej tu teraz pustce, utracił wszelkie napięcie, upodobił się do pobytów na Zachodzie, choćby u braterstwa w Monachium, czy gdzieś tam na południu Francji, pod Marsylią lub w Cannes, gdzie poza sezonem panuje właśnie niczym niezmacona słodycz unormowanej pragmatycznej

provincji, ofiarowującej nielicznym przybyszom nie tylko luksusy swej gościnności, lecz jednocześnie urok normalnego, codziennego życia, możliwość włączenia się w rytm tego życia bez konieczności osobistego uczestniczenia i angażowania się w nim — stawało się ono przez to zarazem zwyczajne i bajkowe, znane i egzotyczne, a to jest wielka przyjemność i wielka zabawa — zabawa w życie. Jeśli chodzi o C..., to napięcie znikło stąd wraz z tłumami wczasowiczów: obecność nadmiernej liczby ludzi, chciwych pokarmu i rozrywki, czyli po staremu chleba i igrzysk, obnażała szybko płytkie dno tutejszych zasobów asortymentowych, jak to mówiono w nowym żargonie (*właściwie od lat nie był on już nowy, to tylko Roman wciąż nie mógł się z nim pogodzić*), a wyczekiwanie w długich kolejkach, prowadzących do brudnawego bufetu, do kiosku z piwem czy do kina szybko wyczerpywało rezerwy nerwowe, które przecież tutaj, nad ową taflą jasnoblękitnego czy zielonawoszarego morza miały ulec nie zmniejszeniu, lecz regeneracji i zwiększeniu. Słowem, latem gościł tu luksus pozorny, bo zbyt blisko odsłaniało się chropawe dno tego uniwersalizmu niewykrystalizowanego, nie zrównoważonego, na dorobku. Teraz za to (to znaczy równy rok temu) objawił się luksus prawdziwy, polegający na nieskończonej ilości wariantów, na niewyczerpanej możliwości wyboru. Dla jednego Romana przeznaczono obecnie dziesięć kawiarni (*choć drugie dziesięć zamknięto*), wyglądało go piętnastu polujących na gościa fryzjerów, oczekiwały dwa kina, nigdy nie przepelnione, no i narzucała się obfitość odsłoniętego morza, morza różnych kolorów, naświetleń, stopni wzburzenia. Ławki, głębokie, wygodne, kusiły puste, wyrzucona z plaży w daleką wodę strzała mola ofiarowywała swe niepodeptane deski stopom przybysza, gdy zaś samotność się znudziła, to wieczorem, na pozbawionym chodników i jezdni bulwarze, pod wielkim niebieskim neonem roił się niemały tłum ludzi, zarazem wielkomiejski i prowincjonalny, trochę tak, jak w przedwojennej Lidzie, gdy w niedzielę gremialnie wychodzono z kościoła, a trochę jak w wielkich siedliskach przemysłowych. Przy tym czuło się, że to daleko od zwariowanej swą centralnością Warszawy — ludzie solidni i na serio, jakby nie w komunizmie, sympatyczni — troszkę chuliganów alfonsów przed wielkim Hotelem, ale to trybut konieczny do splecenia: są chuligani na Zachodzie są i na Wschodzie, wszak obie strony świata aspirują do nowoczesności, uprzemysłowienia, urbanizacji, tyle że każda na swój sposób. Tak, najważniejsze że daleko tu do centrali, że jest prowincjonalnie, a wiadomo — w komunizmie stolica właśnie stanowi jądro cyklonu, koncentrat szaleństwa, gdzie toczą się walki o serwowane krajowi formułki (*system ten stoi bowiem na rozpiętej koncentrycznie ni-*

czym pajęczyna władzy partii, walutą zaś tej władzy jest słowna formułka, rozprowadzana po całym kraju przez trzymane w jednym ręku masowe środki przekazu; stąd zapewne tyle tu co pewien czas szumu na temat literatów: literat zajmuje się właśnie słowem, a więc wciąż krąży wokół formułek, wciąż zatem się go podejrzewa, że chce puścić w obieg jakieś formułki swojego pomysłu; oczywisty to nonsens, nieporozumienie, bo przecież formułki pisarskie nie są obiegową walutą władzy, pisarz nie chce rządzić, ma inne cele; ale nie da się tego nikomu wytłumaczyć i stąd cenzura, przesiewająca pod lupą każde słowo — dlatego właśnie Poeta spod Moskwy, Roman i tak dalej). Ten właśnie prowincjonalizm, położenie na uboczu, bezpieczna i uspokajająca peryferyjność, przypominały Romanowi owe nie częste wizyty u brata w Monachium. Hitlerowskie Monachium — cóż za paradoks!

To było jedno z najdziwniejszych zjawisk, dotyczących polskości po wojnie, owo zaaklimatyzowanie się bohaterów Powstania w samymże Monachium, gdzie Hitler zaczynał od niepoważnej demonstracji z Ludendorffem aż gdzieś w roku 23-im, aby potem, od mrocznej, natłoczonej grubasami piwiarni, awansować do purpurą wykładanego Łuku Zwycięstwa (*jakiego zwycięstwa — dobrze nie wiadomo — w każdym kraju trafiają się jakieś zwycięstwa, więc i w Bawarii także*), z którego stopni rzucał w przestrzeń natłoczonego ludźmi bulwaru czy podłużnego placu wyduszone z głębi serca i gardła słowa, mające wówczas jakiś nieodparty, magiczno-uczuciowy wpływ na Niemców — wpływ ten zresztą obejmował całą ludzką naturę, więc musiał odnosić się również do mózgu, co było niepojęte. Roman pamiętał sprzed wojny kilka radiowych transmisji przemówień Hitlera, zostało mu z tego tylko ogólne wrażenie groteskowo wulgarnego ryku, za pomocą którego wyrażone były myśli tanie i prostackie, niekiedy wręcz dziecinne, gdyby nie to, że żywiołowa reakcja słuchaczy nadawała im znamię groźnego obłędu: gdy człowiek dorosły dziecinnieje intelektualnie a tłum rozumie go i podąża za nim, to dowód że wyzwala się jakaś siła irracjonalna i pierwotna, przewijająca się poprzez dzieje ludzkości w różnych formach i zadająca kłam wszelkim teoriom, przypisującym historii rozumność (*chodzi oczywiście o historię, jako wypadkową, jako ogólną sumę poszczególnych motywów — motyw racjonalny również tam czasem współuczestniczy, lecz w żadnym wypadku nie góruje, nie nadaje tonu na dłuższą metę*). Charakterystyczne przy tym, że zwolennicy najdalej idącej i najbardziej rozpowszechnionej teorii uporządkowania historii, mianowicie marksiści-leniniści, przemawiając wobec masowych audytoriów, odwoływali się również do taniego de-

monizmu, demaskując (*ulubione słowo*) tajne knowania imperialistów, którzy na przykład nie wahali się zrzucić na Polskę owada niszczącego kartofle (*był to tak zwany żuk Colorado, rzeczywiście zawleczony po wojnie do Europy na amerykańskich statkach*). Z czasem w przemówieniach wodzów marksistowskiej strony świata nie zbrakło i syjonizmu, specjalnie nadającego się do demonizacji i oddziaływania na naiwnie i irracjonalnie pobudliwą stronę wrażliwości mas. Tak więc, aby skłonić owe masy w kierunku aprobowania koncepcji sztandarowo racjonalnej, uciekano się do magii i czarnoksięstwa, operując dziwacznymi zaklęciami, amuletami, symbolami zastępczymi: jeśli chodzi o marksizm, jest w tym dowód pesymizmu wodzów, nie dowierzających atrakcyjnej sile uporządkowanej przez brodatego filozofa (*i jego następcy z mniejszą bródką*) koncepcji historiozoficznej, nie dowierzających również ludowi, traktowanemu jako olbrzymie zbiorowisko dużych dzieci, wrażliwych tylko i jedynie na magiczne sztuczki. Stalin był niewątpliwie wielkim czarownikiem, operującym na przemian narkotykiem i grozą, inscenizującym dla zajęcia i zafascynowania ludu widowiska tortur i stosów. Wydaje się, że robił to z chłodnym kunsztem prestidigitatora, o jego pełnej świadomości w tej całej grze świadczyłyby wyraźnie określone granice poszczególnych jej etapów, magia miała tu swoje precyzyjnie przygotowane fazy, noszące przy tym tytuły na pozór racjonalne i udające jasny ewolucyjny ciąg, jak na przykład walka z wrogiem klasowym, kolektywizacja, elektryfikacja, wielka czystka, mobilizacja patriotyczna i inne. Były to w istocie terminy zastępcze, mające znaczenie odcinkowych symboli w pewnym sugestywnym, psychologicznym ciągu, jak poszczególne, odgraniczone od siebie krzyżykami, etapowe odcinki różańca. Jednak Wielki Czarodziej, wyzyskujący dla swoich celów naiwną wiarę mas, przed którymi żongluje grą amuletów, totemów i zaklęć, pozostaje mimo to w swoim wnętrzu racjonalistą, tyle że racjonalistą wyniosłe samotnym, pesymistycznie pogardliwym wobec tłum, który swą sztuką uwodzi. Inaczej rzecz się miała z Hitlerem: ci co go znali i słyszeli zaręczają, że sam osobiście wpadał w ekstazę, jakiej udzielał tłumowi, następowało samoczynne sprzężenie zwrotne, tworzyło się swoiste *perpetuum mobile* energii — on zasilał słuchaczy a oni jego. O tym, jak Hitler płakał wraz z tłumem nad losem skrzywdzonych i zhańbionych Niemiec, jak autentycznie łkał niczym nieszczęsne dziecko, a wraz z nim łkała sala, natłoczona niemieckimi kobietami i mężczyznami, dał między innymi świadectwo średnio znany niemiecki pisarz, Ernest Gläser, w przedwojennej jeszcze powieści „Ostatni cywil”, opisującej początki, kiełkowanie hitleryzmu. Ów Gläser zresztą zachowywał

się podobno dość dwuznacznie, najpierw uciekł przed nazizmem do Szwajcarii, potem jednak wrócił, wstąpił do wojska i został jakimś zmilitaryzowanym redaktorem czy szefem od propagandy. Ciekawą rzecz słyszał o nim Roman podczas okupacji: oto w Krakowie pewien niemiecki kapitan, przedstawiający się jako Ernst Gläser, pisarz, szukał kontaktu z polskimi literatami uprawiającymi podziemne życie kulturalne, twierdząc, że czyni to w celach przyjaznych i że „trzeba nareszcie porozmawiać”. Rzecz była sama w sobie niesłychana i bez precedensu, toteż nikt mu nie ufał i do żadnych kontaktów nie doszło, potem gdzieś zniknął, podobno pojechał na Front Wschodni a może gdzie indziej, w każdym razie więcej się już nie pojawił. Roman nie znał jego losów powojennych, nie wiedział czy napisał coś jeszcze, czy nie, nigdy jednak nie zatarła mu się w pamięci owa, na dobre parę lat przed wojną w polskim przekładzie czytana książka „Ostatni cywil”, gdzie autor z ogromną sugestywnością psychologiczną ukazał proces hipnotyzerstwa, ale szczerze: Hitler łkał szczerze i tym szczerzej, im szczerzej łkały za nim zabiedzone i upokorzone, zagnane w niezbyt mądry zaulek Republiki Weimarskiej (*też zasługa ślepoty tak zwanych Aliantów*) niemieckie tłumy. Tę zbiorową histerię przekuto następnie, przy znanej szkopskiej dyscyplinie, pilności i zdolnościach organizacyjnych (*bodaj ich nigdy nie mieli*) w siłę iście żelazną, nieprzystępną żadnym perswazjom, argumentom, czy potocznym, ludzkim uczuciom, bo ożywioną, ogrzaną od wewnątrz przez solidarność owego zapamiętałego narodowego łkania, które złączyło ich na niezliczonych mitingach, prowadzonych przez Wielkiego Histryka a reżyserowanych przez jego zręcznego acz kulawego mistrza ceremonii. Ludzie, których jedność wyrosła niegdyś z intensywnie a magicznie wpojonego poczucia wspólnej narodowej krzywdy, potrafią stać się w odpowiednich okolicznościach absolutnie, kamiennie niewrażliwi na krzywdy innych: tym może da się tłumaczyć niewinność niebieskich oczu niebiesko umundurowanego oficera (*ta niebieskość nie da się już z kolorystycznej wyobraźni pewnego polskiego pokolenia wykorzenić aż do śmierci — a ludzie żyją długo, coraz dłużej*), oficera, rozbijającego o warszawski bruk główkę zagłodzonego, żydowskiego dziecka. Można ludzi tak wychować i do takich czynów przysposobić — nie tylko zresztą Niemców, w przypadku tych ostatnich, obok magii, czarów i mitologii krzywdy (*a potem mitologii Wielkiej Przygody: swastyka czyli Nowy Amulet nad Pragę, Warszawą, Brukselą, Amsterdamem, Paryżem, Belgradem, potem ewentualnie Londynem i Moskwą*), obok wszelkich, tak drogich średniowiecznej niemieckiej wyobraźni, duchowo ornamentalnych, starogermańskich pów i dekoracji,

ogromną rolę odegrała ich skłonność do mechaniki, która okazała się, wbrew rozpowszechnionemu stereotypowi o niemieckiej solidnej płaskości, pełna zaskakującego polotu: błyskawicznie przenosząca się z miejsca na miejsce i z kraju do kraju armia mechaników przy kierownicach stała się ciałem, francuski zaś, napoleońsko-zdolny czy nawet, jak twierdzono, genialny filozof wojny potrafił jedynie przeciwstawić jej wypraną właśnie z wszelkiego polotu, konwencjonalną a zgoła, jak się miało okazać, śmieszna koncepcję pracowitego systemu fortyfikacyjnych kretowisk, o którą rozbić się winien wszelki atak; groteskowości przyczyniał temu zamysłowi fakt, że kretowisko obejmowało tylko pewien odcinek francuskiej granicy, lekceważąc tradycyjną już przecież trasę wojsk niemieckich przez Holandię i Belgię. Stara anegdotka opowiada, jak to rewolucjoniści niemieccy w roku 1918 nie mogli zdobyć dworca w pewnych mieście, ponieważ kasa była zamknięta i nie sprzedawano peronówek. W tym wypadku Francuzi, wyznaczający nieprzyjacielowi ufortyfikowany odcinek gdzie ma uderzyć, stali się Niemcami, karykaturalnie legalistycznymi Niemcami, a za to Niemcy pełnymi pomysłów Francuzami z epoki pierwszej bitwy nad Marną, kiedy to pewien generał użył do przewozu wojska paryskich taksówek. Tylko że ci francuscy teraz Niemcy byli we władaniu zgoła nie galijskiego irracjonalizmu, okazało się to ze straszliwą namacalnością w ich niewiarygodnym (*niewiarygodnie logiczna precyzja zastosowana do sprawy tak na wskroś obłądnej*) mordowaniu Żydów w całej Europie. Wszakże sprawa owa była zupełnie poza racjonalną, niewytłumaczalną w żaden sposób i nawet marksistowsky, dialektyczni interpretatorzy łamigłówek czy rebusów historii okazali się wobec niej bezsilni. Hitler nie musiał mordować Żydów, którzy wszakże uważali zawsze Niemcy za swą duchową ojczyznę: gdyby go poparli, gdyby nie zaalarmowali w końcu anglosaskich mocarstw, miałby europejską wojnę w kieszeni, zdążyłby ją wygrać, zanim by się ktokolwiek opatrzył, a Żydów, jeśli już koniecznie chciał, mógłby wymordować później. Rzecz jednak w tym, że nie potrafił czekać, nie potrafił do czasu ukryć swej nienawiści i niecierpliwości, nie był bowiem zimnym graczem, posługującym się histerią mas, lecz był tej histerii współuczestnikiem, współautorem i zarazem niewolniczym sługą, był uczniem czarnoksiężnika, który padł ofiarą wywołanych przez siebie czarów, nie znajdując zaklęcia na ich powstrzymanie — zresztą wcale go znaleźć nie chciał, uważając, że rozpełtane czary zawiodą go do celu: choć cel był mityczny, to jednak wydarzenia długo zdawały się temu przeczyć, potwierdzając namacalność dążeń, gdy niesprawdzalne się sprawdziło, a nieprawdopodobne realizowało. Co innego Wielki Cza-

rodziej ze Wschodu — ten miał cele etapowo usystematyzowane, sztukami zaś magicznymi posługiwał się na zimno, wyjmując jak opanowany prestidigitator na oczach zafascynowanego, znieruchomiącego tłumu kolejne przedmioty ze swego olbrzymiego, cyrkowego cylindra. On też w końcu został tryumfotorem, mimo iż również balansował przez chwilę na skraju przepaści: czyżby więc było to jednak zwycięstwo jakiegoś racjonalizmu, tyle że pyrrhusowe, skoro nie mogło się obyć bez magii, amuletów, tote-mów, całej owej aparatury, której skuteczność prowadzić musi do nieuchronnego oskarżenia ludzkości o dziecinność, dziecinadę, dziecięctwo?

Wracając jednak do Hitlera (*wracając, boć to już historia, tyle że całe pokolenie Polaków żyje wciąż w cieniu Hitlera, czego nie mogą zrozumieć ludzie na zadufanym, nie poczuwającym się do żadnej winy czy nienormalności Zachodzie; sądzą prostodusznie a naiwnie, że oni już przeszli nad hitlerowskim incydentem do porządku i z powrotem osiągnęli normę*), wracając więc do owego ojca i współuczestnika niemieckiej hysterii, to zdumiewającą jest rzeczą, jak łatwo i po wielokroć można go było zawczasu powstrzymać i unieszkodliwić, z jaką beztroską nonszalancją tego zaniechano. Romanem wstrząsnął po wojnie pewien efektowny opis: sławna paryska dziennikarka zrelacjonowała wizytę polskiego ambasadora u francuskiego ministra spraw zagranicznych w dniu wybuchu wojny. Ambasador (*po latach miał popełnić samobójstwo*) krzychał, zaklinał, groził, łkał niemal, żądając, natychmiastowego wypełnienia alianckich zobowiązań wobec swego kraju, wobec samotnej Polski, miażdżonej bezosobową armią latających lub błyskawicznie pełzających po ziemi maszyn. Wyniosły, urażony histerycznym tonem ambasadora minister wskazał mu drzwi, ani przypuszczając, że za dziesięć miesięcy szosy francuskie zaroją się uciekającymi gremialnie przed inwazją zmechanizowanych Niemiaszków zjadaczami żab, zaś racjonalna, spiżowa doktryna filozofa wojny czyli niejakiego Gamelina stanie się w ciągu paru dni z czegoś bardzo poważnego, czym zajmują się ludzie dorośli, czymś arcykomicznym, do czego wracać będą jedynie niepoprawne wykpisy i sowizdrzały (*a może to w istocie tylko sowizdrzały są na tym świecie poważne, bo gotowe zawsze na wszystko, w żaden sposób nie dadzą się zaskoczyć czyli ośmieszyć — żywiotowo wszakże i nieodparcie jest śmieszne, gdy kroczący po twardej równej ziemi gentleman wpadnie nagle w dziurę, której nie zauważył i nie przewidział*). Tymczasem Niemcy miały wtedy odśloniętą zachodnią granicę i gdyby podopieczni filozofa wojny skoncentrowali swe, rozproszone po różnych jednostkach a liczniejsze od wszystkich ówczesnych niemieckich, czołgi (*tak pono*

radził pewien francuski pułkownik sztabowy, który zrobił zresztą później zawrotną polityczną karierę), to owa motorowa kawalkada dojechałaby zapewne bez żadnych przeszkód do Berlina, Hitler o parę lat wcześniej okazałby się wariatem, na świecie zaś zginęłoby o dwadzieścia czy trzydzieści milionów ludzi mniej. Bagatela! Jakże tu nie wzruszać ramionami nad historią, rozgrywającą swe partie w sposób tak nierozumny. Inna rzecz, że nikt nie udowodnił, jakoby historia miała być rozumna — nawet ów brodaty filozof z Trewiru, który na nieszczęście tak był pracowity i tak sam siebie poważnie traktował, a którego teorie, właśnie dzięki irracjonalnej nierozumności historii, miały teraz zrobić nieprawdopodobną karierę, choć zgoła odwrotną niż jej autor projektował.

Rychło się bowiem okazało, że beneficjentem lekkomyślności tak zwanych wielkich aliantów, magicznego zahipnotyzowania się i zhistryzowania narodu niemieckiego, oraz powstałej stąd gigantycznej rzeźni, zostać miał nie kto inny, jak Wielki Czarodziej ze Wschodu i jego wyszkolona w psychologicznych sztukach ekipa duchowych akrobatów, mieniająca się uczniami brodacza z Zachodu. Wprawdzie teorie tego ostatniego po wielokroć postawiono na głowie, ale udało się wydestylować z nich i zmontować zespół słów przydatny na każdą okoliczność i okazujący się znacznie skuteczniejszym instrumentem do emanowania najpierw obywatelniającej a potem mobilizującej magii, niż słowa, padające niegdyś ze schodów u stóp monachijskiej piwiarni (*wschodni filozofowie przewrotu snuli niegdyś, dla odmiany, swe rzekome utopie w arcyspokojnych kawiarniach szwajcarskich, nad idyllicznymi jeziorami Zurychu czy Genewy — tak to stara Europa na swą własną zgubę wyprodukowała ów łagodny, kawiarniano hotelowy liberalizm — posłużył on później zajadłym brodaczom z dalekiego, egzotycznego rosyjskiego świata: ich spiczaste lub klinowe bródki zastąpiły łopatową, patriarchalną brodę trewirskiego patrona, który w końcu za siedzibę obrał sobie Londyn*). Wśród wielu błędnych i obłądnych przepowiedni Hitlera, jedna się sprawdziła: że klęska Niemiec stanie się klęską Europy, pojętej w dawnym znaczeniu tego słowa. Tak się też i stało: w rezultacie, w dwadzieścia lat po wojnie, niewielki zachodni półwysep, ciesząc się bogactwem, dosytem, wolnością, skurczył się sam w sobie i sam dla siebie, kraje zaś wschodu i środka Europy, te z którymi przez setki lat tak okrutnie a nierozważnie się obchodzono, odpadły definitywnie, stając się łupem filozofów i to aż po Łabę. Tymczasem Złoty Kapitol zza Atlantyku sypał wprawdzie, owszem, papierowym złotem, ale do głębszego rozstrzygnięcia spraw przełamanej na dwoje Europy zgoła się nie palił, ciesząc się tylko, że nic się tu na razie nie dzieje, co zresztą nie było bez racji, zważywszy, że

jakiegokolwiek dalsze historyczne „dzianie się” mogłoby doprowadzić do wymiany dziwnych, za nic sobie mających oceany i kontynenty pocisków, stworzonych na jakieś bardzo zawiłej zasadzie, której normalny człowiek zgoła nie pojmował, wierząc jednak na słowo fantastycznej definicji, iż właśnie w najmniejszej części materii zawiera się największa siła. Była to najwyraźniej broń dla narodów słabych i upośledzonych, tymczasem, jak na złość, zawładnąć nią mogły tylko narody wielkie i bogate. I w rezultacie tak się jakoś ustaliło, że półwysep zwany teraz Zachodnią Europą stał się w gruncie rzeczy ziemią niczyją, niedorzecznie ustabilizowaną i lekkomyślnie uspokojoną, lekkomyślnie, wobec mogących ją czekać decydujących ewenementów (*uspokajano się zazwyczaj gładko brzmiącą sentencją, że sytuacje w zamyśle prowizoryczne trwają częstokroć najdłużej*). Kto zawładnie tym miłym, starym, ciekawym dla przybyszów stąd czy zowąd, wypoczynkowo-turystycznym terenem? Filozofowie ze Wschodu mieli magiczny zestaw słów, pojęć i definicji, czarodziejsko transformujący ludzi (*po latach stosowania, rzecz prosta — zacząć trzeba na ogół od przemocy*), pragmatyści z Zachodu mieli natomiast pieniądze i geniusz materialnego organizatorstwa. Kto wygra? Doświadczony historią Roman (*Polacy z reguły przeżywają na swoim karku to, co inni znają jedynie ze słyszenia — zresztą nie tylko Polacy, wszystkie środkowoeuropejskie „małe” narody*), biorąc pod uwagę sprawy które widział, wcale zresztą nie zapytywany wówczas czy ma na to ochotę, w młodości, wieku średnim i na starość, obecnie skłonny był sądzić, że zachodni Disneyland posiada wszelkie szanse, aby pewnego dnia w sposób zgoła bezatomowy stać się kolonią imperium filozofów: magia i czary bowiem (*plus siła*) wydawały się dziś skuteczniejszym sposobem realizowania historii niż metody racjonalno-materialne. Obwieszczał to z mało dla samego siebie zrozumiałą satysfakcją braterstwu w słonecznym, gdy je odwiedzał, Monachium, (tak mu się jakoś ono zawsze kojarzyło z ulicznym słońcem) ale oni, rzecz prosta, wcale się tym nie przejmowali, uważając jego prococtwa za tetryczenie skomunizowanego wbrew swej woli lecz nieszkodliwego dziwaka. Oto Zachód i oto Wschód, przełamane jak w pryzmacie w jednej polskiej rodzinie, ba — w jednej polskiej duszy (choć nie wiadomo, czy jest w nas jakaś dusza, jak mawiał któryś z bohaterów Londona).

Owo Monachium, słoneczne, po staroniemiecku malownicze, kojarzące natłoczony wszelkimi autami świata „Stachuz” z tradycyjnym, gościnnie a po tamtejszemu swojskim, studencko romantycznym „Schwabingiem”, pełne Murzynów i Amerykanów a zarazem wykazujące się sporą kolonią ukraińską i jakimś ułam-

kiem procenta Polaków, w tym niezłym plutonem bohaterów konspiracji i warszawskiego Powstania, takich choćby jak Andrzej, brat Romana, co wędrował kanałami ze Starówki aż do owego wjazdu przy Agrykoli, gdzie Niemcy wrzucili bomby z duszącym gazem — to Monachium było miasteczkiem zgoła nieprawdopodobnym, od swych ciężkich gmachów muzealnych i uniwersyteckich nad wąską, kamiennie obramowaną Izarą, od dostojnej staroświeckiej Pinakoteki aż po nowe, szklanokolorowe dzielnice smukłych „drapaczy” na wyburzonych po legendarnych bombardowaniach terenach. Gdzie była tutaj dusza Niemiec, w tym turystycznym podalpejskim raj, w którym jadąc malowniczą autostradą „za niewiele kilometrów” można było odnaleźć dawny teren sławnego obozu koncentracyjnego — a może dusza owa znikła, ulotniła się wraz z Hitlerem i jego klęską? Skoro by więc nie było już w tych stronach żadnej niemczyzny i żadnej duszy, to może rację miał rezydujący tutaj Andrzej, korzystając z miejscowych swobód i uroków, dorabiając się solidnie, ceniąc tylko mieszczańskie konkrety, zarazem jednak kultywując w domu izolowaną, jakby zamrożoną czy utrwaloną w skamielinie polską z kolei swojskość, nigdzie już w takiej postaci nie istniejącą, tradycję harcersko-akowską, powstańczą, kiedy to odcinek walącej się codziennie na głowy Marszałkowskiej wraz z paru na pół zburzonymi przecznicami był wolną i tryumfującą swym bohaterstwem Polską, jedyną na świecie wolną Polską, na przekór wszelkim „obrotowym” wrogom z Zachodu czy Wschodu — powstanie toczyli wszakże w przygnębieniu, w cieniu jednej sprawy — nie załatwionej sprawy Wschodniej; nie szło już o niemieckie bestialstwa, o krew, ruiny, huk, ryk samolotów i zgrzyt wyrzutni zwanych „krowami”, o głód, pragnienie, trupi smród — szło o ten nie wcielany w słowa lecz noszony przez każdego w sobie pytajnik: co ze Wschodem, co załatwiano, kto załatwia, jak załatwia?! Jeżeli jednak wypadki potoczyły się inaczej, jeśli zwyciężył właśnie ów Wschód a ci, co przeżyli, przeczterpieli jeszcze furę, jak choćby Andrzej w obozie, jeśli stworzono inną Polskę, którą marksistowsy filozofowie przetransformowali w sposób sobie wiadomy, magicznie i bezpowrotnie (*bo przecież teraz, po latach, żyli tam zupełnie inni Polacy — to nie ulegało wątpliwości*), czy więc po tym wszystkim, w pełnej świadomości tego wszystkiego, należało kultywować ową nieistniejącą, duchową tylko, warszawską mikro-Polskę i to akurat tu, w nieprawdopodobnie dziwnym, niemieckim przecież, choć na pozór pozbawionym duszy Monachium?

Miasta niemieckie zdawały się brać teraz dziwny rewanż za hitlerowską wojnę. Przysiąc by można na wszystko, że nie ma

w nich nic demonicznego: wyrzekły się demonizmu raz na zawsze, nawiązując z jednej strony do romantycznej, feudalno-mieszczkańskiej tradycji owych nieofensywnych, idyllicznych państewek, które niegdyś, przez stulecia, składały się na bezsilną Rzeszę Niemiecką, gdy mało komu śniło się o pruskim imperializmie a drapieżnymi rabusiami bywali Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi czy Francuzi, z drugiej zaś strony do amerykańizmu, codziennej pilnej energii, organizacji, bezideologicznego dobrobytu „pracy organicznej”, jakby powiedziano w Polsce. Takie to bywały teraz miasta niemieckie — a gdzie wyemigrowały z nich demony? Każdy Polak, przybyły z kraju po latach (*Roman zaczął oczywiście odwiedzać brata dopiero po tak zwanym Październiku*), nieodmiennie o to zapytywał, tubylcy zaś patrzyli nań jak na maniaka, wskazując co najwyższej otyłe lub kościste sławne wdowy po skazanych w Norymberdze hitlerowskich wodzach, robiące beznamytnie zakupy w świetnie zaopatrzonych monachijskich sklepach. Jakto, więc nawet groza i nienawiść poszły na darmo, rozplynęły się w spokojnym filisterstwie, czyż więc Historia straciła już tutaj resztę sensu? — zapytywał nieodmiennie przybysz znad Wisły, podkształcony, choćby wbrew swej świadomości, przez ubóstwiających i urealnających historię na swój obraz i podobieństwo filozofów i stropiony powszednią a szybką falą tutejszego dnia, przechodzącego do porządku nad wszystkim co było. Lecz ci, co widzieli cały proces w jego kolejnych fazach, zgoda się nie dziwili: nie dziwił się wcale Andrzej, podporucznik AK, bohater Powstania i więzień obozów koncentracyjnych, ożeniony w najtragiczniejszych okolicznościach z niemniej bohaterską łączniczką „Kamą” i mający dwóch synów, rosnących blond dryblasów bez kompleksów, dla których Polska to tylko ojcowskie „Virtuti” w szklanej gablotce na ozdobnym, mieszczańsko-szkopskim biurczku, stryj zaś jest przybyszem z *nomandslandu*, z dziwacznej komunistycznej niewoli. Chciał czy nie chciał — był tu komunistą, a jego dopytywanie się, gdzie podzieli się hitlerowcy, przez ojca jeszcze rozumiane, przez synów traktowane było jako właśnie przejaw niewolniczego, zza kurtyny rodem psychicznego urazu. Osobliwa to sprawa, osobliwe skręty życiowe doprowadzają ludzi do osobliwych psychicznych wąwozów. Bagaż duchowy, z którym przyjeżdżał z kraju, nawet bagaż owej uświadamianej sobie własnej szmacianości wobec wszechmocnego ustroju w którym żył i z którym się nie zgadzał, wydawał się oto nagle czymś nieistniejącym, nieistotnym, wyimaginowanym. W rezultacie zaczynał tu odpoczywać, w samym „München” czy w malowniczych (oleodruki, niemieckie oleodruki!) alpejskich gospodach, stylizowanych zewnętrznie na ludowe chaty, odpoczywać arcywygod-

nie, jak zwykły mieszczański turysta, pograżając się wbrew sobie w beztroskiej i nieodpowiedzialnej błogości — wbrew sobie, bo nie uważał, żeby akurat tutaj, w tym miejscu, odpoczywać należało i wypadało. Ale braterstwo traktowali całą rzecz jak najnaturalniej w świecie: gdy zaczynał wreszcie po prostu właśnie odpoczywać, mówili, że opada z niego „komunistyczny nalot”. A po zakupy chodził z bratową do ogromnego sklepu na bulwarze, niedaleko purpurowego od środka Łuku Zwycięstwa, tam właśnie gdzie pokazywano sobie niosącą świeże bułki panią Himmler. Przy okazji bratowa nigdy nie omieszkła przypomnieć mu, że ów Łuk Tryumfalny tyczy się sukcesów nie ogólnoniemieckich lecz lokalnych, pewnego mianowicie królika niezawisłej Bawarii i że herbem miasta Monachium jest, dzięki jakimś tam znowu dawnym polskim książęco-królewskim koligacjom, biały orzeł w koronie, którego też wszędzie, nawet na owym Łuku można było widzieć.

Jedno nie ulegało wątpliwości na pewno: żył tu teraz ograniczony, solidny, zamożny plebs, który wchłonął w siebie i zabarwił sobą inne warstwy, wśród nich tradycyjną mieszczańską inteligencję, nieuchronnie się z nią mieszając. Dwie strony świata zamieniły się rolami: tu ton nadawał ów pragmatyczny plebs, tam, na Wschodzie, pierwsze skrzypce grali tak zwani działacze, opętani niby intelektualisci, w istocie zaś korni słudzy owej spopularyzowanej na ich użytek filozoficznej magii, nauczyciele ludu, zbrojący się w wyjęte z kieszeni okularki, aby wydukać z kartki poprawnie, arcy w swej poprawności precyzyjnie, nawet gdy chodzi o semantykę, mistrzowsko zredagowane tezy (*sztło tu zawsze o przepłynięcie idealnym, abstrakcyjnym środkiem pomiędzy odchyleniem prawym i odchyleniem lewym*), będące instrumentem pełnego owładnięcia wrażliwością słuchaczy ubogich duchem a łaknących rzekomo myślowej manny, zsyłanej z niebios czyli z wiecowej estrady, zmieniającej się tutaj w coś na kształt kościelnej ambony, z której padają w zasłuchany tłum wersety ewangelii. Jako ubogich duchem traktowano bowiem na Wschodzie wszystkich, którzy się liczyli, którzy byli potrzebni — nie liczyli się tylko ci, którzy mieli swoje zdanie, którzy próbowali neutralizować płynące z góry czary własną jakąś filozofią: tych albo zwalczano jako wrogów, albo też, gdy dosyć umiejętnie udać potrafili zewnętrzną potulność, tolerowano do czasu, niczym owego Poetę spod Moskwy. Resztę uważano za podatnych na każdą magię prostaczków — ciekawa to rzecz, jak bardzo wiodący czarodzieje tego ustroju lekceważą w istocie masę. Wynika to zapewne z faktu, że owa rzekomo przodująca klasa — robotnicy, jest w krajach opanowanych przez filozofię trewirskiego brodacza

(dzięki osobliwemu żartowi historii były to przeważnie kraje chłopskie) grupą nader jeszcze niemądrą, nieświadomą, niesolidarną, bezwolną, stąd też przyzwalającą na reprezentowanie siebie przez opętanych swą historiozoficzną misją inteligentów (w języku rosyjskim istnieje słowo 'jurodiwyj', które stanowi syntezę dwóch pojęć: obłąkany i natchniony). Obłąkani intelektualści jako przywódcy pragmatycznie działającej klasy robotniczej, to był specyficzny paradoks, nawet założywszy, że przywódcy owi pochodzili niegdyś z proletariatu. Zresztą stygmaty tego pochodzenia, w miarę sprawowania wodzowskiego szamaństwa, szybko się zacierały, i tak na przykład, o ile zbogacony plebs zachodniorniemiecki wykazywał dziś czystą pragmatyczność, nieskażoną żadnymi elementami ideologicznymi (*dostatecznie już sparzyli się na Wielkim Ideologu ze swastyką*), o tyle nominalni przywódcy proletariatu ze Wschodu, widząc mniejszą wydolność ekonomiczną swego ustroju, skwapliwie rezygnowali w przeróżnych pełnych myślowej ekwilibrystyki traktatach, z czysto materialnego ujęcia rzeczy, twierdząc, że filozofowi z Trewiru nietyle chodziło o wieprzowaty dobrobyt, co o przerobienie człowieka w bezklasowego a więc altruistycznego anioła. Oczywiście, zapytać dziś owego filozofa wprost o co mu właściwie szło było już niesposób — umarli głosu nie mają, zostało po nich jedynie Pismo. Tak czy owak, zamiana rolami między Wschodem i Zachodem po niedługiej nawet wizycie w Monachium narzucała się sama: tu potoczny pragmatyzm, tam heglowski idealizm. Co więcej, Roman, zawsze gdy posiedział trochę na Zachodzie, zaczynał się dusić owym codziennym, przyziemnym materializmem, w którym nie uczestniczył oraz tęsknić za kawiarnianym intelektualizmem warszawskich golców — w Warszawie natomiast od razu robiło mu się niedobrze, od razu gdy tylko odrobinę chociaż pogrążył się w ową tutejszą, drżącą jak płasające cienie fikcyjność życia, podległego nie swoim własnym prawom, lecz obrzędowi czarnoksiężników. Za czarnoksięstwem można zatęsknić, lecz żyć w nim na co dzień i samemu nie oszaleć to rzecz niezbyt łatwa. Czytając subtelne dyskusje prasy warszawskiej, czy i na jakich światopoglądowych warunkach można by tu założyć parę prywatnych kawiarni, Roman wcielał się w swego rodzonego brata, obecnie monachijczyka, dla którego mózgu lektura taka byłaby czymś absolutnie niedostępnym, bowiem istnienia tego rodzaju abstrakcyjnych światów intelektualnych (*choć mających swe realne acz drobne zaczepienie w rzeczywistości, jak owa główka od szpilki na której, według słynnej scholastycznej metafory siedzieć mieli aniołowie*), w ogóle nie podejrzewał, Roman zaś wolał mu o tym

nie wspominać, aby nie zrazić braterstwa do swej zwariowanej osoby zupełnie i nieodwołalnie.

Zresztą Roman wiedział oczywiście, że nie należy niczego upraszczać, że każda sprawa ma swoje boki, marginesy a także swą głębię. W federalnej republice, obok zubożonego plebsu i mieszcuchów, byli także i pełni polotu, liberalni, postępowi, zapaleni studenci, bardzo chętni do kontaktów ze wschodnią stroną świata, ba, nawet snobujący się na komunizm czy komunizowanie, w każdym zaś razie na marksizm. Roman unikał ich, gdyż czuł się wobec nich w jakiejś podwójnie fałszywej sytuacji, czego oni w żaden sposób zrozumieć nie byli w stanie. Nie mogli wszakże pojąć, że wszelkie zachodnie hasła lewicowe, wolnościowe, humanistyczne, kompromitują się przez doszlusowanie do nich komunizmu, który firmując je (chwilowo i taktycznie zresztą), bezpowrotnie je fałszuje, nie jest bowiem w swej politycznej istocie ruchem demokratyczno-lewicowym, lecz prawicowym, konformistycznym, co objawia się namacalnie w krajach przezeń rządzonych. Postępowi studenci niemieccy nie mogli przyjąć tej tezy, bo wtedy oskarżono by ich o reakcyjność i imperialistyczny antykomunizm, a tego wystrzegali się jak ognia. Cóż za komedia omyłek w świecie, który bardziej boi się słów niż czynów!

Nie przepadli też oczywiście hitlerowcy, istnieli na pewno, nawet — w dużych ilościach, cudów nie ma, to przecież ten sam naród co przed dwudziestu laty. Istnieli masami, tyle, że byli teraz nieważni, ich sprawa przeminęła, związani ze swoim czasem, z jego magią i hipnozą, z jego trucizną, dziś, w epoce hipnozy całkiem innej okazali się nieaktualni, pozbawieni roli i znaczenia, mogli się tylko rozplątać w tym co przyszło, skwapliwie też to robili. Fakt, że uczestnicy Wielkiego Morderstwa stali się w zmienionych warunkach jak najspokojniejszymi, legalistycznymi, pilnymi i uczynnymi obywatelami, dowodził stałej demoniczności bytu: od takiego czy innego układu elementów świata zewnętrznego oraz świata hipnoz i sugestii zależy niepojęty fakt, że każdy zbrodniarz może się stać spokojnym obywatelem, zaś każdy spokojny obywatel — zbrodniarzem. To było też jedno z praw historii, na które należało ostentacyjnie wzruszyć ramionami. Tutaj od czasu do czasu wyciągano kogoś z tych spokojnych obywateli z szeregu i robiono mu proces o dawne zbrodnie. Procesy te były gorszące i obłudne, bo sprawców śmierci milionów skazywano tylko w wypadku gdy zabili kogoś własnoręcznie, poza tym nie sądzono przecież tych samych, wypełnionych dawnym czasem ludzi, lecz puste tykwy po nich: człowiek zmienia osobowość zależnie od zmiany warunków zewnętrznych, tak przynajmniej uczył Marks i do tego stosowali się Rosjanie, nie

karząc, poza samym wąskim wierzchołkiem władzy, zbrodniarzy stalinowskich, których czyny z takim ferworem przedstawił światu Chruszczow. Roman gorszył się tego rodzaju procesami hitlerowców, bo zamazywały one i pomniejszały ogromnie ważną sprawę ogólnoludzką; uważał, że miast do więzień, winni być oni kierowani do jakichś specjalnie wyczulonych, najnowocześniejszych laboratoriów psychologicznych, niestety, jak się rzekło, ludzkość nie dorosła jeszcze do spraw istotnych, które mogłyby zdystansować politykę, a rządy naukowców okazywały się utopią, choć to przecież naukowcy właśnie są dziś posiadaczami najważniejszych sekretów przyszłości. Takich na mało płodnym widzeniu rzeczy opartych procesów płytko-sądowych domagała się zresztą od Niemców Rosja i jej współtowarzysze, nie domagała się tego natomiast od zaprzyjaźnionej bo zneutralizowanej Austrii, choć każdy człowieczyna w Monachium wiedział, że zachowani jawni kapłani i notable swastyki siedzą sobie w najlepsze *an der schönen blauen Donau*. Tak więc i tutaj obowiązywała zasada *politique d'abord*.

Roman żałował w ogóle, że jeżdżąc do braterstwa włączył się mimowolnie w dzisiejsze sprawy niemieckie, w sprawy owego narodu, z którego teraz, po demonicznym paroksyzmie, uszła dusza. Obraz solidnych mieszczuchów przy cywilnej kierownicy, udających się na *week-end* do Szwajcarii czy Tyrolu wypierał mu z myśli i pamięci tamtą wizję, wizję zmotoryzowanych błękitnych przybyszów z jakiejś innej, nieludzkiej planety; wizję tę nosił w sobie wraz ze strasznym, kamiennym zapachem okupacyjnego mrozu, mrozu, co przez swą straszność stał mu się drogi, niczym skarb, tak jak drogie jest we wspomnieniach każde przeżycie intensywne i dzięki owej intensywności psychicznie decydujące. Zawarcie znajomości z tymi, pozbawionymi duszy i duchowej orientacji a za to w trójnasób pilnymi monachijskimi szopkami, mogło odebrać mu okupację, będącą jednym z jego utrwalonych, wewnętrznych bogactw; widok Niemców wyzbytych wszelkiego legendarnego nimbu, wyzbytych straszliwości, okrucieństwa, obłądnej doktryny, Niemców nijakich, zwyczajnych dorobkiewiczów, pracusiów i chytrusków zamącał mu krystalicznie czystą, brzmiącą rzadkim, najprawdziwszym patosem wizję warszawskiej Nocy Narodowej (drugi obok Czasu Darowanego termin krytyka R...). Odbierano mu oto ową okupację, tak jak kiedyś odebrano mu dzień wyzwolenia. Każdy Polak przez długie pięć lat pieścił w myśli obraz dnia zwycięstwa, dnia rewanżu, a oto jak wyglądał ów obraz w oczach małego podwarszawskiego miasteczka, gdzie Roman plątał się od zakończenia Powstania, niewoli bowiem uniknął w ostatnim momencie, przekładając nad nią anonimowy

był wypędzonego ze stolicy cywila. W parę dni po wkroczeniu a raczej wjechaniu Rosjan (*na wielkich, zwolna defilujących angielskich czołgach typu „Sherman” siedzieli niebieskoocy ludzie w mundurach i futrzanych czapach*) ogłoszono przez megafon, że tego to a tego dnia nastąpi w miejscowości S... wkroczenie armii polskiej. Od rana przez głośniki rozbrzmiewała przez wiele godzin bez przerwy melodia „Jeszcze Polska nie zginęła”, miasto udekorowane było polskimi sztandarami, na rynku zбитy, nieruchomy tłum oczekiwał wydarzeń cierpliwie, mimo mrozu oraz dłużącego się rozciągliwie czasu. I wreszcie, o styczniowym zmierzchu, wśród prószącego z lekka śniegu, czwórkami wmaszerowywać jąta piechota, oddziały armii Berlinga. Polskie mundury, choć zbyt długie płaszczki, rogatywki z orzełkami, oczy siwe, też polskie — a tu uważny tłum trwał w głuchym, nieruchomym milczeniu, wpatrzony lecz niezyczliwy, bez uśmiechu, bez okrzyku, bez powitania. Uważano, że to fałszywe polskie wojsko, że to przebrani Rosjanie, a przecież to byli Polacy z Kresów, z Lidy i Baranowicz, z Mołodeczna, z Kowla, z Tarnopola, którzy wyciągnięci kiedyś nocą z domów i rozwiezieni po niezmiernych obszarach Rosji czy, jak się mówiło teraz, radzieckich republik, wracali oto mozolnie do jakże w tej chwili żałośnie się prezentującego „centrum polszczyzny”. Ale nikt ich tu nie witał, nikt nie cenił, nikt im nie wierzył, na co się później, już zaznajomieni, po domach i knajpach śpiewnym wschodnim akcentem mocno skarżyli — uważano ich za symbol Wschodu, wszechwładnego Wschodu, zalewającego oto Polskę. Podobno w Lublinie czy innych miastach przebiegało to odmiennie, tutaj, pod Warszawą wyglądało właśnie tak: serca zamykały się przed każdym, kto przychodził „stamtąd”, nie zapomniano dogorywającego bez pomocy zza Wisły Powstania, choć rzecz była przecież do przewidzenia (a może tym właśnie dotkliwsza), jako że powstanie owo miało w istocie na celu zademonstrowanie światu polskiej obrotowej wolności, obrotowej, bo, jak mówił pewien młodo zmarły poeta: „Ani tu Zachód ani Wschód...”. Tyle, że następna strofka jego wiersza brzmiała: „... Zupełnie jakbyś stanął w drzwiach”, a w drzwiach, jak się okazuje, stać nie można, zwłaszcza gdy świat nie udziela najmniejszego zrozumienia czy zainteresowania temu, kto się przy tak dziwnym miejscu pobytu upiera...

W ten oto sposób Roman wraz z wielu innymi utracił swój, tylekroć wyczekiwany i opijany dzień warszawskiego wyzwolenia, bronił się więc jak mógł przed drugą stratą — przed zatarciem i unicestwieniem utrwalonej w sobie wizji warszawskiej okupacji, do czego walnie przyczynić się mógł widok monachijskich Niemczyków, pozbawionych nimbu i demonizmu, nawet nie drań-

skich. Wobec czego Roman nie przyjmował owego Monachium do wiadomości, nie zwiedzał go, nie chłonał, mieszały mu się, choć przyjeżdżał tu parę razy, jego Schwabingi, łuki, pałace, bulwary i jakiś tam ratusz, wieża zegarowa z defilującymi naokoło niej co godzina w takt muzyki średniowiecznymi figurynkami — cóż za typowo szkopski pomysł, niby z Hoffmana, tego od „Dziadka do orzechów”, a naprawdę to schematyczny, oleodrukowy, nawiązujący do owej tysiące już razy wytartej i do cna zdartej bo spóźnionej wizji niemieckiego *Gemütlichkeit*. W istocie więc rzeczy Roman nie wiedział już na pewno jak wygląda Monachium, kiedy i ile razy tam był, czy w ogóle był, czy też mu się to śniło, roiło, zdawało. Jediną realnością, którą sobie stamtąd utrwalił, jedynym punktem zaczepienia, stanowiącym konkretne miejsce w przestrzeni, czasie i wyobraźni, miejsce, łączące się gatunkiem swej istności z tym co widział, co przeżył oraz zapamiętał przed i podczas wojny, jedynym psychicznym wzbogaceniem okazało się zetknięcie z pewnym specjalnym klimatem polskiego Monachium, nie owego dorobkiewiczowskiego i zobojętniałego, jak dom braterstwa, lecz innego, gdzie także przechowała się przedwrześniowa i okupacyjna polskość w konserwie, w skamielinie, w ekstrakcie czy stężeniu, tylko że nadal w swoim sosie żywa, ba — próbująca wpłynąć i wpływająca na dzisiejsze obce niezrozumiałe, nowe polskie życie. Tę niewiarygodną wyspę „polskości eksterytorialnej” tworzyli polscy pracownicy umiejscowionego w Monachium radia Zjednoczonej Europy. Większość z nich bezpośrednio z powstańczej barykady czy z mrocznych zakamarków warszawskiej konspiracji poszła do niewoli, do obozów, lub też rozpełzła się wzdłuż i wszerek przetaczanej wojną ze Wschodu na Zachód Polski, aby, po wszystkim, zebrawszy się z łaski przebudzonych nagle z rooseveltowskich miraży Amerykanów, tym razem owych niezbyt świadomych czego właśnie chcą pseudo speców i pseudo filozofów międzynarodowej polityki, zebrawszy się w tym dziwacznie elegijnym (i niezbyt dokładnie przez Aliantów wyburzonym), podgórskim miasteczku nad Izarą, kontynuować polskie marzenia o „wolności naszej i waszej”, tym razem, jako że wiek jest dwudziesty, wysyłane w świat (*a raczej tylko do kraju, bo mądry jak zwykle Zachód był na to idealnie obojętny*) za pośrednictwem radiowych fal. Marzenia przez radio — dobra heca; Roman, który miał w tym zespole sporo przyjaciół z konspiracji i paru nawet kolegów szkolnych, pokpiwał sobie nieraz z ich anachronicznie harcnerskiego optymizmu, oraz właśnie z owego patriotyzmu „obrotowego”, niepomnego gorzkich doświadczeń, że walczyć na dwie strony nie da się nigdy, że Polska tkwi na Wschodzie i tam z łaski obojętnego na jej sprawy Zachodu, tudzież

z łaski opatrności, trafu, pecha i historii po wiek wieków pozostanie. Pokpiwał sobie, ale sercem do nich się garnał — podobała mu się ich akowska wariacka energia, wzbogacona teraz o amerykańską organizację, ujmowało go, że z należyty, godnym żołnierzy podziemnej, straceńczej armii lekceważeniem traktowali dookolny szkopski wygodny pragmatyzm, natomiast każdego Polaka z kraju cenili sobie na wagę złota, szukając w nim gruntu dla zaczepienia własnych marzeń. Marzenia marzeniami, a swoją drogą majstrowali oto tutaj dla kraju nie lichą gazetę codzienną, słuchały ich bowiem miliony ludzi (starszych zachęconych, młodszych pewno nieraz zdziwionych), co okazało się nie do pogardzenia, w marksistowskiej bowiem Polsce prasy tak dobrze jakby nie było, istniały tylko czary, produkowane przez rządzących filozofów realizowane zaś przez bezwolnych, obałamuconych lub kłamliwie przyczajonych skrybów, do których zresztą po trochu należał i sam Roman. W epoce dzisiejszej techniki żadnego geograficznego obszaru nie da się zamknąć idealnie, oto szkopuł dla dialektycznych czarnoksiężników (wszakże radio to też swego rodzaju czarnoksiężstwo) a radość dla owych patriotycznie gorliwych majsterków znad Izary. Byli anachronizmem, tak jak obsesyjna, ostatnia wizja Polski co została im w oczach, owa wolna ale płonąca i cuchnąca fetorem trupów Marszałkowska od Koszykowej do Świętokrzyskiej, mimo to dla Romana stanowili jedyne realne Monachium, jakie do duchowej wiadomości przyjmował, chowając to oczywiście dla siebie i nikomu ze znajomych w kraju o całej sprawie nie mówiąc, gdyż wiedział gdzie żyje i wiedział, że póki raz na parę lat widuje tamtych Polaków z innej epoki, to ma w sobie jakąś grupową i solidarną ciągłość, której, mimo jej małej realnej przydatności, wyrzec się nie chciał — w końcu człowiek zbiera sobie przecież indywidualny różaniec wspomnień i tego, przy odrobinie dyskretniej ostrożności, nikt mu nigdy nie odbierze — na podobnym właśnie nieskażonym spojrzeniu wstecz opierał się przecież Poeta spod Moskwy, realizując swe ekspijacyjne wzruszenie ramion.

Oczywiste jednak było, że ci ludzie stanowili tylko właśnie oderwany od dookolnej realności „mikroklimat”, produkt jedyne-go w swoim rodzaju, niepowtarzalnego zbiegu okoliczności i układu płaszczyzn czasowo przestrzennych, materialno-duchowych. Mikroklimatem owym mógł sobie Roman czasem pooddychać, było to nawet zbawienne dla zdrowia, nader odpoczynkowe, „relaksowe” jak mówiono, ale na dłuższą metę też groziło zaduszeniem, bo trwało sztucznie, tak jak sztuczny jest odpoczynek na przykład w Meranie, miejscowości w specjalny sposób osłoniętej górami od wiatru — zabawne, że taki właśnie łagodny

Meran dawni bohaterowie Armii Podziemnej stworzyli sobie właśnie tu, wśród Niemców — tych samych przecież Niemców co mordowali w Polsce. Oto paradoks ludzkich dziejów: jedno nieznaczące przesunięcie w czasie i w układzie sił, a już wszelkie perspektywy moralne i psychologiczne przeinaczają się nie do poznania, jak dekoracje w teatrze gdy przychodzi zmiana aktu. Dookoła, tak na oko patrząc, żyli przecież zupełnie już inni Niemcy: nie chodziło o młodzież, lecz właśnie o tych samych, tych z pokolenia Romana i Andrzeja, co bili się na wszystkich frontach Drugiej Wojny i uczestniczyli we wszystkich, rozpętanych przez Hitlera szaleńczo-demonicznych bestialstwach. Czyżby więc raczej mieli dialektycy, twierdząc, że człowiek jest niczym zaś okoliczności wszystkim? Konsekwencją tego byłaby owa uporczywa praca komunistów, koncentrująca się wyłącznie na tworzeniu odpowiednich okoliczności, a także lekceważenie, jakie okazywali jednostkom i to również jednostkom z własnych szeregów, które przestały być przydatne: trudno sobie wyobrazić mizerniejszy los, niż ten jaki staje się częstokroć udziałem najwybitniejszych nawet przywódców komunizmu, gdy co pewien czas następuje generalna zmiana okoliczności — kopniak i zapomnienie, oto co otrzymują za swą wierną służbę. Oczywiście, nikt spoza kręgu wtajemniczonych i nikt spośród nie-komunistów ich nie żałuje, raczej w ogóle nikt ich nie żałuje — kto wypada z polityki ten wypada z życia, sami to zawsze twierdzili, więc teraz nie powinni okazywać zdziwienia ani mieć pretensji. Romanowi przypominało się zawsze motto z powieści Hamsuna „Kobiety u studni”: „Wielkie i drobne zdarzenia, to ząb z ust wyleci, to człowiek z szeregu, to wróbel spadnie na ziemię”. Tak!

Jeśli wszakże nową sytuację człowieka można kształtować konstruując system odpowiednich okoliczności, to w Niemczech po wojnie nadarzała się do tego znakomita okazja: można było całą Rzeszę zamerykanizować, na pohybel rasizmowi mieszać z Murzynami (w pierwszym okresie okupacji rodziło się wiele kolorowych dzieci) i tak dalece odnacionalizować, aby Niemcy po wiek wieków stały się bezsilnie pragmatyczne, pozbawione wszelkich swoich specyficznych żądań. Ale Stalin nie docenił czy nie zrozumiał tej okazji, może zresztą nie chciał jej wyzyskać, uważając, że amerykańskie czary nadmierne są konkurencyjne dla jego własnych. I teraz było już za późno: istniały oto dwa rodzaje Niemców, zachodni i wschodni, pragmatyczni i filozoficzni, z takiej zaś sztucznie stworzonej odmienności wynikał wiatr, przeciąg, nie pozwalający spokojnie usnąć nawet tym, zatrutym niegdyś hitlerowskim narkotykiem dzisiejszym dorobkiewiczom. Coś więc znowu musiało się tu urodzić, samym dosytem żyć nie

podobna. Ale nie należało się w to wgłębiać: jeśli Monachium było nieprawdziwym, złudnym Meranem, złudnym, gdyż jego osłonięcie od wiatru mogło się okazać pozorne czy nie całkowite, to na wiatry lepiej już wystawiać się w Warszawie, gdzie Roman, nader szmaciany, trwał jednak w swej szmacianości bardzo autentyczny, jak każdy człowiek, który jest u siebie: własne mieszkanie nie przestaje być własnym, choćby pojawiły się w nim upiory. Tej autentyczności zazdrościli w gruncie rzeczy Romanowi jego przyjaciele ze Zjednoczonej Europy, gdy witali go gorąco, jako łącznika z prawdziwym powikłanym polskim życiem. Byli nielicznymi, zanikającymi Polakami, którym zależało (niejako zawodowo) na poznaniu prawdy skomplikowanej, złożonej, nie jednoznacznej. Może wynikało to z faktu, że, wbrew pozorom swej sytuacji, tkwili oni poza życiem, poza grą. Komu, jeśli nie takim bezinteresownym choć podnieconym obserwatorem zależeć może na skomplikowanej a więc w istocie niezbyt ukierunkowanej, nieskutecznej prawdzie? Nikomu. Każdy kto działa uprości relację jak tylko potrafi, może dopiero za sto lat prawdziwa ocena wydarzeń stanie się dla ludzi wartościowa, przestając być jakimkolwiek doraźnym argumentem: z tym przypuszczeniem wiązał Roman nadzieje na ewentualne przetrwanie swego zapisanego świadectwa, czyli mającej powstać książki — sam przecież był człowiekiem poza grą, nie zainteresowanym, to właśnie zbliżyło go do owych monachijskich ludzi — cieni.

Skoro już Monachium, przez swe rozliczne odniesienia do przeszłości i konkretności, okazywało się kiepskim, źle osłoniętym Meranem, nie dowód to, aby Roman nie cenił sobie zasadniczej idei Meranu, czyli czystego, skondensowanego, istniejącego samo w sobie i dla siebie, tradycyjnego życia mieszczańskiego, wypranego z wszelkich demonicznych podtekstów, jakie przeszkadzały się nim delectować pośród Niemców. W swej nieskażonej postaci istniało ono na przykład w Szwajcarii, we Francji, może w Anglii. Roman, wbrew komunistom, widział jego intesywność, nawet jego patos: tam gdzie wszystko jest stabilnie uregulowane, tam codzienne, biologiczne niemal sprawy jednostki nabierają hierarchicznej, koturnowej wagi i powagi. Na Wschodzie za to osobiste życie staje się nieważną mierzwą pod przyszłe wydarzenia ogólne, doniosłe, kosmiczne, wciąż się tam na coś czeka, na jakiś nowy etap polityczny, czyli na świeże prestidigitatorskie czary. Jakże odpoczywa taki wkręcony w centryfugę czekania a więc wyłączony z normalnego przebiegu czasu i umęczony tym osobnik, gdy znajdzie się na pewien czas poza swą dialektyczną retortą, na prawdziwym urlopie w jakimś ściśle prywatnym i apolitycznym zachodnim kraju, pozbawionym dlań wszelkich już znajomych od-

niesień, jakże odnawia i odświeża się wówczas wrażliwość, pilnie reagująca na poszczególne, zatrzymane w biegu i zindywidualizowane chwile! Roman pamiętał taki swój pierwszy pobyt w Paryżu po sławnym wówczas, potem zaś zmarnowanym polskim Październiku. Mieszkał w małym, ciemnym hoteliku w czysto francuskiej dzielnicy niedaleko Ecole Militaire podczas wielotygodniowego przesilenia rządowego po upadku gabinetu Gaillarda, którym to przesileniem ogromnie roznamiętniali się, podniecali i denerwowali dookolni zabawni Francuzi, podczas gdy on gwizdał sobie koncertowo na te obce, niezrozumiałe sprawy, rozkoszując się obojętnością wobec wszystkiego co zewnętrzne a zarazem intensywnością wręcz biologiczną, z jaką przeżywał siebie, rozparcelowanego niejako pomiędzy zwolnione teraz czy przedłużone następstwo mijającego korowodu zindywidualizowanych, cennych, egzotycznych chwil. Dopiero, gdy na skutek przeciągającego się kryzysu zdrożało wino, chleb i ser, przypomniał sobie, że również tutaj nieznany przybysz zależy po trochu od układu okoliczności. Ale tylko po trochu, w dodatku całkiem bez żadnej paniki...

I oto właśnie, najniespodziewaniej w świecie, takie poczucie idealnego urlopu, nigdy w Polsce od wojny nie doświadczane, naszło go podczas owego niebieskawego, wietrznego grudnia roku temu w C... Skąd się to wzięło? Może, jak zwykle, odegrał tutaj rolę zbieg okoliczności, zespół warunków i przypadków różnorodnych, które w nieobliczalnej swej sumie przeszły w nową jakość, niczym pierwiastki w związku chemicznym. A więc wliczyć tu należało nie przewidywaną inność uzdrowiska, opuszczonego po sezonie i żyjącego wówczas swym własnym, zaskakująco prawdziwym i swojskim życiem, dalekość od wszelkich źródeł cyklonu, na pewno pozorną, lecz dla bezcelowo, bezinteresownie tu tkwiącego Romana niezwykle kojącą, wreszcie dziwność i egzotyczność scenerii, owego osobliwie niemieckiego niby miasta, którego staroświeckiej osobliwości nie zdołała jeszcze zmącić żadna powojenna, bardziej dogłębna rekonstrukcja — zostało jakie było, anachroniczny choć tkwiący w nowym życiu pomnik innych ludzi, innych czasów. I oto, w sposób jak najbardziej nieoczekiwany, wywiązał się tutaj dla Romana grudniowy „polski Meran” (był przed wojną taki slogan: „Zaleszczyki — polski Meran!”) a z nim pojawiły się klasyczne atrybuty życiowego urlopu: intensywność biologiczna, niepowtarzalny urok mijających chwil, krzepiące zahamowanie pędu godzin i dni, ba — prawdziwa, bezmyślna radość istnienia. Tak więc, Roman, który od dawna uwierzył w nieodwołalność swej powojennej pustki i szmacianości, który przyjechał tutaj, aby tej swojej bezradnej mizerii wystawić (póki starczy świadomości) pomnik, uległ jeszcze raz, ni stąd ni zowąd,

konwencjonalnemu urokowi życia, urokowi, jakiego w tej nerwowej, powojennej Polsce zgoła się nie spodziewał. Życie podeszło go więc i skusiło w typowy stary sposób — do ogólnego „asortymentu” uroków brakowało jeszcze kobiety, wobec czego znalazła się i ona, ba, stała się nawet najważniejsza i potem Roman jął przypuszczać, że wszystkie piękności C... ujrzał poprzez nią, dzięki niej. W rezultacie zmarnował pobyt — ten pobyt zeszlóroczny oczywiście, równie grudniowy, wietrzny, niebieskawy a wieczorem czarno-fioletowy, jak obecny. Odwłókł realizację swego świądectwa, swego wzruszenia ramion, z tamtego pobytu pozostał mu tylko konwencjonalnie drobiazgowy opis mola i siebie na molu: w swej niemożności skupienia się, w swym nagłym zaabsorbowaniu zewnętrznymi walorami C..., dojrzanymi, być może, przez pryzmat pewnego spotkania, poprzestał na tym akademickim opisie, z którym startował obecnie, także tutaj, także w grudniu, tyle że w grudniu o rok późniejszym. Czy więc można wstąpić drugi raz do tej samej rzeki, czy zmarnowawszy tamten pobyt przez skażenie go zaskakującą, niezamierzoną i przypadkową realnością, odwłókł tylko o rok wykonanie zadania, czy też unicestwił je i uniemożliwił? W każdym razie było to już teraz inne zadanie, bo i on był innym człowiekiem, bogatszym (lub uboższym) o przeżycia całego roku, zapoczątkowane wówczas w C..., gdzie znowu trwał teraz taki sam pusty i wietrzny, choć nie wolny od nagłych zimnych słonecznych blasków grudzień i gdzie znowu chmary mew zrywały się z piskiem nad szafirowym, inkrustowanym białą pianą kłębowiskiem morza. Tyle, że nie było w tym roku zielonych, aksamitnych nurów o niesmacznym mięsie. Za to on, Roman, zjawił się punktualnie i w tym samym co wówczas celu — ale czy był to jeszcze cel osiągalny?

VI

C... jest w zasadzie miastem młodzieży i ludzi starych — pośrednich ogniów jakoś na pierwszy rzut oka nie widać. Roman unikał w ogóle młodych, bo wiedział, że przedziwna Opatrzność umieściła ich dzisiaj na takim skręcie polskiego życia, gdzie widok rozciąga się tylko w jednym kierunku, wobec czego niektórzy patrzą wyłącznie w tył, inni wyłącznie naprzód. Pokolenie Romana, pokolenie „intelligenckie”, które zdążyło kiedyś zagnieździć się duchowo w życiu przedwojennym (miał już wszakże lat

dwadzieścia osiem gdy wybuchła wojna) żyło obecnie w ciągłym, osłupiałym kontemplowaniu dziwaczności komunizmu, pomimo długich już lat jego władania nie mogąc oswoić się z faktem, że coś podobnego trwa jako dotykalna realność i nie okazuje się snem. Podobno wszystko co istnieje jest normalne, a poczucie nienormalności to po prostu chwilowe, jednostkowe nie przystosowanie naszego organu postrzegania do aktualnego obrazu świata. Człowiek ustawia sobie w myśli pewien układ płaszczyzn i siebie wśród nich: gdy układ ten, dzięki zresztą również stabilizującemu go spoiwu ludzkiego przyzwyczajenia, dzięki kostnieniu aparatu krytycznej wrażliwości a także oczywiście dzięki jako tako niezmiennym okolicznościom zewnętrznym, utrzymuje się pewien czas, człowiek skłonny bywa uznać rzecz za normalność, za jedyną, wzorcową normalność. Łączy się z tym sprawa względności czasu, czy raczej względności odczuwania czasu przez jednego i tego samego osobnika, w różnych fazach biologicznego istnienia. W młodości czas się bardziej dłuży, potem, w miarę upływu lat, staje się coraz krótszy; choć przecież formalnie taki jak dawniej, pędzi teraz inaczej, miga szybko, nie pozwala się złapać. Dlatego może lata młodości we wspomnieniach wydają się obfitsze, ważniejsze, trwalsze, prawdziwsze, nabrzmiałe treścią i barwą w każdej swej sekundzie, podczas gdy chwile obecne przemijają pobieżnie, bez smaku, obojętne, zszarzałe, zwyczajne. A do tego jeszcze cóż za dramat, gdy w połowie życia nastąpi jakiś przełom, gdy okoliczności zewnętrzne tak się zmieniają, że niesposób, choćby nawet łudząc się intensywnie, zachować jako normy dawnego układu płaszczyzn, gdy brzemienne wagą swej wizji, wzorcowe dla całego życia lata młodości wydają się odległe nieskończenie i nigdy już nie do odzyskania, pozostawione gdzieś hen, za siódmą górą, rzeką i przepaścią, coraz nawet mniej podatne do odtworzenia ich sobie w pamięci, w wyobraźni: wizja ich wszakże zacierza się i zanika, oddala coraz to bardziej w miarę, jak we wciąż pośpieszniejszym tempie przelatują koło nas wypadki nowe, z grubsza naszkicowane, bez perspektywy i głębi, za to coraz to bardziej absurdalne i dziwaczne, zaś w dziwaczności swej, w porównaniu z dawną, solidnie w ten świat wkorzenioną normalną rzeczywistością — niewypowiedzianie płytkie, pozorne, sztuczne. I jakież tu podzielić się swym obrazem rzeczywistości z kimś dopiero co przybyłym, z owymi wyrojonymi nagle nie wiedzieć skąd, napływającymi na nas ze wszystkich stron zastępami nowych stworów, które akurat teraz przeżywają własną, realną i nabrzmiałą jak sądzą treścią młodość, są więc jakby upostaciowaniem dziwaczności i pozoru, wyrastają z samego jądra zastępczej sztuczności, udającej życie. Cóż za sytuacja: wielu ludzi twierdzi wprawdzie,

że normalna i odwieczna, Roman, rozumiejąc ich, podejrzewa jednak, że w tym akurat wypadku, sprawa jest wyjątkowa i niezwykła, że zakręt historyczny (wszak to też już historia — jakże do siebie samej nie podobna) był za ostry a w kraju tym zbyt generalnie wszystko stanęło na głowie i fiknęło kozła, od terytorium i ludzi poczynając, aż po najprostsze codzienne pojęcia. I oto nie tylko Roman został wydziedziczony ze swej normalności, lecz owe nieprzeliczone zastępy młodych ludzi również, choć wcale o tym nie wiedzą — on wie to za nich, ale nie próbuje im nawet tego powiedzieć, bo nie zrozumieliby go i wyśmiali: nikt nie odda za darmo swojej prawdziwości ani swojej młodości — choćby w istocie ta młodość nie była normalną młodością. A odebrał wszystkim tę normalność Hitler — on to wszakże wtrącił pół Europy w komunizm, to był jedyny konkretny skutek jego działań. Co prawda przed wojną to samo co dziś jest w Polsce rozprzestrzeniło się po dalekiej i tajemniczej choć o graniczną miedzę położonej Rosji, a więc normalność małej Polski pomiędzy potężnymi obłąkańcami Stalinem i Hitlerem była iluzją, właśnie przejściowym, dogodnym skojarzeniem warunków, umożliwiającym skonstruowanie sobie pewnego, dla świadomości tym razem całej grupy ludzkiej korzystnego, układu elementów. Roman zdawał sobie sprawę z iluzyjności tego układu, który ludzie jego pokolenia i jego grupy pochopnie uznali za normę, widział więc słabość i jednostronnie subiektywne założenia własnej postawy uczuciowej, nie cieszył go jednak fakt, że je widzi, zazdrościł raczej tym spośród swych znajomych, którzy w komunistycznej rzeczywistości powojennej Polski upatrywali tylko skutek zaborczości rosyjskiej, owoc moskiewskiego imperializmu, przybranego dla niepoznaki w szaty ideowo-filozoficzne. Zazdrościł im, bo byli prostsi, nie wątpili nigdy w słuszność swego wątpienia, podczas kiedy jego sytuacja stawała się złożona i chwiejna: oni bez wahania wstępowali do Partii, bo komunizmu nie traktowali jako ideologicznego partnera lecz jako siłę nacisku, wobec którego przybrać należy barwę ochronną, Roman natomiast próbował dyskutować, przekonywać, reformować, biorąc najwyraźniej całą rzecz na serio. Bo też i w istocie sprawa nie wyglądała znów tak prosto. Oczywiście: podstawowa, trująca anormalność sytuacji wzięta się stąd, że w koalicji przeciwko złowrogiemu totalizmowi Hitlera znalazł się w końcu niemniej złowrogi totalizm Stalina, który wykorzystał zwycięstwo dla zhołdowania sobie całej nieszczęsnej Europy Środkowo-Wschodniej, podczas gdy Zachód uznał to milcząco za godziwą zapłatę, kwitującą wkład Rosji we wspólne zwycięstwo. To był początek całej sprawy, ale na praprzyczynie czyli początku rzeczy się nie wyczerpują, następują fazy

dalsze, fazy nadbudowy: gdy mrówkom wepchnie się do mrowiska kij, traktują to początkowo jako katastrofę, po pewnym czasie jednak oswiają się z nową sytuacją, zaczynają traktować ów kij jako element obiektywny, obudowują go, oblepiają ziemią, a już następne mrówcze pokolenia nie wyobrażają sobie swej siedziby bez kija, kij staje się normą — i to właśnie jest najbardziej dziwaczne. Wojna, mimo niesamowitych, demonicznych elementów, nadanych jej przez hitlerizm, nie była dziwaczna, bo była wojną, dziwaczne było to, co po niej nastąpiło, a co dla wytłumaczenia stałej już teraz nienormalności nazwano rewolucją czy, jak niektórzy, permanentną rewolucją. Ci spośród przyjaciół Romana, którzy uważali obecną sytuację za dalszy ciąg, dalsze trwanie wojny (nie brakło naturalnie takich wiecznych kombatanów wśród użytkowników mikroklimatu w Monachium), byli szczęśliwi, bo zachowali swoją postawę, swój prywatny, lecz trwały, na własny użytek skonstruowany układ elementów, nie potrzebowali się wciąż dziwić i czuć jak przyjezdni, zmuszeni wbrew swej woli do asystowania przy surrealistycznym przedstawieniu. Wojna bowiem, jak się rzekło, choćby nie wiedzieć jak długa, nie jest niczym niepojętym, jest jakąś męską normą; mężczyźni lubią sytuacje heroiczne same przez się, zwalniające ich z obowiązku ustawicznego, indywidualnego szukania heroizmu, dlatego nie najgorzej zwykle czują się w wojsku, w szpitalu, czy nawet w więzieniu. Natomiast Roman nie miał dzisiaj takich ułatwiających życie złudzeń, nie pocieszał się trwaniem jakiegokolwiek wojny czy okupacji, wiedział, że nastąpiła stabilizacja dziwaczności, że mrówki dawno już obudowały kij i zapomniały o jego istnieniu, podczas gdy on, Roman, asystował kiedyś przy wkładaniu owego kija i ani rusz zapomnieć o tym nie mógł. Te niepamiętliwe, nieświadome istoty rzeczy mrówki okręzały teraz Romana ze wszystkich stron; był wśród nich samotny: wiedział, że mają inny aparat myślenia i postrzegania niż on, wiedział też dlaczego tak jest, jak to się stało, one zaś nie wiedziały o niczym i sądziły, że wszystko jest w młodzieńczym porządku, choć nie był to w istocie zwyczajny konflikt starość — młodość, lecz rzecz specjalna, osobna i przez to niepokojąca, ba, alarmująca. Młodzież studencka tak liczna w C... i w sąsiednim mieście portowym, to była tutejsza reprezentacja pokolenia szczęśliwych swą nieświadomością całej sprawy mrówek: Roman obserwował ją z ukosa, wymijał spotykane na deptaku czy molo grupki, unikał bezpośredniego kontaktu, choć zachodził codziennie na kawę i gazety do młodzieżowej, jak wówczas mówiono, kawiarni „Srebrny Jar”.

Ten „Srebrny Jar” okazał się miejscem na swój sposób uroczym. *(Ktoś powiedział, że wszystkie narody bywają na swój*

sposób wstrętne, a wszystkie miejsca na swój sposób urocze). Urok jest oczywiście rezultatem sprzężenia pomiędzy zewnętrżnością i osobnikiem, tę zewnętrżność kontemplującym, od odpowiedniego usposobienia oraz wyostżenia duchowych (w konsekwencji i fizycznych) organów percepcyjnych owego osobnika zależy, czy zespół odbieranych wrażeń, natrafiwszy na odpowiednie, pozytywne fluidy, płynące ze strony odbierającego, złoży się w sumie na tę jakąś niewątpliwie realną, choć również na żadnym sejsmografie nie zanotowaną odmianę energii wrazeniowej, nazywanej przez człowieka urokiem. Jest ona więc wspólnym dziełem dwóch w niedocieczony sposób zespolonych układów elementów: obiektywnej zewnętrżności i subiektywnej wewnętrżności, choć określenia tych dwu światów z powodzeniem można by odwrócić, jako że zewnętrżność jest w gruncie rzeczy przepojona subiektywizmem, bo widzimy ją tylko odbitą, odtworzoną naszymi zmysłami i odczuciami, nie zaś samą w sobie, natomiast nasz świat wewnętrżny jest na pewno realny, choć niedostrzegalny dla innych — „myślę więc jestem” powiedział Kartezjusz a powiedzenie to wciąż jest aktualne, nikt bowiem nic innego podobnie zwięzłego nie powiedział, zwięzłość zaś właśnie decyduje, że sentencja owa się nie starzeje: forma zwięzła jest zarazem tak ogólną, że można w nią wlewać rozmaite treści z różnych epok ludzkiej wiedzy i samoświadomości, ciągle się jak wiadomo rozwijającej.

Tak tedy, urok to rzecz arcysubiektywna, zależna od spotkania się i nałożenia na siebie, czyli sprzężenia, szeregu kapryśnych i mało uchwytnych czynników. Dotyczyło to zresztą nie tylko „Srebrnego Jaru”, ale w ogóle całego miasteczka C..., które kiedyś latem, wydawało się Romanowi konwencjonalną i w swym konwencjonalizmie odrażającą wytwórnją zbiorowych letnich czyli po dzisiejszemu mówiąc „wczasowych” uroków i smaków, całkowicie zresztą zaprzepaszczonych przez swą mozolną podbudowę materialną (*mozolną, bo w socjalizmie czy raczej w komunizmie lekceważy się wszelkie nie produkcyjne „usługi”, uważając je za przekładanie pieniędzy z kieszeni do kieszeni i w ogóle za właściwość wrażej cywilizacji mieszczańskiej: stąd bierze się owo chwackie i sprawne produkowanie towarów nie znajdujących zbytu i zalegających magazyny, lecz wpisanych do tabeli dochodu narodowego, a za to niemożność usprawnienia działań organizatorskich, mających na celu ułatwienie i upiększenie indywidualnego życia tak zwanego „człowieka pracy”, przebywającego na przykład właśnie na powszechnie wprowadzonych, chwalebnie zresztą, masowych wakacjach czyli „wczasach”*). Tłumny mózół, towarzyszący letnim miesiącom w C... sprawił przecież, że Roman nie dostrzegł wówczas uroku tej miejscowości; podobnie stało się wtedy ze

„Srebrnym Jarem”: zapamiętał z tego czasu jedynie dwa kryte daszkami, wzniesione wzdłuż ulicy na ukośnej podmurówce z granitowych brył, zatłoczone stolikami tarasy, skąd dobiegał nieustanny pisk, jazgot, kłamor, jak z rojowiska ludzkich wróbli, niosąc się przez cały deptak, kawiarnia owa bowiem znajdowała się na wyniosłym placyku — platformie naprzeciw kościoła: główna ulica C..., idąc stromo od morza w górę znajdowała tutaj swoje niejako apogeum, tyle, że latem zamknięte od strony zatoki ruchomym, szumiącym murem najrozmaitszych liści, tworzących ów mieniący się odcieniami ekstrakt zieleni jakby samej w sobie czy samej dla siebie (*malarz wgłębiający się całe życie w tajniki koloru może się nagle znaleźć podobnie blisko istoty i zagadki bytu jak filozof, matematyk czy ksiądz: idzie tylko o samą intensywność poznania, przedmiot jego jest obojętny, bo i tak na pewno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu — gdziekolwiek pójdziesz to dojdiesz, abyś tylko szedł mocno*).

Więc latem Roman uciekał od klangoru, płynącego z tarasów „Srebrnego Jaru” jak od zarazy, uważając rzecz tę za zaprzeczenie idei wypoczynku tudzież elementarnego wakacyjnego komfortu duchowego. Teraz natomiast, gdy w zasadzie nikt przecież nie wypoczywał, sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Oba tarasy uliczne tak jakby nie istniały — zabrano stoliki, ułożoną w deseń posadzkę omywał zacinający z ukosa, miotany obecnie stałym niemal wiatrem deszcz, natomiast serce lokalu przeniosło się do środka. Najpierw, z ulicy, parę kamiennych stopni z balustradą prowadziło do zrównanego z poziomem tarasów wejścia: tu, po pchnięciu ciężkich, szklanych drzwi wchodziło się do szatni, gdzie królował siwy „Wilniuk”, bystro taksujący gości spod krzaczastych brwi (*dzierżawienie szatni, jak to kiedyś ni to z drwiną ni to ze smętkiem doniosła przegłupia polska prasa, jest w tym kraju, wbrew wszelkim zasadom socjalistycznego egalitaryzmu, jednym z najrentowniejszych zajęć — otrzymują je częstokroć byli kombatanci, inwalidzi, jeśli oczywiście walki przez nich toczono uznano za godne pochwały — kryterium tego, które walki były chwalebne i prowadzone dla ojczyzny, które zaś zdradzieckie i reakcyjne zmieniało się zresztą co parę lat w sposób dla normalnego człowieka zgoła nie wyjaśnialny*). Z tej zaś szatni, po załatwieniu płaszczowej odprawy, schodziło się kilku drewnianymi, napowietrznymi jakby stopniami do głównej kawiarnianej sali, która leżała nieco poniżej poziomu ulicy, stąd panujący w niej, wibrujący nietyle półmrok co ćwierć mrok, inkrustowany blaskiem luster i odbłaskami blatów stolikowych, prostokątne bowiem czy kubistycznie trójkątne stoliki miały powierzchnię

z plastikowej, mozaikowej kratki, przypominającej żyłki minerałów a pokrytej grubym lecz przezroczystym szkłem.

Sala ta była długa, drewniana, wykładana lekkim, jasnobrązowym drzewem, drewniane były boazerie i oprawy wysokich luster. Na posadzce ciągnął się długi, ciemnoczerwony dywan, bezszelstnie nim krocząc obserwowało się szereg zielonych nisz ze stolikami, wokół których stały nie za wygodne, bo demonstracyjnie nowoczesne, ale lekkie i efektownie niebieskie foteliki. Urok tej sali tkwił w jej kolorze, był to zresztą raczej nietyle kolor co koloryt, składało się nań bowiem wiele barw, półtonów, światłocieni. Roman zamyślał opisać tę kawiarnię w swej książce, ale szybko stwierdził, że brakuje mu odpowiednich słów: zestawy słów jakie dobierał (ćwiczył się w tym przez pierwsze dni — wypadało zresztą to robić, mieszkając w Domu Pracy Twórczej) zupełnie nie oddawały owego kolorytu, który, natychmiast gdy tylko się tam weszło, opływał przybysza w sposób charakterystyczny i jednoznaczny, choć właśnie całkowicie nieuchwytny słowami, więc niemożliwy do przekazania. Znowu zatem problem do rozwiązania, a wraz z jego rozwiązaniem, nowy stopień opanowania wszechświata za pomocą ludzkiej świadomości, nowy sposób złączenia się z tymże wszechświatem, poznania go przez zlanie się z nim, jak się bowiem rzekło, wszechświat zawiera się i w szczególności, nie ma problemów obojętnych, wszystkie wznoszące się ścieżki prowadzą tak czy owak na wierzchołek góry, et caetera, et caetera, et caetera.

Długi dywan biegnący środkiem długiej sali doprowadzał wreszcie do przeciwległych, równie napowietrznych schodków z rozmyślnie mało heblowanego, choć nieco opoliturowanego drzewa, wiodących na, prostopadle wobec owej długiej sali położoną, kwadratową platformę, w której lewym rogu czerniał fortepian, na prawo zaś szło się, również ukosem, w dół do małej, zakończonej ślepyim oknem, nieregularnej salki, gdzie stało parę stolików i skąd kręconymi schodkami można było zniżyć się do kuchni względnie toalet. Ukryto tutaj również jeszcze jedne drzwi, którymi, znów parę stopni w dół schodziło się w końcu do ostatniej już sali, tym razem obrzeżonej drewnianą galeryjką i przytykającej do jednego z tarasów. Szklane drzwi prowadzące na zewnątrz były teraz zamknięte, a sala, wyścielona dla odmiany kosmatym, szarym dywanem tonęła w papierosowym dymie i służyła za czytelną gazet, choć panował tu zielonawoszary półmrok, rzucany przez zawieszony na zewnątrz zielony daszek, ocieniający latem tarasy. Fotele w tej salce są inne, znacznie cięższe, głębsze, też zielone, ale o ciemniejszym niż poprzednie odcieniu. Pisma, przyczepione do drewnianych, długich rączek wiszą od

rana szeregami w biegnącej wzdłuż ściany niszy — bywają to zresztą zawsze normalne polskie dzienniki i tygodniki, prasę zagraniczną amatorzy czytawali gdzie indziej, w położonym przy tej samej ulicy, lecz niżej, Klubie Międzynarodowej Prasy.

Jakaż zmiana w tej kawiarni: latem trwa i kłębi się, natłoczona agresywnymi, szczerkającymi do siebie w swoim umownym języku, pijącymi wino czy nawet winiak wyrostkami, oraz rodzinami, zaopatrzonymi we wrzaskliwe dzieci, teraz zaś wypełniała ją (ale bez przesady, luźno, do połowy) młodzież studencka. W samym C... była jedna wyższa uczelnia techniczna i jedna artystyczna, w sąsiednim mieście portowym politechnika z wielu wydziałami, akademiami sztuk, jakieś też jeszcze szkoły handlowo statystyczne, a także filia studiów medycznych. Słowem młodzieży mnóstwo i to młodzieży z pretensjami i aspiracjami do swego własnego stylu, sposobu bycia, manier, stroju. O ile na molo i pod hotelem gromadziła się po nocy młodzież zwana chuligańską, nonszalancką i brutalną, kokietującą rozmamłanym strojem, kosmatą fryzurą i groźnym, kocim rozleniwieniem, pod którym czai się gotowość do gwałtu (ten styl bycia i noszenia się zaczerpnięto z *saloon'ów* Dzikiego Zachodu, pieczołowicie odtworzonych w przeróżnych telewizyjnych i filmowych *western'ach*), o tyle tutaj królowała młodzieńczość, zbrojna w specyficzną, choć czasem równie nonszalancką dystynkcję. Ileż tu było przeszliznych dziewcząt o przemyślnie, wysoko upiętych, nie rzadko dekoracyjnie umalowanych koafiurach — Roman nie mógł się napatrzeć, choć starał się robić to dyskretnie, unikając jak tylko się dało omiatania wzrokiem odsłoniętych kolan, ud, ba, bioder także, bo moda króciutkich spódniczek hojnie ofiarowywała przypadkowym oczom wszelkie kształty, wionoczelowe wygięcie tak zwanego niegdyś „łona” czy strome wypukłości biustów. Nawet zimowe chłody nic tu nie przeszkadzały: radzono sobie bajecznie kolorowymi, kraciatymi, sięgającymi brzucha pończochami, ale kształt ogólny, musiał być widoczny, odsłonięty, śmiały i nie zawstydzony, podkreślony jeszcze również śmiałym sposobem siedzenia czy nawet ostentacyjnymi a całkiem oczywiście bezskutecznymi próbami naciągnięcia na dziewczęce kolana najkąpszej w świecie spódniczki, gdy już wzrok starszego pana (Romana niby) stawał się, wbrew tegoż pana chęci, natrętny jak reflektor czy wszystko notująca fotograficzna kamera. Roman zresztą wystrzegał się tych spojrzeń, nietyle nawet pożądlivych, co po prostu bezradnych wobec zaofiarowanego oczom przepychu kształtów — szybko zorientował się, że takie chłonne obserwowanie nie było tu w modzie, że odróżnia go ono od powściągliwych młodych ludzi. Ci bowiem celowali w jakimś nieuchwytnym oderwaniu,

w chłodnym czy nonszalanckim ignorowaniu wdzięków swych partnerek, wydawało się, że istnieją oni w innym wymiarze czy stylu, tam, gdzie problem pięknej dziewczyny nie jest istotą rzeczy, lecz tylko niezbyt absorbującą, naturalną i raczej poza emocjonalną dekoracją. Chłopcy ci lubowali się za to w staroświeckiej poetyce elegancji, w młodopolskich czy *fin de siècle*'owych brodach i bródkach, w baczkach, faworytach, wąsach szerokich, polskich lub wąskich hiszpańskich wąsikach, w kółkowych czy perłowych kamizelkach i fontaziach, żywcem wziętych z epoki Oscara Wilde'a, inni znów w barwnych zagranicznych swetrach i w czarnych okularach, zręczne, smukłe efeby o leniwych ruchach i przyciszonym głosie. Wszyscy zaś razem ogromną staranność wkładali w swój wygląd, styl, ubiór. A skąd pieniądze? Toć jak zawsze w Polsce, rzecz absolutnie niewiadoma i tajemnicza — wszakże schodziła się tutaj normalna, niebogata młodzież studencka (*zresztą w kraju tym nikt w zasadzie nie jest dziś bogaty, prócz pozostawionych rozmyślnie przy życiu nielicznych osamotnionych „prywaciarzy” — pozostawionych umyślnie aby odcinali się od tła, aby od czasu do czasu wskazać na ich odstręczającą odmiennność*), była to częstokroć młodzież z „awansu”, robotnicza może czy chłopska, która jednak błyskawicznie przedzierzgała się w nowy fason, wchodziła w nowy styl i klimat, bynajmniej nie dumna z żadnej swojej „przynależności klasowej”, lecz niezwykle pilna w przyswajaniu sobie nowego standardu, którego uniform, znaki, hasła rozpoznawcze czerpano nieomylnie z Zachodu, z różnych tamtejszych wzorców i „mediów” jak mówiono masowej kultury. Nie wiadomo właściwie, jak się to stało, że od heroiczno-ascetycznych, komsomolskich ideałów okresu, tajemniczo zwanego minionym, młodzież przeskoczyła bezboleśnie i bezproblemowo do nowego, mało w istocie ideologicznego, raczej egzystencjonalno-konsumpcyjnego stylu, właściwego przecież społeczeństwom nasyconym. Jednak reżyserzy idej, rządzący Polską, po krótkim namyśle dali w tej sprawie swoje zezwolenie: zorientowali się już, że młodzież staje się w tej epoce czymś odmiennym, państwem w państwie czy nową klasą i że za utrzymanie jej z dala od wszelkich decyzji politycznych trzeba jakąś tam swobodą zapłacić. Zgodzono się więc na ów dosyć tutaj irracjonalny styl zachodni, inicjując tylko od czasu do czasu na ten temat obłudne, bo asekuracyjne dyskusje publiczne. W sumie jednak kupiono młodzież akademicką za błyskotki: wy nie będziecie się mieszać do naszej polityki, do naszych haseł, my — do waszych zabaw i strojów. Tyle, że ta nieformułowana transakcja miała się z czasem okazać nieskuteczna. Bardzo by to pocieszyło Romana w owym pierwszym grudniu w C..., kiedy to mocno był

speszony, zakłopotany, zdezorientowany ową ani frywolną ani poważną, niewymierzalną jego pojęciami młodzieżą ze „Srebrnego Jaru” — ale oczywiście przyszłych wypadków znać nie mógł, co zresztą należy do porządku rzeczy przeznaczonego dla ludzi, byt bowiem ludzki na ziemi ujęty jest i pokratkowany w następstwo czasowe, przeszłość w żadnym wypadku nie potrafi tutaj wyprzedzić przyszłości i odwrotnie — przyszłość nie pojawi się wcześniej niż przeszłość. Być może zresztą, że jest to reguła wyłącznie doczesna i że epizody ludzkiego życia, utrwalone w kosmicznym eterze, mogą jawić się także, w innym wymiarze, przetasowane w odmiennej kolejności, tak jak jawią się nam we wspomnieniach wypadki przeszłe. Ale to już dalsza, jeszcze dla człowieka niedostępna historia, na razie tylko literatura zabawiać się może w rozbijanie czasu i dowolne mieszanie czasowych następstw. Literatura — architektura marzenia: takim architektem marzenia zamierzył zostać Roman Zaleski, gdy, przez nanizanie na literacką nić szeregu elementów swego nieudanego i bezsilnego na skutek historycznych sytuacji życia, chciał udzielić temu życiu rozgrzeszenia, a więcej — rehabilitacji i nobilitacji. Ale życie czuwało, aby natychmiast podporządkować śmiałka i marzyciela swej niezłomnej zasadzie, którą krytyk R... sformułował kiedyś w sposób kartezjańsko prosty: „życie polega na tym, że nie można żyć”. Instrumentem zaś, który posłużył jako hasło, jako znak wywoławczy w procesie rozbicia i unicestwienia Romanowych zamysłów stała się — biała bluzeczka. Była kiedyś taka urocza piosenka, jeden z nielicznych „przebojów” okupowanej Warszawy, pod tytułem „Zamszowa bluzeczka”. Tu natomiast chodziło o bluzeczkę białą, bardzo dobitnie odcinającą się na szarozielonawym tle „sali gazetowej” w kawiarni „Srebrny Jar”. Symbol prosty, szablonowy, tak jak prosty musiał być sam impuls, aby pokazać, że życie trwa i wcale nie jest nieudane — podobny zresztą impuls stał zapewne u źródła biegowych ćwiczeń Romana, którymi chciał zadokumentować, że mimo zaawansowanego wieku jest oto w pełni sił. Chętka zgoła małostkowa, zważywszy przyjęte uprzednio samokrytyczne założenie o zmarnowanym życiu. Ale człowiek jest z natury tak próżny, że nawet zmarnowawszy życie, chce to zrobić z fasonem, z rzeźwym gestem, pomachać na zakończenie junacko ręką. Nie wie wcale, że taki pozerski gest zniweczyć może całą żalosną wprawdzie lecz i patetyczną osnowę zmarnowanego istnienia: już to życie czuwa pilnie, aby ktoś nie wyszedł z niego z nadmiernym honorem, ze zbyt beztruską miną czy pozą, z przesadnie wyprostowaną sylwetką. Z prochuś powstał, w proch się obraca!

Otóż Roman, owszem, chciał biegać i nawet rano gimnasty-

kował się po trochu, obserwując jednocześnie wstęgę morza, falującą lub znieruchomiłą za wielkim żółtym hotelem po drugiej stronie ulicy czy raczej autostrady, gdzie mieścił się Dom Pracy Twórczej — przy okazji wpadło mu raz do głowy, że całe życie przepędzał w podobnych domach, czymże innym w końcu była okupacyjna Kuchnia Autorów, od której czasów czy raczej początków upłynęło już drugie dwadzieścia osiem lat jego ziemskiej wegetacji — przepędzał a dotąd nic w istocie twórczego nie zrobił i to zwiedziony przez przeklętych maniaków komunistów, których za to właśnie jak najszczerzej i po niewczasie znienawidził. Biegał więc i gimnastykował się nie by się odmładszać, lecz w umiłowaniu dyskrecji: jest rzeczą niedyskretną i niesmaczną świecić wokół zniedołężniałą, budzącą odrazę starością, przyjemnie za to zachować sylwetkę niejako obiektywną, konwencjonalnie formną, prostą, elastyczną, nie krępującą nikogo. Mit o wiecznej młodości, rozpowszechniony w epoce freudyzmu stosowanego, diety cud oraz zastrzyków przeciw przerostowi prostaty nie był jego mitem — używał go niejako pomocniczo, niby wzorca treningowego, pobłażliwie rozgrzeszając się z utajonej pół-nadziei, że jemu to właśnie uda się zachować młodzieńczą sylwetkę starszego pana, nie posiadającego wieku i nie absorbującego nikogo swym problemem fizjologicznym. Koncentrował się więc na kwestiach zewnętrznej młodości ciała, nigdy natomiast nie przychodziło mu do głowy, że mógłby zejść z powrotem do czynności i ideałów adoracyjnych, właściwych młodości rzeczywistej, na przykład właśnie do zajmowania się dziewczęcą bluzeczką.

Gdy po roku w tych samych nadmorskich miejscach analizował istotę ówczesnej błogości, która rozpoczęła się przecież jeszcze przed uświadomieniem sobie istnienia białej bluzeczki, dochodził do wniosku, że różne uroki początkowe, jak poranna gimnastyka, spacer na molo, rozmowa ze starszą panią, tkwiącą w kiosku z gazetami (miała jedną z najmilszych odmian śpiewnej, skazanej na zagładę kresowej polszczyzny), parę słów zamienionych z wileńskim szatniarzem, który krzaczastymi siwymi brwiami przypominał mu Piłsudskiego, jak potem zanurzenie się w zieloną atmosferę „Srebrnego Jaru”, skryte i bezinteresowne obserwowanie ślicznych, hojnie okazywanych kolan dziewczęcych, z jednoczesnym przebieganiem wzrokiem porannej prasy i oczekiwaniem na cierpko-gorzki smak czarnej kawy, którą zaraz przyniesie mu równie dziewczęca i równie krótko odziana kelnerka, zwracająca na chwilę głowę w stronę kwadratowej platformy (była to sala przejściowa, sala-intermezzo), gdzie właśnie młody pianista w swetrze uderzał swe pierwsze dzisiaj akordy — że wszystkie te wdzięki i uroki nie byłyby sobą, nie byłyby rzeczywistością,

gdyby nie przepoiła ich i na swój sposób nie prześwieciła biała bluzeczka. A przecież — powiedziałyby ktoś — bluzeczka zjawiła się w świadomości Romana dopiero po tygodniu pobytu, wszystkie zaś tamte sprawy istniały od początku, więc z następstwem czasowym coś się tutaj nie zgadza, po prostu we wspomnieniach po fakcie nastąpiła jakaś mitologizacja, ujednoclenie całej sprawy. Przeczyło temu jednak uporczywe przypuszczenie czy nawet już przeświadczenie Romana, że początkowe uczucie błogości nie łączyło się ani z pozaczasowym niby kresowym a niby przedwojennym trybem i stylem życia w grudniowym C..., ani z osobliwościami i pięknosciami morskiego czy ulicznego pejzażu, z zielonym kolorytem kawiarni, cierpkością czarnej kawy, czy wdziękiem kelnerek, względnie z interesującym i podniecającym rytmem zdań porannej prasy (*była to wszakże ta sama prasa, tak po czarodziejsku skłamaną, że kłamstwo zawiera się w każdym słowie: — produkujący ją czarodzieje liczą na to, że nikt nie będzie miał cierpliwości i okazji polemizować z każdym słowem, że natomiast człowiek ma względnie będzie miał krótką pamięć*), ani także z dźwiękami fortepianu, szumem wiatru lub czymkolwiek innym w ogóle, lecz z białą bluzeczką, która przyszła później, a więc wynikało z przewidywania jej przyjścia, z oczekiwania na nią? — nie — z poczucia, z pewności, że ona już istnieje, choć jeszcze przecież formalnie jej nie było, względnie nie została dostrzeżona, albo dostrzeżenie nie zostało uświadomione, bo Roman nie mógł sobie w istocie przypomnieć, kiedy jego świadomość czy podświadomość po raz pierwszy zarejestrowała fizyczną obecność białej bluzeczki. Z tego zaś wszystkiego wniosek, że wydarzenia, epizody życia oddziałują na siebie, przyciągając się i zabarwiając wzajemnie, niezależnie od swego rozmieszczenia i oddalenia w czasie, z czego znowu krok tylko do przypuszczenia, że kolejność faktów, składających się na naszą egzystencję, porządek w jakim następują one po sobie, jest rzeczą zewnętrzną, umowną, względną, że nie tylko eksperymentalna literatura ale również prywatny człowiek może sobie te fakty przedstawiać i przesytywać, wykrywając ich wzajemne oddziaływanie, niezależne od formalnej kolejności (często się nam przecież zdarza złudzenie, że spotykamy kogoś, okazuje się że to nie on, lecz ktoś obcy, a za chwilę spotykamy naprawdę tego właśnie, o którego chodziło), być może, że potrzeba do tego trochę intuicji oraz introspekcyjnej bystrości, pozwalającej zapamiętywać szczegóły wszystkiego, co nam się psychicznie wydarza, być może też, że takich intuicyjnych uzdolnień nabywamy z wiekiem, człowiek stary mniej jest cielesny, bliższy ziemi, żywiołom; niematerialna już niemal, bo na słabej podstawie fizycznej oparta a intensywna jak rozżarza-

jący się ostatnim wybuchem płomień praca psychiczna odkryć może nie szablonowe prawa wydarzeń, przechodzących w siebie nawzajem w sposób wolny od konwencjonalnych następstw i przyczynowych powiązań, stanowiących tylko formę, tymczasową, nietrwałą i nieważną. Tak czy owak, tamten początkowy urok zależał na pewno od późniejszej wizji dziewczęcej bluzeczki, co widać choćby z tego, że teraz jest też grudzień, molo, mewy, deptak, „Srebrny Jar”, wszystko dokładnie takie same, zapisane, zapamiętane, uroku zaś ani śladu. Z czego wynikają dla Romana dwa pocieszające wnioski: jeden, że dziewczęca bluzeczka była tylko mitem, który pokruszył się, unicestwił i szczeł, drugi — że miniony rok się nie liczy, że przez tożsamość pory i okoliczności daje się Romanowi do zrozumienia, iż mimo wszystko czas darowany można jeszcze odnaleźć (czyli, odwrotnie mówiąc, czas odnaleziony jest mu jeszcze darowany), życie bowiem nie posunęło się dotąd naprzód, w sposób nieodwracalny, kiedy to, zgodnie z doskonałym określeniem dialektyków, ilość przechodzi w jakość, iż — słowem — okazja jeszcze jest, jeszcze się nadarza. Mity przysły — okazja dalej trwa. Tyle, że tym razem nie można już chyba nadużywać cierpliwości wspaniałomyślnego jednak losu.

Bluzeczka była mitem, symbolem — to jasne — tylko Roman z braku pokory usiłował przypisać jej cechy osobowe, indywidualne. Właśnie, parę chyba dni przed uświadomieniem sobie istnienia Białej Bluzeczki, jadąc elektryczną kolejką łączącą C... z okalającymi tę miejscowość po obu stronach miastami portowymi, dostrzegł naprzeciwko dziewczynę, znajomą mu z lat młodości — po chwili dopiero uporczywego wpatrywania się w nią zdał sobie sprawę, że w najlepszym wypadku mogła się okazać córką tamtej, bo owa znajoma, jeśli w ogóle żyła, musiała dziś już być stateczną panią, niewiele co młodszą od niego. Czyli, że dziewczyna jest mu w swym typie, rodzaju, gatunku dobrze znana, podobna jak papużka nierozłączka do kogoś z lat młodości, w istocie zaś jest to ktoś obcy, ktoś z nowego pokolenia. A więc następuje tu zwykła, seryjna reprodukcja gatunku, mająca na celu tysiącokrotne powielanie wciąż tej samej biologicznej komedyjki, po prostu stary sposób przewrotnej Natury (Roman nie nazywał jej Matką Naturą, uważając, że jak na macierzyństwo zbyt jest perfidna), w istocie sposób ten okaże się nieskuteczny, jeśli jednostka potrafi mu się oprzeć. W gruncie rzeczy bowiem, wobec owej nieugiętej, płynnej powtarzalności, stosowanej przez przyrodę, tylko jednostka wydaje się ważna, jednostka, stanowiąca najdoskonalsze a konkretne wcielenie czy niejako zagęszczenie kipiącej we wszechświecie materialnej energii, względnie energetycznej materii, wcielenie arcyrealne, do którego właśnie stosuje

się Kartezjańskie *cogito ergo sum*, przy tym wcielenie niezniszczalne, bo to, co mu się fizycznie lub duchowo przydarzy (zresztą, jak to sobie Roman wielokrotnie powtarzał, przedział między duchowym a fizycznym jest fikcją, wynikała jedynie z dotychczasowego niewystarczającego stanu ludzkiej wiedzy), te wszystkie myśli, odczucia, obserwacje składające się na jednostkową osobowość, są wieczne — nigdy nie dadzą się wymazać, cofnąć, unicestwić, istnieć będą zawsze, bez względu na to, czy ktoś je postrzeża czy też nie, pozostawią oprócz tego swoje pozaczasowe odbicie w postaci właśnie przemian energetycznych, jakich były czy są skutkiem i przyczyną. „Były”, „są”, „będą”, to zresztą pojęcia bez znaczenia, gdyż następstwo czasowe procesów, dotyczących energii wraźniowej, oraz ich powiązanie z określoną jednostką i określonym życiem, to, jak się rzekło, sprawy względne, to tylko subiektywna konwencja, obowiązująca daną jednostkę ludzką na odcinku jej życia, nieważna natomiast dla wszechświata. Zresztą i jednostka może się własnym wysiłkiem od tej konwencji uwolnić, a przynajmniej rozluźnić swe więzy z nią, przez namiętność pamięci, ewokującej przeszłość, lub wyobraźni, przywołującej przyszłość. Najważniejsza jest przyszłość oraz daleka przeszłość: przyszłość, bo kryje w sobie wszelkie możliwości, daleka przeszłość, bo jest zamknięta, określona, zatem w jednoznaczności swej treści, swego klimatu, atmosfery, nastroju, niezniszczalna na całą wieczność. Najgorsza zaś zwłaszcza dla człowieka starszego, jest terażniejszość, niewyjaśniona, chaotyczna, bezkształtna i nijaka, w żaden sposób nie potrafiąca się oprzeć niszczącej złudzie codziennego przemijania. Filozofowie komunizmu, pogrążeni po uszy w gorączkowym czynie (*lub raczej czynie rozmiennym na codzienne raty, po prostu w czynnościach*), nie rozumieli się na tych sprawach, odbierając przez to ludziom cały ich dobytek, w postaci zarówno przeszłości jaki i przyszłości: przeszłości, bo ją zarozumiale przekreślali, przyszłości, bo ją z góry określali, determinowali, twierdząc, że odkryli prawa, którymi się ona pokieruje. Kultuwują oni mit Prometeusza, nie wierzą bytowi lecz wierzą w możliwości człowieka (nie każdego zresztą), stąd z jednej strony nieustające, monstrualne ale w ich pojęciu optymistyczne samochwalstwo, z drugiej zaś ich stała czujna podejrzliwość wobec bytu — nie kto inny jak krytyk R... nazwał marksizm i freudyzm systemami podejrzeń, podejrzewają one bowiem, że poza wydarzeniami i nazwami rzeczy ukrywa się całkiem co innego, niżby wskazywała treść czy nazwa tychże wydarzeń i rzeczy.

Według więc filozofii, nabytej przez Romana, powinien on być, w imię swojej samoistności duchowo energetycznej, w imię osobnego życia wewnętrznego, jakie wiódł w regionach wolnych

od doraźnych praw przyczynowości, następstwa w czasie a także od wszelkich biologicznych rytmów — przeciwstawić się teraźniejszości biegnącej i mijającej w absurdalnym pośpiechu, w intensywności pozornej bo pozbawionej jednocześnie wszelkiego określonego smaku, przeciwstawić się a także odgradzić od pożerającej wszystko bez celu dzisiejszości (*ma ona zapewne swój upajający smak i zapach dla tych nielicznych, wyposażonych w prawo do twórczości, do koncepcji, do projektowania nowego życia filozofów i zarazem architektów nieustającego przewrotu — ale niestety tylko dla nich, w myśl sprawiedliwej zasady nierówności: „Niech ryczy z bólu ranny łoś — zwierz zdrów przebiega knieje; ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś — to są zwyczajne dzieje”*). Wyrazem tego przeciwstawienia się tudzież odgradzenia miała być owa książka, zawierająca sprzeciw Romana wobec obłędu aktualnej historii tej części świata, sprzeciw, upostaciowany we wzruszeniu ramion — Roman był teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że obowiązkiem jego jest wykonać ów lekceważący gest wobec abstrakcyjnego bożka, jaki w tym kraju zrobiono z historii, bożka, którego mistyfikatorsko, po szamańsku sugestywnemu autorytetowi nikt w Polsce, tak ciężko doświadczonej przez historię właśnie, nie usiłował się oprzeć, co najwyżej czynili to nie poddani jego bezpośredniemu działaniu emigranci, lecz u nich nie miało to ważności oporu wewnętrznego, bo żyli w innej atmosferze, która ich stanowisku sprzyjała. Gest oporu czy lekceważenia wobec narzuconej filozofii historycznej (nie była to wcale nauka, lecz właśnie wyklęta niby przez Marksa filozofia), gest wewnętrzny, wyrażający też skryte lub nieuświadomiane tęsknoty wielu ludzi, miałyby znaczenie dokumentu dla przyszłych pokoleń, ukazując, że można stanąć poza swoim czasem, którego obeszła naciśniętą naciskowi jest się poddanym, że czas to pojęcie względne, że indywidualna myśl jest formą energii absolutnej, nad którą ówże czas nie ma najmniejszej władzy.

Aby jednak sporządzić ten dokument, należało wyłączyć się z wszelkich doraźnych cykliw rytmicznych, oczywiście również z podstępnych, lecz bynajmniej nie wszechwładnych fluktuacji biologicznych. A tu właśnie Roman dał się zaskoczyć. Najpierw skusił go ów rytm prawdziwego, prowincjonalnego i polskiego, niekomunistycznego niemal życia, w dodatku życia na niby, urlopowego, czego się w dzisiejszej Polsce zgoła nie spodziewał: ktoś mógł przypuścić, że w C... czas dla przybysza tak przyjemnie i łagodnie mija, że nawet nudne, beztreściowe gazety wydają się tutaj ciekawe i nie drażniące. Ale to jeszcze rytm stosunkowo (wydawałoby się) nie absorbujący, zgodny w zasadzie z ideą czasu darowanego. Gorzej znacznie było z rytmem drugim, mocno już bio-

logicznym: z rytmem Białej Bluzeczki, rytmem który stał się niebezpieczny, napastując go niespodzianie o zmierzchu, o zaakceptowanym już, mimo biegania i gimnastyki, fizycznym zmierzchu życia.

Gwoli sprawiedliwości powiedzieć trzeba, że przed ową sprawą Białej Bluzeczki Roman z początku rozmyślnie się nie bronił, niezależnie bowiem od faktu, iż mu to przeżycie „biologicznie” pochlebiało, uznał je za korzystne dla swoich celów twórczych. Jeśli oto, bez własnego zamierzenia przecież (słodką to rzecz być uwodzonym), bierze udział w czymś, nazywanym miłością, to dowód, że jeszcze żyje, że, mimo swego wieku, tkwi w samym miąższu życia, a to z kolei świadczy, iż jego protest nie będzie wyrazem jakiejś samotniczej, wywołanej starością goryczy, lecz podniesiony zostanie z samego środka realnego życia. Poza tym, rzecz była nie do pogardzenia jako wątek tematyczny: jeśli protest miał przybrać formę powieści, to romans jako przynęta i jako osnowa formalna byłby w niej zgoła na miejscu, zwłaszcza, że dotąd istniał tylko pretensjonalnie epicki opis przechadzki po molu i nie było żadnych pomysłów co do dalszej, zewnętrznej tematyki i budowy dzieła, a wszakże nawet Poeta spod Moskwy nie poskąpił swej historycznej księżce motywów erotycznych. Biała Bluzeczka — rzecz na pozór świetna, jak znalazł, romans z osobą młodziutką to dla romansopisarza wręcz wygrana na loterii: któż mógł przypuścić, że sprawa ta oderwie go od wszystkiego, wciągnie w siebie niczym psychiczna topiel, że zmarnuje mu rok, aby zniknąć tak nagle, jak nagle przyszła i że trzeba będzie znów, w całkiem nowej i niezbyt korzystnej sytuacji zaczynać wszystko od początku (Łaska Boska że w ogóle jeszcze było to możliwe).

Szybko się zresztą okazało, że Biała Bluzeczka wcale nie była taka młoda. Miała wtedy, rok temu, trzydzieści sześć lat, równe dwadzieścia lat mniej od Romana. Według dzisiejszych pojęć, to jeszcze młodość, ale na tle rozkwitającego w C... nieustannego festiwalu pięknych dwudziestolatek, to już było całkiem inne pokolenie. Biała nieskazitelna bluzeczka z żabocikami i koronkami zagrała co prawda właśnie swą bielą w zielonym półmroku kawiarnianej sali „gazetowej”, przy stłumionych dźwiękach fortepianu (jak już za niewiele dni, bo rzecz poszła z początku piornem, miał się Roman przekonać w jej odnajętym na parę tygodni pokoiku, nie była to oczywiście jedna biała bluzeczka, lecz cały ich szereg, pilnie zmienianych, pranych i prasowanych — okazały się bowiem autentycznie jedwabne, czyli modnie staroświeckie, nie z żadnego chemicznie wyprodukowanego nylonu), ale złączenie jej w świadomości z dookolną młodością okazało się wynikiem mitologizującego zabiegu wyobraźni Romana — w isto-

cie Biała Bluzeczka pochodziła z innej epoki (po wojnie też były w Polsce różne epoki) niż tamci, poza tym w ogóle należała do bardzo specjalnej i to warszawskiej znów formacji, czuła się więc wśród okupujących C... zimą grup nowych młodzieniaszków, nowych fasonów i stylów uczuciowo myślowych (bo w myśleniu decyduje częstokroć właśnie styl a nie zawartość treściowa), równie, choć w całkiem inny sposób samotna jak Roman, stąd właśnie zapewne odnaleźli się tak bezbłędnie, a w rezultacie całkiem błędnie, w łagodnych, zielonawych, okupowanych zimą przez studenterię czeluściach „Srebrnego Jaru”. Potem dopiero, gdy się wszystko na dobre zaczęło, zmienili miejsce: chodzili teraz do wielkiej, zaduszonej czerwonym pluszem kawiarnianej sali nadmorskiego hotelu; latem kawiarnia ta grzęzła w gwarze i papierosowym dymie, teraz nic nie przeszkadzało, aby spokojnie wchłaniać rozciągający się za ogromnymi oknami pustej w południe sali widok na zimną, niebieską przestrzeń morza i nieba — kolory tej przestrzeni zależały od coraz to się zmieniającej sytuacji atmosferycznej, lecz w pamięci i wyobraźni Romana pozostało właśnie to: rozległy przestwór zimnej niebieskości. Nie było tutaj utajonego naerotyzowania „Srebrnego Jaru”, nad kawą drzemało zaledwie kilku starszych panów, siedzieli więc z Bluzeczką sami, izolowani od owej przepajającej C... atmosfery młodości, młodości na swój sposób jednolitej, choć wywodzącej się z różnych stref, wymiarów i klimatów (do młodości tej zresztą wracać mieli jeszcze potem w małym hotelowym *cocktail bar’ze*). Może to Biała Bluzeczka zdecydowała, aby tu przychodzić — nie chciała pewno konkurencji owych króciutkich spódniczek i obciskających piękne, na pokaz, nogi bajecznie kolorowych pończoch — sama zresztą też miała spódnicę krótką i nogi jak na pokaz, tyle, że wiek nieco inny, o czym Roman po paru dniach dowiedział się bardzo zdziwiony, stracił już bowiem rachubę i rozeznanie wśród mijających go w taśmowym pędzie i nieustannie wyprzedzających odmian czy gatunków powojennej młodości.

VII

Rzecz w tym, że generacje powojennej młodzieży, tak jak zresztą wszystkie inne sprawy i zjawiska (w odczuwaniach Romana, zapewne, ale odczuwania są realnością, bo istnieją) zaczęły teraz następować po sobie coraz szybciej i szybciej, jakby odcinek

czasowy między nimi zmniejszał się w jakiejś określonej cyfrowo proporcji. Pierwsze powojenne pokolenie owych strasznych, bo zarazem prymitywnych, ignoranckich a przecież na swój sposób głębokich i fanatycznych stalinowskich entuzjastów (*wychowała ich wojna a potem — wyposzczonych — pewna specjalna, najpierw hołubiona po fackie zaś przez samychże jej autorów skrytykowana, potępiona i skompromitowana organizacja młodzieży*), pokolenie, otumanione rzekomą czy prawdziwą rewolucją lecz nie pozbawione wielkości przeżyło następnie swą nieuniknioną w zmieniającym co pewien czas slogany systemie gorycz, dziś zaś podchodziło już pod czterdziestkę, uważając się za ideowych weteranów. W tabeli kroczących ku górze figurowało obecnie pokolenie Białej Bluzeczki, trzydzieści dwa do trzydziestu sześciu, jeszcze dosyć stalinowskie, bo formowane na uniwersytetach w początkach lat pięćdziesiątych, kiedy to z ostrożności nie uczono tam niemal niczego, ale kiedy pewien sceptycyzm znajdował już swą drogę do akademickiego „aktywu” (*jeszcze jedno słowo z dykcjonarza nowej mowy*), wobec czego nastawiano się raczej na obiektywne, konformistyczne robienie kariery. A potem już generacje studenckie zaczęły po sobie następować coraz prędzej, tak prędko, że Roman przestał nadążać: październikowi „odwilżowcy”, z kolei uspokojone na pewien czas pozornym liberalizmem pokolenie konsumpcyjnej „małej stabilizacji” (*to określenie, pochodzące od pewnego zdeorientowanego lecz dzięki temu siejącego swój fermentik poety, zrobiło niejaka karierę — fermentik co prawda okazał się w skutkach zgoła inny, niż ów poeta sobie zamierzył, ale rzecz to powszechna: dezorientacja, wynik cząstkowych, u każdego innych doświadczeń osobistych stała się charakterystyczną cechą ludzką w rozbitej na przeróżne atomy powojennej Polsce*), później znowu młodzież zbulwersowana politycznie w sposób abstrakcyjnie lewicowy i domagająca się poprawy socjalizmu czy też „prawdziwego socjalizmu” (*komunizm według aktualnej moskiewskiej mody powszechnie już teraz nazywano socjalizmem*), wreszcie następne piętro spirali przemian i powrotów: neo-stalinowcy, neo-karierowicze, neo-nacjonałiści — wszystko to obecnie trudno już było zliczyć, zwłaszcza, że Partia wciąż wymyślała nowe hasła, a raczej abstrakcyjne nazwy haseł i rzucała je przez swój megafon, chcąc stworzyć wrażenie istnienia stałego fermentu, boć innego niż odgórny być tu nie mogło, a jeżeli by się taki zjawiał, okazałby się niechybnie dla rządzących filozofów niebezpieczny. Lansowanie fikcyjnych, słownych elementów, przedstawianych jako rzekomo konkretne punkty odniesienia i stwarzanie w rezultacie fikcyjnych sytuacji psychicznych było skutecznym narzędziem panowania nad duszami, tak samo jak wskazy-

wanie coraz to nowych, sezonowych wrogów, zmieniających się, zależnie od mody, z nacjonalistów w kosmopolitów, z reakcji w rewizjonizm, z imperialistów w syjonistów, z drobnomieszczanstwa w trockizm. Oczywiście słowa te to były tylko liczmany, którymi prowadzono jakąś talmudyczną, niezrozumiałą dla ogółu grę abstrakcji, potrzebną jednak widocznie komuś do czegoś — biada jednak człowiekowi, który wziąłby owe symbole bytu pojęciowego, zupełnie nie związanego z ich nazwami, za realnie w życiu istniejące, obecne czy dawne zjawiska. Zdarzył się taki wypadek, wśród wielu innych podobnych specjalnie ważki, bo dziwaczna katastrofa dotknęła pewnego naprawdę wybitnego krakowskiego polonistę, raczej prawnicowca, który przed wojną mienił się duchowym uczniem krytyka R... i przez swą nieustępliwą dociekliwość intelektualną na tytuł ów niewątpliwie zasłużył, w czasie okupacji zaś rozwinął w podziemnym Krakowie bogatą działalność nauczycielską i umysłowo zapładniającą, stając się jednym z ważnych orędowników przetrwania polskiej duchowości podczas Narodowej Nocy. Polonista ów więc został po wojnie nagrodzony jak się należało, mianowano go bowiem w wieku lat trzydziestu pięciu profesorem najstarszej w kraju uczelni akademickiej (*Kraków, niezniszczalny i trwający po swojemu, mimo rezydowania w nim przez kilka obłądnych lat hitlerowskiego wielkorządcy, prawnika o psychice gangstera — zastanawiające połączenie, Kraków niezburzony ani nie przeniesiony w inne miejsce, Kraków, o niezmiennym niemal, oprócz nieszczęsnych Żydów, trzonie ludności, stał się wówczas, zasilony przez powypłaszanych z całego kraju waganów tudzież gryziopiórów, nie kwestionowanym i wcale na razie zdrowo bijącym sercem kultury polskiej*). I oto nagle niespodzianka: krytyk nasz, pasowany po zbyt krótkim, jak sądzili niektórzy, bo umniejszonym przez wojnę naukowym terminatorstwie na ideowego przywódcę pokolenia, postanowił ni stąd ni zowąd, krakowsko-habsburską modą złączyć swe cenione walory nie konformistycznego, bezkompromisowego „klerka” z legalistycznym nurtem doktrynalnym, zalecającym jak na razie swe dogmaty i tezy w sposób wstydliwie ostrożny, tudzież przymilnie uśmiechnięty. Nic nikomu nie mówiąc, krytyk — profesor z Krakowa umyślił sobie samorzutnie użyć marksizmu jako narzędzia do realizacji zaleceń swego mistrza R..., dotyczących nieustannej rewizji i bezkompromisowego prania intelektualnego, które to zabiegi oczyścić miały Polskę z wszelkich myślowych stęchlizn i wywlec kulturę narodową z jej prowincjonalnej drugorzędności. W ten sposób młody profesor stał się niespodziewanie (bo nigdy przedtem nie miał z tym nic wspólnego) i ku wielkiemu podziwieniu oraz trwodze nobliwego Krakowa, czołową (*tez*

nowe słowo) postacią marksistowskiej awangardy. Jak na nowicjusza spisywał się znakomicie, nawet wręcz fenomenalnie. Postanowił mianowicie stworzyć w krótkim czasie księgę w formie uniwersyteckiego podręcznika, która przenicowałaby i zinterpretowała z punktu widzenia marksistycznie klasowego całe dzieje literatury ojczyznej. Trud to był iście syzyfowy, jako że w tym zgoła nietypowym, rolnym społeczeństwie masowe ruchy ludowe („klasowe”) aż do początku wieku XX niemal nie istniały i na dziwaczną dość historię polityczną szlachecko-chłopskiego kraju żadnego wpływu nie miały (Ukraina, kozacy, tak — aleć to nie Polska), słynnych zaś kosynierów naczelnika Kościuszki dąłoby się policzyć na małym liczydło, a robotników, uczestniczących w dziewiętnastowiecznych narodowych powstaniach, na palcach dwu rąk. Mimo to krytyk z Krakowa nie uląkł się nadmiernego trudu. Wstawał przed piątą rano i, o mglistym czy różowym krakowskim świcie brał się do dzieła, podniecony i roznamiętniony jak Archimedes, pilny jak mnich ze słynnego podkrakowskiego opactwa Benedyktynów. Dzieło wspięło się na szczyty dialektycznego kunsztu: nawet w bełkotliwych łacińskich kazaniach starego klechy, czy we frywolnych komedyjkach szlacheckiego gawędziarza dopatrywał się Autor tła politycznego i klasowego, ba, udowodnił to niezbitcie, zaprzągnąwszy do swego warsztatu myślowego wszelkie aktualne ideowe rumaki, wszelkie docieklive podejrzenia i demaskacje, oraz używszy pilnie wszystkich misternych mikroskopów interpretacyjnych, a także naładował swę dzieło obrazoburczym dynamitem. Księga wielkiego zapału, wielkiej wiedzy, wielkiej pracy i wielkiej a świeżej, tym ci więc mocniejszej wiary, wyszła na razie w postaci uniwersyteckiego skryptu. Dwa, trzy lata uczono według niej dziejów literatury polskiej, po czym nagle coś się zacięło, ktoś tam wykrył, że coś tam w książce nie jest tak jak trzeba, podciągnięto ją pod modne akurat odchylenie, zgromiono, wycofano, zdumiony zaś autor wpadł w niełaszkę i poszedł na boczny tor (*i tak szczęście, że nie oskarżono go o zdradę oraz wrogą dywersję*). Po paru latach wprowadzie odzyskał wszystkie stanowiska, ale o książce jego nikt już nigdy nie wspomniał, a on sam (Roman spotykał go czasem w Warszawie) robił wrażenie człowieka nieustannie mrugającego oczami z przeogromnego zadziwienia nad Wielką niesprawiedliwością, jaka go spotkała. Oto są skutki, gdy ktoś przyjmie sezonowe liczmany taktyczne, czyli tak zwane zastępcze „fiszki” do gry, za prawdziwą i na zawsze ważną monetę. Morał z tego wyprowadzili sobie ludzie mądrzy i lubiący spokój (takich wygodnickich w Polsce nigdy nie brak), że mianowicie, liczmany owszem, cenić sobie trzeba, ale nie tak znów namiętnie, aby nie można się było rozstać z nimi

bez nadmiernego żalu przy następnym przeczyszczeniu czyli Kolejnej Wielkiej (jakżeby inaczej) Odmianie względnie Wyprzedaży Haseł. Walnie pomaga im tutaj fakt, że komunizm niezwykle zęcznie, niewidocznie, likwiduje niedawną nawet przeszłość, a powszechna i posłuszna krótka pamięć ogromnie mu ten zabieg ułatwia. Jeśli przecież w pisanej historii rewolucji nie ma już Trockiego, to czemuż by w historii literatury polskiej nie miało zabraknąć księgi krakowskiego profesora, z której uczyły się przecież tylko trzy roczniki studentów?

W sprawie tej objawiła się względność oficjalnie stosowanych kryteriów, ale nie wynika ona z jakiegoś wszechogarniającego sceptycyzmu, ale z opartej na podejrzliwej koncepcji psychologicznej teorii, mówiącej o tym, jak uchwycić i jak utrzymywać władzę. Autorem tej koncepcji, jej teoretykiem i pierwszym praktykiem był obdarzony mniejszą już od patriarchalnego praojca ruchu bródką niejaki Włodzimierz Uljanow, wieczny student i filozof-amator, bywalec zachodnich bibliotek i kawiarni, który, mimo iż liberalny Zachód udzielał mu wciąż azylu i możliwości pracy politycznej, nie nabrał do zachodnich obyczajów demokratycznych najmniejszej sympatii, przeciwnie, pogardzał nimi jako burżujskimi (co mu nie przeszkadzało z nich korzystać). Apodyktyczny ten człek nie znosił zwłaszcza demokracji parlamentarnej — sławna jest historia, jak przybywszy w roku 1917 do zwanego już teraz Piotrogradem Petersburga, obraził wszystkich witających go na dworcu przedstawicieli konstytucyjnych partii politycznych, odmawiając im podania ręki i odwracając się tyłem — za celowe uznał jedynie krótkie przemówienie, które wygłosił do zgromadzonego przed dworcem tłumu, czyli, jakby powiedział Sienkiewicz „czerni”. Wiedział co robi: władza w Rosji nie mogła przejść od carskiego samodzierżawia do jakichś zupełnie irracjonalnych, w tym specyficznym, izolowanym kraju niezrozumiałych rządów parlamentarnych — zdobyć ją na trwałe mógł tylko ten, kto pokaże się, toteż w istocie „dobry” Lenin a nie „zły” Stalin stał się właściwym ojcem rewolucyjnego terroru, Stalin zastosował tylko i konsekwentnie rozwinął to, czego go nauczono. *(Nawiasem mówiąc, Lenin przybył wówczas do Piotrogradu przez fronty wraz z grupą przyjaciół niemieckim, specjalnym pociągiem, oddanym mu do użytku przez szkopskiego Kajzera, który sądził, że rewolucjoniści, rozwaliliwszy Rosję od środka, ułatwią mu wygranie wojny. Incydent ten utwierdzał w Romanie parę nurtujących go od czasu wybuchu Drugiej Wojny mniemań, że mianowicie Niemcy są obłąkani i niepoważni — bywa wszakże również obłąd poważny, że matka historia także nie wykazuje nadmiernej powagi, w czym walnie jej pomaga człowiecza lekkomyślność*

i najrozmaitsze odmiany ingerencji przypadku, że wreszcie, bardzo często trud rządzenia światem powierzony zostaje ludziom, nie obciążonym zbyt dużą wiedzą o tym, co właściwie robią, i tak dalej i dalej. Najzabawniejsze było jednak, że pierwszy gwałtowny konflikt między Romanem a Białą Bluzeczką wyniknął właśnie na temat owego kajzerowskiego pociągu, o którym Bluzeczka, choć mająca doktorat z historii doktryn współczesnych, nigdy nie słyszała i uznała całą rzecz za złośliwy wymysł Romana. Ideolodzy i propagandyści rewolucji dobrze są świadomi gołej brutalności i kompromitującej przypadkowości wydarzeń zwanych historycznymi, mimo to, a raczej właśnie dlatego, pilnie tę swoją wiedzę ukrywają, racząc swoich adeptów strawą naiwnie patetyczną i drugorzędnym wizjonerstwem).

Skąd jednak wzięła się siła Uljanowa Lenina, która przyniosła mu władzę, a co ważniejsze pozwoliła mu ją zachować i utrwalić? Roman sądził, że rewolucja obalająca carat, przez komunistów zwana pogardliwie mieszczańską, na pewno była potrzebna i logicznie wynikała z wydarzeń takich, jak nieudolność Mikołaja i głupio przezeń przegrywana, druga już wojna (*tego się w Rosji nie wybacza; za to będąc w latach sześćdziesiątych na wycieczce w Leningradzie Roman widział co dzień zmieniane świeże kwiaty na grobie Piotra Wielkiego, monarchy, który wojen nie przegrywał*). Jeśli więc pierwsza rewolucja leżała poniekąd w konsekwencjach toku wydarzeń, to druga była już prywatną niejako inicjatywą Lenina i jego elitarnej, kadrowej ekipy. Dynamizmu dostarczyli im zbuntowani żołnierze i wygłodzeni, spragnieni ziemi chłopci. Obie te ludzkie grupy zostały zresztą przez drugą rewolucję w niezwykle sposób zawiedzione, czy wręcz oszukane. Spragnieni pokoju żołnierze nie mieli pojęcia, że czeka ich dalsze parę lat najokrutniejszych, wewnętrznych i zewnętrznych wojen, obdarowani ziemią chłopci ani przypuszczali, iż za kilka czy kilkanaście lat ziemię tę im się odbierze, ich samych zaś wtrąci w bezprzykładną kołchozową niewolę. Taka to była, wydoskonalona przez Lenina dialektyczna sztuka brania wszelkich, przeciwnych nawet wiatrów w swoje własne żagle.

Ostatecznie bowiem ów filozof z bródką okazał się nie tyle teoretykiem rewolucji, lecz teoretykiem i kodyfikatorem koncepcji przechwycenia i, co istotniejsze, utrzymania władzy. Jego nieugięta woła rozbitcia wszelkiej politycznej konkurencji i wszelkiej, także wewnętrznej, opozycji, przyniosła w rezultacie zwycięstwo mniejszości nad większością; o ugruntowanie, utrwalenie tego zwycięstwa i jego konsekwencji postarał się już Stalin, podnosząc leninowski skurcz podejrzliwości do wymiarów wręcz kosmicznych. Rzecz wyglądała właściwie prosto, choć obserwatorom

z zewnątrz objawy mogły się wydawać obłąkańcze. Jeśli partia jest siłą kierującą to musi być zarazem siłą nieomylną, o ile zaś kierownictwo jej robi błędy (*przy dyktatorskich zaś rządach centralnych mały nawet błąd w decyzji wywołuje musi szkody gigantyczne, zwielokrotnia się, jak owo słówko, co wylatuje wróblem a powraca wołem*) to, rzecz prosta, błędy takie nie mogą obciążać tegoż kierownictwa i samej zasady jednopartyjności, która jest niezmiennalna, wobec czego oskarżać o nie należy określonych ludzi w partii, tudzież przypisać im łatwy do zapamiętania wrogi sztyld ideologiczny. Lenin zwyciężał, rozgromiając (wrażenie własne) polityczną konkurencję oraz wewnętrzną opozycję, Stalin, rządząc w warunkach samowładztwa i nie mając opozycji, powoływał ją do życia sztucznie, a potem pokazowo „rozgramiał”. W ten sposób uzyskiwał za jednym zamachem kilka korzyści: unikał osobistej odpowiedzialności za swe błędy, propagował przekonanie, że partia się nie myli i ma zawsze słuszną linię, błędy zaś są wynikiem odejścia od tej linii czyli „odchyleń”, których nosicieli trzeba wytropić i zniszczyć, pozbywał się konkurentów, krytyków i świadków, jednocześnie mógł dowolnie eksperymentować, próbować, zmieniać front i mylić się, bo kosztami tych omyłek obciążał z reguły innych. W rezultacie, przez możliwość kierowania oskarżeń o herezję w dowolnie wybranym kierunku, tak zastraszył, zdezorientował i zaabsorbował wszystkich, że osiągnął po latach rzecz, wydawałoby się, nieosiągalną: możność centralnego, bezapelacyjnego rządzenia dwustumilionowym narodem. Koszta wzbudzenia totalnej trwogi (*a w rezultacie totalnej wiary*) były ogromne, ale marzyciele, noszący w sobie wizję światowej rewolucji nie oszczędzili milionów ludzkich istnień, wojna dokonała reszty. Gdy Guderian stał pod Moskwą, rzecz wisiąca na włosku, ale Wielki Czarodziej nie opuścił Kremla i w rezultacie wygrał — nie tylko wojnę lecz i swoją gigantyczną rosyjską stawkę, bo oto z politycznego nuworisza i gruzińskiego przybłądy stał się Piotrem Wielkim, ojcem ojczyzny i nowego aż po Łabę, imperium, rządzonego jedną myślą i jedną ręką — gdzież do tego absurdalnie a obficie uwłaszczonym, indywidualnie, regionalnie czy rasowo poprzegradzanym Amerykanom, zapatrzonym w swe plebejsko rozbuchane, hałaśliwe, zaś w istocie zrzędzeniem przypadkowo kierowane wybory, z których wychodzą na świat równie przypadkowi, krótkoterminowo aktualni zarządcy, dezorientujący świat absurdalnymi nieraz decyzjami, wynikłymi częstokroć bardziej z obawy przed wewnętrznymi, swobodnymi lecz może przez to anachronicznymi podmuchami i wybuchami opinii, niż ze zrozumienia rzeczywistych nowych spraw pomniejszonego wszakże oraz ujednoliconego przez odrzutowce i rakiety współczesnego

świata. Tymczasem, choć Wielki Czarodziej z Moskwy umarł, jego potężna państwowość, wbrew różnym przepowiedniom i usiłowaniom, wbrew nawet pośmiertnej kompromitacji, ujawniającej część wstydliwego mechanizmu trwogi, pozostała i funkcjonuje — nadal w dodatku posługując się stalinowskim rozwinięciem teorii partyjnej władzy, stworzonej przez Lenina, władzy, której koniecznym a w matuszce Rosji zgoła nie nowym warunkiem było duchowe niewolnictwo. Imprezę konkurencyjną próbowali stworzyć obłudnie rozmnożeni, uwielokrotnieni i groźni niczym rozfalowane morze Chińczycy, ale jak się wydaje ich Wielki Mag (w dodatku poeta), coś tam pokiepscił, źle obliczył, słowem, mówiąc po warszawsku „nawalił” i zamiast ziarna konsolidacji zasiał chaos oraz niemożność. Dwa więc chaosity, amerykański oddolny i chiński odgórnny nie mogły, rzecz prosta, mierzyć się z ciągle jeszcze aktualnym monolitem radzieckim (*nazwa „Związek Radziecki” jak na urągowisko nawiązuje do autonomicznej niczym w Stanach Zjednoczonych rozsyпки kraju na fragmenty czyli republiki — istota rzeczy jest przeciwna, bo bez telefonu z Moskwy nic się ważnego w sowieckiej krainie nie zdarzy*). Roman liczył, że może jego wnuki zobaczą rozkład Imperium (*rozkład to rzecz nieunikniona, naturalna, jak butwienie czy gnicie*), na razie stwierdzić musiał, że jeśli kryteria historyczne są kryteriami poza moralnymi, w których liczy się nie jakość lecz ilość, to Niski Gruzin (*bo był niski, choć na zdjęciach i portretach to ukrywano*) stał się, dzięki stworzonemu przez swe czarodziejские praktyki psychologiczne straszliwemu aparatowi władzy, największym człowiekiem epoki. Oczywiście, dopomógł mu wielokrotnie przypadek, na przykład że Hitler nie zajął Moskwy, że Roosevelt nic nie rozumiał, że uzależniony od podmuchów i skrętów opinii, manadżersko pragmatyczny, niezdolny do ogarnięcia sytuacji rząd amerykański nie wyzyskał swego paroletniego monopolu na dziwną broń, gotową rozwalić świat ludzki w kawały. Ale przypadek jest nawozem historii — tym bardziej warto i trzeba wzruszyć na to wszystko ramionami.

Irracjonalne czarodziejstwo (*pozornie irracjonalne, bo szamanstwo, tak jak cyrkowe sztuki ma swój podkład w logice i dyscyplinie*), wszystko to, co robił Niski Gruzin, zyskiwało w jego audytorium odbiór pobrzmiwający wielkością — nawet gdy subtelnego, rabinicznego dialektyka czy arcypopularnego dowódcę wojskowego oskarżał o współpracę z Gestapo, towarzyszyło temu milczenie nie pozbawione historycznej czy zarazem mistycznej trwogi: kto wie, kto wie — czy zresztą wiadomo i komu właściwie wiadomo, co to naprawdę jest Gestapo? Natomiast w krajach innych, objętych przez gruzińskie czary dopiero po wojnie, rzecz

zaczęła się od komedii: rytuał jej, zaraz po pobieżnym dosyć rozgromieniu mało już, jak na przykład w Polsce, egzystującego „wroga klasowego”, stosowany ściśle według ustalonych wzorów obrzędowych, budził początkowo raczej niedowierzanie niż lęk, jaki był jego celem. Od razu, w ledwo co sformowanej polskiej partii stosować jęto praktyki ustalania „linii”, oraz poszukiwania odchyleń i ich sprawców; wszystko to było mechaniczne, nie przystosowane do sytuacji kraju, gdzie po hitlerowskiej łaźni oraz po wielu wymianach pieniędzy wszelkiego rodzaju różnice socjalne straciły swe uprzednie znaczenie i nikt nie myślał nikogo nienawidzić z powodu takiego drobiazgu jak, skromne zresztą, nadwyżki majątkowe (*w dodatku na przyłączonych do Polski terenach czyli tak zwanym wówczas Dzikim Zachodzie leżało ponieemieckiego dobra wbród — tylko brać a brać*). Trzeba więc było w chaotycznej próżni stwarzać od razu i burzują i rewolucjonistę, i wroga i sojusznika — co prawda uzbrojonych ludzi i okrutnych cywilnych walk nie zbrakło jeszcze długo, bo nie prędko wszyscy Polacy doszli do zrozumienia, że w środkowej i wschodniej części Europy panuje już jałtański „pax Americana”, ale jak tu ustawić w tym wszystkim czarodziejski, sugestywny ład dialektycznej dekoracji? Oczywiście — szybko wywołano tutaj (*kto?! — wieczna tajemnica*) ustawiczną, trwożną neurastenię nowych działaczy, nowych rządców, których przekonano, że strzegąc czystości tajemniczej „linii” i pilnując skwapliwie aby nie zboczyła ona dokądś, a także obserwując się baczenie nawzajem, utrwala swą władzę, tudzież osobiste bezpieczeństwo. I oto rzecz, mimo absolutnej swej abstrakcyjności, ruszyła jak z kopyta: co pewien czas wywoływano jakiś fikcyjny ferment, potem „demaskowano” go i z wielkim szumem „rozgramiano”. Nazwy, jakie wybierano dla poszczególnych etapów fermentu oraz kryptonimy wrogów stawały się często mitologiczne, dowolne, coraz bardziej niezależne od tego, co się naprawdę w kraju działo — mógł to być wróg klasowy lub wróg wewnętrzny, względnie zewnętrzny i agenturalny, mógł być nacjonalizm mógł i kosmopolityzm, przy czym z z zasady przeciwieństwa stawiano obok siebie, tak jak Stalin łączył odchylenie lewe z prawym; aktualnie najgroźniejszym wrogiem mógł również zostać mianowany, potrzebny kiedy indziej (i inaczej wówczas nazwany) kułak, to znowu konserwatysta, lub przeciwnie „lewak”, burżuazyjny formalista czy anarchistyczny nihilista, częstokroć polecano też syjonizm, który, z racji obecności we władzach osób pochodzenia żydowskiego, mógł się okazać nader korzystny, bo obosieczny a w społeczeństwie negatywnie popularny. Takie co pewien czas odgórnie inscenizowane fermenty zastąpić miały wrzenie realne, w tym ustroju niedopuszczal-

ne, a także powodować wymianę ludzi, czyli tak zwaną rotację kadr, która w inny sposób nie wiadomo jak by się miała dokonać, wroga bowiem wyrzucić łatwo a przyjaciela trudno. Początkowo cała rzecz budziła nawet wesołość swą mało zamaskowaną sztucznością, nieskrywaną wcale fikcyjnością, wynikłą z próby odtworzenia na naszym terenie obcych tradycji i dawnych, dalekich, mało tu zrozumiałych wydarzeń. Szybko jednak żartownisiom śmiech zamarł na ustach, okazało się bowiem, że te czysto na pozór mózgowo i wyobrażeniowe igraszki służą w istocie do całkiem konkretnego i okrutnego niszczenia ludzi. Z czasem fantastyka grozy dopełniła się, gdy na przykład po latach ujawniono, że Stalin wezwawszy kiedyś starego przywódcę czeskich komunistów Gottwalda, dał mu pół roku czasu na wybranie sobie dowolnego zdrajcy i wroga spośród kierowniczej kadry partyjnej. Gottwald namyślał się do ostatniej chwili, wreszcie wybór jego padł na gorliwego Żydowina Slansky'ego — Żydzi są odmienni, więc już przez to samo mogą być podejrzani.

Takie fikcyjne walki toczyły się, rzecz prosta, również w środowisku literackim — system, jak się rzekło, przypisywał słowu pisanemu rolę fetysza, toteż dyskusje owe osiągały poziom wyższej scholastyki; oderwane od podejrzanego związku z prymitywną empirią, traktowały na przykład o małym realizmie, wielkim realizmie, średnim realizmie, realizmie krytycznym, realizmie pozytywistycznym, realizmie historycznym i tak dalej i dalej, wreszcie zaś o świętym realizmie socjalistycznym (*realizm ten nakazywał pisać nie o tym, co jest, lecz o tym, co powinno być, jednak bez zaznaczania różnicy*), a także o wyklętym po wiek wieków, ohydny, schyłkowym formalizmie. Roman podziwiał niespodziewaną pasję intelektualną pewnych swoich kolegów, którzy wyzywali się namiętnie w owym kunszcie abstrakcji, szantażując swym mistrzostwem innych, ale strzegąc się pilnie, by nie popaść w takie psychiczne ekspensa, jakie poniósł kiedyś na początku młody profesor polonistyki z Krakowa.

Osobliwe to zjawisko przeniesienia z kraju do kraju pewnych minionych legendarnych wydarzeń, skostniałych niegdyś w swych hieratycznych gestach, jak sceny z groźnej mitologii, a teraz odgrywanych na nowo, niczym grecki dramat: życie ilustrowało tu sztukę, ziściło się marzenie Oscara Wilde'a, przez długie lata traktowane pobłażliwie jako rojenia pięknoducha. Nawet w drobiazgach pilnie odtwarzano sceny i dekoracje z dawnego dramatu: tak na przykład w organizacjach partyjnych darmo by się szukało prezesów, władzę nieodmiennie sprawował SEKRETARZ. Tego dziwnego, sprzecznego z polską terminologią i tradycją obyczaju nie sposób zrozumieć bez przypomnienia sobie, że Stalin był sekre-

tarzem partii, a więc nikt nie mógł stać wyżej od niego. Dziwne stanowisko sekretarza, nie mające wówczas w Rosji początku lat dwudziestych wielkiego znaczenia, otrzymał podobno ambitny lecz małomówny Gruzin z ręki nieżyczliwych towarzyszy, sądzących, że w ten sposób odstawią go na boczny tor — tymczasem okazało się, czego nikt nie przewidział, że sekretarz ma dostęp do akt personalnych swych współkolegów w idei i walce, jaki zaś z tych akt zrobił użytek, doprowadzając stanowisko sekretarza do niebywałej wyżyny a spychając większość swych konkurentów w niezgłębione niziny śmierci politycznej tudzież najzwyczajszej fizycznej — wszystkim dobrze wiadomo. I oto nagle, dla upamiętnienia tych dziwnych perypetii, po latach, w dalekiej temu wszystkiemu Polsce, zaroilo się od SEKRETARZY: poczynając od pierwszego na samej górze, kończąc na ostatnim, w gminie lub gromadzie. Również o ową powszechną terminologiczną subtelność pokłócił się był Roman z Bluzeczką, bo ona nie widziała w tym nic osobliwego czy nagannego — uważała takie sprawy za najnormalniejsze w świecie, z nimi zaczynała młodość, podczas gdy Roman z nimi ją kończył. Oto różnica — ogromna różnica!

Tak, Bluzeczka, odmładzając go fizjologicznie, uświadomiła mu jednocześnie, że jest stary psychicznie, a raczej może nie tyle stary, co obcy młodzieży, która żyje w atmosferze nowej, izolowanej, która nie zna jego doświadczeń i przeżyć, a więc nie jest już w stanie zrozumieć jego pojęć, jego spojrzenia na dzisiejszość. Roman upierał się jednak, że nie był to normalny, odwieczny proces pokoleniowej zmiany warty, ale że chodzi tutaj o coś zupełnie w dziejach nowożytnych wyjątkowego; oto rządzący w tym kraju filozofowie postanowili odciąć całe pokolenie w planowy sposób od przeszłości, po prostu nie informując o niej, co w systemie władzy absolutnej nie jest wcale trudne — nie informując i czekając na rezultat, to znaczy na nadejście generacji, których świadomość w sprawach tego co się działo przed trzydziestu na przykład laty będzie białą kartą — na karcie takiej łatwo jest pisać rzeczy dowolnie lecz starannie wybrane, formując w ten sposób według własnej koncepcji świadomość przyszłego społeczeństwa: to coś jak owo Ministerstwo Archiwów w słynnej powieści Orwella „Rok 1984”, gdzie, chcąc urobić psychikę nowych ludzi i ich koncepcję historii, drukowano na nowo stare egzemplarze pism i książek, zmieniając je oczywiście w myśl własnych dzisiejszych założeń i skrupulatnie niszcząc autentyki. Pozostawał jeszcze jeden problem: sprawa żyjących dotąd ludzi starszych, którzy znają przeszłość z własnych przeżyć i pamiętają ją. Co z nimi zrobić? Podczas Wielkiej Rewolucji we Francji, rzucono w Konwencji projekt, aby wszystkich ludzi w wieku ponad 30 lat (granice sta-

rości były wtedy inne niż dzisiaj) zgilotynować. W Polsce Ludowej projektu takiego wprawdzie nie wysunięto, ale wielu „starych” zginęło na własną rękę w okupacji, powstaniu i przeróżnych innych rozlicznych okazjach, ci zaś co zostali musieli zmierzyć się z nieświadomością młodzieży, decydując albo, w wypadku rozmów i konfrontacji, narazić się na powszechne niedowierzenie i znudzenie, albo też milczeć, ukrywać swą niepotrzebną nikomu wiedzę o przeszłości i dostosowywać się. Roman na przestrzeni lat omijał te sprawy, machając piórem w sposób dwuznaczny lub wieloznaczny, tak jak mu na to pozwalały jego skromne umiejętności i talenta, teraz jednak, w konfrontacji z Białą Bluzeczką, musiał zejść z owej wygodnie wymijającej istotę rzeczy pozycji, z owego postumentu, gdzie, mało lub nic nie mówiąc, mógł zachować jakieś duchowe niezaangażowanie w wątpliwą terażniejszość a jednocześnie pozę człowieka niezależnego. Tutaj, w konfrontacji z młodzieżą nie było już rady, konfrontacja zaś, wobec zbliżenia się ogólnego, fizycznego, więc z konieczności i psychofizycznego zestarzenia (*Roman nie sądził, aby sprawy te na dłuższą metę mogły pozostać rozdzielone — łączyło się to z jego ogólną, przeczuwaną zresztą raczej niż sformułowaną filozofią, niwelującą przedział między materią a duchowością czyli energią psychiczną*), stawała się żalosnym porównywaniem rzeczy nieporównanych, której to beznadziejnej czynności, dokonywanej na wszystkich odcinkach, więc i na odcinku „przeżyć historycznych” nie dało się już uniknąć. Konfrontacja ta okazała się tym drastyczniejsza, tym ostrzejsza i bardziej intelektualnie rozpaczliwa, że Bluzeczka wcale nie była już taka młoda, że wyrosła na tym samym warszawskim uniwersytecie co Roman, wśród tych samych niemal jakoś tam po wojnie pozbieranych profesorów, wśród tychże murów i kościołów (*w żadnym chyba mieście na świecie nie włożono tyle wysiłku w wierną rekonstrukcję unicestwionej dawności, w odbudowę zewnętrznych jej form i świadectw, w żadnym też nie wlano w te formy treści tak absolutnie nowej*), że więc niewielkie dwadzieścia lat różnicy wykopało, dzięki zaopatrzonym w doraźną, bezapelacyjną egzekutywę koncepcjom owych, sterujących ogólnym wykształceniem, filozofów międzypokoleniową psychiczną przepaść, której dna w ogóle nie sposób dojrzeć. A przecież to była tylko jedna z wielu przepaści, rowów, wykopów — cóż tu mówić o tajemniczych pokoleniach najmłodszych, których wrzącą różnobarwną retortą okazała się na przykład dziwna miejscowość C..., miejscowość obfitująca zresztą w wiele grup młodzieży, pokratkowanej na różne sposoby, poziomo i pionowo, według podziałów czasowych, przestrzennych, socjalnych, pochodzeniowych, przeszłościowych i licho wie jeszcze

jakich. Cała zresztą powojenna Polska stała się olbrzymią, wielomilionową retortą doświadczalną, ogromnym, głębokim tygłem, nad którym pochylali się przemysłni czarnoksiężnicy, mieszając, destylując, eksperymentując. Mieli tutaj nieznaną od czasów średniowiecza swobodę działania, absolutną władzę nad gwałtownie rozbełtanym i przelanyim później w zgoła inne naczynie płynem z owego tygla, nad powierzonym ich dziwacznym doświadczalnym zabiegom przestworem zbiorowej narodowej psychologii. Po raz pierwszy w Polsce uczono wszystkich, wszystkich bez wyjątku, takich rzeczy jak historia, filozofia, ekonomia, literatura, ale właśnie jakby na złość, ten sukces ilościowy zjawił się w parze z dziwactwem jakościowym, uczono bowiem specyficznie, przekształcając i deformując prawdę o przeszłości, wybierając, wydestylowując z tej przeszłości pewne składniki, pewne elementy, fragmenty, odcinki i składając z nich nowe, osobliwe, nieprzewidywalne całości, syntezы sugestywne lecz utopijne, mające na celu nietylę oświecić to co było, lecz uformować to co będzie. Spreparowana przeszłość jako psychologiczne narzędzie do kształtowania przyszłości, oto niezwykła koncepcja, której wagi niesposób było przecenić: działała ona skuteczniej niż terror, przymus, organizacja, czyniąc te wszystkie sposoby zbędnymi, zastępując je procesem samoczynnym, każącym znów wspomnieć owego stalinowskiego kota z warszawskiej anegdotki, który dobrowolnie, bez gwałtu wylizywał sobie musztardę spod ogona. Metoda przetwarzania dawnej prawdy, oto sprawa zawrotna, wręcz nieobjęta, z którą to sprawą spotkał się Roman właśnie w C..., właśnie w obliczu młodzieży (*młodzieży różnych grup i płaszczyzn — jeszcze jedna dodatkowa ale może najbardziej dotkliwa komplikacja*) i właśnie wtedy, gdy, po latach duchowych zaniedbań i upokorzeń, postanowił ewokować prawdę, dać świadectwo prawdzie, wynikającej z jego nie zafałszowanych nareszcie i nie przystosowanych do żadnego doraźnego użytku przeżyć, obserwacji, przemyśleń. Lecz tutaj właśnie, nad zimową plażą, obłożoną szumem, sykiem, pluskiem i hukim zmiennych, szarozielonych czy seledynowogranatowych wód zatoki, stanęło przed nim Poncjuszowe pytanie: cóż jest prawda? Cóż jest prawda, jeśli każdy widzi ją inaczej, zależnie od tego, jak jest uformowany, jak patrzy, co przeżył. Czy tyle jest na świecie prawd, ilu ludzi, lub, w najlepszym wypadku, różnorodnych grup ludzkich? Oto kwestia, jaka przypomniała się Romanowi rok temu w C... i potem gnębiła jego umysł coraz bardziej i bardziej przez szereg miesięcy. Dotkliwą realność tej kwestii, materializującą się z dnia na dzień w systemie, tworzonym przez owych wyposażonych w absolutną nad polskimi duszami władzę filozofów upostaciowała Romanowi

właśnie Biała Bluzeczka oraz jej świat — i oto po roku w tym samym grudniowym C... badał z obawą, co mu pozostało z monolitycznego przed dwunastu miesiącami zamysłu dania świadectwa i wzruszenia ramionami. A może wielopostaciowość i względność prawdy tym bardziej skłonią go teraz do realizacji owego zamierzonego gestu lekceważenia i demonstracyjnej bezradności?

VIII

Wciąż jednak, od czasu poznania Bluzeczki a później od czasu nieskończonych przechadzek z nią po Warszawie, zwłaszcza wzdłuż i wszerz olbrzymiego, dziwaczego Placu Defilad (*każda strona tego placu jest inna, bo pochodząca z innej warszawskiej epoki; Roman czytał w tej różnorodności historię, jak dzieje drzewa odczytuje się z przekroju jego narastających przez lata stojów, dla Bluzeczki lektura taka zgoła była niedostępna*), od czasu więc, gdy zetknął się z dookolną młodością inaczej, niż poprzez stosunki z własnymi dziećmi, gnębić go jęła myśl, że żadnego gestu nie wykonuje się w próżni, że nawet, gdy gest pozostaje (jak w wypadku Poety spod Moskwy) nieznanym narodowi, to jednak czynność owa czyli akt „gestykulacji” odbywa się na tle jakiegoś audytorium, choćby to było audytorium nie widzące, nieme, nawet głuche. „To los mój senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy a słuchaczów głuchych — albo umarłych” — tak powiedział sławny dziś poeta, co spędził niegdyś życie, jak wielu innych, na emigracji — może więc przemawianie do głuchych jest z reguły udziałem polskich twórców, urzeczonych dziwaczными losami swego narodu, a wykonywany przez tych ludzi gest staje się, miast demonstracji, gestem wewnętrznym? Może. Tak czy owak jednak, choćby narodowe audytorium nie miało dostrzec śmiałka, demonstrującego wobec historii taki czy inny gest, to jednak audytorium owe, sam już fakt jego istnienia, warunkuje jakość dokonywanego gestu i głębię podtekstu duchowego, który temu aktowi towarzyszy. A tymczasem właśnie w Polsce powojennej audytorium stało się tak bezlitośnie różnorodne i skomplikowane, zarazem też tak bezprecedensowo nowe, że aż czasem człowiekowi rodem z niedocieczonej przedwojennej przeszłości ręce opadały i nachodziły go czarne przypuszczenia, iż gest swój wykona wśród środowiska, którego nigdy nie będzie w stanie poznać i zrozumieć, czyli że wykona go w próżni. Żaden

kraj w tej części świata nie zmienił skóry i wnętrza tak gruntownie jak Polska: nowe było terytorium i ludność, nowy krajobraz i typ człowieka, nowy nastrój (*nie mówiąc już o ustroju*) i nowy styl. Roman znajdował się między dwoma Polskami, a więc w istocie nigdzie: nie należał już do Polski przedwojennej, bo jej nie było (*nie było też w granicach kraju wielu spośród miejscowości, w których spędzał dzieciństwo czy służył w wojsku*), nie należał, mimo długiego szeregu przeżytych tutaj powojennych lat do Polski nowej i zapewne już należeć do niej nie będzie. A więc? „Rzecz dzieje się w Polsce czyli nigdzie”, jak napisał pewien francuski szyderca — już to Francuzi rzadko kiedy odwzajemniali się Polsce miłością, kochając za to ile wlezie Moskali.

Warszawa jeszcze mimo wszystko była Warszawą, z której ruin czy nawarstwień budowlanych, bruków, sylwetek gmachów cudem zachowanych, lub mniejszym cudem choć dużym wysiłkiem odbudowanych, z panoramy, perspektyw, pejzaży, odczytywać można było dzieje przeszłości własnej czy ogólnej, a także próbować przekazać tę rzecz na przykład Bluzeczce. Ale co zrobić z nowymi ziemiami na Zachodzie? Roman miał w oczach pewne dziwne miasto — dziwne dla nizinnego Polaka, bo na świętym, pustym Mazowszu podobnych ludzkich siedzib nie bywało. U podnóża i na stokach wyniosłych lesistych szczytów, zawieszony jakby na wielu poziomach rozpinał się w owym mieście majestatyczny przemysłowy pejzaż: kombinacja gór, lasów, czarnych węglowych usypisk, dziwacznych diamentowych jezior wśród ciemnej szlaki hałd, dekoracja z olbrzymich błyszczących kotłów i dosłownie niebotycznych kominów hutniczych, napowietrznych kolejek linowych, rozpiętych wzdłuż stromych zboczy, których uczepliły się kopalniane gniazda węgla brunatnego, dalej zaś uszeregowane na ukośnych szkarpach zastępy czerwonodachych domków robotniczych, wszystko to pięknie kontrastowało z położonym w kotlinie śródmieściem, wyciągającym ku zasnutemu dymami niebu smukłe, spiczaste, zielono-miedziane wieże swych gotyckich kościołów. Najefektowniej prezentowało się to dziwo z okien pociągu, wysoki nasyp kolejowy okrążał bowiem miasto i jechało się wokół dwadzieścia minut, obserwując coraz to nowe, otwierające się z obu stron toru perspektywy na ów księżycowy czarny pejzaż bagnistych jezior mokrej szlaki, na owalne cielska stalowych bębnow i biegnące wokół szeregi olbrzymich kominów, na okalające i przecinające teren leśne góry, wystrzelające wierzchołkami w niebo, niebo jasne, czyste, wyraziście kontrastujące z zapyłonym, przesyconym żółtym dymem kolorytem kotliny. Osobliwy to był widok dla nieprzyzwyczajonego, a osobliwszy jeszcze fakt, że po wojnie przybyli tu przeważnie ludzie z równinnego, rolniczego

Wschodu, ludzie, którzy po dziś dzień jeszcze łączyli pracę w kopalniach czy hutach z dreptaniem w sadzie, ogródku lub po zawieszonym u zbrocza gór półku. Mieli się dobrze, jedno przy drugim składało się do kupki, tworząc fundusik na sprawienie motocykla dla syna czy telewizora dla rodziny, za tę zaś względną dostatność płacili pełną uległością wobec polityczno-organizacyjnych form nowego życia, wobec wszechwładzy zakładowych organizacji partyjnych czy sekretariatów dzielnicowych. Uległość ta zresztą tkwiła już u genezy ich tutaj przybycia, przywieźli ją ze sobą z czarnoziemów Wołynia, piasków Wileńszczyzny lub błot Polesia, ze słowiańskich równin w poniemieckie góry. Wojna ich rozbiła, wojna prowadzona na parę frontów, Niemcy, gwałty ukraińskie, partyzantka taka czy siaka, potem Armia Czerwona, wykorzenienie, rozproszenie — wszystko to sprawiło że rozluźniły się wszelkie spoiwa gromadne, obyczajowe, tradycyjne czy świadome, że stali się bezkształtną plazmą, bezbronni, zdani całkowicie na Partię i jej organizacyjne czarodziejskie kunszta, niezdolni do oporu, niewiedzący zresztą w imię czego mieliby się opierać i niewierzący w jakikolwiek opór wobec dziwacznych sił, które przewalać się jeły po świecie od pamiętnego Polskiego Września. Nie mieli pośród siebie inteligentów, inteligencję formowała i dostarczała Partia, jedyne co im zostało z dawnego świata i dawnego życia to coniedzielny kościół, choć tak inny od dawnego, swojskiego kościółka, zawieszony nieraz na stromizmie, czerwony, ostrołukowy, niemiecki. Do kościoła parli jeszcze wszyscy łąwą, tylko młodzi już się po trochu wyłamują, ci młodzi, co to jeżdżą na motocyklach a z telewizji wzięli modę podrygujących tańców, ba, długawej fryzury zwanej plerezą. Ci już o przeszłości nie wiedzą nic, co gorsza, wcale nie chcą wiedzieć — jakże tu wobec nich produkować gest, będący jednak, czy się chce czy nie chce, rodem z przeszłości? Talleyrand powiedział, że kto nie żył przed rewolucją ten nie zna prawdziwego uroku życia — czyżby Roman był tylko pogrobowcem dawności, dla nowej młodzieży zgoda obcym i zbędnym? Potwierdzałaby to historia z Bluzeczką, tym dotkliwsza, że Bluzeczka pochodziła przecież z jego sfery, klasy, grupy. A cóż dopiero mówić o tej śląskiej (nowośląskiej) generacji po trochu robotników, po trochu chłopów, uzbrojonych w motocykle i telewizory, tych zuchwałych w życiu codziennym a potulnych na zebraniu chłopaków, którzy wcale nie wiedzą, że im czegoś brak i że dałoby się egzystować inaczej. Może to tylko literatom z Warszawy czegoś jest brak, może to wywodzący się z anachronicznej epoki mieszczańskiej Roman bierze swoją egoistyczną i absurdalną tęsknotę do lat młodości za potrzebę ogólną, może on po prostu nic nie rozumie i chce uszczęśliwić

ludzi wbrew ich woli, uszczęśliwiać szczęśliwych? Może. W takim zaś wypadku, jego zamierzony gest wisiałby w próżni społecznej. Społecznej, ale nie historycznej, mówił sobie, bo przecież on sam też jest częścią, elementem historii, nie tylko te wiejsko-miejskie chłopaki z „plerezą”. Jeśli tak, to gest ów trzeba wykonać właśnie dla historii, choć w społeczno-środowiskowej próżni, w samotności, rzecz łatwa nie będzie. Tym gorzej to, czy tym lepiej?

Przyszły romansopisarz, przywoływał zresztą na pomoc cały swój instynkt społeczny, całą wyostrzoną przez dziennikarstwo zdolność obserwacji, całe życiowe polskie doświadczenie — nie chciał być tylko wyśmiewanym przez marksistów, indywidualistycznym pięknoduchem, żył przecież jeszcze, żył w tym narodzie, z nim, tudzież pośród niego, żył i miał oczy otwarte. Obserwował awans społeczny grup i pokoleń, awans ale i zarazem deklasację a także degenerację. Oto na przemysłowych terenach poniemieckich Ziemi Zachodnich wolny, bogaty niegdyś w tradycje choć nie zawsze w ziemię chłop ze Wschodu zdeklasował się w najemnego, pozbawionego jakiegokolwiek samodzielnej istności społecznej robotnika. Zdeklasował — to właściwe słowo, choć zazwyczaj jednocześnie awansował materialnie, doszlusowując do miejskiego stylu i poziomu życia, a zachowując częstokroć swe rolne zaplecze. Ale nie o dobrobyt w jego wypadku szło, lecz o postawę duchową, bo oto na prawdziwej wsi żyła jeszcze zakorzeniona tradycja szlachta, a w miastach mrowił się wykorzeniony, indyferentnie przemieszany plebs. Odwiedzając nie zmienioną, nie naruszoną wieś Polski centralnej, czyli przynależnej do dawnego pnia polskości, Roman nie miał wątpliwości, że mieszka tu ostatnia krajowa szlachta — nie chodziło zresztą o sprawy materialne, choć i te nader się w osobliwym tutejszym socjalizmie poprawiły, osobliwym, bo komuniści z niespodziewanym rozsądkiem poniechali w Polsce niszczenia „wolnego kmiecia”, pozostawiając mu jeszcze nieco złotej swobody. Własne, od pokoleń tradycyjne miejsce w ławach starego kościoła, ozdobna tablica i kamienny krzyż na wsiowym cmentarzu, namiętne spory spadkowe, zawile plany małżeństw między rodami, a jednocześnie rosnące dzieło własnych rąk i własnej znoonej ale na swoim ciągniętej pracy, tradycja rodzinna, do której wlicza się też mitycznych, ale nie mitycznie wspomagających rodzinę krewnych z Hameryki, tych samych, co kiedyś jak dziady wywędrowali za chlebem — czyż to w sumie nie szlachta, szlachta z narowami, tradycjami, fumami i dziwactwami — ostatnia w socjalizmie, po parcelacji majątków, szlachta. Za to w miastach tłoczy się hołota, wykorzeniona, przesiana przez sito, bezwolna hołota. Jakież to utrapienie dla starego ojca, że syn chce porzucić ziemię pradziadów i mieszać się w mieście z tą

anonimową hołotą! Deklasacja, najczystsza deklasacja, choć niby awans, bo pracuje się osiem godzin i mieszka w robotniczym hotelu, podczas gdy na wsi taplać się trzeba w gnoju od bladego świtu do ciemnej nocy. Dziwna to historia, dziwny spór pokoleń, w którym obie strony mają rację, tyle że, jak sądził Roman, rację, z reguły w krainie filozofów wypaczoną, rację będącą krzywym odbiciem samej siebie. A więc może uda się wzruszyć nad nią ramionami i nie będzie to pusty gest wyobcowanego ze swych czasów inteligenta?

Soki płyną z ziemi, soki płyną z przemysłu, soki płyną ze wsi, soki płyną z miasta. Roman rozumiał, że cywilizacja przemysłowa idzie przez cały świat, że skrzydłem swoim zawadziła i o Polskę, tyle, że tutaj było to uprzemysłowienie specyficzne, dokonywane pod egidą filozoficznych czarów komunizmu. Co prawda Marks bronił się przed mianem filozofa, twierdził, że w nowożytnym świecie wiedzy filozofia umarła a przyszłość mają tylko poszczególne nauki, siebie oczywiście uważał za naukowca, który odsonił przed ludzkością żelazne prawa ekonomii społecznej. Ciekawe to złudzenia, bo w istocie społeczeństwa pod jego berłem rządy odznaczyły się ubóstwieniem formuły filozoficznej, w imię której stawiano tamy żywiołowemu, jak to pogardliwie określono, rozwojowi ekonomicznemu (*dlaczego żywiołowość miała przynosić ujmcę — to już tajemnica posiadaczy marksowskiego kamienia filozoficznego, którzy dla eksploatacji owego kamienia zawiazali kiedyś swoje międzynarodowe sprzysiężenie*). Z pomocą rozbudowanego jak misterna pajęczyna aparatu partyjnego naginano więc uparcie życie do teorii, w rezultacie powstawał obraz, z punktu widzenia czysto gospodarczego dziwaczny i niedulny, tyle, że sprawujący rządy filozofowie szczylic się tym dziwactwem, jako wynikiem działań nowego, przetworzonego człowieka, uwolnionego od nacisku „wilczych” (tak mówiono) kapitalistycznych praw zysku i straty, podaży i popytu. Nie dostrzegano jednak, że za to ten nowy, rzekomo socjalistyczny człowiek uwikłany został w sieć nowych nacisków ideowo-psychologicznych, egzekwowanych przez partyjną administrację w sposób dziecinnie dosłowny (*logika i organizacja na usługach naiwnej utopii, to już wkracza w dziedzinę fantastyki, w krainę Vernego, Huxleya i Orwella*), zaś rozbite prawa rynkowe działały dalej, tyle, że ułamkowo, fragmentarycznie, a także nielegalnie, z paradoksalną wielokierunkowością. W rezultacie w Polsce, nieskłonnej do ulegania pryncypialnym ideologiom, po wojnie zaś zdominowanej od dołu przez ciężko tutejszym losem dotkniętych sceptyków, owładniętych jedynie chętką wygodnego wreszcie i dostatniego urzędzenia się — w tej Polsce zamiast nowego wspania-

łego świata powstała oto przedziwna rzeczywistość, jakby fantazją bystrego pamflicyisty powołana do życia karykatura kapitalizmu: Roman dziennikarz, znający i Wschód i Zachód widział to z precyzyjną oczywistością, nie na darmo przecież dane mu było, jak wielu przetasowanym wojną Polakom, jadać owoce z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Dziwaczny bowiem narzucał się tutaj problem ekonomiczny: w całym kraju rządził na pozór bożek produkcji, lecz produkcja była droga, mało wydajna, obciążona biurokracją i skomplikowanymi stosunkami „kooperacyjnymi” (*nowe słowa mnożyły się szybciej niż nowe maszyny*), podaż okazywała się z reguły za małą wobec popytu, towary niezbyt urozmaicone, monotonne i z dziwaczną nierównomiernością, nierytmicznie rozprowadzane po kraju. Z drugiej jednak strony robotnicy (*najczęściej właśnie ci nowi, ci zdeklasowani wiejscy szlachetkowie*) mają się nienajgorzej: zarabiają wprawdzie skromnie ale też i pracują nie za ciężko, wykorzystując przy tym w pełni zbiorowe świadczenia, jak bezpłatną naukę, lecznictwo, wczasy (*to ostatnie nowe słowo było ludową transformacją starszlaszackich „wywczasów”*) — w zasadzie więc nikt nie chce zmiany, nikt też nie troszczy się o wydajniejszą, bardziej urozmaiconą produkcję, o większą podaż i sprawniejszą sprzedaż — bo i po co? A na Zachodzie przeciwnie: produkcja jest tania i obfita, rynek zalany towarem, trzeba więc szukać klienta, starać się o niego, kokietować go urozmaicając podaż, gorączkowo zmieniając modele i asortymenty. Toteż ruch panuje tam jak diabli, nikt spać nie może ani nie chce, za to nieskończenie różnorodna i nieustannie ulepszana produkcja kusí wciąż nowym urokiem materialnego życia. A więc, jako rezultat, paradoks: w kraju rewolucji stagnacja, w świecie tradycyjnym ożywienie, w socjalizmie szary człowiek śpi, w kapitalizmie czuwa i biega. Rzecz uwidacznia się też na zewnątrz w jednobarwności czy wielobarwności wizji: cała Polska paraduje w jednakowych butach, koszulach, swetrach, płaszczach, a kto chce mieć coś innego, ten prze-myca to sobie z arcybarwnego zachodniego świata utylitarnej, bezideowej i konserwatywnej praktyki. Znowu przedziwna zamiana ról, boć materialna śmiałość i barwność nie pretenduje do rangi idei, z drugiej zaś strony, cóż rzecz o odrodzeńczej, światoburczej ideologii, która narzuca swym podopiecznym szarą, szeregową monotonię. O wszechobecna wszechdziwności rzeczy świata tego!

Dawność i dzisiejszość, polityka i ekonomia, ideologia i praktyka, wszystko to zwłaszcza spięło się i sprzęgło w regionie miast portowych, rybackich wiosek i chłodnych bałtyckich plaż regionie otaczającym uzdrowisko C..., gdzie właśnie Roman zamierzał być

zrealizować swoje wzruszenie ramion, gdzie zetknął się z zamkniętym w sobie światem młodzieży (*młodzież w tej epoce to środowisko osobne, nieufnością i sceptycyzmem odplacające się rządzącym we wszystkich krajach starcom, którym nowoczesna higiena nadmiernie i absurdalnie przedłużyła życie*), gdzie poczynił swe doświadczenia z uroczą Białą Bluzeczką, też jakoś na swój sposób zawieszoną między dwoma światami — jedwabna bluzka z żabotami uwieszona u jakiejś krawędzi, trzepocząca się wdzięcznie nad nieprzeczuwalną przepaścią — tak może uwieczniłby to jakiś nowomodny plastyk symbolista. Więc okolica C... to była najwszechstronniejsza retorta Nowego, a zwłaszcza nowej polskości, jako że właśnie stąd wymiotło Germanów najgwałtowniej i najdokładniej — Roman żałował tylko ciągle, że ów wręcz nieprawdopodobny powrót polskości na ziemi patriotycznie Piastowskimi zwane odbył się w asyście i przy akompaniamencie komunizmu (*nie mówiąc już o napędowej sile potęgi rosyjskiej*) — to odebrało całej sprawie charakter narodowego rewanzu a wszelkie ojczyste manifestacje podszyło dwuznacnością. Chociaż może najnowsza młodzież już tego nie odczuwała, zapomniano dawną legendę o Polsce mającej dwóch wrogów, dawną wizję Polski, jako Chrystusa narodów, zawieszono na krzyżu między dwoma łotrami. Polskę tę, kiedyś nazywaną przedmurzem od Wschodu, pewien przedwojenny poeta kpiarz przezwiał już w okresie Hitlera przedmurzem obrotowym: od Wschodu i od Zachodu. Irytowała ona zawsze zachodnich polityków, jako coś szczytkowego i niewydarzonego, nie rozumieli oni, że w tym niewydarzeniu właśnie tkwi skondensowane jądro dramatu samej Europy, megalomańskiego półwyspu między Azją i Ameryką, wiecznego przyczółka, nie wiadomo tylko dla kogo. Pierwszy o ten przyczółek oparł się Hitler, zawałił się z nim razem, pokazał jego słabość i dał początek straszliwej loterii, gdzie stawką będzie cała Europa a wygraną świat ludzki, uformowany, nie wiedzieć dlaczego, w kształt kuli. Takie to idą czasy, lecz cóż o tym może wiedzieć nowa polska młodzież, brzęcząca między sobą o swoich wyłącznie sprawach jak rój pszczoł, zagnieżdżonych w portowych miastach burzliwego, chłodnego Bałtyku?

Panorama polskości na tym wybrzeżu bardziej była wszechstronna, różnobarwna i organiczna niż na innych ziemiach, opuszczonych przez Niemców. Sporo się na to złożyło — znajdowały się tu wszakże tereny i przed wojną polskie, jak owo całkiem nowe portowe miasto, wzniesione w latach trzydziestych na miejscu małej rybackiej wioski; a przecież również w starym, patrycjuszowskim porcie, o który zaczęła się Druga Wojna (*Francuzi wołali wówczas, że nie chcą ginąć za to miasto, niezadługo miało*

się okazać, że nie chcą też ginąć za Paryż), porcie wzniesionym i spoczywającym u rozgałęzionego w szereg rozlewisk ujścia narodowej polskiej rzeki, mieszkali od wieków i Niemcy i Polacy. Jednocześnie zaś całe to piaszczyste nadmorskie, zębate półwyspami i szczerbate zatokami wybrzeże nasiane było grupkami odrębnej, miejscowej ludności, nielicznego, słowiańskiego acz rybackiego szczepu o własnej mowie, budownictwie i obyczajach — cóż za wyjątkowo znakomita rzecz w pozbawionej niemal mniejszości a więc konfrontacji z obcością, duszącej się we własnym sosie powojennej ojczyźnie („*I duszno tu — by prawdę rzec*” — *sarkał poeta, w Polsce poetom zawsze było więcej wolno niż komukolwiek innemu*). Ci plemienni odmieńcy pobudowali i zaludniali między innymi rybackie wioseczki na trzydziestokilometrowym, lesisto-piaszczystym wąziutkim półwyspie, omiatanym wichrami, ledwo nieraz wynurzającym się z pianistych, unoszących kawały brzegu, zielonosinych sztormowych fal. Każda z tych wiosek miała inny nieco dialekt swej dziwnej mowy, inny obyczaj i inne domostwa. W czasie okupacji Niemcy, maniacy rasy, narodu i heglowskiego uporządkowania, doszli do wniosku, że charakter języka tudzież opartego na czerwonych, trójkątnosześciennej bryłach budownictwa czyni z nich Holendrów. Wywieziono ich więc częściowo do Holandii, skąd po wojnie wrócili do swych ledwo z morza wynurzonych skrawków lądu, do karłowatych sosenek na piasku i do kościoła swej protektorki, Matki Boskiej Cudownej, powrócili, dając dowód, że ojczyzna to rzecz niekoniecznie materialna i niekoniecznie potężna, ale rzecz niezbędna dla szlachty, tradycyjnej, rodowej, chłopsko-rybackiej szlachty, jaką nadal tworzyli.

Jednak i nowa polskość, skonfrontowana z owym krzepiącym autochtonizmem, jest na tym wybrzeżu nader urozmaicona i względnie malownicza: zbiegli się tutaj, jak już się rzekło, ludzie z czterech stron świata, ze wszystkich kątów i krańców polskiego wygwizdowa, a nade wszystko z Kresów, z legendarnych Kresów, włączonych po wojnie do północnych i wschodnich republik słynnego Czerwonego Imperium. Tu, nad morzem zwłaszcza, powstał niezły tygiel, retorta polszczyzny, w niej hultajski bigos, czyli powojenny przypalony narodowy gulasz. Różnorodność odbiła się na młodzieży — i tej inżynierskiej czy artystycznej z wielkich portów, i robotniczej — ze wsi czy z miasta, i pochodzącej z resztek tradycyjnego mieszczaństwa, a także na owej szarańczy letnich wczasowiczów, zalewającej ulice i plaże oraz na dziwacznych grupkach chuliganów, trwających świątek czy piątek, zima czy lato przed olbrzymim frontonem wilhelmińskiego hotelu.

Jakąż wyłania się wspólna wizja, wspólny wzór i symbol tej

młodzieży, dziś, po dwudziestu przeszło latach nowej Polski? Roman wybrał sobie do obserwacji jedną, plażową jak mówił, grupę charakterystyczną chyba dla pokolenia, dla ustroju i jego nieoczekiwanych rezultatów, gdzie wszystko było niedokończone, niedopowiedziane, lecz skutki właśnie, choć osobliwe to jednak jakoś organiczne i, o dziwo, wcale uniwersalne, wspólne dla młodzieży świata ponad ustrojami, nie mówiąc już o granicach. Oto młodzi „z awansu”, tak są bez reszty zaabsorbowani strojem, modą, piosenkami, muzyką mocnego dźwięku i rytmu, wczasami, opaleniem się, fasonami, ułatwionym erotyzmem dzisiejszego typu, wszystkimi tymi ostentacyjnymi hasłami wywoławczymi plakatowej nowoczesności, że nie prędko zajmą się polityką, zagadnieniami władzy i świadomości, zwłaszcza tutaj, gdzie swe gesty i fasony realizują z niemałym mozołem, bo dno materialne jest w tym kraju bliższe, zasoby skąpsze, awans mniej okrzepły. Ci, co przed niedługim czasem promowani zostali na producentów i użytkowników nowej produkcji, nie poczują już chyba nigdy, że mogliby rządzić, zbyt są zajęci swą obecną rolą, nie długim jeszcze, więc pełnym ostrożnego, solennego pietyzmu okresem stosowania i przymierzania nowego gestu, stroju, stylu. Dopiero co zorganizowani i awansowani nie poczują chyba nigdy, że im czegoś brak — o władzę upomnieć się mogą co najwyżej inni, jacyś zanarchizowani, nie włączeni, indywidualnie wyobcowani; tak zresztą przepowiedział pewien nowy filozof, też oczywiście Niemiec i też oczywiście Żyd, tylko dla odmiany mieszkający nie w Anglii lecz w Ameryce — w naszej epoce kanał szerokości trzydziestu paru kilometrów to za mała ochrona dla kruchej wolności myśli. Z czasem temu nowemu, choć bardzo już niemłodemu filozofowi udało się niechcący osiągnąć pewne konkretne rezultaty, raz nawet zanarchizowana jego tezami młodzież wstrząsnęła Paryżem (*podobnie jak Komunę Paryską uznał kiedyś Marks za sprawdzian swych teorii, za własną retortę doświadczalną*), nawet i w Polsce odezwały się dalekie, paradoksalnie wysublimowane, bo w całkiem innej sytuacji, rozbrzmiewające, studenckie echa. Ale tutaj, po wykruszeniu aktywnej elity rzecz nie miała dalszych szans, jako że ideał życia produkcyjnego, rzucony społeczeństwu ubogiemu musi je zaabsorbować tym bardziej, im płytsze jest materialne dno, a karykaturalne wynaturzenia rynkowe nie mogły jeszcze być przyczyną fermentu, gdyż mało kto z młodych posiadał perspektywę i możliwość porównania dwóch światów. Tutaj więc Roman audytorium sobie nie znajduje — chyba, że kiedyś, w miarę nasycenia, usprawnienia, automatyzacji (*ale kiedy to będzie?!*) ideał i styl produkcyjny ustąpi miejsca (*tak twierdzą ekonomiści, zwłaszcza ci bezpartyjni*) czynnoś-

ciom organizacyjno-usługowym. Zamiast narodu produkującego, powstanie wówczas naród kelnerów — taka perspektywa mogłaby być dla komunizmu niebezpieczna, co wtedy stałoby się ze świętym, sprawującym rzekomą dyktaturę proletariatem? Kelner to wszakże mieszcuch i słuźalec, rządzący więc w imieniu proletariatu filozofowie władzy nie pozwolą, aby się rozpanoszył, co znowu uderzy w Romana, któremu wyzwolony kelner bardziej się widział materiałem na słuchacza, niż młody filister, czytelnik modnych choć w stempel socjalizmu zaopatrzonych magazynów, a także pilny oglądacz telewizji, spędzający swe fabryczne dwutygodniowe wczasy na plaży w C...

Tak więc, tutaj w C..., gdzie od razu na początku owego przeszłorocznego pobytu zaczęło być Romanowi dobrze i spokojnie, niczym nietylko w Meranie co w starym rodzinnym domu, bowiem rozsiani tu i ówdzie nad zimowym Bałtykiem starzy ludzie ze Wschodu obdarowali go swojskością z jego lat dzieciennych, swojskością, o której sądził, że już nigdy doń nie powróci, że przepadła raz na zawsze, rozwiana i wymieciona dziwacznymi, nieproporcjonalnie potężnymi wichrami, jakie rozpełtały się nad tym niewielkim przecież krajem po wrześniu 1939, tutaj więc, gdzie jednocześnie a niespodziewanie „dulscy”, wiejscy Polacy stawali się marynarzami, szyprami, portowcami, prowadząc po całym świecie ów socjalistycznie kulawy ale jednak po raz pierwszy w tej skali konkretny morski handel, tutaj, wśród niemieckich czerwonych dachówek, zielonych kolumnienek, rzeźbionych futryn, obserwując pompatyczny, przyozdobiony po szkopsku sztucznymi jeleniami rogami balkon domu, gdzie wynajęła swój pokój Bluzeczka, Roman jął sobie na serio zadawać pytanie (bo dawniej tylko się tym pytaniem bawił), czy wszystko co się dzieje wokół jest nadal rzeczywiście i wyłącznie płodem przymusu, terroru, strachu, czy też panuje tu już powszechne przekonanie. A może totalne wychowanie, mimo całego chaosu koncepcyjnego, jaki w tej dziedzinie panował w Polsce („dyktatura złagodzona przez bałagan” — tak przecież mówiono, odgrzewając stare austriackie przysłówie z czasów Franciszka Józefa), wydało już po latach swoje owoce, może mrówki obudowały już wsadzony im niegdyś brutalnie kij i uważają go za jak najbardziej naturalny element architektury mrowiska, a tylko on, Roman, żyjąc zbyt długo, za wiele pamięta, pamięć zaś w niczym nie pomaga, przeciwnie, bardzo przeszkadza — w istocie przedłużanie ludzkiego życia tak, że egzystuje się w różnych, całkowicie odrębnych epokach (*niby egzystuje się w nich nie jednocześnie, bo następują one kolejno, jedna po drugiej, w rzeczywistości jednak człowiek nakłada sobie psychicznie przeżywane sprawy jedna na drugą, wszystkie są*

w nim zawsze obecne, co wywołuje niemożliwą do uporządkowania sytuację duchową — i tu znowu nawiedzała Romana myśl o misternych, rozbijających następstwo czasowe montażach, preparowanych przez nowoczesną literaturę, była w nich bowiem potrzeba uporania się z absurdalnym uwięzieniem człowieka w doraźnym a mijającym czasie), owo obdarzenie jednej i tej samej, w konkretnych warunkach wychowanej i ukształtowanej osoby przywilejem rozpięcia swej psychiki, wrażliwości, pamięci nad kilkudziesięcioletnimi nieraz przepaściami historii było okrucieństwem, wręcz torturą — wcale nie głupio myślał sobie zapomniany poseł z francuskiego Konwentu, który zamarzył i zaprojektował zgilotynowanie wszystkich starszych według ówczesnych pojęć, obywateli. Absurdalnie długie życie, absurdalnie dobra pamięć, to są elementy wyobcowania, czyniące z bytowania jednostki żalosną epopeję tęsknot, niesmaków, goryczy, uniemożliwiające tejże jednostce kosztowanie smaku i koloru istnienia i to przez większą część czasu, jaki spędza ona na naszej ziemi. A przecież każda epoka ma jakiś smak, odczuwają go w pełni jej prawdziwe, bezpośrednie dzieci, za to dzieci z konieczności, przybrane, boczą się i grymaszą. Zdarzają się czasem, owszem, dłuższe nieco etapy, gdy utrzymywanie się w pewnym określonym terenie pewnej określonej tradycji sprzyja utwaleniu określonego smaku na przeciąg paru pokoleń — tak na przykład wiek XIX wydelikacił mieszczańską inteligencję Europy swą pozorną stabilizacją. Jeśli chodzi o Zachód, to pozory owej trwałości przetrzymały nawet Drugą Wojnę: udało się mieszcuchom, mieli tylko Hitlera, Stalin nie zdołał jeszcze powiedzieć im drugiego słowa, postawić kropkę nad „i”. Pełną cenę w Europie Zachodniej zapłacili tylko Żydzi, ci mają już swą Apokalipsę za sobą, stąd też, przetworzeni w Izraelczyków, wierzą dziś tylko we własną siłę, obwarowawszy się nią w owym osobliwym biblijnym kraiku na pustyni. Apokalipsę mają też już za sobą Rosjanie, dlatego też uważają, że są w prawie robić wszystko co zechcą. Gwiazda niebieska i gwiazda czerwona, Dawid i Goliat, chodzi widocznie o źródło siły, o wolę tworzenia siły (*Wille zur Macht*), dysproporcje w potędze, w rozmiarach nieważne są, gdy największa burzycielska energia drzemie w najmniejszej, niewidzialnie znikomej cząsteczce materii. Prawda, jest jeszcze Ameryka, nierozbudzony kraj nierozbudzonego nowego ludu, kierowany jak na razie przez ostrożnych, humanitarnych kwaków. Jeśli chodzi o Republikę Federalną, którą, po straszliwej hitlerowskiej erupcji gwałtu traktowano teraz jako wieczorny straszak dla polskich dzieci (*straszak zresztą nader użyteczny, bo skutecznie odwracał uwagę od wszelkich innych spraw na świecie*), to Roman, po kilkakrotnych tam poby-

tach, zgoła w nią nie wierzył: Niemcy nie byli już pretendentem do walki o świat, uszła z nich dusza po szaleństwach i absurdach zmajstrowanych przez obłąkanych wodzów. A więc cóż pozostaje — czy to „Ruś święta”, posłuszna tyranom niegdyś białym, z kolei dziś czerwonym, przerwie w końcu wszelkie tamy i popłynie europejskimi luksusowymi autostradami ku Atlantykowi, zanim stary kwakier w Waszyngtonie zdecyduje się nacisnąć swój atomowy guzik?

Roman nie chciał myśleć o tamtych dalekich sprawach, zresztą Zachód z reguły budził w nim uczucia mściwe, za swą lekko-myślną głupotę, wygodnictwo, zadufanie w sobie. Co mu zresztą Zachód, żył przecież i odczuwał zgoła gdzie indziej, na owym dziwnym skrawku ziemi niczyjej, gdzie granice, jeśli w ogóle jakieś były, to przesuwwały się w tę lub tamtą stronę, rozciągały i kurczyły jakby je zrobiono z gumy. „Ani tu Zachód ani Wschód...”.

W tym właśnie terenie arcyosobliwym tkwił od lat, ponad przemianami, okresami, epokami, wrażliwy kłębek odczuwań i wspomnień, ze swoją fotograficzną pamięcią nastrojów i zabarwień zgoła do niczego niepotrzebny. Bo już nie chodziło nawet o pisanie: czerwoni zaklinacze dusz bali się świadectwa na piśmie, bali się widać jego trwałości, w epoce gdy słowa z radia i obrazy z telewizji pędzą w zawody, gonią się w eterze i przemijają nie zostawiając śladu, poza stopniowym kształtowaniem ludzi, urobionych po latach niedostrzegalnie lecz skutecznie: człowiek niby ten sam, a przecież inny. Więc dobrze, Roman dawno już zrezygnował z opisanego swego zawilego wewnętrznego świata migawkowych doznań i w nieskończoność potem powracających magnetycznych fal uczucia i nastroju. Zrezygnował — odrobina z posiadanych psychicznych zasobów wystarczała mu aby tchnąć nieco ducha, nieco ludzkiego prawdopodobieństwa w konwencjonalne twory słowne, jakie oto przez dwadzieścia lat fabrykował według słów poety: „aby zarobić ździebełko na bułeczkę i masełko”. Zrezygnował z odnalezienia utraconego czasu i ze zrobienia generalnego przeglądu czy konfrontacji i inwentarza, zrobienia owej, jak to określał niegdyś krytyk R... „garderoby duszy”. Ale za to szukał kontaktu ze swym, najbardziej choćby wąskim audytorium, szukał minimalnego wspólnego mianownika w dziedzinie odczuć i klimatów psychicznych. Na przykład owe echa dawnej kresowej swojskości, przyniesione mu rok temu przez prostych starych ludzi w C... Czyż normalnym sposobem, bez wyreżyserowanych literackich czarów nie będzie mógł tego przekazać nikomu? A właśnie eksperyment z Bluzeczką, tak przecież początkowo chętną, zainteresowaną i serdeczną, okazał się tutaj całkowicie negatywny, podobnie jak ze sprawą owego starego szatniarza, uderza-

jąco podobnego do Piłsudskiego. Nic z tego w ogóle nie wyszło, poza późniejszym niesmakiem. Zatem dwadzieścia lat różnicy i już jest po wszystkim — czy to w ogóle tak się dzieje na świecie, czy tylko w pechowej Polsce, której rozpiętość w czasie (mierzy się wszakże tę rozpiętość niczym innym, jak powszechnymi choć prywatnymi wspomnieniami) zniweczona została przez zachłanych na wszystko komunistycznych filozofów?

Dla Bluzeczki bowiem stara, kresowa, rozproszona polska swojskość była niczym, była obcością — Bluzeczka miała swoją inną swojskość, częściowo z ostatnich lat okupacji, później z powojennego gimnazjum, kończącego w pewnym powiatowym mieście i z warszawskiego uniwersytetu w okresie jak najbardziej stalinowskim, czyli, jak to obecnie tajemniczo i kamuflująco nazywano — minionym. Tak więc swojskość Bluzeczki gnieździła się w czasach całkowicie dla Romana obcych i nie przytulnych, w czasach, kiedy zresztą żył i działał jako względnie młody jeszcze człowiek, ale jednocześnie sam sobie przyglądał się z podziwem, że po obłędnym, kamiennym mrozie okupacji ma jeszcze siłę obracać się, i to nawet wcale zuchowato w nieprawdopodobnie dziwnym, na przeróżnych absurdalnych fikcjach i mistyfikacjach skonstruowanym świecie, który, mimo całej narzucanej wariackiej sztuczności, wyrastał pośród zgliszcz i ruin z jakąś tam swoją, choć niespodziewaną ale realną spontanicznością — gdyby nie ta polska junacka i cwaniacka spontaniczność, czyli właśnie owa pogardliwie traktowana żywiołowość, wzmocniona wyniesionym z okupacji lekceważeniem trudności i niebezpieczeństw, stoicką gotowością na wszystko i wisielczym humorem — gdyby więc nie ten zespół cech wytopionego z wojny społeczeństwa, komunistom nie udałooby się wiele tu zbudować — rozumieli to z początku i nie przeszkadzali, skupiając się tylko na tępieniu rzeczywistych czy urojonych konkurentów politycznych (*podobnie zresztą działo się w sąsiednich krajach, w Rumuniach, Czechosłowacji, Bułgariach, na Węgrzech, gdzie w ciągu dwóch-trzech lat, mimo przegranych niejednokrotnie przez komunistów wyborów, udało się kunsztowną sztuką, będącą stopem brutalności z dialektyką, terroru z perfidią, wygonić całą wolną konkurencję, czemu zbaraniały Zachód przyglądał się biernie, przyjmując jedynie uciekinierów na swoje liberalne łono jako emigrantów — wszędzie operacja ta przebiegła bezbłędnie, co uczniowie brodatych lub wąsatych filozofów nazwali rewolucyjną prawidłowością rozwoju historii, podczas gdy Roman przekonany był, iż rzecz ma się odwrotnie, bo to właśnie z góry założone, historiozoficzne tezy zostały społeczeństwu sztucznie, siłą wszczepione, choć potem oczywiście zużyto miliony ton papieru, aby opisać, jak to*

rewolucyjny proletariat rozprawił się burzliwie z ciemieżcami — co prawda po fakcie nikt się już nie zastanawiał nad przebiegiem wypadków ani nie epatował dobrą pamięcią: co było to było, grunt że klamka zapadła). Gdy więc i w Polsce oponentów politycznych przepędzono lub zamknięto, wtedy komuniści zhardteli, skończyli z taktyką nie przeszkadzania, ich ekipa filozofów-praktyków (marksistowska specjalność) wzięła się do generalnego już przerabiania wszystkiego, do wprowadzania nowego porządku („Porządek stary już się wali, wali się w gruzu stary świat, my nowy będziemy budowali i nowy zaprowadzimy ład”). Ład jednak wcale z tego nie wyniknął, raczej ogromny, nowego typu zamęt, który skrzyżowany z wyposzczoną a przez to zwielokrotnią przez okupację żywotnością przemieszanego i przeniecowanego na lewą stronę społeczeństwa, dał w rezultacie obraz najdziwniejszy z dziwnych i najbardziej nieoczekiwany z przewidywanych. Oczywiście, to był początkowo okres powojennie bujny, kiedy płynna na razie, powoli krzepnąca biurokracja nie mogła jeszcze dać sobie rady z powszechnym sprytem, kombinatorstwem, przekupstwem, ale także z pędem do pracy i do zakorzenienia się jakoś w księżycowym, wyłonionym z potopu krajobrazie, gdzie, pomimo powodzi filozoficznych abstrakcji i paradoksów, a także społecznych nonsensów, wyzwolono twórczy dynamizm, choćby nierzadko po dyletancku kanalizowany w takich czy innych, abstrakcyjnych w zamyśle „wielkich budowlach komunizmu”. Z czasem dopiero, gdy kosztem wielu improwizowanych zrywów zbudowano ogólne ramy produkcyjne, zaczęło wszystko na dobre kosztować, nudzić i dziwacznieć tak okropnie: — normalny, powojenny rozpęd nie dał już rady czarom, lokomotywa jak zaklęta sama zjechała na boczny tor i jęła nieruchomieć. W całym tym procesie Romana najbardziej dziwiła niepojętą mnogość urzędów, instancji, manipulacji, formalności — mnogość i misterność. Jakim sposobem na pustyni pozostawionej przez Niemców wyrosła z taką szybkością owa kunsztowna, zawiła, wielokomórkowa, tajnymi korytarzami powiązana administracja, mająca od razu na swe usługi olbrzymią rzeszę adeptów, raz dwa, nie wiedzieć kiedy wyszkolonych w tajemniczych arkanach nowego księgowania, przeliczania, transformowania, w całej tej abrakadabarycznej wirtuozerii mnożenia lub unicestwiania cyfr-symbolów opartej na zasadach zupełnie nowych, wielopostaciowo nieuchwytnych, zonglujących zmiennością znaczeń, funkcji, zastosowań. Ludzie ci, przecież dotąd zwykli, normalni Polacy, posiadli swą sztukę niepojęcie szybko, przywiązali się do niej, pokochali ją, jużby w życiu nic innego nie potrafili robić, stali się organiczną częścią, ba, podporą, podstawą mrowiska, ramieniem najkunsztowniejszego

z terrorów, bo terroru niewidzialnego, samoczynnego, organicznego, który realizuje się sam przez się, własnymi rękami (kot i musztarda!). Panowie radcy, dyrektorzy, referenci, komornicy, księgowi, mierniczowie, taksatorzy, poborcy, te same dawne mieszczuchy w tużurkach z prowincjonalnego miasteczka, stały się nagle zbrojną i wierną gwardią rewolucji, jej egzekutywą i awangardą. A jednocześnie, wbrew zasadzie, że cała praca ma być wspólna, zjednoczona, społeczna, wszystko rozsypało się w nieskończoną mnogość drobniutkich, osobnych komórek i mechanizmów, działających każdy według własnego wzoru i przeciw innym, blokujących się nawzajem tudzież hamujących jak się tylko dało jednolite, twórcze działanie całości: zamiast społecznego scalenia powstała generalna atomizacja, tak już właśnie żywiołowa i nieodparta, że procesu tego nie potrafiliby powstrzymać, nawet gdyby chcieli, ci, co kiedyś nadali mu pierwszy impuls. Zadziwiająca sztuka Wielkiego Sztukmistrza!

Było to zawile i dziwaczne, ale Roman znalazł gdzieś krzepiący aforyzm Pawła Valéry: „Obraz rzeczywistości, który nie jest dziwaczny, musi być fałszywy”. Dobre pocieszenie, ale tylko do czasu spotkania Białej Bluzeczki, ona bowiem usunęła Romanowi ostatnią piędź gruntu spod nóg, stwierdzając po wielokroć (na początku nieśmiało, później już z niepokohowanym, rosnącym gniewem), że nie widzi w dookolnym polskim życiu nic dziwnego czy dziwaczego, że wszystko tu jest normalne, wynikłe z historii, osadzone w niej i solidne jak stary dąb czy mocno w fundamenty wmurowana budowla.

Historia — otóż to! Gdy Roman w żaden już sposób nie mógł wytłumaczyć Bluzeczce bizkowatej osobliwości i niepowtarzalności systemu w którym żyli, nie mógł, bo wszystko okazywało się tu zbyt zawile, a ona lubiła wyjaśnienia proste i uspokajające, nie miała przy tym żadnej perspektywy, żadnej skali porównawczej, próbował wówczas sięgnąć do czegoś namacalnego, prostego, sprawdzalnego — właśnie do historii i to niedawnej. Bluzeczka była przecież humanistką, pracowała naukowo, wykładała na uniwersytecie, a jednocześnie istniały całe płyty dziejów Polski, Rosji, Niemiec (*tragicznie znaczący zestaw*), dziejów w dodatku najnowszych, które dla niej zgoła nie istniały; przypominało to palimpsest, rękopis na pergaminie, w którym pewne fragmenty wymazano, aby na tym miejscu napisać coś nowego. Słabo na przykład wiedziała, kto to był Piłsudski, coś niejasnego zgoła nieprawdziwego słyszała o Trockim, niewiadome jej były okoliczności wybuchu Drugiej Wojny, nie zastanawiało, skąd na bezkresnych obszarach Rosji wzięły się milionowe rzesze Polaków, z których uformowano następnie dwie armie: tę niby reakcyjną

Andersa i tę niby promiennie postępową Berlinga, w istocie obie złożone z tych samych, wymęczonych tułaczym i obozowym życiem prostych ludzi, spragnionych powrotu do domu — tyle, że domu już nie było, ściany się rozsunęły a dach zawalił, odsłaniając perspektywę na mroźnie, obojętnie a upiornie rozgwieżdżone niebo. Bluzeczka nie była obecna przy tym wszystkim i już nigdy nie będzie, tak jak nie będzie jej w widmowym ale i namacalnie grząskim, przedwiosennym trupim lesie pod Smoleńskiem, ani w piaszczystym lasku na wiślanym wale pod Miedzeszynom, skąd rozprzestrzeniał się ognisty i wielobarwny obraz płonącej jak gigantyczna choinka powstańczej Warszawy, ani przedtem w okupacyjnej, mroźnej nocy gdy straszliwe, głuche pociągi dudniły tam i nazad z Muranowskiej przecznicy do Treblinki, z Treblinki z powrotem na Stawki (*Bluzeczka nie znała tragedii żydowskiej, nie wierzyła w nią, mówiła, że to przesada*). Wobec tego wszystkiego trudno się dziwić, że Bluzeczka nie była obecna i nie będzie już nigdy również w owym garnizonowym miasteczku kresowym, gdzie świeżo kreowani podchorążowie wystąpili na młodzieńczym balu w szaserach, kamgarnowych mundurach, w paradzie i radości, w gali i beztrosce. Ona tam nie była, nie będzie i nic ją ten roztańczony korowód cieni nie obchodzi, choć na początku w C... mówiła Romanowi, że kocha i jego i wszystko, co z nim się wiąże. Ale okazuje się, że nie można kochać mar, jeśli choć przez chwilę, choćby poprzez tradycyjną sugestywną relację nie odczuło się tchnienia ich światła. Tymczasem relacji nie było, przeszłość unicestwiono a potem, niby palimpsest, przekształcono, jak w procezej fantazji Orwella.

A przecież przeszłość była realnością — tyle, że dowolnie cofniętą w czasie. Roman na przykład wielokrotnie własnymi oczami i z bliska widział Piłsudskiego, najlepiej zaś zapamiętał właśnie widzenie pierwsze, najdawniejsze: odwrót spod Kijowa rozpoczęty, jakieś wojska zmęczone i spieszone wmaszerowują tego dnia do Warszawy, na Placu Trzech Krzyży zbity tłum zalega chodniki, a za wojskiem, w powozie czy zgoła w dorożce jedzie postarzały człowiek z obwisłymi wąsami, w mundurze bez odznak, w czapce „maciejówce”, przygarbiony, nie reagujący na okrzyki, nie umiejący, może nie starający się, ukryć przed cizbą przykrej zadumy. Tak właśnie, dokładnie tak zapamiętał go na całe życie. Roman, wówczas ośmioletni chłopak, trzymający się poły ojcowskiego płaszcza, aby przypadkiem nie utonąć w pulsującym tłumie. Jakżeż potem głośno i głośno, hucznie i echowo było w Polsce o tym człowieku z powozu: w jego cieniu żył cały kraj, po jego śmierci, a jak mówili wrogowie przez jego błędy, kraj zapadł się, załamał, zniszczał i rozsypał, żeby potem zeszyć się na nowo

komunistyczną, powojenną terapią. Był to wielki człowiek, choć popełnił i wielkie błędy. Ale jedno chyba okazało się niewątpliwe: z kraju sto kilkadziesiąt lat nie istniejącego, wymazanego z mapy, rozczłonkowanego między trzech cesarzy, jakąś wielką sztuką, wielkim wysiłkiem i wielką zręcznością, wielką uczuciową pasją i wielką przemyślną pracą, wbrew sprzecznym prądom, wiatrom, siłom udało mu się stworzyć w nad podziw niedługim czasie nad podziw skuteczne narzędzie historycznych działań i oto Polska, przez stulecia nieobecna i, jak mówił poeta, „rozebrana” wróciła raptem na dziejową scenę, aby, niczym wielka artystka, zagrać od razu, bez przygotowania, trudną, dramatyczną choć dla obojętnego świata nieraz i komediową rolę, aby samotnie mierzyć się z siłami, które miały przeorać świat znacznie później. Europa nie rozumiała znaczenia warszawskiej bitwy 1920. Europa z zasady niewiele rozumie; ówczesnego wodza oczekiwali lata trudne, przyszły hurmem błędy, swary, gniewy, starość przedwczesna i śmierć w przeczuciu grozy: na łożu śmierci Piłsudski w obecności pośepnego Becka przywoływał do siebie, rżąc, bawiącego w Moskwie francuskiego premiera, niesławnego później Laval, którego widział parę dni przedtem i który, wraz z pruskim premierem niejakiem Goeringiem asystować miał za parę dni przy marszałkowskim pogrzebie w Krakowie. Ale za późno już było widać na rozluźnienie niewidocznie zaciskającej się obręczy, złowrogi mechanizm zegarowy, nastawiony na niewiadomą chwilę działań bezbłędnie, precyzyjnie choć absurdalnie.

Piłsudskiemu nie dane było uratować Polski, jednakże on to właśnie, po stuleciach narodowej nieobecności, wprowadził ją na scenę historii jako konkretne państwo, wprowadził tak, aby cokolwiek się zdarzy, zejść już z niej nie mogła. O tym wiedzieli wszyscy, także milionami zamieszkujący ówczesną Rzeczpospolitą Ukraińcy i Białorusini, Żydzi i Niemcy. I dlatego portret jego wisiał w każdym domu i w każdej chałupie, jakże znajomy portret starego człowieka z nastroszonymi brwiami, obwisłym siwym wąsem i zadumanymi lub gniewnymi, zmęczonymi oczami, człowieka, którego choć, zwalczano to i powszechnie rozumiano, bo był tu jakoś swojski, ogólnie znajomy, wszystkim bliski, ta twarz mogła należeć do szlachcica, do chłopca i do króla, mógł być Polakiem i Litwinem, mógł być i był w tym nowonarodzonym kraju reprezentantem ogółu a zarazem legendą i symbolem — symbolem Polski. Lecz oto, zaledwie po trzydziestu latach, mało już kto w przetworzonej ojczyźnie znał jego twarz, fotografii czy portretu dostać było niesposób, czyny, zwycięstwa i klęski, osiągnięcia i błędy zatarto po społu, zastępując wszystko krótką, wrogą notą w encyklopedii — że choć niegdyś socjalista (*samo słowo*

nie wiedzieć już co znaczy), to później zdradził, odszedł, uległ burżuazji czy przewodził jej, na jedno wychodzi, spowodował klęskę — i tyle. Takie to są po latach historyczne czary, za pomocą których osnuwa się postacie mgłą zapomnienia — mgłą tylko i ukryty za nią wykrzywiony kontur widzi nowa młodzież, która, choć już wychowana wewnątrz dzisiejszej, czerwonej unii krajów Wschodu, nic w gruncie rzeczy nie wie o Wschodzie, o wschodniej historii i wschodnich marzeniach, jakimi żył zapomniany Marszałek. I dopiero, o paradoksie, zawstydzić niepamiętliwych mógłby pewien radziecki, zaprzyjaźniony teraz i sojusznicy po nowemu, choć wiekowy generał, który będąc w pięćdziesiątych latach na Wawelu zapragnął zobaczyć kryptę w Wieży Srebrnych Dzwonów. Stare wschodnie czasy zbliżają starych wrogów, nawet czerwony oficer nie oparł się wspominkom — lecz któż tu jeszcze takie sprawy wspomina?

Bluzeczka w każdym razie nie: choć miała pięć lat gdy umierał Piłsudski, to jednak w istocie rzeczy wywodziła się z samego wnętrza orwellowskiej fantazji, dotyczącej roku 1984. Wywodziła się bez reszty i to właśnie tak zaskoczyło zaś potem załamało podstarzałego chyba jednak Romana, który nie wiedzieć jak, kiedy i dlaczego nawiązał z nią romans. A jeśli już romans to — człowiek staromodny — liczył, że znajdzie w niej współprzyjaciela, współsłuchacza, współświadka. Świadka, który potwierdzi, że nastają czasy dziwne, ba — kosmicznie niesamowite, trzeba bowiem żyć na co dzień we współczesnej historii, żyć wraz z całym światem, który zwariował i w absurdalny, dziecinny sposób toczy się do przepaści, nie słuchając żadnych ostrzegawczych sygnałów, opętany przez obdarzonych nieprawdopodobną władzą zaklinaczy, ci zaś, czy to w Rosji czy to w Chinach czy, aby było śmiesznie, w maleńkiej Albanii, potrafią zrobić z całego kraju Agorę obłędu, inkwizycji, fanatyzmu, wobec których to spraw przereklamowane europejskie średniowiecze zdaje się niemal idyllą, a Savonarola i Torquemada na spółkę nie warci są zawiązać tasiemki u kalesonów aptekarzowi z Łodzi (takie o nim przynajmniej krążyły słuchy) nazwiskiem Jagoda. Ale Biała Bluzeczka nic o tym wszystkim nie wie, przeżywa bowiem normalnie, ufnie i pozytywnie swą współczesną, polską, zamkniętą (znowu zamkniętą!) swojskość. Jeżeli zaś wraz z nią odczuwa rzecz podobnie cała generacja? W takim razie to pewno Roman się myli, ulegając złudom, które, zwielokrotnione, kazały kiedyś amerykańskiemu ministrowi wyskoczyć oknem z któregoś tam piętra — ten sam czyn powtórzyło zresztą za nim kilku polskich emigrantów: generał, poeta, dyplomata, muzykolog. Roman nie chciał skakać, chciał tylko uwidocznić i uwiecznić powszechną nienormalność, zazna-

czając swój sceptyczny wobec niej stosunek. Ale może tak właśnie nie wolno, może historia stawia warunek całościowy, heroiczny, ostateczny: albo wszystko albo nic? W dodatku, jeśli tylko on jeden odczuwa nienormalność a inni nie, to może po prostu on sam jest nienormalny? Kto wszędzie widzi szaleństwo, ten pewno sam jest szalony. Może istotnie tylko nieprawdziwy obraz świata nie jest dziwaczny, a jeśli tak, to nie ma o co ani komu wytaczać procesu, bo przecież nigdy i z nikim nie zawierało się kontraktu na jakąś normalność i typowość: wszakże to jedynie marksiści właśnie wierzą w swe typowości, prawidłowości, etapy, linie, odchylenia i inne twory wyobraźni. Wszystko to jest możliwe, lecz trzeba przedtem wyjaśnić jeszcze rzecz z Bluzeczką, przesłuchać ją, ona wszakże jest tu świadkiem koronnym. I tak oto zeznania świadka zajęły rok, ale co wniosły do sprawy i jak dalej tę sprawę prowadzić — to jest właśnie kluczowe pytanie drugiego w życiu Romana, zimowego pobytu nad polskim morzem, morzem grudniowo-szarym, sinym, niebieskawym.

IX

Być może, że dopiero człowiek starszy, oczywiście relatywnie starszy, bo każdy ma w tych sprawach własną granicę, człowiek padający już ofiarą rozkładu owych, precyzyjnie w młodości funkcjonujących „porządkowych” władz psychicznych (*rozkład ten ma na pewno swój odpowiednik w poprzedzającej go degeneracji czy zużyciu pewnych, niewidocznych dla oka ale realnych narządów fizycznych*), być więc może, że dopiero taki człowiek żyje pełnią istnienia, bo zdolny jest do dokonania syntezy fizycznego z duchowym, przeszłego z teraźniejszym, wspomnień i wyobrażeń z realnością, znalazł się przecież oto na wieloperspektywicznym skrzyżowaniu światów. Nieraz ludzie śmieją się ze starca, któremu nadmierna mnogość doświadczeń miesza się w czasowym i w ogóle wszelkim następstwie: płacze on wydarzenia, myli ich kolejność, proporcje trwania, hierarchię ważności — wszystko jest w nim jednakowo żywe, nawet więcej, daleka przeszłość żywsza bywa niż teraźniejszość, częstokroć to, co się gdzieś od kogoś słyszało (a co akurat trafiło na swój odpowiednik w drgnięciu naszego wewnętrznego „magicznego oka”) wydaje się realnością, zaś to, co się przeżyło, nabiera cech widmowych i hipotetycznych, czas, podzielony wszakże przez ludzkość tak metodycznie (i przez to

sztucznie) na tygodnie, dni, godziny, minuty, sekundy, staje się wartością względną, to rozciąga się jak guma to znów kurczy, jak zmoczony materiał — a wszakże nikt nigdzie nie powiedział, że to co się dzieje teraz jest ważniejsze od tamtego, co było kiedyś, późniejsza lokata w czasie absolutnie nie daje żadnym faktom przewagi nad innymi, to po prostu rzecz przypadku, poza tym każda terażniejszość w każdym momencie (gdzie jest granica najkrótszego momentu? — mikro nieskończoność?) odjeżdża do tyłu i staje się przeszłością. Może więc stary człowiek, w miarę zbliżenia się fizycznej śmierci coraz bardziej żyjący poza aktualnym czasem i swą wciąż chaotycznie na pozór pracującą wyobraźnią wyłamujący się z zewnętrznej formy kolejnego następstwa zdarzeń, osiąga właśnie pełnię życia, podczas gdy młodość jest niewolniczo w tej zubożająco sztywnej formie uwięziona, za co otrzymuje chwilową nagrodę w postaci precyzyjnego i na pozór intensywnego odczuwania swych schematycznie ukierunkowanych aktualnych wrażeń: rzekoma bujność młodości jest jednakże złudzeniem, bo tyczy się ona zasobu faktów, bardzo ograniczonego swą (pozorną, jak to się później okaże) jednoznacznością. I tu właśnie zarysowała się z czasem zupełna odmiennność trybu życia psychicznego, trwająca między Romanem a Bluzeczką: z czasem, bo początkowo duchowe życie Romana, owa egzystencja i w dawności i w terażniejszości zarazem, bardzo Bluzeczkę przyciągało: była wszakże humanistką, historykiem, tu zaś miała przed sobą żyjący i dotykalny, jednocześnie przedmiot i podmiot historii, notującego wszystko świadka, coś jakby automatyczny obiekt filmowy, pozostawiony na dnie morza, który latami utrwała przepływające wokół stwory, później ich potomstwo, później potomstwo tegoż potomstwa. Roman co prawda nie był jeszcze wcale taki stary, ale wobec faktu przeprowadzenia w tym kraju zupełnie niewiarygodnego, lecz jak najbardziej rzeczywistego procesu unicestwienia narodowej pamięci (*dokonano tego częstokroć w sposób arcyprosty, unicestwiając po prostu ludzi będących tej pamięci nosicielami: Niemcy ich mordowali, Rosjanie po wojnie jęli się metody innej, desygnując specjalistów od zbiorowej psychologii, którzy mieli za zadanie tak obciążyć powszechną świadomość nowym balastem, aby zatrzeć myśl o starym — to właśnie była sztuka realizowania narodowego palimpsestu, z tym oczywiście, że z pergaminu nie wycierano słów wszystkich, lecz, dla zamaskowania zabiegu i uprawdopodobnienia rezultatu, niektóre pozostawiano na miejscu*), wobec również faktu, że był literatem, a więc przedstawicielem zawodu poniekąd uprzywilejowanego, nie ulegającego kolektywnej niewoli w biurze czy fabryce, niewoli duchowej, bo istotnie dyktatorskiej a mafijnie działa-

jącej partii wytwarzało tam wieczny stan niepewności, intryg i strachu, co na dłuższą metę niechybnie degenerowało ludzi, zmieniając ich wewnętrzną substancję w nerwowo rozdygotaną galaretę — wobec więc tych i wielu jeszcze innych spraw Romanowi udało się przetrwać, zachować swą ponadczasową osobę, stał się żyjącą choć przedpotopową skamieliną, eksponatem, który, cały i zdrowy a fizycznie wręcz młodzieńczy kręcił się i przewijał między autentycznymi ludźmi, przestając z nimi na co dzień jak równy z równymi. To było dla Bluzeczki nader atrakcyjne, zwłaszcza, że wobec jej mozolnie mrówczego życia, Roman odznaczał się swobodą i beztróską nonszalancją przybysza czy gościa z innego świata, stopniowo jednak zaczęło się stawać uprzykrzone, w miarę gdy ją dostrzegać, jak wciąż żywa pamięć i świadomość przeszłości musi warunkować u Romana określone widzenie teraźniejszości, a także ocenę jej samej — ocen zaś takich Roman, niegdyś, po wojnie, ostrożnie powściągliwy, wcale teraz swej towarzysze nie skąpił, uważając, że skoro zjednoczyli się nagle w dziwnej, quasi erotycznej przygodzie, to i spraw innych, wszelkich nie powinni przed sobą ukrywać. Początkowo Bluzeczka była jak najbardziej za tym, prowokowała go nawet do obrazoburczych wypowiedzi, kwitując je cichym, aprobującym, jak to sobie w prostocie ducha myślał, charakterystycznym dla jej powściągliwego na ogół sposobu bycia śmieszkim. Niezadługo już jednak dojrzał, że Bluzeczka tkwi przecież głęboko w swoim codziennym konformizmie i ani myśli dać się z niego wyłamać — chyba, żeby się Roman z nią w pierwszym wybuchu irracjonalnej czułości ożenił, ale to właściwie nigdy na serio nie wchodziło w grę, zresztą oboje mieli rodziny i rodzinne domy, w tym zaś zamrażającym wszystkim na konserwę systemie, dom rodzinny czyli mieszkanie to po prostu byt samoistny i absolutny: zdarzały się wprawdzie, nawet często, rozwody, ale to jeszcze nie oznaczało separacji od mieszkania — nie rzadkie były wypadki, gdy rozwiedzeni małżonkowie mieszkali nadal całe lata w jednym mikroskopijnym mieszkaniu, ba — sypiali na jednym niezbyt szerokim tapczanie. Cóż zaś mówić w takim razie o rodzinach, dzieciach, zniedołężniałych babcjach i przeróżnych innych komplikacjach, a jeszcze do tego mówić o tym w wyburzonej i osobliwej skokami czy zrywami odbudowywanej Warszawie, gdzie stare, po rodzicach odziedziczone mieszkanie Romana na Koszykowej stanowiło przez długie lata istne sanktuarium, chroniony rezerwat życia, bo życie jeśli miało być autentyczne, musiało odnaleźć sobie trudne w ówczesnej stołecznej Centrali, perspektywiczne zaplecze przedwojennej dawności. Lecz co o tym wszystkim mogła wiedzieć Bluzeczka? Jedyne uczucie, jakie zaczęła z czasem żywić w owej materii, to

uczucie jadowitej zazdrości wobec zaginionego świata, w którym nigdy nie była obecna i do którego nigdy nie przeniknie. A znów Roman trawił się i krztusił zazdrością czy zawiścią wobec jej miniaturowego mieszkania w efektownym z zewnątrz wysokościowcu na wschodniej ścianie tak zwanego Placu Defilad, wiedząc, że mieszkanie to, ów drapacz chmur dla ubogich, owa „ściana” ze szklanych, zgrabnie wysmukłych ale tandetnych graniastosłupów, ów cały plac ze swym gigantycznym Pałacem Kultury, cukierniczo-białym, poszczerbionym stalaktytami ornamentów co obsiadły jego piętra niczym szeregami choć nie po kolei ustawione szachowe figury, że wszystko to wyrosło sztucznie, znikąd, nie przewidywane i nie przewidywalne, poza życiem tego miasta, nagle, dwadzieścia parę lat temu przerwany, wyrosło poza ewolucją, rozwojem, normalnością, na gruzach, choćby na gruzach właśnie dawnego Dworca Wiedeńskiego, którego prowincjonalna, rosyjska piramidka zółciła się przed wojną tu gdzieś blisko, tam chyba, gdzie teraz sterczą przed Pałacem dwa ogromne a pretensjonalne obeliski (*takie, jak w Paryżu na Concorde, tyle, że ów paryski ma swój historyczny sens, zaś te tutaj nie wyniknęły z żadnego nawarstwiania się wieków, lecz powstały dzięki nie organicznemu, lecz teoretycznemu impulsowi, charakterystycznemu dla pogardzających „żywołem” mózgow politycznych, które zawładnęły tą częścią świata*). Tamten stary dworzec był prowincjonalny, ten zaś trzydziestopiętrowy Pałac wzniesiono szybko (*to wszakże dar rosyjski dla zburzonej brutalnością jednych a polityką innych Warszawy*), z pomocą potężnej choć okropnie tu jakoś nudnej techniki. Ani Bluzeczka, ani jej mąż, inżynier, dyrektor, działacz partyjny w jej wieku, nie dostrzegali tej nudności — bo nie mieli porównania, bo innej techniki nie znali: skąd mogli wiedzieć, że ta akurat jest sztuczna i nudna, albo że historia tego miasta tylko do pewnego momentu jest historią normalną, potem zaś staje się już czymś wyjątkowym, czego bez specjalnego komentarza nikt nie zrozumie. Choć z drugiej strony znowu, nasuwa się ów nurtujący wciąż Romana problem, co właściwie jest normalne; może nastały czasy, gdy nienormalne (z punktu widzenia dawnej epoki) staje się normą? Ale w ten sposób można dojść do ubóstwienia historii, jako bożka, któremu należą się ofiary, bez względu na to co robi, jak się zachowuje, jak kieruje ludzkością (*już samo podciągnięcie ogromnej masy wydarzeń pod jedną, sumaryczną nazwę „historia” jest dowolnym uproszczeniem, upostaciowaniem bezmiaru kłębiących się mroków i wichrów w jednym rozgrzeszającym a nic w istocie nie znaczącym słówku*). Pewnego razu Roman, podczas którejś z nielicznych wizyt w domu Bluzeczki, przypomniał swym rozmówcom i gospodarzom, że w miej-

scu, gdzie teraz stał ich drapacz chmur były niegdyś, na dawnej Marszałkowskiej, hałaśliwe, bogate w towar choć brudne i na oko niepozorne żydowskie sklepy, oraz dwa stare warszawskie kina „Apollo” i „Stylowy”, azyl międzynarodowych snów, kapitalistycznej poezji, przedrewolucyjnego uroku życia, wprawdzie nie dla wszystkich dostępnego, lecz istniejącego realnie, jako punkt marzeń, dążeń, limit plus nieskończoność — zresztą tu, w kinie „Stylowy” Mae West, Joan Harlow, Franchot Tone czy Gary Cooper przebywali i grali dla wszystkich, dostępni do oglądania za jedne pięćdziesiąt czy osiemdziesiąt groszy, jako dowód, że w ich świecie marzenia nie są ani kontrolowane ani reglamentowane. Tymczasem dzisiaj nie ma co marzyć — nie jest to ani polecane ani dobrze widziane, bo oto dwudziestoczeropiętrowe, smukłe szklane wieżowce na Ścianie Wschodniej Placu Defilad ofiarowywały się jako spełnienie wszelkich marzeń: nie ma już o czym roić, do czego tęsknić, ponieważ życie w socjalizmie zrealizowało wszelkie sny, jest piękne, zaś inne w żadnym wypadku nie będzie. Zeromski fantazjował na temat szklanych domów, proszę — oto są szklane domy, czegoż innego możecie chcieć? Tak to wszystko wywiódł Roman przed Bluzeczką i jej mężem, ale im nic z tego nie trafiło do przekonania, uznali rzecz za dziwaczne „czepianie się”: cóż normalniejszego niż fakt, że brudne żydowskie sklepiki burzy się, budując na ich miejsce szklane, olśniewające magazyny oraz wieżowce mieszkalne (*słowa „drapacz”, jako trącającego Ameryką w sferach tych nie używano*), to przecież normalna kolej rzeczy wobec postępu technicznego we wszystkich dziedzinach. A co do kin — toć przecież owe stare duszne żydowskie budy „Apollo”, „Światowid” czy „Stylowy” (*których zresztą Bluzeczka i jej mąż, ludzie młodzi, ludzie nowi, wcale nie pamiętali*), owe tandetne siedliska tandetnych marzeń rozsnuwanych na użytek biednego tłumu przez tandetnych hollywoodzkich wizjonerów, nie umywały się do nowoczesnych, szerokoekranowych kin, jakie ma teraz Warszawa, kin z numerowanymi wygodnymi miejscami, gdzie wyświetla się filmy rzeczywiście artystyczne, a nie byle szmirę: tamto były dosłowne „iluzjony”, ciasne i prymitywne fabryczki iluzji dla zmęczonych, anonimowych szczerów wielkiego miasta, tutaj jest świetlista sztuka dla świadomych ludzi pracy. Postęp, rozwój, technika, o cóż chodzi — czy naprawdę o ciasne, rozwrzeszczane sklepiki, których nikt już nie pamięta? Cóż tu jest nienormalnego, czyż zastąpienie starych jednopiętrowych bud przez nowoczesne wysokościowce nie jest procesem normalnym? Roman w tym miejscu dopowiadał sobie po cichu różne rzeczy: że mieszkańców tych bud hurtowo uczęstowano nagłą a niebywałą śmiercią, bo nagich, wespół z ko-

bietami, dziećmi oraz rodzicami i prarodzicami zaduszono wspólnie gazem; że budy spalono i przez szereg lat na gruzach, w drewnianych szaletach toczyło się tu jeszcze kontynuowane przez innych ludzi podobnie gorączkowe, choć szczątkowe, wymiennohandlowe życie, zanim nie wypędzono go z kretesem, aby właśnie wznieść tu ową obojętną grupę betonowo-szklanych wieżyc; że ludzie żyli w tych podniebnych klatkach w sposób unormowany, uregulowany, pokratkowany niewygodnym trybem egzystencji dziwnego miasta, ale BEZ MARZEŃ, podczas gdy wypędzone marzenia przeniosły się na drugą stronę Marszałkowskiej, do rozsiadłej u stóp jeszcze nowszych wysokościowców kolonii podługowatych, parterowych szklanych baraków, gdzie schroniły się na trochę z łaski socjalistycznego „NEP-u” resztki, niedobitki starych, warszawskich firm, Pakulskich, Bruna, Cieszkowskiego, Winiarskiego, wegetując tam na zasadzie komisów i na zasadzie odroczonego chwilowo wyroku śmierci, niczym lokale rozrywkowe getta w przeddzień zagłady; że jednak tam właśnie tłoczyły się nadal tłumy, bo niepodobna określić kierunku ludzkich marzeń, marzenie zreglamentowane nie jest już marzeniem, a życie bez marzeń nie jest normalnym życiem. Ale Bluzeczka i Mąż nie widzieli tutaj niczego, co by nasuwało wątpliwości, widzieli natomiast starzejącego się faceta, który rozczula się nad słuźnie i bezpowrotnie minioną przeszłością, poza tym także z zazdrości, że jest już poza nurtem nowego życia, próbuje odciąć od tego życia pewną młodą osobę, członka partii i pilnego pracownika naukowego. Zresztą mąż Bluzeczki nic chyba określonego o ich sprawie nie wiedział, ale Bluzeczka rozumiała całą rzecz — rozumiała ją także jako zwyczajne ekscesy niemłodego zazdrośnika. I oto, po pierwszym załamaniu, zafascynowaniu przeszłością a może i Romanem, bo początkowo był dla niej ciekawy, odrębny, egzotyczny, stary i młodzieńczy zarazem (pozasłowny — taki właśnie był), Bluzeczka zaczęła się bronić, bronić swego prawa do terażniejszości, w której tkwiła zanurzona od najmłodszych lat. Broniła więc w istocie świętego prawa do wznoszenia własnej budowli swego życia i swych doświadczeń — każdy ma takie prawo w każdych czasach, a że czasy się zmieniają i psują — czyż to jego wina?

Otwarta walka zaczęła się o... święta, o prawo do świąt nowego (dla niej starego) obrządku, do obchodów, zjazdów, kongresów, rocznic, manifestacji, akademii, pochodów, wart, capstrzyków, czy raczej do uczestniczenia w tym z podnieceniem, zainteresowaniem, zaangażowaniem (*specjalnie modne słowo — jak niedługo „sanacja moralna” myślał Roman*), zrozumieniem, uniesieniem, wtopieniem, z wypiekami na twarzy, w ładnej sukience,

z czerwoną kokardą i z promiennym uśmiechem. Dziwna rzecz — Roman lubił wszelkie masowe demonstracje czy defilady (*także i komunistyczne po wojnie — byle tylko była pogoda*), ale nigdy nie przyszło mu przedtem na myśl, że można to wszystko traktować z powagą, jako jakąś rzeczywistą, spontaniczną manifestację czy przejaw prawdziwego życia politycznego — ot po prostu groteskowo pompatyczna galówka, monstrualnym samochwalstwem swych hasel bijąca na głowę wszelkie rekordy osławionej przedwojennej Sanacji. Pookupacyjna i popowstaniowa, nie zdolna już do dziwienia się czemukolwiek Warszawa zaśmiewała się z tych historii, jako z jedyne go „ideowego” dorobku, człobitnych z natury Moskali, którzy szyk carskich parad i wierpopoddancı, solenny sos cerkiewnych złocistych procesji zamienili oto na bezdusznie pompatyczny rytuał nieustannych wieców i obchodów, nic wspólnego nie mających z charakterem rzeczywistych robotniczych manifestacji polskich przed wojną. Ale owa pookupacyjna, rozżarta bezprzykładną klęską i krzywdą powstańczą Warszawa była wtedy, zaraz po wojnie, z gruntu opozycyjna, cała zresztą Polska, pomna milionowych wywozek ze Wschodu, pomna Katynia i losu Warszawy, dygotała febrycznie na myśl o nowych jeszcze — po straszliwych rządach hitlerowskich mitomanów — pomysłach dyktatorskich filozofów; chłop ze swej strony bał się panicznie kołchozów i niewoli, wszyscy razem liczyli na jakąś zbawczo rozsądną interwencję Zachodu, któremu oczywiście ani to było w głowie, ograniczył się tylko do wymuszenia na Rosjanach zgody, aby niedawny emigracyjny premier, jeden z przywódców przedwojennej partii chłopskiej mógł wrócić do kraju i objąć stanowisko w rzekomo koalicyjnym rządzie. Ów właśnie chłopski działacz dał wyraz naiwnym zresztą nastrojom Polaków, gdy, zapytany przez jakiegoś zagranicznego dziennikarza o opozycyjny charakter swego stronnictwa odpowiedział: „Nie jesteśmy w opozycji, bo większość nie może być w opozycji”. Tak, piękne słowa, lecz koniec owego emigracyjnego działacza, (*podwójnie emigracyjnego, gdyż wywodził się ze skrupulatnych, wielkopolskich chłopów, którzy wyemigrowali niegdyś do Westfalii*), ostateczny rezultat jego taktyki okazał się taki sam, jak koniec analogicznych polityków w sąsiednich, oddanych przez Zachód we władanie Rosji krajach Europy środkowowschodniej: po precyzyjnie zafałszowanych wyborach parlamentarnych zbiegł za granicę wśród gwizdów i obelg komunistycznej klaki. A Warszawa i cała Polska, poddane przemyślnym sztukom magicznym etapowej dialektyki, przeszły w ciągu dwudziestu lat długą i zawiłą drogę psychologiczną, niestety przez żadnego świadka nie utrwaloną, nie udokumentowaną (*choć może gdzieś w ukryciu*

pilny a tajny archiwista śledzi i rejestruje dzień po dniu wszystko co się dzieje — nawet przecież podczas okupacyjnej Nocy Narodowej znalazł się taki arcysumienny, cichy kronikarz, zabity przez Niemców pod koniec wojny za żydowskie pochodzenie), zaś Polska przemieszana, przetworzona, złożona teraz z ludzi młodych i nowych, z racji chemicznego unicestwienia niedawnej historii zgoła na nic nie pamiętliwych, ta Polska nie była już w stanie zdobyć się na jakiś prawdziwy masowy ruch, asystując jedynie zbiorowo w coraz to mnożących się, teraz już wręcz celebrowanych parę razy w tygodniu (*rocznice narodowe zwielokrotniały się w sposób wręcz fantastyczny*) obchodach i uroczystościach, gdzie masowe audytorium stawało się wielką, posłuszną maszynериą, uruchamianą przez sprawnie pociągających za utajony sznurek ludzi z rządzącego krajem Klubu Sekretarzy, czyli owego sprzysiężenia wyszkolonych w swym procederze czarowników władzy. Jedną z właściwości tego czaru polegała na tym, że był gołym okiem niewidoczny: towarzysze Sekretarze po cichu ujmują wszystko w garść, ale jest to proces utajony, na zewnątrz, na zebraniach, wiecach, mityngach, w telewizji, w radio, wygląda niby (*choć wyraz twarzy uczestników nie jest zachęcający*), że to lud samorzutnie i jednogłośnie podejmuje decyzje i postanowienia, a choć wszyscy wiedzą, iż cała rzecz jest z góry ukartowana, nikt tego głośno nie powie, woląc się łudzić niż przyjąć osłupiającą prawdę o olbrzymiej masie ludzkiej, mogącej być bez trudu formowaną i reżyserowaną przez grupkę czarnoksiężników. Z czasem złudzenia stają się nawykiem i potrzebą, ludzie zaczynają wierzyć, że inaczej działać się nie może, skoro zaś nie może i nie będzie, to wszystko co jest — jest prawdziwe: heglowska hipnoza działa. Nie mówi się już o Rosjanach, zapomniano o nich, wrogiem jest nadal hitleryzm, choć już dawno pogrzebany, utożsamia się go teraz z Ameryką (*z początku nieśmiało, potem, w miarę odpływania w przeszłość Drugiej Wojny, coraz dobitniej*), zwąc wszystko w czambuł imperializmem, później znów zacznie się utożsamiać Żydów z Niemcami ba, z hitlerowcami niemal, choć jeszcze niedawno sam pomysł tego rodzaju wydałby się szczytem obłędu. Słuchacze, pozbawieni innej strawy, pozbawieni alternatywy, przyjmą wszystko — przewidział to Orwell — ów zadziwiający pół Anglik pół Hindus, który niedługo po wojnie, mrąc już na gruźlicę opisał co się będzie działo na świecie w roku „1984”. Przewidział genialnie planowe przetwarzanie przeszłości („Ministerstwo Archiwów”) przewidział powstanie „nowomowy”, czyli syntetycznego języka dowolnie komponowanych aliaży pojęciowych, a także zrozumiał konieczność oficjalnie polecanych „trzech minut nienawiści”, których bohaterem stanie się nieznan

blżej ogółowi rewizjonistyczny wróg — Emanuel Goldstein (Trocki?!). Istotnie, w Polsce Ludowej, zarządzanej na początku przez przybyłych z Rosji polskich komunistów pochodzenia żydowskiego, zdecydowano się po latach, gdy wykonali już swą pierwszą czarną robotę, potępić ich, a dla zajęcia czymś masy oferować jej niezbędnego wroga, którego można będzie jawnie nienawidzić. Wrogiem tym kreowany został Żyd Wieczny Tułacz, przeciwnik nader dogodny, bo nie wiadomo gdzie jest, więc można powiedzieć, że jest wszędzie i piorunować nań ile wlezie na każdym zebraniu, oskarżając o wszelkie unoszące się w powietrzu winy i grzechy — wszakże postawa klasowa wymaga przeciwnika, a skądże go wziąć, jeśli proletariat już zwyciężył. Roman nie wierzył w prawidłowości historyczne i porządkujące świat mity, nie mógł jednak zaprzeczyć, że ów były a mało znaczny komunista Orwell okazał się wręcz prorokiem i, co najtrudniejsze, również w drobiazgach, w szczegółach, na przykład w opisie brudnej ministerialnej stołówki. Marks przewidywał źle, choć dobrze o tyle, że teorie jego wywarły wielki wpływ na dzieje ludzkiego świata. Orwell dobrze ale źle, bo ostrzeżeń jego, mimo iż były słuszne, nikt nie wziął pod uwagę. Świat ludzki jest dziecinnie chimeryczny, dlatego ludzie poważni tak często bywają w nim bezradni, tymczasem mistyfikatory i działający na wyobraźnię żonglerzy dochodzą nieraz do najwyższych wpływów. Rasputin i Hitler, Trocki i Mussolini, Stalin i Rosenberg, oto straszliwi kapłani, którym udało się owoładnąć wyobraźnię dorosłych dzieci — jakże nieefektywnie prezentują się przy nich zachodni mężowie stanu w cylindrach i sztuczkowych spodniach. Nowe Średniowiecze nie chce lekarzy, woli kapłanów — może więc Zachód reprezentowany tu będzie jedynie przez herosa z „westernu”, herosa zbrojnego w łąso i egzotyczne sombrero?

I oto Roman po latach przestał się śmiać z masowych obchodów, przestał traktować je jako zabawne uliczne kino — w miarę narastania ich częstości oraz intensywności poczuł lęk, poczuł dreszcz totalnego szaleństwa, smak owego świata pojęciowych fałszów i językowych fikcji, które w miarę sugestywnego, patetycznego powtarzania stają się w ludziach prawdą, bo prawdą są pojęcia istniejące, skoro innych nie ma, a dalekie poszepty radiowych głosów z odmiennego świata przegrywały przecież codziennie w konfrontacji z nieugiętym tutejszym życiem. W polskiej nowej mowie Roman odnajdywał bezbłędnie wszystkie cechy tamtej, orwellowskiej: zastępowała fakty słowami i rytmicznymi zestawami słów, pieczołowicie dbając o to, ażeby były one dźwięcznie jednorodne i nie miały nic wspólnego ze złożoną, małowypową, powikłaną w przestrzeni, czasie i pojęciach polską rzeczywistością.

Dlaczego w tym systemie nie nazywa się rzeczy po imieniu, dlaczego teoria i symbol mają pierwszeństwo przed praktyką i treścią, czy wszyscy, którzy chcą zawładnąć przyszłością muszą już z góry, na parę pokoleń naprzód, umieszczać psychikę swych podopiecznych w świecie fikcyjnym? Może uważają, że w ten sposób czynią tych podopiecznych bezbronnymi wobec siebie a uodpornionymi na wszelkie koncepcje inne, może, widząc, że rzeczywistość nie odpowiada wprowadzonym przez nich pojęciom, postanowili utrzymać siłą te pojęcia i czekać, aż rzeczywistość do nich się nagnie? Byli więc zarazem ludźmi wielkiej wiary i wielkiego pesymizmu: politykę uznali za rzecz zbyt poważną, by pozostawiać ją ludowi, lud za zbyt niepoważny, by pozostawiać go samemu sobie. Pesymiści zatem, choć nigdy otwarcie się do tego pesymizmu nie przyznający, przeciwnie, głoszący rzeczy akurat odwrotne, że rządzi mianowicie przodująca i bohaterska klasa robotnicza, płomienisty, nieugięty, ofiarny i nieustraszony proletariatus. W istocie jednak, w żadnych sprawach, gdzie uczestniczył proletariatus, reżyserowie jednościi czyli sekretarze-czarodzieje nie puszczali nic „na żywioł”, głosowanie nie było głosowaniem, dyskusja nie była dyskusją, prasa nie jest prasą: wydaje się, jakoby przywódcy wiedzieli doskonale, iż gdyby tylko pozwolić, puścić wodze, wszystko poszłoby zgola inaczej, nie ku komunizmowi, czy, jak mówiono teraz — socjalizmowi. Wodzowie są więc realistami, ba, czarnowidzami nawet jeśli chodzi o terażniejszość, ale wierzą w swoją ponadpokoleniową misję, że oto należy lud przyzwyczaić do rzeczy, których on sam, gdyby dziś miał prawo wyboru, to by nie wybrał, bo nie rozumuje dalekowzrocznie, historycznie, trzeba więc myśleć za niego. Ludzie którzy tak sądzą, dowódcy i przewodnicy, sami częstokroć pochodzą z ludu, ale (dlatego może) świadomie się zeń wyobcowali i postępują z nim bezceremonialnie, jak rodzice z niemądrymi dziećmi. Z tego też powodu nie lubią oni specjalnych grup ludu, które im się wymykają, ludu wyemancypowanego czy awansowanego w inny sposób: zubożonych chłopów, „kułaków”, mieszczan, rzemieślników, prostactkich milionerów amerykańskich — zresztą według świętych słów doktryny, kto posiada środki produkcji, ten już nie należy do ludu, a że tylko posiadanie środków produkcji daje awans i możliwość indywidualnego tworzenia, więc, w istocie rzeczy, wiodący podejrzliwi pesymiści (*marksizm i freudyzm, dwa systemy podejrzeń — mawiał zawsze krytyk R...*) zakładali likwidację z czasem wszelkiej okazji do indywidualnego awansu: awansować będzie można tylko całą masą. Śmiała teoria, odważna decyzja — ale ileż czarów psychologiczno-słownych wykonać trzeba, żeby przyzwyczaić lud do podobnych pojęć w kraju tak drobnomieszkań-

sko-chłopskim, nawykłym do solowego, chałupniczego produkowania, jak Polska? I gdzie właściwie mieści się owa kuźnia czarów, mitów, zaklęć, jacy ludzie to robią, przemyślnie konstruuja, wypróbują, wydoskonalają? Roman mieszkał w Warszawie, obracał się niedaleko Centrali, a przecież nie wiedział kto — można by czasem sądzić, że naprawdę wszystko staje się i dzieje samoczynnie, gdyby nie nagłe, gwałtowne, wyraźnie przez kogoś zaplanowane skręty „ideologiczne”, kiedy to hasła wczoraj zakazane stawały się z dnia na dzień polecanyimi, zaś ludzie przed miesiącem wychwalani i noszeni na sztandarach spadali na samo dno uświęconej proletariackiej pogardy. Tak gwałtowne skurcze w systemie politycznym, gdzie nic się nie działo bez pozwolenia, nie mogły być organiczne, ktoś je wywoływał i reżyserował. Ale kto i dlaczego?! Tajemnica.

Panujący w kraju system partyjny zwał się ruchem robotniczym, choć wszyscy wiedzieli, że robotnicy mają tu najmniej do gadania, że spośród istniejących grup społecznych są ową najbardziej bezwolną i kierowaną, utrzymywaną w ramach zaplanowanego dla nich schematu, że całe ich prawo to tworzyć symboliczne tło dla decyzji tajemniczej góry, podnosić rękę w głosowaniu, wydawać okrzyki, defilować. Rzecz zadziwiająca, ale nie było tutaj grup mniej samodzielnych i mających mniejszy wpływ niż oni. Chłop żył na swoim i mógł zatrząść krajem ogłodzić go — dlatego oszczędzono mu kołchozów: jednak przecież rzecz dzieje się w Polsce, w pryncypialnie opętanej czy natchnionej Rosji liczyłaby się najpierw czystość doktryny i związana z nią precyzja koncepcji władzy (*dyktatura proletariatu — cóż za dziwne zaklęcie zrobiło się z tego hasła*), sprawa powszechnego głodu czy sytości stała tam na dalszym planie. Rzecz dzieje się w Polsce, więc nie tylko chłopci mają się dobrze i mogą dyktować warunki, ale również rzemieślnicy indywidualni czy kryptospółdzielcy, choć pogardliwie wyobcowani i przemilczani, aby nie mogli zarazić masy swym stylem życia i myślenia, robili co chcieli, bo byli potrzebni i to nawet wielkiemu państwowemu przemysłowi. Inteligencja techniczna czy twórcza też dawała sobie radę, zręcznie wyzyskując wielorakość i wielokierunkowość rozdziału funduszków oraz zbawczy polski bałagan. W gruncie rzeczy — o dziwności — tylko robotnik był bezradny: jako typowy i sztandarowy przedmiot (i rzekomy podmiot) idei musiał pozostać czysty i klarowny w swych formach życia, pracy, wynagrodzenia, on niósł na sobie ciężar doktryny, nad każdą złotówką dla niego dyskutowano szeroko i pryncypialnie, podczas gdy w innych, „nieuspołeczniczonych” sektorach pieniądze płynęły swobodnymi strumieniami. Władza polityczna sekretarzy była absolutna i precyzyjna, władza admi-

nistracyjna za to słaba i niedbała, petentów odsyłano z pokoju do pokoju, nie wiedząc jak załatwić, bo powódź zarządzeń z różnych stron paraliżowała wszelką decyzję, brano łąpówki, opijano porozumienie, pili zresztą wszyscy mocno i pijaństwa nie tępiono. Panoszył się więc „czerep rubaszny”, a na indywidualną, twórczą w innych społeczeństwach produkcję tu, nie likwidując jej, rzucono odium drobnomieszczańskiego chałupnictwa, otoczono je zaplanowaną atmosferą pogardy, wyobcowując skazano na degenerację. Tylko wielka produkcja, choć często w swym gospodarczym sensie wątpliwa, królowała na świeczniku i czysty, wielkoprzemysłowy robotnik-proletariusz, wyróżnik i godło ustroju stanowił tło owych masowych czarodziejskich wieców, mitingów, obchodów, gdzie pojawiali się najwyżsi przywódcy, tło bierne i bezradne, ujęte w najdoskonalsze tym razem tryby, chór nie mający głosu, choć w nieskończoność, patetycznie powtarzano, że jest właśnie przeciwnie. Czy w tym systemie wszystko musi się nazywać odwrotnie, czyż wieloletnia mistyfikacja jest nieodzownym warunkiem, aby Utopia mogła stać się kiedyś życiem?

Roman, choć pochodził z pepeesowskiej rodziny, dawno już rozstał się z tworzonym przez inteligentów proletariackim mistycyzmem: wiedział, że obfitość i taniość produkcji na Zachodzie zatarła ostrość konfliktów społecznych i rozpęd ruchów „klasowych”, widział też, jak w Polsce odwracano proces społeczny, budując najcięższy przemysł, aby mieć jak najwięcej robotników, aby w chłopskim kraju mnożyć proletariat: decydowała tu teoria, koncepcja, idea, sprzeczne częstokroć z interesem ekonomicznym — przykładem absurdalna warszawska huta. W nowej epoce cudów technicznych świeżo rozwijające się państwo mogło ominąć fazę proletaryzacji, przeskoczyć ją, obejść fortelem, przemysłnym sposobem, specjalnym jakimś, nietypowym rodzajem produkcji zajmując wyjątkowe miejsce w międzynarodowej gospodarce Europy. Ale rządzący fanatycy typowości i proletariatu nie zgadzali się na wyjątkowość, naginali życie do teorii, Polskę do norm i wzorów zasklepionego przez lata w sobie rynku wschodniego. Społeczeństwo broniło się jednak przed całkowitym proletariackim wykorzenieniem, stąd owi chłopi-robotnicy, stąd półwiejskie a przemysłowe osiedla, stąd fakt, że miasta pokazowych szklanych bloków, miasta bez kościoła, wyludniają się w niedzielę, kiedy to wszyscy jadą do domu, na wieś. Oporu politycznego nie było, nie miał już skąd się wziąć, o co się wśród nowych ludzi zaczepić, za to opory organiczne, irracjonalnie różnokierunkowe (*ten ustrój, na przekór swym intencjom, wyzwalał w swym wnętrzu skurcze irracjonalizmu*), ruchy nieskoordynowane, bezideowe lecz właśnie żywiołowo nieodparte na tle owego bezruchu oficjalnie

proletariackiego i ideologicznego, utrzymywanego tajemną w istocie pracą rządzących fanatyków-pesymistów i czarodziejów taktyki, wszystko to składało się na obraz nieprawdopodobnie, fantastycznie i pod każdym względem zawity. Nie największy kraj a zawłość i komplikacje na miarę kosmiczną. Któż się połapie w tym osobliwym gąszczu? Roman w nim błędził, choć miał swoje kompasy — cóż dopiero mówić o Bluzeczce!

Cienie w jaskini, cienie bytów niewidocznych, cienie zjawisk, brane za same zjawiska — to jest właśnie przypadek Bluzeczki. Żyła terażniejszością, przejmowała się nią, była „zaangażowana” — ale przejmowała się rzeczywistością jakże żalosną: nieustającymi narodowymi i rzekomo robotniczymi (*słowo „robotniczy” było tu istnym zakłębciem*) świętami, pochodami, wiecami, akademiami. To, co Roman uważał za jałowe, puste klepanie frazesów, ona odbierała z podnieceniem, z wypiekami, rytuał i formę przyjmowała za treść, cienie widziane z jaskini za klarowny obraz świata. Święta i obchody to w komunizmie z premedytacją przyrządzana używka, opium dla ludu i nie ludu, zastępujące nie istniejący tutaj dreszcz otwartego życia politycznego. I oto Bluzeczka okazała się przysięgłą tego opium konsumentką, wrażliwą zwłaszcza na to, co w nim było zastępcze, na ową syntetyczną strawę stereotypów, podających skróty patosu, miłości, nienawiści, walki. Skróć jest zawsze zafałszowaniem, skracanie to zabieg sztuczny; świadomość dokonania owego zabiegu stawała się dla Romana automatyczną odtrutką na sugestywność zunifikowanych haseł: ich plakatowość to czysta forma, ich działanie nie było więc myślowe czy uczuciowe, lecz wyłącznie naskórkowe — jeśli podniecało to właśnie przez swą zewnętrzną, łechzczącą narkotyczność, nie wnosząc jakichkolwiek wzbogacających treści, czy w ogóle treści. Dla Bluzeczki takie rozróżnienia nie istniały: za każdym razem na nowo oklaskiwała bohaterką walkę ludu polskiego o pełną wolność, niezawisłość, niepodległość, suwerenność, jedność, socjalizm i demokrację (*pedantyczne uszeregowanie tych terminów nie budziło w niej żadnych podejrzliwych skojarzeń*), zawsze z tym samym ufnym w swą siłę wzburzeniem piętnowała i demaskowała (to były stałe, ulubione słowa) perfidne, brudne machinacje bandy imperialistów, monopolistów i rewizjonistów (zestawienie bynajmniej jej nie dziwiło), oraz bezczelne zakusy skorumpowanej marionetkowej kliki reakcyjnych zdrajców dokonywane tu i ówdzie, zakusy oczywiście (co to jest zakus?!), dotyczące się wolności i socjalizmu. Wielokrotnie ze szczerym wzburzeniem potępiała różne brutalne agresje, dawała zdecydowaną odprawę oszczerczym kłamstwom wrogów, wołała żeby zabrano ręce precz od tego czy innego kraju (z reguły bardzo dalekiego),

za to z promiennym uśmiechem błęgiego spokoju cieszyła się z wieczystej przyjaźni i niezłomnej jedności krajów socjalistycznych, których spotkania na najwyższym szczyblu przebiegały zawsze w przyjacielskiej, serdecznej, bezpośredniej partyjnej atmosferze i wykazywały całkowitą jedność i jednomyślność poglądów we wszystkich poruszanych kwestiach...

Biedna Bluzeczka — karmiła się konserwami i nie wiedziała, że brak jej witamin, używała owej sztucznej jak esperanto „nowomowy”, myśląc, że mówi prawdziwym językiem. A przecież była inteligentna, lecz jej zamiłowanie do myślowych konserw nosiło charakter ekspiacji: wywodziła się z zamożnej przed wojną rodziny, pochodzenie społeczne miała zatem nieszczególnie, chciała więc teraz jadać choćby duchowo to, co jedzą robotnicy, po społu z nimi. Była neofitką wiary w proletariat, zaś wiara jak wiadomo nie wymaga i nie znosi dyskusji. Na olbrzymim, prostokątnym Placu Defilad (*największym placem w Europie nazwał go pewien autor awanturniczo-balladowego romansu o Warszawie — jeszcze jako niestary człowiek wybrał on potem emigrację w Ameryce*), u stóp olbrzymich, neoklasycychnych kolumnad i frontonów Pałacu, tonącego nierzadko swym czubkiem w płataninie chmur i mgły, Bluzeczka maszerowała często w robotniczym, zorganizowanym tłumie z okazji zjazdów, rocznic, świąt i akademii, oczy jej, ścigające skręty targanych wiatrem, łopoczących na wietrze czerwonych sztandarów, nie widziały wtedy Romana, człowieka z innej epoki, którego później już otwarcie uważała za śmiesznego stronnika gasnącego świata i za obrońcę owej chałupniczo-kołtuńskiej, mieszczańskiej bezklasowej hołoty. Bluzeczka nie chciała być bezklasowa, to dzisiaj tak — myślał Roman — jakby nie należeć do szlachty. Mieszkając w owym miniaturowym Nowym Jorku ściany wschodniej czuła się w sercu „robotniczej Warszawy” — któż bo wzniósł te nieznanne w nadwiślańskim grodzie szklane wysokościowce, te olbrzymie prostokątne płaszczyzny pokratkowane niezliczonymi, zielonymi kwadracikami szybek okiennych, te trzy białe, nieskończenie smukłe graniastosłupy? Robotnicy, przodująca, zwycięska klasa robotnicza, która defiluje u stóp owych drapaczy (złe słowo) w takie czy inne robotnicze święto. Bluzeczkę porywa patos tego placu jako zamysłu — nic jej tutaj nie razi, nie zaskakuje, nie dziwi, mimo iż z początku ciekawiły ją impresje Romana o tutejszej przeszłości i symbolach, impresje które snuł podczas ich nieskończonych przechadzek wzdłuż i wszerz tego niełatwego, zawilego wycinka przestrzeni, zanim usiłała ich tortura zazdrości, wtedy, na początku, gdy czuli się jeszcze samotną parą, zdaną na siebie, zagubioną w trudnym,

nieprzytulnym kamiennym ogromie labiryntów Wielkiego Miasta. Była to jakby repetycja, przywołanie czy powrót nastrojów młodości, tyle, że szybko, bardzo szybko się tu zestarzeni.

X

Plac Defilad to drugie miejsce — pierwszym było jesienne wybrzeże i molo w C... — z którym skojarzyło się Romanowi to wszystko: ten rok, ta sprawa, ten zamiysł niespełniony. Ale w ogóle co znaczą owe obrazy natury czy pejzaże miast towarzyszące nam ciągle, do których, w miarę zbliżania się końca życia, przywiązujemy coraz większe znaczenie, jakby chcąc nasycić się tym, napić się tego, uwiecznić, to w sobie przed śmiercią, chyba w tajnym przeczuciu, że obraz utrwalaony nie zginie wraz z nami, że pełne uświadomienie sobie wrażeń w związku z nim przeżywanym jest aktem energetycznym, który tak czy owak we wszechświecie pozostanie? Skąd się wzięła owa spóźniona dążność Romana do zanotowania otaczających go obrazów na piśmie, ów drobiazgowy jak inwentarzowy rejestr opis mola w C... oraz samego miasteczka, opis sporządzony przed rokiem i odczytywany przezeń dziś z niejakim zdziwieniem, pejzaże bowiem nigdy nie były jego mocną stroną, nie miał wrażliwości wzrokowej i nie bardzo zapamiętywał co i jak widzi — nie martwił się tym zresztą, pamiętając pogląd krytyka R..., że opisy przyrody czy w ogóle jakiegokolwiek tła to w utworze literackim zbędna wata, wynik przestarzałej manieri i to manieri nietyle literackiej, co duchowej. Człowiek nowoczesny pragnie doskonalszych metod introspekcji, nie zaś bezmyślnie cyzelatorskich obrazów tła — dzieło ludzkie winno się wyzbyć zewnętrznych, opisowych balastów, szukać natomiast ludzkiej wewnętrznej ambiwalencji, swoistości czy zgoła wielości, nowego ustawienia siebie na tle siebie, nowej geologii duszy, nowej analizy własnego wnętrza. Tak mówił krytyk R..., Roman zaś gorąco mu przytakiwał, zwłaszcza, że działał się to w okupacyjnej Kuchni Autorów, kiedy postulat lekceważenia zewnętrznego tła przestawał być tylko wskazaniem warsztatowym, dotyczącym techniki literackiej, a stawał się sformułowaniem heroicznym choć i zarazem higienicznym: higiena izolowania się od otaczającego absurdu bezmyślniej choć precyzyjnie zorganizowanej zbrodni przez całkowite jej ignorowanie wymagała niezwykłej samoświadomości, popartej siłą woli, opanowaniem

— aby, nie sprzeciwiając się czynnie złu, nie przyjmować go do wiadomości, trzeba było niejednokrotnie zachowywać się po bohatersku — bohaterstwo wewnętrzne, nie gest bohaterski, to rzecz najtrudniejsza, bo dokonywana bez świadków, podczas gdy świadkowie udzielają nam mimowolnego choćby oparcia. Takim bohaterem bywał w czasach wojny i okupacji (*okupacja to nieustanna wojna, toczona w dzień i w nocy z cywilami*) krytyk R..., gdy wśród ulicznego popłochu, wywołanego przez ponurych psychopatów w niebieskich mundurach, stąpał zamyślony, niespiesznym kroczkiem, tuląc pod jedną pachą Etykę Spinozy czy Dramaty Hebbła a pod drugą menażkę z ochłapami wyziębłego zarcia. Raz, złudzony jego długą brodą, wówczas symbolem semityzmu, przechodzący, wysmukły oficer niemiecki rzucił mu w twarz straszliwe słowo: *Jude!* — *Besehen sie mich* — odparł obojętnie filozof, a Niemiec, spojrzawszy mu ukradkiem w oczy, znikł z pola widzenia. Krytyk R... nie przywiązał najmniejszej wagi do tego incydentu, choć przecież otarł się był o śmierć, samo posądzenie o żydostwo wystarczyło, sprawdzanie nie było konieczne, bo pomyłka nie miała tu najmniejszego znaczenia. Krytyk R... nie uznawał czynnego bohaterstwa, ale nie znał też uczucia strachu, bo poza pracą duchową wszystko inne było dlań obojętne i w ogóle mało realne. Nie uznając bohaterstwa bywał bohaterem najczystszym, bo nie potrzebującym świadków ani dowodów. Roman, choć niby jego uczeń, nie potrafił wtedy za nim podążyć, musiał poszukać samopotwierdzenia w walce — ale to już całkiem inna historia.

Więc w sprawie potępienia literackich opisów przyrody czy w ogóle jakichkolwiek pejzaży był Roman całkowicie po stronie krytyka R..., toteż ze zdziwieniem odczytywał sobie obecnie ów opis mola i miasteczka C... którym miał rozpocząć książkę, nie wiadomo zresztą jaką: powieść, esej, traktat czy wyznanie. Opis ten, teraz, po roku, gdy nie było tu Bluzeczki ani niczego związanego z jej sprawą, objawił mu się nie tylko jako coś obcego i całkowicie nieudolnego, ale okazał się również zupełnie nieaktualny, po prostu nieprawdziwy. Jesiennie-zimowe C... tym razem wydało mu się od samego początku zszarzałe, wytarte, bez uroku. Ulotniła się swojskość, nigdzie nie było widać starych kresowych ludzi, za to przed wielkim hotelem czy na kamiennym deptaku królowała taniocza, owi szablonowi chuligani w dżinsach i z wiejskimi gębami, którzy miast powolnej, śpiewnej mowy posługiwali się jakimś urywanym, skrótowym szczekaniem — współczesny zastępczy język polski przedostawał się do życia wszystkimi porami od różnych stron: „nowomowa” atakowała na wiecach i akademiach, umowne, importowane czy żywcem tłu-

maczone pretensjonalne dziwactwo płynęło z niby katedr niby uniwersytetów, a ci tutaj zabijający czas młodzieńcy też odczuwali potrzebę nowego języka, jakiejś zbitki brutalnych, nie artykułowanych szczeknięć, przepojonych brudną pianą różnych miejskich gwar i niby dowcipnymi stereotypami używanymi przez homunculusów z nowego dziennikarstwa, plus polskie napisy z amerykańskich filmów: prymityw i skrót, mówcie najkrócej i jak najbardziej głupio — oto hasło. Gdzież tu jest Polska? A to Polska właśnie, to także Polska!

Samo miasto w nijaki, grudniowy dzień przybycia też było inne, sprzeczne z legendą, tandetne czyli szmaciane. Duże płyty brukowe na podążającym w górę deptaku okazały się niemal bezbarwne, w dodatku nie przylegały do siebie ściśle, między nimi, w szczelinach czerniała goła ziemia, po deszczu zaś — błoto. Zewsząd powypełzały na publiczny widok szerniałe, popochyłane w różne strony drewniane rudery, przesłaniając sobą kamienne, też zresztą zdrowo poszczerbione, mieszczańskie przepychy z epoki, kiedy to artyści uprawiali swe kamieniarskie rzemiosło dla określonych celów codziennego użytku, od bocznych zaś, stromych uliczek i alej wiało gniciem, butwieniem, niezdrową wilgocią — wszędzie zresztą leżały kupy zmarłych, jesiennych liści, mokrych teraz, zlepionych i tracących barwę — gdzieś im tam do suchego szelestu liści październikowych, do ich purpury, czerwieni i żyłkowanego, rzeźbionego złota. Neonów na głównej, stromej ulicy było za to więcej, nie kilka lecz kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, lecz gdzieś się ulotniła ich ciepła „chińskość”, świeciły teraz w brudnym mroku wczesnej zimy czy też opóźnionej jesieni całkiem zwyczajnie, jak w dziesiątkach miast na Ziemiach Odzyskanych.

Przybysz był więc zawiedziony, rozgoryczony, zmieszany, ze wzruszeniem ramion odczytujący sobie po parę razy ów nieudany, rozwlekły jak pedantyczne wyliczenie, panegiryczny opis mola i pejzażu. Czyż nic tu nie zostało, gdy nie było Bluzeczki i jej sprawy, czyż całe mniemane piękno życia w C... było imaginacyjną fikcją, budowlą ramową, napowietrzną a niewidzialną, produktem pracy wyobraźni, konstrukcją z wrażeniowych hipotez, niewątpliwie istniejącą w sferze niedocieczonych, energetycznych procesów, których terenem jest ludzka psychika, ale bez żadnego punktu odniesienia w konkretnym, widzialnym świecie? Tak by można sądzić, jednakże pewna rzecz nie zawiodła Romana: było nią morze. Pierwszego dnia po jego przyjeździe i ono zdawało się wątpliwe. Nie mogąc zasnąć, zmaltretowany doznany zawodem, Roman długo słyszał jakiś stały dźwięk, jakby dudnienie ciężkich wozów i bryczek na dalekich szosach. Później myślał, że

to gdzieś w domu nie zakręcono kurka i że woda szumi w ruroch. Dopiero, wychyliwszy dobrze już po północy głowę przez okienko, zrozumiał po prostu i niespodziewanie, że to w sposób tak prozaiczny buczało właśnie — morze. Przeląkł się aż tego swojego świętokradztwa, tymczasem morze, po dwóch dniach, gdy termometr skoczył w górę, zaś na niebie ukazało się i zawisło osobliwe teraz, bladożółte słońce, morze niedocenione i zapomniane, odpłaciło mu się szlachetnie. Przed olśnionymi oczyma objawiła się znowu kolistą, bezmierną przestrzeń pomarszczonego błękitu — to znaczy błękitna była treść fal, bo obramowanie owych zmarszczek ciemniejsze — zaś przy brzegu, płasząc, mieniły się na wodzie białe plamy romby i kwadraty słonecznego blasku. Nie można w żaden sposób nasycić się tym wszystkim od razu, gdyż bogactw koloru i ruchu jest nagle niewiarogodnie dużo, a jeszcze wliczyć przecież należy wzlatające chmary mew, potrafiących zresztą utrzymywać się w powietrzu przez dłuższą chwilę niemal nieruchomo, jak zawieszono; na horyzoncie, również bez ruchu bieleły widmowe, spiętrzone niby rusztowania sylwetki okrętów, oczekujących z zapuszczoną kotwicą nieraz po parę dni na wejście do sąsiedniego wielkiego portu, gdzie kolejno wprowadzać je będzie energiczny, zwinny holownik, ruchliwy morski karaluch. Kadłuby okrętów od dołu niebieskoszare, kajuty i maszty jaskrawo białą się w słońcu. Innego znów rodzaju białości dostarczają nagle nieocenione mewy: oto zbitymi, symetrycznymi nawet szeregami siedzą bez ruchu na brudnawej plaży, zimna biel na tle ciepłej żółtawości obok czerwoną, dużą dachówką krytych geometrycznie trójkątnych ale i po trochu tyrolskich plażowych budyneczków. Wszystko jak polotne złudzenie, jak sen — jeśli ktoś miewa kolorowe sny.

Owe nieprawdopodobne bogactwa są tego dnia nie do wchłonięcia na poczekaniu, trzeba by je rozłożyć w czasie, a to znowu rzecz niemożliwa, bo wszystko jest teraz zmienne, niemal w każdej sekundzie, zaś już na drugi, grudniowy przecież dzień, gdy niebo zasnuje się chmurami, morze okaże się ciemnoołowiane, u brzegów tylko podszyte srebrem, pianistym, rzeźbionym srebrem (ciągły ruch, gdy zmrużyć oczy, zastygał w osobliwym, przez moment trwającym bezruchu), okręty zaś okażą się czarne, z równie czarnymi, sterczącymi na tle nieba patykami masztów. Właśnie w taki nasępiony grudniowy dzień Roman brnie przez błotnistą, ciągnącą się wzdłuż plaży aleję, grzęznąć wśród kup umarłych liści — idzie tędy i nie wie, który pejzaż jest prawdziwy, czy ten wczorajszy, błękitnożłoty, czy dzisiejszy, czarnosrebrny, a także jak wygląda C... oraz czym ono właściwie jest: zbiorowiskiem kamiennych pałaców, rzeźb i sztukaterii czy też płataniną

parowów, gdzie gnieźdzą się drewniane, nadgniłe wille, oficyny, werandy a także błotniste, żywopłotami ujęte ogrody. Właściwie C... jest i takie i inne, jest rozpięte w czasie i przestrzeni, w stanie istnienia, bycia lecz także w stanie stawania się i w stanie zanikania, niszczenia, jest różnorodne, podobnie jak morze lecz jednocześnie tak jak ono niezmiennie, jest więc nietyle sobą co ideą siebie, nietyle jednoznacznym pejzażem miasta C... co wielokształtną, wielopostaciową formą pejzażu C... Filozofowie, roztrząsający sprawy bytu i poznania, mieliby na ten temat wiele do powiedzenia, skoro jednak sprawa wyglądała w sposób tak złożony, skoro pejzaż zimowy przemieniał się Romanowi w oczach i w myśli na jesienny, na wiosenny, na letni, skoro walające się w błotnistej alei zmięte, poczerniałe, zmarłe liście nakładały się w jego wyobraźni na jesienne, purporowozłote, żyłkowane, a także na letnie, szumiące ciemnozielonym, ruchomym murem i na jasnozielone wiosenne, skoro nie pamiętał właściwie, kiedy tu był ostatnio i kiedy tu był z Bluzeczką, oraz jak tu wtedy wyglądało, bo przecież był tu na przestrzeni lat we wszystkich porach roku i pamiętał, miał w sobie, wszystkie tutejsze wyglądy naraz, skoro więc nie istniało C... jesienne lub wiosenne, lecz istniała idea C..., synteza C... wielorakiego i wielopostaciowego, to nasuwało się pytanie, jakie ta synteza, ta kondensacja tła ma znaczenie dla dzieła Romana, dla jego osobistej syntezy, jego wyznań tudzież wzruszenia ramion, do czego mu jest potrzebna i dlaczego zaczął swą nieistniejącą książkę od opisów tak drobiazgowych, choć wcale nie chwytających niezmiennej w zmienności istoty pejzażu w C...? Może powodowała nim wyprzedzająca to co nastąpi tęsknota do świata materialnego, świata, z którym będzie się musiał rozstać, a w każdym razie porzucić taki właśnie, żywym ludziom właściwy sposób oglądania go, kontaktowania się z nim, sposób choć wprawdzie w miarę upływu lat modyfikowany przez rozluźnienie praw jednorazowości oraz kolejności czasowej, lub też podważenie jednoznaczności zjawisk fizycznych, to z drugiej strony ugruntowany pod koniec przez takie intensywne, stęsknione (już z góry stęsknione) widzenie, które nawet z Romana, obojętnego i nie wrażliwego na wzrokowe uczytę człeka uczyniło niespodzianie jakiegoś chłonącego namiętnie zewnątrzność zmysłowca? A może to jednak historia Bluzeczki, historia, która na nowo, chyba po raz ostatni w życiu, związała go ze sprawami elementarnymi, uchwytnymi zmysłowo, zakorzenionymi w materialnym bycie? Tu jednak znowu wyłaniał się ten sam szkopuł, że przecież w C... podobało mu się jeszcze przedtem, zanim zaczęła się rzecz z Bluzeczką. Ale czy tak było na pewno, a jeśli nawet, to czy następstwo w czasie ma tu jakiegokolwiek znaczenie i czy można

to w ogóle stwierdzić, cofając się mozolnie myślami w minioną poprzedniość, skoro nie mógł sobie przecież przypomnieć, ile razy i kiedy był w C..., oraz z jakiego pobytu jakie wyniósł wrażenia? Przeszłość wszakże też nie jest niezmienna: będąc naszym osobistym wyobrażeniem zmienia się ona wraz z nami, bo nosimy ją stale ze sobą i w sobie.

Na tle tych myśli Roman wspomniał nagle słynnego tatarnika, inżyniera Ch... ze Śląska. Tatry, ze swym osobliwym, nie typowym ludem, ciężko i mozolnie przed laty żyjącym (bo dziś nieźle im się wiodło), ludem pełnym niezwyklej skłonności do arcyzmu, były niegdyś swego rodzaju azylem dla polskiej inteligencji czy też jej bardziej cygańskich grup: śnieżne szczyty, ostre, podniecające powietrze i zdolny, malowniczy lud, to przecież efektowne, przy tym raczej łatwe, łatwo się w tym spalać. Ale inżynier Ch..., który poświęcił Tatrom życie, bynajmniej sobie sprawy nie ułatwiał: był pionierem taternictwa wspinaczkowego, zdobył wszelkie możliwe ściany, turnie, granie, perci, dziełem zaś jego życia stał się kilkutomowy podręcznik taternictwa, podręcznik co niejednego spośród mniej świadomych doprowadził do nagłej górskiej śmierci, jako że drogi określane w nim jako „łatwe” były dla normalnego łazika zgoła karkołomne, a już kategorie „bardzo trudne” czy „nadzwyczaj trudne” oznaczały wspinaczkę iście ekwilibrystyczną po ścianach przechylonych do przodu zwanych przewieszką, po śliskich podniebnych płytach, z przeskakiwaniem głębokich szczelin i przylepianiem się do kruchych turniczek nad wiele setek metrów spadającą, najeżoną ostrymi głazami przepaścią, gdzie ani lina ani haki czy czekany nic pomóc nie mogły — chyba tylko Pan Bóczek z nieba, jak mawiali górale. Podręcznika tego po wojnie, gdy Tatry stały się miejscem zbiorowych pielgrzymek, już nie wydano, zapewne aby nie mnożyć przypadków górskiej śmierci, pięknej w swoim rodzaju i nawet zaszczytnej, ale nie przez wszystkich z utęsknieniem wyglądaną. Jeden inżynier Ch... nie miałby zapewne nic przeciw niej, spotkała ona zresztą wielu jego przyjaciół, między innymi współautora podręcznika, tylko inżynier ciągle żył, co roku przyjeżdżając z Katowic w Tatry. Jeszcze mając siedemdziesiąt cztery lata (a dożył do dziewięćdziesięciu dwóch) wszedł na Zamarłą Turnię południową ścianą — droga ta, niegdyś uważana za szalenie trudną, wręcz niemożliwą, dziś robiona była dość często. Roman widział go w Zakopanem, gdy emerytowany inżynier dochodził do dziewięćdziesiątki i w góry dawno już się nie wybierał. Suchy i niemy, milczący zawsze staruszek, tkwił w południowym słońcu na ulicy Kościuszki, przyklejony do ławki i wyblakłymi, niebieskimi oczyma wpatrzony w łańcuch Tatr, rysujący się na tle

wrześniowego nieba ostrym, precyzyjnym stalowoniebieskim konturem, jakby na pocztówce czy haftowanej makatce z przysłowio-
wym jeleniem. Inżynier Ch... jeszcze żył, ale już miał za sobą
swoją niespełnioną górską śmierć, nie mógł więcej chodzić, mógł
tylko patrzeć. Patrzył w dwójnasób, w trójnasób, chłonąc wzro-
kiem to czym żył, a czego już niezadługo nie miał widzieć. Odcho-
dzący tęskni do konkretności, do rzekomego konkretności, bo obraz wi-
dziany przez określonego człowieka jest wszakże niepowtarzalny,
związany bez reszty z tym człowiekiem i jego doraźnym systemem
psychicznym tudzież fizycznym (to w końcu jedno i to samo),
związany z jego kruchą strukturą, z pewnym układem elementów,
który w identycznej postaci nie wróci już nigdy, przez całą wiecz-
ność (*skoro Einstein twierdził, że wszechświat jest czymś zam-
kniętym, to czemuż by i wieczność nie mogła być zakończona*).
Odchodzący inżynier patrzył więc z owej zakopiańskiej ławki na
coś, czego już nigdy nikt nie zobaczy, patrzył, oświetlając sobie
ten widok przygasającą lampą wrażliwego postrzegania, która,
jak to zwykle przy przygasaniu lamp naftowych, oliwnych lub
nawet karbidowych bywa, potrafiła rozjarzyć się nagle snopem
jaskrawych iskier, oświetlając obraz po raz ostatni, ale za to
jakoż mocno i dokładnie. I tutaj Roman przeczuwał jakąś analogię
— czyżby jego nagle intensywne, zwielokrotnione widzenie nie-
dostrzeganego zazwyczaj tła, owych czasowo i przestrzennie po-
głębianych, ustawionych w wielowymiarowej perspektywie uro-
ków i kolorów C..., prześwieconych refleksami dzieciństwa i mło-
dości, zaklętej w śpiewnej, zapomnianej kresowej polszczyźnie
starszych mieszkańców dziwnego miasteczka, czyżby to wszystko,
w zestawieniu z obsesyjnym zapamiętaniem się sprawą Białej
Bluzeczki miało już być przejawem owej kurczowej, zawczasu
przychodzącej tęsknoty do widzialnego świata, od którego się
odchodzi? Kto wybiera się do ziemi, ten coraz bardziej kocha
ziemię z tym co się na niej znajduje, choćby z plażą w C... czy
z rozległym warszawskim Placem Defilad. Roman nie był jeszcze
stary, ale widocznie należało się już spieszyć, a przy tym prze-
myśleć sprawę, jak właściwie zachowuje się to nagle zwielokrot-
nione, zagęszczone tło w stosunku do jego zamysłu twórczo-reha-
bilitacyjnego, do dzieła. Już oto na początku tło owe wskoczyło
mu, jakoś poza świadomością, na pierwszy plan, narzucając się
nie wiedzieć czemu swymi nieistotnymi przecież zmysłowymi
szczegółami. Roman jechał kiedyś pociągami z dwoma starymi
księżmi i mimowoli słuchał ich rozmowy. Uderzyło go, że roz-
mawiali tylko o materialnych właściwościach i pochodnych prze-
pływającego za oknem krajobrazu: o zbożu, żniwach, urodzajach,
nawadnianiu i budowie dróg. Tak, starość delektuje się smako-

wicie tym, z czym jest krucho i nietrwale związana, od czego ma niezadługo odejść. Lecz tu właśnie rysowało się niebezpieczeństwo, subiektywne niebezpieczeństwo dla zamysłu Romana, dla jego książki: chciał przecież wzruszyć ramionami nad obłądnością wydarzeń, rozgrywających się w tej części świata, nie zaś nad żalonym dziwactwem starości, darzącej spóźnionym afektem konkret, z którego musi zrezygnować. Uwaga, czyżby zamysł zmienił mu się nieznacznie, mimowiednie, a może w samym zamysle tkwiła już starość, wszakże młodość żadnej dziwaczności nie dotrzyma, to co się dzieje uważa za normę — inaczej przecież by się nie działo: uporczywe istnienie czegoś jest świadectwem jego normalności, jakież by mogło tu być inne, nie złudne świadectwo? Uwaga, mogą go oskarżyć, że nie rozumie świata, bo jest już stary i to by była porażka, klęska. Porażki takiej uniknął Poeta spod Moskwy, musi jej uniknąć i on. Musi wykazać, choćby na przekór wszystkim, że w tej części kuli ziemskiej, niezależnie od czyjejś młodości czy starości, dzieją się teraz rzeczy nienormalne, tak jak nienormalny był biblijny Potop, zaraza morowa, Wojna Trzydziestoletnia, inkwizycja czy hitleryzm. Przypomniał sobie gdzieś widziany rysunkowy dowcip, zatytułowany: „W czasie Wojny Trzydziestoletniej”. Rycerz w kolczudze mówi do dziewczycy: — Możemy się pobrać, dostałem pięcioletni urlop. Otóż nie: nie będzie urlopu, bo NIE MA TUTAJ NORMALNYCH ZAJĘĆ!

I znów wracał do sprawy owego nagłego zasmakowania w zmysłowych lub raczej optycznych (po trochu też, jeżeli liczyć wiatr, dotykowych) urokach świata, nagłego przywiązania do konkretnego. A może wiązało się to z nabytą przez lata nieufnością wobec słowa, po prostu z niewiarą w słowo, które kiedyś było przecież jego bóstwem. Stary człowiek, w milczeniu kontemplujący krajobrazy i skąpo wydzielający mrukiwe urywki zdań, wie już, po latach doświadczeń, że słowo jest bezradne wobec złożoności świata, że jest wobec rzeczywistości czymś odrębnym, autonomicznym, linią wchrowatą, nie przecinającą się z zewnętrznym konkretem, lecz podążającą mimo niego, własną drogą, stąd bezcelowość rozmów o rzeczy tak wielopoziomowej i nieuchwytniej słowami jak na przykład pejzaż. O tej autonomiczności słowa wiedzą doskonale komunistyczni mistrzowie propagandy (*komunizm składa się z dwóch części: z kulawej zazwyczaj rzeczywistości i z genialnej na swój sposób, choć prymitywnej w założeniu propagandy*), toteż wyzyskują ją, tworząc całkowicie oderwane od bytu syntetyczne zestawy słów, mogące jednak ów byt kształtować, stawać się motorem wydarzeń, gdyż aplikowane dobitnie i w dużych ilościach oddziałują na ludzi, którzy nie doszli jeszcze do

zrozumienia, że słowa i ich chemiczne niejako związki mogą być czymś zupełnie odrębnym od wszelkich rzeczy, samoistnym bytem, całkowicie niezależnym, swobodnym wobec postrzeganego powszechnie obrazu świata, nie mówiąc już o istocie tego świata, skomplikowanej, nieuchwytej, rozpiętej na czasowo przestrzennych przesłach między nieskończoną mnogością indywidualnych wrażeń i punktów widzenia. Ciekawe, że to właśnie dialektycy, czyli ludzie uznający wewnętrzną sprzeczność rzeczy oraz jej przemienność w uzależnieniu od okoliczności, miejsca, czasu, zdecydowali się na myślowe unieruchomienie spraw i pojęć, tworząc ich statyczne symbole, w które zresztą sami się częstokroć wkiłali, symbole te bowiem zaczynały od pewnego punktu własne życie, fikcyjne ale dotkliwe. Robili to jednak dla konkretnych i praktycznych celów, tak na przykład, wybuchające co pewien czas w partii walki o władzę między tajnymi dla społeczeństwa a tymczasem nader konkretnymi i konkretnie się nienawidzącymi grupami, musiały przecież okryć czymś swą nieprzyzwoitą ideową nagość i właśnie robiły to z pomocą owych symboli zastępczych, którymi publicznie walili się po głowach partnerzy przy niewielkim zrozumieniu ze strony społeczeństwa bezpartyjnego, lekkim zaś pojmowaniu czy przeczuwaniu istoty sprawy przez bliższą ołtarzowi partyjną kadrę. Kiedyś na przykład, grupa odchodzących w polityczny niebyt, niepotrzebnych już po odwaleniu czarnej roboty terrorystów dawnego typu (*opinia przepisowała im demoniczne cechy mafii Mędrców Syjonu*) oskarżona została przez swych konkurentów o propagowanie i konstruowanie socjalizmu technokratycznego, manadżerskiego, co w rezultacie prowadziło rzekomo do zwyrodnienia marksizmu w państwowy, nie kolektywny lecz zindywidualizowany kapitalizm, ci drudzy, odchodzący odgryzali się natomiast zarzucając swym pogromcom bezmyślne lewactwo, również zapierające się Marksa, który wszakże krążył myślą wśród konkretów, cyfr, statystyk, wyliczeń, obrazujących stosunek pracy do nadwartości i mówił często o socjalistycznych producentach. W istocie cała ta dysputa była tylko kamuflażem, pod którym kryły się animozje zgoła inne, zazwyczaj przeszłościowe, bo kadra rewolucjonistów żyła wciąż swą historią, o czym znowu nikt w społeczeństwie nie miał zielonego pojęcia, obserwując ze swej jaskini jedynie cienie poruszających się na zewnątrz sylwetek: ciekawe to a zawsze z nieomylną prawidłowością powracające zjawisko, że rewolucja, występująca w imieniu mas z reguły wytwarza swoją tajną wąską, indywidualistyczną elitę, która rozgrywa historyczne pokery wyłącznie między sobą, maskując rzecz pozorowanymi sprawami ideowymi. Konflikt między socjalizmem „manadżerskim”, preferującym spożycie jednostkowe, a socjalizmem

kolektywnym, awansującym ludzi zbiorowo, był w istocie czystą grą symboli, czego domyślało się społeczeństwo (*bo nic z tego nie rozumiało, więc przypisywało sprawie rolę wymiany zaklęć i amuletów*), o czym natomiast nie wiedzieli uniwersytecko partyjni scholastyczni mędrkowie, toczący nieraz tę dyskusję jak najpoważniej, w poczuciu historycznego znaczenia momentu i swej roli. Oczywiście dysputa ta nie miała nic wspólnego z produkcyjną rzeczywistością, która kulą i borykała się po swoim, ożywiona najwyżej tu i ówdzie heroicznie rozpaczliwymi wysiłkami idealistów, prowincjonalnych pionierów, co próbowali tchnąć w sprawy świata tego socjalistycznego odrobinę chociaż praktycznego sensu. Usiłowania te zresztą dokonywane były przy zupełnej obojętności i ignorancji owych toczących swą pozorowaną walkę symbolistów oraz stojących za nimi pretendentów do władzy — tymczasem zaś kapitalizm produkował sto razy więcej i dziesięć razy taniej: pewien urzędnik handlu zagranicznego opowiadał Romanowi, jak to gdzieś pod Bostonem na olbrzymim placu stały przeznaczone na złom dziesiątki tysięcy samochodów, tyle, ile Polska produkowała rocznie, które miały jedną jedyną wadę: NIEMODNY KSZTAŁT. Dziwactwo czyste dziwactwo!

Polska przedwojenna też była dziwaczna choć swojska — tej swojskości zresztą nie dostrzegała Biała Bluzeczka, dla niej swojska jest terażniejszość a w przeszłości widziała właśnie tylko niepojęte dziwactwo. Był to więc wówczas niezbyt wielki a potężnie osobliwy kraj ni z pierza ni z mięsa, ze swą anachroniczną, ziemiańsko-wiejską strukturą, z brakiem rdzennej tradycji mieszczańskiej i przemysłowej, usiany od środka i po bokach mniejszościami (*Polska jest jak obwarzynek — powiedział Piłsudski — dobre to co z brzegu, a w środku dziura*). Bywała ta Polska biedna i śmieszna, ale bywała też marzeniem. Ojciec Romana trwał w nieustającej ekstazie, że żyje oto w Polsce prawdziwej, niepodległej, syn wskazywał mu czasem przekornie, że nie bardzo jest z czego się cieszyć i być dumnym — co tu właściwie kochać, gdzie jest ta Polska? Okupacja wreszcie pogodziła wszystkich: Polska się zawaliła, runęły na nią, jak zawsze, nawały z różnych stron, z Zachodu i ze Wschodu, teraz już naprawdę nie wiadomo było gdzie jest Polska („ani jej widzieć wieczorem ni z rana — bo rozebrana...”), może po prostu zostało z niej owo symboliczne serce, które dla Romana biło podczas wojny w żalostnej lecz ciepłej, jak zagubiony w ciemnościach na wicherze i mrozie płomyczek — Kuchni Autorów. Po wojnie został tu teren niczyj, dowolnie przesuwany ze Wschodu na Zachód, znaczone wędrowną Ludów, transportami przesiedlonych, natłoczonymi dworcami,

patrolami sowieckimi, strzałami po nocach i płaczem kobiet. Niemcy przygotowali teren: wyrznęli Żydów, zniszczyli przemysł, koleje, tabor, stolicę, zubożyli ziemian już i przedtem w większości dziadowskich, zdziesiątkowali inteligencję, ale za to nie wiedząc o tym wcale, wzbudzili WIELKI NARODOWY APETYT. Kto miał z niego korzystać, kto miał budować na pustyni, odtworzyć stolicę, zakreślić nową władzę? Ano, wobec zwycięstwa Rosji i indolencji Zachodu, musieli to robić komuniści, Roman zrozumiał rzecz od razu i po cichu, wbrew przyjaciom z konspiracji, wbrew dziejącym się absurdom i szaleństwom, stawił na tamtych, życzył im sukcesu: może to oni wykorzystają ów narodowy Wielki Apetyt, może uda im się to, co się nie udało w mrocznie zatraconej Rosji, może jakimś cudem stworzą polskość nową, jednolitą, rzeczową, praktyczną, przemysłową, morską? Przyszła na nich kolej, to nie ulegało wątpliwości, wbrew nawet wszelkim oczekiwaniom — trzeba było się z tym zgodzić. Przez lata Roman przyznawał im narzuconą przez trzęsienie ziemi taryfę ulgową: wybaczył im, że wystraszyli chłopą widmem kołchozu, że zniszczyli rzemiosło i handel; że dorznęli z tryumfem ale na szczęście nie dosłownie resztkę ziemian (*musieli, dla honoru domu: rewolucji koniecznie potrzeba jakichś swoich pokazowych burżujów-krwiopijców*), że wypłaszali autochtonów, nawet że dopuścili do dewastacji i zniszczenia nowoobjętych miast i miasteczek, gdy nie było ich komu remontować i doglądać, po prostu nikt nie miał prawa, bo ideowcy nasi w nierozumnym porwywie chcieli jednocześnie budować i wywłaszczać, rujnować posiadaczy i tworzyć proletariąt, tworzyć proletariąt i w tym samym momencie go zbawiać. Wszystko naraz się nie uda, polskość i komunizm w jednym worku to już stanowczo za dużo, tego zamętu nikt nie opanuje, nie uspokoi — krakali ludzie, ale przecież jakoś szkło, mimo zbrodni i komedii pomyłek — szło, a Polacy, nowi Polacy zdawali wszakże swój egzamin, przy tym było w nich jeszcze wówczas, na początku, dużo swojskości: trwali w sprzeciwie, ale pracowali z humorem, robili co mogli. Roman okazał się wtedy, ku zgorszeniu swych okupacyjnych przyjaciół, bardzo wyrozumiały dla rządzących: byli przecież komunistami, jak na komunistów robili co mogli, zresztą oni także (*przede wszystkim oni*) trzęśli się ze strachu przed Moskwą. Ciosem w samo serce stała się likwidacja PPS-u, gdy dwuznaczny, arcyzręczny powojenny jego przedstawiciel wybrał, wbrew własnym, wielokrotnym zapowiedziom, dobrowolne przejście do obozu komuny, gdzie zjawił się z dobrodziejstwem inwentarza: ze słowem socjalizmu i z łatwo odprzedaną patriotyczną a proletariacką tradycją. Wtedy to zaczęto już zmieniać historię wstecz

na całego, rosły teraz wszakże nowe pokolenia, które o niczym nie wiedziały. Rosja też w dużym stopniu ukrywała swą krwawą przeszłość, o carobójstwie wiele się tam nie mówiło, filozof Lenin nigdy się tym nie chwalił. Ale ukrywanie niedawnych przecież, mrocznych szczegółów narodzin polskiego wojennego komunizmu, maskowanie korzeni rośliny, która oto rosła w oczach — to była sztuka wręcz fantastyczna, zwłaszcza w zestawieniu z naiwnie patriarchalną, obłudną moralistyką, którą karmiono obecnie społeczeństwo. Tak jakby rodzice, co dorobili się na szantażach i prowadzeniu domu publicznego, ukrywali to przed dziećmi, ucząc je w zamian pruderyjnej moralności seksualnej. Lecz i z tego długo ich Roman rozgrzeszał — no bo co właściwie innego mogli robić?

Po latach jednak okazało się, że nic w podobnego rodzaju sprawach, mimo przełomów październikowych, odwilży, gestów, etapów, czystek i przeróżnych innych czarów, nie ma zamiaru się zmienić — chyba na gorsze. Rosnące samochwalstwo rządzących i rosnąca ich władza nad słowem były ostatnim ostrzeżeniem: żarło ich jakieś wewnętrzne zneurastenizowanie, kto się tak nieustannie chwali, ten nie jest pewny siebie, trawił ich dziwny obłęd i przesadna miłość do władzy, za bardzo ją już kochali, w dodatku nadmiernie umocnił ich w lekceważącym czarodziejstwie fakt, że otaczali ich teraz nowi ludzie, młodzież, ta zaś pojęcia nie miała, skąd się to wszystko wzięło i jak się zaczęło, nie musieli się już tej młodzieży wstydzić, ani przed nią tłumaczyć, rządili długo, bardzo długo, za długo, dostatecznie długo i teraz już ich pozorowane kiedyś, w niepewności wyczytane czary i zaklęcia stały się łatwe, arcyskuteczne, jeśli więc głosić wszystkim wszechsłyszalnymi swymi trąbami przekazu, że oto nie ma już marzeń, nie potrzeba marzeń, skoro stoi Polska szklanych domów. A tu stała Polska rzeczywiście nowa i na nowy sposób — zacofana, bo świat nie czekał, świat nagle poskoczył naprzód, stała Polska ciężkich, olbrzymich jak zamczyska cielsk fabrycznych, budowanych latami, za to już w chwili poczęcia przestarzałych, bo wzorem rewolucyjnej Rosji (*znów transplantacja mitów i legend*) zaczęto tworzyć wszystkie rodzaje fundamentalnego przemysłu naraz — aby zrealizować po latach starą myśl Lenina o uniezależnieniu się od „kapitalistycznego okrążenia”, tyle że myśl powziętą w innym czasie, miejscu, epoce — cóż za dziwactwo tkwi w przenoszeniu takich myśli ponad dziesiątkami lat! Ciężkie, w mozole budowane giganty, masywne cielska fabryczne zaciągają na kierunku wszystkiego w tej części świata, stworzą specjalny proletariat, zgodny z tutejszą ideą dziejów, tyle, że na świecie są już idee inne — i doświadczenia inne.

Roman przypomniał sobie swoją pierwszą po wojnie wizytę w NRF: uderzyły go wszędzie jakieś płaskie, lekkie, ni to szklarne ni to pawilony, parterowe, niepozorne, skromne. Co to takiego? Ano, to właśnie nowe fabryki, buduje się je błyskawicznie, na prywatne ryzyko, można zaś nimi podbić świat, przestawiając produkcję z dnia na dzień, na każdy sygnalizowany powiew międzynarodowej światowej koniunktury. A ciężki przemysł w słynnej Ruhrze? Zamyka się kopalnie i huty, pozostawia opuszczone, milczące sztolnie, płaci za niewydobyty węgiel, za bezrobocie, ludzi kieruje się gdzie indziej: nie te czasy, nie ta produkcja, nie ten proletariatus. I oto znów Niemiaszkowie okazują się lotni, chcą działać nie siłą lecz sposobem, chcą przeskoczyć etap, fazę, zlekceważyć opór ciężenia, pokonawszy je nagłym zrywem koncepcji, błyskiem, spięciem pomysłu, tak jak kiedyś chcieli wygrać wojnę błyskawicznie i nie szablonowo, puściwszy w ruch armię szoferów, mechaników, która w parę dni zajmie stolicę wroga. Dojdzie do tego, że świat ujęty ich pilnością, chęcią i zdolnością wybaczy Niemcom ich winy, ich wojowniczość, zaborczość, pychę, ich zbrodnie nawet. Nie wybaczy im tylko komory gazowej, ścierającej z powierzchni ziemi całe ludzkie szczepy jak robactwo czy nawóz: nie wybaczy im tego, bo to już nie jest zbrodnia, to beznamiętna próba zmienienia ludzkiej kondycji, ludzkiego statusu, próba wyjścia człowieka poza samego siebie, przyznania sobie praw Stwórcy — praw do stwarzania, więc i do unicestwiania, unicestwiania pozamoralnego, gdy nie gra roli człowiek, cierpienie, dobro czy zło a tylko jedynie sam przyrodniczy niejako zamysł i jego technika. Tego wybaczyć nie można, to można tylko zapomnieć, unicestwić, wytrzeć z historii — dlatego Roman gorszył się poniekąd procesem Eichmana, likwidatora zza biurka, któremu w szklanej, kulo odpornej klatce kazano prezentować się przed braćmi i siostrami jego anonimowych ofiar. To było wbrew prawu życia — o zagładzie trzeba zapomnieć, tak jak świat robił to już wielokrotnie, bo świat ludzki chce żyć, tymczasem zagłada jest wzięta z poza życia, wykracza z niego w sfery nieznanne, nieludzkie, inne, upiornie inne. Świat zresztą lubi i umie zapominać — wiedzą o tym dobrze wirtuozowscy znawcy krótkiej ludzkiej pamięci — komunistyczni czarodzieje. Tylko komu właściwie potrzebne są te ich czary: im samym przede wszystkim, ale że przy okazji zniszczyć mogą w ten sposób niejedno duchowe bogactwo — to pewne.

Roman za to nie umiał zapominać i także nie chciał — uważał pamiętanie za główną swoją funkcję. Tylko z utrwalaniem było gorzej, panoszył się kryzys słowa, słowa bezradnego wobec nie zanotowanych przez nikogo, wciąż się mnożących nawarstwień

świata, i wobec młodzieży z C... i wobec dziwnej, między pokoleniami utkwionej czy zawieszanej Bluzeczki. Może dlatego tak sobie nagle zaczął cenić ideę materialnego, zewnętrznego konkretnego, ideę wciąż się zmieniającego a niezmiennego mola i wybrzeża w C..., lub dziwnego, z różnych epok skomponowanego w swej różnolitej, choć pojęciowo już przecież jednej czworoboczności warszawskiego Placu Defilad. Ale to była chyba słabość, zmęczenie, bo zaraz wszakże na początku sobie ustalił, że między myślami i zjawiskami nie ma przedziału jakościowego. A jeśli tak, to sprawa tła i jego roli wyjaśni się zapewne w miarę dalszego pisania, jeśli ono nastąpi.

XI

Minęło już przecież dwadzieścia parę lat po wojnie: niby owe lata zbiegły jak chwilka, ale jednocześnie był to czas powikłany, podzielony na etapy, znaczone kolejną zmianą haseł i sloganów (*sloganiem w powojennej gwarze nazywano właśnie zespół paru słów, czyli zbitkę słowną, mającą na celu wtłoczenie w powszechną pamięć pewnego typu ujęć myślowych, aby wykluczyć wszelkie myślenie innego rodzaju, samodzielne i krytyczne — myśl wpływa na kształtowanie języka, ale i język ukształtować może myśli: w wypadku, gdy pewne pojęcia utracą, przez długie nieużywanie, swój odpowiednik słowny, trudno będzie je wskrzesić, tak, jak trudno jest niemowcom porozumieć się co do przedmiotu, którego nie można wskazać, który nie znajduje się w polu widzenia*), etapy te sygnalizowane były również zmianą przedziwnych, reklamowo politycznych transparentów czy przerabianiem nazw ulic i placów — kto pilnie rejestrował podobne zjawiska, ten wiele mógł się dowiedzieć, usłyszeć zawczasu co w trawie piszczy i zrozumieć, co tam się właściwie między komunistami dzieje. Najrozmaitsze więc i najosobliwsze były owe wszystkie transformacje, owe właśnie zmiany, odmiany, przemiany, zamiany, skoki z góry w dół i z lewa na prawo, tudzież odwrotnie, a wobec tego cały okres wydawał się zawilnością, hieroglifem, palimpsestem, geologicznym nawarstwieniem tak złożonym, że tylko jakiś wielki przenikliwiec i znawca mógłby odcyfrować sprawy przeszłe i ich powiązania. Mógłby, ale nikt tego nie robił, bo rzecz okazywała się za trudna i za obszerna do ujęcia w słowa, a nawet gdyby się ją zrealizowało, nie byłoby co z tymi wszystkimi słowami począć: ani wydrukować ich ani wygłosić nigdzie by się

nie dało, zresztą nikt by tego nie słuchał ani nie czytał, bo bezpieczniejszym na wszelki wypadek nie pamiętać o przeszłości. O przeszłości co prawda też nie myślano; pewien przyjaciel Romana ożenił się z Francuzką, której bardzo się w Polsce podobało, nie mogła tylko pojąć dwóch rzeczy: dlaczego nigdy nie było wiadomo, ile mąż na pierwszego przyniesie pensji, oraz jakie produkty będą jutro w sklepie, czyli, *eo ipso*, jakich nie będzie. — Dlatego — odpowiadał Roman wieczmie zdziwionej córce najbardziej racjonalistycznego narodu Europy — że żyjemy tutaj w kraju planowania. Istotnie tak było, tyle że planowała tajemnicza góra, sztab niewiadomy a przypadkowy, dół zaś dowiadywał się o wszystkim empirycznie, po fakcie. Toteż nikt tu nie myślał o przyszłości, choć zaoszczędzone pieniądze składano do banku: składano, bo nie było akurat nic atrakcyjnego do kupienia, czekało się więc okazji, kiedy to irracjonalne a wszechmogące siły rzucą nagle na rynek jakiś nowy „asortyment masy towarowej” (*ten przemyślnie skomplikowany żargon, używany dla określenia rzeczy prostych, nikogo tu nie dziwił: to należało do rytuału, to czyniło życie ważniejszym*). Widok w przód, w przyszłość był ograniczony, jak horyzont morski widziany z niskiego brzegu plaży, marzenia ludzkie także ograniczone, ich limit, plus nieskończoność stanowiło co najwyżej własne auto, ewentualnie domek z ogródkiem lub wycieczka zagraniczna. Nikt natomiast nie marzył o karierze zawodowej, o stanowisku sekretarza, dyrektora, ministra: to już jest czysta loteria, zagadka, tajemnica, człowiek pozostaje wszakże pionkiem w nieznanym mu grze, śrubką w niewiadomej maszynie, poruszać się naprzód i w tył należy kolektywnie, trzymając się przy tym środka, natomiast zbyt ambitna jednostka często doświadczała na sobie działania biblijnych iście zasad: kto się wywyższa będzie poniżony, ostatni będą pierwszymi a pierwsi ostatnimi. Marksizm zbliżony jest do chrześcijaństwa tym, że staje po stronie słabych i wydziedziczonych — aby zaś skutecznie i na zawsze zlikwidować wszelki wyzysk, dla pewności z punktu wydziedzicza wszystkich i powtarza ten akt co pewien czas, gdy tylko podejrzewa, że ktoś się dorobił i jest z siebie nadmiernie zadowolony (*w Polsce na razie wyłączono z tego procederu chłopów, bo Polacy jak wiadomo bardzo nie lubią głodu, a komunizm chciał tu sobie ludzi jakoś skaptować*). Tak więc, w istocie, panował porządek ewangeliczny i tylko biedna ateistyczna Francuzka, zagubiona na Wschodzie odprysk dalekiego wolterianizmu dziwiła się i dziwiła. W końcu jednak ona również wyzbyła się swych przyziemnych, mieszczańskich przyzwyczajeń, zaczęła żyć z dnia na dzień, popijała i grywała w brydża, mężowskie zaś apanaże wydawała do piętnastego dnia każdego

miesiąca. — No i dobrze, no i na zdrowie — jak powiedział pewien ceniony poeta komunista, tyle, że on myślał o życiu ciężkim, nie o lekkim. Ale nic to: każde słowa można zastosować do każdej okoliczności, przykładem słowa pana Karola Marksa i ich najrozmaitsze osobliwe przygody w różnych krajach. Sowidrzalskie figliki historii przekornie ugodziły więc tym razem w zapobiegliwą córę Francji, Roman, znający obie strony świata, podśmiewał się z tego w duchu, choć na zewnątrz zachowywał powagę: długo trzeba się maskować przed historią, aby móc wreszcie skutecznie wrzucić na nią ramionami, w myśl zasady ze starej polskiej bajeczki dla grzecznych dzieci: „... z tego morał w tym sposobie: jak ty komu, tak on tobie...”.

Napiętrzyć w ciągu zaledwie dwudziestu lat tyle komplikacji, dziwactw i paradoksów to, zaiste, wielka sztuka — tylko „absolutystyczne rządy filozofów” mogą jej sprostać. Roman czuł, że już nad tym okresem nie panuje: pomieszało mu się wszystko w czasie, w kolejności, przetasowały się i pomyliły we wspomnieniach poszczególne fazy, przeplecione wzajemnie okresy nieufności i nadziei, trwogi i otuchy. Lata przedwojenne pamiętał uporządkowane i klarowne, okupację czuł jeszcze w sobie każdym zmysłem, jak czuje się gwałtowną fizyczną katastrofę, natomiast wszystko, co było po wojnie, kotłowało mu się po głowie, osobliwa mnogość zaskakujących fragmentów, przesypanych w kółko i zwielokrotnionych odbiciami w lustrach, niczym różnokolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Nie wiadomo kiedy życie z rzeźwego, jasnego poranka przeszło w obłądny, pełen halucynacji wieczór. Podobno zawsze tak się ta rzecz w miarę ludzkiego starzenia odbywa i nie jest to wcale, powtarzał sobie Roman, żadna strata, lecz przeciwnie: osiągnięcie pełniejszego sposobu widzenia, oglądu rzeczy z wielu punktów w przestrzeni i czasie naraz, zastępujące naiwne postrzeganie młodzieńcze, kiedy to przypuszczamy, że ranek to tylko ranek a pies to tylko pies. Teraz widział cały okres powojenny jakby na wrywki, uwolniony z praw kolejności i przyczynowości, z szablonów trwania w czasie i przemijania, tak jak ową dziewczynę z obrazu Picassa, co, choć oglądana z profilu, ma przecież dwoje oczu: jedno, które widzimy, z naszej strony i drugie, o którym wiemy, iż znajduje się ze strony przeciwnej. Ta nasza wiedza zmieniona została przez artystę w widzenie: pojęcie stało się postrzeganiem, postrzeganiem wzbogaconym właśnie o wiadomości i wyobrażenia. Roman widział teraz czasy powojenne w ich wszystkich fazach jednocześnie, tak jakby obserwował molo w C..., różne w różnych porach roku i odcieniach pogody, wielokrotne a przecież jedno, zawsze to samo: dostrzega się wszakże owe molo w określonym momencie (choć moment

też jest podzielny), zarazem jednak ma się przed oczyma jego inne fazy i wydestylowaną z nich wszystkich ponadczasową ideę jego widoku. Było to więc widzenie syntetyczne, głębsze, jakby wklęsło-wypukłe, wielowymiarowe, widzenie właściwe wiekowi starszemu, kiedy to, dzięki doświadczeniu imaginacji a zarazem osłabieniu formalnej dyscypliny patrzenia, udaje nam się zajrzeć pod podszewkę rzeczy, pod ich ograniczoną kategoriami naszego konwencjonalnego postrzegania pokrywkę. Widzenie głębsze, ciekawsze, bardziej złożone. Tak, ale...

Czy można kochać syntetyczną dziewczynę, mającą dwoje oczu z jednej strony? Otóż to — właśnie o miłość tu chodziło, o miłość ojczyzny, którą to miłość tak ogromnie teraz w Polsce reklamowano i polecano, przemyślnym jednak sposobem identyfikując ją z miłością do Partii, a ponieważ rzeczywiście nikt w Polsce nie miał nic do gadania oprócz Partii, więc sylogizm, że miłość do ojczyzny równa się miłości do Partii, czyli że ojczyzna równa się Partia stawał się nieodparty i nikt w młodym pokoleniu nie znajdował narzędzia myślowego, aby taki aksjomat podważyć: trzeba by na to podważyć i przewartościować wszystko od góry do dołu, no a któż zdecyduje się dla własnych wątpliwości zakwestionować całe życie narodu, życie, w którym przecież sam jakoś uczestniczy. W ten więc sposób spojony był i mocno, jak wodoszczelny kadłub okrętu zanitowany system totalnego *perpetuum mobile*, gdzie wszyscy, jak ów kot, zajęci wyjadaniem sobie musztardy spod ogona, nie mieli na nic innego czasu ani uwagi, każdego zaś, który chciał robić co innego (choćby tylko myślą) łatwo było ogłosić wszem wobec jako zbrodniarza, wicherzyciela, nihilistę i wroga narodu. Ten proces umacniania totalizmu przez kunsztowne sztuki psychologiczne (*w Rosji załatwiono to najpierw sumarycznie terrorem i strachem, tutaj zastosowano czary, czarodziejskie zaś doświadczenia polskie przydadzą się na pewno kiedyś przy budowaniu zachodnioeuropejskich Republik Radzieckich*), proces więc nitowania i murowania psychiki zbiorowej „na beton” zwielokrotniał się z pokolenia na pokolenie, przejściowe zaś intermezza złagodzeń czyli, jak to określano terminem wymyślonym przez pewnego zdolnego acz mało szanownego pisarza radzieckiego, okresy „odwilży”, służyły tylko jako odskocznia do nowego konsekwentnego natarcia. Ale jak to wszystko wytłumaczyć Białej Bluzeczce, która sama była elementem w tej na swój sposób mistrzowskiej grze i to najpierw elementem przedmiotowym, później podmiotowym: łańcuch przedmiotów stających się podmiotami, oddziaływującymi z kolei na nowe przedmioty i odjeżdżającymi po ruchomej taśmie lat do tyłu, aby zrobić miejsce właśnie tym nowym przedmiotom, które

po chwili są już też nie tak specjalnie młode, a więc stają się kolejnymi podmiotami i zaczynają oddziaływać na czekające w kolejce jeszcze bardziej nowe, podjeżdżające na owej taśmie przedmioty, które z kolei znowu... i tak dalej, dalej, dalej — to jest właśnie owa samoczynna, niezwykle przemyślna karuzela czy raczej elektryczna kolejka, automatyczna sieczkarnia poglądów i masarnia, formująca z nich nowe, pożywne kształty. Można oczywiście i trzeba pytać, kto puścił to wszystko w ruch, gdzie są owi wyrafinowani mistrzowie stwarzania, bo jeśli ich wcale nie ma, jeśli proces jest samoczynny, jeśli nikt nigdy nie wsma- rował kotu musztardy pod ogon, w takim razie Roman nie ma racji. Więc któż ją ma — czy towarzysz Sekretarz, czy ktoś anonimowy, zbiorowy, lud, społeczeństwo, naród?! Ale przecież lud nie wynalazł owego kunsztownego abecadła pretekstów, niez- nacznie zmiennych haseł, etapów, skurczów i rozluźnień (*ktoś kiedyś powiedział, że wszystkie procesy biologiczne polegają na kolejnych skurczach i rozluźnieniach*), w takim zaś razie — szu- kamy autora! A jednak nikt go nie szuka, wszyscy traktują rzecz normalnie, anonimowo i po prostu, może więc Roman jest tylko starzejącym się maniakiem, który swoje przywidzenia i wizje bierze za rzeczywistość? I znowu to samo — kto wszystkich uważa za wariatów, ten prawdopodobnie sam jest wariatem, choć osobiście nigdy tego nie uzna, co zapewne stanowi jeszcze jeden dowód przeciw niemu, bo wariat który by uznał swe wariatwo, nie byłby już wariatem. Ale Roman jest przekonany o czymś zgo- ła odmiennym: że komuniści a przede wszystkim Rosjanie, trak- tujący siebie samych ogromnie serio i żyjący tylko sobą oraz własnymi sprawami (*stan, według lekarzy psychiatrów ogromnie niebezpieczny*) biorą wszystkie swe podejrzliwe mity za absolutną rzeczywistość i w poczuciu tej rzeczywistości działają, wobec cze- go życie, chcąc czy nie chcąc, do tej mniemanej rzeczywistości się nagina, staje się nią: Amerykanie, którym przez lata wmawia się imperializm, staną się w końcu imperialistami, bo co mają robić? Walnie wszelką wschodnią podejrzliwość utwierdził Hitler i nikt w gruncie rzeczy nie zrobił tyle dla komunizmu co on, choć przy tej straszliwej operacji zginęły dziesiątki milionów Rosjan.

Niepoważny Hitler, bicz Boży w postaci człowieka z nisko osadzoną miednicą i chaplinowskim wąsikiem: to przypomnie- nie nawracało znów sprawę do patriotyzmu, do miłości ojczyzny. Szekspirowska Kordelia, na przekór swym obłudnie elokwentnym siostróm, wyznała, że kocha ojca na tyle, na ile jest to jej obo- wiązką — ni mniej ni więcej. Roman chciał tak kochać ojczyz- nę — nie na ślepo, lecz rozsądnie, z godnością choć i z poświę-

cenieniem. Dał chyba tego dowody, walczył nie raz i nie dwa, ze wzruszeniem ramion (znowu ten gest!) odrzucił poszepty braterstwa, żeby zostać za granicą, pomagał tutaj jak mógł, pisał, tworzył legendę, między innymi legendę, że można tu w ogóle pisać. Patriotyzm był zawsze u nich w domu tradycją, pepeesowsko-legionowa przeszłość ojca wracała po latach wciąż nie jako mit, lecz jako wizja, koloryt, klimat, przywoływane najdawniejszymi dziecięcymi skojarzeniami, podtekstami „nastrojotwórczymi”, którym służyło wszystko, od „Czerwonego Sztandaru” po piosenki o Belinie i o kasztance, na której jedzie „siwy strzelca strój”, od uparcie zewsząd patrzących, spod nawisłych brwi wlepionych, ciemnych oczu Piłsudskiego, po ponuro malownicze koszary kresowego pułku, gdzie Roman studiował „luźną musztwę”, marsz ubezpieczony i natarcie — o ucieczce przed czołgami raczej tam nie mówiono. Roman kochał Polskę, ale po wszystkich peregrynacjach, po wojnie, po zmianie skóry nasuwało się pytanie: Polska, ale jaka, gdzie jest Polska, co to w ogóle jest Polska — słowo wieloznaczne, i jak ją kochać: czy sprzeciwem? Przedwojenna Sanacja też mówiła, że kochać Polskę to znaczy kochać jej rząd i podpisywać mu *in blanco* wszelkie upoważnienia. Po wojnie robiono to samo w czwórnasób, ale czasem, obok megafonowych nawoływań do miłości ojczyzny socjalistycznej, przebiegały przez kraj dreszcze bardziej organiczne. Na przykład co pewien czas podawano sobie z ust do ust, niby rzekomą plotkę, wiadomość, że Rosjanie rozmawiają po cichu z zachodnimi Niemcami, że straszyć znów zaczyna zapomniane widmo złowrogiego dla Polski traktatu w Rapallo, że prowadząc grę o świat „Ruscy” zgodzą się na zjednoczenie Niemiec, aby zaś wzmocnić w tym stadle swojego człowieka, Ulbrichta, dadzą mu wiano, posąg — na przykład port w Szczecinie. Takie wieści natrafiały w Polsce, tylekroć atakowanej i przez Wschód i przez Zachód, na swoje atawistyczne echo, Roman myślał czasem, że to rząd sam je rozpuszcza, aby wywołując dreszcz prawdziwego niepokoju, uzyskać właśnie autentyczny narodowy podpis na niewypełnionym czeku: widzicie, musimy tak robić jak robimy, gódcie się na wszystko, bo nie ma innego wyjścia z tej sytuacji, musimy słuchać Rosji i przypodobać jej się maksymalnie, żeby nie wybrali Niemców, żeby Ulbricht, też w głębi serca szkopski patriota, marzący o zjednoczeniu, nie okazał się lepszy, ważniejszy, potrzebniejszy — wiecie przecież kim są Niemcy i co potrafią. Rzeczywiście, Roman dobrze wiedział co potrafią Niemcy, gdy opanuje ich poczucie misji ożenione z dyscypliną, ale z drugiej strony widział, że straszono tu przeszłością, aby zaabsorbowany nią człowiek nie próbował przypadkiem zajrzeć w przyszłość, grano na wszystkich stru-

nach okupacyjnej martyrologii, cierpień, mąk, ciągle na wszystkich i ciągle fortissimo i ciągle zagłuszając jakiegokolwiek inne dźwięki, aż wreszcie rzecz jęła się stawać zbyt uderzająca, podejrzana, patos zaczynał brzmieć nie jak spiż lecz jak patelniana blacha, historia wciąż, w każdej minucie przywoływana przestawała świadczyć, nieustanne a jednotonne opiewanie cierpień trąciło świętokradztwem, w końcu już nie można było o tym słuchać, aby nie stracić na zawsze, rozmienianego na doraźnie potrzebne drobne monety, rzeczywistego, najwyższego patosu Narodowej Nocy. Oczywiście, głupi Niemcy na Zachodzie nic z tego nie rozumieli (*bo ci wschodni, socjalistyczni, o pozorny paradoksie, nie-nawidzili Polski po staremu, tak jak trzeba*), półgłówkowaty, egoistyczny mieszczański Zachód zgłębił się tym wszystkim nie zajmował, licząc na swój święty dobrobyt, mający trwać wiecznie — i tak oto Polska, jak zwykle, ujęta była w stare kleszcze podwójnej, rosyjsko-germańskiej duchowej niedorzeczności. Zaprawdę nic nowego pod słońcem — nie było i nie będzie tu nowości. I jak zwykle nikt nie wiedział, co się naprawdę dzieje: owe krążące czy przez kogoś puszczane pogłoski przebiegały płasząc się z ust do ust też na zasadzie cieniów w platońskiej jaskini, stanowiących widoczne odbicie bytów niewidocznych i niepoznawalnych. Kraj, zdany jedynie na cienie — osobliwa to ojczyzna: tylko jej przeszłość na pewno jest realna, jednoznaczna — czyż więc tylko przeszłość dawała się kochać?

Otóż i całe sedno problemu! W Polsce Ludowej niewątpliwie żyło się kwestią narodową; czymże zresztą innym mieli się tu interesować, jeśli życie osobiste nie było zgłębił ani frapujące ani obfitujące w możliwości; to tylko po wojnie, kiedy mnóstwo ludzi a przede wszystkim Warszawiacy startowali od zera, wydawało się, że jest inaczej, że trafiają się przygody osobiste, że się osiąga czy buduje coś indywidualnie własnego. Teraz natomiast żyło się, chcąc nie chcąc, tylko Polską, jakoś jednak po tym wszystkim odnalezioną, bo wszakże wydawało się już kiedyś, że Niemcy zmiotą ją w ogóle z powierzchni ziemi, a znów Rosjanie wykazali jej małe zakorzenienie, jej ruchomą obrotowość, przewożąc miliony ludzi i dowolnie przesuwając terytorium. Przedwojenni Polacy odnaleźli jednak sobie w końcu nową Polskę, tylko czy wiedza o niej, wiedza minionych lat, nie okazała się za wielka i zbyt złożona, czy można kochać kogoś, o kim się za dużo wie? A więc Polska powojenna byłaby dla Romana ową picassowską dziewczyną mającą dwoje oczu po tej samej stronie profilu, natomiast tamta Polska, z lat młodości, pozostała naiwnie być może lecz z uwielbieniem oglądaną dziewczyną jednopłaszczyznową; konwencjonalne, jednorazowe i dosłowne tylko postrzeganie jej

profilu stanowiło pewno istotny element idealistycznie utopijnej, lecz do jakichże porywów zdolnej młodzieńczej miłości, podczas gdy poznawcze doświadczenie imaginacyjne oraz wciąż obecna świadomość nawarstwionej złożoności rzeczy czyniła miłość ni to gorzką, ni to sceptyczną, może wręcz cyniczną. Roman poznał w latach sześćdziesiątych młodego, wybitnego belgijskiego dziennikarza, który z parodystycznym humorem opisywał mu zabawne spory czy walki między Wallonami i Flamandami, walki odbywające się nawet w dwu sąsiadujących dzielnicach stołecznej Brukseli. Uderzony lekkim tonem opowiadającego, Roman zapytał go, czy przecież istnieje tam jednak jakiś nadrzędny, mimo wszystko jednoczący patriotyzm belgijski. Młody człowiek, zamyślił się na chwilę, po czym zadeklarował z prostotą, że chyba czegoś takiego w Belgii nie ma, przynajmniej on i jego rówieśnicy niczego podobnego nie odczuwają, bo i zresztą skądby się to miało w dzisiejszych okolicznościach wziąć? Roman był tą odpowiedzią wstrząśnięty, jednocześnie coś go w niej kusiło jak zakazany owoc — ale owoc taki nie jest przeznaczony dla Polaków, nie dla polskiej inteligencji z epoki Drugiej Wojny przynajmniej — ta miała swojego bakcyła, swoją wizję walącej się w gruzy ulicy Marszałkowskiej i nic im tego nie wydrze, czy to w Monachium czy w Londynie, czy to w Brazylii czy w Australii. „Czyli to będzie w Sofii, czy też w Waszyngtonie, wśród egipskich piramid czy w śniegach Tobolska, na tysiączne się wiorsty rozsiała nam Polska, papuga wszystkich ludów w cierniowej koronie” — tak właśnie napisał poeta-dyplomata, Warszawianin, co w Polsce mieszkał niewiele a skończył życie skokiem z nowojorskiego drapacza.

Bardzo pięknie, lecz to jest zarazem coś i nic, dobre może w Londynie przy wieczornym drinku, lecz do niczego w skomplikowanej tym wszystkim co przekreśliła i czego się wyrzekła, nowej komunistycznej Warszawie. Czyż nie było tu, poza nielicznymi ocalonymi zabytkami, niczego jednoznacznego, aby się jakoś można duchowo oprzeć i ustawić? Trudno o tym coś wiedzieć, bo każda rzecz nazywała się teraz sprzecznie ze swą istotą, historią, przeznaczeniem. Może zresztą to tylko postarzałemu Romanowi tak się to wszystko zdawało, może się myli i stworzył sobie fałszywy, subiektywny obraz: niesposób przecież w istocie znaleźć się naraz w wielu punktach czasu i przestrzeni a także wcielić się w klimat odczuwania wszystkich ludzi w Polsce jednocześnie. W ogóle zaś świat jest jak pełen orzechów, pękający worek: zaszyty w jednym miejscu pęknie w innym, przy czym nigdy nie można przewidzieć w którym, zawsze, z reguły gdzie indziej niż się sądzi. Nie ma co się temu dziwić, bo to jest norma, tyczy

się ona będzie również komunistów, choć oni myślą, że swymi niemi zaszyli worek na trwałe. Nie wolno podzielać ich złudzeń, nie ma nic trwałego, nie ma sensu płakać nad jakimkolwiek rozlanym mlekiem. A co do miłości...?

Właśnie, co do miłości, zwłaszcza co do miłości wobec wojennej, z niezbyt prawego łoża poczętej ojczyzny czy też specjalnego wcielenia ojczyzny; dla owej dziewczyny mającej dwoje oczu z jednej strony profilu — tu, myślał Roman, trzeba poszukać wskazania w owym, nagle w nim wzbudzonym zamięłowaniu do krajobrazów, pejzaży, nastrojów. Na przykład jego stosunek do C..., gdzie jakby ni stąd ni zowąd odnalazł krainę swej młodości, „kraj lat dziecinnych”, to znaczy właśnie — ojczyznę. Ale przecież C..., stolica północnej ruletki, z polską tradycją nic wspólnego nie miała, do Polski przed wojną nie należało, gdy pod koniec Dwudziestolecia jeździło się tędy koleją, osławionym polskim korytarzem, trzeba się było kłaść na podłodze wagonu, bo rozwścieczeni Niemcy rzucali kamieniami w szyby (*co nie przeszkadzało, że cztery lata wcześniej, po zawarciu przez niewierzącego w pomoc Zachodu Piłsudskiego paktu nieagresji z Hitlerem, do Warszawy zjechało z Niemiec na pewien mecz parę tysięcy uśmiechniętych serdecznie turystów, piwoszów w tyrolskich kapelusikach — dziwny to naród i nikt go nie pojmie*). Więc Roman nie miał zasadniczo powodu, aby kochać uzdrowisko C... lub przywiązać się doń, w dodatku nie wyjaśnione zostało kiedy to przywiązanie miało się być wytworzyć, czy dzięki Bluzeczce czy przed nią, niezależnie od niej (*nie wiadomo zresztą ile razy i jak często tu bywał, a także na przykład, czy kawiarnię „Srebrny Jar” dojrzał świadomie poprzez Białą Bluzeczkę, gdy owa bezpretensjonalna na pozór i przez to wyrafinowana białość objawiła mu się w papierosowym dymie szarej salki czytelniczej, czy też kawiarnia ta tkwiła już w nim uprzednio, a może jej legenda narodziła później, na zasadzie świadomej pracy asocjacyjnej, związanej z obmyśleniem książki — lichy wie*), poza tym niesposób wiedzieć, które C... widział przed sobą, czy zimowe, bez liści, tylko ze sterczącymi na tle nieba czarnymi szubienicami drzew i masztów, czy słoneczno-błękitne, osłonięte od morskich wiatrów zielonymi murami ruchomego listowia, czy może jesienne, purpurowozłociste lub zgniłozielone, brunatne i rude, a jeżeli widział wszystko naraz, widział syntetycznie, jak posąg Światowida o czterech twarzach, który jednakże jest jednym Światowidem, to czy takie rozdzielone widzenie rozdziela również uczuciowo, nastrojowo, rozdziela sentymenty, czy zwiększając ich ogólny, ilościowy zasób podwyższa też ogólną temperaturę, ogólną intensywność, jeśli zaś tak, to według jakiego mechanizmu, wzoru, rachunku ten pro-

ces się dokonuje? Mnóstwa więc rzeczy na temat C... i swojego doń stosunku nie wiedział, przez tę niewiedzę właśnie, która go tak intrygowała (łączyło się to przecież z kompozycją projektowanej książki i z owym opisem, co wyskoczył ni stąd ni zowąd sam z siebie), która w nim żyła i bulwersowała go w różny sposób, przez to wszystko, nadmorskie miasto C... rośło w nim, a więc żyło. Skoro zaś żyło, to, mimo niewiedzy i pomieszania spraw, lub może właśnie dzięki temu, było mu na pewno drodze: kochał je przez tę niewiedzę, przez niedopełnienie, przez zaniechanie, przez niezrozumienie, tak jak się kocha siebie — a siebie samego kocha się jak najprawdziwiej, choćby się własne życie uważało za szmaciane, boć i wtedy można się przecież nad sobą uzalić i przez to jeszcze miłość pogłębić. Miejsca towarzyszące naszej miłości do własnego ja stają się częścią tego uczucia, czyli częścią nas samych. „Bom wszędzie częścią mej duszy zostawił...”

Podobnie, oczywista, ma się sprawa z Placem Defilad — jakież to uderzające! I jakie znaczące, że miejsce to, które znał bądź co bądź (pomimo zadziwiających jego przemian) od lat pięćdziesięciu, też odezwało się doń nagle dlatego, bo stało się azylem jego ukradkowych spacerów z Bluzeczką. Przy czym znowu rzecz ciekawa: Bluzeczka znikła „z pola widzenia” a plac mówił do niego dalej, przy tym, podobnie jak w przypadku C... (choć na znacznie szerszą skalę), niesposób dociec, kiedy to mówiła dawność, kiedy współczesność, i w ogóle która dawność, bo dawności było tu wiele, właśnie nawarstwionych i zgromadzonych, poziomo i pionowo, wklęsło i wypukłe, w głąb i wzwyz, w czasie i w przestrzeni, gdyż Plac Defilad to zarazem rupieciarnia i synteza, nowe i stare, mieszanka przeszłości różnych rodzajów i dziwacznych propozycji teraźniejszości. Płatanina śladów i szyfrów a także podniebnej pustki po wyburzonych dzielnicach. Osobliwe to miejsce, ów największy plac w Europie, przy tym wcale nie docenione!

Właściwie w tym miejscu stała się rzecz między Romanem i Bluzeczką najpoważniejsza: miłość przeszła w nienawiść i to akurat tu, u stóp olbrzymiego trzydziestopiętrowego gmachu, wybudowanego niezwykle szybko przez Rosjan i nazwanego przez nich emfaticznie Pałacem Kultury i Nauki. Pierwotnie do tej uroczyście brzmiącej nazwy dodane były słowa: „imienia Józefa Stalina”, co podobno wyjaśniało genezę wzniesienia tego giganta na środku olbrzymiego placu, tak jak kościół króluje często na rynku małego miasteczka. Architekci polscy, budujący nową Warszawę, postawieni pono zostali wobec dylematu, mogli sobie dowolnie wybrać jeden z dwóch przyjacielskich prezentów, prze-

znaczonych im przez rosyjskich ofiarodawców: pałac imienia Stalina albo osiedle mieszkaniowe. Oczywiście wybrano pałac, bo któżby odmówił Stalinowi czy jego imieniu? Przypominało to warszawską anegdotkę: w cyrku wychodzi na arenę dyrektor i oświadcza, że jeśli następny numer muzyczny komuś się nie spodoba, to cyrk zwraca potrójne pieniądze. Po czym orkiestra gra... Międzynarodówkę. — A teraz wybierz sobie żonę — miał powiedzieć Pan Bóg do Adama — stwarzając z jego żebra Ewę.

Pałac stanowił przedziwną kakofonię smaków, a we wnętrzu, obok wspaniałych marmurowych sal mnóstwo było na każdym piętrze olbrzymich do niczego nie potrzebnych korytarzy i mniejszych od nich pokoi, za to wysokich, niewygodnych, ponurych — całość ogromnie droga w tak zwanej eksploatacji a mało użyteczna, słowem „nowoczesność mniemana”, czyli cud zbędny. O tym wszystkim nie wiedziały jednak wycieczki dzieci z całej Polski, które, nieustannie świergocząc, odeptywały wielkie schody u stóp ogromnych kolumnad, ukoronowanych potężnymi tympanonami: nie było tutaj żartów, każda kolumna odznaczała się iście słoniową grubością, to po prostu, jak sobie określał Roman, „ruska Grecja”, kuda tam do niej przechwalonej w legendzie miniaturowej Grecji Peryklesa. Te czwórdzielne, bo ze wszystkich stron okalające pałac kolumnady i na białych kolumnach wsparte półokrągłe kopulaste pawilony (w nich piękne sale teatralne czy kinowe) to były pono koncesje rosyjskich architektów na rzecz stylu polskiego, który sobie tak właśnie wyobrażali; co gorsza dodali jeszcze owe stalaktyty czyli figury szachowe, jakimi obstawione były cztery kolejne, zwięzające się ku górze przęsła pałacu. Na pohybel bowiem greckiej podstawie, górne dwie trzecie gmachu to białe, płaskie, przedziurawione ciemnymi plamkami okien ściany („straszny sen cukiernika” — kpiono w Warszawie, z czasem kpiny ustały), kolejne zaś, prostopadłościenne, coraz to mniejsze w miarę zbliżania się ku niebu etapy kubatury pałacu zbiegały się wreszcie u wierzchołka w wystrzelającej spośród ornamentalnych koronek długiej, świecącej złościście w słońcu petersburskiej czyli leningradzkiej iglicy. Całość biała jak masło, najwyższa w Warszawie a pono i w Europie — na dole zaś, strzegły wykładanego kostką otoczenia gmachu, na pohybel z kolei Paryżowi, aż dwa kamienne obeliski zwycięstwa — nie wiadomo zresztą jakiego, bo pałac był przecież symboliczny, więc anonimowy, na szczęście niedokładnie w historii osadzony.

Fakt, że kolumnady i owe, śmieszące wobec rozmiarów dziwnego gmachu murowane koronki stanowiły specjalną, naiwną premię dla Warszawy, potwierdził się Romanowi kiedyś podczas pa-

rotygodniowego pobytu w Moskwie: rzeczywiście, tamtejsze wy-sokościowce, z teje samej epoki komunistycznego średniowiecza (jak to inaczej nazwać?), choć równie biało cukiernicze, bez kolumn i ozdóbek prezentowały się znacznie smaczniej, zresztą były tutaj u siebie, co nie jest bez psychologicznego i estetycznego znaczenia. Istniały też zresztą w Moskwie drapacze sprzed epoki Stalina Wspaniałego, na przykład znakomita Biblioteka Lenina, więziennie posępna, wysoka, pokratkowana ciemnozielonymi, jak poprzeczne plomby z ołowiu, pasami okien — monumentalizm nie-ludzki, ale niezapomniany, niczym gigantyczny, kamienny kaktus w lesie czy na pustyni wielkiego miasta. Tutaj, nad Wisłą, rzecz była dziecięco inna i już nieodwracalna: olbrzymi prostokątny plac z perspektywami powietrznymi na wszystkie strony świata, okolony ruchliwymi ulicami, nad którymi wznosiły się przeróżne „ściany” stare, nowe oraz przedziwne z nowego i staro-go w kratkę składane, mnóstwo nieba i przestrzeni, to najważ-niejsze, a w środku absurdalnie wysoka, zwężająca się ku górze biała wieża, wkorzeniona w ziemię potężną, czworograniastą pod-stawą, obwiedziona pretensjonalnymi kolumnowymi portalami oraz schodami, tudzież posągami, przyozdobiającymi rozległe po-dworce, w dole zaś, u stóp kolumnad czy ogromniastych wybrzu-szeń Sali Kongresowej i pawilonu zwanego Pałacem Młodzieży kręci się cały labirynt krzyżujących się wśród zieleni, paropozio-mowych, asfaltowych alejek, ugnarowanych basenami, efektow-nymi fontannami, gdzie białe lance wody, tryskające z dookolnych lwich pysków zbiegały się koncentrycznie, jakby znieruchomiały w powietrzu, choć rozpylające na boki mnogość mieniących się tęczowo kropelek, po czym (ale zarazem wciąż, jednocześnie i nie-ustannie) spadały do wody basenu rozpryskując na niej jeszcze bielszą jaskrawo śnieżną pianistą gwiazdę — istne szaleństwo, w dodatku bezpłatne i dla wszystkich. Przypominało to Romano-wi fontanny w słynnym pałacu Peterhof pod Petersburgiem — Piotrogiem — Leningradem: a więc tę igraszkę wodną, stwo-rzoną przez królów i feudałów w Wersalu czy Fontainenbleau, imitowaną zaś przez północnych carów, przerobiono teraz na socjalistyczne opium dla ludu, aby tenże wiedział, że zwyciężył i może korzystać, że to wszystko jego. Owszem, w carsko-leninow-skim Petersburgu, przepięknie jednolitym architektonicznie, będą-cym jakby skamieniałym w błyskawicznym momencie choć raz na zawsze zamysłem Imperatorskiej Mości i jego zachodnich, suto płatnych architektów, takie rzeczy były na miejscu, ale tu, w skomplikowanej historii choć całkiem prosto i sumarycznie zniszczonej Warszawie, obok stojących jeszcze, poszczerbionych

ceglanych kamienic Siennej i Śliskiej, czyli niegdyś małego getta, po wojnie zwanego z amerykańską Dzikim Zachodem, taka fontanna była dziwacznym anachronizmem i to anachronizmem naiwnym, bo stworzonym specjalnie, z arcywidocznym, starannym wysiłkiem jakby cywilizowany ruski człek, socjalistyczny ale znający tradycje, mówił barbarzyńskiej, zapatrzonej w swe nędzne zresztą kapitalistyczne wspominki Warszawie: „A widziecie!”. No i rzeczywiście widzieli, nie widzieć było trudno — nawet z odległości kilkudziesięciu kilometrów, skąd zresztą figurka pałacu z iglicą, jak kopiowy ołówek na tle nieba, wyglądała wcale możliwie, mimo iż pomysł wybudowania takiego niebotycznego ratusza czy marksistowskiego kościoła bez krzyża na ogromnym, wyburzonym rynku, to było coś wariacko niepojętego — zwłaszcza, że odbyło się tak szybko. Roman kojarzył rzecz z innym, centralnym niegdyś symbolem — słynnym soborem na Placu Saskim. Pamiętał go jeszcze doskonale: olbrzymia biała góra lodowa z mnóstwem „przeseł” i półpięter, na których tkwiły nasadzone złociste cebule wielu kopuł — sobór nie miał nic wspólnego z fantazyjnym, baśniowym pięknem jakby z piernika wyczarowanej, moskiewskiej cerkwi Wasyla Błazennego, czy wielobarwnych soborów Kremla, był tępo biały, ostentacyjnie starobizantyjski, jak i inna, nie istniejąca dziś cerkiew w Alejach Ujazdowskich „na rozdrożu”. Roman w dzieciństwie chadzał na Plac Saski gdy rozbierano, roztapiano ową lodową górę, widział, jak po prostu grupa kilkudziesięciu ludzi targała linę, zarzuconą niczym lasso na jedną z kopuł, kopuła zaś przekrzywiła się i podskakiwała, przypominając źle nasadzony kapelusz. Biedna cebula — tak słabo tkwiła na swoim siedzisku — czego nie można by rzec w żaden sposób o dzisiejszej, marksistowskiej cerkwi Warszawy: ta jest nienaruszalna, nierozbieralna, stać będzie po wiek wieków i górować nad miastem (*architekci, projektujący Scianę Wschodnią chcieli podwyższyć tutaj mieszkalne wysokościowce do wzrostu Pałacu, aby stuszować jego urbanistyczną absurdalność — obrazoburczy ten zamiar udaremnił pono sam Główny Sekretarz*), stać będzie także i dlatego, że się do niego PRYZYWYCZAİŁO, wrósł swym nieprawdopodobnym cielskiem w kalekie miasto i promowany został na cząstkę Warszawy, nikogo już nie razi, wycieczki go lubią, panorama z najwyższego piętra jest przepiękna, parterowe sale przestrzenne i reprezentacyjnie wygodne, a ogromna naiwność samego pomysłu odbiera mu na pozór wszelką demoniczność, pozwala się z nim spoufalić na co dzień. Istotnie: ławki wokół fontanny, wykładane marmurem placyki, oraz zielone idylliczne aleje wzdłuż Marszałkowskiej stały się ulubionym

miejszem Cyganek (wspaniały naród!), polujących na ludzi co pragną znać swoją przyszłość, zaś nieliczne kioski z piwem oraz ukryty na rogu północnej kolumnady podziemny szalet gromadziły młodzież niemniej podejrzaną, jak ta sprzed wilhelmińskiego hotelu w C... Roman także polubił sąsiedztwo Pałacu, zwłaszcza grupę prześlicznych drzew, z wijącymi się na wietrze płaczącymi wierzębami na rogu Strony Zachodniej i Strony Południowej, gdzie były tak przytulne ławki i gdzie próbował wytłumaczyć Bluzeczce, jaki to jest ogromnie i znacząco dziwny plac. Ale nikt już nie widział ani dziwności, ani naiwnego anachronizmu, ani gigantycznej brzydoty: coś, co wszystkim się spodoba nie będzie brzydkie, bo gdzież kryterium brzydoty — brzydota — istnieje tylko na zasadzie ludzkich odczuć, te zaś są zmienne i można nimi kierować, stąd paradoksy przemian mody, gustów, skojarzeń. A w ogóle to co trwa i będzie trwać, co jest częścią pejzażu — nie może być brzydkie, musi odnaleźć swe utajone piękno: wszak piękne bywają ponure, pozbawione ozdób i indywidualności, ciężkie, ceglane magazyny portowe, bezduszne elewatory czy baraki, w obojętnych zaś i banalnych bezosobowo milczących przedmiejskich domach wykrył swe melancholijne i gorzkie piękno Utrillo. Toteż Roman nie upierał się przy narzucaniu swych gustów estetycznych w tej materii, upierał się natomiast przy zachowaniu spojrzenia historycznego, wybiegającego wstecz, poza chwilę obecną, co znowu niezbyt lubili marksiści, dopóki nie skonstruowali i nie przekazali młodzieży swojej wersji interpretacyjnej niedawnych dziejów. I tutaj właśnie ów pałac, mieszanina stylów, monstrum naiwnej monumentalności i niesmacznego w swej pozbawionej instynktu przesadzie zdobnictwa, zupenie się dobrze sam bronił, ba, urastał do znaczenia i rangi symbolu. Wszak, jeśli od 1939 roku dzieje się w tym mieście nie wiedzieć co, jeśli wyznały tu sobie spotkanie wszystkie szaleństwa a także zwykłe bziki Wschodu i Zachodu, jeśli życie stało się ponad wszelką miarę dziwaczne i zamierza w tej dziwaczności trwać, coraz mocniej się w niej pod każdym względem gruntując, to czemuż na wyburzonym we wszystkie strony kilometrowo przestrzennym placu nie ma pośrodku panoszyć się właśnie NIE WIEDZIEĆ CO, symbol dziwactwa tak osobliwie zaczepionego o różne światy psychiczne i chronologiczne, że niesposób wyłożyć tego w słowach krótkich ani długich. Czasy są dziwaczne ale czasy są wielkie, czasy są szmaciane ale czasy są historyczne — otóż wszystkie te sprzeczności materializują się i koncentrują na Placu Defilad, czemuż by więc z kolei Roman nie miał pijać piwa w kiosku na ulubionej, przewianej wiatrem i wygrzanej słońcem Zachodniej Stronie, u stóp potężnej kolumnady Sali Kongresowej, kolumna-

dy, wobec której frontony greckie i rzymskie to właściwie nie- szczególne próby na miarę dawnych, zacofanych czasów?

Później, kiedyś, w rok już chyba po rozstaniu się z Bluzeczką i w ogóle po wszystkim, Roman, wraz z całą Polską oglądał w telewizji Zjazd Partii. Telewizja to wynalazek z Orwella i dla Orwella, zaś w przedziwnie zatomizowanej Polsce — zatomizo- wanej przez kolektywizm, który, niszcząc między ludźmi związki tradycyjne, majątkowe czy grupowe, zasiał na miejsce dawnych spoiw nieufność i wzajemną obawę, nazywane teraz zastępczo „walką klasową” — w tej więc Polsce, gdzie obecnie „twierdzą jest każdy próg”, wszyscy, zamknawszy drzwi i zasłoniwszy okna, siedzieli kamieniem przy telewizorach, chłonąc jednak nietyle widzialność ruchu (tak krytyk R... określił niegdyś nieme kino), co magię słów, drugorzędne czary elokwencji, które jednak przez obłądnie wytrwałe nasilenie powtarzania stawały się zgoła pierw- szorzędne, bo, odzwyczajając od innego języka, zajmowały jego miejsce, mianując się jedyną istniejącą i możliwą konwencją i for- mą, jedynym rytuałem, który posiadał prawo i przywilej, roz- powszechniony przez wszystkie społeczne i narodowe giganto- fony, władania wyobraźnią masy. Ten Zjazd odbywał się w chwili osobliwej, niezadługo po słynnej sprawie czeskiej, kiedy to Cze- si i Słowacy zbudziwszy się z mrocznego, dwadzieścia lat trwa- jącego sowieckiego snu, postanowili raptem wrócić do swej od- wiecznej nieszczęśliwej miłości, do Zachodu czy choćby zachod- nich obyczajów, wobec czego sąsiadujące bratnie kraje na sygnał z Moskwy posłały im na otrzeźwienie odpowiednią porcję czoł- gów, samolotów i armat, które przedefilowały po kraju tam i sam, bez oczywiście kiwnięcia palcem w bucie ze strony tegoż Zachodu. Wszystko więc odbyło się jak zwykle, ale nie o to szło: Roman chciał zobaczyć, co się stanie po eksplozji normalnej, wolnej ludzkiej mowy, która wybuchła w Czechach (*to właści- wie głównie przeraziło fetyszystów, symbolistów i zaklinaczy z Moskwy*), w jaki sposób nastąpi powrót do języka tajemnie umownego, czy to chwilowe sąsiedzkie odczarowanie wpłynie jakoś na postępowanie szamanów z Sali Kongresowej: znacząca to bowiem sprawa, że o ile na wyższych piętrach niebotycznego Pałacu Kultury i Nauki wszystko było przeważnie źle pomyślane i byle jakie, to parterowe sale odznaczały się reprezentatywnym majestatem i znakomitą akustyką. Rzecz nader prosta: to prze- cież właśnie stąd się rządzi, ta wyniosła a wygodna trybuna to symbol władzy, sprawowanej za pomocą Słowa: skądżeby się ina- czej w zburzonej, pozbawionej sal Warszawie przemawiało do owych dwóch tysięcy delegatów, reprezentujących Partię, zrze- szającą ludzi lepszych od innych, o której to ich większej wartości

przypominano zawsze i to bez najmniejszej żenady tudzież argumentacji.

Między innymi ciekawskimi Roman także zasiadł wówczas przed nielubianym telewizyjnym ekranikiem, żeby zobaczyć co będzie, ale rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania: była bezbłędna. Przez szereg dni ze zjazdowej trybuny, nad którą wysoko pod stropem sali wisała brodata głowa trzeciego z wiadomych filozofów, płynął potężny strumień czarodziejskiej mowy, której tajemnica polega na zanegowaniu tradycyjnego semantycznego znaczenia słów, na zastąpieniu myśli czymś co nią nie jest, choć jednocześnie zastępuje ją bez reszty. Emocjonalnym napedem tej mowy stawało się samochwalstwo, tak monstrualne, że wykraczające poza wszelkie kategorie znaczeniowe, niczym narkotyk, działający niejako autonomicznie, abstrakcyjnie. Oczywiście, potrzebne tu były resztki słów, ale nie dla ich zawartości treściowej, lecz dla ich dźwięku i rytmu, szeregowano więc takie wyrażenia jak: niezłomny, sławny, dumny, płomienny, szczytny, bohaterowski, potężny, wspaniały, szlachetny, piękny, wzniosły, ogromny, dla aktualnego, wymienialnego zresztą czy obrotowego wroga rezerwując natomiast terminy inne: brudny, ciemny, podły, zakłaman, bezczelny, cyniczny, perfidny, nieczny, bandycki, piracki, haniebny. Apoteoza samych siebie w końcu widać działa, bo zgromadzeni na sali ludzie w ciemnych garniturach lub mundurach obwieszonych medalami, w pięknie wyprasowanych koszulach i nienagannych krawatach, ludzie o kamiennych twarzach i rękach składających się wciąż do oklasków, robotnicy, chłopi i inteligenci pracujący (*tak brzmiała oficjalna kolejność*) z całej Polski, byli najwidoczniej zadowoleni i zrównoważeni: po pierwsze mówiono o niczym, co dawało bezpieczną pewność, że nic nie grozi nawet po wstydlivej sprawie czeskiej, po drugie mówiono niezrozumiale, co zwiększało ważność chwili, jakby podczas łacińskiej mszy, po trzecie, w olbrzymim prezydium obok ludowych naiwniaków siedzieli precyzyjnie rozsiani ludzie równiejsi („*wszystkie zwierzęta są równe*”), którzy już gdzieś tam wcześniej o przebiegu obrad zdecydowali, co w sumie dawało zebrany błogie uspokojenie, wynikłe ze świadomości wygnania precz z tego gmachu wszelkich niespodzianek, konfliktów i zwątpień oraz narkotyczne poczucie niczym nie zmaczonej, majestatycznej siły. Któżby zakłócił taki nastrój — na pewno nie kolejni adepci retoryki, co długim a równym szeregiem demonstrowali na estradzie znajomość arkanów obowiązującej magicznej mowy, odczytywanej oczywiście z zapobiegliwie skontrolowanych manuskryptów. Sala oklaskiwała mówców, mówcy salę, wszyscy znali doskonale rytuał i gest. O jak

przyjemnie, bo nie wiem dlaczego! — napisał kiedyś poeta Tuwim. Cienie w jaskini, znowu cienie w jaskini!

Tak więc owacyjny huk różnych zdyscyplinowanych braw, czyli sławiona w prasie „burza oklasków”, regularnie, w mierzonych odstępach czasu owłada salą. I nagle, przed wpatrzonymi w ekranik oczyma Romana i zmęczonymi tegoż Romana uszami, dokonywa się, realizuje, coś nieprzewidywalnego. Ilość, wielogodzinna ilość, przechodzi w jakość, wydaje się, jakby pewien mówca napięciem, natężeniem, takich samych zresztą jak wszystkie wysiłków oratorskich przekroczył nagle barierę niezłomnego prymatu formy, czystej formy nad treścią, że intensywnością swego megafonowego krzyku przebił strop sali i poszybował gdzieś w górę, w Krainę Wiadomości Złego i Dobrego. Mówca ten, to sam gospodarz, Wielki Polski Czarodziej. Gdy stary już, wysuszony, łysy człowiek w okularach przez wiele godzin wytężał płuca, mówiąc, w myśl rytuału, o wszystkim ale o niczym, o cyfrach tajemniczo nieporównywalnych, co nic nie wyrażały i o fikcyjnie, słowami uporządkowanych sytuacjach, szeregując namiętnie owe słowa bez znaczenia i zdania bez treści, wtedy, wpatrzony w jego usta Roman nagle zrozumiał. Ten człowiek mówił dla Wielkiego Czarnoksiężnika z Moskwy, który równie uparcie wpatrywał się weń z łoży, mówił, aby natłokiem wielogodzinnej elokwencji zepchnąć w niebyt, wyrzucić z podświadomości sali a także ze świadomości swego dostojnego słuchacza cień myśli, supozycji, przypuszczenia, że owo odczarowanie, które zagościło przez chwilę nad Wełtawą, mogło mieć też swój refleks nad Wisłą — o czym by ze swej strony świadczyły pewne znaki. Ależ tak, stary człowiek nie mówił w ten dziwaczny sposób bez potrzeby i nie męczył się na daremno, on mówił ciągle o czymś najważniejszym, mówił o tym przez ominięcie, przez opuszczenie, przez zbagatelizowanie. A gdy pod koniec dnia Wielki Wschodni Mag wśród oklasków sali wkroczył na trybunę, sięgnął po okulary i podjął, choć po rosyjsku, tę samą czytaną mowę, te same gesty, ten sam rytuał, wszystko stało się jasne: dokonywała się tu w istocie bardzo ważna sprawa, tym ważniejsza, że obecna poza słowami. Nie było na tej sali „politycznego awanturnictwa”, którym to terminem określono by niechybnie jakiegokolwiek mówienie przed milionami słuchaczy o czymkolwiek wyraźnie określonym, oraz otwartą wymianę myśli czy starcie poglądów, nie popełniono tu błędu obnażania przed podwójnymi milionami oczu (bo człowiek ma ich dwoje — wpatrzonych w telewizor) sedna jakiegokolwiek sprawy. Projektanci zjazdów, obchodów, kongresów mieli swoją ideę i rację w konstruowaniu czystej formy, w apoteozie czystego słowa, podobnie jak mieli swą rację budowniczo nie-

botycznego Pałacu, dając mu obiektywną, klasyczną podbudowę i wydłużając w podniebną nieskończoność jego białe ściany. I tu właśnie, pod nogami Romana otwierała się przepaść obcości duchowej, tak jak kiedyś otworzyła się pod nogami Poety spod Moskwy. Bo jeżeli ci tutaj sądzili, że unikają awanturnictwa konstruując gigantyczne aparaty do wytwarzania słów pozbawionych treści oraz budując drapacz nieba utrzymany w zdawkowo bylejakim stylu pseudoklasycznym a więc również pozbawionym współczesnej, związanej z życiem epoki treści, to w istocie narzucali całemu krajowi, ba, wielu krajom, miliardowemu konglomeratowi krajów, kult i władztwo Czystej Formy, chowając treść dla siebie, dla wtajemniczanej grupki arcykapłanów. Tymczasem dyktatura formy w tej skali, mająca na celu ostrożne uniknięcia awanturnictwa, była w istocie WIELKĄ AWANTURĄ. Tak jak wielką awanturą, symbolem awantury, jest ów dziwaczny, umieszczony w sercu obcego miasta trzystumetrowy ratusz czy kościół nowej wiary, jaskrawo pozbawiony stylu, rozmyślnie obojętny, który przez wieki krzyczyć będzie z tego największego w Europie placu swym prostackim pomieszaniem pojęć, form, stylów, swym dziwactwem, swą olbrzymią beztreściwością. Będzie krzyczyć, ale tylko do tych co słyszą i to słyszą ciągle. A co, jeśli już nikt nie słyszy, nawet Roman, który tu pija piwo, spaceruje z Bluzeczką, wieczorami zaś wśród owej popielatozłocistej, rozmruganej światłami galowej „szarej godziny” wielkowiejskiego zmierzchu wpatruje się w okna na wysokim piętrze Ściany Wschodniej, spija całym sobą chłodny powiew wiosny czy ciepło otulający oddech wczesnej, hojnej jeszcze jesieni? Co wtedy? Nie ma już Wielkiej Awantury, to co trwa osadza się w ludziach, kształtuje ich, staje się ich własną normalnością — wiedzą o tym dobrze zaklinacze, kapłani, wodzowie nowej wiary od Lenina poczynając, stąd ich zasada: utrzymywać siłą sztuczność tak długo, aż się wkorzeni w życie, aż się stanie zwykłą, niezastąpioną i nie do zastąpienia rzeczywistością; czas pracuje dla nas nawet w tym opornym niegdyś, tak absurdalnie zniszczonym mieście. Plac Defilad z niebotycznym białym pałacem nie jest już żadną awanturą, lecz zwyczajnym, co dzień powielokrotnie widzianym fragmentem miasta. Któżby nad nim wzruszał ramionami i po co, jeśli z tego miejsca gdzie stoi nic i nigdy owej budowli nie ruszy. Liczy się tylko życie, a ono toczy się na ulicach u stóp Pałacu, gdzie krząta się i mrowi nieustanny, niepowstrzymany robaczkowy ruch, w którym wszakże i Roman ma swój udział. Plac Defilad to nie molo w C... i nie sprzyja wzruszeniu ramion, bo wciąga w doraźne, kurczowe życie — może więc należy go omijać?

Oczywiście, wtedy, po wszystkich już osobistych decyzjach i przełomach, a w każdym razie po tych dwóch najważniejszych (sprawa Bluzeczki i sprawa wzruszenia ramion), Roman, obserwując ów telewizyjny zlot czarnoksiężników, był nadmiernie uwrażliwiony, wręcz rozdygotany i niepotrzebnie „przegrywał wojnę nerwów”, jak to określano wówczas w Warszawie. Nie należało bać się przesadnie czy jakoś mistycznie, demonizując rzeczywistość: „situacja jest groźna ale niepoważna” miał powiedzieć wielki rabin Wiednia, gdy Hitler wkroczył do stolicy walca i to powiedzenie dobrze oddawało istotę nieporozumienia, jakie wywoływał totalizm, nieporozumienia, wynikłego z faktu, że niektórzy, nieuprzedzeni ludzie skłonni bywają rzeczywiście mylić ilość z jakością. Jeśli na przykład ktoś z waszych znajomych przestaje nagle mówić lecz zaczyna porozumiewać się z otoczeniem za pomocą niezrozumiałych znaków, jest to wypadek zabawny. Jeśli większa grupa waszych znajomych zaczyna robić to samo, rzecz staje się mniej zabawna, nabiera bowiem jakiegoś niezrozumiałego, niepokojącego, bo nieznanego wam znaczenia; gdy natomiast wszyscy ludzie, których widujecie, zmieniają potoczną człowieczą mowę na język magicznych znaków i robią wrażenie zdzieciniałych, wtedy już skłonni jesteście wpadać w popłoch, „złączenie na codzień realności z magią czy rzekomą magią wydaje się wam bowiem czymś demonicznym, ogólnym obłąkaniem, niemal końcem świata. A tymczasem rzecz ta, uprawiana masowo, nie różni się w zasadzie niczym od przypadku indywidualnego który budził w was tylko wesołość. — Nie sugerujemy się magią wielkich cyfr! — powiedział pewien kolega Romana, trawestując znowuż znany podówczas slogan gospodarczy. Zresztą w gruncie rzeczy cyfry nie były znów tak wielkie, wszakże magiczna mowa obowiązywała czynnie jedynie partyjną elitę i rzadko, mimo nieustających rocznic i obchodów, aplikowano społeczeństwu tak silną jej dawkę, jak wówczas, po sprawie czeskiej. W istocie zaś robotnicy, a już zwłaszcza chłopi, nie podniecali się zanadto, jakkolwiek mową, przyjmowali ją bądź to jako dopust Boży, bądź też jako zaaprobowany bierną jednomyślnością obrzędowy system wysławiania, którego używanie czy akceptacja zapewniają całkowity spokój i możliwość poświęcenia się bez przeszkód praktycznym sprawom dnia codziennego, te zaś ze swej strony toczą się własnym trybem, bo, mimo magii, cudów nie ma,

przy tym mała stabilizacja, jak rzecz określił poeta (*w Polsce powojennej nawet do diagnoz i definicji socjologicznych potrzeba poetów*) wymaga krzątania za pieniądzem, nie mówiąc już o pracy. Więc też mową umowną nikt się zapewne tak dalece nie przejmował, z wyjątkiem inteligentów piszących, takich jak Roman, fanatyków słowa publikowanego w dawnym znaczeniu tego pojęcia, długo nie chcących pojąć, że w dzisiejszym systemie ciężenia zmieniło ono swą funkcję, choć obecna jego rola wdrażana jest (*to także słowo z nowego języka*) stopniowo i etapami. Przez cały ten osobliwy powojenny czas Roman przeżywał wszakże rozmaite fazy, okresy nadziei i pracy, jakby powiedzieli dawni patrioci „organicznej”. Wydawało się czasem, że można zrobić coś dla Polski i jej kultury, nie używając fałszującej prostą istotę rzeczy magicznej mowy, potem jednak okazywało się zwykle, że mówienie takie jest jednak obowiązkowe, wtedy zdarzało się że Roman również próbował swych umiejętności w owej dziedzinie, usiłując łączyć realność z magią i dawne sposoby z teraźniejszymi. Skutek, jak zawsze w wyniku przesiewania słów przez sito urzędowej kontroli i cenzury okazywał się porażką, Roman miał później o to do siebie pretensję, pozostawał niesmak, przykry osad na dnie wszystkich innych myśli, wszechobecne poczucie szmacianości. A więc lepiej się nie włączać, trzymać się jakoś z boku, myśleć o własnych sprawach. Tylko że stawało się to coraz mniej zabawne: zaraz po wojnie, po okupacyjnej łaźni grozy, można było, choć to wyglądało na paradoks, żyć, pracować i urządzać się niejako na żarty, dla sportu — skoro ktoś urwał się z szubienicy i, pozbawiony wszystkiego, żyje w mieście zdruzgotanym na proszek („w drobny mak” — mówiono w Warszawie) to niby cóż gorszego jeszcze może go spotkać i dlategoż by nie pożyć trochę jak normalny obywatel, dorobkiewicz (pożał się Boże) i oportunistą. Zrobiono w tym okresie film a raczej, zdaje się, projekt filmu, zatytułowany „Robinson Warszawski”: oto człowiek, który po upadku Powstania i wyjściu z miasta wszystkich jego mieszkańców pozostał w Warszawie sam jeden, żyje w piwnicy i powtarza znane czynności, gesty oraz fazy bytowania Robinsona, konstruuje sobie przyrządy konieczne do życia, poszukując pożywienia a nawet w końcu, zapuściwszy się labiryntem piwnic i kanałów w dalsze strony, odnajduje swego Piętaszka. Film ten z jakichś tam maniakalnych, ideologicznych względów został później zmieniony, odwołany czy też wycofany, niemniej pierwotny scenariusz jego mocno utkwiał Romanowi w wyobraźni: życie Robinsona w zburzonej Warszawie, życie zaczęte na nowo, w nowych warunkach, po trochu na niby, to były owe pierwsze, dosyć nawet mimo wszystko junackie lata powojenne

— bądź co bądź egzystowali i budowali jakąś ogromnie co prawda dziwną Polskę, w której doktryna złagodzona została jednak przez zbawczy polski bałagan i przez ową solidarność ludzi co przeżyli, solidarność zwaną oficjalnie kumoterstwem a przez ówczesny dowcip określoną jako „ostatnie ludzkie uczucie po drodze do socjalizmu”. Bardzo daleko odplynęli od tych lat częstokroć nawet omal że beztroskich i na pewno braterskich, braterstwem tych, co wspólnie, w ostatniej już chwili urwali się ze stryczka! Beztroska z czasem minęła, przyszły nowe generacje, pozbawione wisielczych wspomnień a za to śmiertelnie poważne, wszystko się zmieniło, przestawiło, przekręciło i to nie raz — dużo razy, aż w końcu, w zgiełku przychodzących i odchodzących pokoleń oraz wielokroć zmienianych haseł, trudno się już było połapać i nastąpiła owa wysoce poznawcza choć do nikąd prowadząca pogoń i mieszanka myśli, którą Roman stwierdzał u siebie od paru lat.

Oczywiście, istniała w tym wszystkim sprawa strachu, czy raczej rozmaitych jego rodzajów, bo w poszczególnych latach i okresach różne bywały trwogi, fizyczne i moralne, polityczne i cywilne, tyczyły się przy tym coraz to innych ludzi czy grup ludzkich. Rządzący mają niewątpliwie pewną bardzo rozwiniętą intuicję: wiedzą czego się w społeczeństwie bać i czego będzie jeszcze trzeba się bać, wiedzą gdzie i jak lęgną się herezje, czyli tak zwane zboczenia i odchylenia ideologiczne, wobec czego tępią je z zapałem i już na zapas. Jeśli jednak w gorliwości tego tępienia przesadzą, to potępią później, owszem, również samą że ową przesadę, usuną paru swoich ludzi i złączą całą ofensywę na nowo w inną stronę, co zresztą jest zazwyczaj symbolem i odbiciem jakichś walk na samej górze, o których istocie szeroka opinia nie ma pojęcia, dba się bowiem bardzo, aby zewnętrzne symbole były zaszyfrowane i nie przypominały w niczym spraw, które symbolizują. Rezultat zmienności w tropieniu był wcale dobry, bo nikt nie mógł powiedzieć kiedy i jak zmieni się kierunek akcji, wobec czego nikt nie czuł się pewny siebie, każdy nosił w sobie straszka, który odzywał się czasem ni stąd ni zowąd w postaci czegoś lepkiego, drażącego, co wędrowało od kręgosłupa do gardła. Rzecz prosta, natężenie strachu bywało różne, a jego nosiciele zmieniali się, zależnie od etapu i naturalnie od wydarzeń kosmicznych, takich choćby jak śmierć Stalina.

Strach z minionego okresu był w gruncie rzeczy, jak wszystko zresztą, odbłaskiem — odbłaskiem tego, co działo się kiedyś w Rosji: nowi aktorzy w nowym języku znowu odgrywali starą sztukę. Związek z przeszłością okazał się przy tym podwójny, bo walki w Partii o władzę i o czystość linii też wywodziły się z dawnych spraw, powiązań i rozgrywek, które dzieliły lub łączy-

ły polskich komunistów w Rosji, pod okupacją, na frontach i li-cho wie gdzie jeszcze. Tak więc pretorianie walczyli między sobą o dawne sprawy, które profanom wiadome nie były, marszrutę wytyczano według tajnej mapy, znanej jedynie dowództwu sztabu. W rezultacie ów strach, znany z minionego okresu, teraz, po tak zwanym rozgromieniu reakcji, tyczył się już przede wszystkim komunistów, bo oni jedyni pozostali w grze, reszta przestała się liczyć — nie zrozumieli tego głupcy, wstępujący wówczas do partii. Dziś za to sytuacja zupełnie się zmieniła, gdy złagodzenie jakie nastąpiło po śmierci Stalina zostało przez różnych ludzi dobrej woli zrozumiane jako zachęta, wobec czego wkręcono ich w grę, ale, o czym nie wiedzieli, jako uczestników pozornych, figurantów — stąd bezpieczeństwo i spokój, lecz zarazem szmacianość ich sytuacji, szmacianość, której nie dostrzegali, bo po latach i wymagania się zmniejszyły i wiedza o przeszłości zanikła: ludzie skarleli, upodobnili się do uśmiechniętych marionetek. Kiedyś się strasznie bano, wszelkie dyskusje rozgrywały się na ostrzu brzytwy czy też wisały na cienkiej nitce, taka przynajmniej panowała atmosfera i psychoza — dziś zebranie partyjne to rytualny, tradycyjny odbłask tamtego strachu, to forma bez treści, dlatego takie to nędzne, choć, gdy ktoś przyswoi sobie zastępczą mowę, bezpieczne. Wydawałoby się, że Roman tęskni do dawnego strachu, do strachu cywilnego, przyjętego teraz na swój wyłączny rachunek przez dobrze zorganizowaną a hodu-jącą własne ambicje ideowe tajną policję. Rzeczywiście, w tamtej powojennej epoce zamętu i odradzania się z popiołów była jakaś wielkość, była i odwaga choćby straceńcza czy wisielcza — może już nigdy, myśli sobie Roman, nie da się zakosztować takiej wielkości, zastąpionej teraz na długo przez szmaciany uniwersalizm „małej stabilizacji”.

Ale wszystko to łączyło się ze sprawą ważniejszą niż liczne, zbędnie skomplikowane partyjno-psychologiczne rozgrywki i sztuczki razem wzięte, które przecież w ostatecznym rachunku były tylko jej konsekwencją, odbiciem, cieniem: ze sprawą historyczną, narodową, geopolityczną, jak ostatnio mówiono. Po prostu właśnie z coraz mniej i rzadziej po imieniu wspomnianą sprawą wprowadzenia do Polski po wojnie „ruskiego porządku”, którego symbolem stała się owa prawie trzystumetrowa biała piramida w sercu stolicy. Bo wszakże, gdy obserwowało się Salę Kongresową, zrywającą się z miejsc, aby hucznie oklaskiwać Wschodniego Maga, nasuwała się nieodparcie myśl o powtarzającej się po wiekach na nowej spirali dziejów tej samej sprawie: za Katarzyny Wielkiej sprzedajni magnaci i obałamucona prywatą szlachta kłaniała się w pas Moskwie, teraz robił to „lud

pracujący miast i wsi” w osobach swej, jak zapewniano, elity politycznej, zebranej pod specjalnie im na to wzniesionymi stropami Kongresowej Sali. Rosjanie dobili Polskę Piłsudskiego, Rosjanie też ufundowali Polskę Ludową. Co to znaczyło? Że carat był imperialistyczny — rzecz zrozumiała. Ale komunizm dzieło rewolucji rosyjskiej, mimo „internacjonalizmu” pozostający „ruskim” — to komplikowało i demonizowało całą sprawę: właściwie komplikując jednocześnie upraszczało — komplikacja polegała jedynie na wzbogaceniu palety różnych form strachu, wzbogaceniu jej o strach dla Polaków najnormalniejszy: strach historyczny, narodowy, strach przed przemocą, tkwiący w atawizmie i tradycji, a teraz powtarzamy jak najprawidłowiej w polskiej epoce Marksa i marksizmu. Dziwne? Nie — to jedno właśnie nie było dziwne. Dziwne jest raczej to, co wyczyniali między sobą Polacy, którzy sami po pierwszym zewnętrznym impulsie, zbudowali ten absurdalnie zawikłany labirynt, w jakim się teraz gubili.

Rosjanie, Rusczy, Moskale, „Moskaliki”, jak ich pieśczośliwie a pomniejszająco nazywano w gronie przedwojennych przyjaciół Romana — to też kwestia tak paradoksalna, że aż wręcz zabawna, choć, po Hitlerze i w czasach atomowych, nikomu już w tej części czy raczej zakątku świata nie było do śmiechu. W istocie, broń zwana nuklearną, a mogąca rozwalić w kawały nie tam jedno jakieś milionowe miasteczko, lecz całe potężne kontynenty, broń, którą nieszczęsne amerykańskie dudki miały po wojnie w ręku, długo nie potrafiąc zrozumieć co ona właściwie znaczy i rzucając ją jak najbezsensowniej w świecie na konającą, obałamucaną przez Mikada i samurajów Japonię — ta więc broń, hiper bomba i bomba bomb, była jakby stworzona dla uzbrojenia w nią Rosji, kraju przez swą doktrynę i jej pryncypalnie biurokratyczną realizację w ciągu długich lat niezdołnego do rozwinięcia wszechstronnej nowoczesnej produkcji towarowej, lecz jednocześnie, dzięki swemu dyktatorskiemu a fanatycznemu ustrojowi potrafiącego odjąć sobie od ust masło, chlebek czy inne nieważne drobiazgi i skoncentrować wszelkie środki na jednej sprawie, właśnie na jakiejś, nieznannej zresztą ogółowi, tajemniczej broni: atomowej, wodorowej, kobaltowej, uranowej czy licho wie jakiej. Pewien australijski fizyk, który brał udział w konferencji naukowej w Moskwie, a potem opisał swe wrażenia, powiedział: — Wierzę w zupełności, że Rosjanie mogą polecieć na Marsa, ale nie wierzę absolutnie, aby kiedykolwiek udało się zamówić telefonicznie na dwa tygodnie wcześniej miejsce sypialne z Moskwy do Soczi. W tym żarcie zawiera się wszystko: Zachód na produkcję i wygodę, Wschód na misję — nie wiadomo co okaże

się skuteczniejszą sprężyną historii, zważywszy, że ludzkość hodowała w sobie zawsze skłonność do fanatycznego wariowania i że nowe, dziecięce narody tak zwanego Trzeciego Świata, przyzwyczajone do nędzy i do obrzędowego dudnienia czarodziejskich bębnów, łatwo złapać mogą bzika ideologii czyli bakcyła krucjaty, wcześniej, zanim dojdą, do nich amerykańskie cuda wygody. Idea to rzecz piękna i fascynująca, zwłaszcza dla władców (*wśród młodych ludów ideału mieszczańskiej demokracji nie uświadczysz — są tam tylko narodowi bohaterzy*), dobrobyt natomiast bez idei wygląda nieciekawie — któżby z ambitnych, spragnionych władzy plemiennych wodzów się do niego zapalał. I oto, paradoksalnym zrządzeniem Matki Historii (*kpi sobie ona z ludzi na potęgę, warto by choć raz i z niej zdrowo zakpić*) marksiści proponują młodszym braciom nacjonalistyczną walkę i fanatyzm ideologiczny do ostatniej kropli krwi, podczas gdy burzuje kuszą dolarem, autami i mirażem mieszczańskiej wygody. Co jest atrakcyjniejsze dla „najlepszych synów narodu” (każdego)? Wiadomo — idea. I dopiero po zwycięstwie tak zwanych sił rewolucyjnych okazuje się, że teraz nagle nie ma już ani jednego ani drugiego, ani światoburczej idei ani mieszczańskiego dobrobytu — jest tylko nieudaczność i szarżyzna małej stabilizacji, za jedyną zaś rozrywkę służy papierowa magia haseł i sloganów a czasem (to już rozrywka nie dla wszystkich) totalizator wyścigów o władzę rozgrywanych na tajemnych torach partyjnej góry. O rety — cośmy sobie narobili! Ale już jest za późno, odwrotu nie ma — trzeba się było wcześniej pytać tych, co JUŻ WIEDZĄ, pytać Polaków, żyjących z Rosją o miedzę (częstokroć zaoraną), żyjących tak dosyć już długo, marne kilkaset lat. Tylko że w tym dziwnym świecie nikt z Zachodu nie chce się pytać, zaś nikt mieszkający na Wschodzie nie kwapi się, aby informować. Roman zetknął się był niedawno ze sławnym hamburskim dziennikarzem, Żydem niemieckim przedwojennego typu, o poglądach bardzo lewicowych; w popularnym, burżuazyjnym jak mówiono w Polsce, tygodniku pisywał on felietony wręcz komunistyczne, co ogromnie podniecało Niemaszków, pół republiki Federalnej czytało te jego artykuły z wypiekami na twarzy, zachwycone ich niekonformistyczną śmiałością, drugie pół domagało się raczej powieszenia autora, co, jak zawsze wśród sytych liberałów, robiło mu tylko doskonałą reklamę. Po półgodzinnej rozmowie Roman wiedział już z kim mówi: ten człowiek nie miał zielonego pojęcia o niczym, w Rosji czy w Chinach nie był i nie wybierał się tam, a fakt, że w Warszawie są sklepy i autobusy, nie ma zaś na ulicach białych niedźwiedzi, czołgów i enkawudystów w futrzanych papachach, uspokoił go w zupełności, napełnił optymiz-

mem i dalszą wiarą we własne poglądy. O ty ośle, potrójny ośle! A takich dudków, przeróżnych Sartre'ów, Aragonów, Russellów w zachodnioeuropejskim rezerwacie nie brakuje, w dodatku rewolucja to w ogóle pomysł inteligencki: któż jak nie dialektyczni erudyci, doktorzy nauk tudzież poeci zmajstrowali tę sztukę w Rosji i Chinach?

Ale lud rosyjski, choć długo rządzony przez biesowatych inteligentów, miał dziś na pewno organiczne już poczucie misji — narodowej i ideowej: idea rewolucji stała się ruską wiarą państwową, mimo pewnego wkładu trewirsko-londyńskiego brodacza zadecydowała tu wszakże „cierpliwość rosyjska”. To jest już na pewno w ich odczuciach i ambicjach idea całkiem własna, rodzima a przodująca, jak będzie trzeba rozniosą ją po świecie na czołgach (już nie „na bagnietach”), tam, gdzie im każą — są przecież mocarstwem. Mamy więc dzisiaj jeden przynajmniej naród z misją, naród przekonany o swej posłanniczej roli, przyczynia się do tego izolacja, fakt że stworzono tym ludziom zamkniętą Wielką Prowincję, że nie wyjeżdżali ze swego gigantycznego zamknięcia przez lat pięćdziesiąt, a raczej chyba naprawdę pięćset. W Rosji było źle, Rosja żyje w wielu dziedzinach o dwie epoki w tyle, ale Rosjanie są pewni, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej — perfidnie a przemyślnie ich w tym utwierdzano, przedstawiając Zachód jako jedną wielką krainę nędzy, strajków, zbrodni i rozpusty. Rosjanie nie kłamią tak jak instynktownie świadomi wielostronnego skomplikowania każdej rzeczy Polacy, Rosjanie myślą, że mówią prawdę — w tym także ich siła. Poszczególny ruski człowiek łagodny jest i przyjacielski — natomiast batalion posłusznych a nieznających świata muzyków z misją robi się straszny i teraz dopiero nabiera wagi owa kiedyś wygłoszona mowa Stalina o ideowej armii. Dziwy to w ogóle — dziwy. I po co komu to wszystko było potrzebne — ale już sprawy cofnąć się nie da, chociaż przed laty tysiące razy nadarzała się okazja, aby to zrobić. Chruszczow, jedyny car radziecki, który lubił dowcipy, powiedział kiedyś, gdy pokazywano mu wzorowe duńskie rolnictwo: „Jeśli mam do wyboru nawozy sztuczne i socjalizm — wybieram socjalizm”. Ano właśnie.

Roman ujrzał Rosjan we wrześniu 1939, gdy wkroczyli zajmować Polskę aż do linii Bugu, uzgodnionej uprzednio z Hitlerem — tragiczne i niepojęte jak dusząca senna wizja w biały dzień było to spotkanie. Potem rozstał się z nimi na długie pięć lat, aby znów ich dla siebie odkryć w 1945, w owym podwarszawskim miasteczku, gdy przynieśli ludziom wybawienie od obłąkańczej hitlerowskiej śmierci, a jednocześnie, z pomocą polskich komunistów, ufundowali tutaj filję swojego czerwonego imperium.

Tak więc wojna w ich obecności się tu zaczęła i na nich skończyła. Roman, ku oburzeniu swych kolegów z konspiracji sądził, że tak czy owak „Ruscy” mieli jakoś do swej rekompensaty prawo: dosyć ich wyginęło, w końcu krew zawsze tłumaczy się na politykę. Niebieskoocy prostoduszni ludzie w futrzanych czapach, przybywający tu z Wielkiej Prowincji częstokroć na anglosaskich czołgach, mniej na pewno byli irytujący, niż polscy komuniści, co po paru ledwo latach schlebiania narodowi, jako tako zasiadłszy w siodle jęli się ogromnie puszyć i nadymać, przechwalać co sił swym odblaskiem władzy — Polacy nie umieją się ustrzec przesady i sami z siebie popadają w bizantyzm. A jądrem sprawy byli przecież Rosjanie — dziwny, wewnętrznie spreczny, rozdwojony naród. Najpierw wycierpieli się jak nikt: carat, dyktatura czynowników, wojna światowa, rewolucja, wewnętrzna charatanina między Białymi i Czerwonymi, wreszcie straszliwe rządy Sekretarza Pierwszego i oto na świętą, zanurzoną w cierpieniu Ruś zwała się miliony ton żelastwa i stali, gigantyczny ciężar hitlerowskiej maszyny śmierci. Co winien naród, który tyle wycierpiał, że musi teraz nieść cierpienia innych, być oswobodzicielem i zakuwać na nowo, co winien lud, który uwierzył wyrafinowanym filozofom-inteligentom, że jest nosicielem idei zbawiającej świat, gdy oto idea owa w zastosowaniu okazała się przeciwieństwem samej siebie? Dziwna to sprawa, dziwny naród, bo dwoisty. I znów Mickiewicz okazał się prorokiem, choć świat nigdy nie pytał się Polaków co sądzą o swym wschodnim sąsiedzie, irytując się co najwyżej, że toczą oni jakieś zbędne walki, powstania i nie chcą się godzić z losem — podobnie zresztą świat denerwował się na przykład Irlandią: cóż za uparci ludzie, dlaczego oni nie chcą być Anglikami?! (nawet Roman łapał się na takiej myśli). Ale teraz, gdziekolwiek na owym Zachodzie zaczęto wreszcie po trochu rozumieć, że nie szło tutaj tylko o anachronicznych Polaków i ich fobię czy uraz, że sprawa jest światowa, tak jak i z Hitlerem. A jaka sprawa? Trudna, podwójna, demonicznie dwoista. Oto jak o zakutym w okowy rosyjskim narodzie pisał przed stu kilkudziesięciu laty naczelnny polski wieszcz, co nigdy nie był w Warszawie, Rosję za to znał niezłe, kwaterował w Paryżu, umarł w Konstantynopolu, aby po śmierci znaleźć się w Krakowie.

*„Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakież z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudnej nocy plemie?”*

I oto minął wiek, wszystko stanęło na głowie, tymczasem

sprawa tego wyboru nadal jest aktualna — Roman nie sądził, aby narody zmieniały się tak szybko, a już całkiem nie trawił podziału historii ludzkości na dwa etapy: do chwili zastosowania przez Lenina marksistowskich teorii w życiu Rosji i od tej chwili. Rzekomo człek klasowy był inny niż bezklasowy, tak jak człowiek od pasa w dół i w górę. Komunistyczni apologety, którzy wyroili się po wojnie w Polsce, w tym nie znającym dotąd komunizmu kraju, kumkając jak żaby po deszczu, bardzo by też radzi byli zacząć nową epokę, podzieliwszy wszystko na dwie (nierówne) połowy, ale nic z tego nie wychodziło, bo nowi ludzie epoki komunizmu choć przemieszani, uprzemysłowieni, awansowani, kształceni (*szło tu wszystko na pewno lepiej niż w nie-szczęśliwej, naprawdę rewolucyjnej Rosji*) okazali się hurtem bądź mieszczańscy bądź po szlachecku sarmaccy i nic, jak na razie, poza intrygami, karierowiczostwem tudzież ogólnym skarleniem z całej partyjnej akcji przerabiania dusz nie wyszło, tyle, że jedno, na okupacyjnym, żywiołowym (bo nieuniknionym) bohaterstwie wychowane pokolenie młodzieży wzięło rzecz na serio, przypłaciwszy to bolesnym choć i komicznym zawodem, gdy następca Sekretarza Pierwszego z prostotą ujawnił owe zgoła wytłumaczalne, pełne grozy, mimo iż całkiem techniczne szczegóły czarnoksięskich sztuczek i straszeń tamtego. Po owym fakcie poszło już tutaj wszystko całkiem w polskim stylu, to znaczy z niewiarą w ruskie czary i maskującą się wielkimi słowami prywatą. Co innego Rosjanie: to naród pryncypialny, który woli przeżyć tragedię niż komedię i raczej uwierzyć w błędy i zbrodnie cara, niż w bzdurność samej idei caratu. Naród naprawdę wzniosły, a gdy się już sam z siebie śmieje, to przez łzy.

Ale Rosjan w parę zaledwie lat po wojnie przestało się w Polsce widywać: olbrzymie garnizony sowieckie pochowały się gdzieś po lasach i dziurach, w dużych miastach ich nie było, dla oka wszystkie powtarzane tutaj etapy czarnoksięstwa produkowali na pozór sami Polacy (kot i musztarda). Granica ze Związkiem Radzieckim trwa obecnie, mimo sojuszu, groźnie strzeżona i tajemnicza za swoimi setkami kilometrów naelektryzowanych drutów, Roman wspominał nieraz, że przed wojną, służąc w wojsku na kresach, więcej widywał Rosjan, białych i nie białych, więcej słyszał śpiewnej ich mowy, niż teraz. Wymagało to wszystko dużych starań i można już było myśleć sobie o większej zręczności nowej Rosji z jej precyzyjnie chytrą dyplomacją, z jej czapką niewidką i aparatem do niezauważalnie skutecznego przetwarzania cudzego życia na odległość i tranzytem, można też było ulec dialektycznej sugestii, że Rosjanin bezklasowy rzeczywiście inny jest zgoła od klasowego, gdy oto nagle (bo wyrósł szybko)

Nowy Sobór czyli Pałac wśród wyburzonej Warszawy naiwnością swej koncepcji przekreślił wszystko a także przypomniał wszystko.

Pałac okrążony został potem Placem Defilad, plac zaś ten stał się dla Romana czymś ważnym, właściwie coraz ważniejszym, gdyż zarazem i ową rupieciarnią pamięci i syntezą nowego ze starym, boć stare mimo dookólnych zniszczeń, otwierających w środku miasta gigantyczny zasób przestrzeni, przeskoczyło jakoś nad przepaścią wojny, prezentując się gdzieś tam w swych trwających jeszcze fragmentach i ułamkach a także okazało się tłem dla wielomiesięcznej promenady, w trakcie której Roman odwiedził wraz z Bluzeczką kolejne stacje zazdrości, od fazy normalnej, używającej i wzmacniającej miłość, aż po kurczową, nienawistną, niszczącą wszystko, tak jak wojna zniszczyła okolice starego Dworca Wiedeńskiego. Była to obustronna zazdrość o wiele rzeczy: o dzisiejsze osobne życie, o równie osobną przeszłość, o inny świat wspomnień, o odmienną wiedzę i odmienność reakcji, o inną wizję Polski i w ogóle codzienności — zazdrość, która musi stać się nienawiścią. Największy plac w Europie dostarczył więc tła, jak niegdyś molo czy „Srebrny Jar” w C..., tyle, że nastrój nad morzem był jednolity, zresztą trwało to wówczas krótko, tu zaś, na tym paradoksalnym placu o czterech różnych stronach czy ścianach, Roman z Bluzeczką przeszli ewolucję: od samotności we dwoje w załomach Wielkiego Miasta u stóp olbrzymich kolumnad „ruskiej Grecji” i na rogach pustych w zimową niedzielę, przewianych wiatrem ulic, ścielących się za pałacowymi balustradami, aż po podniecający, wczesno wiosenny zmierzch, rozświetlony warszawską skromną ale przyjemnie złocistą galą ulicznych jarzeniówek i neonów, a potem amfiladą świateł, zapalających się kolejno w kwadracikach okien niezliczonych mieszkań wielkich bloków, zmierzch, kiedy brodząc i potykając się wśród gwałtownie falującego w różne strony tłumy przechodniów obrzucali się jadowitymi wyrazami nienawiści, z których każde mogło już być zerwaniem, co i wreszcie się stało: — człowiek nigdy nie wierzy, że jakieś kolejne wydarzenie cyklu może się okazać ostatnim, ale gdy się tak już zdarzy, sądzi, że rzecz przewidywał, lub że była ona do przewidzenia. W istocie ilość przechodzi przecież w końcu w jakość, z okna bezkarnie się wychylać można tylko do pewnej granicy.

Na tym więc placu działy się owe wszystkie historie a także jeszcze wiele innych. Oczywiście — Pałac i jego kolumnady i nawet umieszczone poza nimi wewnątrz gmachu kina grały w tym swoją rolę, ale nie było tu na ogół żadnego cerkiewnego demonizmu, który nawiedzał Romana tylko czasami, jak właśnie wtedy, po wszystkim, w czasie sprawy czeskiej, Zjazdu i długiej,

tygodniowej wizyty Wschodniego Maga w Warszawie. Na co dzień rzecz dawało się uwolnić z władzy demonów, posługując się do tego zabiegu najnormalniejszym w świecie: rozsądkiem historycznym. Roman nie wierzył w upadek Czerwonego Imperium za swego jeszcze życia, ale doświadczenie mówiło mu, że czas kruszy wszystko i że dzieło ludzkie jest jak ów naładowany worek, który prędzej czy później pęknąć musi, choć często nie wiadomo w którym miejscu — wystarczy tylko czekać i mieć cierpliwości na okres większy niż dwa, trzy lub cztery pokolenia. A co do trwałości olbrzymich gmachów, konglomeratów kamienia, metalu, cegieł, szkła, drzewa i wszelkiego spoiwa? Stały dotąd piramidy i sfinks, stały ruiny Aten i Rzymu (te ostatnie zapobiegliwie a interesownie podpierane) lecz był i przypadek inny, Roman wyczytał mianowicie w historii Bizancjum, jak to wódz arabski, późniejszy kalif Syrii Moawija napadł i splądrował w roku 654 wyspę Rodos i oto „... słynny kolos rodyjski, który skutkiem trzęsienia ziemi spadł wprawdzie w cokołu już w 225 roku przed narodzeniem Chrystusa, ale wciąż jeszcze był zaliczany do siedmiu cudów świata, został sprzedany na złom pewnemu kupcowi żydowskiemu z Edessy; do przetransportowania na statki tej masy metalu trzeba było aż 900 wielbłądów”. Zatem nic niemożliwego i nic nowego pod słońcem: wprawdzie kupca żydowskiego pewno już w Warszawie nie będzie, a i o wielbłądy tu nie łatwo (*choć Roman jako dziecko widział podczas Bitwy Warszawskiej 1920 kroczące po ulicach Warszawy, zdobyczne na Mongołach, dwugarbne wielbłądy*), to jednak znajdują się sposoby. Znajdą się sposoby... aby tylko — drobiazg — aby tylko historia zechciała odprawiać swe nudne formalności krócej nieco, niż dwieście, trzysta lat. Pomyśleć, że siłą napędową owej niedorzecznej sprawy, zwanej historią było ludzkie pragnienie władzy a tymczasem władzę sprawuje się tak krótko: Hitler rządził lat dwaście, Sekretarz Pierwszy ledwo dociągnął do trzydziestu, rachunki za nich płacić się będzie natomiast przez całe wieki.

Takim oto zabiegiem psychicznym, łączącym rozsądek z wyobraźnią (*pewien powojenny premier brytyjski powiedział, że polityka jest sztuką możliwości ale także świadomością niemożliwości*) usuwał sobie Roman z Placu Defilad ów nieszczęsny pałac, z którego schodów, balustrad, wykuszów i kolumnowych pawilonów przyjemnie zresztą acz bezinteresownie korzystał. Oczywiście należało się w tym celu odpowiednio ustawić: tak w myśli jak i na zewnątrz — w przestrzeni. Na przykład, gdy o zimowym zmierzchu, zanim jeszcze zapalono światła jechało się tramwajem czy autobusem od strony Dworca Głównego, Pałac całkiem goły, nie ugarnirowany zielenią czy wiosenną mgiełką,

wydawał się pozerającym miasto, mechanicznie bezdusznym molochem, zasłaniającym sobą pół nieba. Jakżeż inaczej bywało z bliska, gdy pogrążony w swoich myślach i sprawach człek zawieruszył się między alejki, schody, bruki, patrząc nie na pałac, lecz na jego dalekie otoczenie, na warszawskie mury i ich spiętrzenia, na ruiny i nieskończone, powietrzne perspektywy znajomych przecie z dawnych czasów ulic. Pozostawał wtedy oto osobliwie piękny (chyba tak?) plac bez pałacu, plac realny ale i zmieniony przez pracę wyobraźni, podobnie jak przemianie uległo opuszczone po sezonie uzdrowisko C..., plac, który stawał się w zimową również poranną niedzielę pustym królestwem, gdzie panowali sobie bez przeszkód Roman wraz z Bluzeczką. Dlaczego w zimową niedzielę bywało tu tak pusto? Z dwóch przyczyn; jedna z nich społeczna jest i narodowa, a druga bardzo dziwna i ogromnie dotkliwa, sięgająca w sposób dojmujący rdzenia sprawy, nad którą należało wzruszyć ramionami: że mianowicie w tym mieście i w tym kraju, mimo postępu, rozwoju, rozbudowy, odrodzenia, nic w istocie nie dzieje się autentycznie, w jakiś bowiem sposób wszystko odbywa się NIE NAPRAWDĘ.

Ostatecznie do tego, iż rzeczy dzieją się na niby można by się przyzwyczaić. Mówi się jedno, myśli się inaczej, a robi jeszcze coś trzeciego, w dodatku, mówiąc, ma się od razu świadomość niezgodności słów z rzeczywistością, owej stałej względności czy zastępczości wszelkich nazw, można więc, choćby mówiąc nieprawdę, formułować ją za każdym razem tak, aby ci co słuchają potrafili sobie zdać sprawę, w jakiej proporcji rozmiijamy się z rzeczywistością: w ten sposób strzelec, posiadając karabin, znośzący w bok jest zawsze w stanie stosować poprawkę, to znaczy celować w inne miejsce niż chce trafić, wiedząc, że wtedy właśnie trafi. Do tego, że słowa w określony sposób mijają się z prawdą można przyzwyczaić całe społeczeństwo tak, że nikt już nie będzie się dziwił językowi, nazywającemu rzeczy i sprawy odwrotnie do ich przynoszonej przez postrzeganie sytuacji — co najwyżej jakiś przypadkowy podróżnik mógłby zostać zaskoczony tutejszym sposobem mówienia i przypuścić, że znalazł się przez chwilę w wielomilionowym domu wariatów, w którym wszyscy przekrzykują się wzajemnie, głosząc chwałę tego co nie istnieje, na przykład piękność szat gołego króla. Ale tylko naiwny cudzoziemiec by się dziwił, w dodatku musiałby znać język polski i współczesną jego mutację, czyli dwa języki polskie, co nie jest możliwe, bo zbyt trudne, trudnością przy tym bezowocną — tubylcy natomiast, nie dziwią się zgoła i niczemu: starsi, bo znają pierwotną pra-przyczynę i następujące po niej stopniowe fazy przemian lingwistyczno psychicznych, młodszy, bo się już w tym

stanie rzeczy wychowali i uważają go za najzwyczajniejszy w świecie, w dodatku za najzwyczajniej i najmilej (bo młodość jest zawsze najmilsza) ciepły. Roman siedział kiedyś w pewnym prowincjonalnym teatrze na galerii wśród młodzieży uczniowskiej i harcerskiej — była to grzeczna, ładnie ubrana i pełna dobrych intencji młodzież, zupełnie jak ta przedwojenna, wychowana na konformistycznych ideałach streszczonych w haśle „Bóg i ojczyzna”, tyle, że Boga teraz skreślono i, choć tolerowanego, wstydliwie jednak pomijano, ubóstwiając za to niemniej gorliwie różne rzeczy świeckie. No cóż — każde pokolenie chce mieć swoją jasną młodość, a jeśli nawet oparta by ona była na kłamstwie, to po pierwsze nic to nie szkodzi, bo każdy pretekst jest dobry, po drugie zaś, trudno określać jako kłamstwo coś, w co na danym obszarze wszyscy wierzą lub wierzyć będą, jeśli zaś na innych obszarach panuje inna wiara, to życzyć sobie należy, aby Bolszewicy poszli jak najprędzej na Zachód (a my z nimi) bo wtedy wszędzie zapanuje jedna wiara i wiara ta, nie kwestionowana już przez żadne porównania, stanie się prawdą — prawda bowiem to po prostu pewna konwencja słowna. Tak przynajmniej wyklarował szeroko całą sprawę ów zadziwiający Kazik B..., spotkany nad morzem za drugim grudniowym pobytem, co niewątpliwie wpłynęło również na niejasną decyzję Romana. Ale to było potem — choć „przedtem” i „potem”, jak to Roman wielokrotnie teraz stwierdzał, utraciły już swą funkcję zasadniczych kategorii, zasadniczych przeciwieństw, złąży się ze sobą, przeniknęły wzajemnie.

Tak czy owak, ludzie starsi w tym kraju mądrzejsi byli od każdego cudzoziemca, znali bowiem podwójne czy nawet potrójne znaczenie słów, a także kilka konwencji, zwanych prawdą, na przykład prawdą historyczną: zewnętrznym symbolem przemian prawdy historycznej mogły być zmiany nazwy sławnego warszawskiego placu, na którym stał kiedyś ów wielki jak góra lodowa z białymi niedźwiedziami — sobór. Na przestrzeni zaledwie trzydziestu lat nazywał się on kolejno: Plac Saski, Plac Marszałka Piłsudskiego, Plac Adolfa Hitlera, Plac Józefa Stalina, a teraz dość enigmatycznie, Plac Zwycięstwa. I pomyśleć, że był to przecież ciągle jeden i ten sam plac!

Owa przewaga, posiadana tu przez starszych ludzi nad prostodusznymi cudzoziemcami nie miała wielkiego znaczenia w tak zwanym, po handlowemu, obiegu wewnętrznym, toteż niejeden wyzbywał się swej wielopostaciowej czy wielopoziomowej wiedzy, odrzucał starą, przedwojenną a raczej przedkomunistyczną konwencję prawdy, zdarzało się, że o niej po prostu zapominał, bo zjawisko, długo się nie materializujące i nie potwierdzające

przestaje w końcu być rzeczywiste; rzeczywiste istnienie lub nie istnienie, opierające się u człowieka jedynie na świadectwie zmysłów jest także pewną konwencją, rozluźniającą się lub zagęszczającą zależnie od częstotliwości postrzegania. Zdarza się też, że ktoś walczący o swoją prawdę i swoją rzeczywistość, nie napotykając bardzo długo potwierdzenia czy oparcia w otaczającym go zewnętrznym świecie, przechodzi nagle, w jednym momencie, do obozu wroga, przrzucając swą całą wiedzę o wypadkach na drugą stronę, stając się w ten sposób osobliwie silny, bo obojnacki, podwójny, niewrażliwy na ciosy i ataki z żadnej strony. Taki, między innymi, był chyba przypadek zadziwiającego Kazika B...

Przechowywanie w nowych czasach wiedzy czy konwencji dawnego typu mogło jednak niekiedy wyjaśnić człowiekowi to i owo, wyjaśnić na przykład, dlaczego ogromny Plac Defilad jest w niedzielne przedpołudnie zupełnie pusty, wyludniony i tylko, co najwyżej, wiatr unosi kłęby nie sprzątniętych śmieci — w socjalizmie nie bardzo wiadomo, kto ma je uprzątać, jest to bowiem czynność z jednej strony państwowa, z drugiej zaś wybitnie nie produkcyjna czyli „usługowa”, a więc państwo skąpi na nią pieniądze, brak też ludzi do tego nie nobilitującego trudu (*nobilituje tylko robotniczość, praca w przemyśle, w produkcji — nawet handel już nie*), ludzi, którym chciałoby się w niedzielę i za grosze babrać w śmieciach. Toteż Plac Defilad uprzątnany bywa rycałtem, przed wielkimi czerwonymi procesjami.

Ale nie o głupie śmieci czy błoto chodziło, tylko o odpowiedź na pytanie, dlaczego w niedzielę jest tu pusto? Odpowiedź ta brzmi nader prosto: dlatego, że wszyscy w Warszawie siedzą wtedy w domach, przy telewizorze, przy wódce, przy brydżu, co najwyżej rano wyskoczywszy do kościoła. A dlaczego tak robią, zamiast, jak nad Sekwaną, nad Wełtawą czy nad Dunajem, wmieścić się w wesoły, barwny tłum na bulwarach, promenadach, placach? Dlatego, że kultywuje się tutaj szlachecki styl życia i szlachecki, niedzielny przynajmniej kult indywidualnego domatorstwa. Te niedziele są odtrutką, neutralizują wymuszony na wiecach i „na zakładach pracy” kolektywizm: odpada teraz, w swoim domu, w gronie rodziny, potrzeba wszelkiej konwencji i maski, konwencji narzuconej i nierealnej, lud zaś zwłaszcza na dorobku, nader jest realistyczny. Życie polityczne to nie nasza sprawa, ktoś tam już pomyślał i zdecydował, jest chata (*nie przypadkowo ta wiejska nazwa stała się gwarowym określeniem warszawskiego mieszkania*), jest szkło, rodzina, kumple — można pić!

Nieszczęsny Karol Marks mówił dużo o wstępowaniu na tak zwaną arenę dziejów nowej, świadomej siebie klasy społecznej, z kolejnego przeplatania się tych klas zbudował cały swój profe-

tyczny system, który zresztą nie sprawdził się akurat w krajach najbardziej skapitalizowanych. Ale tu, nad Wisłą, panowała sobie w ogóle karygodna nieprawidłowość: żadna dumna klasa robotnicza nigdy tu na żadną arenę nie wstąpiła, bo długi czas prawie że jej nie było, a jak już się narodziła, to nieliczna i mało wpływała: ruch socjalistyczny w tym kraju, któremu to ruchowi dorabiano teraz na gwałt kilometrową legendę, zawsze prezentował się słabo, zaś masowego ruchu komunistycznego w ogóle nie udało się stworzyć, tylko sztab złożony w większości z semickich intelektualistów, z którymi Stalin rozprawił się po swojemu jeszcze przed wojną („*padli ofiarą prowokacji*” *pisano o tym tajemniczo a wstydliwie oraz nader rzadko warszawska prasa*). Słabe też wegetowało i w dużej części nie polskie mieszczaństwo, kapitalizm był minimalny, możnowładcy nieliczni, inteligencja urzędnicza cieniutka, jak warstwa pokostu. Któż więc nadawał przez setki lat ton i klimat w tym kraju? Dwie warstwy, czy jakby rzekł trewirski brodac, klasy: szlachta i chłop. A cóż to jest chłop? Zazdrosny antagonista szlachcica, wpatrzony pożądliwie w jego styl życia, styl, który chętnie by przejął, po trochu zresztą i ciągle to robiąc: chłop to po prostu szlachcic *in spe*, szlachcic nie uwłaszczony czy mało uwłaszczony. Stąd też pierwszy naprawdę liczny polski ruch ludowy, stronnictwo chłopów powstałe na początku stulecia w Galicji był, mimo swego radykalizmu rolnego, ruchem zachowawczym, a jego przywódca, parokrotny premier, głośny z tego, że zawsze, przy najbardziej uroczystych okazjach, występował w chłopskim stroju bez krawata, wielokrotnie łączył się z prawicą, za to nigdy niemal z socjalistami — jedyny raz, kiedy to zrobił, to gdy stanął na czele koalicyjnego rządu, mającego na celu... wyprzeć Bolszewików spod Warszawy. (*Słowna była wtedy bitwa, jedna z decydujących o losach świata, ale świat wcale tego nie zrozumiał i nigdy już chyba nie zrozumie, zwłaszcza że komunistyczni, sprawnie upolitycznieni historycy rzecz tę oczywiście pomijają kiedy tylko się da a znów na emigrantów nikt jak zwykle nie zwraca uwagi — takiego pecha do międzynarodowej reklamy ma zawsze biedna Polska*).

Kraj z prawicowym ludem — ciężki to orzech dla marksistów. Doświadczył tego na sobie pewien radziecki pisarz, który w swej epopei wojennej zatytułowanej „Burza”, gdy Armia Czerwona w walkach z Hitlerem zbliża się ku przedwojennym granicom Polski, przeniósł akcję do... Rumunii, wiedział bowiem dobrze, stary cwaniak i wyjadacz, że moloch propagandy dziwną sytuacją tego kraju wcale a wcale się nie pożywi. Rzeczywiście, nastąpiła tutaj istna parodia rewolucji: aby stworzyć dynamikę dano chłopu szlachecką ziemię, ale ziemi tej było już niewiele, chłop zaś

przyjął rzecz nieufnie, bojąc się kolektywizacji; rzeczywiście zaraz potem zaczęto zwalczać chłopską szlachtę czyli tak zwanych z rosyjska kułaków, nie rozumiejąc, że w ogóle każdy chłop jest potencjalnym szlachcicem, a także na gwałt stwarzać wyłaniający się z niebytu proletariat. Wszystko na odwrót, istna komedia omyłek, spowodowana przez mechaniczny fanatyzm (też zestawienie!) aplikujący tutaj dziwną wiarę, stworzoną w innej epoce i innym kraju. A to ci heca — lecz nikt się jakoś nie śmiał, udając, że traktuje rzecz z całą powagą.

Roman wyobrażał sobie służącego, który bynajmniej nie pragnie zniesienia instytucji służby ani ubrania lokajów w socjalistyczną liberię, lecz po prostu — chce samemu być panem: oto Polska. Nie ma tu żadnej klasy dumnej ze swej klasowości, jest po prostu wielka armia potencjalnych dezertarów. W tym kraju przez wieki chłopci służyli szlachcie, urzędnicy i mieszczenie możnowładcom, potem wszyscy służyli Rosji i Niemcom, a teraz wszyscy postanowili zostać szlachtą. Dlatego też pewno Plac Defilad w niedzielę świecił przestrzenną bezludnością: ludzie siedzieli w domach, wyosobnieni, w swoim sosie jak na własnym folwarku lub jechali za miasta uprawiać działkowy ogródek — jeszcze jedno dziedzictwo chłopsko-szlacheckiej tradycji. W Warszawie żyła szlachta przybrana w czerwoną liberię, zrzucaną na niedzielę, kiedy to tworzył się tutaj mikrokosmos imaginacyjnych folwarków czyli Wielka Prowincja.

Istotą ludzkiej pustyni, jaką wytwarza kolektywizm, jest odebranie poszczególnym ludziom prawa do twórczości, jako że wszelka ludzka twórczość dokonuje się poprzez materię, dobra materialne, w oparciu o nie. Skoro nikt niczym, poza osobistymi rzeczami nie dysponuje, to nie może w swej pracy zawodowej być twórcą ani mieć nadziei, że nim będzie: ludzi zresztą roztropnie wciąż tasowano, przestawiano, przenoszono, aby nikt w swym biurze czy fabryce nie wyobrażał sobie, że coś indywidualnie tworzy: twórczość zarezerwowana została dla manewrującej masami grupki wybrańców (czyich?!) na górze. Ten stan rzeczy w Polsce łagodzony był przez pozostawienie we względnym spokoju indywidualnych chłopów, co właśnie karmiło sobą ów szlachecki styl życia prywatnego, za to robotnicy, grupa sztanदारowa, nie mieli w ogóle nic do tworzenia ani do mówienia. Toteż w robotniczo-urzędniczej Warszawie nikt niczego indywidualnie nie tworzył, co najwyżej próbowały to robić resztki „prywatniarzy”: ci byli wprawdzie potrzebni, ale zatruwano im życie, nękając ustawiczną huśtawką umyślnie wciąż zmienianych przepisów, i, pozostawiając pieniądze, dbano aby utracili wszelki nimb, aby byli osamotnieni, wyjątkowi, a przez to w odzwyczajonym

od indywidualnej pracy tłumie, otoczeni pogardą; Polacy lubili pogardzać mniejszościami. Rzecz się udała, mimo indywidualnej szlachetczyzny nikt tu już nie miał aspiracji do indywidualnej twórczości, przeciwnie, wolał chować się za innych, zniknąć w tłumie, aby tylko niedzielną porą objawić się w swojskim zamknięciu jako solista. Tak więc, Roman czuł się w ustrojonej czerwonymi sztandarami stolicy coraz bardziej i bardziej zagubiony niczym w beztwarzowej, tłocznej, anonimowej pustyni.

Prawda, istniało przecież pisarstwo, jedyny teren, gdzie jeszcze, teoretycznie choćby, możliwa jest jakaś bezkarna walka o słowo zgodne z rzeczywistością, boć nawet tekst skonfiskowany do czyjejs tam świadomości dociera, choćby do świadomości cenzora. Ale i w tej dziedzinie aparat anonimowości uprecyzyniał się z każdym dniem, eliminując już z góry wszelkie indywidualne treści czy sądy, dotyczące dookólnego życia. Roman pracował teraz wiele nad scenariuszami filmowymi i słuchowiskami radiowymi, trudził się niczym doktor Żiwago, aby wlać tam odrobinę swojej treści, lecz widział jak zakłęty krąg tematyczny zacieśniał się niemal samoczynnie i z każdym dniem, wiedział, że przyjdzie czas, kiedy wszelki samodzielny osąd rzeczywistości, osąd z lekka choćby zaimpregnowany polityką, uznany zostanie za narodową zdradę. Kapitulował, stawał się swoim własnym cenzorem, pracował najpierw z gniewem i wstrętem, teraz nawet one się ulotniły, wygasły, pozostała tylko obojętność i rutyna. Szmacianość — czysta szmacianość.

Nie było zatem w życiu ani odrobiny, ani krzty wielkości — stąd pewno tak gwałtowne zafascynowanie sprawą Bluzeczki. Sprawa ta dawała wielkość odwieczną: mężczyzna i kobieta to rzecz ogromna, żyją przecież na świecie dwa gatunki ludzi, zaś ich wzajemne do siebie stosunki, ich konflikty, zderzenia, ich miłość wreszcie, to wielka tajemnica i wielka a dziwna prawda. Jest więc nagle czym zapełnić życie, intensywnością swej miłości zrehabilitować własną małość. Była to przy tym miłość bezdomna, jak w latach wczesnej młodości, gdy ze swymi dziewczynami błądził po warszawskich ulicach, gubiąc się we dwoje, z niepowtarzalnym zachwytem w wielkowiejskiej ciżbie. I oto nagle niepowtarzalne się powtarza: błądzą oto z Bluzeczką w tym samym, tyle, że o trzydzieści lat starszym warszawskim tłumie, błądzą też po niedzielnym pustkowiu przewianego wiatrami ogromnego Placu Defilad. A plac ten, choć wielkość swą zawdzięcza zniszczeniom, wyburzeniu całych dzielnic, ma jeszcze w swych przestrzennych ścianach dosyć śladów przeszłości, znaczących dla Romana, nieznanych Białej Bluzeczce. Błądzili więc nie tylko w prze-

strzeni, błędzili i w czasie, a podróż w czasie, podróż w przeszłość, to dziś jedyna chyba nie przynosząca bólu, zawodu, twrogi czy zawrotu głowy forma podróży.

XII

Tak więc, Plac Defilad, ta czarnoksięska retorta, w której przedziwną, szaleńczą wręcz sztuką historii mieszano po społu przeszłość, teraźniejszość i dawność, stał się dla Romana i Bluzeczki Krainą Błądzącej Miłości (*tak jak Hiszpania w imaginacji Don Kichota jawiła się jako kraina błędnych czy błądzących rycerzy*), a z czasem miał się stać Karuzelą Udręczeń — był to tytuł starego, przedwojennego filmu: na tym dziwnym placu to co stare odzyskiwało młodość, za to nowe obnażało swą beznadziejną, nie twórczą starość, jak choćby owe wyzbyte wszelkiej rewolucyjnej treści, konformistyczne dookolne pochody robotników z czerwonymi sztandarami, tak bardzo odpowiadające konformistycznemu usposobieniu młodej jeszcze wszakże duchem Białej Bluzeczki. „Módl się i pracuj”, wysmiewane niegdyś hasło polskiej prawicy, stało się dziś, na nowym piętrze historycznej spirali, nader aktualne, tyle, że modlono się do Partii i pracowano (*lub wykręcano się od pracy*) według wskazań, wykoncypowanych przez Partię. Nic w tym zresztą dziwnego: w każdej epoce należy się modlić i pracować według czyichś dyspozycji, a że dysponenci się zmieniają, to już nie jest sprawa pilnych i uważnych ludzi obowiązku — tak przynajmniej sądziła Bluzeczka, którą nieskromny negatywizm Romana i jego analityczna dociekliwość, usiłująca wykryć kto właściwie rządzi, drażniły niepomernie: z czasem uważać ją te zabiegi za maniakalne uroszczenia faceta starzejącego się i bezsilnego, za jakieś beznadziejne a męczące dziwactwo, dlaczegoż to nikt inny nie upierał się tak przy stawianiu owych całkiem zbędnych pytań, których jałowość zawierała się w samych już, czysto abstrakcyjnych sformułowaniach. Kto rządzi? Po prostu Sekretariat i Sekretarze, a skąd się wzięła i nazwa i istota ich władzy? Z historii — ta zaś odpowiedź winna być całkowicie zadawalniająca i niekwestionowana ani analizowana, jako że historia jest zupełnie oczywistym, monolitycznym, autorytetem, wystarczy po prostu żyć w jej cieniu, niszczącym zaś nonsensem jest ciągle, zarozumiałe usiłowanie życia z nią na co dzień, za pan brat: to tylko anachroniczny w dzisiejszej

epoce system parlamentarny dawał naiwnym mieszczanom złudne poczucie codziennej poufałości z historią, tutaj, we wzniosłej krainie Rewolucji złudzeń takich się nie żywi, są one niebezpiecznie rozkładowe, nie twórcze, działają na życie jak żrący kwas. Bluzeczka instynktownie negowała wszelkie jednostkowe ambicje intelektualne, mogące zniszczyć otaczające stosunki, wynikało to może właśnie z faktu jej młodości duchowej, z jej postawy pilnej uczenicy, dziewczyny co nie zna i nie ceni żadnych nadziei czy bogactw poza aktualnym życiem, w którego uspokajającej, codziennej pewności może jedynie czuć się dobrze. Roman i Bluzeczka znajdowali się przy tym obecnie w całkowicie odmiennych fazach: on przeżywał zmierzch wraz z jego retrospektywnymi wycieczkami w przeszłość i znużeniem terażniejszością, ona miała obecnie swoje południe i w żaden sposób nie chciała się go wyrzec: pragnęła przeżyć ten czas całą sobą, samodzielnie, tymczasem nie mogła przeżyć go w negacji, bo naturę miała afirmatywną. Jak szereg pokoleń zapobiegliwych polskich młódek pragnęła nade wszystko modlić się i pracować. A do czego się modlić, nad czym pracować — to już była sprawa Kierownictwa, ideologów, mężów stanu, nie zaś jej, szeregowego (i bardzo tą szeregową rolą zachwyconego) członka partii, tym bardziej również nie sprawa Romana, megalomańsko rozwichrzonego przez, jak sądziła, nadmiar przeżyć i wstrząsów, oraz, o czym była przekonana, anarchicznego niczym dawni Polacy z przebrzmiałych epok. Podobnie przedwojenna Sanacja uczyła ludzi ślepego posłuchu, strasząc ich widmem anarchii i „Liberum veto”, po czym, wraz z całą swoją narodową jednością poniosła okrutną klępkę — teraz jednak znów, jak to w Polsce bywa, na nowej spirali złudzeń, rozpoczynano całą rzecz *ab ovo*. Identyfikowanie dojrzałego i smętnego historycznego sceptycyzmu z dawnym, szlacheckim anarchizmem to była bzdura, ale taktycznie i psychologicznie skuteczna. „Po tej linii”, jak mówiono w partii, Bluzeczka stopniowo znenawidziła Romana, jako rzekomego dziedzica i nosiciela szlacheckich fumów — sama natomiast podkreślała ciągle, że pochodząc ze szlachty, opowiada się po stronie ludu, ludu którego zresztą okropnie się bała, czy to w tramwaju czy na ulicy, który uznawała jedynie w krzepiąco uporządkowanym pierwszomajowym lub innym pochodzie. To nawiązywanie do rzekomej szlachetczyzny Romana i jej było u Bluzeczki rezultatem specyficznej edukacji: należała do pokolenia, któremu wytarto z głowy jak ze szkolnej tablicy bezpośrednią polską przeszłość, a lukę zapełniono bądź zmyślnymi mitami o wielkiej rewolucyjnej partii komunistycznej, która przewodziła zawsze wielkiemu polskiemu proletariatu, bądź opowieściami o Polsce magnacko-szlacheckiej, gdzie tylko lud był

patriotyczny. W ten sposób, w wyobraźni Bluzeczki, po szlachet-
czyźnie nastąpiły bezpośrednio ludowe powstania narodowe, po
czym, już od razu Waryński, Róża Luksemburg i, po krótkim
incydencie z Hitlerem, „świetlana przyszłość” czyli obecna Epoka
Sekretarzy. Przy takiej historiozofii Roman ze swą powikłaną
wiedzą o dziwacznej Polsce i groźnie dziwacznej Rosji mógł się
w sprzyjających temu okolicznościach psychologicznych wydać
reprezentantem strupieszalej przeszłości, jeśli już nie zgoła demon-
icznym „mrakobiesem” (*tak między innymi określano w Rosji
początku lat pięćdziesiątych sławnego kompozytora Igora Stra-
wińskiego, co nie przeszkadzało, że w kilkanaście obrotów sło-
necznych później zjawił się on w Moskwie i Leningradzie nader
fetowany a także przyjęty przez Chruszczowa*). Oczywiście: demoni-
zowanie osoby Romana przez Bluzeczkę i później nagła, gwał-
towna nienawiść do niego, miały swe początkowe źródło w czymś
zupełnie przeciwnym, rzecz to zawikłana, jak owa sprawa z Ta-
tiana w „Urodzie życia”. Początkowo Bluzeczka czuła w Romanie
to, czego jej brakło, epokę, której nie znała, o której jej nie
uczono, stąd zainteresowanie jego egzotyzmem, jego wiedzą, jego
światem — związane z zazdrością „historyczną” a także zazdrością
aktualną, dało to w sumie ów jakiś ładunek pretensji, który
ekspłodował w odpowiednim czasie: bezpośrednim zapłonem
stała się tutaj urażona czy raczej wciąż urażana miłość własna,
bo Roman od pewnego momentu nie szczędził Bluzeczce drwin
na temat jej zagubienia i dezorientacji w dziejowym zamęcie
właśnie, powtarzając wielokroć, że ona nie wie gdzie żyje, po co
żyje, komu służy. I u niego zresztą siłą napędową była tu zazdrość:
zazdrościł jej w gruncie rzeczy życia, które przecież potępiał
i wyśmiewał, zazdrościł że jest autentyczne, młode i własne, tak
własne iż nigdy już nie mogłoby się przeciąć z jego linią. Była
też tam oczywiście wzajemna zazdrość realna, konkretna, o osob-
ne i odmienne kręgi czy atmosfery rodzinne, lecz Roman, po
rychłym, ledwo sięgającym roku zakończeniu odwiecznej komedii
miłosnej, którą jeszcze raz oto odegrali we dwoje, nie chciał
już o tym myśleć, wolał rozpatrywać tę sprawę wysublimowaną
w konflikt pokoleń i świadomości historycznych — ten to konflikt
w istocie stał się przecież znakiem firmowym tak szybko zrodzo-
nej nienawiści. Bo właśnie długie, krajoznawcze wyprawy wokół
Placu Defilad (w gruncie rzeczy wokół Pałacu Kultury), kiedy
to Roman opowiadał zasłuchanej Bluzeczce historię tego miejsca,
jego bruków, ruin i budowli, szybko zastąpione zostały przez
gwałtowny dialog inwektyw i oskarżeń, które wymieniali namięt-
nie, nie bacząc na otoczenie, na spowijającą wierzchołek pałacu
mgłę, na deszcz, wicher, słońce czy mróz, jakby byli sami na

świecie, budząc aż czasem zdziwienie nielicznych przechodniów, z obojętnym niedowierzaniem obserwujących przez chwilę tę nie-dobraną parę. I tak, właściwie nie wiedzieć kiedy, miłość przekształciła się w nienawiść, a wszystko w gruncie rzeczy odbyło się na Placu Defilad, czy w jego sąsiedztwie, u stóp przestrzennych, wielookiennych wieżowców Ściany Wschodniej i innych ścian największego placu w Europie.

Karuzela czy centryfuga udręczeń — centryfuga, bo chodziło się tu wkoło, jest to zresztą słowo, wśród wielu innych, ważniejszych, zapomniane już przez młodzież — przynajmniej Bluzeczka nie wiedziała co znaczy „centryfuga”. Lepiej więc zostać przy terminologii kinowej: „Karuzela udręczeń”. Roman pamiętał, jak przed czterdziestu pięciu laty chyba usiłował dostać się na ów wzbroniony dla młodzieży szkolnej film z Polą Negri (a może była to zapomniana „tragiczka srebrnego ekranu” Asta Nielsen czy Lilliana Gish), film ten grano tu gdzieś niedaleko, na dawnej, wąskiej ale naprawdę wielkomięskiej Marszałkowskiej, w „Apollo”, „Stylowym” czy może po stronie nieparzystej w „Światowidzie” (Marszałkowska 111 — pamiętał doskonale). To już tylko same nazwy, widmowe neony, świecące w dalekich przestworzach pamięci, nawet już nie wspomnienia o zburzonych, nie istniejących starych kinach, lecz duchy, cienie wspomnień. Czyż mógł wtedy, przed półwiekiem niemal przypuścić, że kiedyś, po wojnach, rewolucjach i zagładzie, przeżyje w tych samych stornach, tu, gdzie stała starorosyjska piramida Dworca Kolei Wiedeńskiej, na trawnikach, i alejach u stóp fontanny, w miejscu, gdzie było kiedyś okrągło sklepione, ze stropem usianym malowanymi gwiazdami, żydowskie na pewno kino „Światowid”, że więc tu właśnie a nie gdzie indziej przeżyje swój jesienny (bo rozegrany w jesieni życia) romans, przetransponowany szybko w „symfonię nienawiści”. (*Był też i film „Symfonia zmysłów”, chyba także w owych starych czasach, gdy za pięćdziesiąt lub osiemdziesiąt groszy zyskiwało się wstęp do tej czy owej fabryki snów, z warunkiem wyzbycia się czapki uczniowskiej, którą Roman zastępował za dużą nań „cyklistówką” starszego brata, Andrzeja, onegoż dziś Monachijczyka*). Nigdy nie wiadomo, jakie elementy przeszłości odżyją w przyszłości, a także w jakim odrodzą się zestawieniu, układzie, zastosowaniu. Z drugiej strony, nie wiadomo również, czy przyszłość podąży naprzód po torze, prostym, czy też eliptycznym, powracającym w końcu do punktu wyjścia. Zresztą we wszechświecie różnica między linią prostą a eliptyczną okazuje się nieistotna, jest to w gruncie rzeczy to samo — mówił chyba coś takiego Einstein i jemu podobni. Sprawdzają się to w życiu, kiedy koniec łączył się z początkiem, obalając

przy okazji wszelkie czasowe przegrody a także chwilowe, bo z pewnym tylko okresem związane, mechaniczne reguły następstwa w czasie, kolejności, przemijania i rodzenia się oraz zasady przyczynowości. Już pewien stary królewiecki szkop czyli Niemiec mówił, że te wszystkie rzeczy są względne, pomocnicze, po prostu subiektywne kategorie ludzkiego odczuwania i postrzegania (nawiązał w tym niechybnie do platońskich cieniów w jaskini), Roman zaś potwierdził sobie tę sprawę w praktyce niedawno, parę lat temu, gdy umierała jego matka. Wsłuchując się przez miesiąc w jej majaczenia, przeplatane przytomnymi rozmowami, przytomnymi jednak nie dłużej niż dwie godziny na dobę, Roman zrozumiał, że Matka obcowała oto naraz z całym swym życiem, że wszystko stało się równorzędne, jednakowo realne i aktualne, że padły nareszcie, po wielu latach, (było ich osiemdziesiąt pięć) wszelkie przeszkody, bariery, sztuczne konwencje. Życie we wszystkich swych chwilach jest więc naszym gromadzącym się bogactwem, nawet ułomność pamięci okazuje się z czasem przeszkodą nie najgroźniejszą, skoro przychodzi moment, kiedy można będzie odwinąć wstecz rolę wspomnień i na cofającej się taśmie przejrzeć sobie i skontrolować cały film życia, aż po czasy najwcześniejszego dzieciństwa, na przykład gdy nad osłupiałą w sierpniowe południe Warszawą przetaczał się z krańca na kraniec grzmot armat spod Radzimina, a także po czasy uczniowskie, gdy właśnie w niematerialnym dziś kinie „Światowid” szedł miesiącami „Poganin” z Ramonem Nowarro, albo nieco dawniej, gdy grano „Jeźdźca bez głowy”, „Indyjski grobowiec”, wyrafinowany „Gabinet doktora Caligari” czy zgoła tandetnego „Doktora Mabuse”. Drobne, nieistotne zapamiętane konkrety nie są bez waloru: to po prostu znaczki, określające miejsca, w których taśma pamięci ulega przewinięciu lub ponumerowaniu, jest bowiem długa i wymaga skomplikowanej orientacji czy raczej reorientacji. Rozumiał to Proust, gdy z pomocą zapamiętanego z dzieciństwa zapachu herbaty rozpoczynał swą podróż w głąb czasu utraconego a później odzyskanego. Bluzeczka natomiast nie rozumiała, że terażniejszość nie ma przewagi nad przeszłością, że wszystko jest równorzędne, wobec tego nie rozumiała również jakie znaczenie ma dla Romana dzisiejszy Plac Defilad czyli niegdyś skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi u stóp Dworca Wiedeńskiego. Znaczenie retorty — retorty, w której odbywa się doświadczenie, potwierdzające wszechzrównanie i wszechprzemieszanie czasu, czyli w istocie jego wobec nas bezradność.

Zadziwiająca i ważna to była retorta, pełna nieba, różnorodnego w rozmaitych porach roku, ale nie tylko: znaczące było

przede wszystkim to co stało na ziemi, choć tyle tu wyburzono, tyle zmieniono i tyle wybudowano. Dotkliwa świadomość zmian jest potwierdzeniem zasady niezmienności — tutaj się to widziało i jeszcze jak!

Każda strona placu była inna, a inność ta narastała przez dzieściolecia, zawierała w sobie dziwaczną i jedyną w swoim rodzaju historię miasta, to znaczy, że w każdym fragmencie nowej zabudowy czy starych resztek krył się zaszyfrowany pewien szczegół dziejów Warszawy, a dopiero wszystko razem, złożone i przeświecone pamięcią oraz świadomością składało się, jak dziecięca łamigłówka, na całość zaskakująco osobliwą, choć logicznie wytłumaczalną. Logika ludzkich dziejów jest, racjonalnie rzecz biorąc, bez zarzutu i przez to dziecięco bezcelowa i dziecięco okrutna: z punktu widzenia logiki nic wszakże nie można zarzucić dziecku, które wyrwa owadowi skrzydełka chcąc się przekonać czy będzie bez nich latał, czy więc skrzydła służą do latania czy też do czego innego. W tym mieście zawsze szybciej rozumiano okrutne i szalone dylematy świata niż rozumiał je sam świat, tu zawczasu rozszyfrowano Stalina, Hitlera i innych wielkich a okrutnych magików historii, świat jednak, czyli wszechmocny, jak długo sądzono, świat zachodni, nigdy nie pojął, że to w tym miejscu właśnie, w nieznannej Warszawie, wszystko się z góry wie, toteż świat ów (na pohybel sobie) nigdy z tej wiedzy w porę nie skorzystał. A i teraz również odgrywała się tutaj historyczna komedia totalizmu, świat zaś brał ją na serio, myśląc, że to jakaś ludowa rewolucja. Nie rozumiano, że maniakalna idea niwelacji i likwidacji wszystkich klas, warstw czy grup społecznych, przyjęła się i chwyciła właśnie w Rosji, gdyż umożliwiła temu krajowi, nie posiadającemu mieszczaństwa i od wieków rządzonemu autokratycznie, wejść w nowe czasy również z systemem nieskrępowanej przez społeczeństwo dyktatury. Marks, opętany swą obsesją klasowości, który toruje dziś drogę nowemu caratowi — oto jeden ze złośliwych żarcików filuternej i nie lubiącej swych dzieci Matki Historii. Społeczeństwo polskie początkowo doskonale poznało się na tym żarcie, zwłaszcza Warszawiaczy, pozbawieni swego miasta i dobytku (*człowiek nie obciążony żadnymi ziemskimi dobrami myśli lotniej*), toteż bezpośrednio po wojnie komuniści popisywali się tutaj swym dziwnym językiem wobec społeczeństwa nie rozumiejącego, nie dowierzającego swym uszom, rozśmieszonego. Z czasem dopiero wychowano nowe pokolenie, dla którego ów żargon stał się powszechną manierą czy konwencją: dylemat każdej jednostki w totalizmie to albo się wyobcować albo przyjąć ogólną zasadę słowno-myślową, któż zaś chciałby się na stałe wyobcowywać, chyba jakiś byroniczny inteligent,

ale inteligencja, mimo rozpowszechnionego teraz wykształcenia, straciła w narodzie swą wiodącą i reprezentatywną rolę, choć nie uzyskał jej, mimo wielkiego na ten temat krzyku, proletariatu i właściwie nikt, co najwyżej w sposób mechaniczny sekretarska kasta funkcjonariuszy. Tak więc, choć żyje się w kraju włączonym w osobliwie reżyserowaną komedię, nowe, wkraczające na arenę społeczeństwo nie wie już częstokroć, że to jest komedia, nie wie albo nie chce wiedzieć, tak jak nie chciała wiedzieć Biała Bluzeczka. Nawet starzy plebejscy warszawiacy, usymbolizowani w taksówkarzu czy robociarzu z Woli, utracili w dużym stopniu swą dawną historyczną bystrość: nie na darmo Warszawę zburzono, wykorzeniono, przemieniono, nie na darmo, pod pretekstem rozbudowy stołecznego przemysłu, wkroczyła do miasta owa obojętna i egoistyczna a tryumfująca teraz — wieś. Tak więc, odgrywa się tu nie tylko komedia ogólnohistoryczna, ale komedia podwójna, bo również wewnętrzna, subiektywna komedia omyłek. Omyłki zaś były dla tego miasta zawsze ogromnie kosztowne, dzięki omyłkom, własnym czy cudzym, światowym, zdarzały się tu rzeczy, jakich nie było nigdzie i nigdy. Warszawa wszakże samotnie a wbrew logice opierała się nieraz nawałom ze Wschodu i Zachodu (*przedmurze obrotowe!*), Warszawa strajkiem bezludnego milczenia powitała przyjmującego na jej ulicach defiladę swych zwycięskich wojsk Hitlera, tutaj wymordowano największą w historii ilość Żydów, tu bowiem stworzyli Niemcy straszliwie stłoczone, 600-tysięczne getto, tu, jesienią 1944 walczono samotnie na dwa fronty: politycznie z Rosją, pierś w pierś zaś z przegłupimi, bijącymi się o swą pełniejszą klęskę Szkopami, tutaj, po upadku Powstania, zdarzył się jedyny na świecie wypadek, że wszyscy mieszkańcy, wypędzeni, wyszli poza rogatki a miasto pozostało samo sobie i swoim pożarom. Zaiste, chcąc czy nie chcąc, musi się tutaj żyć w historii, gdzież to zgubiły się owe idylliczne czasy, gdy kulturalni, dostatni mieszczanie wiodli swój prywatny, prowincjonalny żywot, nie wiedząc zgoła o istnieniu toczącego akurat światoburcze wojny Napoleona? Gdzież dzisiaj taka idylla — może daleka pustawa Australia czy Kanada to jeszcze owa zapomniana, błogosławiona, zasobna prowincja świata? Cóż dziwnego, że znurzeni harcami historii nowi warszawiacy, woleli izolować się od niej, biesiadując w niedzielne, zimowe popołudnie przy zastawionych stołach i zapuszczonych dokładnie okiennych zasłonach, nie wychylając nosa na przewiany wichrami i właśnie ową uprzykrzoną, nieszczęsną historią Plac Defilad, uważając, że i tak dosyć się po nim promenuje w szyku zwartym, ze sztandarami i miarowo skandowanymi okrzykami. To tylko Roman uparcie i w niedzielę promenował tutaj solo,

usiłując, na przekór wszystkim, żyć nadal historią, w dodatku minioną, a także wciągać w to życie staniającą się i chwiejącą na wietrze, kruchą przecież i wiotką na pozór Białą Bluzeczkę.

Historii było tu mnóstwo, pomieszaną jak w polskim bigo- sie, choćby się nawet ze względów psychologiczno-estetycznych zlekceważyło i wyeliminowało rodyjskiego kolosa naszych czasów, ów marksistowski kościół wiedzy i nauki. Na placu rozprzestrze- niął się dziwny, sztuczny pseudomonumentalizm, zaś obok niego równie dziwna realność i to realność nader różnorodna: owa kolumnowa ruska Grecja, z drugiej strony szklane bloki Corbu- siera, tortowa białość pałacu czy mieszkalnych sześcianów północ- nych, uszeregowanych wzdłuż nowej ulicy Świętokrzyskiej, miesz- czańska secesja sprzed Pierwszej Wojny zachowana na stronie Południowej i resztki starej robotniczej Warszawy, szczątki ulicy Śliskiej i Siennej, ciemno czerwieniejące swymi poszczerbionymi niczym girlandy średniowiecznych murów, ceglanyimi ścianami na tle dalekich, białych wieżowców, w purpurowych blaskach słoń- ca, zniżającego się nad Zachodnią Stroną placu pod wieczór wiosną czy latem, zaraz po południu jesienią lub zimą. A gdzie tu w okolicy stał niegdyś ów zapomniany dziś Dworzec Wiedeń- ski? Właśnie chyba gdzieś tutaj, po tej stronie, nad otchłanią głębokiego wykopu, którym w dole pędzą teraz pociągi Linii Średnicowej, gdzie tu gdzie nasyp, gdzie rusztowania, ogrodzenia z desek, resztki cegieł, kupy żelaznych prętów, wszystko to po drugiej stronie szerokiej niechlujnie ruchliwej ulicy, na wprost niebotycznej białości Pałacu, tonące w cieniu rzucanym przez po- nure, pół zwalone baszty Ściany Zachodniej, gdy nie grzejące, ciemnoczerwone, okrągłe i promieniste jak wielki kwiat słońce- nika Van Goghowskie słońce skrywa się za ową, nie nazywaną tak zresztą oficjalnie „ścianą”. Bo też dziwna to i ściana, daleko jej do uplanowanego i dzięki temu jednolitego monumentalizmu Ściany Wschodniej; tu panuje różnorodność i przez to historyczna żywość: z lewej strony, gdy się stoi przy balustradzie wykopu, gdzie tuż przed samą wojną dziwny pożar strawił wzniesioną już konstrukcję Nowego Dworca, pejzaż ograniczony jest bez- kresną na pozór, prostą linią Alei Jerozolimskich, na wprost zaś na tle nieba, którego tutaj nie brak, którego mnóstwo i ob- fitość, wyniosłą się owe białe, przeszklone, modnie poprzecznie pasiaste, dalekie i bliskie nowe bloki z winkrustowanymi w swoją kubaturę, umieszczonymi jakby na pierwszym planie imitującej przestrzenną głębię dekoracji teatralnej, wyosobnionymi cielskami ceglanych kamienic, patetycznym zestawem wyszczerbionych wie- życ z czerwonej cegły, resztkami tej części dawnej Warszawy, zwanej w latach powojennych Dzikim Zachodem. Resztki są więc

czerwonawe, choć ową czerwienią jakby przydymioną czy przykurzoną, zębate, obtłuczone, dobrze odpowiadają sobie wzajem z drewnianą budą prowizorycznego dworca — taka latami stercząca buda możliwa jest zresztą tylko w Warszawie, nie do pomyślenia w schludnej Galicji czy po wielkopolsku dokładnym Poznaniu: tam przecież były dawne zabory germańskie, tu rosyjski, zresztą teraz wszystko zmieszane i skłębione popłynęło aż ku Odrze — dobrze to, że Polska ma wreszcie tylekroć przez własną propagandę sławione morskie oraz na zachód wysunięte granice i narodową integrację, szkoda, że stało się to tak późno, kiedy wszelkie dawne pojęcia polityczno-geograficzne okazują się nieważne wobec światoburczej rywalizacji atomowych tytanów (niechże ich wszystkich diabli wezmą, choć z różnych powodów). Wracając zaś do prowizorycznej budy śródmiejskiego dworca (*pod ziemią za to jest tu niedaleko dworzec arcywygodny, niczym, nie przy mierzając, moskiewskie metro, sygnalizowany na powierzchni dwoma prostokątnymi pawilonikami*), to stojąc obok niego, można też było obserwować krzepiący widok naprawdę starych a zupełnie całych domów: z prawej strony, nad wyłożonym w dole, wstrząsanym i rozbrzęczanym ciągłym hukiem przelatujących pociągów torowiskiem szyn, ogromniło się, pośród szkła i bieli nowych bloków, kilka masywnych, wiekowych ale imponujących, przedwojennych, magazynowatych czy biurowych sześcianów-gigantów, z czterema wieżyczkami na szczytowych narożnikach, po lewej zaś, nieparzystej stronie Alei Jerozolimskich, aż do ulicy Emilii Plater i dalej, nad ową szeroką magistralą hałasu, nad ogłuszającym ulicę, skowyczącym jękiem czerwonych tramwajów i huczącym, bezosobowo wibrującym szumem i turkotem szarej, rozpędzonej masy samochodów, wznosiła się solidarnym szeregiem dawnych kamienic, krzepiąca serce tradycją mieszczańską secesja. Stare i nowe, stare i nowe, dziwacznie razem zlepione, jakież to jednak ważne dla nieszczęśliwie przedwojennego i w przedwojenne wspomnienia zaopatrzonego warszawiaka, zbrzydzonego w pierwszej chwili bezstylową i bezepokową obcością gigantycznego placu nie placu, rozprzestrzenionego naraz w miejscu najmniej oczekiwanym. Ten fragment miasta był w końcu dopiero co urodzony, bo przez wiele lat trwał zastawiony rusztowaniami i wysypiskami, ogłuszony hukiem pneumatycznych młotów, świrdrów, koparek, dźwigów, zatłoczony olbrzymimi ciężarówkami, potworami, obdarzonymi nierzadko potężną przyczepą czy dziwaczną machiną na ogonie. Plac Defilad nie tak więc dawno się narodził, stąd ważna w nim była przeszłość, historia, czyli przede wszystkim owa oaza secesji w Alejach Jerozolimskich, a znów z drugiej, północnej strony zachowany mimo utraty jed-

nej wieży masyw kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, oraz narożniki i resztki dawnych, skazanych na zagładę ciemnych kamieniczek przy skrzyżowaniu nie istniejącej już, rzemieślniczo-żydowskiej ulicy Bagno, z robotniczą niegdyś i ubogą, dziś przygotowującą się do bezprzedmiotowej, szklano-neonowej gali, ulicą Próżną. Niedaleko jej ujścia w Marszałkowską, na wprost owej słynnej Ściany Wschodniej, przycupnęły ostatnie placówki dawnego życia, długie, parterowe szklane pawilony, gdzie prywaciarze i komisanci w dawnym, przedwojennym, zgiełkliwym ożywieniu handlują jeszcze wszelakim towarem, nieraz solidnym, luksusowym, zagranicznym. Ale to już są przedśmiertne podrygi, do czasu tylko tolerowane, podobnie jak do czasu tolerowano tak zwany Pociójów, czyli zbiorowisko prywatnych warsztatów żelaznych, gnieźdzących się w piwniczkach i antresolach pół zburzonych starych domów sąsiedniego Bagna i Grzybowa, gdzie zapobiegliwe ludzkie szczury, pracując po nocach na przysłanej przez szwagra czy brata z Anglii precyzyjnej maszynie, zalewały rynek towarem, ba, stawały się niezbędne dla zaopatrywania w precyzyjny drobiazg wielkich państwowych kombinatów przemysłu, a to wszystko w oburzający sposób bo na własną rękę, bez pomocy ministra, komisji, planu, limitu, kredytu i sztabu kiepsko płatnych więc w trójnasób, z mściwą wściekłością węszących kontrolerów czy ekspertów. Skończy się niedługo ta antyludowa samowola, znikną nękania na razie tylko nieustanną zmianą przepisów, podatków i kazionego ceremoniału prywaciarze z pawilonów, szmaciani milionerzy i dojutrkowi choć entuzjastyczni, nierozsądnie podnieceni spekulanci, znikną, jak właśnie przy okazji rozbiórki anachronicznego, zastępowanego szklanością niebotycznych wieżowców Dzikiego Zachodu, zniknęli mrówczo pracowici rzemieślnicy z rozsypujących się kamieniczek Bagna. Zniknęli, choć teraz z kolei nie sposób dostać w Warszawie tysiąca żelaznych drobiazgów, gwoździ, śrubek, blaszek, młotków, obciążników. Ale nic to, chodzi przecież o ideę, o typ człowieka, o kolektywne zrównanie, o filozofię dziejów wręcz, nie o bezduszny towar. Warszawa może sobie na gwoździe poczekać, państwo weźmie się i do tego, gdy już upora się z ważniejszymi zadaniami, takimi choćby, jak wzniesienie reprezentacyjnych, szklano-betonowo-metalowych przestrzennych wieżyc w miejsce dawnej dzielnicy pracowitej śródmiejskiej nędzy. Na tej północnej stronie Placu Defilad ze starej „normalnej” Warszawy pozostanie tylko ów odnawiany, poszczerbiony kulami i pozbawiony jednej przywracanej teraz wieży, kościół Wszystkich Świętych, idyllicznie anachroniczny, z ceglana przybudówką i drewnianym parkanem, „relikt minionych czasów”, oraz cudem jakimś zachowana, stercząca nad Marszałkow-

ską na wprost ściany Wschodniej włoska wieżycy dawnego Cedergrena z ulicy Zielnej, przedwojenny drapacz wybudowany przez Szwedów w czasach, gdy komisowo i dzierżawczo władali oni warszawskimi telefonami, w stolicy zaś Polski gościł nie- rzadko legendarny eksplorator światowego przemysłu, zarazem jego Kolumb i Pizarro, późniejszy słynny samobójca, czyli Król Zapalek Iwar Kreuger, bohater niejednego filmu. Ale któż dziś pamięta, co znaczy owa wyniosła, we włosko- czy hiszpańsko- maurytańskim stylu utrzymana wieża, na której najwyższym, od- nowionym i oszklonym piętrze zrobiono teraz Salę Konferencyjną jednego z ministerstw, symbolem nowych czasów stała się bowiem w Warszawie Święta Konferencja, poważna i ceremonialna, ale o niczym nie decydująca, a to z tej prostej przyczyny, że wszystko zostało już przedtem gdzieś zdecydowane. Gdzie — oto właśnie jest pytanie, które Roman stawiał nieustannie Bluzeczce, jako członkowi Partii, pytanie, ona zaś odpowiadała irytacją, gniewem, wzruszeniem ramion.

Jak widać, na tej stronie czy „ścianie” największego europejskiego placu nic się dawnego nie ocali, poza średnio starym kościołem i relatywnie młodą, choć pretensjonalną i niemodną, włosko-szwedzką wieżycą, sterczącą w niebo samotnie a ponuro, ponad szklanymi, przyziemnymi barakami pawilonów i ponad przyklepioną do jej boku, cudem istniejącą obdrapaną kamieniczką. Po drugiej natomiast, południowej stronie Pałacu Kultury, około półtora kilometra stąd, licząc w linii prostoprzestrzennej, ocali się owa kolonia secesyjnych domów z wielkim starym hotelem na czele, żółtym, sześciopiętrowym, wyposażonym w szerokie, pół- okrągłe okna z podcieniami i kolumnkami, w wypukłe, szklane balkony, oraz w wyniosłą kokułkę, wieńczącą go monumentalnie, choć z boku. Oto resztką dawnego życia, do tej potężnej a jakoś przytulnej, pakownej i z obowiązku ozdobnej, ciężkiej kamienicy, zjeżdżali się wszakże niegdyś średniozamożni mieszczanie (grubsze ryby stawały w „Bristolu” lub „Europejskiej”) oraz najbo- gatsi w krajowej skali kupcy — dziś hotel po trochu zgrzybiał i groził zawaleniem, w restauracyjnej, na wysokość dwóch pięter sklepionej sali kroplił nawet czasem deszcz, ale zdecydowano już konserwację oraz wieloletni, jak to zwykle w Warszawie, remont, toteż owemu bastionowi względnie bogatej warszawskiej miesz- czańskości nic już teoretycznie nie groziło, tak jak i ca- łemu ciągowi domów po tej stronie Alej — wcale by to zresztą nie przyszło Romanowi do głowy gdy w trzaskający, styczniowy mróz ciągnął tędy dwadzieścia parę lat temu z brudnym plecakiem na karku, wracając z owej popowstaniowej, przymusowej łągi podwarszawskiej, ciągnął tędy wówczas wśród podobnych

sobie, obładowanych obdrapańców, przekonany, że wędruje wzdłuż szeregu miejskich upiorów, wzdłuż wypalonych ruin, kamienno-ceglanych szkieletów czy kikutów. Tymczasem te domy ozdabiały: pod mieszczańsko ozdobnym portalem hotelowego wejścia szklane obrotowe drzwi kręciły się bez ustanku, życie tu wrzało jak mogło, w dodatku życie specyficzne, bo w tym właśnie miejscu Warszawy roili się i kłębili przedstawiciele resztek wielkomijskiego półświatka dawnego typu, zawodowe i półzawodowe prostytutki, alfonsi, narkomani, podczas gdy nowomodne, w chulikańskim czyli bardziej bezinteresownym gatunku utrzymane „męty” przekładały ponad sąsiedztwo staroświecko majestatycznych hotelowych narożników i wysokich kawiarni, niedaleki teren przypałacowy, ową kombinację alei, ławek, schodków, kiosków z piwem i podziemnych marmurowych klozetów, wydrążonych u stóp potężnego, rzymsko-kopulastego i kolumnowego wybrzuszenia Sali Kongresowej. Cóż, każdy ma swój styl. Romana zresztą ogromnie to krzepiło, że ci kawalerowie księżycy z przekłetej epoki kapitalizmu tulili się właśnie do owych, tak nielicznych dziś w Warszawie, pompaticznie wyniosłych i ozdobnych (ale na sposób mazowiecki, nie tak jak w wilhelmińskim hotelu nad Bałtykiem), podcieni, portali, i bram, obok zabytkowego również bo jedyne w mieście fotoplastikonu. Odczuwał nawet jakąś wewnętrzną solidarność porozumienia w dawności ze starowymi, strudzonymi, wręcz emerytowanymi przedwojennymi prostytutkami, jakie tu jeszcze krążyły, za co zresztą, gdy coś na ten temat bąknął, okropnie go zwymyślała nader w podobnych sprawach bezkompromisowa i społecznie zasadnicza, bezlitośnie rozwścieczona Biała Bluzeczka. Jakby tu jej wytłumaczyć smak owej dawności i jej marginesów (*marginesy, zakątki, wstydlive szczegóły żyją zazwyczaj nadłuzej, przechowując niemożliwe w inny sposób do utrwalenia szczytki klimatów nastrojowych, których przypomnienie oraz rekonstruowanie i uświadamianie sobie na pewno nie jest czynnością prózną i bezcelową, lecz formą owej cyrkulacji energetyczno-materialnej, w którym to procesie człowiek uczestniczy czynnie lub biernie ale stale*), jak zasugerować muzealny na swój sposób urok tego miejsca? Co prawda do boku owego hotelu przywarł obecnie od strony Marszałkowskiej hotel odmienny, nowy, przyklejony do tamtego swą olbrzymią ścianą i kontrastujący z nim nieskończoną, szklaną kratką krociowo licznych, zielonawych okien i tabliczkowatych, prostokątnych między okiennych spojeń — inna rzecz że nieco tandetnie wykończone, nowoczesne lecz niechlujne sale restauracyjne i kawiarniane tego giganta również i to dość szybko nasiąkły stylem staromodnego półświatka spod sąsiedniego gmachu. Dziwna symbioza, dziwna mie-

szanina stylów i epok trwa w tym mieście, a zwłaszcza na tym placu, który do asocjacyjno-pamięciowego dorobku Romana przynależał od dawna i to właśnie dzięki niezatartym dotąd w swej dokładności wspomnieniom dawnego powrotu po zburzeniu, tudzież wyswobodzeniu stolicy, dwa te pojęcia bowiem dziwnie i znacząco i złośliwie się wówczas stowarzyszyły.

Powrotów do zburzonej a przez to przemienionej Warszawy miał Roman w swoim życiu dwa: pierwszy w 1939, drugi w 1945; pierwszy, gdy zapadała nad Polską godzina straszliwych rządów Hitlera, owe parę lat, wystarczające za parę stuleci; drugi, gdy w obliczu gruzów hitleryzmu a przy okazji i sproszkowanej, jak mawiano, Warszawy, przewidzieć już można było, że na pomysłnie, bo cudzymi rękami zniwelowanym terenie magowie ze Wschodu wzniosą swoją czarodziejską budowlę, pomiędzy której szklanymi, więc na pozór niewidocznymi ścianami Polacy starzy i nowi obijać się będą po wiek wieków, boć chyba nie krócej. Pierwszy powrót był wojskowy (*choć wracali wtedy w przebranych gdzieś na krańcu Polski chłopskich, cywilnych łachmanach*), młodzieńczy i, mimo klęski, junacki, a w wyobraźni Romana złączył się, spoił na zawsze z osobą zadziwiającego Kazika B..., który niezadługo — któżby to po latach przypuścił — w najważniejszej teraz decyzji Romanowego życia i działania odegrać ma rolę niemal decydującą. Drugi powrót posiadał charakter wieloznaczny i zawiły, jak wszystko w tym kraju i w tym mieście po wojnie: już to Hitler zmonopolizował specjalność budzenia uczuć prostych, żywiołowych, bolszewicy za to komplikowali i maskowali rzeczy równie proste w sposób tak uporczywy, aż w końcu poddani ich działaniu przez czas dłuższy ludzie przestawali rozumować i gotowi byli uwierzyć, że czarne jest białe, dwa razy dwa daje pięć a goły król ma na sobie wspaniałą szatę z czerwonego brokatu. Jedni, ci z Zachodu, zamierzili Polaków zgładzić fizycznie, ale nie zdążyli, drudzy, ze Wschodu postanowili unieczystwić Polskę, przemieniając duchowo mieszkańców dorzecza Wisły w kogo innego i na to, jak się zdaje, mają czasu dosyć. Nie kijem go to pałką, a raczej pałeczką czarnoksięską.

Więc wtedy, w styczniu 1945, wędrowali we dwóch z pewnym kolegą od strony owego miasteczka, gdzie przed paru dniami w takim osłupieniu obserwowano wkraczanie wśród prószącego śniegu dziwnej polskiej armii ze Wschodu, której zresztą nikt wówczas za polską nie uważał. Kolega Romana, skrajny, jak to zaraz nazwano, reakcjonista, również miał Berlingowców za przebranych Rosjan i w ogóle, podczas trzydniowego głodowego marszu przez ścięte mrozem wsie i miasteczka, kładł w głowę Romanowi najokropniejsze rzeczy na temat tego co się teraz

będzie w Polsce działało — co zresztą nie przeszkodziło mu, że jest obecnie ważnym dyrektorem departamentu czy wiceministrem, tak jak Kazik B..., towarzysz owej pierwszej, wojennej „rajzy” okazał się po latach rektorem i członkiem (czy zastępcą członka — *na wzór sąsiadów stworzono taką dziwną godność*) najwyższego partyjnego sanhendrynu. Ten drugi, mroźny powrót obfitował w dziwne przygody, między innymi kilkanaście kilometrów przejechali wówczas sowiecką, wojskową ciężarówką, po czym kierowca zażądał wódki, krzycząc przy tym okropnie i grożąc im tak zwanym po okupacyjnemu rozpylaczem, czyli maszynowym pistoletem. Wódki mu nie dali, choć mieli w plecaku pół litra i ruszyli skostniałą szosą wśród siebie podobnych pielgrzymów, zastanawiając się, czy też „Sowieci” strzeli za nimi czy nie, ale rozmyślił się i ruszył naprzód, nieznacznie tylko próbując rozjechać ich co nie co. Wódkę ową zresztą wypili tegoż wieczora na przygodnej, zatłoczonej kwaterze, pilnie jednak ukrywając rzecz przed współmieszkańcami: było to przecież istne złoto w płynie, wobec bowiem unieważnienia przez nową władzę dotychczasowych, okupacyjnych pieniędzy, wszyscy w mgnieniu oka stali się kalwaryjskimi dziadami i chodzili głodni a, co gorsza, niedopici.

Cały ten trzydniowy marsz do Warszawy odbyli wraz z kolegą trawieni masochistyczną żądzą jak najszybszego zobaczenia ruin stolicy. Co prawda Roman, powstaniec (*powstaniec mimowoli, jak sobie mówił, nie widział bowiem wówczas celu tej imprezy, wobec obecności za Wisłą obserwującego rzecz pogodnym okiem radzieckiego marszałka, podobno zresztą pochodzącego z Warszawy*), Roman uczestnik walk aż do samego niemal końca, dosyć się napatrzył na przewracające się i efektownie płonące domy, tu jednak było co innego: trup Warszawy, zmarznięty, nieruchomy trup Warszawy — oto atrakcja niewyobrazalna i kusząca namiętnie, aż do wewnętrznego dreszczu czy spazmu. Spazmowi temu oddawali się zresztą rozsiani po całej Generalnej Gubernii warszawiacy z ogromną pasją: Roman nie mógł zapomnieć, jak kiedyś w grudniowy wieczór w natłoczonej knajpie obok ohydneho dworca w Koluszkach, grupa takich maniaków pijąc „setkami” bimber wspominała szczegółowo nieistniejące już zapewne place i ulice: nie chodziło tu o żadne sentymenty, lecz po prostu o konkurs, kto ma lepszą pamięć. Roman dołączył się wówczas do owej zabawy, trwającej aż do samej godziny policyjnej, kiedy to sztywni, jak z dębowego drzewa wymodelowani niemieccy żandarmi wypędzili wszystkich na sąsiedni dworzec, gdzie w dowolnej pozycji przeczekać się dało aż do świtu. Takie były zabawy w one lata...

Teraz zatem szli we dwóch coraz prędzej, z obolałymi, sko-

stniałymi nogami i suchością w gardle, wśród śniegu, podmiejskiego żelastwa, drutów, wysypisk, trawieni żądzą jak najszybszego zobaczenia ojczystych ruin. Lecz gdy doszli do zgłiszcz Ochoty, wyrosła przed nimi niespodziewana przeszkoda: stał tam mianowicie berlingowski patrol z oficerem; w śpiewnej kresowej polszczyźnie oświadczone im, że Warszawa jest jeszcze zaminiowana przez Niemców i że na razie, przez najbliższe dziesięć dni, będzie dla cywilów zamknięta. Podziękowali grzecznie za informację i, śladem wielu innych przechodniów, skręcili w bok, przeszli parę wypalonych bram tudzież podwórek i oto nagle znaleźli się na ulicy Grójeckiej koło Placu Narutowicza, wśród posępnych, ośnieżonych ruin kamienic, ale także wśród ożywionego tłumu wędrujących w jednym kierunku warszawian, ruch tu był bowiem jak na przedwojennej Marszałkowskiej, dalej, w Alejach Jerozolimskich, koło olbrzymiego trupa hotelowego, ustawiono na chodniku stoły z gorącą kiełbasą i życiodajnym bimbrem, tyle, że wszystko za nieosiągalną na razie, nową „lubelską” forszę. I tutaj milczący dotąd kolega Romana, dzisiejszy wiceminister, zdobył się na dowcip. — Wiesz — powiedział — to jednak chyba jest naprawdę polskie wojsko!

Dowcip był znaczący, wręcz, jakby powiedziano później, z wydzwiękiem i to z wydzwiękiem ideologicznym. Zawierał się w nim hołd dla polskiej tolerancji, polskiego sceptycyzmu, polskiej niefrasobliwości. Brak dyscypliny — jakież to ludzkie, humanistyczne! Toć przedstawiciele Czerwonej Armii czy Niebieskiej Armii wiedzieliby co zrobić z tym krnąbrnym tłumem, włączającym w przyfrontowych warunkach do zaminowanego miasta: rozpedzić, stratować, zamknąć, wystrzelać. A tu, wśród obłądnego, fanatycznego posłuszeństwa, wśród solennego, bałwochwalczego zapachu dwóch wielkich nacji, zbzikowanych na punkcie swego ideowego posłannictwa i swych egocentryzmów, wyrastał oto, jak kwiatusek na mrozie, niewinny ideowo, niczym nowonarodzone dziecko, POLSKI SZWEJK. Już od upadku powstania Roman czuł się jak Szwejk na froncie lub na tyłach, teraz, wędrując z niedziwiącym się niczemu tłumem sobie podobnych, wśród ośnieżonych, cuchnących trupów wielkich, secesyjnych kamienic, pojął, jaką krzepiącą i europejską rzeczą (*europejską choćby w dawnym, mitycznym i przebrzmiałym tego słowa znaczeniu*), jaką więc zbawienną rzeczą jest zachować oto szwejkowski, sceptyczny, bimbający zdrowy rozsądek, pozwalający ocalić narodową godność wśród patetycznego a megalomańskiego obłądzenia każącego dwum ościennym potęgom włączyć na biedne polskie ziemie i zmagać się tutaj w śmiertelnych, nikomu nie potrzebnych drgawkach. Narodowy szwejkizm po kamiennej Nocy Narodowej, po grozie

okupacji i bohaterskim patosie powstania? Ano, widocznie tak teraz trzeba: jeszcze Polska nie zginęła, niech żyje, kto nie umarł! Długo jeszcze wszystko, cokolwiek się w nowej Polsce zdarzy, lepsze będzie od hitlerowskiej mordowni, długo komuniści będą tym argumentem szermować, aby skłonić ludzi do tym gładszego przełknięcia każdego importowanego absurdu, tylko Niemcy, wyszalawszy się do syta, mają teraz największy w Europie święty spokój (*Niemcy zachodni, nie wschodni oczywiście*), taka to jest na świecie sprawiedliwość. Cała nadzieja w nowym polskim pokoleniu, które, nie znając nietzscheańskich ekscesów hitlerowskiego nadczłowieka, odzyska właściwą miarę rzeczy.

Ale i ta nadzieja okazywała się zawodna — przykładem Bluzeczka, która wcale nie zachwycała się epopeją przywróconego do życia po klinicznej śmierci rezerwatu warszawskiej secesji na południowej stronie Alei Jerozolimskich. Bluzeczka wołała klasyczny monumentalizm ruskiej Grecji oraz pokazową nowoczesność Ściany Wschodniej. Nie było więc rady: ulicą Emilii Plater przechodzili na drugą stronę Alej, gdzie znalazłszy się na asfaltowym moście ponad kolejowym wykopem, mogli sobie po lewej ręce obserwować wyniosły i patetyczny na tle sklepionego nieba, perspektywiczny zestaw domów nowych i czerwone gniazdo starych, po prawej zaś mieli potężne, kopulaste wybrzuszenie Pałacu tworzące Salę Kongresową, do której prowadzą strome kamienne schody i dalsze, w kierunku północnym, przęsła czy pawilony, wsparte na słoniowej grubości filarach, zgrupowanych po dwa lub po cztery, z wygrawerowaną w górze ogromnymi cyframi liczbą „1955”, oraz z niszami, w których czuwają wielkie posągi, bezosobowe, bo nie wiedzieć kogo przedstawiają: robotników czyli bohaterów pracy (*rzeczywiście, trzeba być bohaterem, żeby tu pracować, mawiał pewien reakcjonista*), względnie innych obywateli Ludowego Imperium. Tędy, gdy przekroczyło się ulicę, (tym razem nie w słońcu lecz w pałacowym cieniu), kierując się skomplikowanym systemem alejek, zielonych szpalerów, schodków, balustrad, obok kiosków z piwem, baseników i podziemnych klozetów, przechodziło się na stronę północną, gdzie ulubionym miejscem Romana był ów okrągły skwer z piniastą, śnieżnobiałą w słońcu, dziewięciokrotną fontanną u stóp potężnych, symetrycznych kolumnad i tympanonów Pałacu Młodzieży. Latem kusiła tutaj właśnie zieleń, kolorowa orgia klombów, oraz ławki z perspektywą i na Ścianę Wschodnią i na Ścianę Północną. Tu siadali z Bluzeczką na wiosnę, obserwując wznoszącą się z drugiej strony Marszałkowskiej napowietrzną kombinację różnych odcieni szarych, bieli oraz zielonawego szkła, jaskrawo czasem mieniacego się w słońcu. Najpierw, jeszcze po tej stronie, trzeba było ominąć

wzrokiem owe dwa, przynależne do Pałacu Stalina obeliski na cześć niewiadomego zwycięstwa oraz łukowate, asfaltowe aleje, a potem już, po drugiej stronie ruchliwej, przestrzennej ulicy (*przedwojenna Marszałkowska była tu chyba dwa razy węższa — powierzchnia wszakże nic teraz nie kosztuje*), wznosiły się na tle nieba trzy w słońcu oślepiająco białe, smukłe graniastosłupy dwudziestoczteropiętrowych wysokościowców, poprzecinane poprzecznymi pasami piętér. U ich stóp, na pierwszym planie (choć plany zlewają się tutaj w jedno wielkie ściennie malowidło) tkwi szeroka szklana podstawa, z bliska widać w niej poszczególne zielonawe, nie wykończone jeszcze kwadraty i sześciiany, spiętrzające się kubistycznie, przechodzące w wielki jak gigantyczna tablica prostokąt z drobną kratką niezliczonych, matowych szybek, a u jego znów podstawy, hen na rogu Alej Jerozolimskich widnieje szklana, rozmyślnie krzywa, zębata rotunda pawilonu finansowego. Zawie to, choć, zwłaszcza gdy zmrużyć oczy, i nie patrzeć na Pałac, dekoracyjnie monumentalne; jest i trochę starzyzny: pośrodku Ściany Wschodniej sterczy na froncie jeden masywny, czerwony, siedmiopiętrowy prostopadłościan, ozdobiony na dole szeregiem małych, okrągłych dziur okiennych, niczym pancerny fort nad fosą ulicy. A znów z lewej strony, ponad i poza ścianą, wznosi się w niebo przedwojenny drapacz „Pasty”, dziś hotel „Warszawa”. Z niego dla odmiany ma Roman wspomnienia powstańcze, pamięta jak go zdobywali, jak na dwudzieste piętro wciągali polską flagę, jak z budynku na ówczesny Plac Napoleona ze śmieszną skwapliwością wysypali się Niemcy, gorliwie dźierząc wzniesione w górę ręce i ukradkiem wodząc po twarzach zdobywców błagalnym, szczerzym wzrokiem. Roman pojęcia dotąd nie miał, że są tu tacy tchórze: Wehrmachtowcy, z których w obliczu pierwszej z brzegu klęski wylał pesymizm i poczucie winy. Zresztą Roman też był pesymistą, dlatego nie lubił ani tromtadrackich wspomnień z pierwszych dni powstania, ani wyniosłej bufonady Ściany Wschodniej. Ściana ta w końcu była tandetą na pokaz: windy się psuły, mieszkania dezelowwały, tynki sypały, elektryczne ogrzewanie zawodziło, u stóp drapaczy rozciągał się powikłany, nie zagospodarowany jeszcze teren, gdzie wśród dziur, załamów, brudnych, nie oświetlonych zakamarków, błędziły nocą nieśmiertelne, odradzające się w każdym pokoleniu warszawskie łobuzy. Co prawda i Roman, miłośnik autentyzmu, lubił błędzić tu nocą, wspominając stare kina, choćby istniejące jeszcze po wojnie kino „Stylowy”. Taki to już polski masochizm.

Pozostawała jeszcze strona północna, tę Roman jakoś lubił, bo była żywa, dużo tu ludzi i to widocznych, nie zagubionych gdzieś tam w napowietrznych klatkach, poza tym na samym jej

środku, na wprost owej petersburskiej lwiej fontanny widnieje przejście do innego świata — to właśnie ów placyk przy kościele Wszystkich Świętych.

Ściana Północna rozciąga się wzdłuż asfaltu ulicy Świętokrzyskiej, asfaltu, który wieczorem, po wiosennym deszczu, w zestawieniu z szumiącą zielenią tej części placu ma w sobie coś parkowego i coś romantycznego zarazem. Ściana owa to dwa długie, siedmiopiętrowe bloki, kremowożółte, ciepłe w kolorycie, przecięte długimi liniami wspólnych balkonów, z tyłu wznoszą się nad nimi cztery majestatyczne, nie wykończone jeszcze, białe wieże wysokościowców Grzybowa. Nad podłużną ścianą Świętokrzyskiej zawieszono są też na tle nieba żółte, powietrzne litery świetlnych reklam, nic zresztą — jak to w socjalizmie — poza dekoracją nie znaczących, na cóż bo komu takie anonse jak „Maszyny do księgowania”, „Delikatesy”, „Optima” — kto chce coś z tego w ogóle czy w szczególności kupić to znajdzie, jeśli będzie, jeśli zaś nie będzie, to nie pomogą mu zgoła żadne reklamy czy reklamacje. Ale mimo to wszystko, ciepło tu jakoś, przytulnie, żywo, jakby przedwojennie. Zaś nad długim, niewysokim choć ma siedem pięter, mieszkalnym blokiem wysmukłą się i zielenieją swymi miedzianymi daszkami wydrążone zgrabne wieżyczki kościoła, zgrabnością swą wcale zresztą nie zapowiadające ogromu świątynnego tułowia, który tutaj, parę kroków od szumiącego tysiącem samochodowych opon asfaltu Świętokrzyskiej, (*jakąż karierę zrobiła ta dzisiaj przelotowa magistrala, niegdyś ciasna uliczka żydowskich księgarnek i antykwariatów*), drzemie sobie za ceglany ogrodzeniem, obok resztek starego Bagna a u stóp niebotycznych, ustrojonych na dole w faliste blaszane ściany, pustych jeszcze szklanych wieżyc nowego Grzybowa. Cóż tu za spotkanie światów, wspomnień, nastrojów, wynikłe po prostu ze spotkania różnego rodzaju budulca, różnych kamieni, żelastwa, szkieł — bo przecież myśl ludzka musi owinać się wokół czegoś materialnego.

Niegdyś, przed wojną, kościół na Grzybowie też rozgraniczał dwa światy: był blisko Marszałkowskiej, jeden stąd do niej krok poprzez Świętokrzyską i wygięty zaułek brudnego, pracowitego Bagna, ale równocześnie pozostawał już objęty forpocztami stłoczonych żydowskich kamieniczek. W czasie wojny znalazł się w zamkniętym murami getcie, a jego proboszcz, kiedyś gwałtowny działacz antysemitki, okazał się sługą Chrystusa i bohaterem, pozostając z nieszczęśnikami do samego końca, do śmierci, która wyciszyła te dzielnice swą otchłanną, kamienną lecz i jakoś zatechłą ciszą. Jeszcze teraz trwała tu owa cisza — niedaleko drzemią dwa narożniki placu, spotykającego się z Bagnem i Próżną,

na rogach tkwią stare, obdrapane z tynku kamienice, w nich przepastne, ciemne choć wysoko sklepione warsztaty i sklepiki, przed sklepami zaś sterczą nad brukiem brudne szyldy, ale też u góry ozdobne, kute w hieroglify wzorów, niedzisiejsze okienne kraty. W otchłaniach bram i piwnicznych sklepów, na podwórkach i drewnianych schodach, czai się, drzemie echo dawnych głosów, oddech pomordowanych, zapomnianych Żydów. Kształt starego życia odczytać jeszcze można z zachowanego tu częściowo bruku, z „kocich łbów” jezdni, z pradawnych, porzecznych szyn tramwajowych, tkwiących nadal cudownym trafem wśród prostokątnych kamieni. Cudownym trafem, bo tuż obok robotnicy kładą już z hałasem gorący asfalt, bo białe, wyniosłe bloki Grzybowa rzucają tu swój cień i niezadługo nikt już z bruków nie odczyta, jak układały się i nawarstwiały słoje historii: zniknie wszystko, i kamienice, ze swymi schodami, półmrokiem natłoczonych starymi przedmiotami sklepów, stęchliwą piwnic i kamienie brukowe i ślepe szyny. O przeszłości świadczyć będzie tylko ów anachronicznie drzemiący w cieniu nowych drapaczy, wielki lecz jakoś teraz zmalały kościół. Gdzież więc szukać śladów dawności, jeśli nie w kościelnej, ciemnej kruchcie — kościół świadczy wszakże i o dawnych, milionami zaginionych Żydach, o echach ich głosów, tchnieniach oddechu.

Tak zatem kończyła się wędrówka wokół owego fantastycznego placu, którego każda strona całkiem jest inna, z innej parafii, jak mówiono w schłopiałej dziś, dziwnej Warszawie. Dziwna Warszawa, dziwny plac — i już znowu wszystko wracało w dzisiejszość, nad którą, skoro taka dziwna, wzruszyć należało ramionami. Zbyt tu już zostało wszystko pokręcone i pokomplikowane, toć nawet z placu Grzybowskiego widać nie tylko drapacze i żydowskie kamieniczki, ale gdzieś tam bieli się i wdzięczny wśród ceglanych usypisk wyłuskany z gruzów pseudo renesansowy pałacyk, a daleko w tle bladego nieba rysuje się zębaty szpic wieżyczki dawnego kościoła kalwińskiego na Lesznie. W socjalistycznym mieście o przeszłości świadczą więc jedynie kościoły i świecące patyną konserwatorskiej nowości pałace? A to heca, ale heca nazbyt zawiła, tak jak ów Plac Defilad, właściwie nie plac, bo do przesady zapchany marksistowskim ratuszem czy kościołem (znów pałac!) budynkiem, którego w końcu niesposób było pomijać, bo stanowił przecież organiczny składnik miasta, owej Warszawy tranzytowej dla wojsk czerwonych między Moskwą a Berlinem. Żyje się tu na wulkanie, w przejściu, przededniu, nie można istnieć poza historią, Plac Defilad był tego dowodem, zawiły, bezstylowy, przemieszany, wygwizdów otwarty na cztery strony świata, nie osłonięty od huku pociągów i ciężarówek, od

owego ruchu groźnie chaotycznego, na pozór miejskiego, lecz mającego w sobie coś przyrodniczego, żywiołowego, przy czym reklamowane ściany tego placu nie dają żadnej osłony, to zbiorowiska sztucznych, bezdusznych klatek lub martwe resztki trupich murów. Czasem, owszem, wywiązuje się tu jakaś dekoracyjna hojność, ale właśnie przyrodnicza, użyczona mimochodem, gdy, podsyte fioletem i różowością nieba, występują na parkiet przestrzeni absurdalnie różnorodne bloki, ściany, wieże, kamienice, czasem znów gdy o zmierzchu szarolocista gała powietrza i światła otula szerokie załomy pałacu; wybaczyć wtedy można jego kształt nieudacznym, zachowując w pamięci tylko czerwone, wielkie, ciepłe litery na przesłoniętym wieczorną mgłą frontonie. Kiedy indziej bywa znów słońce, falująca zieleń, wiatr, balustrady i kiosk z piwem. Ale to wszystko zdarzało się, dopóki promenowali tu z Bluzeczką w przeróżne, wiosenne czy zimowe niedziele. Gdy zaniechali spacerów — plac powrócił do obcości, w notatkach Romana pozostały zaś mechaniczne opisy, wyliczenia raczej, rejestr niepowiązanych elementów, niepowiązanych nawet jednolitością nastroju, jak tam, na molo w C...

Bo nastrój, panujący między nim a Bluzeczką nie był oczywiście na tym placu jednolity, zmieniał się ciągle, przeszli tu wszystkie fazy, od miłości po nienawiść, wszystkie stopnie zazdrości, od początkowej, konstruktywnej, kuszącej perspektywą całkowitego owdładnięcia drugim człowiekiem, aż po końcową, pełną furii, tępej wściekłości a w końcu jałowej rozpacz, jaką już samotnie trawił w sobie później Roman w nieprzytulnych, obcych kawiarniach u stóp Ściany Wschodniej, czy w hallu lub barze nowego, narożnego hotelu, aby wreszcie powrócić do C... i do pierwotnego swego zamiaru, zamiaru ekspiacji przez danie świadectwa, od czego odwiódł go jednak chyba ów zadziwiający Kazik B... W rezultacie nie zostało nic, skoro bowiem ziemia w Polsce, w przekroju lat, epok, pokoleń, ustrojów i innych przypadłości uciekła Romanowi spod nóg, a Bluzeczkę wywiał wiejący z Placu Defilad ostry wicher nienawiści i zaniósł nie wiedzieć dokąd, zresztą jej sprawa to tylko złuda, więc musiało się skończyć, tak jak się skończyło i to nie tyle z winy obcości pokoleń (ta rzecz stanowiła tylko wtórny element pomocniczy), co z winy zazdrości, wywołanej niemożnością złączenia się, niemożnością posiadania — to było ważniejsze od niemożności zrozumienia. Zrozumienie by się zjawiało, Bluzeczka przeszłaby na jego stronę, złożyłaby mu w ofierze siebie wraz ze swym życiem i swymi poglądami, gdyby mogła przyjść ze wszystkim, gdyby naprawdę tego chciał. Ale on wahał się, bał, chciał za mało, z pragnienia pozostała tylko forma — i za to chyba Bluzeczka

go zniecierliwiła. A dlaczego nie chciał naprawdę? Bo nie miał siły ucześcić się całym sobą mniemanej rzeczywistości, bo widział wokół grę złudzeń, płasanie cieniów w jaskini i Bluzeczkę do owych cieni zaliczał, może nawet o tym nie wiedząc. Ona to wyczuła i właśnie — odeszła. Właściwie zupełnie słusznie, choć może dała mu, nie wiedząc o tym, jakiś uchwytny powód, motyw, pretekst, jakąś pobudkę, przez którą rozrósł się między nimi pasożytniczo i żarłocznie element obcości. Lecz kto w istocie, niezależnie od wieku, pokolenia, różnicy doświadczeń, kto w tej całej na Placu Defilad rozegranej sprawie był bardziej obcy, on czy ona? A może zaakcentowana tak dobitnie obcość placu jest rezultatem chaotycznego zlepiania tutaj przez kogoś (czy raczej przez nikogo, przez zbieg przypadków „losowych”, jak mówiono w pracowniczej Warszawie), owocem bezstylowego, niespójnego sklejenia tu na chybił trafił różnych elementów przeszłości i teraźniejszości, stającego się dziwacznie monumentalnym punktem odniesienia dla zbiorowych przeczuć, hipotez i lęków na temat przyszłości? Może; możliwe też, że zlepek taki, narzucający się w środku miasta, od dawna naśladował oraz kontynuował Romanową rzeczywistość ponadczasową, towarzyszył stale choć poza świadomością tej wewnętrznej rzeczywistości, podziałł więc jak katalizator na rodzącą się między nimi dwojgiem już wtedy, za pierwszym pobycem i poznaniem się w C..., konfliktową sprawę, z którego to splotu wypadków, wyobrażeń, domniemań a także przeżyć wynikało w końcu zaniechanie książki i związanego z nią wysiłku psychicznego? Prawdopodobnie wreszcie, chcąc to wszystko zrekonstruować, wyświetlić, wytłumaczyć, aby móc zacząć pracę od nowa, bez balastu wspólnych przeżyć, lecz osobiście bogatszy o nie, o ich sens, Roman powrócił w tej samej co wówczas porze roku do C... i jął powtarzać tutaj wszelkie swoje ówczesne, początkowe czynności, gesty, znaki, robiąc to w dodatku z pomocą notatek, gdzie przeważały niestety niezbyt przydatne a przez krytyka R... srogo niegdyś potępiane materiały opisowe, dotyczące zresztą głównie krajobrazów i kawiarni w C... właśnie.

XIV

Kawiarnia była miejscem najbardziej znaczącym — tam się wszystko zaczęło, w owych brązowo-złocisto-purpurowych wycinkach specjalną sztuką zorganizowanej przestrzeni, gdzie zespół

elementów, takich jak barwy, kształty, zjawiska akustyczne i smakowe składał się na całość jedyną w swoim rodzaju i trwałą, chociaż trudną do dokładnego opisanie a raczej przekazania komuś, kto tam nie był, stąd właśnie owe mozolne etiudy czy materiały do etiud, uwiecznione w zeszycie Romana, z nałogu reporterskiego pisał bowiem w kajetach i notesach kolorowymi długopisami, ani mu w głowie była maszyna, na której wystukiwali swe zadania koledzy z Domów Pracy Twórczej. Dzięki temu teraz, po roku, mógł się tu zjawić z owym bloczkiem papieru i porównywać to miejsce z dawną wizją: stwierdzał, że rzecz jest trwała, że przestrzenny układ barw i kształtów, podkreślony cichym rozgwarem rozmów i charakterystycznym kwasowym smakiem nienadzwyczajnej zresztą kawy przetrwał bez skazy minione dwanaście miesięcy — tyle, że, rejestrując zmysłami wszelkie właściwości tego miejsca i stwierdzając, że ma je wszystkie skrupulatnie zanotowane, nie odczuwał już przeszłorocznego nastroju błogości, znaczącej tajemniczości, nie nazwanej jeszcze obietnicy, płaszącej wraz z ruchomymi plamami słońca na boazeriach i dywanach. Obiecujące było wtedy wszystko — nawet rzecz w kraju najgorsza (*gorsza, jak powiedział ktoś, od samego socjalizmu*), mianowicie jego prasa. Co prawda nieliczni świadomi rzeczy a nie obawiający się prawdziwych rozmów goście z Rosji przysięgali na brodę Lenina, że prasa polska jest sto razy swobodniejsza i śmielsza niż prasa radziecka, ale dla Polaka, świadomego faktu, że Rosjanie byli zawsze takimi czy innymi niewolnikami i zawsze z tej swej niewoli robili mistyczne posłannictwo, pociecha to zgoła nie największa. Nie chodziło już nawet o relacjonowanie wydarzeń: z prasy polskiej, przy odrobinie przenikliwości można było, choćby czytając na odwrót, wymiarkować, co się naprawdę w świecie dzieje, podczas gdy prasa rosyjska sprawnie unikała wszelkich niezamierzonych aluzji do rzeczywistości, zresztą i tak okazałyby się one dla większości zamkniętych w swej gigantycznej lodowce czytelników niezrozumiałe — szło jednak tutaj o owego natrętnego demona interpretacji, który rządził teraz nadwiślańską prasą udzielnie i bezapelacyjnie, posługując się przy tym specjalną, hieratyczną terminologią, mowa ta zaś, dzierżąc monopol, wypierała stopniowo z oficjalnego użycia inne języki — w rezultacie, w epoce, kiedy czytelnictwo gazet zyskało sobie miliony nowych adeptów (*w każdej, najbardziej opuszczonej wioszczynie świecił teraz po nocy szklany kiosk prasowy, symbol centralnego władztwa nad duszami*), kiedy czytanie pism stało się nader polecanym symbolem powszechnego awansu maluczkich, zasiadających teraz przy wspólnym narodowym stole, w epoce takiej nastąpiło odwrócenie funkcji: to nie myśl już wybierała

sobie odpowiednią szatę słowną, lecz jacyś arcyświadomi krawcy rozpoczynali całą sprawę od sporządzania owej szaty właśnie, wiedząc, że do kroju szaty przystosuje się jej cielesna, w danym wypadku myślowa zawartość. Słowo kształtuje treść myślową a nie odwrotnie — oto nowa, oślepiająco jasna i zaskakująco prosta koncepcja, oparta na założeniu, że samodzielność języka ginie, idea zaś poety według której „język giętki” wypowie wszystko „co pomyśli głowa” jest anachroniczna, wobec zupełnie nowej konwencji, ustalonej tu w dzisiejszej, zmechanizowanej i zmasowanej epoce jako wzór stosunku między fluidem czy impulsem, wytworzonym w ludzkich komórkach mózgowych a dźwiękiem, wydawanym przez ludzkie gardło i następnie, bądź to milionkrotnie reprodukowanym za pomocą taśm i głośników, bądź też utrwalanym na papierze w postaci znaczków-symboli, zwanych literami. Do tych znaczków zresztą rządzący dziś polskim słowem magicy wydawali się przywiązywać największą wagę, precyzyjnie przesiewano je przez groteskowe sita wielu cenzur, może w myśl starej maksymy *verba volant, scripta manent*, choć z drugiej strony nie przeszkadzało to bynajmniej w nagłych interpretacyjnych skokach, kiedy to z dnia na dzień w tym samym piśmie można było przechrścić jakiegoś murzyńskiego królika z wodza narodu na imperialistyczną marionetkę czy odwrotnie. Według tych nagłych zmian właśnie kawiarniani prorocy wróżyli o przyszłości i przyszłej polityce niczym z fusów od kawy lub z kierunku lotu jaskółek. Czynność niewątpliwie subtelna, mało znana mieszczańskim krajom zachodnim, gdzie prasa cieszy się prymitywną swobodą nazywania rzeczy po imieniu i mówienia wprost o co chodzi. Na Zachodzie jest wolność słowa, lecz nie ma tam o czym mówić, tu przeciwnie, wiele by było do pogadania i dlatego prawdopodobnie mówić nie wolno — dziwnie się wszystko plecie na tym naszym biednym świecie.

Ale niewątpliwie owi krawcy, co rozpoczynali od krojenia słownej szaty, wiedząc że sylwetka myślowa z czasem się do tej szaty dostosuje, to byli wielcy pesymiści. Najwyraźniej kierowali się przeświadczeniem, że faktów w rzeczywistości ich przebiegu i bez interpretacyjnego ubioru nie wolno podawać do publicznej wiadomości, podane bowiem w ten sposób nie będą działać po ich, filozofów, myśli, czy nawet po żadnej w ogóle myśli, lecz obnażą przyrodzony nieporządek świata. Tymczasem oni właśnie istnieli i czuwali po to, żeby w ów przypadkowy nieład wnieść własny, interwencyjny system i ład, instrumentem zaś ich działania stała się prasa, która, jakkolwiek by była prymitywna, to jednak każdą niewygodną prawdę omija precyzyjnie i konsekwentnie. Precyzja na usługach myśli upraszczającej —

rzecz owa przypominała Romanowi szachy. Gra to niezwykle popularna w Rosji, w szachy grywa się w każdej radzieckiej świetlicy czy *stołowej*, trzy czwarte światowych arcymistrzów pochodzi z kraju Lenina. Szachy stanowią doskonałość abstrakcyjną, samą dla siebie, nic poza sobą niewyrażającą, geniusz szachowy nie jest geniuszem w żadnej innej dziedzinie, dlatego właśnie myślenie szachowe nie staje się dla ustroju groźne, a zastosowane do ideologii spełnia arcypożyteczną funkcję sterylizacyjną, automatycznie eliminując wszelkie wątpliwości czy uboczne produkty mózgu, pozostawiając natomiast idealnie wyrysowaną, prawidłową linię. Podobne rezultaty daje szachowe myślenie użyte w dyplomacji i tu także jednak odciska ono swe piętno abstrakcyjne, niewyjaśnialnie bezinteresowne: wiadomo, że dyplomacja rosyjska, w swej brutalnie gołej logice działania jest jedną z najlepszych na świecie, niewytłumaczony pozostaje tylko sam cel tego działania, dlaczego mianowicie i po co Rosja miałyby na przykład rządzić połową Europy i połową Azji. Ostatnich jeszcze argumentów po temu dostarczył zresztą morderczy Hitler, dlatego to szachowa prasa polska nie może się z nim rozstać przez długie lata, przywołując niebezpieczeństwo niemieckie kiedy się da i jak się da, na co znów niewprawni w szachach Niemcy ani rusz nie potrafią dotąd znaleźć właściwego słowa. „Nawiedzony”, lecz bezbłędnie logiczny szachista i pragmatyczny, bogaty prymityw, obaj bardzo silni, oto zaiste fatalni partnerzy dla polskiego bezradnego kibica!

Czy prasowi krawcy komunizmu w swoich przewidywaniach, że sylwetka ludzka dostosuje się do skrojonej dla niej uprzednio szaty, pomylili się w Polsce czy też mieli rację? Problem to nie prosty — na razie uznać było można, że osiągnęli już sukces u tych, którymi się w swej pracy posługiwali, u dziennikarzy. Dziennikarze bowiem, przymuszani do aktywnego kłamstwa, najpierw kłamali świadomie, potem tworzyli sobie kunsztowny system uzasadnień taktycznych, wreszcie, w miarę wykruszania się starej redaktorskiej kadry i przybywania nowej, kłamali już z przekonaniem, czyli nie kłamali lecz mówili subiektywną prawdę — działa tu zarówno przyzwyczajenie jak i moralny instynkt samozachowawczy, nie pozwalający człowiekowi żyć na co dzień z myślą, że kłamie, instynkt, domagający się okazania niezbędnego minimum szacunku wobec samego siebie. Zresztą instynkt ten funkcjonował chyba i w skali szerszych kręgów społecznych: całe społeczeństwo miało wszakże swoją kłamliwą prasę i całe społeczeństwo, złożone przecież w większości z normalnych, przyzwoitych ludzi, czytało ją bez szemrania, ba, z przywiązaniem i upodobaniem nawet. Co więcej, Roman również czytał tę prasę z upodobaniem, wręcz z namiętnością, tyle, że u niego miało to charakter

masochistyczny: rzucał się na pisma przy porannej kawie, aby odnaleźć swoje ulubione kłamstwa i potwierdzić sobie żelazne funkcjonowanie szachowej zasady. Bo tylko na pierwszy rzut oka prasa komunistyczna wydawać się może zwykłym bełkotem, w istocie panuje tam niedostrzegalna dla powierzchownego obserwatora precyzja w eliminowaniu wszystkiego, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z wymykającą się interpretacjom istotą rzeczy. Zresztą, nawet aby pisać same głupstwa, trzeba być na swój sposób inteligentnym, trzeba mieć wytrawny zmysł selekcji, inaczej przecież coś niegłupiego też by się przemknęło. A w ogóle uwidacznia się tutaj wyraźny, prosty zamysł: uniemożliwić ludziom samodzielnie wyrabiane sobie zdania, realizując to przez odcięcie ich na co dzień od aluzji choćby do innego poglądu lub innej interpretacji zdarzeń niż przewidywała gra. Jest to zatem praca, choć z założenia początkowo brutalna, nader w wykonaniu cienka, na swój sposób finezyjna, różni dziennikarze w różny sposób (aby tylko jakoś dla siebie pochlebny) tłumaczą sobie jej konieczność — Roman znał te sprawy dobrze, tkwił w śródowisku od lat, pamiętał jego ewolucje, wzloty, przełomy i załamania. Ale jak odbierała codzienną prasową mannę młodzież, owi uroczy chłopcy w perłowych kamizelkach czy kolorowych swetrach, owe dziewczyny dumnie a bezstrosko okazujące wszystkim łukowatą linię bioder? Wszak jeśli komuś od kolebki tłumaczy, że największym wrogiem Polski jest amerykański imperializm, to rzecz owa nie może pozostać bez śladu, podobnie choćby jak działanie głosu z płyty, która nastawiona podczas snu delikwenta, bezboleśnie go uczy obcych języków.

Tak to Roman, rozpieszczony wówczas atmosferą urlopu w duchowym polskim Meranie, olśniony nieprzewidywanym w zimie, płynnym, wciąż obecnym błękitem nieba, który chciałoby się pić z ciągle nieugaszonym i w istocie nieugaszalnym pragnieniem, Roman naoliwiony duchowo czarną kawą i przepętniony przecuciem czekających go za chwilę w jego nadmorskim pokoju emocji twórczych, przygód rehabilitujących a tak na razie niegroźnych, bo tylko jego własnych, nie znanych do czasu nikomu, Roman czuł się w „Srebrnym Jarze” znakomicie i to właśnie pod względem intelektualnym i właśnie z okazji studiowania polskiej prasy — przy tym w trwożliwszych z natury dziennikach prowincjonalnych czystość i logika szachowej metody interpretacyjno-psychologicznej występowała z całą gołą precyzją i jasnością konturów, więc satysfakcja tym była pełniejsza. Czuł się wywyższony ponad obdarzonych wolnością słowa ludzi Zachodu, bo czytał oto w sposób skomplikowany, podwójnie i potrójnie, próbując przy tym dodatkowo wcielić się w psychikę swych młodych współto-

warzyszy od kawiarnianych stolików. Jakżeż czuł się również wyniesiony ponad bywalców Klubu Międzynarodowej Prasy, którzy na tymże deptaku, o parę domów niżej (dosłownie!), blisko morza, w ciasnym, zadymionym lokaliku, wczytywali się bałwochwalczo w nieliczne dozwolone egzemplarze *Monde'ów Times'ów* czy *Frankfurter'ów*, gdzie pisywano mądrze, informowano znakomicie, dyskutowano szczerze, ale wszystko było semantycznie i intencjonalnie proste, nazywane jednoznacznie po imieniu, podczas gdy tutaj, w szyfrach i palimpsestach polskiej prasy nie prasy Roman śledził i tropił zawile ślady, zarysy spisku, światoburczej a utajonej koncepcji, która posługując się fałszerstwem na sposób wyłączny i uniwersalny osiągała sukcesy w dziedzinie rzeczywistości, jako że fałszerstwo w tej skali i tak pozbawione konkurencji, wyrastało do rangi NOWEJ PRAWDY. Niewątpliwie bowiem, sukcesy konsekwentnego, ideowego kłamania były już ogromne, co świadczyłyby o słuszności chrześcijańskiej tezy, że natura ludzka jest skażona, wobec czego cnoty od niecnoty oddzielić w niej nie podobna. Znajdowało to wyraźne potwierdzenie w praktyce społeczeństwa konformistycznego, z takim oto nakładem środków duchowych budowanego tutaj przez wschodnich, czy zapatrzonych we wschód magików, doświadczonych mistrzów szachownicy. Zafałszowanie i świadomą perfidię w działaniu politycznym ukrywano oczywiście i maskowano jak najskrzętniej, polecając na zewnątrz afirmację cnoty prostolinijnej i bezwzględnej. Skrajna polityczna niemoralność połączona z propagowaniem grzecznej, katechizmowej niemal a do tego oleodrukowej moralności, dawały w sumie obraz iście manichejski: anioł z diabłem po społu, anioł w diable, diabeł w aniele — jakże skrajny, przeraźliwie trzeźwy pesymizm wodzów podyktował tę koncepcję interpretacyjną, której trzymano się w sposób nieugięty: nawet gdy instynkt samozachowawczy nakazywał sprezentować nadmiernie już ciągłą afirmacją cnoty znudzonemu społeczeństwu jakiś sadystyczno-demoniczny film zachodni, tłumaczono go jako krytyczne widzenie kapitalistycznego piekła. Niezwykła konsekwencja, niezwykły eksperyment — w Polsce, rzecz prosta, nie tak konsekwentny jak w Rosji, bo z wielu względów kraju nad Wisłą nie dało się zamknąć tak hermetycznie. Tym ciekawsze, jak w owej niedomkniętej retoryce ukształtuje się młode pokolenie, przyszły naród.

Roman chciał badać tę sprawę w pękającym od nadmiaru młodzi miasteczku C..., ale brakło mu rozmów i znajomości, dlatego też właśnie po paru dniach bywania w „Srebrnym Jarze” bezbłędnie ocenił, że dla wzbogacenia kilkun wymiarowego swego stosunku do czarodziejskiej polskiej prasy o wymiar młodzieńczy

najbardziej nada się owa zaciszna salka na pięterku, którą nazwał sobie w myśli „salą gazetową”.

Wchodziło się tam po schodkach, sala znajdowała się na uboczku i miała zupełnie inny koloryt niż reszta kawiarni: posadzka wyścielona była szarym dywanem, salkę zalegał niebieskawy zmierzch, w którym bieleły się blaty stolików, obstawione czerwonymi fotelikami. Czytało się pisma w jaśniejszej niszy, pod wielkim na całą ścianę, nie przezroczystym oknem, gdzie z boku błyskało niespodzianą głębią ogromne lustro, przed którym umieszczono właśnie kilkupiętrową półkę na gazety; dzienniki, ujęte w drewniane ramki, wisiały na haczykach, tygodniki natomiast, rozsegregowane starannie niczym w szkole leżały sobie w poszczególnych przegródkach. Siedząc tyłem do okna nad zbyt niskim stolikiem, Roman sponad gazety obserwował tę osobliwą, w ciemny brąz ściennych boazerii i żółtość sfałdowanego stropu ujętą przestrzeń wibrującego powietrza, trwającą w leniwej kontemplacji pośród wiszących pod sufitem kłębow papierosowego dymu. Obserwacja miała zresztą i swój cel konkretny: po drugiej stronie, obok wejścia, znajdowała się na podwyższeniu ciemna loża, gdzie siedziały nie zajęte w danym momencie kelnerki. Młodziutkie dziewczyny, ubrane w bardzo krótkie czarne sukienki były w mroku tej loży niemal niewidoczne, bieleły się tylko ich śnieżne kołnierzyki i długie, po biodra niemal odsłaniane nogi, obciążnięte jasnymi pończochami. Loża owa przywoływała jakieś dalekie reminiscencje, echa czegoś dawno zagubionego w falach niepamięci: był w Warszawie, przed wojną oczywiście, na starej, nie istniejącej nawet we wspomnieniach ulicy Trębackiej dwupiętrowy quasi antykwariat, zwany dumnie „Domem Sztuki”. W istocie zagracone antykami ciemnawe jego wnętrze stanowiło labirynt, w którym za pomocą wielopoziomowych schodków i galeryjek goście przedostawali się do intymnych zacisznych łóż, gdzie na arcymiękkich, puszystych choć już nieco przetartych sofach siadało się we dwoje i gdzie nigdy nikt nikomu nie przeszkadzał. Tutaj, w tym trudno zimą dostępnym, bo mającym zagrodzone przejście na uliczne werandy zakątku „Srebrnego Jaru” tworzyło się coś podobnego jak w tymym, ledwo uciepionym pamięci, starym, mieszczańskim lokalu: Sala Gazetowa, może właśnie dzięki owym czarno ubranym, motylim kelnerkom, rozpiętym na smukłych jaśniejących w zmierzchu, przepięknych nogach, była również Salą Zmysłów. Co się właśnie miało objawić niezadługo.

Na razie jednak, pierwsze parę dni po ówczesnym przyjęździe, uwagę Romana zaprzętała głównie prasa, apetyt na nią brał się zapewne z czarnej kawy, niebardzo dobrej, kwaskowej i raczej właściwie podławej, ale pitej w ogromnych ilościach, co w końcu

musiało dać swój rezultat. Wypijając trzecią, dużą szklanę Roman wspominał zawsze stary, młodopolski wierszyk, rodem oczywiście ze środowiska krakowskiej bohemy:

*„Wśród oceanu czarnej kawy
Płynę do wyspy ukojenia,
Clown, pełen nudy i marzenia...”*

Ale tutaj kawa nie prowadziła ani do marzeń ani do nudy, lecz do zaostrzenia mózgowej polemicznej pasji. Łykając dziennik za dziennikiem, tygodnik za tygodnikiem, Roman toczył sam ze sobą imaginacyjny dialog, usiłując, dla sportu a czasem i z bezradności, kiedy to wręcz już opadają ręce, obronić ową prasę, uzasadnić konieczność aby była tak bezmyślnie czy raczej zmyślnie jednolita, jak właśnie była. Pewien zachodni dziennikarz, który długie lata spędził w Moskwie, napisał potem, że cenzura i kierowanie prasą czy radiem lub telewizją to rzecz w komunizmie najważniejsza. Jeśli bowiem nie daje się tu ludziom swobodnej inicjatywy ekonomicznej i społecznej, jeśli nikt w żadnej dziedzinie materialnej produkcji nie tworzy samodzielnie, lecz jest tylko częstkowym narzędziem, to z jakiejże racji przyznawać komukolwiek swobodę wyboru właśnie w głoszeniu poglądów? Wszakże poglądy są dynamitem, twierdził tak właśnie Marks, któżby więc rozdawał publicznie dynamit, tylko w wariackiej Ameryce sprzedaje się każdemu broń. Słowo głoszone oficjalnie, konwencja urabiająca mózgi przez powtarzanie w kółko tego samego, to właśnie owe skuteczne, sugestywne zaklęcia czarowników; gdy dozwoli się komuś przerwać ich monotony i przez to nieodparty tok — koniec z czarami, w dalszej zaś może konsekwencji — koniec z rządami?

Tutaj jednakże Roman buntował się czasem przeciw terrorowi owego sylogizmu: niech sobie rządzą — myślał — ale niech nie nudzą tak strasznie kiepskim narkotykiem nieustającego deklarowania. Lecz na to właśnie nie było sposobu, jako że naprzeciw zbuntowanego przeciw nudzie śmiałka wyrastała ściana, bezosobowa ściana. Brał oto z przyokiennej niszy gazetę, obrzucał wzrokiem subtelne, obfitujące w rozpylone wokół półtony czy półcienie wnętrza sali, smakował pierwsze łyki kwaskowej ale na swój sposób uroczej kawy i czytał, czytał, czytał:

„Nie ma w Polsce dziedziny życia, w którą by członkowie Partii nie wniesli nowych, twórczych wartości, dowodząc w codziennej pracy, że Partia jest jedyną siłą, która może wprowadzić w życie program budownictwa polskiego państwa socjalistycznego

— jedynej formy narodowego istnienia w warunkach społecznej sprawiedliwości, twórczej pracy, wolności, pokoju i bezpieczeństwa. Historia awangardy polskiej klasy robotniczej, wielkiej partii marksistowsko-leninowskiej — to historia walki najlepszych synów i córek Polski, jej mas pracujących, o świetlaną przyszłość ojczyzny, o socjalizm, o wielką, niewzruszoną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i wszystkimi bratnimi krajami socjalistycznymi, walki toczonej dziś w naszym kraju nadal, walki o czystość ideową partii i jej bezkompromisowość wobec wszelkich prób nacisku rewizjonistycznej i drobnomieszczańskiej ideologii”.

Niewysłowiona bzdurność i formalna również absurdalność podobnego tekstu była tym przeraźliwsza, że przecież leżał on sobie w biały dzień na kawiarnianym stoliku i nikt się mu nie dziwił, nikt go nie kwestionował, ba — nikt się nim nie interesował. Ta ZWYCZAJNOŚĆ kosmicznych fantazji słownych stawała się właśnie czymś demonicznym. Czyż nikogo nic nie raziło w tych paru zdaniach, czyż nikt nie dostrzegał tu nieudolnego spiętrzenia patetycznych absurdów, uderzającej obłudy i sprzeczności? Co prawda zakłęcie nie ma wcale być logiczne, co więcej powinno właśnie być nie logiczne i abstrakcyjne, to jego specyfika, ale tutaj abstrakcyjność panowała tylko w formie, treść zacerpnięta została z życia, tyle, że do niego w mistrzowski wręcz sposób przeciwna — czyż nikt z AUTORÓW tego nie dostrzegał? Nie chodziło już bowiem o dziennikarzy, ostatecznie dziennikarz (tak to tłumaczył Romanowi pewien kolega) bywa, podobnie jak dyplomata, jedynie technikiem: wykonuje po prostu zleconą mu cudzą politykę, bez względu na własne poglądy, jeśli je posiada, polityk zaś jest dobrym lub złym sługą konieczności, więc także trudno obwiniać go o nieuczciwość. Ale szło właśnie o autorów, o głównych, sprawczych czarodziejów propagandy: dlaczegoż nie przesunęli swego zaklęcia bardziej jeszcze w dziedzinę abstrakcji, dlaczego, wyborem i zestawem słów nawiązując do życia, narazili te słowa na możliwość konfrontacji z rzeczywistością, a więc na utratę magii i porażkę? Toć każdy wiedział, że „świetlana przyszłość” (*sam termin w polskim języku zakrawał na kpinę*) spotka w tym kraju tylko ludzi, którzy nie żyją z miesięcznej pensji, nie zależą od stałej pracy, czyli egzystują poza konsekwencjami zasadniczej tezy ustroju. Dobrze się mieli hektarowi chłopi, przemysłni ogrodnicy i warzywnicy, trochę rzemieślników, wiejskich, wolno praktykujących lekarzy i dentystów, trochę artystów, trochę dziennikarzy, trochę handlujących za granicą dyplomatów i wyższych urzędników, najgorzej za to wegetowali robotnicy (*z wyjątkiem dorabiających na boku murarką, malowaniem mieszkań czy ogródkiem*), źle zatem prosperował

pozbawiony prywatnych okazji proletariat, czyli sól systemu i jego nominalna szlachta. Wszystko na odwrót, wszystko na wywrót — czyż nikt ze sprawców i czytelników tego tekstu nie dostrzeże, że z delicji świetlanej przyszłości jak na razie skorzystać będzie mogła klasa nie typowa, lecz wciąż przeważająca: wyklęte drobnomieszczactwo właśnie? A może o tym się nie mówi, aby nie popsuć małej stabilizacji i polskiego wiejskiego „Nepu”, aby się Rosjanie nie dowiedzieli i nie zgniewali?

Tak czy owak, czarnoksiężskie teksty przeznaczone były dla jakiegoś, abstrakcyjnego choćby ludu, co jednak myślą sobie o ludzie ci, którzy traktują go taką strawą? Czy wyzwalenie ludu musi być połączone z poniżaniem go? A może lud nigdy sobie nie uświadomi, że się go poniża, skoro nikt w całym, zamkniętym kraju nigdy nie pozna innych poglądów, skoro powtarzany i powielany zostanie tylko ten jeden jedyny schemat i nikt nie będzie miał ani obowiązku ani ochoty konfrontowania go z rzeczywistością, obecną a tym bardziej dawną, planowo już zapomnianą? Czy więc wszyscy muszą kłamać? Kto nie zna prawdy, ten nie kłamie, zaś nowy język zakłęb i abstrakcji wchodzi w krew. Rosjanie nie wiedzą już kiedy kłamią; ich przywódcy wiedzą, ale oni, lud, nie uznaliby tego, nie zrozumieli: zbyt długo odcięci pozostawali od normalnego języka i oto mowa zakłęb stała się ich własną mową. W Polsce za to dużo jeszcze ludzi świadomie kłamię i udaje, kręci, wymija prawdę, gra komedię, świadomie wmawia, że widzi ubranego króla. Nie tylu co za czasów Stalina, kiedy wszystko jeszcze było żywe, ale jednak chyba i niemało jest jeszcze takich filutów. Tylko, którzy to właściwie są, jak sobie dają radę, jak się maskują? I w jakim tempie ich psychika się zmienia, czy to proces nieodwracalny, czy w miarę pochodzenia pokoleń będzie się pogłębiał? A co na przykład myśli o tym młodzież, ta, co ma jeszcze czyste konto, co nie pamięta przeszłości, zaś inną mowę zna tylko z zagranicznego radia czy prasy?

Młodzież — właśnie, to był problem — Roman stracił z nią kontakt, miał tylko swoje dzieci, przypadek zgoła nie typowy. Lecz właśnie tutaj, w C..., w studenckim „Srebrnym Jarze” nadarzała się okazja. I oto Roman coraz częściej podnosił wzrok znad gazety i ukradkiem wodził nim po sali, natłoczonej bez troskimi na pozór efebami w kolorowych swetrach i poważnie rzeczowymi, prześlicznymi dziewczętami, tyle starań wkładającymi w swe malowane koafiury, czy w opinające kolana i uda grube, barwne pończochy. Własny świat, świat w świecie, rzecz arcyciekawa, choć jakże niedostępna. Właściwie Romana już tutaj znano, rozróżniano, młodziutkie kelnerki uśmiechały się powściągliwie ale wyraźnie — nie wiedział za jaką to brać monetę,

dobrą czy złą, może śmieszył tu swą starością? Wszystko było niejasne, aż do pojawienia się Bluzeczki, a raczej do uświadomienia jej objawienia, bo można kogoś widywać stale i nie zdawać sobie z tego sprawy, aż przyjdzie moment wyraźnego uświadomienia, wtedy zaś z niebytu, z podświadomości wyłaniają się wszystkie uprzednie spotkania, nakładając się na chwilę obecną i zwielokrotniając jej intensywność, zwiększając ją i pomnażając o obszary czasowej, przeszłościowej głębi i perspektywy, tak, że w końcu nie wiemy już wcale jak dawno i od kiedy znamy daną osobę.

Klasyycznym tego przykładem była właśnie sprawa poznania czy raczej spotkania w C... Białej Bluzeczki. Nie wiadomo od którego momentu Roman ją sobie zdawać sprawę, że w Salce Gazetowej pojawia się i znajduje dziewczyna o smukłej, wiotkiej sylwetce, blondynka z włosami upiętymi w niemodny raczej już obecnie „koński ogon”, że jakieś szare oczy obserwują go od niechcienia (czy może od chcenia?) również znad stolika, obłożonego plikiem gazet. Prawdopodobnie utożsamiał ją z dziewczęcym otoczeniem, choć nie była tak młoda i przy tym ubrana znacznie skromniej, w dłuższą niż normalne, plisowaną spódnicę i właśnie w pensjonarską białą bluzkę z dużym kołnierzem. Wtapiała się dłoń długo — choć nie pamiętał jak długo — w nieuchwytną ale wyraźną, bezosobową aurę dookolnego naerotyzowania, ukrywanego pod maską obojętnej powagi i rzeczowości, czy też łagodnej, wszystko wiedzącej ironii, cechującej na pozór tutejszą młodzież. Trudno więc orzec, kiedy właściwie Bluzeczka się zindywidualizowała, kiedy przypadkowe spotkanie spojrzeń stało się długie i znaczące, zawierające w sobie coś zarazem ważnego i nieuchwytnego, jednocześnie zdumiewająco poufate i formalnie całkowicie obojętne. Podobne spojrzenie bowiem, którego każda ze stron może się jeszcze wyprzeć, największy swój urok zawiera właśnie w tym, że jest zupełnie nie wiążące, choć całkowicie dobrowolne, przez tę zaś samorzutną, nie angażującą dobrowolność tak wiele obiecującą, więcej nawet, niż będzie można kiedykolwiek otrzymać, gdyż owo nagłe, przedłużające się wzajemne uwięzienie oczu, całkiem sobie jeszcze obcych, jest wyrazem tęsknoty nieopisanej, próbą wyjścia poza siebie, poza ustalone czy ustalające się niezależnie od naszej woli i świadomego wyboru okoliczności, poza czas, miejsce, przeszłość i konieczności, próbą osiągnięcia nieosiągalnego. Czymże bo innym może być spojrzenie, w którym potrafimy zatopić się na długo i zawrzeć w nim wszystko, a które zarazem jest absolutnie nieobowiązujące, tak nieobowiązujące, jakby go nie było: niesposób przecież powołać się na nie, domagając się głośno jakichś wyjaśnień czy dalszych ciągów: można by

się tylko ośmieszyć, napotykać na kategoriyczne zaprzeczenie, którego nie podobna obalić nawet świadectwem osób postronnych, te bowiem, jak się niewątpliwie okaże, z reguły nic nie widziały i nic nie wiedzą. Rzecz jest poza materialną, choć tak rzeczywista i albo się dzieje albo nie — nie można również jej przyspieszyć czy przedwcześnie urealniać, tak jak kiedyś, gdy jeszcze modne było tango, z ciepłego, mocnego przytulenia nieznaney partnerki nie wolno było o niczym wnioskować. A przytulenie spojrzeniem na odległość obiecuje nieskończenie więcej niż przytulenie cielesne, tym bardziej jest nieuchwytnie, tym łatwiej je spłoszyć, tym niestosowniej domagać się przedwczesnej weryfikacji. Weryfikacja może przyjść w swoim czasie, weryfikacja, potwierdzenie, spełnienie, wtedy rzecz jest przez chwilę jeszcze nawet piękniejsza, ale już, jak wszystko co ucieleśnione materialne, skazana na nieuchronny prędzej czy później spadek napięcia, wywołany przez przyzwyczajenie, na stopniowy uwiąd, w perspektywie zaś na szereg przekształceń, prowadzących do nieuniknionego gdzieś w dali rozkładu — taki jest los wszelkich bytów, myśli, uczuć, poddanych prawom istnienia, a więc czasu. Natomiast wymiana długich spojrzeń z Nieznajomą, spojrzeń, czarodziejsko łączących przez chwilę nieuchwytność z realnością, wymyka się na razie prawom istnienia, istnieje nie istniejąc; póki broni się jeszcze przed potwierdzeniem i wcieleniem, stanowi próbę wyjścia poza świat i jego normy, jest marzeniem o przekreślaniu wszystkiego innego poza sobą samym, o trwaniu tylko w tym jednym jedynym momencie, zatem o trwaniu w nieskończoność. Nieskończoność byłaby więc tutaj czymś zamkniętym, skończonym, to zresztą właśnie twierdzą o niej niektórzy fizycy: nieskończoność otwarta skazana jest na dalszy ciąg, na rozwój, na przemiany, w rezultacie na rozkład i nicość. Tylko nieskończoność zamknięta w jednej nieruchomej, niezmiennej chwili jest nieskończonością rzeczywistą, bezbrzeżną.

Miłość bywa więc osiągnięciem nieosiągalnego, umożliwieniem niemożliwości, realizacją nieprawdopodobieństwa — stąd tajemniczość i wszechogarniający urok owego jej wstępnego stadium, póki jeszcze niewiadomo, co ono właściwie znaczy, póki wszystko pozostaje nie uświadomione, nie nazwane, póki nie dowierzamy, że przeczuwany wspólny fluid staje się realnością, że niemożliwość przekształca się oto w uchwytnie, choć niby drobne fakty, że cała sprawa nie jest złudzeniem i nie cofnie się w niebyt, z którego na pozór przez chwilę wychyłała. Jakżeż mógł Roman przypuszczać, że on, bliższy sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki, wzbudzi zainteresowanie młodej dziewczyny w zimowym, nasyconym młodzieżą C..., jakże mógł przypuszczać, że sam się

zakocha i to najautentyczniej, że jeszcze raz, po długich latach wszakże, popadnie w ów niezwykły stan, wejdzie w ów okres straconej już wydawałoby się bezpowrotnie intensywności, kiedy to życie jest napełnione po brzegi samym mięszem, jest zarazem własnym celem i własnym spełnieniem, nie budzi najmniejszych wątpliwości co do swojego kierunku czy sensu, a jedyne problemy i trudności dotyczą spraw technicznych: jak i kiedy się z ową, niezbędną naraz i przesłaniającą czy zastępującą świat osobą spotkać, skąd wziąć na to czas, jak ewentualnie ukryć się przed wzbudzoną raptem czujną niedyskrecją ludzkich oczu. Lecz tutaj, w oderwanym od wszelkiego realnego dla nich obojga ludzkiego życia, dalekim od Warszawy zimowym C... te wszystkie problemy niemal nie istniały, a że Bluzeczka, dziwnym zrzędzeniem życiowego rytmu, znalazła się w idealnie takim samym stanie jak on, więc przeżyli w owym grudniu najdoskonalszą pełnię, pełnię we dwoje, jakby dwie dusze i dwa ciała, względnie, jeśli kto woli, dwie istoty psychofizyczne, opanowane wspólnym impulsem i, nie wymagającym żadnych słów, wszechwiedzącym współodczuwaniem, przekroczyły barierę, dzielącą człowieka od człowieka i istniały przez kilka tygodni wspólnym, jednym jedy-nym istnieniem. Tak to było w owym zeszłorocznym grudniu, aż pojąć trudno, że nic z niego prawie nie zostało, nawet resztek sentymentu, czy choćby nastrojowego sentymentalizmu wspomnień: najwidoczniej tęsknota, zazdrość, gniew, rozpacz, uraza, zobojętnienie, kolejno aplikowane, zrobiły swoje, przeżarły i strawiły wszystko aż do dna, tak, że dzisiaj, wspominając, nie odczuwał już nic poza zdziwieniem nas sobą samym i tamtym czasem, nic, siedząc przecież w tej samej prasowej salce „Srebrnego Jaru”, obserwując te same piękne, nieznajome dziewczyny, otrzymując ten sam skrywany półśmiech czarno i kuso ubranych kelnerek, a nie oczekując przecież i zgoła nie pragnąc, aby od sąsiedniego stolika spojrzały nań sponad *Dziennika Bałtyckiego* czy *Głosu Wybrzeża* sugestywne, znieruchomiłe nagle szare oczy. Zdumiewające, jak szybko tamto się wypaliło, jak gruntownie wspomnienia i skojarzenia utraciły wszelką magię. Widać za długo trwał ów wstępny okres niedowierzania a zbyt intensywny okazał się wiosenny już, warszawski okres nienawiści. Zresztą nie pamiętał teraz dokładnie ani faktów ani ich proporcji, wszystko mu się poplątało w kolejności i chronologii, nie chciał zresztą tego porządkować czy odnawiać — na wątek książki zbyt jest banalne, miał obecnie inne problemy — problemy, które okażą się ostateczne. A tamto, co się niby zdarzyło, mogło być po prostu jego złudzeniem, tworem imaginacyjnym, Bluzeczce chyba rysowało się to całkiem inaczej, choć wydawało się wówczas, że istnieją wspól-

nie, kierowani jednym impulsem i jedną myślą — to musiało na pewno być jego złudzenie, w innym wypadku dlaczegóż by nic w nim z tego nie zostało, nawet z rozpaczy, nawet ze smutku? Dziś zresztą domyślał się po trochu w czym rzecz: oto czary filozofów, tworzące świat w którym oboje żyli, dla niego były nudne, tymczasem dla niej wcale nie. On myślał, sądząc po sobie, że Bluzeczka, również znużona uporczywością otaczającego irracjonalizmu, też poszukuje jakiejś „wyspy ukojenia”, jakiegoś polskiego Meranu, tymczasem ona wcale nie była znużona, lecz po prostu chciała się tylko jeszcze trochę wzbogacić. Elementem tego wzbogacenia okazał się, o dziwo, jego wiek: Bluzeczka wyznała mu potem, że zwrócił jej uwagę właśnie kontrastem tego wieku z otoczeniem, że gdyby był młodym chłopcem nie spojrzalaby na niego... Zawierała się w tym, być może, nie tylko jakaś inwersja zmysłowa, lecz i potrzeba przeczuwanej, pokoleniowej egzotyki: wszakże to on w końcu mógł jej opowiedzieć, jak naprawdę wyglądał Piłsudski...

Nie zajmował się wtedy, przed rokiem, chronologią, bo cała sprawa spadła nań zbyt niespodzianie, nigdy też nie mógł ustalić, kiedy to właściwie poczuł na sobie obserwujące go w niebieskawym, rozświetlonym od strony okna, południowym zmierzchu kawiarni, szare, bystre oczy, kiedy później po raz pierwszy oparł się niedowierzaniu jakoby spojrzenia takie przeznaczone być mogły dla niego i odważył się odpowiedzieć spojrzeniem równie uporczywym, zaś szare oczy wytrzymały tę konfrontację przez nieprawdopodobnie długą chwilę, a także kiedy to, po owej parodniowej chyba „wymianie oczu”, zdecydował się na lekki ukłon, na który ona skwapliwie i z uśmiechem odpowiedziała, kiedy z kolei, jakby przyciągani wzajemnym magneselem, usiedli przy sąsiednich stolikach, stykając się niby mimowiednie łokciami i kiedy wreszcie poprosiła go o pożyczenie jakiegoś tygodnika, po czym wywiązała się pierwsza rozmowa. Niesposób było teraz odtworzyć sobie dokładnie przebiegu tych dni, dni, gdy niemożliwe stawało się z cudowną łatwością możliwym, gdy, wracając z południowej kawy do swego pokoju w Domu Pracy Twórczej, gdzie usiłował opisywać molo w słońcu i w deszczu, wcale jeszcze za nieznaną czytelniczką gazet nie tęsknił, ale coraz intensywniej przepojony był myślą i pewnością, że jutro, o tej samej co dziś porze, spotka ją w tejże kawiarnianej sali, wiedział zaś również z coraz bardziej zdumiewającą (bo potwierdzaną przez wypadki) pewnością, że ona w tej chwili o tym samym myśli i że, pracując gdzieś tam nad jakąś swoją socjologiczną dysertacją, wyobraża sobie pastelowo tęczową kawiarnię, w której odbywali swoje bezsłowne na razie i nie wiadomo dokąd mające prowadzić,

magnetyczne seanse. Pamiętał za to doskonale, jak pierwszy raz wyszli ze „Srebrnego Jaru” razem (niby przypadkiem, jednocześnie zapłacili wówczas za kawowy zastrzyk i niby przypadkowo spotkali się w szatni, gdzie pottrzymał jej płaszcz z futrzanym kołnierzem), pamiętał dokładnie, jak ruszyli w dół, w stronę mola, rozświetlonego teraz przez wracającą ze szkoły dzieciarnię deptakiem. Pogoda była cudowna: błękit nieba szklisty a zarazem głęboki tylko go pić i pić, choć nigdy się nie wypije, morze niebywałe, nieistniejący dotąd odcień ciemnej niebieskości, rozmarszczony i rozfalowany jednolicie, jakby się całe molo kołysało, mewy i jakieś większe rybitwy, trzepoczące całym stadem, wręcz szalone, słowem — dekoracja jedyna, tło ulubione, nie do zapomnienia.

Odtąd zresztą mieli w C... różne swoje miejsca wspólne i ulubione, gdzie wciąż bywali. Na przykład mały, o zmierzchu otwierany barek hotelowy ze sklepieniem, gwiazdzystym stropem, gdzie siedziało się przy wysokim, kolorowym bufecie, pijąc wąskimi kieliszkami polski gin, nalewany przez barmankę z wielkiej, równie jak wszystko wokół barwnej butelki: tkwili tu nieraz, objęci w pół, całe długie, choć szybko płynące, beczynne godziny, wśród przeróżnej „złotej” czy innej młodzieży, nie rażąc jednak, ani w ogóle nie zwracając niczyjej uwagi — zbyt byli zajęci sobą, a to udziela się otoczeniu, nakazując dystans. Rano bywali w „Jarze”, albo później w owej, pustej teraz kawiarni hotelowej, gdzie za olbrzymią, wypukłą na zewnątrz szybą perliła się biała piana na niebieskich lub zielonych, wciąż potoczyście atakujących plażę bałtyckich falach. Idąc na obiad rozchodzili się przed małym kościółkiem z żółtawych cegiełek, którego surowe, ewangeliczne wnętrza wewnątrz urzekało powagą i ciszą, przetkaną wszakże owym wciąż obecnym, jednolicie pulsującym szumem morza. Po obiedzie Roman wybierał się do Bluzeczki: mieszkała niedaleko, w dziwnie niesymetrycznym, starym domu z werandą. Zajmowała jedyny pokój na piętrze: krętymi schodami wchodziło się do osobliwej komnaty z balkonem, wynajętej na miesiąc za dość słoną opłatą. Wszystko tu było jeszcze anachronicznie niemieckie; ogromny zegar z kukułką, wyskakującą ze strasznym trzaskiem ale zgoła nie w tych godzinach co trzeba, ciężkie, niby mahoniowe meble, nad łóżkiem szara, wielka wypchana sowa, na łóżku ogromne pierzyny, zaś na pękających ścianach niemieckie oleodruki w brudnych ramach, ukrywające się za popstrzonym przez letnie jeszcze muchy szkłem. Ponuro tu było, ale przytulnie i samotnie, bo gospodyni, jakiś zagubiony w świecie kresowy oryginał, ograniczała się do gotowania Bluzeczce obiadu, poza tym nie wtrącała się do niczego, w tym również

do coraz się w noc przedłużających wizyt Romana. Przed wyjściem zaglądał zawsze na balkon, aby rzucić okiem na owo nocne, kamienne mrowie pogiętych spiczastych dachów i huczące pod nimi czarne morze — oddech morza słyhać zresztą było zawsze i z każdego miejsca tego drzemiącego w swej zapleśniałej lecz uroczystej, nieruchomej pustce starego domostwa.

W rezultacie przestali już całkiem pracować: nie było kiedy, choć po to przecież oboje przyjechali, każde wpadłszy z osobna na pomysł, że poza sezonem będzie tu nijaki, nieabsorbujący niczym święty spokój. Tymczasem cały dzień i pół nocy okazały się w końcu ściśle zajęte. Sporo czasu pochłaniało molo — symbol pobytu, symbol miejscowości, w istocie rzeczy, choć odludne teraz i zamieszkałe tylko przez mewy, to jednak nadające właśnie dziwnemu miasteczku jego napowietrzny i nawodny charakter. Było jedno, ale w tysiącnych, nigdy nie analogicznych odmianach, bo żadna chwila nie powtarza się dwukrotnie w tych samych okolicznościach czasowych, przestrzennych, akustycznych czy barwnych, nie ma jednego odbicia mola w świadomości i psychice kogoś postrzegającego, gdyż psychika ta, zarówno jak i świat zewnętrzny, trwa w ciągłym a niezwykle skomplikowanym, wielostronnym i wielopłaszczyznowym ruchu i żaden moment tego ruchu nie może się powtórzyć, ani w oglądanym przedmiocie ani w oglądającym podmiocie. Każda chwila jest więc niepowtarzalna na całą wieczność, jest zarazem i niezniszczalna i nieuchwytna. W tej sytuacji należało z niezliczonych wspólnych wizyt na molo wybrać dla wspomnienia jakąś jedną, reprezentacyjną i znieruchomiłą, jak makieta dekoracji w teatrze. Roman miał w sobie taką makieta, oczywiście skrzętnie opisaną w notatkach — gnębił go wszakże zawsze brak talentu plastycznego i wzrokowej pamięci, stąd nieustanne notesowe treningi. Oto, mimo grudnia, siedzą wraz z Bluzeczką w nagłym, jaskrawym choć mało grzejącym słońcu, wtuleni w głęboką białą ławkę na owej bocznej odnodze mola, wznoszącej się zaledwie półtora metra nad bulgoczącą i przyskającą powierzchnią morza, od którego oddziela ich tylko równie biała, świeżo marynarską farbą malowana balustrada. Widać stąd na pociemniałym jakby brzegu dwie wieże: jedna, bliższa mola, niczym żółtawa łodyga z rozszerzoną u góry bulwą, druga, o dwieście metrów w lewo, jak kosmata i przyszczasta szyja, tyle że z ową minaretową wieżyczką pośrodku. Widać też stąd oczywiście główną, górną część mola, za nim w oddali hotel i plażę, zielona woda pluszcze, rozbijając się o potężne, choć nadgniłe u dołu słupy pomostu. Latem zalewa tu wszystko potok olśniewającego słońca a wokół płasają żaglówki i kajaki z opalonymi, po swojemu roześmianymi ludźmi, teraz tylko oni dwoje

siedzą samotni, przytuleni mocno, z twarzami nastawionymi na niegrzejący, niczym przez wielką szybę przepuszczony biały blask, wtapiają się niemal w siebie, jakby miało ich to uchronić od zrywającego się co chwila, ostrego, zimnego wiatru. Zresztą, przytuleni do siebie byli tu zawsze, to symbolizowało brak przegrody między bliskością uczuć czy myśli (tak wtedy sądził) i bliskością ciał; byli więc przytuleni nieustannie, za to później, w Warszawie, coraz rzadziej, ukradkowo, a potem już nigdy, już tylko wygnani z Raju, bez miejsca na świecie, bezdomni błędzili po pustkowiach Placu Defilad, wciąż oddalający się wzajemnie tak duszą jak i ciałem, jeśli można to w ogóle w podobnej sytuacji rozłączać. Czyż więc rozbrat wziął się z rozdzielenia ciał, a wtedy w C... nic go jeszcze nie zapowiadało? Nie, tak chyba być nie mogło, już wtedy, przed rokiem, istniały zarodki późniejszych konfliktów, Roman wykrywał to obecnie, analizując rzecz *post factum* i znajdując w niej komplikacje, których wówczas nie dostrzegał — obraz widziany wstecz zmieniał się i pogłębiał, nałożony na wydarzenia późniejsze zyskiwał głębię, perspektywę, nowy wymiar.

Roman wspominał teraz, że Bluzeczka imponowała mu na początku swą, jak uważał wówczas, niezależnością sądów, nie podejrzewał jeszcze, jak daleko ta niezależność sięga a raczej jaką jest właśnie zależnością, w myśl zasady, że skrajne przeciwieństwa się stykają. Te pierwsze, uroczę wtedy rozbieżności, dotyczyły właśnie dziedziny, która ich złączyła w owej fiołkowoszarej salce czytelniczej, dotyczyły prasy, a Roman był wszakże jeszcze, przynajmniej nominalnie, dziennikarzem, i to dziennikarzem Polski Ludowej. Pamiętał odpowiedź Bluzeczki, gdy kiedyś powiedział, że praca redaktorów w istocie dorabiających tylko tytuły, w najlepszym zaś razie stylistyczne sformułowania do nadesłanych im interpretacyjnych ekstraktów, to praca ucznia czarnoksiężnika, terminatora, który jednak nigdy nie może się zbuntować, zajętego tylko technicznym przekazem zakłębć całkowicie dlań absurdalnych, czy, w najlepszym wypadku, abstrakcyjnych. — Jeśli zakłęcia są tak głupie, ale odnoszą sukcesy — powiedziała Bluzeczka — to widocznie muszą być takie a nie inne. Cóż za pesymizm, wielki pesymizm — wtedy zresztą Roman wziął to za żart, podsuwając tylko, że, być może, sukcesy owe wynikły z przypadku i poza tym czyjeż to są sukcesy: lwa czy szakala? O to zwierzęce porównanie Bluzeczka-patriotka bardzo się oburzyła: Roman uważał, że cokolwiek i jakkolwiek ryczy lew radziecki, zawsze jest to poważne, a nawet im mniej mądre tym groźniejsze, bo zwielokrotnione jego siłą, podczas gdy szakal, który piszcącym głosem imituje lwa, jest zawsze tylko śmieszny i odrażający. Zgniewało ją to, choć szybko się rozpogodziła —

dla Romana w jej zmiennościach zawierała się jakaś tajemnica; to, co tajemnicze, otaczamy jak wiadomo nimbem, gdy jednak korzenie tajemnicy stają się jawne, nimb pryska, nie ma już bowiem dla siebie pożytki. Tajemnice, dotyczące drugiego człowieka, oparte są tylko na niewiedzy, stanowią formę niewiedzy, gdy się wreszcie dowiemy, rzecz jałowieje, nie kusí już do niczego, nie ma co z nią dalej robić. Tak i tutaj — z otchłani niedomówień, intrygujących zagadek i kryjących, wydawałoby się, ukrytą głębię półsłówek tudzież aluzji zostało dziś, po rozłamaniu się zmysłowo-uczuciowych dekoracji, tylko nieco notatek i dość nie wyszukanych definicji — jakże tu z tego budować literacki romans, w dodatku romans i erotyczny i polityczny, mający pretensję do sugestywnego wizjonerstwa a zarazem sugestywnej syntezy, takiej, jaką dał w swej niby niedbałej książce Poeta spod Moskwy. O, jakże przeklinał Roman swój brak talentu, wyakcentowany jeszcze i ugruntowany przez wieloletnią pracę dziennikarską, właśnie w owej jałowo magicznej prasie, gdzie nic nie mówi się od siebie! Po cóż mu to było; myślał wówczas, że tak trzeba, oszukali go, ma za swoje, tamtemu za to Rosjaninowi oprocentowała się jego samotna a jakże zapładniająca swym heroicznym patosem, wieloletnia absencja.

W zesłorocznych notatkach znalazł taki oto wycinek z polskiej prasy: „W 34 rocznicę zgonu Lenina wileński *Czerwony Sztandar* przypomina, że był on teoretykiem, który szczęśliwie łączył w sobie talent niezrównanego praktyka rewolucji; potrafił on ukształtować partię, która przypuściła szturm na stary świat od Bałtyku po Ocean Wielki, by później zbudować państwo robotników i chłopów. Idee Lenina niosą światu wolność, pokój i szczęście — niosą mu socjalizm”. Roman wyciął to aby pokazać Bluzeczce nieprawdopodobną, wręcz napowietrznie magiczną i przerażająco obcą absurdalność sformułowań, lecz jej, jak się okazało, zupełnie nic w tych zdaniach nie raziło. W ogóle obcości Wschodu nie odczuwała wcale, miała za to zawrót głowy na myśl o Zachodzie, który jawił jej się jako jedna wielka kraina ucisku i gwałtu, zamachów i strajków (*a strajk to albo — w kapitalizmie — zryw ludu, albo — w socjalizmie — zbrodnia wrogów ludu; młodym czy najmłodszym mieszało się to w jedno, w coś raczej kuszącego — ale Bluzeczka nie była już młoda, była średnia, duchowy owoc jałowo-katakumbowego początku lat pięćdziesiątych*). Ta osobliwa wizja okazała się właśnie rezultatem napychania sobie głowy informacjami dziennika telewizyjnego i szamańskiej, po freudowsku przy tym wyninstruowanej prasy, wyninstruowanej, bo żeby kłamać precyzyjnie, trzeba dobrze znać prawdę. Bluzeczka przypominała Romanowi ową dziewczynę ma-

lajską z Conradowskiego „Uśmiechu Szczęścia”, co swą wizję Europy czerpie z kroniki kryminalnej, drukowanej w jedynej znanej jej prasie: w miejscowej gazecie policyjnej. Tu Bluzeczka była więc unikatem, to ją w końcu tłumaczyło i poniekąd nawet wywyższało, nie dzieliła wszechwiedzącego cwaniactwa Polaków ze swojej sfery, nieco starszych i nieco młodszych — taki to właśnie ideowy okazał się jej rocznik. Na ogół bowiem człowiek znad Wisły znalazłszy się po zachodniej stronie Łaby, staje się natychmiast kimś innym, wchodzi posłusznie w tamtejsze, dziecięce, jak w domu lalek uporządkowane sprawy, wiedzę zaś o świecie wschodnim chowa dla siebie, jako na razie zgoła nie przydatną. Wyjazd więc taki wymaga całkowitego przetworzenia się — ludzie Wschodu to umieją, mają dwie dusze, co zresztą na Zachodzie ukrywają, ukrywają swoją wyższość, aby nie zrażać tubylców. Człowiek wschodni bowiem, bawiący chwilowo u ludzi zachodnich, nic tam nikomu nie tłumaczy, po pierwsze ponieważ rzecz się nie uda (*zbyt duża różnica pojęć*), po drugie, w kraju mogłoby to przynieść przykrości, po trzecie wreszcie, celem jego jest zupełnie, ale to zupełnie co innego: stara się mianowicie nie przestraszyć nadmiernie swych chwilowych gospodarzy, natomiast wzbudzić bezsłownie ich współczucie, za czym wymanić od nich coś kuszącego, choćby używany samochód, który, swą monstrialną w socjalizmie wartością zapewni mu legalną czy pół-legalną porcję słodkiego życia. Tego wszystkiego Bluzeczka nie знаła: była ideowa i była dziewczyną z Conrada. Ale jakże tu pisać powieść o dziewczynie z Conrada, zwłaszcza, że sam Conrad przecież to zrobił. A poza tym Roman zwątpił już teraz generalnie, bo w końcu nie miał pojęcia jaka ta Bluzeczka naprawdę była i o co w ich sprawie rzeczywiście szło: może spłoszył dziewczynę swoim łąpczywym i dosłownym wzięciem miłosnego mitu za rzeczywistość, może jej w ogóle nie poznał i krzywdził przedwcześnie zazdrością czy zdarciem z niej nimbu wszelkiej tajemnicy? Chociaż sceny obopólnego gniewu na niedzielnej, opustoszałej, kamiennej tafli Placu Defilad nie pozostawiały wątpliwości — trudno by było do tego wracać, niepodobieństwo, nie da się cofnąć czasu, aby odegrać inny jego wariant!

I tak oto, z zeszłego roku pozostały Romanowi tylko notesy z drobiazgowymi opisami mola w C..., owoc pierwszego ówczesnego zachwycenia. Zamiast romansowego wątku zachował jedynie tło, na którym to tło zrealizować miał teraz swoje świadectwo dane czasom. Ale jak to zrobić bez konkretnego zarysu akcji: romans rozchwiał się, rozpadł w wieloznaczność, czy to samo bez formalnej ramy wydarzeń, nie stanie się i z tak zwaną „treścią ideową” czyli właśnie z owym świadectwem? Właściwie w garś-

ci, jako materiał, trzymał w tej chwili tylko tło, pejzaż w C..., zmienny, ale dający minimum uchwytności, potrzebne by zacząć pisać. Tylko że i tutaj nasuwały się zwątpienia: C..., choć niby to samo, częstokroć teraz wydawało mu się całkiem inne, jakby tamto było tylko wyobrażeniem, jednym z nieskończenie wielu możliwych wyobrażeń. A jeśli tak, to może należało w ogóle przesunąć książkę w strefę wyobraźni, odrealnić ją całkiem, tak przecież robią współcześni modni pisarze. Cóż jednak w podobnym wypadku stanie się z konkretem historycznym, z daniem świadectwa, ze wzruszeniem ramion, z przykładem Poety spod Moskwy? Człowiek jest przecież uwięziony w określonej poniekąd, choćby przelotnej czy złudnej konkretności i pokora a także solidarność wobec samego siebie nakazuje mu jakoś poprzez swe dzieło pozostać w realiach, choćby nawet starość sugerowała rozproszenie, rozpląnięcie, wyjście poza czas i przyczynę. Gdzież więc zaczerpnąć owe niezbędne minimum konkretności? Zaczął go szukać, wzbogacając swą wiedzę o wymykającej mu się tym razem jednoznaczności pejzażu w C..., próbując sobie udowodnić, że pejzaż ów jest ten sam co był, tylko oglądacz jego, dzięki Bluzeczce, a raczej z jej winy, poznał go niedość wszechstronnie. Zakończył natomiast Roman swe obecne poszukiwania spotkaniem kogoś, kto niepomni bardziej niż Bluzeczka okazał się niszczący dla jego koncepcji — po prostu tego nieprawdopodobnego Kazika B...

XV

Problem zachwiania tożsamości krajobrazu w C... wobec tegoż krajobrazu sprzed roku pojawił się w psychice Romana dopiero po paru dniach — rzecz wynikła może z małej dlań tym razem funkcjonalności otoczenia, spowodowanej duchowym niedookreśleniem obecnego pobytu, a także jego niedostatecznym zorganizowaniem w sensie wytworzenia się uchwytnych, powtarzalnych elementów porządkujących, tak jak kilometrowe słupki porządkują gładką, niezmierną taśmę szosy. Człowiek samotny, gdziekolwiek się znajdzie i bez względu na to, czy pracuje czy odpoczywa, instynktownie szuka sobie takich powracających w określonych porach i odstępach czasu punktów zaczepienia i oparcia: rzekłby ktoś, że w małostkowy sposób chce pokratkować wydzielony mu kęs wieczności, chce się urządzić w pustyni przemijania, niepomny na to, że właśnie niewymierne, nieustalone w

swej długości odcinki czasu są skarbem największym, mają posmak wieczności, posmak trwania poza mijaniem, poza starzeniem, poza zdążaniem do rozkładu i zniszczenia. Czas nie musi być niszczący, jeśli go rozszerzymy w nieskończoność od środka, człowiek jednak, posłuszny swej naturze i kierującym nią prawom, chce wnieść w żywioł czasu swoją własną, przyziemną i biologiczną organizację, podzielić ścielącą się przed nim taśmę drogi na równomierne etapy i ustawić na niej znajome, powracające w określonych odcinkach znaki orientacyjne. Postępuje tak, bo przyzwyczaiła go do tego natura, z despotyczną nieugiętością nakazująca przeplatać jawę snem, pracę odpoczynkiem, nakazująca jeść i pić, kłaść się i wstawać, wyjeżdżać i powracać, narzucająca zasadę nie istniejącą w wieczności lecz nieodpartą w doczesności: rytm, rytmiczność życia i wszelkich jego czynności. Jest to porządek zewnętrzny, materialny, a jednak najbardziej uduchowiony i wolny człowiek, nawet na pustyni czy bezludnej wyspie obyć się bez niego nie może. Działa tu zapewne również instynktowna obawa, że czas nie zorganizowany z zewnątrz, nie pokratkowany, może się nam wymknąć zbyt szybko, nieuchwytnie i wręcz niedostrzegalnie — jakże szybko mija on właśnie, gdy nie pracujemy, nie mamy obowiązków, gdy nic się ważnego i konkretnego nie dzieje — tak żyją narkomani, włóczędzy, którzy chwytają smak poszczególnych chwil, ale którym za to czas jako suma, jako całość, bezlistośnie ucieka. Radą na to byłoby rozciągnięcie trwania poszczególnych, jednostkowej chwili, nadanie jej rangi wieczności. Kiedy wielki rabbi nauczał swych elewów, że wieczność to jedna chwilka, jeden z nich powiedział: — Rabbi, pożycz mi dziesięć tysięcy na chwilkę. — Dobrze, za chwilkę — odparł rabbi. Roman wspominał sobie tę anegdotkę podczas drugiego grudniowego właściwie, choć zaczętego jeszcze w listopadzie pobytu w C..., była kpiąco aktualna: zaprzepaścił oto powierzone mu niczym w Piśmie talenty — myślał że ma jeszcze czas, tymczasem czasu nie było, chwilka okazała się wiecznością. Czas uciekał jak woda z kranu czy powietrze z przekłutego balonu. Roman, chcąc go zwielokrotnić, zrezygnował ze stałych punktów orientacyjnych: mieszkał w Domu Twórczym, ale zrzekł się obiadów, aby mieć dla siebie dzień cały, nie przecięty wpół, dzień bez wierzchołka i spadku, nie chodził też o żadnej oznaczonej porze do żadnej oznaczonej kawiarni ani na moło czy gdziekolwiek, unikał telewizji (wracała co wieczór), spotkań, wszelkich stałych czynności, nawet fryzjera. Myślał, że w ten sposób przedłuży czas, rozciągnie go szeroko i napełni wreszcie twórczą pracą, tymczasem stało się przeciwnie, czas się zbuntował, znarowił, mijał bez barwy i smaku, przepływał, nikł. Nie wiadomo było co

Roman robi, czy zbiera materiał, czy przypomina sobie tło, czy studiuje nastrój i mianowicie który nastrój. W rezultacie nic się nie działo a dni biegly — aż strach pomyśleć, że nie była to żadna umowna maskarada, że mijały realne dni biologiczne. Te dni już nie powrócą, dany nam czas marnuje się raz tylko — raz na całą wieczność.

Nieokreśloność sytuacji Romana, tak niepodobnej do sytuacji sprzed roku, stawiająca tamtą sprawę wręcz pod znakiem zapytania, jeła po paru dniach rzutować na jednoznaczność i tożsamość tła, otoczenia, czyli pejzażu i atmosfery w poza sezonowym C..., a więc na rzeczy, co do których Roman sądził, że one przynajmniej są jego bezspornym już dorobkiem, materiałem przyswojonym i nadającym się do obróbki jako kamień węgielny zamierzonej książki. Tymczasem to właśnie, niezmiennie zdawałoby się z początku otoczenie, jeło się zmieniać tak w swym nastroju jak i we wręcz rzeczowej zawartości, zmieniać w miarę, jak tegoroczny pobyt nabierał owej nieokreślonej struktury luźno mijającego czasu, oraz rosnącej płynności zakresu czy charakteru wypełniających go, duchowych raczej niż fizycznych wypadków. Działo się to zapewne w myśl teorii względności, przewidującej, że określona, chronologiczna pora, w której odbywa się jakieś wydarzenie, zależy od szybkości, w jakiej porusza się obserwujący to wydarzenie osobnik. Nie ma nic stałego i nieruchomego, także moło i w ogóle pejzaż w C... zależą od sytuacji w której akurat tkwi podziwiający je spacerowicz: gdy sytuacja ta jest płynna, to jakże stanowiący jej tło krajobraz mógłby pozostawać nieruchomy?

Rzecz, powtórzyć warto, nie dokonała się od razu. Z początku wszystko tutaj, choć utrzymane w morskim, mieniącym się ruchu, było na pozór takie jak przed rokiem, zwłaszcza, że pogoda jak dotąd dopisała, pogoda z owego trzeciego dnia pobytu, gdy Roman szedł w słońcu aleją obok plaży, depcząc poczerniałe i zbutwiałe, ale obfite jeszcze i nie pozbawione kolorytu jesienne liście. Ten koloryt właśnie stał się jakimś pomostem między listopadowo-grudniowym C... i tak niedawną, październikowo-listopadową Warszawą, gdzie Roman, uwolniony w końcu od Bluzczkowych obsesji, marzył o grudniowym morzu, nad którym kontynuować będzie zamierzoną przed rokiem pracę. Przepych liści w Alejach Ujazdowskich i Łazienkach, królestwie Romanoego dzieciństwa i młodości, był wtedy niezrównany: złączyły się tu z sobą purpura, czerwień, brąz, żółtość, zieleń w różnych odcieniach od seledynu do ciemnoznijłej — wszystko przemieszane w jesienny, malarski koktajl, przy czym poszczególne liście można było traktować bądź jako wyodrębnione, bądź też jako

element barwny zlewającej się całości. A już liście wyodrębnione, rozpatrywane osobno, to istne niepowtarzalne arcydzieła: żółknące z brzegów, różowiejące od środka, subtelnie żyłkowane jak ry-sunczki japońskie — po prostu arcytwory niewiadomego twórcy, rozrzucone w dodatku hojną ręką po nieprawdopodobnie fantastycznych i malowniczych, górzysto-nizinnych Łazienkach. I właśnie te zbutwiałe, poczerniałe, lecz niewyżbyte swego deseniu liście, walające się na nadmorskiej, grudniowej alei, były jakby kontynuacją tamtego, dobrze wróżyły nowemu pobyтови i pozwalały wejść w niego gładko i rytmicznie, opanować go. Lecz tymczasem początkowe, pogodnie wyczekujące nastroje zaczęły się zmieniać, czy to dzięki odmianie pogody, czy przez zakłócenie rytmu, spowodowane nadmiarem niezorganizowanego czasu w zestawieniu z objawioną naraz szczupłością celów, których realizacja miała ten czas zapełnić, czy wreszcie z innych, mniej uchwytnych choć może i ważniejszych przyczyn. Tak czy owak wszystko jęło się psuć i wykoszlawiać, wszystko jęło uciekać, najgorsze zaś w tym było, że blakły i rozpływały się rzeczy konkretne, na które Roman liczył, jako na elementy przyjętego tła: pejzaż w C... i tu-tejsi ludzie. Wszystko naraz wydało się odmienne, jakby nie poczynił był tutaj żadnych obserwacji i nie zawarł żadnych znaczących, przynajmniej zaś barwnych znajomości. Po prostu przeszłość utracona — czyżby jednak miało to jakiś pechowy związek ze sprawą Bluzeczki?

Ludzie przecież żyli tutaj ci sami co przed rokiem zafrapowali Romana swą polską prawdziwością i swym spokojem, tak bardzo odróżniającym ich od nowych, powojennych mieszkańców tego kraju, wciąż zdenerwowanych, wkręconych w przenajrozmaitsze, właściwe systemowi partyjne i niepartyjne intrygi, mające w pojęciu inicjatorów i animatorów całego procesu zagwarantować uczestnictwo w życiu społecznym i potocznie zwane zaangażowanie w socjalizm, to znaczy takie bez reszty zaabsorbowanie wrzeniem codziennego piekiełka, że nie pozostawało już czasu ni energii aby spojrzeć na wszystko z boku, aby pomyśleć o możliwości innych, niekoniecznie chorobliwie zatomizowanych i naprężonych stosunków społecznych. Zatomizowanych, bo w tak zwanych nowomodnie „zakładach pracy” czyli, jak to już całkiem po bolszewicku mówiono „na froncie produkcyjnym”, toczyła się nieustająca, intrygancka walka wszystkich przeciwko wszystkim, podsycana przez równie nieustanne zebrania „załogi” czy też „podstawowej organizacji partyjnej” lub jej „aktywu”, gdzie nieprzerwanie trwały tak zwane pieszczotliwie „rozróbki personalne”, gdzie szantażowano się wzajemnie i oskarżano, stosując z gustem odgórnie polecane metody „krytyki i samokrytyki”. Ludzie sta-

wali się zhistryzowani, niesolidarni, patrzyli na siebie wilkiem, sprawy osobiste wyrastały im do rangi idei, przysłaniały świat — ratowali się wódką, która dawała na chwilę poczucie swobody i pewności siebie, by po paru godzinach ulgi doprowadzać nieraz do gwałtownych spięć, z lubością rozpatrywanych potem na przeróżnych zebraniach, plenach, egzekutywach i innych podobnych dziwactwach. Odmienne nieco żyło się na wsi: tutaj partia nie siedziała tak na karku, ludzie bywali solidarniejsi, łączyło ich jeszcze nie zniweczone dotąd zainteresowanie pracą, którą każdy wykonywał samodzielnie czy z rodziną, ale jednak bezpośrednio, widząc jej rezultat, nie zaś, jak w miastach, bezosobowo, niczym zautomatyzowane kółko w wielkiej maszynie, kto wie przy tym czy nie kierowanej przez dyletantów; ustrój ten bowiem z reguły oddawał rządy nad fachowcami w ręce partyjnych amatorów, obawiając się widać, że produkcja, idąca trybem czysto pragmatycznym, mogłaby się pokierować własnymi prawami i wyzwolić, a o tym nie może być mowy, boć nie produkcja jest celem tylko system ideowy. Socjalizm zresztą (*tutejszy socjalizm w każdym razie*) doskonale umie hamować nazbyt rozbuchaną produkcję, instalując bez trudności cały układ bardzo przemyślnych, niewidocznych hamulców. Przedziwny to w ogóle jest ustrój, ustrój olbrzymiej pracy i gigantycznego marnotrawstwa energii zarazem: jakież otchłanne zasoby intryganckiego sprytu uruchomić trzeba, aby się utrzymać na wierzchu, w partii czy gdziekolwiek — to także przecież jest forma energii, tyle że abstrakcyjnej i tajemniczej, nie wiedzieć czemu służącej, której potężne wyładowania idą w próżnię, w międzyplanetarny, poza społeczny eter.

Inaczej, jak się rzekło, jest jeszcze na polskiej wsi. Praca tu niustanna, ciężka, znojna, nieraz upokarzająca, brudna, ale owoce jej są widoczne, obcuje się z nimi, boć tu jeszcze ludzie są na swoim i rezultaty ich trudu są ich własnym dziełem, nie ma zubożenia na produkcję, jakie zapanowało w miastach, gdzie choć ciągle się o przemyśle gada i pisze (*sam Roman popętniał na ten temat przeróżne „płomienne”, mające mobilizować powszechną pracowitość reportaże*) to mało kto obcuje z całokształtem przemysłowego cyklu, nikt też nie bierze się do usprawnienia zawiłych produkcyjnych a raczej biurokratycznych procesów, każdy bowiem wie, że wszystko trzeba tutaj uruchamiać i regulować odgórnie, samo nie ruszy, toć państwowe i oddolnie ruszać zgoła nie powinno. Tak, tylko na wsi żyła jeszcze owa szlachta, nobilitowana przez przywilej bezpośredniego, indywidualnego obcowania na co dzień z powstającym owocem produkcyjnym, owocem trudu własnych rąk; rzecz miała się tu przeciwnie, niż w Rosji, gdzie na wykorzenionej przez Stalina wsi większy panował bała-

gan niż w mieście. Oczywiście — i tutaj szlachtę wiejską na różne sposoby usiłowano zgnębić. Zaraz po wojnie, w myśl założenia, że nikt nigdy nie powinien mieć spokoju, próbowano zasiać na wsi wzajemną nienawiść, czyli tak zwaną walkę klasową, za pomocą różnorodnej metody kwalifikowania gruntów i związanej z tym nierównej skali, określającej dla każdego wysokość gruntowego podatku: nierzadko dwa sąsiadujące ze sobą o miedzę kawałki ziemi ocenione bywały z absurdalną odmiennością z jednego gospodarza ściągano podatek olbrzymi, z sąsiada mały, rosły długi i hipoteczne dysproporcje, wszystko po to, aby posiać niezgodę między „kułakiem” i „biedniakiem”, których powoływano z niebytu sztucznie, musiało bowiem stać się zadość jakiejś zakutej wschodniej teorii. Potem szczęśliwie tego zaniechano, tak jak i groteskowo dyletanckiej kolektywizacji, szlachta wiejska ostała się na razie, ma więc na swoim koncie sukcesy, ale dalej nie zaznaje spokoju. Co ją gnębi? Ano choćby fantastyczna w tym kraju mnogość rad wszelkich, narodowymi zwanymi, owe rady gminne i gromadzkie i powiatowe i wojewódzkie wraz ze swymi prezydiami i komisjami, owe komitety blokowe, osiedlowe, gminne, owe zebrania członków spółdzielni i kółek rolniczych i wszelkich gadających ciał, na pozór samorządnych, mających w istocie zamaskować fakt, że lud jest w tym kraju bezsilny, rządzony z za węgla przez tajemniczo wyosobnioną grupę ludzi, którzy zastąpili przedwojenną, głupią nieraz po prawdzie lecz wkorzenioną tutaj inteligencko-ziemiańską elitę. W tym właśnie cała rzecz, że przed wojną rządili durnie ale wszystkim ludziom dobrze znani, a teraz ster trzymają wprawdzie cwaniacy, lecz znani mało i nie zwierzający swych zamiarów czy swych „kompleksów” nikomu. Nigdy więc nie wiadomo, co i kiedy spadnie na głowę, choć na razie, jakimś cudem, wieś jest jeszcze swoja własna, nie wykorzeniona, nie podzielona, jest wspólnotą.

Skąd może przyjść cios, zamierzony lub też, jak częstokroć, niepojęcie irracjonalny, o tym wnioskować było można według aktualnej wiejskiej bolączki: odpływu młodych. Młodzi, jak już była mowa, nie zawsze umieli ocenić swój wyjątkowy, szlachecki przywilej codziennego obcowania z dziećmi rąk własnych, potrafili za to zbrzydzić sobie znojną, brudną pracę od świtu do nocy, zatęsknić za swobodą i bezosobową nieodpowiedzialnością pracy miejskiej, za ową małą stabilizacją stałych godzin zajęć, stołówki w robotniczym hotelu, neonu nad wieczornym kinem, statusu nic nie posiadającego lecz wolnego człowieka — nie wiedzieli zresztą jakie mole gryźć ich zaczną z kolei i tutaj, nie ma bowiem na tym świecie spokoju dla nikogo. Ów pęd do nowego przemysłu szerzył się zwłaszcza we wsiach i małych miasteczkach tradycyjnie

zacofanego Mazowsza czy Podlasia. Z przeróżnych reportażowych podróży Roman wyniósł, jak zawsze, jedną syntetyczną wizję: na półmurowany, biały czy ceglany domek, po okapy tonący w nocnym białym puchu, długie wieczory przy kaflowym albo z cegieł zlepionym, węglowym piecu, brnięcie po kolana w śniegu do świetlicy na telewizję, od przedwiośnia zaś roztopy, błocko, woda i praca podwójna, potrójna, aż do późnej jesieni. Stąd też krzyk się z tamtych stron podnosił o inwestycje, o przemysł, rządzący gdzieś planiści w sobie wiadomym zamyśle (*może właśnie dlatego że nie lubili wiejskiej szlachty*) szli na rękę, i oto cała Polska pokrywała się masą rozbabranych, w nieskończoność rozkopywanych placów budowy, a czy inwestycje te potrzebne, czy nie za długo trwają, czy Polska je wytrzyma, skoro wolny handel ze światem praktycznie jest zablokowany przez owe przedziwne, ideowej natury hamulce? Na pytania te nikt nie miał odpowiedzi, czasem odzywały się przestrogi czy alarmy, ale mimo to, idąc formalnie za głosem ludu, wciąż rozpoczynano nowe przedsięwzięcia, coraz to więcej młodych osiągało swój awans, stając się z ludzi przypisanych ziemi, ludźmi na pozór wolnymi, z chłopów — robotnikami. Dobrze to czy źle? Jak zawsze tutaj, dobre przedziwne splecione i przemieszane jest ze złem: socjalizm, częstokroć niezwykle z początku dynamicznie buduje i to niemal z niczego, aby potem okazało się, że zbudowany zakład nie jest potrzebny, lub że od razu wymaga modernizacji, bo jest mało wydajny, albo, że można było zastąpić go w inny sposób, inną produkcją, inną rachubą. Tylko któż się na tym wyzna w zawiłym kłębowisku świata, gdzie nie działają żadne prawa ciężenia? Grunt że dobrze funkcjonuje przemysłna fabryka nowych ludzi, że nowi ludzie są i na wieś już nie wrócą, że naród się wciąż przetwarza i to nieodwracalnie. Któż by mógł, któż by chciał troszczyć się dzisiaj o co innego?

Zmęczony ciągłym myśleniem o tym wszystkim, o gigantycznym „korkociągu” czy huśtawce polskiego życia, Roman znalazł przed rokiem w C... ludzi innych: owa niemłoda kioskarka „Ruchu” i ów wąsaty szatniarz ze „Srebrnego Jaru” jawili mu się jako przykłady awansu naturalnego i spokojnego, jako oaza polskości dawnej, pogodnie wkraczającej po latach we współczesność, bez masochistycznych konwulsji ideowych, sztucznie, w imię trewirskiego filozofa, wszczynanych talmudycznych a pozornych sporów, oraz bez owej pesymistycznej, leninowskiej nietolerancji, nakazującej we wszelkim inaczej myślącym osobniku widzieć zwiastuna okropnych nieszczęść i niebezpieczeństw. Prawda, kiosk „Ruchu” i szatnia to zajęcia raczej rzadkie, nie typowe, ale przecież była tu jeszcze młodzież, owa świetna, rozsądna i piękna mło-

dzie, której ewolucja kazała Romanowi myśleć w przyszłości o nowej warstwie czy klasie, o polskich „białych kołnierzykach”, ludziach, co nie będą tolerować absurdów obcej doktryny, owego ustroju gigantycznej pracy i gigantycznego marnotrawstwa, gdzie dla każdej najprostszej sprawy dnia codziennego, którą „po tamtej stronie” samoczynnie załatwia naturalna gra podaży i popytu, tutaj potrzeba tysiąca dyskusji, tysiąca sformułowań, tysiąca urzędzeń, upokarzających w końcu człowieka, czyniących zeń śmiesznie przy byle okazji podrygującą marionetkę, niewolnika dziwactw, nie wiedzieć czemu świętych i uświęconych. Dlaczego obywatel bogaty ma być hańbą społeczeństwa, zamiast stać się jego chlubą? W Ameryce jest chlubą, bo bogactwo osiąga pracą własnych rąk, nie na zasadzie wiekowych a przestarzałych przywilejów, tak samo dzieje się już i w Niemczech Zachodnich, w obu tych krajach nie ma ludowego komunizmu, bo lud jest tam prawicowy, jest po stronie kapitału, wiedząc co w tym systemie można osiągnąć; nie wszyscy wprawdzie osiągną, ale stawać do wyścigu warto. W Polsce też lud pozostaje prawicowy, ale jakże było tutaj budować kapitalizm bez kapitału: tu fantaści i doktrynerzy komunizmu okazali się po wojnie jedynymi praktykami, a ich posiew dał lepsze rezultaty niż w nieszczęsnej Rosji. Teraz jednak szło o to, by rzecz nie ugrzęzła w absurdzie, w maskaradzie i parodii wiecznej rewolucji, w scholastycznych dziwactwach biurokratycznego zarządzania, skąd jedyne wyjście znajdują tylko złodzieje i oszuści. Zatechła, sklerotyczna biurokracja jako rezultat światoburczej rewolucji — to żałosne. Zgoda — socjalizm z rozpędem buduje przemysł, potem jednak z rozpędem go kładzie, blokując wszelki impuls wewnętrznymi sprzecznościami doktryny, które jako hamulce nader się okazują realne. Trzeba by więc stworzoną wreszcie produkcję wyzwolić: może ci młodzi chłopcy, białe kołnierzyki ze „Srebrnego Jaru”, zbudują tutaj nową, legendarną Amerykę; dotąd tylko grupka neo-inteligentów, funkcjonariuszy doktryny może tu tworzyć, prawo do twórczości przysługuje jedynie na górze społecznej piramidy, za oceanem natomiast samodzielnej twórczości oddaje się mnóstwo ludzi, wyrosłych ze społecznych dołów, można być tam twórcą w swoim zawodzie, tak jak pisarz w swoim; zresztą nawet twarodo przymuszeni do komunizmu Niemcy wschodni potrafili ofiarować całej masie swych rzemieślników, drobnych producentów i handlowców iluzję samodzielnej twórczej pracy, właściwie tylko w Polsce udało się otoczyć „inicjatywę prywatną” sztuczną pogardą. A przecież w nowoczesnym państwie o to właśnie chodzi, aby praca przyniosła człowiekowi wolność, nie zaś wiązała go, pętała i niewoliła jak bezrozumnego dzieciaka. Owi ważni, nadęci urzędnicy z teczkami,

przedstawiciele niezliczonych ministerstw, urzędów, zjednoczeń, przedsiębiorstw, komisji, zaludniający i odeptujący Polskę swymi milionowymi wyjazdami „na delegację”, to właśnie dzieci, duże, bezwolne, oszukane dzieci, nawet ich język, pełen słów niezrozumiałych, umownych zlepków, tworzony wręcz na daną chwilę, to język bełkoczącego dziecka. Ale może ci piękni, młodzi, krytyczni i niezależni, ci ze „Srebrnego Jaru” nie zechcą być całe życie dziećmi, może zechcą być twórcami i ludźmi wolnymi, zatem z takiej ich chęci musi przecież w tym kraju coś wyniknąć? W nich cała nadzieja, jedyna nadzieja!

A tu nagle, owa przeszłoroczna nadzieja wydała się Romanowi kompletną iluzją, wszystko zresztą, choć na pierwsze spojrzenie nie zmienione, okazywało się teraz w C... jakieś inne. Miła pani z kiosku i sumiasty szatniarz to były po prostu same w sobie istniejące zjawiska — unikaty, marginesowe wyjątki, potwierdzające smutną regułę ogólną, młodzież zaś z niebieskawo purpurowej, długiej sali kawiarnianej wydawała się po paru już dniach obserwacji bardziej oderwana od życia praktycznego i produkcyjnego niż sam hamletyzujący Roman. Żyli w łatwym odurzeniu jakimiś zewnętrznymi gestami czy wyimaginowanymi, sytuacjami, zaczerpniętymi z przykładów zachowania się czy pozowania zachodniej zbuntowanej młodzieży, boć tu takich wzorców nie było, tyle, że tamta młodzież buntowała się zgoła przeciw czemu innemu, więc zewnętrzne znamiona i formy tego buntu, przeniesione mechanicznie nad Wisłę czy Odrę, stawały się czystą abstrakcją i w ten sposób niezbyt zamożna studenteria z socjalistycznych, nadmorskich domów akademickich żyła tu na co dzień dekoracyjną abstrakcją — o jakże pomieszaną i złożoną jest dziwność świata tego (*lecz co nie dziwne, to nieprawdziwe — znów przypomniał się Valéry*). W dodatku pewność siebie tej młodzieży wynikała, jak to zresztą często bywa, z niewiedzy, z braku perspektywy, braku porównania, rozeznania. Młodzi nie przypuszczali, że ich świadomość, ich krąg myślowy i sposób widzenia jest wynikiem wieloletniego działania systemu informacji o świecie, podawanych im od dzieciństwa, że opuszczenie, jakby wytarcie gumą niektórych faktów z historii najnowszej (*nie istnieją wszakże nigdzie fakty z przeszłości, jeśli nikt o nich nie pamięta, nie wie i nie mówi*) ograniczyło ich perspektywę wstecz, w głąb, wokół, nie zauważyli również, że i z najbliższej teraźniejszości polskiej pokazuje im się tylko cienie w jaskini. Nie byli więc informowani, a bardzo dbano, żeby się o tej swojej ignorancji i mankamencie nigdy nie dowiedzieli, żeby trwali w fikcyjnym, wycinkowym i sztucznym obrazie świata. Ci, co ich nieprawdzwie informowali, opierali się na przeświadczeniu o ludzkiej krót-

kiej pamięci i o ludzkiej małej spostrzegawczości — byli to niewątpliwie ogromni spryciarze, Roman zastanawiał się nieraz, skąd biorą się w Polsce zawsze ludzie zdolni do takiej roboty a także bez skrupułów ją lubiący, tak jak lubi się zręczny karambol w bilardzie, lub chytre posunięcie na szachownicy. Ich koledzy w Rosji, odcięci od świata, wierzyli często w to co piszą, względnie uważali perfidię za naturalne prawo walki klasowo politycznej, w Polsce natomiast informacja była domeną abstrakcyjnego i świadomego tej abstrakcyjności, psychologicznego cwaniactwa. Pesymizm zaś cwaniaków co do ludzkiej pamięci i dociekliwości okazywał się jak najbardziej uzasadniony: któż, zwłaszcza wśród młodych, zadawałby sobie trud zapamiętania, co pisała prasa przed rokiem, lub porównywania wiadomości radiowych przedwczorajszych z jutrzejszymi. Owszem, znajdowali się tacy ludzie, przeważnie starzy, mało dziś zatrudnieni, więc mający sporo czasu i uwagi, przeważnie pogrobowcy dawnych ruchów politycznych i utopijnie niepodległościowych, trawiający dni na czytaniu, słuchaniu, zestawianiu, konfrontowaniu tego, co podaje się do wierzenia u nas z relacjami radia zagranicznego, ze Zjednoczoną Europą, z zachodnimi i wschodnimi pismami. Trawili dni, zgarbieni przy głośnikach, pochyleni nad stolikami w Klubach Prasy, na pozór maniakałni kronikarze bieżącej wody, w istocie jedyni świadomi rzeczy i wszechstronni odbiorcy odgrywanej dla milionów Wielkiej Komedii, a także jej kunsztownego zaplecza. Ale ich satysfakcje i osiągnięcia w dziedzinie świadomości miały charakter czysto kameralny, prywatny, ich osamotnienie zaś świadczyło właśnie o sukcesie wielkiego spisku przeciw ludzkiej pamięci i spostrzegawczości: spisek się udał, bo NIKT GO NIE DOSTRZEGAŁ, a na tym właśnie cała rzecz polega. Nie dostrzegała go zwłaszcza nowa młodzież, dopiero kiedyś pewna grupka jeszcze bardziej młodocianych ich następców (*przeważnie w grupce tej stowarzyszyli się potomkowie samychże utajonych dotąd Czarodziejów, czyli chłopców, od dzieciństwa z natury rzeczy obecni za kulisami tajnej projekcji*) miała objawić rówieśnikom techniczne szczegóły całej akcji. Wielki z tego wyniknął skweres, ale to już całkiem inna, późniejsza i nie Romanowa historia. W ustroju tym bowiem zdarzają się jednak wstrząsy i zmiany, a tajona nadzieja na przyście owych zmian nadaje życiu specyficzny i przekornie podniecający smaczek prowizoryczności. Zapomniano o takim smaczku w bogatych krajach Zachodu, mankamentem dosytu bowiem jest fakt, że nie ma w ogóle już na co czekać, ów zaś brak nadziei na zmianę skłania właśnie tamtejszą, spragnioną przygód młodzież do jej sławnych luksusowych buntów.

Na razie Roman zraził się do młodzieży ze „Srebrnego Jaru”,

wydali mu się jacyś nierealni, jak owa maska bez twarzy i ciała, przechadzająca się po balowych salach w noweli Poege „Czerwony Mór”. Od Czerwonego Moru do Srebrnego Jaru droga okazała się niedaleka, bo jedno i drugie było wymaginowane, istniało pozornie, umownie, podobnie jak wymyślone, z krainy wyobraźni pochodzące okazały się malownicze kresowe postacie kioskarki i szatniarza — wymyślone lub też zaczerpnięte z leżącej za siedmioma górami i rzekami Krainy Lat Dziecinnnych. Co gorsza jednak, nierealność ludzi, tak jeszcze konkretnych przed rokiem, zaraziła sobą wszystko inne, pociągnęła za sobą nierealność miejskiego i leśnego pejzażu w C..., zwłaszcza, gdy po paru dniach zniknęło słońce, w którego blaskach można się było łądzić czy też nasycać zmienną, zeszlóroczną barwnością górzystego i wodnego kalejdoskopu, jakim w zamierzeniu swych twórców miała być na pewno ta miejscowość. Nierealność ubiegłorocznych wizji i obserwacji skondensowała się wreszcie pewnej dżdżystej niedzieli, budząc dezorientację i popłoch Romana. Na zakończenie zresztą tego pamiętnego dnia ofiarowany mu został za to prezent z przeszłości pradawnej, prezent odwracający, zmieniający, ba, rewolucjonizujący wszelkie stosunki i zależności czasowe, a także przyczynowe, wewnątrz-przyczynowe. Rezultat okazać się miał arcyważny i znowu zewnętrznym terenem sprawy stał się maleńki wycinek przestrzeni, ów mikrokosmos, rozciągający się teraz odwrotnie: od czubka mola, tuż nad zieloną, rozkołysaną wodą, aż po górną platformę miasteczka z zębatym jak łeb krokodyla gotyckim kościołem i pustymi w zimie tarasami kawiarni, czyli właśnie nieuniknionego „Srebrnego Jaru”.

Niedzieli owej Roman zwątpił był już generalnie i od rana o jednoznaczności ludzkiego środowiska w C... (*ludzkiego, bo mieszkali tu jeszcze mewy, rybitwy i nieobecne tego roku nury*). Polska zaczęła mu się jawić nie tylko jako picassowska dziewczyna o dwóch profilach, lecz stała się w jego rozpląsanych dziś na wszystkie strony myślach, dziewczyną wieloraką, o tak wielkiej ilości coraz to się odsłaniających profilów, że danie świadectwa tej, w ciągłym ruchu pozostającej mnogości stawało się utopią, zamierzeniem przy jego pisarskich siłach zupełnie nie realnym, z góry skazanym na rezultat mizerny i chybiony, na porażkę. Było dżdżysto, mokro, szare niebo i szara woda stanowiły jakby jedną całość, wobec czego Roman wyruszył w kierunku przeciwnym od morza, ku owemu, górującemu nad miastem, ciemnemu, lesystemu wzgórz za torami i autostradą. Wiodły go wijące się pod górę mokre asfaltowe aleje, skręcające się łukami wśród brudnych jakby, rozkiśtych i zrytych wzgórz, porośłych rzadkim lasem, zastępami wyłysiałych drzew, ledwo teraz osłoniętych zrudziałymi

resztkami listowia. Między drzewami tu i ówdzie wyłaniały się nudnawe szeregi podługowatych domów z czerwonej cegły — były to przedwojenne kolonie robotnicze, i wówczas nie mieszkali tu wszakże sami bogacze. Idąc wciąż ku górze, wspiał się wreszcie Roman aż do wysoko przy szosie położonego cmentarza, na pół polskiego, pół niemieckiego, tonącego teraz w błocie, w zgniłych liściach i próchnie. Pompatyczne, rzeźbione kamieniarstwo i gotyckie hieroglify niemieckich grobów kontrastowały mocno z polskimi, drewnianymi częstokroć krzyżami, odczytywanie dat i nazwisk bardzo było pouczające, tu się zawierała historia C..., miasta skąd odplynęli Niemcy, ustępując miejsca fali zbiedniałych słowiańskich przybyszów, przeważnie z różnych stron nie istniejącego już polskiego Wschodu, z owych legendarnych Kresów, od których, gdy się je wspominało, ciepło robiło się na sercu. Brnąc błotnistymi, alejami między kamiennym obramowaniem żałobnych kwater, Roman odnalazł też parę starych grobów żydowskich, jakimś cudem nie zniszczonych, nie sprofanowanych. Ciekawy to był cmentarz, choć opuszczony, jakby samotny, nie czuło się w nim owych nici, łączących zazwyczaj miasto żywych z miastem umarłych — może dlatego, że był tak daleko, a także, że rodzin niemieckich dawno już tutaj nie ma. Ciekawy więc cmentarz, ale dziś psuł on jakoś Romanową wizję C..., nie było go dotąd w planie duchowym, więc zaskakiwał, zmieniał też optyczną i niejako ideową koncepcję miasta oraz jego zaplecza. A cóż dopiero, gdy Roman wdrapał się jeszcze wyżej, gdzie okazało się, że wschodnio-południowe wzgórza porośnięte są gęsto lasem iglastym — sosnowym, podczas gdy on przysięgał, że wszędzie tu i zawsze królowały szumiące, falujące lub różnobarwne — liście. Znowu więc C... stało się po trochu inne, zmieniło swą zewnętrzną szatę, tak jak i wewnętrzną treść, stało się inne, tak jak w ogóle świat przekształca się w miarę upływu czasu, ale tutaj przecież upłynęło go niewiele, chyba, że to czas jakiś inny, nie biologicznie obiektywny, lecz psychiczny i subiektywny. Miałże więc Roman korygować wstecz swoją wizję, tak jak od dawna, w uporczywych reporterskich wędrówkach korygował wizję Ojczyzny, Ojczyzna bowiem w ciągu niewielu stosunkowo lat zmieniła osobowość, terytorium, krajobraz, Ojczyzna przesuwalna, ruchoma, obrotowa? Gdzież, wobec ustawicznej przemijalności, znajdowali się Polacy, prawdziwi Polacy, może na emigracji, wśród której konstruowano pono wizję Polski idealnej, ponadczasowej, nie zaś historycznie i historycznie bo nerwowo i pospiesznie wieloprofilowej, jak zwielokrotniona dziewczyna Picassa? Lecz on wszakże miał dać swoje świadectwo tutaj, nad Wisłą, nad Bałtykiem, w tym celu chciał się właśnie posłużyć konkretną i jednoznaczną

wizją C..., wizją ubiegłoroczną, utrwaloną w myśli i w notesach. Jeśli jednak i panorama C... okazywała się wielopostaciowa, to jakież wyciągnąć z tego wnioski, jak gdzie i kiedy, w jakim tle i pejzażu wzruszyć ramionami, może w ogóle nie należało czepiać się rozpaczliwie realności, lecz od początku posłużyć się miejscowością fikcyjną, dowolną, leżącą całym swoim obszarem tylko i jedynie w krainie imaginacji? Lecz to stwarzało sytuację całkiem nową; ziemia, rozkiszta i oślizgła nadmorska ziemia, usuwa się naraz Romanowi spod nóg: nie posiadałby więc teraz zgoła nic, tak zupełnie jak przed rokiem i zaczynać oto musiał wszystko od początku?

Obcość i nowość pogłębiały się w miarę dalszej wędrówki wśród mglistej atmosfery ni to jesieni ni to zgniłej ciepłej zimy — w miejsce dawnej wizji, wstawał chaos coraz większy i większy, choć na swój sposób sugestywny. W każdej przechadzce jest jakiś punkt osiągnięcia, tutaj był nim lesisty wzgórek z polanką na szczycie, dokąd prowadziły mocno rozchwierutane drewniane schodki, zaopatrzone poręczą. Widok z góry kontemplować było można poprzez wyciętą w drzewach lukę: pod nisko zwieszonymi chmurami rozciągała się w dole pocztówkowa panorama stłoczonej mnogości czerwonych dachówek i wieżyczek, sięgających aż po daleką, bladą i zamgloną taflę morza. Barwy były dziś wyblakłe, gdy Roman schodził z góry jakimiś zupełnie nieznanymi ulicami, obserwował kolorystyczną degrengoladę mieszczkańskich niemieckich willi: kiedyś artystycznie przyozdobione i zindywidualizowane, dziś traciły tę patynę, pomalowane grubą farbą, nierówno i byle jak, często poobtłukiwane, gubiły swoją secesyjną odświętną elegancję, stawały się nijakie, czy wręcz szmaciane. Niegdyś mieszcuch-rzemieślnik wyzywał się w tworzeniu przedmiotów użytecznych a kokietujących ornamentyką i jakimś zindywidualizowaniem, dziś kładła się na wszystko ujednociająca szaryzna. Na miejsce niemieckiej, zapobiegliwej pedanterii przyszła polska nonszalancka nieuważność, może to zresztą, z duchowego punktu widzenia, nie jest źle, nie warto być, jak Niemcy, niewolnikami rzeczy materialnych, ale dłaczegóż ta nowa postać starych domów narzucała się świadomości Romana dopiero dziś, kiedy przecież dawno już widział w miasteczku przeróżne rudery, lub też domy odnowione pobieżnie i niestylowo? Dziś widocznie nastawiony był właśnie na inność, na wielopostaciowość, zaś perfidnie przetworzone otoczenie z dyskretną ironią potakiwało tej jego skłonności.

Dzień w końcu okazał się ciepły, ale taki jakiś, niczym zmkła kura, bez fantazji, tępy, posępny, nadgniły — może charakter dni jest tylko projekcją, odbiciem naszego wnętrza? Gdy Roman

zeszedł na dół, morze było zielonosine, gdy zmrzyć oczy widziało się tęcza otoczkę nad niedalekim horyzontem. Morze ma prawo i nawet obowiązek być coraz to nowe, lecz dziś jego uciszona, sinawa tafla wydawała się całkiem z innego świata i wymiaru, tak jak opustoszałe mimo niedzieli mokre i śliskie molo, jak dziwnie odmienione, bo pociemniałe i pozbawione na pozór czerwonych dziobów, osowiałe mewy. Roman szedł ze spuszczoną głową, patrząc pod nogi, aby się nie pośliznąć lub nie wpaść w dziurę, mimo to wyczuł że naprzeciwko idzie jakiś jegomość z młodym człowiekiem. Facet był wysoki, łysawy, mimo mżawki z odkrytą głową ale w futrze; uporczywie patrzył na Romana i w końcu przyciągnął jego wzrok. Na pewno nie należał do grona znajomych, ale był przecież znany, znany w jakiś inny sposób, z innych czasów a jednak swój, swój, nie obcy, na pewno. Tamten to czuł i Roman to czuł, tknięci jednym prądem, fluidem czy magnetyzmem oglądali się na siebie, wreszcie tamten stanął, patrzył chwilę, znów ruszył w swoją drogę, nie, jeszcze raz staje, wraca, w oczach ma błysk zrozumienia, poznaje, Roman też zaczyna coś kojarzyć, wysoki łyson uśmiecha się, przyspiesza, rzuca się Romanowi na szyję: ależ tak, to Kazik B..., niewiarogodny Kazik B...

Któż to taki Kazik B... Ba! Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się cofnąć o ile? — aż o 28 lat prawie, do owego zdumiewającego września, a ściślej mówiąc do 17 września, kiedy wszystko zawaliło się nagle i bezpowrotnie, kiedy całe międzywojenne Dwudziestolecie okazało się tylko snem o Polsce, snem rojonym przez inteligenckich marzycieli, natchnionych kiedyś wiarą hipnotycznego wizjonera Piłsudskiego. Gdzieś na dalekich kresach pułk Romana, rozbity przez dopadające ich aż tutaj pancerne zagony Niemców, przez prażące z niskiego lotu myśliwce a także przez apokaliptyczny bałagan na zatłoczonych szosach, przemykał się jeszcze tędy owędy, lasami i mokradłami, unikając ukraińskich wsi skąd już strzelano, jako że zaczynała się tam rebelia. I oto nagle, owego dnia września, uderzyła w nich wieść nieprawdopodobna i mało zrozumiała, ale potwierdzająca się natychmiastowo i namacalnie: na ziemi polskie wkroczyła Czerwona Armia, bolszewicy, ale nie w charakterze pomocy przeciw Hitlerowi, bo Niemcy przestali atakować, zaraz gdzieś się zmyli, wycofali, na niebie zamiast latających swastyk pojawiły się czerwone gwiazdy, a wszystkimi drogami i bezdrożami pełznąć jęła zielonawa i dziwnie kosmata „armia ciubaryków”, jak to pogardliwie określali strzelcy w Romanowym plutonie.

Pułk, i tak już mocno przeczesany i wyszczerbiony, wzięty teraz w dwa ognie, zwinął się, skręcił jak w konwulsjach, po czym rozsypał i — przestał istnieć. Tymczasem ziemia na dobre

zapaliła się pod nogami: Ukraińcy hurmem ruszyli już przeciw „Lachom”, po wsiach sowieccy politrucy rozpoczęli natychmiast swą osławioną walkę klasową z dziedzicami czy polskimi osadnikami, prowadzili ją wprawdzie nonsensownie i groteskowo, bo nie mieli pojęcia, gdzie się znaleźli i jakie tu były stosunki, niemniej wyroliły się natychmiast szantaże, porachunki, awantury i niekończące się, płaczliwie wrzaskliwe masówki. Jednocześnie w miasteczkach grupy młodych Żydów biegały tam i sam z czerwonymi sztandarami, demonstrując na rzecz nowej władzy — myśleli, że to ich wybawi z ortodoksyjnych, kresowych, gett, o naiwni. Wszyscy więc nagle byli przeciw Polsce, zbitej, złupionej, oplutej, Polacy przekradali się chyłkiem, w kilka dni utracili wszystko, ziemia uciekła spod nóg, zostali oto bez miejsca na świecie, zewsząd ich szcuto, polowano na nich, wyklinano, jakby Polska była rzeczą najgorszą i najobrzydliwszą, zakałą świata, jakby nie było ani Hitlera ani Stalina, ani wiekowych polskich krzywd, ani w ogóle historii i jej świadectw. Wśród obłędu i grozy jedna rzecz, jak to często bywa, okazała się zbawcza: bałagan. Kosmiczny, apokaliptyczny, przez wszystkich po społu rozpetany bałagan dopomógł Romanowi przebrać się gdzieś na wsi za cywila i ruszyć pieszo w parotygodniową wędrówkę ku centrum polszczyzny, ku Warszawie, która, jak głosiła głucha wieść, biegnąca cudem po polach, lasach i zdziczałych siołach, broniła się jeszcze przeciw Niemcom.

W wędrówce tej towarzyszył Romanowi młodzieńki podchorążak służby czynnej, wyłowiony gdzieś i przyhołubiony w zamęcie rozsypującego się pułku — to był właśnie Kazik B... Znajdował się on w katastrofalnym stanie nerwów. Podchorążówka wyuczyła go bzdur o patrolowo-piechociarskiej, podjazdowej, długo się ciągnącej wojnie, toteż pojąć nie mógł walącego się na głowę ze wszystkich stron huku czołgów i samolotów, ani niewiarygodnej szybkości niemieckiej ofensywy, bezceremonialnie przekreślającej tudzież ośmieszającej wszelkie rachuby i przewidywania. A już wkroczenie Rosjan, oczywiście z góry z Niemcami ukartowane, nowy rozbiór Polski — jakże to pogodzić z utrwaloną w głowach i sercach elewów wzorowego, sanacyjnego gimnazjum wizją polski zmartwychwstałej, promiennej, mocarstwowej?!

Chłopak z tego wszystkiego prawie oszalał: histeryzował, płakał, przerzucał się od patetycznych deklamacji do skrajnego upadku ducha. Roman chcąc nie chcąc, stał się jego opiekunem, Kazikowi imponowała oficerska szarża (*podporucznik rezerwy, nic takiego ale zawsze...*), potrzebował kierownictwa, z ulgą podporządkowywał się czyimś decyzjom, bo wtedy wydawało mu się, że nie wszystko z „normalnej” wojny jest jeszcze stracone, że prze-

prowadzają oto, choć we dwóch i w cywilu, jakiś planowy odwrót... Szli i szli do owej dalekiej Warszawy, między wycofującymi się na linię Bugu Niemcami, a naciskającymi ze wschodu bolszewikami, szli, spotykając po drodze grupki takich samych jak i oni, rozpiezchniętych łązęgów. Roman potrafił wmówić swemu młodemu, tak z początku zrozpaczonemu towarzyszowi, że to wszystko jest Wielka Przygoda, że trzeba tego doświadczyć, bo zawsze w życiu coś się takiego dzieje, że wojna toczy się dalej i wszystko jest jeszcze przed nimi... Nawet zadowolony był, że musi się tamtym opiekować, gdyż to odciągało go od własnych myśli i załamań, nie zostawiało czasu na wątpliwości, stawiało konkretny cel: doprowadzić Kazika B... całego i zdrowego na umyśle, do wymarzonej (nie wiedzieć czemu) Warszawy. I tak sobie wędrowali przez rozbitą, zbeszczeszczoną i struchlałą Polskę, nocując u coraz to, w miarę posuwania się na zachód życzliwszych chłopów, trochę zebrząc, trochę kradnąc, unikając ludzkich skupisk, linii kolejowych i wielkich szos, bo nie wiadomo kogo w tym, na przestrzeni paru tygodni oszalałym i bezpańskim kraju, można było spotkać. Rzeczywiście wywiązała się z tego jakaś trampowska czy włóczęgowska przygoda. Roman i Kazik zagustowali w wykradaniu się o świcie z nieznanymi wsi, w nieskończonych wędrowniach poprzez oświetlone czerwono wschodzącym słońcem łąki i wrzosowiska, polubili południowe, słoneczne siesty w stogu siana czy godziny wieczorne, gdy siwe dymy snuły się nad parującymi jesienną mgiełką pastwiskami i rżyskami, polubili smak pieczonych kartofli i pitego na stojąco, gdzieś przy płocie, przy furtce, surowego mleka. Czuli się, jakby byli sami na świecie, dopiero niedaleko Warszawy ogarniać ich jęła na nowo straszność, groza, absurdalność katastrofy, łuny pożarów i ludzka trwoga. Tu znowu Roman pracować musiał nad Kazikiem, ale i teraz zmobilizował go jakoś, tak, że, w trzy dni po kapitulacji stolicy wkroczyli do rodzinnego miasta obdarci, zmizerowani ale godni, choć ogłuszeni, w zdumieniu kontemplując zasłane gruzem i szkłem, owładnięte przez smród spalenizny i trupi fetor ulice, po których maszerowali różowi, obcy ludzie w niebieskich mundurach, mający w sobie coś z bajek Grimma czy z „Dziadka do orzechów”. Jawa to czy sen? Zresztą człowiek szybko się przyzwyczaja do rzeczy najmniej przed chwilą jeszcze prawdopodobnych, za parę zaś lat okazało się, że Warszawę czekają znacznie dziwniejsze i stokroć gorsze historie — widać nie tylko za swoje lecz za grzechy całej Europy pokutować musiała aż do samego końca.

W czasie okupacji Roman coraz rzadziej widywał sympatycznego i zawsze wdzięcznego Kazika B... Z początku jeszcze dawał

tamtemu jakieś lekcje, wspominali dawną wędrówkę, popijali. Niedługo jednak każdy poszedł swoją drogą: Kazik rozpoczął tajne studia politechniczne, brał też udział w konspiracji, ot, normalny warszawski inteligent. Powstanie rozdzieliło ich całkiem i dopiero pierwszej czy może drugiej powojennej jesieni tamten objawił się w ocalałym mieszkaniu Romana na Koszykowej. Był po Powstaniu w obozie jeńców, potem w nowym wojsku, miał świeży dyplom inżyniera, poznaną gdzieś na powstańczej barykadzie narzeczoną i wybierał się właśnie do owego, najpierw zniszczonego a potem oddanego Polsce portowego miasta nad Bałtykiem, gdzie próbowano podobno organizować politechnikę, wybierał się, jak mówił, szukać szczęścia.

Więcej już go Roman nie widział, ale słyszeć o nim było sporo, nazwisko pojawiało się często w gazetach i w radio. Szybko został docentem, profesorem, położył pono duże zasługi, zrobił jakieś odkrycia, usprawnienia racjonalizatorskie, jak to teraz nazywano, lecz nie to było najważniejsze, przynajmniej dla Romana. Oto Kazik B... najwyraźniej stał się nad morzem działaczem partyjnym, czyli, według nowego języka, aktywistą. Nazwisko jego powtarzało się teraz coraz częściej na różnych międzynarodowych deklaracjach, apelach, rezolucjach, arcyhumanitarnych i pacyfistycznych, brał też udział w ciągłych międzynarodowych kongresach „intelektualistów” w sprawie pokoju, w sprawie potępienia „zbrodni hitleryzmu, imperializmu, rasizmu” i w innych tego rodzaju sprawach. Słowo „intelektualista”, niegdyś w Polsce rzadkie i używane tylko dla określenia specjalnego gatunku ludzkiej umysłowości, po wojnie zrobiło karierę zgoła odmienną, stając się odpowiednikiem jakiegoś rosyjskiego zapewne a raczej radzieckiego terminu, którym sygnowano grupę specyficznego rodzaju inteligentkich figurantów-agitatorów, odgrywających „w oczach Zachodu” swą maskaradę szlacheckich. Pod naciskiem Moskwy i w Polsce stworzono taką, jak mówili sceptycy, stajnię intelektualistów, czyli pokazowy zestaw pisarzy, profesorów, artystów, co to jeździli z kraju do kraju, z kongresu na kongres, deklamując do znudzenia o okropnościach wojny (*jakby po wszystkim co ludzie przeżyli potrzebna i smaczna była tu jakakolwiek deklamacja*) i domagając się pokoju, rozbrojenia, potępienia wszelkiej agresji oraz wielu innych pięknych rzeczy. Roman nie wątpił, że Rosja, połknąwszy pół Europy, szczerze pragnie pokoju, aby móc strawić swą zdobycz, zastanawiało go tylko, gdzie są granice możliwości nabijania w butelkę owej naiwnej, inteligentkiej opinii Zachodu. Okazało się jednak, że granice te są nieskończenie szerokie, tak, że w ogóle ich nie widać. W paryskich kawiarniach egzystencjalistów czy w liberalnych uniwersytetach amerykań-

skich zapanowała akurat moda na salonowy komunizm, z zachwytem więc przyjmowano wszelkie pięknoślowne frazy o pokoju i współpracy, płynące ze Wschodu, im zaś więcej figurowało pod nimi podpisów z tytułami profesorów, doktorów, redaktorów, pisarzy, artystów, tym było piękniej i przyjemniej, tym więcej dowodów na normalność i szlachetność owego Wschodu, że taka to tam jest wysoce kulturalna hierarchia społeczna, stawiająca „intelektualistów” na samej górze. Wschodni czarodzieje nigdy jednak, nawet między sobą, nie zaśmiewali się z tego wszystkiego w kułak, Roman podziwiał zawsze to pełne powagi opanowanie, niedługo zaś pryncypialna ich pilność została nagrodzona sukcesem, powstała bowiem w krótkim czasie nowa stajnia, tym razem internacjonalna, zachodnia, podpisująca wraz z kolegami ze Wschodu wszelkie protesty, deklaracje praw, wezwania, żądania. Co ciekawe, podpisywano je bez względu na ich zmienną co pewien czas treść: z równym zapałem i szlachetnym wzburzeniem domagano się zjednoczenia Niemiec jak potem ich podziału, równie namiętnie chwalono Amerykę za jej demokrację i humanizm, jak po chwili już potępiano za rasizm i imperializm, raz wynoszono pod niebiosa Żydów, innym razem znów Arabów, raz kazano bić Japonię za faszyzm i okrucieństwo, drugi raz żałować Japonię, ofiarę bomby atomowej. I nikt się nie dziwił, że podpisuje coś przeciwnego niż przed pół rokiem, nikt o tym nie pamiętał, nikt tego nie zauważał, treść nikomu nie przeszkadzała. To był wielki sukces czarodziejskiego kunsztu Wschodu, kunsztu który uwodził oto i fascynował całą zmęczoną, powojenną Europę.

Więc Kazik B... okazał się właśnie zawodowym obrońcą pokoju, w dodatku „nieugiętym” — przymiotnik ten dodawano mu prawie zawsze, to był pewno również wolny przekład z patetycznej ruszczyzny. Roman powątpiewał, aby tamten miał wobec tej, atrakcyjnej zresztą, ideologicznej turystyki czas na pracę zawodową czy naukową, choć istniał przecież taki francuski fizyk atomowy, który, wojażując z kongresu na kongres i protestując ile wlezie przeciw temu, co mu akurat ze Wschodu wskazano, coś tam pono i w swojej dziedzinie zrobił. Nieprawdopodobny Kazik B... przekreślał jednak wszelkie wątpliwości: kiedyś, gdzieś, wśród fali niepowstrzymanego czasu przyszła wiadomość, że jest już rektorem politechniki w owym odbudowanym teraz, portowym mieście, tudzież laureatem naukowych nagród, a potem, po wielkim zjeździe w pałacu na warszawskim Placu Defilad, ogłoszono, że rektor B... został zastępcą członka najwyższego Komitetu Partii. Zastępcą członka, to było dla Romana nazwanie dosyć rozśmieszające, istniał nawet na ten temat nieprzyzwoity dowcip, ale ponieważ nikt się nie śmiał, więc i Roman wolał dać spokój

— czasy nie są do śmiechu. Mimochodem tylko zanotował w pamięci, jaką to karierę zrobił ten nieprawdopodobny Kazik B... Zresztą nie widział go od lat, nie szukał jego adresu będąc nad morzem, nie spotkali się ani razu od czasu owego warszawskiego pożegnania.

I oto nagle teraz ściskali się na niedzielnym molo w C..., choć byli już przecież całkiem innymi, dalekimi sobie ludźmi. Kazik B... ze śmiechem patrzył na Romana: oczy miał te same, bure, głucho wierne, choć inaczej grały one dziś na tle przedwcześnie chyba pomarszczonej twarzy i wysokiego czoła, podwyższonego o sklepioną łysinę. Tyczkowaty, starzejący się, autorytatywny dryblas o wysokim, przemądrzałym nieco głosie — czyż to doprawdy ten sam człowiek?

Teraz już, skoro się spotkali, wszystko w C... uległo zmianie, bo Roman żadną miarą nie mógł się od tamtego uwolnić, najwidoczniej znowu był Kazikowi potrzebny. Może jako nawiązanie do przeszłości, jako kontynuacja, „arka przymierza między dawnymi a młodszymi laty”, może jako słuchacz, przed którym obecny rektor i działacz chciał się nareszcie wygadać jakoś syntetycznie, rekapitulująco, czy się wytłumaczyć, czy przeciwnie — pochwalić, albo też nadać życiu jedność, jednoznaczność i rozpiąć tę jedność ponad latami wobec czujnego świadka, i to świadka jak najbardziej odpowiedniego, wręcz wymarzonego, bo towarzysza chwil dawnych a stale obecnych, wciąż decydujących? Tak czy owak, Kazik B... nie wypuścił już z rąk inicjatywy: wtedy, w niedzielę, poszli, rzecz prosta, pogadać do nieuniknionego „Srebrnego Jaru”, potem Kazik uwiózł go do swego mieszkania, tuż przy porcie, nie w nowych blokach, lecz w starym, ceglanyim niemieckim domu, gdzie jednak w środku okazało się przestronno i ciepło, familijnie, przytulnie i bardzo polsko. Kazik był niestrudzony (*znów słowo z nowej mowy*), nieodparty, nieprzebrany w pomysłach i przysługach: przedstawił gościa żonie i dzieciom, zapraszał na kolację, na obiad, na wódkę, obwoził po wybrzeżu własnym samochodem, pokazywał politechniczne pracownie, laboratoria, sale wykładowe, przyjeżdżał do C... wieczorami, przywoził koniak, zostawał długo po północy i gadał, gadał, gadał... Monologi jego układały się Romanowi w jedną mozaikę, w jeden deseń z obrazami przeszłości, scalał je, uzupełniał, porządkował, po wyjściu tamtego robił notatki, znów zapełnił parę notesów. Cały już pobyt, aż do końca, upłynął Romanowi pod znakiem Kazika B..., jak przed rokiem pod znakiem Bluzeczki. Tak więc, wciąż zdarzało się coś nowego, rzeczywiście niesposób po raz drugi wstąpić do tej samej rzeki. W dodatku coraz mniej pewne było, kto komu był potrzebniejszy: Roman Kazikowi czy Kazik

Romanowi, podobnie jak nie całkiem jest do dziś pewne, kto kogo ocalił duchowo w owej wędrówce przez oszalałą, zbeszczeszczoną Polskę trzydzieści bez mała lat temu. Obecny monolog Kazika, na tle lat, wydarzeń, doświadczeń stawał się, choć czasem absurdalny (może właśnie dlatego), niezwykle ważny, zwłaszcza, że był zapisany, zapisany przez Romana przynajmniej w istotniejszych swych partiach. Stawał się wręcz decydujący, specjalnie decydujący po sprawie Bluzeczki, a w jakim kierunku iść miała decyzja, nad tym trzeba się namyślić, ale chyba nie teraz, chyba dopiero w Warszawie, tu przecież nie będzie już czasu, bo cała reszta obecnego pobytu w C... wypełniona już zostanie obecnością tego niezwykle, zadziwiającego Kazika B..., podobnie jak przed rokiem obecnością Bluzeczki.

XVI

Kazik mówił, monologował, zaś Roman zapamiętywał i zapisywał, ale oczywiście zapisywał własnymi słowami, nawet jak czegoś nie zapisał, polegając na swej pamięci, to rzecz przechowywana u niego w głowie obrastała jego własnym wewnętrznym komentarzem, a także jego otoczką uczuciową, nastrojową, lichowię jaką, bo to są przecież sprawy bardzo skomplikowane i subtelne, jakąż aparaturę trzeba by uruchomić, aby jednoznacznie, ściśle zbadać swoje wnętrze i przekazać coś z tego innym ludziom za pomocą słów, będących przecież również bardzo uproszczonymi, niedoskonałymi symbolami: wiedział o tym krytyk R... już gdy w swej młodzieńczej niby powieści rozszczebiał obraz świata, oglądany przez bohatera, zakładając, że w procesie ludzkiego postrzegania i uświadamiania działa szereg złożonych, nakładających się w dodatku na siebie soczewek, więc, chcąc nietylko oddać (bo to niemożliwe) co zasugerować istnienie tych wszystkich zawłości, (*w sposób usystematyzowany zajmie się nimi może kiedyś ów przyszły Einstein stuleci, który obali sztuczną, prymitywną przegrodę między psychicznym i fizycznym*), chcąc uchwycić i przekazać czytelnikowi przedsmak, echo niewidzialnych, choć tak we wszystkie wymiary sięgających doznań, posługiwał się dziwną dla współczesnych sobie formą powieści jakby rozłożonej na duchowe głosy, obfitującej w komentarze do komentarzy, przypominające swą wewnętrzną piętrowością drewniane, wielkanocne jajka, włożone jedno w drugie, z tym że w jajkach takich jest w środku jajko najmniejsze, którego praktycznie już

podzielić się nie da, podczas gdy wielokrotność introspekcyjna nie ma granic, nie ma kresu — tej jej bezkresności niesposób odtworzyć, ale można ją zasygnalizować aluzyjnie, poddając drobiazgowej analizie, rozkładającej na dalsze, również w domyśle podzielne elementy, każde powieściowe zdarzenie. Tak, krytyk R... dokonał w młodości wielkiego odkrycia, ale któż na szerokim świecie dostrzega tego rodzaju odkrycia, dokonywane w Polsce? Gdyby pisał po francusku czy angielsku, zostałyby może Kopernikiem literatury (*jakież to było szczęście w dawnych wiekach — umieć po łacinie!*), tymczasem piszącego po polsku i to gdzieś tam, w prowincjonalnym kącie habsburskiej monarchii, nikt nie zauważył, świat poszedł naprzód mimo niego i po latach dokonał swego odkrycia powtórnie (*odkrycia i wynalazki to po prostu uświadomienie ludzkości zjawisk i praw istniejących, zawartych w naturze potencjalnie*), z tym oczywiście, że w miarę upływu czasu mistrzowie nowej powieści introspekcyjnej doprowadzili swe dzieło do wysokiego stopnia komplikacji, wyciągając z nieznanym sobie zresztą, zarodkowych idei krytyka R... konsekwencje nie przeczuwane i imponujące.

Tak więc jeśli chodziło o myśli zawarte w monologach Kazika B..., zarówno tych zapisanych jak i zapamiętanych, to Roman, segregując je w swej głowie i inwentaryzując, w miarę upływu czasu coraz mniej wiedział, które z nich pochodzą od tamtego, a które, przez jego własny układ komentatorsko-rozwojowy przekształcone zostały w stopniu takim, że niesposób tu już było ustalić autorstwa, czy choćby jego zakresu, łączyło się to zresztą z niezwykle ważną sprawą, o której też wspominał Kazik, sprawą stosowania przez każdego człowieka innych słów (*myśli się w końcu za pomocą słów, operując ich psychicznymi odbiciami*), posiadany zasób słów, ich wybór i kolejność świadczą bowiem o stanie ducha, stąd też aplikowane przez prasę komunistyczną i tak gnębiące Romana używanie w nieskończoność ciągle tych samych określeń tudzież zwrotów miało swoje znaczenie, opierało się na przekonaniu, że wdrożenie ludzi, zwłaszcza zaczynających dopiero świadomie myśleć, ludzi prostych, do używania pewnego zestawu wyrazów i zdań, uformuje w tych ludziach określoną, zamkniętą postawę duchową, czyli jak tu mówiono, ideową. Teza nie głupia, choć pesymistyczna i czarnoksięska, zrodzona z niewiary w człowieka i w jego samodzielne możliwości.

Jeśli zatem szło o sprawę myśli Kazika B..., obracanych nieustannie w głowie i przetwarzanych, dopowiadanych, rozwijanych przez Romana, to cała ta historia mogłaby świadczyć o przekroczeniu czy obaleniu bariery, oddzielającej jedną osobowość od drugiej, tak, jak zdawało się to zresztą Romanowi w przypadku

Bluzeczki, tyle, że tam rzecz miała się dokonywać przez zbliżenie fizyczne i przez wspólne zmysłowe odczuwanie egzotycznych dla Warszawiaka w środku zimy, osobiście intensywnych uroków C... To obecne zatarcie się granic między wzajemnym odczuwaniem myślowym odbijało się również w dużym stopniu na formie słownej, obejmującej też zresztą rytm i układ zdań owych, zapisanych przez Romana Kazikowych rozważań. A przecież w ewentualnej powieści Kazik B... nie mógłby przemawiać językiem Romana, trzeba by z powrotem zindywidualizować jego własny język, bądź nadając tamtemu sposób mówienia, więc i myślenia (*choć to nie jest to samo, istnieje jednak jakaś złożona zresztą odpowiedniość*) taki jak rzeczywiście miał, bądź też, stwarzając dlań osobny styl wypowiedzi, specjalnie zabarwiony, zaczerpnięty z imaginacji. Będzie to zresztą istny podwójny palimpsest, dwukrotne przetapianie formy i treści tych myśli, zawsze można się więc obawiać, że coraz zaś więcej wkładu Romana, zatem rzecz stanie się raczej monologiem rozdwojonej jaźni, albo dialogiem wewnętrznym, dialogiem z sobą samym, czyli właściwie skonstruowanym dosyć nowocześnie, według zarodkowych wskazań krytyka R..., rozwiniętych później przez teoretyków nowej powieści względnie nowego kina, którzy zalecali unikać akcji zewnętrznej, fabuły, a właśnie przenosić utwór w strefę wewnętrznych monologów i dialogów. Wszystko to nastąpi oczywiście, jeśli książka, mająca być w zamierzeniu wzruszeniem ramion na współczesną historię, będzie w ogóle mogła powstać, co, po wiele dni i nocy trwającym wysłuchiwaniami monologów Kazika B... i następującej z kolei obróbce oraz przekształcaniu ich na wewnętrzny dialog Romana stawało się zamysłem coraz dalszym, coraz mniej prawdopodobnym, coraz trudniejszym w realizacji i to trudniejszym z wielu względów, nie tylko techniczno-artystycznych, ale patriotycznych, moralnych, licho wie jakich.

Ciekawe i paradoksalne, że owo zlikwidowanie bariery między odczuwaniem i diagnozami Romana a odczuwaniem Kazika B... było tamtemu ogromnie po myśli, okazało się bowiem, że przez te dwadzieścia lat kiedy się nie widzieli, Kazik identyfikował się z Romanem, obcował z nim, wcielał się w niego wyobraźnią, ba, jak twierdził, całe życie postępował według zasad, które wpoił mu rzekomo Roman podczas tej krótkiej, choć tak bogatej w tragiczne skutki, polskiej wojny roku 39. Niezbyt to było podnoszące na duchu, zważywszy, co sobie Roman myślał o obecnej działalności tamtego, zwłaszcza o jego nieustannym uczestnictwie w owych komediowo obłudnych kongresach pokoju, wolności, równości, walki z faszyzmem, rasizmem i jak się tam one wszystkie nazywały. Rzecz bardzo dziwna, ale Kazik uważał się

najwidoczniej za duchowego ucznia Romana, wciąż to z naciskiem powtarzał i do tego powracał, to były jego w ogóle pierwsze słowa, takie oczywiście, jak je Roman zapamiętał, po swojemu ujął w formę i zinterpretował, nie ma zresztą na to rady, że po swojemu, wyjść przecież z siebie nie może, to jednak się nikomu jeszcze za życia nie udało!

— Widzisz Romanie — mówił Kazik B... — tyś mnie wtedy, w trzydziestym dziewiątym, nie tylko ocalił, aleś ty mnie stworzył, tyś mi dał busołę, zasadę orientacyjną, według której ja do dzisiaj żyję i będę żył. Mówisz, że zapomniałeś, że nie wiesz jaką, więc ja ci przypomnę. Pamiętasz, jakeśmy szli z tych zacieczonych Kresów do Warszawy, przez całe to piekło, w podartych łachmanach? Tyś mi wtedy powiedział, że to wszystko jest przygoda, że to trzeba przeżyć, że tak właśnie się w życiu dzieje, że to jest NORMALNE. I widzisz, przez to powiedzenie tyś mnie ocalił i na całe życie ustawił. Bo wiesz, ja byłem zielony szczeniak i wtedy bliski wariacji: mnie wychowała sanacyjna szkoła i dała mi obraz tego co jest normalne i co Polskę może czekać, obraz wiesz jaki, patriotyczny w dawnym stylu, niby z domku dla lalek czy szopki, z katechizmu, osłonięty od wiatru, od hałasu, idealny, święty, szlachetny, inteligencki, znasz to przecież z tego sztucznie nam osłodzonego dwudziestolecia. Podchorążówka dołożyła swoje, oni wiedzieli, dlaczego tak wychowują: jak się nie ma siły, to trzeba choć wyrobić wiarę, ślepą wiarę. A tu nagle wszystko się wali na głowę i to jak: nienormalnie, wbrew regułom, zupełnie inaczej niż mogłeś być, niż taki szczeniak jak ja mógł przypuszczać. Utracić swoją zasadę normalności, zwątpić o wszystkim, absolutnie wszystkim, mając dwadzieścia jeden lat, to można oszaleć, po prostu, dosłownie. I tyś mnie ocalił, bo tyś mi wytłumaczył, że wszystko jest normalne, że nic nie ma dziwnego, że zawsze się tak właśnie, wariacko i burzliwie dzieje, że trzeba przez to przejść, na tym polega życie, życie mężczyzny. Byłeś ode mnie starszy o te siedem lat, byłeś oficerem, ja ci uwierzyłem — i źle na tym nie wyszedłem. Ja potrzebowałem takiej wiary, oparłem się o nią, uratowała mnie wtedy i później jeszcze wiele razy. Mam ją do dzisiaj, to nie jest wiara, to jest zrozumienie, przekonanie, że nie ma na świecie nic dziwnego ani oburzającego, że wszystko jest normalne i przez wszystko trzeba przejść, aby tylko to zrozumieć — a rzecz normalną zrozumieć w końcu można zawsze. Więc, powtarzam, trzeba zrozumieć wszystko, nie ma nic nienormalnego ani dziwnego. Nawet Hitler jest normalny, jest już normalny. Dlaczego o nim mówię? Bo to on zmienił nasze życie, on siedzi we wszystkim co nas otacza, jest składnikiem tej przeszłości, która już cofnąć się nie da, bez względu na to co on

chciał a co mu z tego wyszło, co zrobił świadomie a co się stało przypadkiem. Ja wtedy, jako szczeniak, pojąć nie mogłem Hitlera, wydawało mi się, że to diabeł, demon, nie wiadomo co. A to był głupiec, ale głupiec który zawrócił koło historii, bo złapał na chwilę kierownicę i popchnął wóz do przepaści. Głupiec też nie jest niczym dziwnym, zdarza się, i to trzeba było przeżyć. Za to teraz pilnie patrzeć, jaka z tego wynikła nowa normalność.

— Bo co zrobił Hitler? — rzecz niebywałą: zjednoczył przeciw sobie wszystkich, takiej konfederacji jeszcze w historii nie było. Poszli przeciw niemu razem komuniści, socjaliści, konserwatyści, kapitaliści, anarchiści, Żydzi, katolicy, masoni, hrabiowie, pederasci, Rosjanie, Anglicy, Amerykanie, Francuzi, kto tylko chcesz, takiej koalicji nie zna historia, i takiej siły — wszystko złączyło się na chwilę jako reakcja na Hitlera. I ta siła a przede wszystkim niebywała, jedyna na świecie potęga zmobilizowanego kapitału anglosaskiego, potencia produkcyjna i techniczna, jakiej dotąd nie widziano, ta siła właśnie wniosła Bolszewików do środka Europy, rozpędem amerykańskiego kapitału a swoim armatnim mięsem Rosjanie wjechali aż do Łaby, wjechali, powtarzam, do samiutkiego środka Europy i stąd już nie wyjadą, kapujesz Roman, stąd już nie wyjadą — a z nimi nie wyjedzie ich ustrój. Nic już nie będzie, jest po sezonie — przez głupca Hitlera Zachód utracił tutaj sytuację raz na zawsze. Jest po sezonie, nic się nie zmieni, nie ma na co czekać, trzeba pracować! Jesteśmy patriotami, obaj szamotaliśmy się w tej naszej *drôle de guerre* i w okupacji, więc jako patriota Ci mówię — musimy pracować, pracować w komunizmie: pracować dziś dla Polski to znaczy pracować dla komunizmu. Bo komunizm stąd nie wyjdzie.

— Dlaczego komunizm stąd nie wyjdzie? Nie tylko dlatego, że Ruscy pilnują, a oni mają Bombę i nikt im nic nie zrobi. Nie tylko dlatego, że kapitalizm nie wróci, bo ludzie zapomnieli co to znaczy posiadać, co to znaczy prowadzić własną fabrykę, jak ją zorganizować, jak nią kierować — a jeśli jeszcze nie całkiem zapomnieli, to zapomną, jedno pokolenie, drugie, trzecie, czwarte i zapomną, muszą zapomnieć, zresztą większość nie ma czego zapominać, bo w ogóle nigdy tego nie widziała. Ale komunizm nie wyjdzie stąd także z innej przyczyny, z jakiej, to ja ci powiem, bo jestem naukowcem i byłem wszędzie, zjeździłem cały świat. Komunizm nie wyjdzie stąd, bo Zachód nas przegonił o dziesięć długości, o dwadzieścia długości i już się do nas nie cofnie, już się nami nie zainteresuje, już się na nas ani obejrzy. Wojny nie będzie, obie strony przecież mają bombę, więc dwa światy będą się od siebie pokojowo oddalać, nigdy się już nie spotkają ani nie zrozumieją, im się do nas wrócić nie opłaci. Zachód nam

uciekł nie ma co go ścigać, z komputerem nie ma się co ścigać. A właśnie o to chodzi — o maszyny cyfrowe, matematyczne. Wiesz co to są maszyny Czwartej Generacji, Piątej Generacji, wiesz co to są układy pamięci skojarzeniowej, wiesz jak tam pracują nad zagadnieniem sztucznej inteligencji, nad logiczną organizacją zespołów maszyn liczących, zastosowaną do rozmaitych dziedzin? Ameryka, Japonia, NRF, człowieku, ja tam byłem, ja to widziałem, to zmieni życie produkcyjne i wszelkie, zmieni i zrewolucjonizuje stosunki tak, że za dwadzieścia lat w ogóle się już nie zrozumiemy, to będą dwa światy niepojęte dla siebie, nawet język nie będzie już służył porozumieniu, bo cybernetyka zmienia język. Już nigdy nie warto im będzie do nas wrócić, nami się zainteresować, w nas się wmyśleć, to się już okaże za trudne i nie opłaci się pod żadnym względem, te dwa systemy zamkną się i oddzielią od siebie automatycznie, Amerykanie co najwyżej trochę zdolnych ludzi nam jeszcze wydrenują. My tego co oni mają nie osiągniemy nigdy: to inny styl roboty, inna metoda, inne mózgi, to przepaść technologiczna, to tajemnice wielkiej pracy, organizacji produkcji, tysiąca pomysłów, wynalazków, inny świat powtarzam — nożyce rozwierać się będą coraz szerzej. A dla nas jest tylko jedna rada: ścigać się w tej ich dziedzinie nie ma sensu, żółw zająca nie dogoni, to nie ta droga. Dla nas jest inny sposób, jedyny sposób, słuchaj mnie uważnie, mówię teraz z całej głębi przekonania, mówię jak Polak patriota i jak naukowiec, który widział wszystko i zważył wszystko: nasza droga to jest stworzyć coś, czego oni nie mają i nigdy mieć nie będą. Stworzyć komunizm. Wiem, że komunizmu nie lubisz, czytałem coś pisał, próbujesz z nim walczyć, bo chcąc go zmienić i poprawić; tak jak Ty to próbujesz robić, w istocie się go osłabia i zwalcza. Ja wiem, dlaczego nie lubisz komunizmu, dużo o tym myślałem, bo ja stale z Tobą żyję, choć się nie widzimy, żyję z Tobą od czasu naszego Września, kiedy zostałem Twoim dożgonnym dłużnikiem; ty nie lubisz komunizmu dlatego, dlaczego ja wtedy podczas wojny o mało nie zwariowałem: nie lubisz go, boś nie pojął, że KOMUNIZM JEST NORMALNY. Wydaje Ci się, że śnisz na jawie, że oszalałeś, a tymczasem może ja teraz stanę Ci się tak potrzebny jak Ty mnie w Trzydziestym Dziewiątym, może Ci się wypłacę, odwdzięczę, przysłużę, jeśli Cię przekonam, że komunizm JEST NORMALNY.

To było zadziwiające: Kazik B... chciał przekonać Romana o normalności komunizmu tak samo, jak, choć w sposób mniej elokwentnie sprecyzowany, bardziej domyślny czy intuicyjny, usiłowała to zrobić Biała Bluzeczka, młodsza od Romana o lat dwadzieścia, podczas gdy Kazik należał niemal do jego pokolenia,

w każdym razie tkwił w jego czasach, jeśli chodzi o przedwojenne wychowanie w Polsce Dwudziestolecia, może i zacofanej czy niezrównoważonej ale pierwszy raz od wieków (i, jak się okazało, na dalsze wieki), całkowicie i do absurdu wolnej: wolnej jako państwo, jako niezależność decyzji politycznej, jako autentyczna kultura, jako jedyna, niepowtarzalna, odgradzona od potężnych lecz oszalałych sąsiadów atmosfera duchowa — może to i był zaścianek, lecz jakże na tle tego co się miało stać krzepiąco swojski. Ta swojskość już nie wróci, już jej nigdzie nie ma, chyba, o paradoksie, na emigracji, gdzie ją zakrzepłą, skamieniałą jak muszlę czy owada zastygłego w bursztynie, hodują ludzie, którzy unieśli z sobą wizję przedwojennej a także ponadczasowej polskości w szeroki świat. Bo prawdziwi Polacy niczym się za granicą nie interesują, tylko Polską, Polską idealną, wyobrazeniową, poza czy ponad czasową: na otaczające ich, przyziemnie powszechnie narody patrzą jak na nieważne, nie realne fantomy — podobnie patrzyli rozproszeni od tysiącleci po świecie talmudyczni Żydzi. Zresztą wszystkie emigracje ze Wschodu widzą duchową a może i historyczną nieważność Zachodu: świadkiem koronnym Teodor Dostojewski, który zgrywając się namiętnie w Monte Carlo czy Baden-Baden, miał w sobie tylko Rosję, Zachód, poza co najwyższej ruletką, nic go nie obchodził, tylko Rosję woził ze sobą, bo w sobie, z hotelu do hotelu.

Wynikałoby z tego, że jedyna normalna Polska to jest ta, której nigdzie nie ma, unoszona po świecie w prywatnych kufrach pamięci czy wyobraźni (*„Kufier na plecach” — tak nazwał swój przedśmiertny zbiór wierszy pewien emigracyjny poeta*). Lecz cóż w takim razie trwało obecnie tutaj, nad Bugiem, Wisłą, Wartą i nowomodną Odrą? Po długoletnich doświadczeniach, Roman skłonny to był określić jako wielki dom wariatów, czyli tygiel doświadczalny, w którym wszystko kłębi się, poczwarzy tudzież przemienia w sposób niedocieczony i niepojęty dla człowieka normalnego, Europejczyka, jak to dawniej mówiono. A tu nagle Kazik B..., człowiek całkowicie niegdyś z jego duchowej sfery próbuje mu wytłumaczyć (niczym Bluzeczka), że wszystko to jest normalne, że tak właśnie a nie inaczej ma się tutaj dziać. I co ciekawe, jest to rykoszet, nieoczekiwane odbicie własnych Romanowych sugestii, które zastosował był niegdyś, podczas Polskiego Września wobec Kazika B..., tłumacząc mu, że napad Hitlera na Polskę, zdublowany przez niepojęte wówczas dla nikogo wkroczenie od Wschodu Bolszewików, jest rzeczą normalną, którą należało przeżyć. Tak, wojna stanowiła w dotychczasowych dziejach ludzkości jakąś tam choć apokaliptyczną normę, pokojowe jednak, coraz bardziej się gruntujące trwanie tego co trwało,

na pewno normą nie było — nie szło już tylko o Rosję, lecz i o Chiny, opanowane wszakże wielomilionowym, zbiorowym a klasycznym obłędem czy odgórną neurastenią. Zachód w swych obecnych rozmowach ze Wschodem wciąż mówił o pokoju, jakby nie rozumiejąc, że pokój oznacza *status quo*, czyli dalsze nieukończony trwanie obłędu na olbrzymich połaciach kuli ziemskiej. Ludzie Zachodu, bezpamiętnie w sobie zadufani, sądzili że Wschód jest oceanem a oni są bezpiecznym lądem, trwałym brzegiem, że słona woda nigdy temu ich brzegowi nie zagrozi. Tymczasem rzecz nie była wcale taka pewna, może się wszak zdarzyć, że przy jakimś przedłużającym się kataklizmie burzliwej pogody, fale morskie wedrą się w głąb lądu i już stamtąd nigdy nie wyjdą — Roman był nawet za tym, bo niby dlaczego całe to surrealistyczne dziwactwo zwać się ma tylko na niektóre kraje, dlaczego zwłaszcza ofiarą padać ma zawsze pechowa Polska? Tymczasem właśnie ten bywały po świecie Kazik B... twierdzi coś wręcz przeciwnego, że ani Wschód nie pobije Zachodu ani Zachód Wschodu, że te dwa światy będą się od siebie oddalać i oddalać, nigdy się nie spotkają, a tu na stałe zapanuje NOWA NORMALNOŚĆ, czyli, według elementarnych pojęć Romana i jemu podobnych, wariacka nienormalność. Jeśli więc miałyby się stać to, co prorokuje Kazik B..., to nie pozostałoby już nic innego, jak zrealizować poprzedni Romanowy zamiysł i w sposób udokumentowany, utrwalony w piśmie, wrzucić na całą rzecz ramionami. Dlaczegoż w takim razie długie filipiki tamtego, miast utwierdzić Romana w jego zamiśle pójścia drogą Poety spod Moskwy, raczej go z tej drogi zbijały, ba, kto wie nawet czy nie odwozili go od jego pierwotnych zamiarów całkowicie?

Rzecz pewno tkwiła w tym, że Kazik swymi wielogodzinnymi monologami, raz młodzieńczo namiętnymi, przypominającymi dawne czasy parotygodniowej pieszej wędrówki z kresowego frontu, kiedy indziej po profesorsku usystematyzowanymi i pedantycznie po wielokroć nawracającymi do tych samych sformułowań, że słowem Kazik z ogromnym nakładem przekonania i elokwencji wypowiadający to wszystko w ciągu wielu nadmorskich dni i nocy, w jakiś sposób zachwiał nietyle Romanowym pojęciem o normalności, co jego niezłomnym dotąd poglądem, iż dowód, opierający się na powszechnym przekonaniu nie jest żadnym dowodem. Najwyraźniej zresztą cała ta sprawa normalności czy nienormalności była dla Kazika B... przez wszystkie te lata niemniej ważna jak i dla Romana, łączył ich widać przez ćwierć wieku imaginacyjny, jednostronnie zresztą uświadamiany sobie dialog, który obecnie materializował się oto w opuszczonym przez gości, pozasezonnym miasteczku C... Ciekawe, że tutaj również zmaterializował

się przed rokiem dialog Romana z Bluzeczką, który też był nie tylko dialogiem pojęciowym, lecz zakorzenił się głęboko w życiu uczuciowym i wręcz biologicznym, który przy tym też tyczył się w istocie sprawy normalności czy nienormalności polskiego bytu, a więc stanowił również jakąś wizytę aktualnego, powszedniego świata, wizytę, złożoną żyjącemu gdzieś w historii czyli w abstrakcji Romanowi. Byliby więc wszyscy troje, nie wiedząc zresztą o tym na przestrzeni lat, złączeni niewidzialną nitką, rozpiętą ponad czasem, pokoleniami, wypadkami? Ale w takim razie nic ta łączyła się jakoś, poprzez Romana, ze zmarłym po Powstaniu Romanowym ojcem (znał go zresztą i Kazik), starym pepeesiakiem o zabarwieniu piłsudcykowskim, który miał ogromnie silne poczucie nienormalności komunizmu — on to w dużym stopniu zaszczerpił je synowi, w zdumiewająco trafny sposób przepowiadając wszystko co się będzie działo, gdy komuniści zaczną rządzić, od drobnych szczegółów powszedniego życia po ogromne, sztandarowe szaleństwa i mistyfikacje, precyzując bezbłędnie poszczególne etapy ideowo-organizacyjne a także samą zasadę etapowości, zasadę, co zadziwiająco i zaskakująco tasując hasła oraz ludzi, służy jednak niezłomnie pewnej przewodniej linii, tyle, że zupełnie innej, niż to przypuszczają nawet ci, co ją realizują. Owa absolutna pewność i sprawdzalność ojcowskich przepowiedni utwierdzała Romana w przekonaniu o obłądności czyli zatem nienormalności całej sprawy, bo tylko w wypadku określonego, klinicznego schorzenia można tak dokładnie przewidzieć z góry wszystkie jego fazy. Byłaby to więc nienormalność chorobliwa, czyli, przyrodniczo rzecz biorąc, normalna, a znowu Kazik to długowieczny królik doświadczalny, poddany działaniu jej zarazków, z tym, że gwoli własnej nauce i przestrodze należy go wysłuchać do samego końca, nie ma powodu, aby mu tego odmawiać, zwłaszcza że i sam Roman w niektórych etapach epidemii połknął bakcyła (*od tego właśnie są owe okresy złagodzenia, usypiające czujność delikwentów*), na szczęście połknął go w niewielkich tylko dozach, więc miast zarażenia jedynie się uodpornił, tak przynajmniej mu się zdawało, gdy rażno wobec znajomków demaskował (*wyrażenie klasowo modne, on używał go dla swoich celów*) wszelkie podawane do wierzenia i przeznaczone do głośnego, chóralnego powtarzania nonsensy, absurdy, abrakadabry. Ale z Kazikiem B... sprawa okazała się trudniejsza, bo był on w jakimś sensie odbiciem Romana, jego sobowtórem czy choćby negatywem. Tymbardziej więc wysłuchać należało jego wywodów, od lat pieczołowicie obmyślanych, przygotowywanych, i to w istocie dla jednego tylko słuchacza — dla Romana.

— Więc mój Romanie — ciągnął dalej Kazik B... (*to znaczy*

ciągnął w owym zanotowanym przez Romana, lub raczej zmontowanym później z dorywczych, codziennych notatek i z pamięci dialogu; dialog składał się z krągłych definicji, opracowanych może z myślą o pisanej czy projektowanej książce, przetworzonych, stanowiących trudną do rozgraniczenia syntezę myśli Kazika i myśli Romana, był to właśnie po trochu i ów dialog z samym sobą, obaj toczyli w istocie, choć obok siebie, tak swój opisany już dyskusyjny monolog, człowiek bowiem nie może unikać wewnętrznej sprzeczności, która utaja się w jego domysłach, chętkach, podejrzeniach) — a więc mój Romanie, skoro Zachód nas porzucił czy też, od dwustu już lat, przestał się nami interesować, skoro już się z nim nie spotkamy i żyć będziemy na Wschodzie, skoro innej drogi wyjścia z tej sytuacji geograficzno-politycznej nie ma, to chcąc ten naród ocalić — fizycznie i duchowo — trzeba dać mu to, czego Zachód nie posiada, czego posiadać nie będzie i czego się boi: komunizm. A komunizm to jest wiesz co? To jest jedność, zaś jedność osiągnąć można tylko przez wspólne myślenie, przez jednolite myślenie, przez jeden powszechny pogląd — na tym właśnie polegać będzie nasza demokracja, nasz nowy model życia. Każda droga prowadząca do tego celu jest dobra, trzeba ocalić naród przez uwiedzenie go, a uwieść go można, dając mu jedną, powszechną prawdę, łatwą do przyswojenia, wspólną, narodową.

— Wiem z góry Roman, co na to powiesz: że to nie jest żadna prawda, tylko kłamstwo. Ale nie takie to proste — tu by ci się przydała cybernetyka, teoria informacji, teoria strukturalizmu języka. Prawda zależy często wyłącznie od układu zdań, od konwencji słownej, od językowego przyzwyczajenia. A poza tym, jeśli nawet masz rację, jeśli zjednoczyć i ocalić naród można tylko przez kłamstwo — to trzeba kłamać! Może Sanacja tak nie robiła? Tyle, że kłamała głupio, kłamać też trzeba umieć. Jeśli wszyscy w coś uwierzą, to już nie kłamią, działając z rzeczywistego przekonania są po swojemu uczciwi, wypowiadają PRAWDĘ SUBIEKTYWNA. A ja ci powiem, że innej prawdy niż subiektywna nie ma: człowiek to nic innego, jak zaprogramowany mózg elektronowy, tyle że bardziej skomplikowany — ja ci to mówię, znam się na tych sprawach!

— Odrzuca cię Roman, co? Myślisz sobie o mnie mnóstwo złych rzeczy? Więc spojrzysz na całą kwestię z innego punktu widzenia, jako patriota, który nie chce, żeby jego naród był frajerem i pośmiewiskiem innych narodów. Widziałeś okupację, żeby się Niemcy wzięli nie za Żydów ale za nas, to by już narodu nie było: wystarczyło zagazować całą inteligencję z wyższym wykształceniem, mieliśmy jej trzy razy mniej niż Żydów,

i już po narodzie. Ruscy to pokazali w Katyniu i przedtem we Lwowie. A po wojnie też mogli Polaków rozwieźć na cztery wiatry, na Sybir, Kamczatkę, czort wie gdzie. Cud i łaska Boska, że Stalin na to nie wpadł: bał się jeszcze Zachodu, nie wiedział, że oni dawno nas zdradzili, porzucili i mają w dupie.

— I tu przechodzę do sprawy Rusków, bardzo ważnej. Słuchaj mnie uważnie, muszę zacząć od pieca, muszę powiedzieć trochę rzeczy znanych, choć zapomnianych. Weźmy człowieka pierwotnego: szukał pożywienia, jadł, pił, zakładał rodzinę, budował dla niej schronienie — wszystko indywidualnie. Z czasem wspólne problemy i interesy jeły wiązać grupy ludzi w pewne całości, powstawały urządzenia dla zbiorowego załatwiania spraw, organizowania życia, dla regulowania międzyludzkich stosunków, które to stosunki ogromnie się komplikują, rozwarstwiają klasowo i rozmaicie, alienują, wobec czego i ów aparat regulujący problemy rośnie a rośnie, potężnieje, petryfikuje się, staje się celem samym dla siebie. Ten aparat może się też stać źródłem nieporównywalnej z niczym siły, wszechogarniającej życie a centralnie kierowaną żelazną mafią, z jednym warunkiem: że w społeczeństwie nie będzie żadnych sił czy ruchów, które by się mu mogły przeciwstawić, że społeczeństwo będzie uległe i posłuszne, bo bezsilne. Otóż tę prawdę pierwsi w naszej epoce zrozumieli Ruscy, a zrozumieć ją mogli tym łatwiej, że u nich nigdy nie było żadnego życia społecznego, tylko ciemna masa na dole i samodzielnawie na górze, samodzielnawie, rządzące krajem przez armię ślepo posłusznych czynowników. Ruscy pod względem rozwoju państwa, państwowej maszyny, wyprzedzili świat: gdzie indziej był jeszcze feudalizm, rozdrobnienie, indywidualne ambicje, u nich już rządziła centrala, zarządzili urzędnicy. Już Piotr Wielki wykończył bojarów, a potem arystokrata znaczył coś tylko o tyle, o ile sprawował urząd. Urząd był wszystkim i tak samo jest i dziś, tyle, że dziś jest to urząd partyjny — ale nie chodzi o nazwę. Rewolucja w gruncie rzeczy pogłębiła tylko cały proces, wymieniając po prostu zmurszałe filary urzędnicze dawnego typu na nowych, spragnionych władzy funkcjonariuszy z plebsu, jednocześnie zaś niwelując wszelkie budzące się do życia zaczątki normalnych jak ty mówisz ruchów społecznych: mieszczaństwo, chłopów, inteligentów. W gruncie rzeczy Stalin stworzył idealny carat, a miał po temu nieograniczone środki terroru; w dodatku wniósł całej światowej lewicy, że to właśnie jest socjalizm. No i znów ten sam obraz: na dole ciemna masa, na górze czerwony car, a pośredniczy między nimi armia czynowników — tyle że też czerwonych. Widzisz: tak jak Amerykanie wyprzedzili świat w budowie komputerów i organizacji codziennego życia, tak Rosjanie

przeгонili wszystkich w budowie państwa, stworzyli potęgę nie do pobicia, bo tam prędzej ostatni człowiek pójdzie na śmierć niż wyrzeknie się swego czerwonego cara, Hitler ich w tym umocnił. Oni zrozumieli od wieków, jaką siłą jest aparat, żyjący tylko sam dla siebie, absolutnie nie skrępowany i oto genialnie zbudowali z niczego taką siłę, nieprawdopodobną siłę jednomyślności. Rusy są natchnione, tak jak natchniony w pewnym sensie był Hitler, chociaż okazał się głupcem, może właśnie dlatego: głupiec, obłąkany, znaczy właśnie „jurodiwyj”, Rusczy są obłąkani, ale są natchnieniem, narzędziem historii i nikt im się w tej części świata nie oprze; choć zaczęli z niczego, z nędzy i bałaganu, ale mają Partię, a Partia to właśnie ta sieć pająka, obejmująca sobą całe społeczeństwo, które niczego innego nie chce i nie będzie chciało. Tego nigdy nie pojmie Zachód, zwłaszcza Amerykanie — ci to w ogóle nic nie kapują, choć mają dywizję profesorów studiujących „sowietologię”, tyle, że studiujących wcale nie od tej strony, co trzeba. Komputer to rzecz wspańska, ale komputer może być wykiwany — jeszcze jak wykiwany! I będzie.

— Cóż więc mamy robić my, Polacy, patrioci? Ano — naśladować Rosjan, podpatrzeć ich wynalazek, wyzyskać go i przeciwstawić im, zademonstrować, naszą własną partię, kontrpartię: że my też nie zostaliśmy w tyle, że my potrafimy zbudować nasz własny komunizm, ba, lepiej funkcjonujący niż ichni, bo tam, zwłaszcza na wsi, ciągle jeszcze spotkasz nędzę i bałagan. Lepiej nam to idzie, choć nie mamy ich bogactw naturalnych, ogromnych rzek, źródeł energii. Lepiej nam to idzie, bo naród tu zdolniejszy, ale broń Boże tym się chwalić, broń Boże drażnić Rusów. Oni mają wielką siłę, ale nie zawsze są mądrzy, nie znają świata, robią głupstwa, my moglibyśmy ich prowadzić, aby tylko nigdy, za żadną cenę, nie okazać im wprost wyższości. Oni są małostkowi i nie lubią szczerości, chcą żeby mówić ich językiem, woła jak im ktoś nieszczerze potakuje, niż jak szczerze przeczy: to są dziwni ludzie, na żadnej tam szlachetnej otwartości się nie znają, za to jak ktoś umie mówić ich partyjnym językiem, to są pewni, że prędzej czy później będzie myślał tak jak oni — oni też wierzą w zaprogramowany mózg. Zrozumiał ich generał Berling, dlatego z nimi wygrał, a Anders przegrał. Pomyśl: zarówno Anders jak i Berling to dla nich było jedno i to samo, burżuazyjne śmiecie, a jak odmiennie ich obu potraktowali. Dlaczego? Bo Anders chciał mówić swoim językiem, za to Berling pojął, że myśleć można swoje, ale mówić tak, jak oni chcą: oni socjalizm, on socjalizm, oni internacjonalizm, on internacjonalizm, oni demokracja i rządy ludu, on demokracja i rządy ludu. I tak ich bracie, podszedł — inteligentny człowiek jak na przedwojennego oficera. My

też tak musimy — nie o słowa tu chodzi, lecz o ważniejsze rzeczy: o naród, o istnienie i wielkość narodu, dla tego celu warto powiedzieć wszystko i jeszcze dużo więcej, bo słowa są nieważne, to tylko konwencja, forma. Ale przez słowa ocalimy naród, bo damy mu jednomyślność, damy mu więc komunizm, a w tej części świata nie ma miejsca na inny naród, jak na komunistyczny.

— Wiem, Romanie, co ty teraz myślisz, wiem, bo ja sam tak myślałem: że to degeneracja, wschodnie załganie, zakłamaný, wymuszony wallenrodyzm. Wiem to wszystko, bo myśmy przecież z jednego świata, ze świata inteligenckiego. Ale pozwól sobie powiedzieć jedno i właśnie ważne jest, że ja ci to powiem: inteligencki patriotyzm i inteligencki ideał polskiego życia już się skończył i nic na to nie poradzimy ani ja ani ty. Miliony młodych Polaków dzięki komunizmowi awansowało i weszło na scenę życia w nowym charakterze, oni mają określone miejsce na świecie, miejsce w tym ustroju ustalone i nic ich nie obchodzi twoje pretensje, twoje wspomnienia, twoje zmartwienia, że na przykład nie możesz pisać tak jakbyś chciał. Ich to naprawdę nic nie obchodzi, Roman, oni cię w ogóle nie rozumieją. A przecież to są nasi bracia i siostry, młodszy bracia i młodsze siostry, my za nich odpowiadamy, nie wolno nam kłaść kija w szprychy wozu, na którym wszyscy jedziemy, dla jakiejś tam naszej drobnej, dawnej ambicji. Dawnej Romanie, bo inteligencja naszego typu, która była kiedyś Polską, a potem przefujarzyła Polskę, ta inteligencja zginęła, zginęła bezpowrotnie. Nie może istnieć w świecie, który ma trzy miliardy mieszkańców, a za parę lat będzie miał sześć. Toż inne czasy, inne problemy, tamte stosunki nigdy już nie wrócą. Ruscý mogą być często głupi, ale są natchnieni, bo oni pierwsi zrozumieli, że przeszłość nie wraca — rewolucja nauczyła ich tego raz na zawsze i w tym ich siła. Spójrz także na sprawę i z naszego punktu widzenia. W Południowej Ameryce na przykład żyją setki milionów ludzi. Czy myślisz, że ich coś obchodzi Polska, że w ogóle wiedzą co to jest, gdzie to jest? Nie bądźmy megalomanami, bo to dowód małoduszności. Ich Polska może obchodzić tylko i wyłącznie jako kraj komunistyczny, raczej nawet nie jako kraj, bo tam, na Zachodzie pojęcie ojczyzny i patriotyzmu już się w ogóle zaciera: ich Polska obchodzić może tylko jako składnik, jako częśćka bloku komunistycznego, jako republika radziecka, albo jedna z republik sowieckich, jak to mówiliśmy wtedy, w 39 roku, kiedyś mnie duchowo ocalił.

— Tak, Romanie, innej Polski nie ma i nie będzie. To właśnie jest dla naszego pokolenia, dla naszej warstwy, cały trud duchowy żeby to zrozumieć — mnie też nie było łatwo do tego dojść, choć Ty pewno myślisz inaczej. Ale rozejrzyj się wokół,

przejdź po Polsce, a zobaczysz, że nie jest tak źle — nam to lepiej wychodzi niż Ruskom, bośmy, mimo całego naszego zaco-fania, zaczęli na innej spirali cywilizacyjnej, no i z innym narodem. Przejdź się po kraju, zobacz, jak wieś wygląda, to są ludzie, to są Polacy, a za naszych czasów taplali się w gnoju. W Anglii pracuje w rolnictwie cztery procent wszystkich ludzi, w Niem-czech dziesięć, we Francji siedemnaście a u nas jeszcze pięćdzie-siąt. Ale to się zmienia, zmienia się z dnia na dzień, popatrz wkoło siebie, popatrz choćby tutaj, na Wybrzeżu: stocznie, porty, flota, naród morski, naród demokratyczny — gdzieś Ty to daw-niej w Polsce widział? Piotr Wielki zbudował kiedyś Petersburg terrorem, tu też, w śmiesznym za Sanacji, żałosnym chłopskim kraju nie ma innego wyjścia — i tak mieliśmy tutaj naprawdę łagodną rewolucję. Że wszystko idzie kulawo, biurokratycznie, nieudolnie? Tak Romanie, ja to wiem najlepiej, Zachodu nie do-gonimy, on nam uciekł, za to my tu zbudujemy coś innego, coś nowego. I organizacyjnie poprawić też dużo można, tylko trzeba pracować i chcieć pracować. Patrz jak pracują Szkopy w NRD, a tam przecież to jest dopiero terror, ten ich Ulbricht z bródką trzyma ludzi za mordę, nie daje wyjeżdżać, otoczył murem, nie pozwala słuchać zagranicznego radia, ani zipnąć czy mrugnąć okiem nie pozwala. A jednak oni pracują i to jak pracują, jakie mają rezultaty, jaki dobrobyt, jakie znaczenie polityczne! To znaczenie będzie rosło, bo te Szkopy z natury zdyscyplinowane i jeszcze przez Hitlera zaprawione do niewolnictwa rozumiały jedno: że trzeba działać przez partię i trzeba działać jednomyślnie, że takie są tutaj czasy i innych nie będzie. U nas też to ludzie rozumieją, zaczynają rozumieć na własną rękę, choć gazet nie czytają, zresztą w gazetach często piszą analfabeci albo błazny, co to mają w pysku nadgorliwość a w duszy niewiarę, taką za przeproszeniem jak i Ty, chociaż to ukrywają. Ale naprawdę to tutaj jest postęp ogromny, postęp we wszystkich dziedzinach, gdy się jeszcze uwzględni, że tak niedawno byliśmy dziadem i pośmiewiskiem narodów, że Hitler zniszczył tu co mógł a Ruscy pomarnowali resztę, żeśmy zaczęli wprost od zera. I te miliony nowych ludzi, ci nasi młodszy bracia i siostry, powtarzam Ci, Roman, oni to wiedzą, oni to czują, oni już tego nie oddadzą, nawet na przekór Ruskim; Stalin myślał, że nam związał ręce wykorzeniając ze Wschodu, przesuwając na Zachód, dając te roz-grabione Ziemie Odzyskane, tymczasem myśmy tu zrobili masę, myśmy rozkwitli nad podziw, nawet nad podziw Ruskich. Że głupio, nierównomiernie, że doktrynersko, że biurokracja? Praw-da, ale dużo się da poprawić, trzeba poprawiać, trzeba ulepszać, trzeba zmieniać strukturę, lecz pamiętaj, tylko i jedynie przez

Partię, przez wspólne działanie, przez jedność, inaczej tu nic się zrobić nie da i nie wolno, jeśli jesteś Polakiem i patriotą: Polski gdzie indziej nie przeniesiesz, patriotyzm zaś to ciekawe, został tylko na Wschodzie — na Zachodzie wszystko będzie zniwelowane przez gospodarczą ekspansję amerykańizmu, a tu polskość może być, może istnieć i przetwarzać się, nawet mimo Ruskich, bez Ruskich, bo oni są izolacjoniści i w gruncie rzeczy boją się naszych wpływów. Wiele można zrobić, tylko ostrożnie, solidarnie i poprzez Partię — taki jest warunek, taka zasada i na tej drodze też można światu zaimponować. No a dla jedności trzeba ponieść ofiary, rezygnując choćby z naszych marzeń i mitów, z inteligenckiego języka prasy: wiem jak cię drażnią nasze gazety, demonstrowałeś to jak mogłeś, ale i tu nie masz racji, jesteś pyszny, egocentryk, tradycjonalista — taka prasa to jest konwencja, to barwa ochronna i hasło wywoławcze, bez tego nie moglibyśmy nic robić, mówiłem Ci jaką wagę przywiązują Ruscy do języka, do właściwego zaprogramowania mózgu. Oni zresztą są naiwni, nie martw się, tu prasy, mówię ci, nikt tak dalece nie czyta, polskość w duszy pozostanie, tylko ofiary ponieść trzeba, innej drogi nie ma. To wszystko jest złożone, trudne, dwuznaczne: lubimy dziś wspominać wojnę z Hitlerem, bo nie była dwuznaczna ani kłopotliwa, wiadomo było gdzie anioł, gdzie diabeł, gdzie czarne, gdzie białe. Tymczasem tutaj wszystko jest na wywrót, dla Polski trzeba iść przeciw sobie i w dodatku nie zawsze wiadomo jak, trzeba się ubłocić, ręce ubabrać do łokcia, a potem może się okazać, że nie tak, że wszystko akurat było na daremno, że trzeba jeszcze raz. Ale to właśnie powinno pobudzać naszą ambicję: nie sztuka działać, gdy jest łatwo, sztuka, kiedy trudno, nie sztuka postępować w zgodzie z sobą, sztuka rewidować siebie, nawet, jak trzeba, zaprzeczyć sobie, sobie dawnemu, bo człowiek się zmienia, musi się zmieniać, póki nie jest martwy. I na tym polega historia, ona zawsze się dzieje przez zaprzeczenie jakiegoś świata, przez zmianę pojęć i kryteriów prawdy, przez łamanie ludzi i przeciwstawianie się ich prawdom indywidualnym. Później za to wszystko znika w jednym, szerokim nurcie, jeśli się z nim utożsamimy, w nim rozplyniemy, przez niego zwielokrotnimy i przedłużymy swoje życie. Ten nurt to dla nas Polska, Polska poza czasowa, raz szlachecka, raz mieszczańska, raz ludowa, raz głupia, raz mądra, raz bardziej wolna, raz mniej, ale zawsze, mimo wszelkich przemian, nawet terytorialnych, ta sama. Kiedy utożsamisz się z jej historycznym nurtem, to ten nurt zmyje z ciebie wszystkie błędy, sprzeczności, samozaprzeczenia, kłamstwa nawet: jednostka jest nieważna, nie wyolbrzymiajmy jej, tylko jej praca dla ogółu się liczy. Patrz,

powtarzam, na Niemców Wschodnich: Hitler sprowadził ich na dno klęski, Ulbricht na dno upokorzenia, tymczasem oni pozostali Niemcami, zacięli się, pracują — i to jak. Oni rozumieją, że dziwnie i trudno się tworzy historię, że historia łamie, gwałci, poniża, fałszuje, odwraca, przewartościowuje, a jednak, może zaś właśnie dlatego, płynie naprzód, płynie skutecznie, płynie niepowstrzymanie. Oni rozumieją, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, że tylko przyszłość się liczy, że nie ma co gdybać i oglądać się za siebie. Oni rozumieją, że TO WSZYSTKO JEST NORMALNE.

Ostatniej nocy przed wyjazdem Romana, gdy siedzieli nad koniakiem w Domu Pracy Twórczej i Kazik B... ciągnął uparcie swój coraz bardziej namiętny monolog, morze za oknami, za autostradą i wielkim hotelem jeło szumieć, pluskać, przelewać się a potem zgoła huczeć, w sposób na pewno niezwykajny: nadchodził sztorm, nocny sztorm, który zmieni całkiem jutrzejszą pogodę, co zresztą Romana nie będzie dotyczyć — wyjeżdżał wczesnym rannym pociągiem, był więc już jakby nieobecny. I w rozmowie był jakby nieobecny: znużył go ten zadziwiający Kazik B..., powtarzający teraz w kółko to samo, jakby chciał przekonać nie Romana lecz samego siebie. Roman łapał się na tym, że szukał luk, przerw, oddechów w przemowie tamtego, aby ułoić wówczas trochę morskiego szumu, że w ogóle myślał i czuł na kilku planach jednocześnie. Więc i ten drugi, grudniowy pobyt w C... miał już, jak mówiono, „z głowy”, wtedy dzięki Bluzeczce, teraz dzięki Kazikowi, z którym zresztą nic duchowego czy w ogóle konkretnego nie przeżywał, a tylko zewnątrznie z nim dyskutował, może nawet i tego nie, bo właściwie jedynie słuchał (jakże niespodziewanie owocne miało się z czasem okazać to słuchanie!), rejestrując w myśli fakt, że tamten jakby się uniewinniał, choć wszakże nikt go nie atakował i nie widzieli się lat dwadzieścia, więc niby skąd (*bo przecież nie ze spaczonego przez cenzurę, enigmatycznego pisania*) mógł wiedzieć, co Roman o nim myśli. Niewątpliwie, choć nie rewelacyjne, było to jednak ciekawe, ale dzisiejszej, ostatniej nocy, gdy Kazik po wielu koniakach (rozpił się bestia czy co?) mówił już wyłącznie jakby do siebie, może raczej dla siebie, znużony Roman uczył sprzeciw. Lata minęły, a Kazik był dalej słaby nerwowo, nie może znieść obrazu nieuporządkowanego świata, więc przystaje nawet na porządek absurdalny. Chce wyjaśnić czary za pomocą logiki i mieć spokój. Czy nie za łatwo braciszku, czy nie za prosto? I ta obsesja, że niby, skoro naród wychowywano w jedności myśli, to myśleć inaczej oznacza nie być patriotą. Czy to prostactwo czy oczarowanie? Na pewno oczarowanie — miał przed sobą klasyczną ofiarę sza-

manów, ich magii i zaklęć. A na czary są i przeciw czary, aby tylko nie usiłowały przybrać formy logicznej, aby były też irracjonalne, najlepiej, jak to w Polsce, poetyckie. I oto nagle z magazynu zmaltretowanej pamięci wyskoczyło hasło, dawna, młodzieńczo przekorna strofa pewnego poety, który przed wojną był, o dziwo, polskim faszystą, wojnę spędził w niemieckiej niewoli, po wojnie usiłował być polskim komunistą, a teraz w ogóle już nie żył. Co za lichy podyktowało mu kiedyś taki wierszyk:

*„Bo wszakże mam już niepodległość,
I własne wojsko, własny skarb,
Ale ta cała niepodległość
Cięży na plecach mi jak garb”.*

— No, teraz mu już lekko, nie ma już garbu — kpinkowali sobie podczas okupacji, słysząc, że ów poeta tkwi w obozie jeńców. A dzisiaj zostały po nim ułamki myśli, żarty, czterowiersze. I teraz oto noc, koniak, huczące morze za oknami, zadziwiający Kazik B... zwracający się niby do Romana, lecz mówiący do siebie i wtem nagle ów czterowieś z garbem obija się po pokoju, jak letnia ćma o żarówkę nocnej lampki. Cięży jak garb, własne państwo, jak garb... Trzeba o tym pomyśleć, ale nie dzisiaj, gdy zdumiewający rektor Kazik B... trzeszczy i trzeszczy namolnie wśród alkoholowej mgły. Pomyśli się o tym jutro, pojutrze, za tydzień, aby w Warszawie, aby nie w tym narkotycznym, listopadowo-grudniowym C...

XVII

I znów, wśród osobliwie bezludnego po swojemu majestatycznego pejzażu wędruje samotny człowiek, właśnie Roman Zaleski, zamyślony, z twarzą o wyrazie nieokreślonym, pusty wewnątrz, wyczekujący na coś, błędzący bez uchwytneho celu, choć jakby w poszukiwaniu rzeczy ważnych. Pejzaż wokół jest miejski lecz pozbawiony życia ulicznego, trwający w milczeniu jak zaułki z obrazów Utrilla, bo po pierwsze nie ma tu raczej jeszcze ulic, po drugie zaś dzień jest uroczysty, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, kiedy to ludzie „czerepy rubaszne” uczują w domu, względnie odsypiają wigilijne pijaństwo, zaś ludzie nabożni udają się do kościoła. Roman nie robi ani tego ani tego, lecz nawet w święto tak uroczyste oddaje się samotności, samotnym space-

rom, ba, biegom nawet — bieg wśród pustych ulic czy płatów niezabrukowanej jeszcze ziemi to rzecz niezwykle odświeżająca, przy tym nader indywidualna, nikt inny tego nie robi. Romana Zaleskiego stać jeszcze na luksus nie dla wszystkich w tym mieście i w tym kraju dostępny: na samotność czy to w Święta czy w godzinach pracy, na własny rozkład dnia, ba, na lepsze zarobki nawet, tak to bowiem chytrze zostało urządzone, żeby literat żył w innych warunkach niż całe społeczeństwo, dzięki czemu, jak sądzono, obraz który ów samotnik w swych dziełach przedstawi, mieć będzie cechy idyllicznej utopii, przyjemnej abstrakcji. Rachuby te zresztą z czasem zawiodły, co nie znaczy, aby pisarze jęli się niewdzięcznego trudu odtwarzania prawdziwego oblicza rzeczywistości; byłby to wszakże wysiłek nazbyt wielki, nie do zrealizowania zwłaszcza dla ludzi przez całe lata wodzonych za nos i dezorientowanych. A poza tym sprawa sama w sobie nie przedstawia się zbyt prosto: obraz, wbrew szerzonej propagandzie, ogromnie jest pod względem moralnym i w ogóle psychicznym skomplikowany — tu miał swoją, choć odwróconą, rację nieoceniony Kazik B...

Wokół więc drobnej w tej perspektywie i mało dostrzegalnej, wędrującej jak mrówka po piasku figurki Romana, wyrastają z różnych stron szklane, dziesięciopiętrowe wysokościowce, na horyzoncie wysmuklają się jeszcze wyższe, mieszkalne wieże, między nimi, w dole, skisła, przemarzła, nie zabrukowana na razie ziemia, a wyżej niebo, mnóstwo nieba, sklepionego monumentalnie, szeroko, poprzerzywanego tylko tu i tam geometrycznymi sylwetkami budowlanych, znieruchomiałych teraz dźwigów czyli żórawi. Domy wyglądają puste, szklane pawilony bez życia, świąteczny Utrillo, czy może raczej sparodiowany jakby, mechanicznie bezlitosny świat Orwella. Nie ma tu kościoła, bardzo doń stąd daleko, trwa smutek pejzażu socjalistycznego, ale czystego, abstrakcyjnego, bez Rosjan i ich soboru jak na Placu Defilad. Jest to w tej części Europy gatunek smutku uniwersalny: podobne nowoczesne dzielnice znaleźć można w Bukareszcie, Sofii, Pradze, również w Moskwie są „Nowe Czeremuszki”, zastępujące swymi oszklonymi, nieskończonymi, bezimiennie anonimowymi pustaciami, niezgrabne a gęste, lecz bardziej już osobowo pompatyczne stalinowskie murarstwo. I tam i tu zamieszkują przeważnie ludzie rodem ze wsi, co widać na zewnątrz choćby po owych, samorzutnie wśród gołych przestrzeni między domami powstających, błotnistych ścieżkach i deptakach, niczym właśnie na wsi czy w małym miasteczku. Tutaj to, na taki nieoficjalny deptak wybiegają po szkole pyzate, kolorowo ubrane dzieci, żywcem wzięte z bajek braci Grimm czy obrazów Makowskiego, tutaj spędzają

rozkryczane wiosenne popołudnia, podczas gdy rodzice, wróciwszy z pracy, wolą oddawać się rozkoszom telewizji, śledząc perypetie fikcyjnych bohaterów fikcyjnej, infantylnie przetworzonej wojny i okupacji, na przykład owego przedziwnie skłamanego komunistycznego pogromcy Niemców ukrywającego się w świetnie skrojonym niemieckim mundurze, czyli arcypopularnego kapitana Klossa (*western z hitlerowcami zamiast Indian, zaprzężony do czerwonej propagandy — wcale niezły pomysł*), lub też przygody polsko-ruskich, idyllicznych towarzyszy broni czyli Czterech Pancernych tudzież Psa. Zaś na dworze, mimo tych wesołych, dobrze i kolorowo ubranych dzieci jest pusto i smutno; dlaczego w socjalizmie pejzaże miejskie są tak smutne? A może to nie one winne, może to smutek postarzałych oczu Romana Zaleskiego odbija się matowo w dookolnym krajobrazie, bez względu na to, czy trwa, jak dzisiaj, późny grudzień, czy rozświegotana dziećmi i ptakami wczesna wiosna, czy upalna pełnia lata?

Ta dzielnica na południu lewobrzeżnej Warszawy jest całkowicie nowa, nie wiadomo w ogóle czy ma już dziesięć lat życia, Roman zwykł tu chodzić od niedawna, właściwie od czasu rozstania się z Bluzeczką. Jest to dzielnica przemysłowa: tam, na zewnątrz, na skraju równiny, przysiadły szklanozielone, niskie podłużne hale fabryczne i wielkie, ślepe cielska magazynów, a tutaj, na wzgórzach, rośnie we wszystkie strony oraz wwyż do nieba majestatyczny wygwizdów dzielnicy mieszkalnej, w nim zaś zbiór przeróżnych budowli, niczym w architektonicznej arce Noego: mimo krótkiego czasu już napiętrzyło się tu przełomów, stylów, kontrastów, sąsiadują ze sobą i białe w czarne pasy sześciiany domów robotniczych i smukłe, inną jaskrawą białością lśniące, wysokie wieżowce, i ciężkie jedenastopiętrowce z prefabrykatów, płyt, pustaków, a także długie, pełznące po ziemi graniastosłupy z majolikowej kostki. Zaś o niecały kilometr stąd inna znowu panuje epoka: horyzont zatłaczają tam bloki-giganty z kolorowymi prostokątami balkonów, obok zaś, niespodzianie, jakieś płaskie ponure ściany zgoła bez balkonów, z kolei znów szklana jednopiętrowa szkoła, otoczona galeriami i szklane, również jednopiętrowe pawilony handlowe. Wokół wykopy, szyny, zsypana ziemia, dźwigi, buldożery, a na następnym horyzoncie wieś, wioska i bezkresna jesienna aleja topolowa, pejzaż polski, arcypolski, kolory jak pocztówkowe pastele Aksentowicza czy Chełmońskiego: ależ to wszystko osobliwe, znane i obce zarazem, bliskie i dalekie.

Jakie właściwie znaczenie ma tło, owe pejzaże ojczyste (*komunizm zresztą skutecznie obrzydził to nadużywane słowo!*) noszone ze sobą a raczej wewnątrz siebie w ciągu całego życia? Wszystkie przygody psychiczne Romana, dziś skondensowane, zwielokrotnio-

ne, ponakładane na siebie, rozgrywały się na owym plenerowym, polskim tle — do rangi polskiego tła awansowały przecież także szkopskie, zabawnie bo po mieszczańsku i po dziecinnemu dekoracyjne pałacyki w nadmorskim, plażowym C... Ale i okolice Warszawy miały swoją wypoczynkową niegdyś secesję: było to miasteczko czy może uzdrowisko K..., pobudowane w początku stulecia przez bogatych restauratorów, piwowarów, kupców — trafiali się i tacy w rosyjskim zaborze. Panowała tutaj specyficzna secesja polskich dworców z kolumienkami, werandami, dokąd prowadzą magnackie niby, przyozdobione gipsaturami, nieraz i marmurowe schody, istny to w ogóle raj pałacików z malowanymi tympanonami, z altankami w ogrodach, neoklasyczna orgia budowlanego zbytku, przygaszona przez swą mało remontowaną starość, ale ratowana ogrodami, w których bujnym wielokolorowym tłumem roiły się i wyciągały do słońca kwiaty, kwiaty, kwiaty... Była to dziś miejscowość ogrodników, pieczołowicie hodujących swe cuda dla niedalekiej Warszawy i robiących pieniądze na przekór socjalizmowi, o co zresztą w regularnych niemal odstępach czasu wybuchał głośny skandal i awantura, prasa krzyczała wielkim głosem, apelując o ukrócenie dorobkiewiczów i spekulantów (*człowiek samodzielnie zamożny to, jak wiadomo, w socjalizmie dotkliwa hańba*), wydawano rewolucyjnie drakońskie zarządzenia represyjne i podatkowe, po czym rzecz ucichała a hodowcy róż i tulipanów, znalazłszy nową lukę w przepisach i przepłaciwszy kogo trzeba, wracali do swojej pracy i ciułania tajemnej fortuny, przy czym, rzecz charakterystyczna nikt, absolutnie nikt się temu wszystkiemu nie dziwił ani w ogóle żadnej dziwności nie dostrzegał: absurd nie dostrzegany przestaje być absurdem, w obecnym polskim życiu nikt wszakże nie widział nic nienormalnego, bo rzeczy nienormalne zauważa się i robi tylko na górze, gdzie widzów jest niewielu, normalny ogół o tym nie wie a także usiłuje nie wiedzieć, pieczołowicie na przykład chroniąc się przed czytaniem gazet i skwapliwie wyłączając telewizor lub radioaparat, gdy zaczynają się tam wielogodzinne nieraz perswazje, mające na celu udowodnienie, że białe jest czarne, a dwa razy dwa jest pięć. Ludzie unikali tych rzeczy nie z miłości do prawdy lecz dla świętego spokoju, zresztą całej wiedzy o sobie i swym życiu nie przyjęliby również: kto nigdy nie jadł mięsa, ten go nie pragnie, nawet bronić się przed nim będzie jak przed trucizną. W dodatku prawda o komunizmie jest nader, jak się rzekło, skomplikowana, podczas gdy kapitalizm skrytykować łatwo, ma on wszakże swoje uderzające, zewnętrzne wskaźniki, swoje kryzysy, strajki, demonstracje, walki polityczne. Natomiast o komunizmie trzeba by pisać długą, zawiłą księgę, która dla

świata zachodniego stałaby się w najlepszym wypadku egzotyczną rozrywką, jak romanse cygańskie i stare walce z filmu „Doktor Żiwago”, a do świadomości Wschodu prawdopodobnie w ogóle by nie dotarła. Każda dobra rzecz w tym ustroju zrównoważona jest złą, każda dobra chęć przełamuje się w nieuniknionej, zdawałoby się tandecie realizacji, tandecie, wywołanej przez niewzięty pod uwagę czynnik tarcia, oporu, ciężenia, (*niewzięty pod uwagę, bo zakłada się z góry istnienie fikcyjnej, bezklasowej próżni*), każdy argument napotyka na niewypowiedzianą odgórną replikę, niewypowiedzianą, gdyż rządzący filozofowie, mimo swej programowo-jednotorowej prostoty, jakimś tam ósmym zmysłem rozumieją komplikację całej sprawy i trudności, które musiałyby stać przed polemistą i krytykiem, usiłującym wykazać się sprawiedliwością i spojrzeniem bezstronnym. Polemista taki zrodzić by się musiał z samego wnętrza systemu i w tymże systemie pozostać, a to jest całkiem niemożliwe, bo pisarzowi nie pozwala się pisać o paradoksalnie skłóconej, podwójnej, potrójnej, poczwórnej rzeczywistości, lecz zmusza się go, aby właczał każdą swą wizję w ramy obrazu idealnie płaskiego, pozbawionego czasowo-przestrzennej perspektywy, lub też aby pisał o sprawach ogólnoludzkich symbolicznie — w ten sposób choć ów skryba jest tu jedynym dopuszczonym do działania pracownikiem indywidualnym, nie objętym wszechniwelującą pragmatyką służbową, to w istocie ani się obejrzy, jak został już zaszeregowany i zatarty, rozpuszczony w ogólnym wzorze czy nurcie, co śmieszniejsze, nurcie bardziej w swej formie tradycyjnym niż sama tradycja. Stąd to na przykład w teatrach krajów komunistycznych króluje tak często światowy klasycyzm, czy zgoła nałogowy konserwatyzm, króluje Szekspir, Moliere, a także „Księżniczka Turandot” i mieszczańska sztanca wiedeńskiej operetki, poza tym zachodnie sztuki bez przeszkód chłuszczące kapitalizm (*to w końcu też podnieca*), brak zaś złożonego obrazu dookolnej, socjalistycznej rzeczywistości: turysta z Zachodu bardzo to sobie zresztą chwali, czuje się u siebie, w znajomym świecie europejskiej tradycji, powiada, że nie ma tu wszakże nic nienormalnego, skoro wszyscy, tak jak on, rozumieją Moliere. Biedny dudek! Aby zadrwić sobie z niego do reszty, Rosjanie z gustem wyzyskują jeszcze kosmopolityczne korzenie swej dziewiętnastowiecznej literatury, prezentując mu filuternie Tołstoja, Turgieniewa i Czechowa, których nasz globtrotter odbiera tak samo dobrze jak Balzaka lub Maupassanta. Tak więc, magicy i prestidigitatorzy systemu umieją zneutralizować i zrobić w konia (tak mówiono w Warszawie) nie tylko turystę krajowego czyli właśnie Romana, lecz i każdego przybyłego dziedzica Wielkiej Kultury Zachodu, nasuwając tym

podejrzanie, że może, sądząc po rezultatach, w marksistowskich zawijasach słownych tkwi jakaś absurdalna racja. Zadziwiająca to wszakże rzecz, że system organizacyjny i materialnie stosunkowo słaby, jakże jest pod względem niwelowania wszystkiego nieodparty — tej jego sile oprzeć się potrafi tylko polskie, na okupacji wyszkolone kombinatorstwo, wcielone właśnie w owych podwarszawskich hodowców róż, także swoistych sztukmistrzów, sprawnie w każdej sytuacji zacierających granicę między rzeczywistością legalną a krainą fantazji, wyczarowywaną tu przez nielegalność. Cóż za niepojęte sprawy dla normalnego człowieka z normalnych krajów! Tylko że nie wiadomo już, co jest normalne, (choć Kazik B... *ułatwił sobie problem, twierdząc po prostu, że wszystko*), tak jak od lat nie wiadomo, co w systemie powszechnej, więc niczyjej, własności jest uczciwe. Świat najwidoczniej przekręcił się głową w dół i tak właśnie żyć trzeba i można, aby tylko o tym za dużo nie mówić!

Roman Zaleski toczy więc swe życie na tle rozmaitych obrazów zewnętrznych, wędruje poprzez różne polskie pejzaże, a także nosi je wszystkie ze sobą, w sobie, stąd też ważne jest dla niego, jak owe pejzaże się zmieniają, przesypują, szarzeją, jak ma się ich wrodzona, w duszy czy pamięci wypiastowana, niezmiennosc do ogólnego, ciągłego, niszczącego erozję zwiastującego prądu, który niesie wszystkich w tym kraju. Roman jest, chce czy nie chce, zawodowym wielbicielem łąki zewnętrznej, czyli owego samotnie kontemplowanego krajobrazu, ten zaś w dzisiejszej cywilizacji nie bywa już prawie nigdy czysto przyrodniczy, lecz stanowi organiczną mieszankę dzieł boskich i tworów ludzkich. Stąd też samotne spacerunki czy przejażdżki po tym kraju nieuchronnie prowadzić muszą do refleksji na temat ułożenia się tutaj rzutu na krajobraz stosunków ludzkich, dlatego także w zapiskach, w dziennikarskich notesach Romana panowała charakterystyczna dwoistość: opisy pejzażu maniakalnie sąsiadowały zawsze z rozważaniami politycznymi, jedno pociągało za sobą drugie, dwie te rzeczy wiązały się ze sobą, wynikały z siebie. Samotne chłonięcie dwoistości różnorodnego zresztą (zwłaszcza w wyniku wojny) polskiego łąki stało się po latach ulubioną czynnością niedopieczonoego literata, której oddawał się zwłaszcza z głębokim upodobaniem wtedy, gdy czynność ta odróżniała go i wyosobniała, gdy na przykład jego bliscy zajęci byli, jak dzisiaj, tradycyjnymi obrzędami uroczystego święta: robili to po cichu nawet wysocy funkcjonariusze Partii, natomiast Roman właśnie nie, na złość, aby się odróżnić, aby mieć w zbiorowości własne życie, na złość, ale także ze znużenia — dla odpoczynku; na pewien czas udało mu się nawet wciągnąć w te neurasteniczne

niecو samotne niedzielne i świąteczne wędrówki, młodą a uspołecznioną Białą Bluzeczkę. W tej swojej ruchliwej samotności widział zresztą skuteczny oręż, wielce przydatny do walki którą prowadził z systemem o własną, jako tako niezmienną osobowość i jej przetrwanie, prowadził wbrew kolektywistycznym sugestiom Kazika B... Nie chcąc dać się ugiąć i ogłupić (*a tego żądano od ludzi przedwojennego chowu co najmniej w pierwszym stadium przystosowywania*), trzeba mieć jakiś konkretny element oporu, jakieś, jak mówiono, *hobby*, być dziwakiem, samotnikiem, ubranym w możliwie nieprzenikalny pancerz, trzeba umieć stać się programowo aspołecznym, żeby przez swą odmienność i niepodatność na zbiorową hipnozę móc zaangażować się w posmakowanie i ocenę zdumiewająco nowej rzeczywistości głębiej i prawdziwiej niż inni. Trzeba też, mimo wszystko, kochać smutny pejzaż socjalizmu, pejzaż ograniczony i zamknięty a tak przecież fantastycznie nieuporządkowany, pejzaż sztucznie zniewolony, przez to niewyżyty i wciąż jeszcze dążący, jakże odmienny od sytey, ugrzecznionej statyki Zachodu.

Więc pejzaż polski stanowił właśnie dla Romana myślowe i uczuciowe laboratorium — w nim pracował, nieświadomie nawet, podczas spacerów, bo chodziło też właśnie o tło czysto zewnętrzne, przypadkowo nadające koloryt przechadzkom czy przejażdżkom. Laboratoria były, rzecz prosta, bardzo różne: nieśmiertelna i na pewno zadziwiająca Warszawa, poniemieckie Ziemie Zachodnie, na początku po wojnie Odzyskanymi zwane, w nich zaś nadmorskie C..., obecnie polski Meran, osobny kraj w kraju czyli duchowy, jak teraz mówiono „mikroklimat”, ale to wszystko byłoby tylko zewnętrzną fasadą, blichтром, efektem, gdyby nie jądro, podstawa, chleb razowy polskiego panoramicznego jadłospisu — gdyby nie wieś. Wieś, osada, małe miasteczko — przecież „... to Polska właśnie”.

Roman znał dobrze trudny wiejski czy podmiejski krajobraz i to widywany w okresie krytycznym, najmniej efektownym, w ciemnym, rozkiśłym końcu lutego lub w błotnistym, do szpiku kości przejmującym wichrem marcu, kiedy nie ma już pieszczącej oczy swą czyściutką bielą pokrywy śnieżnej, a daleko jeszcze do bogactwa zieleni, zbóż, kwiecica, kiedy wszystko opanowane jest przez jeden żywioł, przez przemarzłe czy też rozmazane i rozchlapano błoto, które, wydaje się, nie ustąpi stąd już nigdy.

Nie chodzi tu o wieś wyjątkową czyli jak to sobie określał Roman, paradną: o zubożoną dziś dzięki turystyce i rodzinnym dolarom wieś podhalańską, gdzie artystyczny wręcz wzorzec starego domostwa obrastał w cementowe podmurówki i w sieć

telewizyjnych anten, ani o pieczołowicie, przestrzennie, ze szkopską unormowaną fantazją rozplanowane łagodnie górskie, wielopoziomowe osiedla w Sudetach czy Karkonoszach. Szło o wsie i miasteczka Polski środkowej, żyjące sobie bez nimbu i legendy, o ów razowiec Mazowsza, okolic Łodzi, Radomia czy Piotrkowa. Toż właśnie najprawdziwsza Polska — nikt chyba nie zaprzeczy.

W błocie i na wertepach stały tu nowe wiejskie domki: murowane, z czerwonej cegły, ściana ślepa, dla oszczędności mało okien: brzydkie to i smutne a przecież zasobne, choćby w porównaniu z resztkami dawności, bo tuż obok trwają jeszcze jako zabudowania gospodarskie czy nawet domy mieszkalne, kurne chaty, kryte mchem i smołą, papą, ziemią, ku której się chylą. Zasobnie więc tutaj, owszem, jest, ale jakże niechlujnie, jakież bezdroża i wygwizdów, jakież brak kosmetyki i estetyki, jakież opuszczenie niemal. Tyle, że o ową kosmetykę terenu nie bardzo ma się kto w tym ustroju ekonomicznym troszczyć, bo to są tak zwane usługi, czyli dziedzina bezpieczeństwa. Stary chłop, zadowolony że żyje, do niczego poza pracą nad własnym dobytkiem się nie pali, zaś rady gminne czy gromadzkie wciąż nieustająco radzą, choć nie wiedzieć nad czym. Obronny chłopski egoizm dochodzi do szczytu, przedziwne to zjawisko w tym właśnie czasie i miejscu, ale lepiej o nim za dużo nie mówić i nie pisać, bo nuż się sąsiedzi do tego przyczepią i zażądają kołchozów, czyli socjalistycznej wsi. A wtedy cześć Polsko, żegnaj ukochany kraju, mimo twego przemysłu, węgla, stali, portów! Lepiej więc wsi nie tykać — rozumie to nawet sam tutejszy Wielki Czarodziej, któremu pilnie i żarliwie praktykowane wschodnie czarodziejstwo nie przysłoniło jednak całkiem polskiej zgrzebnej, wiejskiej prawdy.

Krytykom polskiego pejzażu chodziło może o rzeczy nieważne, zewnętrzne, drugorzędne, o ową pieczołowicie gdzie indziej kultywowaną estetykę własnej ziemi, świadczącą tam na korzyść istotnego wspólnego poczucia „gospodarskiego”, o którym tutaj ciągle tylko mówiono podczas wszelakich zebrań (*zebranie to nabożeństwo socjalizmu*), kadząc chłopu żywicielowi ile tylko wlaźło. Romanowi znowuż szło o tło do jego spacerów, więc wstydił się na ten temat pisać, aby go ktoś nie przezwał pięknoduchem, lecz gdzieś w głębi wiedział przecież, że pejzaż to nie jest rzecz błaha, że bezduszność i przypadkowość krajobrazu ma głębsze znaczenie i świadczy o jakimś istotnym mankamencie czy niedowładzie życia, żadna bowiem rzecz nie jest w narodzie osobna, lecz wszystkie z siebie wyrastają i na siebie oddziałują, jak wszakże uczyli dialektycy. Nie próbował jednak bliżej rozgryzać tej sprawy, gdy oto niespodzianie wyręczył go pewien par-

tyjny, wzięty dziennikarz, który w takie śmiałe i mocne uderzył słowa:

„Jak brzydko! Jak monotonnie brzydko wygląda Polska z okna pociągu lub autobusu. Jeszcze latem da się znieść ten widok. Kwiaty, dzieci, łąny, zboża szumiące. Ale na przedwiośniu ujawnia się całe to okrutne zabijanie krajobrazu rękami architektów, budujących osiedla, wytwarzających typową dokumentację dla miast i wsi.

O dawnej Polsce mówiono, że jest straszna, z tym ciągiem walących się chałup pokrytych strzechą, z miastami koszmarami w których tandetne domki przyglądały się krzywym rynsztokom. Obecna Polska jest zamożniejsza. To widać. Nie trzeba patrzeć w statystyki. Ale brzydota dorównuje tamtej — już prawie zapomnianej. Najgorsze są peryferie miast. Kto wymyślił tę straszliwą mikrokamienicę, pseudowillę, usadowioną na małym skrawku ziemi, ogrodzoną wysoką siatką, latami nie tynkowaną, czerwoną, kostropatą, ozdobioną anteną telewizyjną, czasem podpartą garażem, wybrzuszoną niedokończonym tarasem?... Owe półdomki z półdachem, ze ślepą długą ścianą, straszliwe bunkry zwane wiejskimi szkołami, stojące na zaniedbanych, nie zadrzewionych pustkowiach? Są po miasteczkach pawilony handlowe, przypominające porzucone wagony kolejowe”.

I dalej: „Wieś dawna, choć drewniana i strzechowata, miała dużo dobrej architektury samorodnej. Odrzucała ją jednak, szukając wzorów bardziej mieszczańskich, zgodnie zresztą z pewną socjologiczną prawidłowością w tej dziedzinie. Tak samo zresztą wieś porzuciła swoje dawne piękne wnętrza, meble użyteczne, proste i łatwe. Wspomożona walcie przez przemysł meblarski — wieś polska zakwitła tandetnym, mahoniowym wysoko-połyskowym sprzętem domowym. Zmieniły się kanony estetyczne wsi. Dawny, świetny w proporcjach domek, nakryty kapeluszem dachu z okapem, nie został powtórzony w lepszym wykonaniu, w trwałszym materiale, ale uznano go za symbol zacofania i biedy. Wieś sadzi się na brzuchaty dom z miejskich peryferii. Czy sama się sadzi na to szkaradzeństwo? To raczej architekci, nasi artyści doskonali — proponują jej takie rozwiązanie”.

I wreszcie akord końcowy, mocny, bardzo mocny: „Wykoślała się poetycka wizja. Obiekty, pełniące funkcje szklanych domów, wykonane są z nieotynkowanej cegły, albo mienią się liszajami wypłowiałych desek na balkonach. Wydaliśmy miliardy złotych na zabicie krajobrazu. I co dalej? Wszak to wszystko jest trwałe. Postoi kilkadziesiąt lat. Będzie o nas świadczyć. Umieć się ładnie dorabiać to wielka sztuka. Trudniejsza od samego dorabiania się”.

Roman czytał te słowa z podnieceniem, ze wzruszeniem, chłonał je wręcz, jak piękną muzykę. A więc nie był sam, a więc istniał ktoś, kto również się przechadzał w polskim krajobrazie, kto rozumiał związek tego krajobrazu z panującą ideą, kto widział, jak system niweluje wszystko wokół — przecież w tym tle przechadzać się będą Polacy za lat wiele, rzecz to nie błaża, bo symboliczna i symbolizuje rzeczy ważne, choć nie zawsze nazwane. Wszakże „nie samym chlebem człowiek żyje”, jak to napisał pewien niezbyt w ojczyźnie chwalony, bo zbyt samodzielny radziecki autor. Duchowe żyje w materialnym: nie co innego, jak owa orgia artystowskiego, sztukatorskiego zdobnictwa w nadmorskim C... świadczyła dzisiaj o tych wszystkich, swoiście zapobiegliwych i estetyką przejętych Niemcach, co wymarli lub pouciekali, świadczyła nadal, pośród nowego życia nowych ludzi z Lidy czy Oszmiany!

Partyjny kolega dziennikarz nie powiedział jednak wszystkiego, albo i na przykład nie wiedział, że powiatowi architekci walczyli nieraz heroicznie o swą władzę nad przestrzennym usytuowaniem tudzież estetyką nowowznoszonych ludzkich siedzib, tyle że ani z sekretarzami partii ani z chłopami dogadać się nie mogli: wszystko, jak to w Polsce, związane było tajną nicią materialnych powiązań, co najwyżej budujący się gospodarz, chcąc wywalczyć oszczędnościową i doraźnie praktyczną dokumentację swej nowej chałupy, przynosił panu inżynierowi gęś i pięćset złotych, lub też zmuszał do zapicia ugody czy transakcji w śmierdzącej, huczającej pijackim bełkotem ludowej gospodzie. I tak oto wyrastały jeden po drugim pokraczne, ceglane domki z płaskim dachem — wieś przestawała być sobą, lecz czymże zatem się stawała?

Smutna brzydota owych domków kontrastowała uderzająco z dumą kraju: z wystrzelającymi tu i ówdzie szeregami niebotycznych fabrycznych kominów, z prześwitującymi pośród drzew kolorowymi robotniczymi blokami, z wielkimi szklanymi halami, do których podjeżdżały na położonych wśród lasów szynach specjalne wagoniki. To było piękne, tylko że, o paradoksie i dziwności rzeczy świata tego, w owych ledwo od ziemi odrosłych, kurnych nieraz jeszcze gospodarskich budach wiejskich pewniejsza i owocniejsza toczyła się produkcja, niż w lśniących szkłem i metalem, nowoczesnych śródleśnych gigantach. Jak to się dzieje? Licho wie — jedna odgórna decyzja tajemniczego sztabu mogła spacyfikować produkcję na długie lata, wysypać na kraj wytwory zbędne lub przestarzałe, czyli, według nowego języka, nie chodliwe. Jak oni to robią, że wciąż planują, szczytą się swoim planowaniem a wychodzi z tego — bezplanowość? Tymczasem w kapita-

lizmie, gdzie szlaki nowej produkcji wytyczane są przez tysiące na własną rękę planujących, na własną też rękę ryzykujących i nieraz bankrutujących prywatniaków-egoistów, całość układa się we wzór ekonomicznie harmonijny, użyteczny, tak wręcz, jakby był planowany, choć idea całościowa mało tam komu przyświeca. „Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży!”. Wciąż więc na szerokim, utechniczonym i skomputeryzowanym świecie roi się od tajemnic. Dać świadectwo tajemnicy, wzruszyć nad nią bezradnie ramionami — oto przecież istotne powołanie pisarza, tego osamotnionego spacerowicza, który przechadzając się czujnie wśród boskich i ludzkich pejzaży, ma w rezultacie zdobyć punkt widzenia swoisty, nowy, odrębny, do niczego innego nie przydatny, a przez to właśnie tak wzbogacający. Życie toczy się zawile, sprzecznie, paradoksalnie, tajemniczo, ale to właśnie dowodzi jego autentyzmu, temu właśnie, owej tajemnicy, dać należy świadectwo, jej i sobie zarazem (*bo ukazując swoje widzenie, ukazuje się i siebie*), nie pozwolić zaś wmówić sobie, że wolnego skrybę obowiązuje jakakolwiek czołobitność wobec świata, choćby nawet miała być ona dla tego czy innego celu użyteczna, choćby stanowić winna, jak to usilnie sugerowali partyjni specjaliści od psychologii sztuki, formę solidarnego, społecznego współtworzenia czy współuczestnictwa. Roman kiedyś skłaniał się zresztą ku takiej krzepiącej służebności, po latach jednak doświadczeń utracił solidarność z kimkolwiek, kto zwodził go dalekimi celami, zwodził nie mówiąc jak zmieniać się będą owe cele w miarę zbliżania się do nich. Trud Romana miał teraz być inny, jedynie konkretny i na pewno sprawdzalny: chwycić i utrwać ową nieznaną formę energii psychicznej, jaka wyzwała się w kontakcie człowieka ze światem, nawet z tłem czysto zewnętrznym, wtedy choćby, gdy stojąc na molo w C... próbował zatrzymać i utrwać w notesie strumień wrażeń, wywoływany przez nieustanne falowanie zmiennej morskiej scenerii płaszczyzn, barw, ruchu, przez rozkołysanie form optycznych i słuchowych, ich transpozycję na drgnięcia wrażliwości, odczucia, ba — uczucia zgoła. Trud to zawily, ale w końcu realny i na pewno, skoro istnieje, potrzebny: po cóż by inaczej dziesiątki tysięcy malarzy ze wszystkich kontynentów wysilało się, aby utrwać to i owo spośród zmiennych ruchomości świata, w dodatku na zgoła nieruchomym płótnie? Zanotować ile się da i zdobyć się na odtworzenie gestu bezradności wobec tego wycinka, strzępu zawilej przestrzeni, zawilej w sobie i zawilej przez złożoność aktu postrzegania i aktu utrwalania a przedtem zapamiętywania — czyż to nie starczy za ideę, czyż to samo przez się nie jest już ideą?

Tyle, że właśnie owo tło, które nosił stale ze sobą i na którym

chciał eksperymentować, utrwalając pewne przelotne na pozór, w istocie zaś wieczne procesy energetyczno-wrazeniowe, owo więc tło okazywało się, nawet w poniemieckim C..., nieodparcie i beznadziejnie polskie, zaś świadome kontemplowanie tej jego polskości prowadziło nieuchronnie do spraw politycznych, w rezultacie do nieprzerywającej się nigdy, poza świadomością nawet toczonej, bezradnej polemiki z komunistami, którzy zmieniając uparcie pejzaże tego kraju, są w owych pejzażach ciągle, natrętnie obecni — tylko bardzo naiwni młodzi powojenni Polacy mogli sądzić, że cokolwiek dzieje się tutaj w sposób naturalny, samo z siebie, nie zaś skutkiem odgórnego zamysłu, który zresztą realizował się zazwyczaj w sposób odmienny, niż sądzili to ludzie, nadający impuls, niemniej był już tak czy owak nieusuwalnym, sprawczym elementem polskiego krajobrazu, elementem, wcielonym ostentacyjnie w olbrzymie reklamowe litery transparentów, zdobiących każdą fabrykę, kopalnię czy dworzec kolejowy tudzież zapewniających, iż największym celem i szczęściem jest walka przeciw imperializmowi, w służbie Partii i socjalizmu, jako że tylko marksizm-leninizm (*stalinizm gdzieś po drodze zagubiono*) zapewnić może tutejszemu ludowi pokój, dobrobyt, wolność i suwerenność. Te rozwieszone po całym kraju olbrzymie, napowietrzne litery nie dawały się wytrzeć czy opuścić, niesposób było udać, że się ich nie zauważa, ich, a także przemian, których są symbolem. W rezultacie, krajobrazu dzisiejszej Polski, nie da się traktować jako krajobrazu obiektywnego, niejako ponadczasowego, na którym można by przeprowadzać ponadczasowe również doświadczenia pisarskie, bowiem ostentacyjnie, wręcz natrętnie prezentuje się on jako KRAJOBRAZ SOCJALISTYCZNY (*komunistyczny — sprostowałby z oburzeniem ojciec Romana*). A jeśli tak, to jakże tu poruszać się pośród tego tła, pozostając w kategoriach obiektywnie uniwersalnych? Wielkie to złudzenie, żywione przez kilku uzdolnionych zresztą, staroświeckich, parnasowskich pisarzy, że o dzisiejszej Polsce pisać można pomijając sprawę komunizmu. Nie można, skoro zaś o komunizmie nie wolno pisać literacko lecz tylko agitacyjnie, wobec tego Polska zwana Ludową nie posiada swej literatury, tak jak nie posiada dziennikarstwa. Komunizm wraz ze swą historią jest tu w różnych zabawnych powieściach wstydliwie a pieczołowicie przemilczany, tymczasem samo nawet tło krajobrazowe nieodparcie nasuwać musi myśl o nieszczęsnej czy też szczęsnej, bo wybranej przez historię Polsce, rzuconej wraz z garstką innych krajów na pastwę rozgorączkowanych swą koncepcją utopistycznych filozofów władzy i uzyskującej w ten sposób absolutnie nową w swych dziejach jakość. Jakość złą, jakość dobrą, jakość pośrednią, sytuację beznadziejną czy jed-

nak rozwojową, nudną i smutną czy mimo wszystko ciekawą i na swój sposób prężną? Cóż by tu odpowiedzieć na te pytania i to w sposób prosty, pewny, jednoznaczny? Odbija się w nich echo nieskończonych „nocnych rozmów rodaków”, na przykład pogwarerek z Andrzejem i jego przyjaciółmi na emigracji, echa dawnych, jakże dalekowzrocznych przepowiedni ojca, echa wędrówek z Białą Bluzeczką, a także ostatnich błyskotliwych choć nieco podejrzanym fajerwerków wymowy owego niezrównanego Kazika B.... Nawet burza miłości czy kojąca kąpiel przyjaźni okazują się więc bezwartościowe, póki nie rozstrzygnie się zasadniczo swego stosunku do sprawy polskiej? Czyż w tym kraju inaczej nie można, czyż groteskowe motto „słoń a sprawa polska” towarzyszyć tu musi każdemu człowiekowi aż po grób, nawet jak ucieknie do odległej Ameryki lub zgoła mitycznej Australii, czyż nigdy nie uzyska się postawy owego szczęśliwego Belga, co nie wiedział nawet dobrze jakiej jest narodowości i dzięki temu mógł się wreszcie zająć czymś poważnym, obiektywnym, samym w sobie?

Roman miał wszakże rodzinę, przyjaciół, wielu znajomych, ale tak mu się dziwnie zdawało, że w wewnętrznym, na długie lata rozłożonym spektaklu czy też udratyzowanym, na głosy rozłożonym monologu jego życia liczą się tylko cztery osoby: ojciec, Andrzej, Bluzeczka i Kazik B... (prawda, był jeszcze niegdyś krytyk R...), bo te właśnie osoby odegrały swą rolę w stosunku Romana do dziwnej, w dziwnym miejscu i czasie umieszczonej, ostatnio zaś przez coraz dziwniejszych ludzi zamieszkałej Polsce. Każda z owych czterech osób reprezentowała jakąś duchową wobec Polski alternatywę, z tym, że jeśli chodzi o Bluzeczkę i Kazika, to Romanowi wydawało się czasem, jakby ich w ogóle nigdy nie spotkał, jakby byli tylko upersonifikowaniem jego niektórych myśli czy przypuszczeń lub chwilowych uczuciowych skłonności, jakby rozmawiając czy walcząc z nimi, toczył w istocie imaginacyjny dialog z samym sobą, oni zaś stanowili tylko pomocnicze twory formalne. A znów tkwiący w Monachium Andrzej prezentował alternatywę zagraniczną, uwolnioną od polskości, „belgijską”, gdyż, mimo jego głośnych zaprzeczeń, stał przed nim i jego rodziną nieuchronny problem duchowego wynarodowienia — nie należał wszakże do owej grupki fanatyków z radiowej rozgłośni „Zjednoczonej Europy”, którzy jako jedyną rzecz ważną unieśli ze sobą Polskę, utrwaloną w postaci płonącej i walącej się z hukiem dawnej ulicy Marszałkowskiej — to był talizman, narkotyk, chroniący ich przed zapomnieniem i obcością, jakie przynosi zgiełkliwa, międzynarodowa giełda świata. Roman zresztą rozumiał ich, bo sam przechowywał również swój talizman, związany z okupacyjną ulicą Marszałkowską.

Okazać się więc może, że z czterech *dramatis personae* Romanowego życia, jedyną na wskroś realną i niezmiennie bliską pozostanie tylko Ojciec, pewno dlatego, że już nie żyje, że się wycofał, więc nie obowiązuje go dzisiejsza normalność czyli zmienność — po prostu powiedział co wie i myśli o komunizmie, po czym umarł, zachowując ostatnie słowo. A jak wygląda sprawa z Romanem? On również przez długi czas zmieniał się tak jak inni i to świadomie, uznawał bowiem wtedy konieczność ewolucji, dokonujących się w jednostce ludzkiej na tle rozwoju wydarzeń historycznych, historią jest przecież wszystko co się dzieje, bez względu na to, czy się nam ono podoba czy nie. Wszakże owe patriotyczno-pozytywistyczne idee Kazika B..., może nie w ich dzisiejszej historiozoficznej i katastroficznej formie ale w ogólnych praktycznych zarysach były przez długi czas poglądami jego, Romana. Dlaczego się więc na nich zawiódł i zwątpił? Może dlatego właśnie, że nie pozwolono mu utrwalić na piśmie owej zawiętej drogi poprzez wątpliwości i niesmaki, jaką musiałby wędrować do finalnego uspokojenia; jest pisarzem a nie może twórczo pracować, podczas gdy Kazik za cenę tych wszystkich kongresów pokoju wyrobił sobie luz polityczny i prawo do samodzielnego, twórczego działania w nauce — zresztą nauka jest i tak apolityczna. Inaczej ma się rzecz z drukowanym słowem: na całej olbrzymiej przestrzeni od Łaby aż do granic Indii publikowanie niewygodnej i w ogóle skomplikowanej prawdy jest zakazane, lub w najlepszym wypadku dozowane i reglamentowane, bo słowo służy tu jedynie osiągnięciu określonych celów, czyli agitacji, tymczasem prawda jest z reguły wielokierunkowa, złożona i do niczego nie agituje, raczej budzi zwątpienie. Gdy zaś zakazem mówienia prawdy politycznie szkodliwej objęto również powieściopisarzy, to nawet napisanie najzwyczajszego, aby tylko we współczesnych stosunkach umieszczonego romansu, mogło się stać sprzeciwem wobec historii, ba, wobec patriotyzmu nawet, boć patriotyzm tyczy się ojczyzny takiej jaka istnieje, nie żadnej innej. Polak patriotyzmu wyzbyć się nie potrafi, nawet emigranci noszą ze sobą po świecie nieszczęsną Polskę jak bolącą wątrobę, członkowie małych narodów nie mogą pozwolić sobie na kosmopolityzm, czasem dla odmiany zwany też internacjonalizmem, to tylko Lenin potrafił otwarcie i bez żenady życzyć klęski rządowi swego kraju, a więc w ówczesnej sytuacji — po prostu swojemu krajowi. Polaka na to nie stać, choć Polska żyła i wtedy, kiedy Austriacy siedzieli w Przemyślu i Lwowie, Prusacy w Poznaniu i Pucku, zaś Moskale w Łodzi i Kaliszu, Warszawy już nie licząc (*epoką polskiego uniwersalizmu nazwał bluźnierczo ten okres pewien znajomy Romana — dopiero hitlerowskie widmo zagłady*

narodów oduczyło polską szlachtę od takich herezji i od zarcików na temat niepodległości co to ciąży jak garb; Hitler umocnił polskość — ot i znowu psikus historii).

Ale przecież Roman dawno już postanowił, że wzruszy ramionami na historię, historii własnego narodu nie oszczędzając (*innej z doświadczenia nie znał*) i że napisze swą rzecz bez oglądania się na wszelkie względy i urzędy, na druk i na cokolwiek innego — cóż się więc stało, dlaczego nagle zjechały się w nim jak najęte liczne opory i wątpliwości? Chodzi po prostu właśnie o sprawę krajobrazu, o sprawę owego plenerowego tła, które nosił w sobie całe życie, uważając to za swój bezsporny dorobek i za punkt wyjścia do obserwacji oraz dokonania syntez, co usprawiedliwiłyby jego mało dotychczas w istocie twórczą, po trochu zagubioną, polską egzystencję. Świadczyć o tym mógł również fakt, że z owych dwu zimowych pobytów w C... wyniósł właśnie sporo notatek, dotyczących tła zewnętrznego w postaci czy to bezludnych pejzaży morskich, czy też stworzonej przez człowieka mnogości form architektury oraz zdobnictwa. Ani za jednym ani za drugim pobylem nie zrealizował natomiast tego, co sobie był zamierzył: trzonu przyszłej książki, zarysu akcji, charakterystyki osób; raz przeszkodziła mu w tym późna, posezonowa miłość, drugi raz równie spóźniona, anachronicznie dawnych lat sięgająca — przyjaźń. Lecz gdy zarówno jedno jak i drugie okazało się bezwartościową już dla dnia dzisiejszego złudą, to utrwalone w notatkach tło zewnętrzne zdawało się wskazywać drogę wyjścia: wszak można, jak Cézanne, wyrazić całą prawdę świata pod byle materialnym pretekstem, choćby malując latami te same trzy jabłka na talerzu. Chodzi wszakże o to, że tło zewnętrzne ma walor obiektywnego absolutu, że w nic nie znaczącej kropli wody dostrzec można odbicie wszechświata. Prawda, lecz co jeśli ta kropla bynajmniej nie jest nic nie znacząca, nie jest bytem czy tworem obiektywnym, jeśli pejzaże socjalizmu nie są już odwiecznymi pejzażami Romanowego dzieciństwa, lecz czymś nowym, specjalnym, uplanowanym. Czyż nawet w opisach krajobrazu, czegoś przecież w założeniu elementarnego, żywiolowego, zawierać się musi polemika z komunistami, z owym Leninem, Trockim i spółką, co naparstkami, stworzonym w jednym stuleciu chcą wyczerpać morze wszystkich stuleci, co pomagając wersalskim Niemcom odbudować armię, ścignęli po latach na nieszczęsną matuszkę Rosję siedem plag egipskich, co w imię wolności budować jeli najwspanialsze, najprecyzyjniej działające więzienia świata, co..., zresztą wiadomo ile i jak narozrabiali, tak dobrze wiadomo, że w końcu przestano już o tym mówić, a w rezultacie — zapomniano, bo działanie Matki Historii opiera się właśnie na

wykorzystywaniu niepamięci i w ogóle braku zbiorowej pamięci u całych pokoleń.

Oczywiście: książka Poety spod Moskwy była jedną wielką, choć zamaskowaną, polemiką z komunistami. Ale Poeta ów miał na czym się oprzeć, miał odwieczne, niezależne i obiektywne tło zewnętrzne, owe setki i tysiące kilometrów piaszczystych leśnych wzgórków, porośniętych brzozaami, jałowych wzgórków, jakie się widzi choćby z okien pociągu, biegnącego ku Moskwie od dawnej polskiej granicy (*różnica krajobrazów z obu stron tej starej granicy uderza jeszcze po dziś dzień*), a także owe niezmierzone pustacie syberyjskiej tajgi, oddychającej szeroko żywiołem, którego nie unicestwi żaden ustrój, żadna koncepcja, żaden spisek. Lecz na czymże takim oprzeć się uda w obrotowej, tam i z powrotem przeczesanej, niewielkiej Polsce między Bugiem i Odrą, gdzie stary, miły sercu krajobraz może być idyllicznie kameralny i szacownie muzealny, lecz gdzie darmo byś szukał szerokiego rozmachu, gigantycznej frazy, niezależnej od niczego wielkości, w kraiku gdzie historia się nie liczy a liczy się tylko chwila obecna i jej status, gdzie nawet gdyby ktoś znał prawdziwe ojczyście dzieje, to nic mu one nie pomogą i lepiej o nich zapomnieć? W takim kraju nie da się malować cézanne'owskich jabłek i nic nie przyjdzie ze skrupulatnych opisów mola w C... W takim kraju można by tylko i wyłącznie namalować fresk ludzki, socjologiczny, obyczajowy, psychologiczny. Ba — lecz jak to zrobić?

Właśnie spacerując w świąteczny dzień grudniowy (*pomyśleć, że niedawno, podczas tego samego grudnia był z Kazikiem B... nad Bałtykiem*), spacerując wśród szklanych pustaci socjalizmu, mimo swej całkowitej odmienności architektonicznej przywodzących na myśl Utrilla, jeszcze jednego mistrza i znawcy świata, który z rozmysłem malował rzeczy obojętne, Roman zdał sobie sprawę, że nie potrafi odtworzyć istoty dzisiejszej Polski, że ma w zanadru tylko nieco pejzaży, widzianych z okien pociągu czy samochodu, z okien hotelu lub kawiarni, że to są jedynie migawki, wrywkowe, płytkie, fragmentaryczne, tymczasem tu wszystko jest całością, powiązaną i koncentryczną, której wewnętrznego mechanizmu przedstawić mu się za pomocą posiadanego aparatu obserwacyjnego i pisarskiego nie uda. Jak wytłumaczyć, dlaczego ustrój w zamierzeniu ludowy i demokratyczny stał się w praktyce tak groteskowo, bo na wywrót, elitarny i dygnitarski? W jaki sposób uwierzono, jakoby demokracja polegała na zrównaniu wszystkich przez odebranie im wszelkich praw politycznych i przełanie tych praw na grupę kierowniczą, tak małą i przypadkową, że nie może być uznana za nową klasę społeczną — choć były takie teoretyczne próby? Jak opisać ową biedę nierównomierną

i dziwną — boć bieda tu przypadkowa i względny dobrobyt też przypadkowy, rozłożone przy tym i przeplecione sobą nieregularnie, irracjonalnie, tak jak irracjonalnie cyrkuluje tędy pieniądz, żłobiąc sobie przejścia podziemne, tajne a przemysłne? Kto wykombinował ów misterny system przeszkadzania w pracy i kto umie jednak w labiryntach tegoż systemu znajdować sobie drogę, boć coś się tu w końcu buduje, nawet dużo, choć w nieznośnym zamęcie i krzyku? Dlaczego utrwaliła się tutaj w istocie nierówność społeczna, ale przypadkowa, nie zsynchronizowana z wartością wykonanej pracy i dlaczego nie podobna temu zaradzić? Jak opisać to całe WIELKIE DZIWACTWO, i czy w ogóle należy je opisywać, tudzież wzruszać na nie ramionami, gdy nawet orzeźwienie, przynoszone przez kontemplowanie pejzażu jest nikłe i nie stabilne? Trewirski odkrywca stałych, rzekomo na zawsze ważnych praw historii twierdził, że wolny jest ten, kto posiada środki produkcji. A więc w dzisiejszej Polsce nikt nie jest wolny, bo zbiorowe władanie środkami produkcji to fikcja: nie jest właścicielem produkcji ani pan główny księgowy, ani obywatel dyrektor, ani, tym mniej, robotnicy — produkcja wyrwała się tu ludzkiej władzy i rządzi się sama, hasając fantazyjnie i beztrosko. Skoro zaś nikt tu nie włada środkami produkcji, *eo ipso* nikt nie jest wolny, to czy wypada się ze zniewolonych wyśmiewać, wzruszając nad ich losem ramionami, zwłaszcza, gdy samemu się ten los dzieli? Kiedyś, gdy Habsburgowie sięgali do Lwowa i Halicza, Prusacy do Litwy, a w Królestwie szarogęsili się Rosjanie i mrowili wysiedleni z Rosji Żydzi, Polacy byli nieszczęśliwi, bo nadal pozostali jakoś tam zachodni; Polski nie było, ale oni, czy choćby świadoma rzeczy ich reprezentacja, tkwili duchem na Zachodzie. A teraz? Teraz nie wiadomo już co to takiego jest ten Zachód, tymczasem zaś dusza Polski staje się wschodnia. Roman nie pragnął wolności abstrakcyjnej i bezterytorialnej, jakiejś wolności na szerokim świecie: chciał wolności dla Polski i w Polsce. Jeśli to niemożliwe, to po cóż rozdierać szaty i rozdrapywać rany: czyż nie lepiej skonstruować sobie roboczą prawdę subiektywną, tak jak to robi ów nieoceniony Kazik B...? Jemu z tym lepiej i Polsce z nim lepiej, trzeba więc zrobić to samo, a w tym celu szereg rzeczy przed innymi i przed samym sobą zataić. Sztuka zatajania i sztuka zapominania to wielki kunszt, chyba większy niż sztuka pamiętania — zresztą dobra pamięć, praktykowana na zbyt wielkiej przestrzeni kilkudziesięciu lat, prowadzi na manowce, bo rzecz wskrzeszana, zapamiętana i przywracana istnieniu wyobraźnią, nie jest już tą samą rzeczą, którą się niegdyś przeżyło i nie może służyć do tych samych co wówczas celów: sprawdził to sobie zresztą z Bluzeczką, gdy rozmawiali

o niedawnej historii, jak gęś z prosięciem, sprawdził, co ważniejsze, na Kaziku B..., człowieku z jego pokolenia i jego strefy wspomnień. A więc marksiści mieliby rację, system ich, mimo wszelkich absurdalnych zgrzytów i dziwacznych paradoksów, aplikowany przez lata sprawdzałby się w świadomości ludzkiej, byłby zatem nieodparty, w takim zaś razie należy go identyfikować z historią?! I należy naginać życie do teorii nie zaś odwrotnie?! I nie ma już z tego wszystkiego żadnego odwrotu?! To by była dopiero heca, gdyby cała rzecz okazała się w końcu prawdą — w dodatku na historyczną weryfikację owej hecy nie ma już Roman zbyt wiele czasu! Zbliża się przecież starość, różne zaś są jej rodzaje: może być starość przynosząca duchowe rozproszenie, rozluźnienie a przez to specyficzną wolność, może też być starość skoncentrowana, uparta i niewolnicza.

XVIII

Utrata rodzinnego pejzażu najdotkliwiej dokuczała w zburzonej i odbudowanej Warszawie — Roman był przecież dzieckiem tego miasta — ale tu rzeczywiście dawało się ją wytłumaczyć naturalnym wtargnięciem nowoczesności, co komunizm, rzecz prosta, interpretował wyłącznie po swojemu i na swoją korzyść. Komunizm zaczął w Polsce swą epokę od połowy życia Romana i, wprowadzając przeróżne innowacje, *(bardzo mu to zresztą ułatwili Niemcy, z zadziwiającą gwałtownością dzika na kartoflisku niszczący w tym kraju wszystko, co się dało — myśleli, głupcy, że pracują dla siebie)*, a także zmieniając przeróżne przestrzenne hasła i symbole z nazwami ulic tudzież miast włącznie, żądał od ludzi dawniejszych, przedwojennych, wyrzeczenia się przeszłości, żądał dobrowolnego rozłupania dziejów tutejszego bytowania na dwie części, oraz rezygnacji z traktowania polskiego losu jako ciągłości i całości. Ale znowu tej tendencji sprzeciwiała się inna, też wyrosła z samego rdzenia komunizmu i jego psychicznych urazów, mianowicie nuworiszowską dążność do przypisania sobie zarazem władztwa nad przeszłością i prawa do niej — w Warszawie objawiało się to staranną odbudową zabytków z epoki królów i „feudalizmu” *(nazwy tej używano ile wlezie, ale w sposób całkiem dowolny, bo nikt tu teraz nie umiał historii, od reguły nie odbiegali także świeżo kreowani profesorowie, którzy dla pewności stosowali w swych pracach naukowych język*

z *agitacyjnych broszurek sowieckich*), odbudowano nawet zabytki nieprawdziwe, jak stworzone przez Sanację tuż przed wrześniowym kataklizmem rzekome stare mury Warszawy — za to najdawniejszą chyba budowlę tego miasta, zamek Księżąt Mazowieckich na Ujazdowie, w którym umieszczono po wojnie szpital wojskowy, kazał rosyjski a potem polski marszałek rozebrać w błyskawicznym tempie: nikt nie wiedział dlaczego, pytać zaś nie było wskazane. Tak więc, jak to zawsze w Warszawie, bałagan panował i pomieszanie pojęć, co jednakże nader sprzyjało zbawczej podwójności życia duchowego, praktykowanej zwłaszcza przez tradycyjną, nie dobitą obłąkami, okupacjami i powstaniami inteligencję urzędniczo-nauczycielską. Bytowanie tej warstwy, z natury swej patriotyczno-konformistycznej, wykazywało mimo wszystko zdumiewającą ciągłość: miała ta ciągłość swoje akcenty heroiczne, gdy podczas okupacji z narażeniem życia kształcono młodzież w tajnych szkołach i uniwersytetach (z łaski nieocenionych Niemców wyrastało przecież oto pokolenie, które w ciągu sześciu lat dzieciństwa czy młodości nie znało radia, kina, teatru, uniwersytetu), potem z kolei owa inteligentka niezmienną przekształciła się w łatwy, nieco lekceważący istotę rzeczy oportunizm, gdy szybko i bez oporów przesunięto sobie święto narodowe o dwa dni, z trzeciego na pierwszego maja, gdy chorągiewki harcerskie z biało-czerwonych stały się tylko czerwone, kult Marszałka Piłsudskiego zastąpiono kultem dowolnej osobistości, która akurat wyłoniła się z niedocieczonych i niezrozumiałych ani w treści ani w formie walk wewnątrz partyjnych, zaś przy okazji okolicznościowych przemówień zamiast Bogiem i Ojczyzną szermowano Marksem, Leninem, Narodem i Ludem. Tak to więc, w owym potwornie wyburzonym, raz straceńczo bohater-skim, za chwilę małostkowo tchórzliwym mieście trwała nadal jego wrodzona podwójność, sprawiająca, że natychmiast po wojnie, wręcz na skrwawionych zgliszczach i kamieniach jeszcze, obok nowej Warszawy żyła już sobie w najlepsze — nowa Warszawka, której tronem socjalnym stała się tradycyjna, biurokratyczna inteligencja, ta przed wojną sanacyjna i współpracująca z rządem, ta po wojnie wstępująca do partii i defilująca w wyklętym nie tak dawno pierwszomajowym pochodzie, niczym ów kot, dobrowolnie a publicznie jedzący musztardę. — A cóż to takiego straszego — mówiono sobie — obchody rocznice i akademie nie są przecież chyba bardziej głupie niż za Sanacji, tymczasem harcerskie polskie dzieci pozostaną zawsze takie same, bez względu czy to harcerstwo czerwone, białe lub zielone. Owa, nie taki diabeł straszny, albośmy to jacy tacy, treść uczuciowa trwa wszakże bez zmian, żeby tylko wcielić się, włączyć nastrojem w młodzież,

w przyszłość narodu („... *myśmy przyszłością narodu*”), wsłuchać w świergot malców ze szkoły, śpiewających w słoneczne uliczne święto patriotyczne czy ludowe piosenki, a także w muzykę furkoczących na wietrze proporczyków, bez względu na ich kolor oraz wypisane hasła. Po lodowatej Nocy Narodowej, wymyślonej i zaaplikowanej temu krajowi i temu skazanemu miastu przez oszałałych Niemców, nastał jednak jakiś świt, jakiś wschód słońca. Po cóż odbierać dzieciom radość tych chwil, przecież tak czy owak zawsze wszystko w świecie oparte jest na konwencji. A owi nauczyciele, społecznicy z małych miasteczek, a tysiące działaczy idealistów, którzy, wygłodniali pracy, rzucili się do „państwowotwórczego” (dosłownie) czynu na Ziemiach Odzyskanych? Po cóż przesadnie otwierać im oczy i odbierać wiarę? Cóż to w końcu szkodzi, że politycy kłamią? Zawsze to robili, to ich zawód, W Anglii powiedziano by: za to im się płaci. A że my też trochę kłamiemy? Trudno, co mamy począć, my również zawsześmy to po trochu robili, taki to już jest kraj, a przecież naród istnieć musi, zwłaszcza że niedawno, z łaski Hitlera, znalazł się o krok od zagłady. Lepiej wychować dzieci w kłamstwie nieświadomym, niż sprawić, żeby od kołyski miały do siebie wstręt.

Takimi więc ludźmi, przedwojennymi i wręcz sanacyjno-endeckimi, obsadzali komuniści zaraz po wojnie swe biura i urzędy, bo innych ludzi nie mieli: marksistów w tym kraju po prostu nie było, poza nieliczną grupką Żydów, których rezerwowano na stanowiska kluczowe i drastyczne, na wyższych oficerów wiadomej służby, na prokuratorów, cenzorów, sędziów, redaktorów. Po latach zemściło się to na nich srodze, na nich, a także na innych Żydach, Bogu ducha winnych, programowo zasymilowanych i pragnących żyć normalnym życiem tego społeczeństwa (*jeśli w ogóle od 39 roku jest nad Wisłą coś normalnego*). Z równym bowiem ferworem, z jakim kiedyś obsadzano Żydami wszystkie ważne stanowiska, licząc, że z racji swej dziwnej sytuacji służyć będą wiernie i niezawodnie, zaczęto ich z czasem piętnować, wyrzucać, zmuszać do wyjazdu, zrobiono z nich kozłów ofiarnych, nie zważając, na to, że to przecież Żydzi właśnie wymyślili marksizm i zarobili sobie na słynny, z lubością niegdyś przez Czarną Sotnię skandowany przydomek „żydokomuny” czy „fołksfrontu”. Komunizm przeciwko Żydom — świat się kończy! Choć co prawda rzecz owa wciąż w historii powraca, Żydzi bowiem nie tylko wymyślili i rozpowszechnili marksizm, lecz, przed dwoma tysiącami lat, wymyślili również chrześcijaństwo, za co ich wieki całe prześladowano i tępieno. Dziwna to sprawa i zgoła nie podatna do materialistycznego jej wyjaśnienia.

Porażka partyjnej „grupy żydowskiej” za to, że wykonała dla

komunizmu czarną robotę przymusu i terroru (*Stalin też z reguły niszczył wykonawców swych ponurych rozkazów*), przyszyła po latach, natomiast grupa tutejszej tradycyjnej, inteligenckiej, coraz bardziej pozbawionej skrupułów administracji, uwiła sobie mocne i wygodne gniazdo w sercu komunizmu i od samego jego początku, dopiero z czasem zagrożona przez przybywających ze wsi młodych jakobinów, ów klasyczny płód polskiej „rewolucji post- agrarnej”. Roman wolał nawet tych nowych, przez wszystkie powojenne lata zdołał bowiem znienawidzić obecną warszawską cyniczną lekkość życia — zbrzydła mu, jemu, co widział heroiczną Stolicę podczas okupacji. Jakże zmaleli i zblakli dawni bohaterowie, ci co jadali owoc z drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, zmaleli poddani dosyć początkowo prostolinijnej komunistycznej terapii a także trudnemu życiu wśród ruin i grobów. Wolało się więc tych nowych ze wsi: oni przynajmniej nie znali już przeszłości, o niczym nie wiedzieli, innych pojęć nie mieli, byli autentyczni. O tak, bardzo zbrzydła Romanowi powojenna Warszawka, rad by ją skompromitował, choć przecież pomogła ona walnie ocalić polskość cwaniacką, szwejkowską, bez czci i wiary. Wiktor Hugo twierdził, że Francja jest natchnieniem narodów, ale raz na sto lat upada i staje się przez pewien czas kloaką Europy. Roman myślał, że tyczy się to nie tylko Francji. Choć, z drugiej strony, może jednak nazbyt był surowy dla warszawskiego, lub raczej ogólnopolskiego cwaniactwa ludzi powojennych: może była to jedyna szansa na przetrwanie reprezentowanego przez nich gatunku polskości, tyle że sprawa trwająca tak długo groziła nieuchronną demoralizacją, a są też przecież w dzisiejszej Polsce inni jeszcze Polacy, właśnie owi prowincjonalni idealisci i asceci, pracujący z samozaparciem, bez względu na okoliczności, na intrygi partyjne, donosy czy niesprawiedliwości — na nich to w końcu stała odbudowująca się jakoś z ruin Polska, nie na stołecznych karierowiczach i pieczeniarczach. Ale warszawski chytry konformizm też był w swoim czasie potrzebny, odegrał swą rolę — z niego także wyrosły i teorie Kazika B..., które, choć cwaniackie i mimowiednie czy nawet świadomie akceptujące kłamstwo lub półprawdę, ułatwiały jednak życie i pracę dla Polski, wszakże Kazik zrobił coś niecoś tam w swoim odbudowanym z gruzów portowym mieście, zrobił nawet nie byle co. Wreszcie i sam Roman również zaczerpnął z pleniącego się na gruzach Warszawy, bezideowego lecz żywotnego sprytu niejedną dawkę otuchy, boć spryciarstwo sąsiadowało tu z junactwem a szwejkowski cynizm z nieuniknionym na swój sposób pozytywnym produktem kłęski: trzeźwym, narodowym realizmem. Tak, sprawa nie była prosta, nie ma w ogóle w tym kraju spraw prostych, tyle że długo, okropnie długo to

wszystko trwa, w perspektywie zaś czasu każda rzecz traci swój przyrodzony blask, szarzeje, pospolicieje, trywialnieje, urok jej się ulatnia — nie ma uroków stałych, stąd biorą się wszakże zmiany wszelkiej mody.

Urok powojennej Warszawy najlepiej byłoby kontemplować z knajpy, lecz tu właśnie zaczynała się tragedia, śmieszna tym razem tragedia, jeszcze jeden mankament kosmetyczny, wniesiony przez komunistów do polskiego pejzażu. Rzecz w tym, że warszawskie knajpy były teraz ohydne, duszne, cuchnące, rozwrzeszczane, z arogancką obsługą i pijanymi od rana gośćmi. Jak do tego doszło, że uszła z tych uświęconych tradycją miejsc („... *matką moją jest knajpa...*”) wszelka przytulność i kontemplacja, wszelki wdzięk i bezpieczne ciepło? Gdzie ulotnił się urok przedwojennych, drugorzędnych choćby barów, takich jak „Kokos” na Nowym Świecie czy „Satyr” na Marszałkowskiej, których esencjonalnego zapachu, będącego wspólnym bukietem wina, piwa, miodu i wytrawionego bigosowego mięsiwa, Roman nie zapomni aż do śmierci, podobnie jak Proust nie zapomniał legendarnego aromatu porannej czy popołudniowej herbaty swego dzieciństwa. Nigdy przy tym nie było tam tłoczno, a najeść się było można za 50 groszy, otrzymując znakomity bigos, jakiego nie zna dzisiejsza Polska, dowolną ilość chleba oraz duże piwo, znowu istny poemat, pomijając już fakt, że podawane ono było w na pewno czystym kuflu, zaopatrzonym w okrągłą, malowaną podkładkę — takich rarytasów nie uświadczysz dzisiaj, jak Polska Ludowa długa i szeroka, od Małkini do Kunowic i od Przemyśla do Szczecina. Dlaczego owe drobne knajpowe uroki były dziś niemożliwe? Mało szanowny choć zdolny radziecki pisarz, onże wynalazca terminu „odwilż”, posiadający nawet urzędowe pozwolenie na strojenie zachęcających żartów dla zagranicy, powiedział kiedyś w Warszawie, że socjalizm ma dwie słabe strony: gastronomię i sztukę. Hm, szło więc tutaj o dwa uroki życia — czyżby rację miał warszawski dowcip, twierdzący, że z socjalizmu nie należy się śmiać, bo socjalizm to nic wesołego? Drugi znów dowcip stwierdzał, że w socjalizmie bohatercko pokonuje się trudności, których nie ma w innych ustrojach. Tak czy owak, trudności z gastronomią pokonać się jednak nie udawało; łączyło się to zapewne z nieograniczoną możliwością nadużyć, nasuwającą się w tej branży. Olbrzymia pomysłowość Polaków święciła tu tryumfy, o których nie śniłoby się słynnym w historii z chytryści Fenicjanom, Ormianom czy Żydom: nie dolewano do pełna piwa, rozwadniano wódkę, fałszowano rachunki, zmieniano receptury (*znów nowe, uroczyście słowo!*), pomniejszano porcję, dokonywano tysiąc i jedną misterną operację, aby bliski tutaj, wręcz fami-

liarnie płynący strumień pieniędzy skierować do własnej kieszeni. Cała zresztą Polska była wielkim kłębowskiem misternych machinacji, mających na celu zrekompensowanie niskich, nie wystarczających płac, machinacji, wyzyskujących fakt, że złodziejstwo jest w socjalizmie pojęciem względnym i płynnym, podobnie jak prawo, oparte na milionie przepisów, których nikt nie jest w stanie naraz zapamiętać, a także jak własność, rozparcelowana między przeróżne ogniwa administracyjne, bezosobowa i tajemnicza, przy tym w założeniu upowszechniona, społeczna, więc dostępna do spoufalenia się z nią: nikt tu za nic nie odpowiada, ale każdy w stosownej chwili, korzystając z ogólnego bezhołowania, może się przyznać do tego czy owego. Zwłaszcza jednak mieli po temu okazję gastronomiczy, jako że zawód to nie typowy i po trochu, podobnie jak literacki, indywidualny, więc trudny do skontrolowania. Toteż na ogół bez przeszkód działało się w nim to, co się działo, od czasu do czasu wybuchwały tylko wielkie prasowe krzyki o złodziejskich gangach w restauracjach, czy wielkich samoobstugowych barach, które to lokale zresztą na zasadzie dziwnego, wyimkowego obliczania okazywały się zawsze deficytowe, choć żyło z nich i to dobrze mnóstwo ludzi. Oczywiście, gdyby knajpa miała osobowego czyli prywatnego właściciela, ten by nie kradł, bo któż okrada sam siebie, nie tolerowałby też deficytu, płynącego z własnej kieszeni, zależałoby mu również, aby zaletami swego lokalu przewyższyć konkurencję. Ale chcąc mieć prywatne knajpy, trzeba by zmienić ustrój, a ta rzecz nie wchodziła w grę, ustrój był bowiem święty, co wiedzieli wszyscy, choć nie wiedzieli dlaczego, zresztą nikt o to nie pytał, świętość wszakże nie wymaga wyjaśnień, zaś ustrój to jak pogoda: nie zależy od ludzkiej woli. Tak czy owak, z knajp całej Polski a zwłaszcza Warszawy niósł się fetor nieświeżego jadła i ochryply chór pijackich głosów: w nicość rozwiła się legenda przytulnych, małych restauracyjek, gdzie nad kuflem piwa pomedytować można w wolnej chwili o przemijaniu wszechrzeczy, uwidocznionym zwłaszcza arcywyraźnie w nieprawdopodobnych dziejach rodzinnego miasta. Tę kontemplacyjną funkcję restauracji (zwanej dziś, jakby dla naigrania się z wszelkiego wdzięku, „zakładem zbiorowego żywienia”) przejęła w dużym stopniu kawiarnia: warszawskie kawiarnie miały swe rozliczne uroki i nastroje, przy tym nie łupiono w nich na ogół skóry i nie kradziono tak nachalnie, raczej dyskretnie, a natłoczone po wręby bywały zwykle dopiero pod wieczór, kiedy rzuciła się na nie wielkomięjska młodzież, spragniona wciąż nie dostatecznie przydzielanej, przez to zaś przesadnie cenionej i pożądanej rozrywki. Pewien rosyjski poeta, urodzony pono w Warszawie i nieustannie za nią stęskniony, a w ogóle Żyd, napi-

sał nawet o warszawskich kawiarniach i ich kelnerkach ekstatyczny poemat — istotnie, w Moskwie niczego takiego nie ma i pewno nie będzie. Roman w pełni doceniał kawiarniane nastroje i wdzięki, świadectwem choćby rola, jaką w życiu jego odegrało zawieszony wśród morskich wichrów sanktuarium zwane „Srebrnym Jarem”, jednakże, na zasadzie jakiejś niepisanej przedwojennej tradycji uważał, że myślenie o dawnej Warszawie i, jak popularnie mówiono „o starych Polakach”, winno się odbywać nie w kawiarni lecz w knajpie, skoro zaś z wiadomych powodów nie jest to możliwe, wolał kontemplować nową stolicę podczas nieskończonych pieszych wędrówek, które przecież także należały do życia, choć na pozór stanowiły w nim wyrwę, interwał ciszy i skupionej dystrykcji.

Jedna z takich wędrówek wyprowadzała na przykład Romana Zaleskiego daleko poza dawne wojskowe, a obecne, jak mówiono, komunalne, cmentarne Powązki, na ogromną równinę, zasłaną kupami wywożonego tu gruzu, kamienia, śmiecia, na istną podmiejską szmacianą Saharę, mocno cuchnącą i zgoła pustynną, bo jakież wariat by tu chodził. Gdy spojrzano się stąd ku północnemu wschodowi, zaskoczonym oczom prezentowało się na horyzoncie wyniosłe gniazdo różnokolorowych drapaczy chmur, istny mazowiecki Nowy Jork czy raczej Manhattan, tym wynioślejszy i bardziej malowniczy, że skonstrastowany z prymitywem szarych, nieraz jeszcze strzechą krytych chat tutejszych podstołecznych wiosek. Obok tej powietrznej oazy, jakby wyczarowanej na tle nieba częstym w pustyniach, imaginacyjnych zjawiskiem zwanym fatamorgana, czerniał dalej olbrzymi kompleks przysadzistych, wielokształtnych budowli i przecinały niebo smukłe pasma szeregu kominów. To była głośna warszawska Huta, „wizytówka socjalizmu” i dzielnica wysokościowców, rozbudowywanych daleko od miasta, wbrew na pozór wszelkiemu sensowi, ale za to dla rzekomego czy w końcu rzeczywistego dobra klasy robotniczej. Ekonomiści i urbaniści prychnali na to ze złości, lecz na przekór wszystkim dzielnica rosła i rosła, choć brak tu było dotkliwie sklepów, kin, telefonów, transportu, tudzież dziesiątka innych urzędzeń cywilizacyjnych. Oczywiście — można budować olbrzymie, napowietrzne kondygnacje pełne małych hałaśliwych mieszkańek niczym gigantyczne plastry miodu, można obstarwić nimi przedmieścia i dalekie pustkowia, w ogóle można wszystko, gdy nie wiadomo co ile kosztuje i ile daje zysku, gdy nikt za nic nie odpowiada, a już na pewno nie odpowiada ten, co rzeczywiście zawinił (*na przykład Karol Marks*), można obsiać miasta budowlami, oznaczającymi gospodarcze dziwactwo i powszechny zamęt na które to rzeczy nie ma żadnych sposobów zapobiegawczych,

bo trzeba by wydać milion nowych zarządzeń, tymczasem każde z nich ściągałoby nową lawinę dziwactw, nie zaradzi zaś temu żadna administracja, którą obarczono nadludzkim zadaniem zarządzania WSZYSTKIM, zdejmując jednocześnie wszelką troskę i odpowiedzialność z ramion zdzienniałego i mało pracą przejętego, nowego przybyłego ze wsi tutaj, społeczeństwa. W dziwnej próżni można dziwnie działać, to prawda, ale Roman nie był skłonny przejmować się tym tak bardzo jak przejmowali się jego zbuntowani koledzy ekonomiści czy urbaniści, których bunt zresztą wyładowywał się raczej w czterech ścianach i w prywatnych rozmowach, aby na zewnątrz, osobliwym trafem, przekształcić się we właściwą dzisiejszym Polakom przymilną uległość, z jaką przyjmowali każdą decyzję każdego niezbyt świadomego rzeczy działacza Partii „z dzielnicy”.

Roman mniej się tym wszystkim przejmował, jako że, po pierwsze, rodzinną swą stolicę utracił już był w latach 1939-45, w ogóle zaś żyło w nim zawsze dwóch Warszawiaków: jeden, który wzruszał się i wdychał u stóp cudem ocalałej, pięciopiętrowej secesyjnej kamienicy na rogu Nowogrodzkiej i Poznańskiej (*po przeciwnej stronie owego wielkiego, mieszczańskiego hotelu, oazy dawności*) i drugi, turysta, łazik, oglądacz, co powtarzał sobie za pewnym starym poetą polskiego Renesansu: „... niech inni za łby chodzą, a ja się dziwuję...”. Otóż to właśnie: dziwowanie się ma w sobie coś pokrewnego do wzruszenia ramion. Budownictwo jest tak czy owak przejawem czy odzwierciedleniem historii, a że historia to rzecz częstokroć niezbyt poważna, nie może i ono ustrzec się swego przydziału niedorzeczności, która zresztą, po latach, monumentalizuje się i usztywnia, choćby nabierając powagi śmiertelnej, zaczerpniętej ze zjawiska umierania i przemijania gustów: pewien architekt powiedział kiedyś, że w historycznych miastach skazani jesteśmy na nieustanne obcowanie z egzotycznym gustem naszych pradziadków; istny to rzeczywiście masochizm, emocjonować się starymi, obtłuczonymi domami, gdy tyle jest wokół pięknych i nowych. W radykalnie przez wojnę wyburzonej Warszawie rzecz ta groziła zresztą stonkowo mało, choć Ruscy postarali się o dostarczenie miastu potężnej dawki archaicznej egzotyki i staroświecczyny, budując swój trzystumetrowy prawie sobór na Placu Defilad. Roman ze złośliwą satysfakcją patrzył, jak rosnące ze wszystkich stron piękne, choć tandetne, smukłe bloki najnowszych domów obnażają historycznie bezkształtną nieudacność owego Pałacu, zwłaszcza że architektoniczna współczesność zagościła w Warszawie znacznie wcześniej niż w samej zatrzymanej przez Stalina w rozwoju Moskwie, że cała Polska była rzeczywiście „placem budowy” i

powstało w niej szereg paradoksalnych ale konkretnych, młodych miast: paradoksalność minie a budowle zostaną, oby tylko ich materiał nie był nazbyt już tandetny w porównaniu z kamiennym Kolosem Rodyjskim z Marszałkowskiej. Na złość Rusom Roman gotów był nawet pogodzić się z ową bezlitosną utratą ojczystego pejzażu, który zresztą, o dziwności świata tego, przetrwał podobno na niektórych obszarach rozsiadłej na różnorodnych, cudzych kiedyś ziemiach Matuszki Rosji. Jednemu ze znajomych dziennikarzy udało się jakoś dotrzeć do rodzinnych stron, na dawną, historyczną „polską Ukrainę”, do Żytomierza, Berdyczowa i Winnicy — rzecz nie była łatwa, bo cudzoziemcom po Rosji podróżować nie wolno (*chyba zmotoryzowanym Anglosasom, specjalnymi szosami do kurortów Krymu i Kaukazu*) a i tubylcom nie za bardzo. Zdumiony znajomek opowiadał Romanowi w tajemnicy, że tam, na starej Ukrainie, zachowały się, może zresztą jako „strefa graniczna”, niechlujne miasteczka i drewniane wioski sprzed lat pięćdziesięciu, że brak dróg i sklepów, że czas jakby stanął w miejscu a nawet się cofnął, wyjąłowiono bowiem ziemię, wyorano dawny cudowny czarnoziem, stary pejzaż ostał się więc, przetkany nieznaną tu niegdyś rolną jałowizną. Roman słuchał tego chętnym uchem, godziło go to nawet z dziwactwem dzisiejszej Polski; choć i kochał tamten wiekowy, nieznanany lecz przezuwany wyobraźnią duszy, ukraiński pejzaż, to przede wszystkim podrywał sobie, strugał marksistom marchewkę i grał na nosie, że tak gruntownie grzęzną w irracjonalnych nieprawidłowościach świata tego. Rację miał Kazik B..., gdy mówił o zacofaniu materialnym tej strony świata, jej tradycjonalizmie, z których to właściwości stworzyć sobie można jednak jakiś polski duchowy puklerz. Przeciw czemu? Ano, tego właściwie dobrze nie wiadomo — czyżby znów owa, żartem sformułowana, bezrozumna politycznie choć narodowo jedynie sensowna i godna idea przedmurza obrotowego, i przeciw Wschodowi i przeciw Zachodowi? Roman często łapał się teraz na tym, że myśli Kazika B... w jakiś sposób przypominały mu jego własne, zresztą skoro zapamiętał słowa tamtego swoim umysłem i zapisał je swoim stylem, to w końcu jedno nieodwracalnie przesiąkło drugim i nie dawało się już tego oddzielić, Kazik B... stawał się więc pomocniczym elementem jego wewnętrznego monologu, podobnie jak Ojciec, Andrzej, Bluzeczka, Krytyk R.... Wszystko przenosiło się zatem w sferę myśli, wyobraźni, mieszał się czas, zacierały granice między osobami, ich słowami czy wnętrzem, świat odrealniał się, stawał się widmowy, jako jedyny konkret jawiły się mury nowych dzielnic na północnych, południowych czy wschodnich krańcach nowej, zaskakująco rozległej Warszawy, mury, bloki, pejzaże uliczne, mijane

w nieskończonych przechadzkach i wędrówkach: były konkretem, bo przetrwają i napełnią się, nasiąkną nowym życiem, bez względu na swą osobliwą genezę, na niepojętą częstokroć czy niedorzeczną symbolikę, jaką reprezentują w dniu dzisiejszym, w określonym, choć wciąż się zmieniającym (godziny i dni nie stoją lecz biegną) miejscu, czasie, okresie historycznym. Żyjemy w historii, wczorajsza rzeczywistość dziś jest już bowiem historią, wokół, w hałaśliwych pustaciach między smukłymi wieżowcami nowych dzielnic, mrowi się oto młodzież, której przed komunizmem nie było na świecie, która widzi wszystko inaczej, bez owej perspektywy minionego czasu, perspektywy, poszerzającej wszakże na co dzień wyobraźnię Romana i jemu podobnych, chyba że, niczym Kazik B..., za pomocą chytrego zabiegu strukturalnego uodpornią, przez to zaś zmieniają swoją psychikę. Zdziwiający to wszystko ale jakżeż nieodparte — aż dziw, że otuchę zaczerpnąć można w tym wypadku z krzepiąco już niezmiennych, choć nowych krajobrazów ulicznych przetworzonej Warszawy.

O pejzażach miejskich, powstających na naszych oczach, powiedzieć można co najwyżej, że są pomnikiem szaleństw władców, a tak przecież było zawsze, to przynajmniej jest stałe czyli normalne. Napoleon III nie był władcą najmądrzejszym, jednakże pozostawił Francji przepiękny Paryż z Wielkimi Bulwarami, przetrwanymi pono wśród kamienic, aby móc w razie rozruchów toczyć nimi artylerię. Ciekawa to rzecz, jak bardzo absolutna jest władza polityków a zarazem jak szybko przemijają ich koncepcje, pozostawiając tylko swój intencjonalny pomnik w postaci budowli, świadczących o czym innym i służących do czego innego, niż pierwotnie, często niedawno, było zamierzone. Władcy średniowiecza, wznoszący wspaniałe, do dziś nie prześcignione katedry, zamki i fortece, sądzili, że dynastie przez nich stworzone nigdy nie odejdą, bo ich władza pochodzi od Boga. Komuniści sądzą, że ich ustrój nigdy nie upadnie, bo opiera się na bezbłędnym poznaniu i wykorzystaniu praw historii społecznej, przeznaczającej teraz główną rolę nowej, przez nich rzekomo reprezentowanej a na pewno przez nich na sztandar wciągniętej grupie ludzkiej czyli, jak mówią, klasie. A więc — historia i klasa jako Bóg. Ale — myślał Roman — żadna ludzka władza nie pochodzi od żadnego Boga: przynoszą ją oraz obalają tajemnicze przypływy i odpływy, oparte na prawach, których nasz mózg na dłuższą metę nie ogarnie, założywszy, że są tu w ogóle jakieś prawa, że samo pojęcie „prawa historii” nie jest jedynie ludzkim wymysłem, hipotezą pomocniczą, czyli, jak to teraz modnie mówiono, strukturą.

Oczywiście, komuniści, oprócz wiary w swe posłannictwo his-

toryczne i naukowe, mieli również sporą dawkę realizmu a także pesymizmu wobec człowieka i jego natury — po trochu tak jak chrześcijanie. Ten właśnie pesymizm podyktował im ich koncepcję rządu, ów system, gdzie każda instytucja, każda organizacja czy związek jest placówką władzy — jednej jedynej, zarazem politycznej, gospodarczej, kulturalnej, psychologicznej — wszelkiej. Unerwieniem systemu stała się właśnie sieć sekretarzy partyjnych, ujmująca kraj centralnie, jak pajęczyną; poszczególnymi węzłami owej pajęczyny są sekretarze wojewódzcy, sprawujący na swym regionalnym terenie gestię dyktatorską. Na czubku zaś hierarchicznego stożka czy piramidy znajduje się grupka ludzi, znanych społeczeństwu tylko z nazwiska, z twarzy (*telewizja, rzecz nieuniękniona*) i z bardzo długich a odznaczających się zawsze tą samą treścią i formą przemówień — trudno więc o rzeczywistą znajomość, skoro ściśle konwencjonalna mowa owych ludzi, wedle wskazań, starego Talleyranda, służy tu najwidoczniej do ukrycia myśli.

Cały ów system władzy politycznej funkcjonuje jak na razie bezbłędnie, odznacza się świetną organizacją, uderzająco kontrastującą z panującym poza tym bezradnym zamętem — tak jakby na utrzymaniu władzy i jej hierarchii wyczerpał się cały istniejący w społeczeństwie zasób uzdolnień organizacyjnych. Władzy tej niesposób, wydawałoby się, usunąć, bo milionowi jej, choć bezwolni uczestnicy, olbrzymia armia ludzi, otrzymujących państwową pensję i powiązanych tysiącem najrozmaitszych zależności z państwem i ze sobą, owi najwierniejsi pretorianie systemu, pozostaliby bezrobotni, niczego innego wszakże robić już nie potrafią, nie byłoby przy tym następców, nie byłoby komu przekazać ich funkcji, gdyż wszelkie inne poza oficjalnymi związki i ruchy społeczne pieczołowicie zostały zniszczone, rzecz dzieje się zaś w kraju, gdzie od stuleci o władzy decydowały przeważnie nie ruchy społeczne lecz mafie. W sumie doskonały to twór i pomnik pesymizmu oraz nieufności rządzących wobec rządzonych, pesymizmu przy tym zaraźliwego, gdyż udzielającego się każdemu, najmniejszemu funkcjonariuszowi, w postaci bojaźliwej ostrożności wobec czegokolwiek nowego: rządzący dialektycy chcą przez powszechne wpojenie owej ostrożności usunąć z góry i o ile możliwości na zawsze groźbę jakiegokolwiek wstrząsu czy przewrotu, ryzyko jakiegokolwiek nie przewidzianej przygody, za ostrożność tę zaś płacą społeczeństwu przysłowiową „małą stabilizacją”, nijakość indywidualnego życia rekompensują średnim ale zapewnionym jego poziomem, korzystając przy tym z nieustannego wchodzenia na arenę coraz to nowych pokoleń, mających coraz mniej wspomnień i coraz węższą skalę porównań. Są więc nasi czarodzieje

nader ze swego dzieła dumni, tudzież przekonani, że zastosowali dość ostrożności, że ich recepta na historię jest absolutnie skuteczna, chroni od wszelkich niespodzianek. Odkorkowawszy w roku 1945 monstrialnie sprężoną, lecz monstrialnym terrorem zneutralizowaną butelkę, jaką z krajów Europy Wschodniej uczynił naiwny w swym jawnym bestialstwie Hitler, zakorkowali ją następnie znowu, dyskretnie ale trwale. Na jak długo? Oni sądzili, a przynajmniej mówili, że na zawsze, Roman wspominał skrycie, iż najskuteczniejszy jak dotąd korek europejski, ten zaaplikowany staremu kontynentowi przez Święte Przymierze, trwał zaledwie sto lat. — Bagatela, wystarczy i to — powie ktoś „Używajmy póki czas, bo za sto lat nie będzie nas”!

Ale czarnoksiężnicy i filozofowie mieli w zanadru inne jeszcze zabezpieczenie: nie obcy im był widać tajony lęk, ich pesymizm historyczny i społeczny sięgał znacznie dalej, niż można by sądzić na pierwszy, powierzchowny rzut oka. Nie poprzestając więc na doskonałości swego aparatu rządów, skonstruowali ponadto, przy pomocy wypróbowanych już sposobów psychologicznych, drugą linię frontu, tym razem duchowego. Zapragnęli oto, obok władzy i jej atrybutów czysto materialnych, zapewnić sobie także znacznie subtelniejszą gwarancję, w postaci ogólnonarodowej, dobrowolnej a jednomysłnej akceptacji oraz pochwały. I w ten sposób narodziła się tutejsza zdumiewająca koncepcja WYBORÓW.

Roman długo nie mógł pojąć, dlaczego w nowej Polsce poświęca się tyle uwagi rozmaitego rodzaju głosowaniom, nie mającym najmniejszego znaczenia wobec ukartowania z góry wszystkich decyzji, dlaczego w najdrobniejszej sprawie domagano się jednomysłności, a nad kimś wyrażającym powątpiewanie, czy choćby wstrzymującym się od głosu, znęcano się długo i uporczywie póki, wbrew przekonaniu nawet, nie wykrztusił swej aprobaty. Po co komu ta absurdałna jednomysłność, skoro uchwała powzięta większością głosów bardziej by była prawdopodobna i przekonująca? Owa mania jednomysłności osiągała swe szczyty w wyborach wszelkich władz i ciał, z sejmem włącznie, imprezach celebrowanych z absurdałną pieczołowitością, jakby naprawdę chodziło tu o jakiś wybór. Jeszcze przed wojną opowiadano sobie w Warszawie, jak to w Rosji zmusza się ludzi do głosowania na jedyńskich, odgórnie zgłoszonych kandydatów do jakiejś rady czy sowietu, jak setkami kilometrów wozi się chorych ze szpitali po stepach i tundrach, aby oddali swój głos, z jakim ogromnym nakładem starań, środków i nienagannej tym razem organizacji odgrywał się tam ów obłędny akt, zakrawający na gigantyczną parodię, a nie mający najlżejszej praktycznej wagi, gdyż wystarczy-

łoby wciągnąć po prostu wszystkich zarejestrowanych obywateli na listę tych co głosowali: nie tylko nikt by się na to nie oburzył, lecz przeciwnie, wszyscy by błogosławili i byli wdzięczni, że nie zawraca się im głowy w niedzielę (*wybory są w niedzielę, jak nigdyś cerkiewne nabożeństwa*). Tymczasem niewiele upłynęło lat, gdy oto cały ów legendarny proceder, uważany w Warszawie za obłąkany produkt dziwaczного wschodniego ducha, jał się w najlepsze rozwijać tu, w środku Polski, nabierając przy tym z czasem zgoła powszechnej i powszedniej spontaniczności, ba, naturalnej pogody; nikt już nie widział surrealnej groteski czy kpiny, najpoważniejsi ludzie brali rzecz z niewymuszoną prostotą, jako coś oczywistego, familiarnego, co nie mogło wszakże odbywać się inaczej. Ta w biały dzień realizowana psychoza, czyniąca ze wszystkich szacownych obywateli zwykłych wariatów alias dudków czy balonów (*boć wariat tylko głosuje ze skwapliwym, pilnym pośpiechem na to, co dawno już jest przesądzone i ustalone*) funkcjonowała bezbłędnie i samoczynnie; nikt przecież nie stał z batem, nikt nie groził i nie napędzał do wyborczych urn. Owa rzekoma samoczynność całego procesu (*rzekoma, tylko że pierwotne sprężyny przymusu nader zręcznie i misternie pozostawały ukryte, ukryte w czasie i w społecznej przestrzeni, stanowiąc tajemnicę środowisk czy miejsc pracy*), owa jego zewnętrzna zwyczajność i zachęcająca pogoda miały ogromne znaczenie psychologiczno urabiające — zdumiony Roman pojął to po latach, zresztą sama rzecz wszakże doskonaliła się latami, w miarę jak wymierali niepoprawni starzy sceptycy, upierający się że dwa razy dwa to cztery, a za to pojawiało się coraz więcej nie dziwiącej się niczemu młodzieży: aby się dziwić, trzeba mieć ku temu jakąkolwiek podstawę, choćby we wspomnieniach. Zasadniczo jednak terapia psychiczna przynoszona przez takie niewybierające wybory okazywała się skuteczna dla wszystkich, dla starych, młodych i najmłodszych.

Skutki jej, Roman pojął to na sobie samym, działając misternie okazywały się w rezultacie proste. Chodziło o to, że człowiek akceptujący coś na oczach innych sobie podobnych dwunogów, czuje się tym specyficznie zobowiązany: skoro raz już nie sprzeciwił się, co mógł zrobić przez wyborczą absencję lub skreślenie kandydatów (*środki jednak dopuszczone, tu wszakże nie Rosja, noblesse oblige*), głupio by mu było sprzeciwiać się za następnym razem, zdezawuowałby w ten sposób i skompromitował siebie sprzed niedawnego czasu. Wobec tego zaczyna przed sobą samym udawać, że wszystko jest w porządku, normalnie, zwyczajnie, ba, przekonywać o tym innych, to nic takiego strasznego, nie ma problemu ani w ogóle innego wyjścia, po cóż więc się nad tym

zastanawiać. U niektórych ludzi proces ten jest złożony i wielokrotnie powracający, u innych prosty, ostateczny rezultat zawsze jednak okazuje się ten sam: akceptacja zmienia akceptującego, zmienia go przy tym w agitatora, wręcz orędownika całej sprawy, kto bowiem raz zagłuszył w sobie świadomość, że zrobiono z niego człeka niepoważnego, czyli balona, ten nie pozwoli, aby inni zachowali dziewictwo, w dodatku zaś jeszcze mu o tym przypominali. I tak oto jedni oddziałują na drugich, wszyscy działają na wszystkich, proces samoludzenia się postępuje, coraz więcej ludzi dostrzega najwyraźniej piękne szaty gołego króla, kot jak najbardziej dobrowolnie pałaszuje musztardę. Kto wymyślił tę genialną operację? Niektórzy twierdzą, że uczynił to błędzący po kartach historii Żyd Wieczny Tułacz, inni, że wąsaty Gruzin i mało znana ekipa jego pomocników, są i tacy co uważają sprawę za typowy płód odwiecznego, moskiewskiego despotyzmu, sprawującego rząd nad duszami zarówno rękami carów i popów jak też za pośrednictwem ich następcy, filozofa z czarną bródką i mongolskimi kośćmi policzkowymi. Tak czy owak, bez względu na to, kto rzecz zrobił, a raczej przemyślnie zmajstrował (*może nikt, może po prostu natura ludzka, zresztą świadków poczęcia nie ma, bo wymarli*), stała się owa metoda jednym z najskuteczniejszych powojennych czarów, skuteczniejszym nawet od wojny, od czołgów, armat, bagnatów, bo działającym nie na ciała lecz na dusze i to w sposób nieodwracalny, człowiek bowiem, który raz dał się wewnątrznie złamać, nie wyprostuje się już nigdy, co więcej, pomoże złamać innych i to całkiem dobrowolnie, o czym zaświadcza chętnie odwiedzający kraj w czasie owych czarnoksiężskich wyborów cudzoziemcy. Jakaż dziwność a zarazem prawidłowość tkwi w magii i jej sztukach, w jej technice i przeróżnych arkanach!

Magią zresztą nie jest tutaj fakt, że władza przymusza obywateli do robienia tego lub owego — to działo się wszakże czy zdarzało zawsze, w różnych stronach świata, ustrojach, systemach. Magia polega na tym właśnie, że władza tak bardzo stara się o zamaskowanie swego przymusu, nie bojąc się powszechnej o nim wiedzy, że domaga się, aby ludzie głośno i malowniczo deklarowali swą dobrowolność, więcej, aby deklarowali, iż to właśnie oni sami rządzą. Jak to może się udać? — spytałby prostoduszny przybysz z daleka, gdyby w ogóle wiadomość o tego rodzaju historiach doszła jakoś do jego dziecięcej Kanady czy Australii — zresztą nawet w polskich wioskach, dalekich od wielkiego państwowego traktu, nie bardzo się całą sprawą turbowano, żyjąc po prostu, materialnie, czym Bóg da, dorabiając się i pracując gdy było warto. Jak to może się udać? Bardzo zwyczajnie: rządzący znali po prostu pewne prawo psychologiczne: człowiek

mianowicie nie lubi przyznawać się ani przed sobą samym, ani publicznie, że wystrychnięto go na dudka i że ponadto powtarza się ten zabieg nieustannie, wobec tego woli sam (w swoim mniemaniu) strugać z innych tak zwanego głupek, z czasem zaczyna w swą zręczność wierzyć, potem wszyscy zaczynają wierzyć, że nie są balonami czy dudkami, lecz robią coś niesłychanie zręcznego i poważnego, w końcu, kto wie, staje się to rzeczywistością, bo czymżeż jest właściwie ludzka rzeczywistość, jeśli nie owocem powszechnego przekonania, jak to arcysubtelnie wywiódł wybitny wszakże naukowiec, Kazik B...? O tak, mądrze to wszystko zostało pomyślane (*jeśli rzeczywiście przyjąć demoniczne przypuszczenie, że ktoś to sobie tak właśnie pomyślał, nie zaś że natura ludzka normalnie i zwyczajnie grzeszna jest czyli skażona, tudzież niedorzeczna*), rezultatem zaś tych niecodziennych zabiegów okazywało się wzajemne upodobnienie ludzi, czyli owa wymarzona społeczna jedność, jedność o której majaczył Kazik B..., niepomny, że jest to jedność wywołana sztucznie. Ale chyba ów Kazik B... myślał to sobie głębiej, chyba wiedział, że pobudki mogą być sztuczne, ale rezultat z czasem staje się naturalny, podobnie jak w przypadku mrówek i kija? Tak, wiedział na pewno wiedział, Romanowi zresztą myśli własne i Kazika coraz częściej zlewały się w jedno, jakby nie istnieli osobno lecz razem, poprzez pewne sprawy, co znowu dowodziło sukcesu metody czarodziejskiej; nawet absurdalne kłamstwa, aplikowane uporczywie, służą przemianie języka, w którym chodzi raczej o rytm i melodię niż o treść, a znowu język urabia myśli. W ten sposób im bardziej akrobatyczne byłyby sztuczki myślowe do których przyuczano społeczeństwo, tym bardziej upodabniały one wzajemnie ludzi — bo indywidualiści nie rodzą się w kolektywnych zespołach lecz w samotności, na pustyni. Jednomysłne głosowanie, wspólne powtarzanie zbitek słownych, to były przejawy owego strukturalizmu, w którym Kazik B... widział instrument jednoczenia społeczeństwa, jednoczenia myślowego; tu właśnie dopatrywał się jedynej narodowej korzyści i przewagi, które przeciwstawić by się dało cybernetycznemu rozmachowi zachodniej, amerykańskiej strefy świata. Zautomatyzować społeczeństwo tam, znaczy oddać je w służbę komputerom, tutaj natomiast oznacza to przekształcenie narodu w jeden wielki komputer, w jednolicie zaprogramowany mózg, uwolniony od zbędnej różnorodności poglądów i stanowisk. Komputeryzacja ludzkiego mózgu wymaga komputeryzacji języka, niewielki repertuar słów to odbicie pewnego stanu umysłu. O to na pewno szło Kazikowi B..., zawiedzionemu miłośnikowi najbardziej nowoczesnej i rozwiniętej techniki świata, ale czy rozumiał on, że cybernetyczna jedność poglądów, za pomocą której

chciał wynagrodzić sobie swą nieszczęśliwą miłość do sztucznych mózgow, służyć może w Polsce tylko jedynej sprawie: bezpiecznemu i nieskończonemu utrzymywaniu się władzy czarodziejów, wirtuozów skomputeryzowanego języka ideowo-politycznego?

Tu już znowu niesposób było nie przypomnieć owej proroczno trafnej wizji orwellowskiej „nowomowy”: mianowicie w roku 1984 postanowiono stworzyć i wprowadzić do wyłącznego użytku język, w którym nie da się wyrazić żadnego innego poglądu niż obowiązujący, język w którym nie będzie słownych symboli dla wyrażenia negacji, krytyki, zastrzeżeń, niewiary; a przecież coś, co jest niewyrażalne, nastęcza wątpliwości co do samego swego istnienia, któż zaś będzie walczył o rzeczy nieistniejące? Tak, Roman wczytując się od lat w prasę, wsłuchując w radio i telewizję, śledząc przeróżne deklaracje, uchwały, rezolucje, dostrzegał wyłaniające się z tego wszystkiego zarysy schematycznej Nowej Mowy, bez której mówcy i dziennikarze nie mogli się już w tym kraju obyć. Zaprogramowanie społecznego mózgu nowym językiem — cóż za idea. A do tego jakże sugestywny jest rytm owej codziennej, nieskończonej litanii pochlebstw pod adresem ustroju i rządu, litanii, natężeniem swym i przenikliwą wibracją przypominającej wschodnie śpiewy sławiących Allacha muezzinów. Nie raz, spacerując u stóp wielkich budowli socjalizmu (*w prasie pisywano „wielkich budów socjalizmu”, nie troszcząc się o dźwiękową asocjację ze słowem „buda” — automatyczny mózg nie chwytą bowiem irracjonalnych pozaprogramowych skojarzeń*), nie raz podnosząc oczy ku bezkresnym, napowietrznym tablicom ścian pokratkowanych mnogością prostokątnych okienek, Roman badał, czy posiada już równie pokratkowany umysł, badał to w sposób dwojaki: z jednej strony próbował wyrazić codzienne tezy propagandowe w języku własnym, z drugiej recytował sobie najczęściej używane, najbardziej wytarte zbitki i „ersatze” słowne, kontrolując, jak bardzo go one jeszcze rażą i czy aby nie zaczyna się do nich przyzwyczajać. Miał już zapisaną długą ich listę a ciągle dodawał nowe, delektując się nimi, jak ulubionymi przysmakami czy zapachami. Kiedyś w „Srebrnym Jarze” zadziwił tą czynnością Białą Bluzeczkę, wciągał bowiem wtedy do swej kolekcji notowane na gorąco okazy z pism nadmorskich. Później, dla odmiany, recytowanie takich długich drętowych litanii (*warszawski, niezawodny kiedyś humor ochrzcił Nową Mowę — drętwą mową, nazywano ją też „mowa trawa”, odpowiednik starego „austriackiego gadania” w Galicji*), deklamowanie ich w różnych intonacjach głosu, stało się jego obronno-zaczeptym instrumentem wobec Bluzeczki i jej świata, specjalnie dla niej uczył się na pamięć owych szyderczych zestawień, które powtarzał w nieskończoność,

podczas zimowych spacerów po owianym niosącymi śnieżny pył wiatrami Placu Defilad. Zresztą mowę-trawę dostrzegały czasem i elitarne „odwilżowe” kabarety, pokpiwając z niej sobie, co nie przeszkadzało jej rządzić nadal, tak jak docinki nadwornego błazna nie odbierają splendoru i władzy monarsze. Ale dla Romana drętwa mowa była nieraz ratunkiem, powtarzanie jej sobie utwierdzało go w oporze, w intencji wzruszenia ramionami, w świadomości istnienia własnej, nieskomputeryzowanej osoby. Gdy tylko czuł się niepewnie, wyciągał którąś ze swych sławnych prasowych serii, choćby tę oto, najważniejszą, ideowo-polityczną. Słuchajcie ludy, słuchajcie narody, nie potrzeba wszakże nic więcej, aby móc i chcieć nareszcie a skutecznie WZRUSZYĆ RAMIONAMI. Słuchajcie oto i czytajcie, słuchajcie uważnie, uczcie się na pamięć, jeśli jeszcze nie umiecie, uczcie się i recytujcie, to przecież wasza codzienna modlitwa, wasza melodia, wasz rytm myśli, wasze Credo, wyrażone hieratycznym, zawsze jednakowym doborem i układem specjalnych słów. Na przykład:

Burzliwy rozwój. Burzliwe manifestacje. Ofiarna praca. Kluczowy przemysł. Węzłowe problemy. Aktywnie realizować. Głębokie zaangażowanie. Nieugięty, niestrudzony działacz społeczny, nieustraszony żarliwy bojownik o sprawę ludu. Bohaterowie pracy socjalistycznej. Obywatelskie wychowanie załogi. Szerokie zaangażowanie załogi. Dojrzałość polityczna załogi. Rzetelna gospodarska troska. Świetlane jutro. Związek bojowników. Płomienny patriotyzm. Zewrzeć szeregi. Piętnować, demaskować, dać godną odpawę. Prowokacyjne poczynania. Niemiecka buta. Cyniczna prowokacja. Brutalne pogwałcenie. Haniebne fałszerstwo. Bezczelne zakusy. Pirackie naloty. Brudne intrygi. Brudna wojna. Wyssane z brudnego palca. Dążenie odwetowe i agresywne. Histeryczna krzykliwość odwetowców. Godna postawa narodu. Prastare ziemię. Pradawne ziemie. Wyzuci z ojcowizny. Marksizm — leninizm — internacjonalizm — patriotyzm. Obywatelskie wystąpienia. Jedność, suwerenność, niepodległość. Bohaterska klasa robotnicza. Terenowe organy władzy ludowej. Bohaterski proletariat. Owocna praca. Bohaterska rewolucja. Kompleksowa koordynacja. Optymalne rozwiązanie. Dalszy rozkwit. Doskonalenie kadr. Szkolenie ideowe. Analiza rezerw zdolności produkcyjnych. Nakreślić plany. Aktualna sytuacja polityczna i gospodarcza kraju. Powszechna aktywność polityczna klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. Kontrola realizacji postanowień instrukcji sekretariatu. Niezlomna jedność. Płomienny zryw. Płomienny, nieugięty, nieustraszony, żarliwy, bohaterski. Pełna zgodność poglądów na wszystkie poruszane zagadnienia, niewzruszona partyjna solidarność. Głębokie sprzeczności. Prowokacyjna decyzja. Skorumpo-

wana klika. Marionetki imperializmu. Ręce precz... Brudne interesy monopoli. Brutalna agresja. Perfidna dywersja. Braterska przyjaźń, jedność, jednomyślność, pełne zrozumienie. Głęboko serdeczny przebieg braterskiej wizyty przyjaźni. Wielki syn bohaterskiego narodu. Wierny syn macierzy. Powrót do macierzy. Szczera partyjna atmosfera. Renegaci sprawy socjalizmu. Pełna niezawisłość, wolność, suwerenność. Umacnianie jedności i wszechstronnej współpracy. Dalsze doskonalenie metod politycznego kierowania przez partię działalności systemu państwowego i gospodarczego. Kierownicza rola partii. Walka z agresją. Wojna narodowo-wyzwoleńcza. Demaskowanie prawdziwego oblicza faszyzmu. Sztandar nieugiętej walki z kolonializmem. Aktywnie przeciwdziałać dywersji ideologicznej. Aktywny udział w kampanii. Umacnianie jedności całego antyimperialistycznego frontu. Ośrodki imperialistyczne i siły rewizjonistyczne. Bezczelna prowokacja. Drobnomieszczański oportunizm. Bezklasowy liberalizm. Szkolenie kadr ideowych. Wyszukolenie bojowe i polityczne. Działalność ogniw gospodarczych i partyjnych. Aktualne zadania instancji i organizacji partyjnych. Komórka partyjna. Placówka ideowa. Placówka handlowa. Placówka kulturalna. Placówka oświatowa. Front kulturalny. Front ideologiczny. Front gospodarczy. Front oświatowy. Najofiarniejsi synowie. Reakcyjna junta. Szalejący terror. Płomienny apel. Bezkompromisowe wystąpienie. Odważne wystąpienie. Bohaterskie wystąpienie. Wolność i sprawiedliwość społeczna. Haniebna prowokacja. Kategorycznie piętnować. Narastające sprzeczności. Zespalenie organizacji partyjnych. Szeroki aktyw partyjny. Podstawowa organizacja partyjna. Stałe doskonalenie pracy podstawowych organizacji partyjnych wszystkich szczebli. Węzłowe problemy. Węzłowe zagadnienia życia partii i instancji partyjnych. Węzłowe trudności. Jak najszersze zaangażowanie aktywu i załóg dla uczestnictwa w pracy nad planem. Wskazywanie źródeł rezerw. Dalsza owocna praca w służbie partii i socjalizmu. Budownictwo socjalistyczne. Ludowładztwo socjalistyczne. Niewzruszalne fundamenty. Wieczysta przyjaźń. Braterska przyjaźń. Nikczemne knowania. Barbarzyńskie zbrodnie imperialistycznych interwentów. Światowy system socjalizmu. Brudna wojna imperializmu i monopoli. Wspólny wróg ludzkości — imperializm. Antyimperialistyczny ruch mas ludowych. Odrażające zbrodnie amerykańskich interwentów. Zbrodnie izraelskiej soldateski. Zbrodnicze knowania międzynarodowego syjonizmu. Narody walczące o pokój, niezależność narodową, demokrację i postęp społeczny. Skorumpowany reżym utrzymywany na bagnietach imperializmu amerykańskiego. Socjalizm przyszłością świata. Systematyczna praca instancji partyjnych wszystkich szczebli, ich egze-

kutyw, wydziałów i komisji problemowych oraz podstawowych organizacji partyjnych. Klasowe podejście. Walka klasowa. Nieugięta walka klasowa. Bohaterska walka klasowa. Płomienna walka klasowa. Zwycięstwo przodującej klasy. Świetlana przyszłość. Świetlana przyszłość! Świetlana przyszłość!!

Takiej dziwnej mowy przed komunizmem w Polsce nie było i nie było jej w ogóle nigdzie w normalnym (*zachodnim?!)* świecie. Roman czytał kiedyś deklarację ideową polskiego Wielkiego Maga, przełożoną na angielski: ogromnie było zabawne obserwować, jak rzeczowy, handlowy wręcz język wyspiarzy nie mógł sobie ani rusz dać rady z patetyczno mechanicznym zestawem zakłęb. Mowa, zwana drętwą, wyraża bowiem światopogląd magiczny, świat fetyszów, symboli, znaków umownych, zawiera się też w niej abrakadabra syntetycznych dźwięków, emitowanych przez zaszyfrowany, potem rozregulowany lecz działający nadal na prądzie mózg elektroniczny. Osobliwe jest przy tym słowotwórstwo tej mowy — sąsiadowały tu z sobą wyrazy, zaczerpnięte z wiecowych nawoływań, ze starych kazań, z książeczki dla dzieci, z dzieł naiwnych romantyków, z doraźnej dziennikarskiej potrzeby, ze źle zapamiętanych pamfletów, a także z równie źle przetłumaczonych traktatów marksowskich. W sumie osobliwy zestaw, mimo to jakże jednolity! Niezwykła to sprawa, trudna do pojęcia, choć przecież zdarzyła się naprawdę. Ale czy aby naprawdę? W istocie Roman nie miał dziś żadnych gwarancji co do realności i tożsamości otaczającego świata. Skoro Anglicy nie umieli tego przetłumaczyć, to może jednak nie działa się to naprawdę tylko na niby, w przenośni, dla próby, dla żartu?!

Jednakże dla Bluzeczki nie było w Magicznej Mowie nic niezwykłego czy zadziwiającego: przyjmowała ten język z ufną prostotą, czerpiąc zeń ukojenie jednoznaczności. No tak, Bluzeczka była z nowego świata, ale smutniejsze, że również i Andrzej nie przywiązywał do sprawy takiego znaczenia jak Roman. Co prawda on tam w tym swoim Monachium zatracił z kretesem poczucie językowe, polskość oddaliła się odeń i jakoś uogólniła, zamazała, jak daleka niewyraźna postać o zmierzchu, na jeremiady Romana odpowiadał niczym Kazik B..., że mianowicie za Sanacji też trajlowali w kółko aby „kuć zrąb”, „dźwigać wzwyż” i czcić „naszego drogiego, dzielnego wodza”, odrzucał bowiem specyfikę komunizmu bez żadnych dyskusji (jemu łatwo!) i nie chciał się wgłębiać w rzekome subtelności lingwistyczne metody przerabiania ludzi. Nową Mowę w Polsce przeczuwał kiedyś ojciec Romana, no i oczywiście znał ją, a także sprytnie nią władał, zadziwiający Kazik B..., on ją przecież właściwie gloryfikował, na swój po trochu dwuznaczny, po trochu perfidny sposób. Ale

Roman był literatem, mowa to jego jedyny dobytek, jakże więc tracić ją i to w tak tajemniczy sposób? A jeżeli nie ją, to tracić odbiorców polszczyzny normalnej, boć za parę pokoleń język się nagnie, uprości, zaś wrażliwości ludzkie upodobnią się do siebie, jak obłe kamienie w górskiej rzece czy niezliczone ziarna we młynie. I co wtedy?

Oczywiście — można nie być literatem, nie musi się; Roman myślał nawet o tym w pewnym okresie niejakiego zafascynowania Polską Ludową, kiedy to postanowił zostać społecznikiem i służyć ojczyźnie takim piórem, jakiego ona wymaga. Literatura nie jest najważniejsza, ale należało zbadać, jak to owi uparci czarodzieje, niszcząc dla siebie wiadomych celów możliwość jej istnienia, wywiązują się za to z problemów materialnych, które przecież uznawali niegdyś za najważniejsze. Dziwny, nie prosty rysował się w tej dziedzinie Romanowi obraz, w Polsce oczywiście, nie w tajemniczej a nieszczęsnej, niedostępnie gigantycznej Rosji. Wszystkie bogactwa i środki produkcji miały tu być własnością ogólną, tymczasem, w nowych tyglach miejskich powstało zbiorowisko ludzi nic nie posiadających, biorących państwową pensję i spędzających życie na wzajemnych walkach, kręctwach i zabiegach, aby swój dochód prywatnie a nielegalnie zwiększyć. Teoria była piękna, praktyka okazała się miałka, prozaiczna, groteskowa. Czy w oparciu o tę że teorię może powstać inna praktyka (tak wierzył ojciec), czy też siły tarcia, bezwładu, przyciągania muszą zmienić każde ludzkie ideowe uplanowanie w wysiłek niezdarny i sprzeczny w sobie, zaś rojeniom myślicieli z Trewiru czy skądinąd nadać po latach piętno naiwnego, bo niezamierzonego komizmu?

Tyle, że w nadwiślańskiej ojczyźnie nie żyło się przecież w końcu źle. Tocząc dialogi z samym sobą, Roman nieuchronnie powoływał na świadka prywatną, szczęśliwym trafem naprawdę „gospodarską” polską wieś, teraz także zamajaczyła mu pewna beskidzka miejscowość, niegdyś galicyjska dziura zabita deskami, gdzie po lesistych dookołnych grapach snuły się mgły na przemian ze słońcem i wiatrem, a w dole nad bystrą, żółtą po deszczach, kamienistą rzeką, gnieździli się w drewnianych domostwach ludzie anemiczni, zreumatyzowani, niedożywieni, ludzie bez przyszłości. Dzisiaj wioska beskidzka ożyła, pracowano tu i tam, rodzinnie, na parę frontów, bałagan był i zła organizacja, ale jednak uczone dzieci, budowano się, emigrowano nie do Ameryki lecz do miast na Śląsk, na Zachód. Działo się to jakoś mało socjalistycznie czy komunistycznie (*lud wiejski socjalizmu nie lubi*), na zasadzie swego „mikroklimatu”, ale przecież działo się, czyżby więc i tutaj siła „chcąca zła” (*der böse Geist*) stwarzała mimowiednie

dobro, bo zamiast prób realizacji absurdalnie papierowej doktryny, powstawała oto wymykająca się uplanowanym normom nowa, organiczna rzeczywistość? A przy tym drętwej mowy nikt tu przecież nie słuchał, gazet nie czytano, w telewizji wybierano zachodnie filmy, wiejskie perkate chłopaki zapuszczali kędziory do ramion, imitując londyńskich pederastycznych cherubinów, starsi za to tłoczyli się w kościele. Marksizm się tu nie miał, nie chwycił, ale bez jego materialnych sugestii może by się ów galicyjski, podgórski świątek nie odkorkował? Pan Bóg pisze prosto na liniach krzywych, a dla realizacji swych wyroków rozmaitych wybiera sobie wykonawców, praktyczny zaś lecz religijny lud wiejski nigdy się nie przejmował źródłem ani dziwactwami świeckiej, urzędowej mowy z miasta rodem. Czyżby miał rację, czyżby rzecz nie była warta wzruszenia ramion? I czyż można wzruszać ramionami na coś, będące już, tak czy owak, częścią ojczyzny, częścią ojczystego życia? Toż innej Polski pewno na świecie nie będzie, wbrew rojeniom marzycieli z Monachium.

Wychodziło z tego, że z Nową Mową i wszystkimi jej konsekwencjami trzeba się pogodzić, podobnie jak w owej anegdotce, twierdzącej, że jeden jest tylko skuteczny sposób na mendy: polubić je. Byłyby więc na świecie rzeczy nonsensowne lecz nieodparte? Oczywiście, właściwie, chciałoby się rzecz — wyłącznie: to właśnie rządy rozsądku są rzeczą rzadką, baśniową, irrealną. Uporczywe absurdy nieraz już rządziły totalnie, nieraz już powszechnie zaakceptowano dziwactwo, przesady, brutalną bezwzględność, któż się na przykład przejmował jakąś obłądną Japonią sprzed paru tysięcy lat i dlaczegoż podobny obłąd (*Hitler rzecz zademonstrował*) nie miałby zapanować w sercu dzisiejszej Europy — o to samo zapytywał wszakże trzeźwy komputerzysta Kazik B... Jeśli obłąd jest normalnością, to dlaczegożby normalność nie miała się stać obłądną i to na długo, a już do końca życia Romana na pewno? Nie pomogą na to żadni Amerykanie, którzy przybiwszy niegdyś do tych egzotycznych, zwariowanych kontynentów, szybko się połapali i tylko marzą jakby drapnąć. A więc ów szmaciano bałagański uniwersalizm jest jedyną formą postępu i w ogóle życia dla tych tu starych krajów, a więc należy się w nim na stałe zadomowić, może jeszcze trzeba go pokochać? Oczywiście że tak, nawet ojczyzna zniewolona nie przestaje być ojczyzną, czyż więc należy występować przeciw niej, opisując jej szaleństwa, jej niezawinione szaleństwa? Ojczyzna jest jak bliska osoba: nie przestaje być bliską nawet gdy opanuje ją obłąd, przeciwnie, obłąd też staje się wówczas drogi. Jak więc wygląda na tym tle przyszłość Romana, jego dzieło, jego świadectwo, jego wzruszenie ramion? Otóż to — sprawa się komplikuje

a przecież czasu jest mało, czas nabiera elastycznej, przemiennej względności i oto z dnia na dzień okazać się może, że go już wcale nie ma, że dzień dzisiejszy stał się nicością, że jedynym konkretem i dorobkiem pozostają wszystkie dni minione — tylko kto i kiedy ma się im przyglądać, kto ma się w nie wzuwać i wmyślać: ich obecny widz czy ich dawny aktor?

XIX

Rzecz w tym, że dzisiejsza sytuacja Romana nie była już prosta, lecz płynna, skomplikowana — obraz rzeczywistości komunistycznej, bo tak przecież w sumie należało ją nazwać, mimo iż w istocie komunizm jest tu tylko osobliwie ubocznym choć niby absolutystycznie rządzącym elementem, otóż obraz ten mienił się, rozłamywał, rozsypywał na tysiączne szczegóły, niczym zwielokrotniony szeregiem lusterek zespół kolorów i kształtów w kalejdoskopie. Jakżeż tu uchwycić jedność w wielości i czy w ogóle należy ją chwytać, czyż to zadanie dla pisarza? Roman podejrzewał, że w swej intencji znalezienia jednego klucza do skomplikowanej całości, ulega teoriom krytyków literackich, zwanych socrealistami, tyle, że teorie owe miały na celu apologię rewolucji czy nowego ładu, natomiast on zamierzał, posługując się tą że metodą, wykazać absurdy tkwiące w nowym życiu a będące wynikiem mechanicznego stosowania dziwacznej teorii Marksa, mechanicznego, bo Rosjanie chyba uwierzyli w nią naprawdę, Polacy zaś chcąc nie chcąc, musieli ich naśladować. Zupełnie bowiem możliwe, że idea znalezienia jednego klucza do mnogości spraw Polski dzisiejszej była również ze strony Romana całkiem dowolna, była odwróceniem, odbłaskiem marksowskiego idealizmu, wcielającego starą tęsknotę ludzi nie wierzących w Boga i w Tajemnicę, ich pragnienie, aby stworzyć sobie bóstwo zastępcze, pojęciowe, w postaci generalnej recepty na wszystko co się dzieje. Klasycy marksizmu okazali się zresztą przewidujący i ubezpieczyli się od wszelkich ewentualnych dogmatycznych przygód, podając swą receptę rozpuszczoną w sosie dialektycznym, który to sos mógł rzekomo zawrzeć w sobie wszystkie smaki i przyprawy, nawet te, o jakich jeszcze się ludziom nie śni, ponieważ historyczna kuchnia zrodzi je dopiero w przyszłości. Naiwność brodatych filozofów polegała na tym, że, kiepscy znawcy ludzkiej natury, nie przewidzieli, iż sos dialektyczny musi w praktyce wyschnąć

i pozostanie tylko sztywna kość dogmatu, człowiek, bowiem, aby działać potrzebuje uproszczeń — czyny gwałtowne i zdecydowane nie rodzą się nigdy w poczuciu złożoności czy wieloznaczności spraw świata. Marks w perspektywie stu lat stał się dostawcą też demagogicznie prostych, tak prostych, że prawdopodobnie zobaczywszy ich wulgaryzatorskie działanie złapałby się za swą gąszczastą brodę — Roman zresztą zastanawiał się nieraz, jak to on sypiał z tą brodą, co prawda w ostatnich latach problem przestał być osobliwy, ponieważ broda stała się teraz symbolem młodości, gromady studenckich buntowników popisywały się brodami fantastycznie rozkudłanymi, wobec których patriarcha światowej rewolucji (*że też ów pracowity nieszczęśnik nie umarł w młodości!*) wydawał się brodaczem mieszczańsko-nobliwym, zgoła ojcowskim względnie wujowskim.

Chodziło więc o to, czy, próbując sumarycznie wzruszać ramionami, Roman nie stawał się przypadkiem odwrotnością, a więc niewolniczym odbiciem tych właśnie ludzi, co chcieli przyjąć dla całego świata jedną zasadę, dokonać jednej rewolucji, ugruntować kult jednej klasy, słowem dla pouczenia i uszczęśliwienia ludzkości ujednostajnić czyli unudnić wszystko arcygruntownie. Sowiecki dostojnik, który z niespodziewanym temperamentem oraz obrazoburczą odwagą przekreślił pośmiertnie Stalina wskazując na jego głupstwa i zbrodnie, częstokroć, o dziwo, niedostrzegane przez ogół Rosjan, człowiek ten, tak żywy i w tym wypadku prawdopodobny jakby nigdy nie czytał Marksa, nie zdecydował się jednak na zniesienie stalinowskiego tytułu Sekretarza Partii. Dlaczego? Ano z bardzo prostego powodu: gdyby to zrobił, nikt by już nigdy oprócz Stalina nie nosił tego tytułu, Stalin pozostałby jedynym w historii Rosji Pierwszym Sekretarzem, a do tego przecież nie wolno było dopuścić. W ten sposób Wielki Straszliwy Gruzin odniósł jeszcze jeden, tym razem pośmiertny, sukces: pokazał, że jego następcy mogą jedynie bić się o stworzony przez niego tytuł, że więc nadal od niego zależą i potrafią istnieć tylko w nakreślonych przez niego granicach i kategoriach. Tego właśnie niebezpieczeństwa, zależności od przeciwnika, obawiał się Roman: jeśli w swej książce opíše polską terażniejszość jako system całościowy i nieugięty, to zrobi tym komunistom przyjemność, da im w prezencie psychiczną wygodę, przyznając, że człowiek jest w ogóle w stanie stworzyć system całościowy, narzucić światu myślowy porządek (*choćby w założeniu fikcyjny czy sztuczny*), podczas gdy jądrem Romanowego odczucia było przekonanie, iż istotą świata jest nieporządek, nieporządek, którego kwantowe niewymierności i niemożliwe do obliczenia fluktuacje dopiero gdzieś w pozaziemskim eterze ułożyć się mogą w określony wzór,

ale wzór nie dla ludzkiego już dostępny umysłu, wzór o którym może kiedyś zaledwie zamarzy ów przyszły Einstein Einsteinów, boć przecież i prawdziwy Einstein głosił zamkniętość wszechświata, za co długi czas wyklinano go w Rosji jako człeka podatnego na pokusy religii.

Roman postulował zatem pokorę umysłu ludzkiego, polegającą na tym, aby nie wmawiać istnienia porządku dookólnemu światu, opartemu na wiecznym, nieujętych w żadne ramy nieporządku, obawiał się więc, by jego przyszłe dzieło, jednolicie, w usystematyzowany sposób antykomunistyczne, nie potwierdzało przez swą jednolitość właśnie owych zamkniętych koncepcji marksowskich filozofów porządku i władzy. Może by więc nietyle wzruszyć ramionami nad nowym ładem, co ukazując obraz wynikłego zeń nieładu, zmusić ich samych do wzruszenia ramionami? Tylko żeby to przypadkiem nie stało się denuncjacją, zwróceniem uwagi, na panoszącą się bujnie nieprawomyślność (*nielewomyślność?!),* jeszcze jednym argumentem dla wzmożenia totalnej kontroli — tak to przecież kiedyś Dostojewski mimowolnie zadenuncjował Rosję, stąd też, z obawy przed denuncjacją, czyli jakąś tam zdradą wynikała liryczna, pastelowa dyskrecja książki Poety spod Moskwy. A przecież walnym przykładem na nieujęty przez komunistów w karby nieporządek była dzisiejsza Polska: nie tylko dlatego, że wbrew wszystkiemu zachowała się tu tradycyjna walka o pieniądź i że ludzie zarabiali więcej, niż to opiewał budżet i wszelkie rachuby, ale przede wszystkim dlatego, że utrzymał się w tym kraju duch chłopski, duch dzisiejszej szlachty, duch chłopski zaś oznacza własność i religię, ze wszystkimi wynikającymi stąd życiowymi konsekwencjami. (*To właśnie powiedział o chłopach Stalin Churchillowi podczas pierwszego spotkania w Moskwie, tym właśnie, nie względami ekonomicznymi, motywując bestialską kolektywizację Ukrainy na początku lat trzydziestych*). W Polsce nie było więc marksistowskiego porządku — czy to dla przeciwnika marksizmu dobrze czy źle? Powiedzieć sobie: im gorzej tym lepiej, bo przynajmniej napiszę wyraźną, jednoznaczną książkę, to nie było postępowanie właściwe ani dla pisarza ani dla Polaka, który żyje w różnorodnym, nadwiślańskim dziwactwie lat blisko sześćdziesiąt (komunizmu dwadzieścia parę) i swym przywiązaniem obejmuje wszystko, złe i dobre, mądre i głupie, oraz także nijakie, obojnackie, tego ostatniego zresztą mamy w kraju naszym (a może i wszędzie) najwięcej. Hasło „im gorzej tym lepiej” dobre jest dla owych etatowych, wiecznych bojowców z Monachium, co prosto z powstańczej barykady zgłosili się do radiowej walki na mózgi i słowa, walki białego z czarnym, jak szczerze sądzili. Tylko że oni wydawali się dziś Roma-

nowi naiwnymi dziećmi: był kiedyś jednym z nich, ale żyjąc w złożonej bo nieporządnej Polsce, poszedł dalej w swej wiadomości Dobrego i Złego, podczas, gdy oni zastygli w jednowymiarowej przeszłości jak muszla w kamieniu. Roman zresztą często im zazdrościł: mieli swoją konwencję duchową, swoją busolę, jak wierzący komuniści, podczas gdy on błąkał się wśród wielokierunkowego, zmiennego wichru, kuszony tylko czasem przez konwencje inne, nie tak proste, chytrze przemysłne, trochę wallenrodyczne i bardzo oportunistyczne, takie właśnie, jak łamańce duchowe zadziwiającego naukowca, Kazika B... Tak, Roman zmęczony wieloznacznością swej sytuacji psychicznej, wieloznacznością pogłębianą jeszcze przez rozluźnienie i rozbitcie obrazu rzeczywistości, przychodzące z wiekiem, tęsknił czasem do monachijskich bojowców z barykady na Marszałkowskiej, a poprzez nich do jedynej krzepiąco (o paradoksie) jednoznacznej i realnej epoki swego życia, do okupacyjnej Nocy Narodowej, z której wyłaniała się niezapomniana postać przygarbionego starca z menażkami związanymi rzemykiem — krytyka R..., preceptora, istnego Sokratesa Romanowej młodości.

Tamto działo się NAPRAWDĘ, tamto nie było snem ani udawaniem, komedią czy maskaradą. A przede wszystkim, w tym nie było kłamstwa. Niemcy nie kazali kłamać, ba, nie pozwalali, nie dawali okazji do kłamstwa, uważając, że możliwość ratunku przez kłamstwo to dla Polaków zbyt duża szansa: trzeba było walczyć lub ginąć bez walki, ewentualnie liczyć na przypadek i szczęście, które pozwolą jakoś przetrwać — tak zresztą właśnie przetrwała większość narodu, choć dziś rozdymano do słoniowych rozmiarów walkę zbrojną i partyzancką, tworząc przy tym po latach całe złożone szczeble partyzanckiego wtajemniczenia, tak jak niegdyś wymyślano kolejne, imaginacyjne brygady Legionów Południowych. Mało za to mówiło się o dziwacznym, niejednolitych działaniach Niemców wobec Polaków na wcielonych wówczas do „Rzeszy” obszarach granicznych czy mieszanych: na Śląsku, na Pomorzu, w Poznańskim. Na Śląsku wszystkich co nie byli niegdyś czynnymi działaczami polskimi, zamianowano przymusowo Niemcami (stworzywszy dla nich specjalną grupę narodowościową), młodych zaś wcielono do wojska lub do oddziałów pracy. W Poznańskim przeciwnie — Polaków uznano za nieistniejących narodowo a więc pozbawionych wszelkich praw podludzi, których masami wywożono i wysiedlano, nie licząc codziennego, powszedniego terroru. Osobliwie natomiast działo się na Pomorzu: poza normalnym rozstrzeliwaniem czy deportacją trudno tu było zauważyć jakąś określoną politykę „polską”, tyle, że czasem, ni stąd ni zowąd, w dużych miastach jak Bydgoszcz lub To-

ruń urządzono masowe obławy uliczne na ludzi... mówiących głośno po polsku, po czym, za parę dni, gdy już aresztowanych wywieziono do obozu, względnie rozstrzelano, wszystko na pozór wracało do normy, tyle że jak zwykle obowiązkowo należało kłaniać się przechodzącym ulicą niemieckim oficerom. Trwał więc pozorny spokój — do następnego razu. Zaś od czego owa rzecz zależała — któż to wie?

Tę niejednorodność postępowania Niemców na ziemiach polskich (*obłądną jednorodność stosowano tylko wobec Żydów — całe urozmaicenie stanowił fakt, że, kiedy jeszcze żyli, to wewnątrz obszaru „Generalnej Gubernii”, nosili na rękawach niebieską, sześcioramienną gwiazdę Syjonu, a w tak zwanej „Rzeszy” naszytą na plecach żółtą parokątną łatę*), niejednorodność stanowczo zbyt mało znaną i zbadaną (*po wojnie nowe polskie władze uznały rzecz za wstydliwą i starały się nią publicznie nie zajmować*) interpretowano sobie rozmaicie: jedni tłumaczyli ją po prostu znanym niemieckim obłądem, inni jakąś tam wewnętrzną, partyjną rywalizacją pomiędzy dyktatorami poszczególnych zajętych prowincji, noszącymi tytuły Gauleiterów, nieliczni tylko przywoływali na świadka istotne różnice koncepcji. Rozkazy zresztą mogły być sprzeczne, obłądne, czy przypadkowe, wykonanie natomiast okazywało się, jak to zawsze u Niemców, arcyprecyzyjne, imponujące swą organizacją, realizowaną przez drewnianych ludzi nie ludzi w niebieskich mundurach i szarych hełmach, ludzi zresztą gdzieś tam pod spodem mocno chyba wystraszonych, dlatego też kurczowo trzymających się razem, o byle co groźących bezbronnym cywilom automatem i dodających sobie ducha dziwną mową, której słowa, wyszczebiwane raczej niż wypowiedane, padały w głąb opustoszałych ulic, objijając się obco i absurdalnie o zdziwione, bezradne mury nawiedzonych przez zarazę czyli okupowanych miast.

Zawsze, obserwując ową, bezbłędnie i bezosobowo działającą maszynę niemieckiego wojska czy policji, Roman myśleć musiał o jednej jedynej sprawie: oto aparat stworzony przez gorliwe, zdyscyplinowane a fanatyczne mózgi planistów-generałów, zaś jako budulcem posługujący się milionami wiernych, szkopskich patriotów, aparat funkcjonujący świetnie, na zasadzie dobrowolnej, zarliwej hierarchiczności, spinającej niezliczone kółka i trybiki w jedną, godną podziwu całość, imponującą doskonałością i dowódczym geniuszem, co z olbrzymiego zespołu ludzkiego stworzyć potrafił celową, bezosobową w działaniu maszynę, oto więc ów aparat posiadał jedną, jedyną wadę, jedyny niedostrzegalny w ogólnej zmechanizowanej frenezji czy spontaniczności mankament. Jaki? Ano, że na samej jego górze stał — wariat, człowiek o uczu-

ciach i namiętnościach maniakalnych, przekreślający irracjonalnością swych działań i doborem swego nieprawdopodobnego otoczenia całą mniemaną logikę nakręconego przezeń społecznego i narodowego *perpetuum mobile*. W istocie: bezbłędna, kolosalna maszyna państwowa, przekształcona w narzędzie zniszczenia a posłuszna rękóm półinteligenta, dyletanta i chimeryka — rzecz to jedyna w swoim rodzaju, zwłaszcza w wieku rakiet i komputerów (*i tak szczęście, że dzięki dumnemu dyletantyzmowi człowiek ów nie zdążył docenić straszliwej siły, drzemiącej sobie w czymś, czego nikt nigdy nie widział — w atomie*). I oto, na zasadzie obłędu dyktatora, wytwarza się w Niemczech widowisko nieprawdopodobne: wszyscy rzekomo najszacowniejsi ludzie tego narodu, profesorowie, artyści, prawnicy, księża, zaczynają nagle działać niedorzecznie jak wariaci i to działać tak z najpoważniejszymi w świecie minami; pewno muszą, wynika to zresztą z logiki rzeczy, bo społeczeństwo (zwłaszcza niemieckie) jest całością hierarchiczną, ryba zaś, jak wiadomo, hierarchicznie śmierdzi od głowy. A jednak władza liberalna, koalicyjna, słaba i podzielona, „rozdzierana sprzecznościami”, jak to z lubością mawiają jej wrogowie, rozpraszająca się w różnicach zdań i dyskusjach, ma jak widać swoje dobre strony, choć nie wierzą w to ani faszyści ani komuniści: władza natomiast silna, powszechna, obejmująca całość spraw i ludzi, zawsze może się stać instrumentem działania dla niepoinformowanych obłąkańców, zanim się zaś ich unieszkodliwi, ileż nieszczęść ściągną na naród i co gorsza, na inne, Bogu ducha winne narody! „Bo przecież wariat na swobodzie największą klęską jest w przyrodzie”, jako rzekł pewien poeta — emigrant. Chociaż może to właśnie nazywa się historią: bez działań maniakalnych nie byłoby historii, tylko zwyczajne ludzkie życie!

Od szaleńca do geniusza jest podobno jeden mały krok, genialność zaś wynalazków wariackich polega na zaskakującej prostocie, z jaką doprowadzają one do szczytowej intensywności rzeczy codzienne i dobrze znane. Hitler dokonał odkrycia oślepiająco prostego, jak *streap-tease* czy jak nowoczesna powieść. Od wieków wiadomo było, że można się rozebrać do naga, nikomu jednak nie przychodziło do głowy, że dałoby się z tego zrobić publiczne widowisko, wyzywający obyczaj, rewolucję. Podobnie z powieścią: w zasadzie znaną jest rzeczą, iż człowiekowi nieustająco przepływa przez głowę chaotyczny strumień myśli, tradycyjni powieściopisarze wszakże dokonywali w tej mnogości selekcji, wybierając i referując jedynie myśli niektóre, potrzebne do ich celów. Tymczasem nagle przyszedł Joyce, osobnik na pewno nie całkiem normalny (*w sztuce to nie przeszkadza, w polityce jest*

już gorzej) i rewelacyjnie odwrócił sprawę: nie selekcja, lecz właśnie uchwycenie wszystkiego naraz, wypuszczenie na czytelnika nieskanalizowanego strumienia myśli winno być celem pisarza. Jakież to prosty pomysł a jak płodny w skutki o nieznaney dotąd intensywności!

Na podobnie nie nowy bo tkwiący przecież w istocie ludzkiego świata pomysł wpadł Hitler. Zawsze było wiadomo, że gwałtem, terrorem, kłamstwem można wiele osiągnąć i że politycy nigdy tymi środkami nie gardzili, że nawet jedna z duchowych gwiazd czy komet ludzkości, boski Leonardo, rozpatrywał walory swych wojennych maszyn niszczących wyłącznie z punktu widzenia skuteczności ich działania, widząc w zespoleniu celu z idealnie służącą mu konstrukcją jedyny, upajający odbłask obiektywnej doskonałości. Hitler, pojętny uczeń Leonardów i Machiavellich, poszedł tylko dalej ilościowo, pod względem intensywności: stworzyć terror doskonały, arcyprecyzyjny, sam w sobie, terror tak w swej chemicznej czystości wysublimowany, aby stać się mógł ubóstwionym wzorem dla całego narodu, terror, fascynacją swej koncepcji przesłaniający przed oczami młodych, pilnie dobranych Niemców takie szczegóły, jak duszenie gazem nagich dzieci i starców, rzucanie do ognia niemowląt, czy zakopywanie niedostrzelonych ludzi żywcem. Hitler intelektualista, Hitler filozof, Hitler dialektyk zatryumfował tu nad tradycją, obyczajem, etyką, estetyką, religią, zatryumfował nad czym chciał. Wielki logik czy wielki szaleniec to widocznie wszystko jedno. Jakież to smętne doświadczenie dla ludzkości, jakimże pesymizmem natchnąć może fakt, że w samym sercu chrześcijańskiej Europy... et caetera, et caetera, et caetera.

A znowuż jądrem, głównym terenem hitlerowskiego eksperymentu stała się Warszawa. Nie tylko dlatego, że było tu największe w Europie, półmilionowe getto, i pozostali w nim do końca, nie wymordowani dotąd młodzi Żydzi zrobili wreszcie straceńcze, przedśmiertne powstanie, biorąc sobie za wzór waleczne nastroje młodzieży warszawskiej, tej spoza złowrogiego muru. Przyczyną, że Warszawa stała się okiem cyklonu, który długo powściągany, dmuchnął wreszcie i zmiotł ją z powierzchni ziemi niemal przed samym końcem wojny, przyczyną raczej psychologiczną niż materialną, stał się specjalny rodzaj patriotyzmu, jaki się tu podczas Nocy Narodowej narodził, wyhodował, dojrzał. Roman określał go sobie jako renesans patriotyzmu zabytkowego, wręcz antycznego, patriotyzmu, który wyląkł się tutaj z powrotem w postaci wybuchowego koncentratu, stanowiąc odpowiedź na koncentrat martyrologicznej grozy, stworzonej jakby specjalnie przez zawsze mało rozsądnych Niemców. Cała Polska stała się

przecież fabryką śmierci, mechanicznej, totalnej śmierci żydowskiej i okrutnie dowolnej, nieludzko, lekceważąco bylejakiej śmierci polskiej. W tej sytuacji, otoczona grobami Warszawa świecić ją jak lampa w dookolnej czerności, bo wszystkie ciemne pochodnie rozbiorów, narodowych powstań, straceńczych walk i nadziei, pochodnie niesione kiedyś przez pokolenia szlachty i inteligencji, teraz rozpały się wspólnym, zwielokrotnionym ogniem nad zjednoczoną, nagle solidarną stolicą. W niepodległej Polsce Dwudziestolecia patriotyzm ją już bowiem po trochu przygasać: prawda, żarliwi jego podziemni niegdyś, za rozbiorów, maniacy, jak choćby ojciec Romana, żyli w ciągłej ekstazie i egzaltacji spełnionych marzeń, za to co trzeźwiejsi ludzie młodszy ze sceptycyzmem patrzeć zaczęli na ów kraj niewydarzony i biedniutki, paradoksalnie, po stuletnim podziale, niejednolity, w którym żyła też ciężka krzywda ukraińska, cicha krzywda białoruska, skomplikowana krzywda i sprawa żydowska, a także obłudna, bo maskowana solidnie udawaną lojalnością zawiść mniejszości niemieckiej. Geniusz polityczny Piłsudskiego wyczerpał się na skrzesaniu pierwszego patriotycznego ognia, potem na scaleniu i zorganizowaniu państwa, wreszcie na dramatycznej próbie rozwarcia ściskających Polskę obcęgów przez gruntowne osłabienie jednego ich ogniwa, wschodniego mocarstwa zaborczego, trawionego wówczas, jak sądzono, śmiertelną wewnętrzną chorobą. Nie udało się, a następcy Piłsudskiego niewiele już potrafili dać krajowi, bezradni wobec zwyczajnych tym razem, prozaicznych, bezkoturnowych schorzeń i mankamentów przesadnie różnolitego społeczeństwa. Patriotyzm przygasał, budziło się zobojętnienie, sceptycyzm, gdy oto nagle groźba wojny z drugim zaborcą, rzadko w gruncie rzeczy występującym w historii Polski na polach otwartych bitew, zelektryzowała kraj: płomień buchnął wysoko, a przywalony kłęską jął tlić się ogniem ukrytym, pełgającym podziemnie wśród gromadzonych złożów suchego narodowego chrustu, złożów noszących tutaj nazwę byłego miasta stołecznego Warszawy. Niefortunni następcy Piłsudskiego zbiegli za granicę, lecz płomień wśród kamiennej, mroźnej nocy narodowej pełgał tu sobie dalej — aż do wiadomego końca. Z początku rzecz była tłumiona, dwuznaczna, gdy nad krajem wisił jeszcze wielki spisec sąsiadów, co to ustalili sobie zwarcie obcęgów na rzece Bug, gdy ze Wschodu dochodzić jąły wieści o milionowych wywózkach w głąb Rosji, a stosunek mitycznego Zachodu czyli po staremu Koalicji do tej sprawy okazał się jak zwykle nijaki, zgoła żaden. Lecz gdy Hitler zdecydował się wreszcie podjąć wariactwo wojny na dwa fronty, od czego tylekroć się w swej nieczytanej książce odzęgnywał, gdy Niebieska Armia załała całą już Polskę, wtedy

podziemny płomień wyrównał się, uspokoił, jakby kto naftową lampę zmienił na okupacyjny luksus — karbidówkę. Sprawa jest jasna, wróg oczywisty, walczymy o życie, a co tam będzie później, niech nas głowa nie boli — tym się zajmie Zachód. Tyle że na skutek wojny, Zachód przestał istnieć, z nim zaś wszelkie jego gwarancje, boć nie tylko Niemcy rozbito ale i całą zbeszczeszczoną zachodnią Europę. Geopolityczny dylemat polskiego balansowania między Niemcami a Rosją, dylemat nad którym bez widomego rezultatu tyłu się niegdyś nabiedziło politycznych, przemądrych statystów, okazał się nagle nieważny, i to, o ironio, w momencie, gdy komuniści jęli w imieniu narodu polskiego głosić tezę, że śmiertelne, historyczne wahanie na obie strony zostało zakończone, że oto Polska na zawsze (bardzo lubili to podkreślać) wybrała sobie Rosję, która będzie ją odtąd bronić i żywić. Tymczasem dylematu już nie było, bo na politycznej mapie świata przestały istnieć nie tylko pobite i rozćwiartowane Niemcy, ale także skompromitowana Francja, chyłca się ku zmierzchowi Anglia, ośmieszona Włochy. Polska nie leżała już między Rosją i Niemcami, lecz, absurdalnie jak zresztą wszyscy teraz, między Rosją i Ameryką, Ameryka zaś nie jest europejska, ma jedynie w Europie swój przyczółek, żadnych europejskich obietnic wobec pomniejszych byłych aliantów honorować ani myśli, jakby ewentualnie doszło co do czego, to najwyżej wykupi resztkę europejskich uroków, tak jak wykupiła storoświeckie aparaty telefoniczne w Kopenhadze, w ogóle ma swoje własne cele, cele iście słońiowe, nieskończenie dalekie od kłopotów śmiesznych mrówek, którym do ich mrowiska wsadzono kij. Jeśli, więc spojrzeć na rzecz z dalszej perspektywy, to wojna, rozpętana przez Hitlera w imię megalomańskiego posłannictwa Niemców, posłużyła tylko do wciągnięcia na tak zwaną arenę dziejów Ameryki i Rosji, które teraz wraz z Chinami bardzo troszczą się o to, aby sprawdziła się orwellowska przepowiednia o rozpadzie globu na trzy tylko państwa, na Oceanię, Eurazję i Wschodnioazję. Do takiego więc celu posłużyły światoburcze fupy pana Hitlera, stał się on, owszem, narzędziem historii, ale wcale nie w ten sposób jak to sobie był w swym ciasnym, środkowoeuropejskim mózdzku zamarzył. Druga wojna okazała się w istocie idiotycznym, zbędnym epizodem dziejów, tyle że posłużyła Przeznaczeniu za pretekst do wywindowania w górę mocarstw przyszłości. Żeby Hitler wygrał — ba, byłby wtedy zapewne, mimo wszelkich okrucieństw, sławiony przez historyków jak Cezar — wszak Cezar również zatopił w morzu krwi umordowaną Galię. Ba, gdyby... Wszystko jednak poszło inaczej, jakżeż tu teraz wzruszać ramionami na upaństwowione oceany i niezmierzone a biurokratycznie

zjednoczone kontynenty — toż będzie to nietyłe ostentacyjne wzruszenie ramion, co niewidoczne kiwanie palcem w bucie. I jakżeż tu wypychać się ze swoją zagubioną w całym tym zamęcie ojczyzną? Może ojczyzna to już pojęcie prowincjonalne — tak dawał do zrozumienia ów miły Belg, co beztriosko pokpiwał sobie z własnego kraju. Wszakże najnowocześniejsze państwo świata — Stany Zjednoczone, to po prostu związek ludzi bez ojczyzny, którzy przybyli tam i wciąż nadal przybywają z różnych krajów. O ojczyźnie deklamują dziś jeszcze wprawdzie komuniści, ale jedynie po to, aby małym narodom osłodzić jakoś fakt przystąpienia do Eurazji. No i paru zachodnich pieczeniarzy, klub owych starych państw starego kontynentu, co to już już miał bankrutować, bogacą się raptem i bawią na wulkanie, nie wiedząc, że stryczek na nie jest już ukrecony. „Jeszcze są w stanie, o ciekawi, oglądać, jak ich kornik trawi” — rzekł poeta-gruzlik na długo przed wojną.

A co dalej z maniakami polskości, z owymi bohaterami warszawskiej konspiracyjnej walki? (*nie „ruch oporu” — ten termin, nigdy tu nieużywany zmyślili post factum komuniści, celem przemieszania wszystkiego, podobnie jak włoskie słowo „faszyzm” dla określenia hitleryzmu*). Jakież dalsze losy owych herosów — zewnętrzne i wewnętrzne? Ano, niedługo pieścili się niedorzeczną nadzieją, że, po pokonaniu jednego wroga — Niemców, przyjdzie kolej na drugiego — Rosję. Roman od początku uważał rzecz za mrzonki, nie tylko dlatego, że powiedział mu to z góry ojciec, ale ponieważ już w pierwszych miesiącach po wojnie stwierdził pewną interesującą właściwość nowego systemu: oto bez względu na totalny bzik, tkwiący u założeń tego czarodziejstwa, umiało się ono w zadziwiający sposób maskować, udając normalność, naturalność, z ogromnym powodzeniem imitując DZIEŃ ZWYCZAJNY. A dzień zwyczajny to rzecz nieodparta, nie mogli się z nim uporać ci spośród bohaterów okupacji, co nieopatrznie zostali w kraju: nie potrafili dać sobie rady ze sztukmistrzami i sztuką, która działała przeciw i wewnątrz nich samych. Póki stosowano terror, póty, owszem, jeszcze prosperowali, gdy to jednak ustało, stracili busołę, zmarnowali się, zeszedli na psy — no bo i jakże tu walczyć z życiem czyli z sobą samym? Roman właściwie też tak uważał: walczyć przeciw życiu to złuda złud, cóż z tego, że życie jest dziwne? Zapewne na tym właśnie ono polega, pisał o tym Valéry, pisał lord Byron (*„It's strange — but true; for truth is always strange; stranger than fiction”*). Ciekawe, że hitleryzm, choć tak zaskakujący, nie był dziwny, był niewiarygodnie głupi, lecz nie dziwny: Hitler, czyli obłąkany władca, to w dziejach ludzkości niemal precedens (*tylko mężowie*

anormalni pragną władać tak wielką ilością ludzi), a historia zawsze posuwa się w przód czy do nikąd poprzez szereg coraz gwałtowniejszych wybuchów, niby rakieta lub samolot odrzutowy. Obłąd jako wypadek patologiczny jest rzeczą normalną, spotykaną, trudniej uznać za normę stabilizację codziennego głupstwa. Dlatego też zapewne w czasie okupacji żyło się naprawdę, gdy teraz rzecz wydawała się wątpliwa: żyć w ucieleśnionej bajce Andersena o nagim królu, to przecież najdziwniejsza z przygód, wszystko dało się przewidzieć, tylko akurat nie to.

Oczywiście, tym spośród „nieustraszonych bojowników” (*termin Nowej Mowy, określenie zresztą zastrzeżone wyłącznie dla komunistów*), którzy znaleźli się poza Polską, oszczędzone zostało bolesne fiasko, ale za to muszą zadowalać się złudą, zresztą na swój sposób krzepiącą. Mają mianowicie, tam na emigracji, własną, wytęsknioną, imaginacyjną wizję Polski, wizja zaś pomaga w życiu duchowym, oddalenie sprzyja pietyzmowi, dobrze się tęskni za Polską przy francuskim winie lub angielskim piwie, w zagubionej wśród starych murów paryskiej knajpie czy też w demokratycznym „pubie”, wśród londyńskich solidnych domów z dużej czerwonej cegły. Roman nie ma nic przeciw wizjom, wszakże granica psychiczna między myśleniem wizyjnym a myśleniem konkretnym jest płynna — przykładem komuniści, którzy wolą świat swej idei od świata rzeczywistego. Tylko, czy Polska jest ideą, czy też każdorazowym, uchwytnym dla określonego człowieka konkretem — w tym drugim wypadku wiele by było rozmaitych odmian Polski i nie wiadomo, którą właściwie kochać. Mit Polski idealnej stworzono przecież kiedyś także na emigracji, stworzyli ją Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Chopin, którzy kraj mało znali i nigdy doń nie wrócili. A po Drugiej Wojnie pewien amerykański profesor, syn sławnego niegdyś polskiego działacza w Rosji, powiedział, że nie obchodzi go co się dzieje nad Wisłą, bo on swoją prawdziwą Polskę nosi w sobie. Można i tak, można inkrustować życie wizją, tworząc w swych myślach użyteczną konstrukcję czy podbudowę pomocniczą, Roman zgadzał się z tym w pełni, to było twórcze, wzbogacało duchowość, wszystko jest dobre, co pomaga żyć z podniesioną głową. Ale w takim razie po cóż w Polsce Ludowej mącić dzieciom ich harcerską polskość i harcerski prowincjonalny patriotyzm opowiadaniem niepotrzebnych historyjek o przeszłości, w dodatku historyjek zabronionych? Trzeba zostawić wizje wszystkim, trzeba przestać być maniakiem wizji prawdziwej i historii prawdziwej, bo takie nie istnieją, istnieją tylko koncepcje względne, hipotetyczne. I ci mają rację i tamci, i Kazik B... i Biała Bluzeczka. A że Roman nie może pisać tego o czym wie, o czym w tym

kraju, jeśli jeszcze ktoś pamięta, to już wcale na serio nie myśli? Cóż z tego, dla której Polski to pisanie jest potrzebne? Przy tym Polska to także krajobrazy, to nawet przede wszystkim one: biały żagiel na granatowym morzu w C..., błoto ze śniegiem i ceglane domki Mazowsza, kolorowe, trochę tandetne napowietrzne bloki nowej Warszawy i szarozłota Wisetka u ich stóp, może to wszystko to właśnie jest jedyny dobytek, jedyny dostępny, widzialny profil ojczyzny i dlatego tyle opisów pejzaży, materiałów do pejzaży figuruje w notatkach Romana? A jak mają się te pejzaże do „pejzaży duszy”, których dokładne badanie postulował krytyk R..., nie będący, jak wiadomo, zwolennikiem opisywania przyrody, względnie malowania jakiegokolwiek otaczającego nas, duchowo obojętnego konkretnego? Czy da się w ogóle tę zależność ustalić, czy to nie trud ponad siły? Człowiek w trakcie całego swego życia wciąż ustawia sobie pewne robocze, hipotetyczne ale już i od razu uczuciowe umeblowanie wnętrza własnej głowy, pomocniczy układ pojęć, poglądów, dążeń. Jeśli nasz bohater jest żywy i odporny, to potrafi przejść przez szereg rozbić i przemian tego umeblowania, potrafi po kilkakroć zmienić „garderobę duszy”, rozwijając się przy tym i bogacąc o nowe doświadczenia z dziedziny relacji między myślą, słowem i czynem. Za to na starość, raz kiedyś następuje rozbić generalne i, być może, nic już nowego i użytecznego stworzyć się nie uda. Czymże się wtedy ratować — drobiazgowo zarejestrowanym krajobrazem?! Żałowana to mania, krytyk R... wrzuciłby na nią ramionami: w każdej sytuacji umieć na nowo przewartościować siebie samego — oto była jego dewiza. Dewiza ta zresztą miała swój odpowiednik w postulatach Kazika B..., nakazujących zmienianie się, zaprzeczanie sobie samemu sprzed lat. A może Krytyk R..., gdyby żył, zostałby komunistą? Wszakże bardziej niż samo życie cenił sobie był duchowe ewolucje, winkrustowane w istnienie sztucznie, niepowtarzalnym wysiłkiem eksperymentującego ludzkiego umysłu!

Z trudem tylko znajdując wyjście z takich myśli, Roman chronił się przed nimi w moralny konkretny — w słońce okupacji. Była to przeszłość, ale w zamian, też według słów Kazika B..., jednoznaczna, nie kłopotliwa, a nikt przecież nie powie, że teraźniejszość ma nad nią jakąś przewagę, że jest na przykład bardziej realna. Wszakże każda teraźniejszość jest już za chwilę przeszłością, wszelkie zdarzenia są równouprawnione co do ważności, bez względu na swą kolejność w czasie, i tak za chwilę wszystko staje się historią czyli relacją o wypadkach minionych, tyle, że relacją niedoskonałą i wciąż zmienną, bo coraz to nowe, napływające wydarzenia stawiają przeszłość w coraz to innym świetle, przeszłość ta ciągle więc żyje w blaskach teraźniejszości, mieniąc

się i falując. Zatem wszystkie wydarzenia równe są sobie w rzeczywistości, której stałym wymiarem jest przecież mijanie i nietrwałość, nietrwałość, przegryzająca wszystko bez względu na hodowane wciąż przez człowieka iluzje, dotyczące postępu i coraz to rzekomo rosnącej stabilności ludzkiego dzieła. W istocie najpewniejsza jest przeszłość, bo już całościowo dokonana, a jeszcze wciąż żyjąca w ruchu zmienności, żyjąca we wspomnieniach, relacjach, przewartościowaniach i przetworzeniach, w duszach jej współuczestników. Słońce okupacji świeci po dziś dzień, choć to już minęło prawie ćwierć wieku, zaś jeśli ono nadal wschodzi, to śmiało, w miarę potrzeby, chronić się można w jego palącym blasku. Czemżby właściwie nie?

Dlaczego akurat słońce, nie zaś ciemność? Bo we wspomnieniach Romana, obok upiornej warszawskiej nocy, gdy wyludnione po godzinie policyjnej miasto pachniało kamiennym mrozem, panoszącym się wśród milczących, czarnych murów kamienic, drugim, zachowanym jak na dawnej kliszy tłem była zalana upalnym słońcem ulica Marszałkowska, stara, przedwojenna jeszcze choć pozbawiona już swojskiej niegdyś, żydowskiej egzotyki Marszałkowska, której by Roman, dziś już pewno nie poznał, mimo zachowania się narożników Wilczej, Hożej, Skorupki, Wspólnej, na owej zaś Marszałkowskiej, po parzystej stronie, tkwił w pamięci pewien znajomy sklep, skąd „im” wolno było telefonować o każdej porze dnia, co ze względów zrozumiałych nie należało wówczas w Warszawie do rzeczy przyjętych — nie wiadomo wszakże kto dzwoni i kto słucha, gdzieś tam w jakiejś nieznannej, złowrogiej centrali, czuwającej nad strwożoną zdegradowaną stolicą, niczym okrutny a bezduszny pająk w swej sieci.

Pozwalano telefonować „im”, to znaczy ludziom z konspiracji — to się wiedziało choć się o tym nie mówiło. Roman znalazł się niemal od początku istnienia Kuchni Autorów w samym sercu konspiracji, w jej biurze informacyjno-łącznikowym, dopiero w okresie powstania przeszedł jako oficer do linii, podczas gdy Andrzej od początku niemal szkolił w mazowieckich lasach młodych kandydatów na żołnierzy podziemnej armii. Była to oczywiście konspiracja, zwana po wojnie niby obelżywie „londyńską”, pewno dla zaznaczenia, że istniały i inne, Roman jednak i jego przyjaciele o tych innych nic długi czas nie wiedzieli, dla Warszawy istniała po prostu tylko jedna — konspiracja polska i kwita. Nieliczni warszawscy komuniści (*Roman miał wśród nich znajomych*), skonfundowani przedłużającym się sojuszem Rosji z Hitlerem a także niepojętą wojną finlandzką, czuli się nieswojo i milczeli, dopiero gdy Hitler rzucił się na wschód rozpoczęto organizację głucho po Warszawie osławionego PePeEru, wtedy

też prawdopodobnie ją się kształtować owa, tyle później opiewana a tak mało jakoś wówczas widoczna, czerwona partyzantka. Pewno stali „z bronią u nogi” (*a raczej zakopaną w lesie czy ukrytą w chałupie*), czekając na zbliżenie się Rosji, co im zresztą nie przeszkadzało wypominać rzekomą bierność AKowcom — już wtedy pamiętali o mającej z czasem tak wspaniale rozkwitnąć czarodziejskiej sztuce dialektyki. Ta dialektyka w powojennych latach nieraz posłużyła się rozmaitym, łudzaco i migotliwie zmiennym oświetlaniem czasów okupacyjnych — całej prawdy dowiedzieć się było niesposób, bo dokumentacja ich, Romana i Andrzeja podziemia była teraz zdeponowana gdzieś na emigracji, tymczasem w kraju rządziły już nowe czary. Niedawno Roman przeczytał książkę, wydane w Warszawie wspomnienia oficera sztabu AK na Wileńszczyźnie: gdy w 44 zbliżać się jeły zwycięskie wojska radzieckie, dowódca grupy wysłał owego oficera, celem nawiązania współpracy z Rosjanami. Treść wspomnień stanowiło właśnie przedzieranie się łącznika przez lasy i niemieckie linie, zakończenie zaś to scena, gdy, dotarwszy wreszcie do siedziby sowieckiego sztabu, bohater powitany został herbatą tudzież wódką. Ale nie taki był prawdziwy koniec historii. Roman, jak mówiono w Warszawie, „znał człowieka” i wiedział, że po serdecznym poczęstunku poprowadzono go na kolejową bocznice, wsadzono do zaplombowanego wagonu i powieziono na Syberię, gdzie przesiedział dziesięć lat, aby wrócić do kraju niedługo przed głośnym Październikiem 56. Relacji z prawdziwego zakończenia owej przygody nie można jednak było wydrukować w kraju, za to z tryumfem wyjaskrawiono by rzecz na emigracji. Autor, mając do wyboru urwać swą historię na wódeczce z herbatą, lub też nie opublikować jej wcale, wybrał to pierwsze i w ten sposób miłe, harcerskie dzieci szkolne otrzymały jeszcze jedną, patriotycznie krzepiącą opowieść z lat wojny. Historia narodu, rozkrajana na dwie połowy, prezentująca się różnie, zależnie od geograficznego punktu, z jakiego się na nią patrzy — czyż to nie świetny przykład ilustrujący teorię względności i zmienną rolę, odgrywaną w terażniejszości przez przeszłość? Przeszłość będzie taka, jaką ją ukształtujemy, myśleli sobie dialektycy, a w żadnym chyba innym kraju na świecie zabiegi ich nie były tak potrzebne, ba, wręcz konieczne, dla dydaktycznego uproszczenia nadmiernie zawiłych i wieloznacznych dziejów żyjącego tu pechowo plemienia.

Wszystko to jednak jest nieważne, gdy ma się swoją wizję, osadzoną w czasie i przestrzeni — choć z tego domu na Marszałkowskiej nie ma już oczywiście ani śladu, ale miejsce istnieje i czerwcowe słońce w upalne południe świeci dziś w tym miejscu zupełnie tak samo. Sklep jest długi, wąski, ladę ma z lewej strony

od wejścia, Roman czuje się w nim swobodnie, wchodził tutaj po wielekroć — we śnie, jakże często później powracającym. Nie pamięta szczegółów, urządzenia, tylko rozkład — lecz właśnie usytuowanie, organizacja przestrzeni, są dla niego we wspomnieniach najważniejsze. Przód sklepu zalany jest słońcem, mimo płóciennego daszku, zawieszzonego od ulicy — miał to być w zasadzie sklep z przyborami optycznymi, lecz, jak to w czasie okupacji, można tu dostać, i inne rzeczy, rozmaite szczołki, druty, lusterka. Aparat umieszczono na ladzie blisko okna, tak, że Roman, telefonując, znajduje się bliżej ulicy niż stojący w sklepie klient. W tej chwili zresztą klientów nie ma, jest tylko dwóch kolegów Romana, wpatrzonych w niego z uwagą, oraz dosyć sobie okrągły, dostojnie uśmiechnięty właściciel, przed wojną dyrektor teatru; żona jego czuwa gdzieś w głębi lokalu, nie słycać jej, ale wiadomo, ona tu rządzi wszystkim.

Koledzy wpatrują się w Romana z napięciem, bo oto dzieje się coś niezwykłego: Roman trzyma przez kilka sekund w zniemczona ręce słuchawkę telefonu, aby powoli, jak w zwolnionym filmie, odłożyć ją na widełki. W słuchawce owej przed chwilą rozległ się gruby głos z lekko niepokojącym akcentem, anonsujący, że „pan profesor na minutkę musiał wyjść, ale zaraz wraca i prosi, żeby go odwiedzić”. Roman wie co to znaczy, koledzy bez słów zgadują to również. Właściciel sklepu patrzy na nich i uśmiech znika powoli z jego jowialnej twarzy.

Profesor to ich szef, wysoka postać podziemnej Rzeczypospolitej, zakonspirowany jak dotąd bezbłędnie, twarz niemal w Warszawie nieznaną. Miał dzisiaj powiedzieć tylko, że „wszystko w porządku”, lub też w ogóle nie podnieść słuchawki. Obcy, nie całkiem polski głos w telefonie oznaczać może tylko że: w mieszkaniu są Niemcy, a Profesor albo leży w którymś z pokoi zбитy nieludzko i zakneblowany, albo zdążył połknąć truciznę, obowiązkowo noszony cyjanek, albo zawieszony już został do Gestapo na Szucha czy też na Pawiak. Niemcy czuwają przy drzwiach i przy telefonie, radziby złapać kogoś więcej, słuchawkę położyli na stole i jakiś szkop pędzi już sprawdzić, skąd dzwonił ów ktoś, kto bez słowa przerwał połączenie. Niedługo mogą być tu. Trzeba wyjść ze sklepu, nie mówiąc nic właścicielowi, żeby go nie straszyć, żeby jak najmniej mógł zeznać — tylko że on się już domyśla, jest blady, na czole świeci pot, może z gorąca, okropny ten czerwcowy upał, trzeba by szczelniej osłonić wystawę od słonecznego blasku, ale już nie dzisiaj, dziś nie ma na to czasu, dziś na nic już nie ma czasu, zresztą Romanowi wcale nie jest gorąco, przeciwnie, jak najbardziej przeciwnie.

Cała scena odbywa się już bez słów: wychodzą powoli, sztyw-

ni, oniemiała, jak w hipnotycznym odrętwieniu, nie patrząc wcale na pobladałą twarz dyrektora czyli właściciela. Przed sklepem stają w słońcu, dalej milczący, ogłuszeni brutalnym, jakby nie ulicznym, raczej niby kolejowym hałasem okupacyjnej ulicy. Z daleka słychać jakieś pędzące auto, czy to już jadą po nich? Nie, jeszcze za wcześnie, trzeba stąd odejść jak najprędzej i jak najbardziej niewidocznie, szkopy przesłuchiwać będą wszystkich świadków, całą ulicę, ulicę Marszałkowską. Roman i towarzysze ciągle jednak stoją w miejscu, jakby ich zaczarowało, jakby nogi odmówiły posłuszeństwa. Czas rozciąga się niby guma, płynna guma, rozpuszczona przez upał. W tej jednej, wydłużającej się chwili zawiera się smak wszystkiego: śmierć pędzi już po nich co siłą w kołach i motorach, ale oni stoją, dobrowolnie stoją, i jeszcze trochę, i jeszcze parę sekund, i jeszcze, i jeszcze... Po czym nieznanie, każdy osobno, powoli, och jak powoli, zaczynają nietyle iść co posuwać się, jakby grawitacyjną siłą przyciągani przez niedaleki róg ulicy Widok, bo to wszystko dzieje się tuż koło dawnego kina „Stylowy”, koło owej magicznej fabryki snów, pamiętnej z dzieciństwa, na dzisiejszej Ścianie Wschodniej. Jeszcze niby są na Marszałkowskiej, ale już jakby też na wąskiej, dawnej uliczce Widok, tak, bezwątpienia, już są na Widoku, a tam gwar, sklepy, riksze, nawet paru obojętnych wojskowych Niemców, gapiących się na jakieś wystawy, ale to nic, już brama, przechodnia brama na Chmielną, korytarz jeden, schody, korytarz drugi, wyjście, prędzej, coraz prędzej, oto rozłączają się, tknięci jedną myślą, sobie, każdy sobie, prędzej, coraz prędzej, pot ścieka po twarzy, ale to nic, jeszcze prędzej, obojętna ulica, obojętny ruch, obojętny tłum i oto wreszcie stało się, udało się: znikli, nie ma ich nigdzie, ocaleni, ocaleni! Roman idzie teraz swobodnie, normalnym krokiem, oddycha głęboko, popłoch sprzed niewielu minut wydaje mu się zgoła niepotrzebny, wręcz niedorzeczny, i tylko jedno ukrywane przed samym sobą pytanie świdruje gdzieś na dnie myśli: a co z Profesorem, co będzie dalej?!

W podziemiu warszawskim powstał wielotygodniowy popłoch: szybko okazało się, że Profesora aresztowano, nie zdążył się otruć, siedzi w śledztwie, torturowany będzie sypał, wiedział zaś wszystko, wszystko i o wszystkich. Ludzie ukrywali się, nie nocowali w domach, likwidowano i przenoszono punkty łącznikowe, rozmontowano tajną radiostację, wszczęto gorączkowe starania na Pawiaku, aby nawiązać z Profesorem jakiś kontakt. Okazało się to jednak niemożliwe: Profesor siedział sam w celi, ściśle pilnowany, na stukania w ścianę nie odpowiadał, co dzień rano wożono go na Gestapo, skąd przywożono po południu bezwładny zezwłok. Ale chyba nie sypał, bo jakoś skutków tego nie

odczuwano, do sklepu nikt się nie zgłosił, z czasem rzecz jąła po trochu iść w niepamięć, zwłaszcza, że zbliżał się front a z nim wisząca nad Warszawą w lepkim, parnym powietrzu burza Powstania. Roman nigdy już nie zobaczył Profesora: według wiarogodnej relacji nieszczęśnik rozstrzelany został tuż przed samym Powstaniem w ruinach getta koło Pawiaka, choć znalazł się podobno ktoś, kto twierdził, że w pierwszych dniach sierpnia widział go na jednej z ulic Powiśla i był świadkiem, jak trafiła go śmiertelna, przypadkowa kula. Sprawy do końca nie udało się już wyjaśnić ani w kraju ani na emigracji: Profesor prosto z ciemności konspiracyjnych przeszedł w ciemność śmierci, zgon jego był też konspiracją. Paradoksalną koleją rzeczy obróciło się to po wojnie na korzyść Romana, który, jako działacz podziemia, stał służbowo w bezpośredniej bliskości Profesora, skoro bowiem szef przepadł to i sprawa jego podwładnych utopiła dwa końce w wodzie: innych ciągnano do Bezpieczeństwa, przesłuchiowano, wymęczano, jeśli zgoła nie zamykano i to nieraz na długie lata, Romanowi za to się upiekło, mało kto o nim wiedział, choć stał w konspiracji wcale wysoko, tym więc sposobem mógł niemal bez przeszkód zacząć w powojennej Polsce normalną karierę literacko-dziennikarską, co zresztą w sposób niedorzeczny mieli mu po trochu za złe towarzysze broni, którzy nie od razu pojęli nieodwracalność napływającej od Wschodu dialektycznej fali.

Ale pozostał mu jeden ważny dobytek: owa chwila zatrzymania się czasu, gdy w osłupieniu stali na zalanym słońcem chodniku starej ulicy Marszałkowskiej, nasłuchując czy nie pędzi już po nich śmierć, niemiecka śmierć, warszawska śmierć owych lat. Tej chwili Roman nie zapomni, tak jak nie zapomni nastroju Kuchni Autorów; choć nie robił przecież wówczas żadnych notatek, ta chwila trwa w nim, on trwa w niej, to jest wszakże moment z epoki, w której życie toczyło się NAPRAWDĘ, podczas kiedy wszystko, co jęło dziać się później, zakrawało już na żart czy złudę. Roman dumny był z posiadania tej chwili i możliwości znalezienia się w niej z powrotem nawet teraz, po latach: dowodziło to, że nie jest człowiekiem dzisiejszym, a więc się już nie zestarzeje, tylko ludzie włączeni całkiem we współczesność starzeją się i zmieniają, tymczasem on ma oto w duszy komórkę, która na pewno ocali się przed wszechpróchnieniem. Nikt mu tej chwili nie odbierze, nosi ją zawsze ze sobą i przez jej pryzmat patrzy na wszystko, co przyszło później: na nową Polskę i jej przemiany, na jego, Romana, dokonywane i odkrywane w stosunku do jej dziwnego obyczaju psychiczne przesunięcia i ewolucje, owe kolejne fazy niedowierzania, gniewu, strachu, pogodzenia się, zrozumienia, ba, chwilami entuzjazmu nawet, po czym znów znie-

cierpliwienia, zawodu, załamania, poczucia bezsilnego absurdu — wobec tego wszystkiego potrafi Roman zachować minimum stoicyzmu, bo ma oparcie w owej upalnej, południowej chwili, przeżytej kiedyś przed nie istniejącym dziś sklepem na nie istniejącym chodniku starej, nie istniejącej ulicy Marszałkowskiej.

I znowu pytanie, wciąż powracające, jaka jest właściwie ta nowa, ze stoicyzmem czy bez niego obserwowana Polska: dobra, zła, dziwna, zwyczajna, zakłamana, prawdziwa, karykaturalna, słaba, silna, nieśmiertelna?! Co pozostało w niej polskie, co importowanym czarodziejom ze Wschodu nie wyszło, czego, mimo wszystko nie udało im się tutaj przemóc?! Wsi oczywiście, tej polskiej specyfiki: podczas gdy społeczeństwo miejskie jest już mocno karykaturalne, bo nie ma w nim producentów, są tylko pogrążeni w papierach urzędnicy produkcji, to jednak chłopci producentami pozostali nadal. Rzecz, która się systemowi nie udało, czyli kolektywizacja wsi, zaniechana po latach, stała się w istocie jedyną rzeczą, która mu się udało: tyle, że niechcący wyhodowano warstwę specyficznie zegoistyczniałych wiejskich drobnomieszczan (*tak to człowiek strzela a Pan Bóg niesie kule w sobie wiadome miejsce*), obojętnych na wszystko, co jest jakakolwiek ideą, wykraczającą poza ich świat materialny, ich codzienne życie: w ten sposób naród zdzieciniał, bawi go tylko to, czego można konkretnie dotknąć lub posmakować, skoro już przed laty odjęto mu wszelką psychologiczno-polityczną decyzję i wiedzę. Na razie zatem trwa tutaj istna rustykalna a bezmyślna sielanka — obrazek niegdyś typowo szlachecki. Roman, nasłuchując nieraz w wiejskich, brudnych, przeważnie państwowych gospodach rozmów wsiowych młodzieńców w ortalionowych płaszczach z tranzystorowymi aparatami radiowymi w rękę, przerażał się panującym tu wszechwładnie absolutnym zmateriałizowaniem, wiało nań obcością i zimnem powojennych ludzi, nawet ze słyszenia nie znających już doświadczeń podziemnej walki czy czasów stalinizmu, ludzi „małej stabilizacji”, którzy to, co jemu wydaje się absurdem lub dziwactwem, widzą jako normalność, jako oczywiste warunki życiowe: noszą w sobie tylko jedną epokę, ani podejrzewając, że mieszający się z ich gwarliwym, namiętnie rozgadany o swoich sprawach tłumem Roman ma w swym wnętrzu tych epok kilka — nie mogliby sobie tego w ogóle wyobrazić, do niczego im to zresztą niepotrzebne. Wydają się Romanowi obcy, jednakże, gdy wraca z dziwnie bezdusznego, europejskiego Zachodu, z rozrzewnieniem słuca ich głosów, czuje się wtedy swojsko, nic na to nie poradzi. Tam bezdusznie i tu bezdusznie, towarzysze z barykady w Monachium czy wynarodowiony przecież Andrzej poszli jednak na zbytnią łatwiznę, nie wszystko zrozumieli: istniała prze-

cież w końcu Polska, taka czy owaka, małoduszna czy nudna, ale jednak na swój sposób, choć wciąż jeszcze podszyta dziadostwem, to jednak krzepnąca, przy czym, jak to obiecują komuniści, żadne nieszczęście z zewnątrz już jej nie spotka. Dobra to obietnica, dowodząca, bądź co bądź realizmu: komuniści to w gruncie rzeczy korni słudzy konieczności, żebyż tylko byli mniej arogancy i nie kazali ludziom wierzyć, że są tej konieczności panami (*choć wtedy zapewne nie powołano by ich do służby*), ba, oni nie tylko każą wierzyć, ale potwierdzać to głośno, cmokać chóralnie nad swą wszechwiedzą i rozgrzeszać się z góry z wszelkich popełnionych błędów. No cóż, władcy mają swe słabości — aby tylko takie: darowanemu przymusowo koniowi nie zagląda się wszakże w zęby.

Tymczasem jednak stale i zasadniczo niepokojąca jest owa Wielka Utopia, która, chcąc stworzyć świat ludzki bez konfliktów, zaczyna od sztucznego wygładzenia mu przeszłości. A przecież sielanka wiecznie trwać nie może, byłoby to sprzeczne z bezlitośnie konfliktową istotą świata. Skąd zatem przyjdzie pierwszy cios? Co prawda nieustający konflikt już się rozgrywał, tyle, że bezkierunkowy i raczej obojętniający społeczeństwo, niż je podniecający: był to ów konflikt wszystkich ze wszystkimi w zakładach pracy, toczony za pomocą intryg i anonimów, wynikły zaś z faktu podziału ludzi na lepszych i gorszych, na członków Partii Przyszłości i opieszalców, co się nie zapisałi. Także i od strony ignorowanej przez wiele lat normalnej socjologii objawić się może wiele zaskoczeń: coraz wszakże mniej ludzi chce pracować fizycznie, tymczasem poziom techniki nie jest tu przecież komputerowy, o czym można nawet sądzić, widząc wiejskie autobuski, zgubione w wielkomijskich tramwajach, czy też modne pseudo amerykańskie „dżinsy”, pokrywające ledwo ledwo zmieszczane gołodupstwo młodzieńców warstwy pośredniej, z nabożną czcią podziwiających byle zachodni samochód. Dziwne trwa tu jeszcze pomieszanie wszelakich dysproporcji i niedokonań, nuż więc coś się zmieni, nie uda, odwróci i nagle rozsypie się wszystko w rosyjski sławny bałagan? Ha — przyszłość jest w ręku Boga, jak powiedział Wielki Stalin Churchillowi. Ten przynajmniej nie musiał nadmiernie się zgrywać czy uniazać! (*Stalin, rzecz prosta*).

Niewątpliwie, pogląd, jakoby komunizm udał się w Polsce lepiej niż gdzie indziej, bo organiczny opór swojskich warunków zrobił swoje i wypaczył doktrynę ile się tylko dało, aby maksymalnie nagiąć ją do wymagań życia, pogląd ten, bardzo kiedyś w rozmowach i dyskusjach lansowany przez niemarksistowskich „organiczników” z Romanem włącznie, mógł być poglądem par-

tykularnym i ciasnym, wynikłym z braku perspektywy. Rumuni i Węgrzy, Bułgarzy i Czesi też się co pewien czas chwalili swoją specyfiką, w sumie było to zapewne migotanie fal, gra przestrzeni wodnych, ujętych jednakże wszędzie w te same, sztywnie nieustępliwe brzegi. Któż zbada, jakim prawom poddane jest ułudne falowanie wód, dumął nad tym wszakże Roman niejeden już raz, czy to na podatnym nieustającej zmienności molu w C..., czy też gdzie indziej, w jakimkolwiek w ogóle miejscu, obserwując swoje wnętrza psychiczne, przez które przepływał ów stale ruchomy i mieniący się nieprzewidywalnymi odcieniami strumień myśli.

Zresztą i sama Rosja nie zawsze była doktrynalnie prawidłowa, choć o prawidłowość tyle tam krwi wylano, choć dla uniknięcia myślowej nieprawidłowości wybito niegdyś do nogi całe pokolenie inteligencji. A przecież i tu trafiały się misterne kombinacje, na przykład z kolchoźnikami: bywały wszak okresy, kiedy prywatne ich, ściśle przez państwo ograniczone działki przyzagrodowe żywiły kraj — a ogromne, zdewastowane sowchozy bezpłodnie pożerały pakowane w nie fundusze. Co pewien też czas wychodziło w końcu na jaw, że długo tłumiona energia i inicjatywa gospodarcza jednostek znajdowała sobie ujście bądź w produkcji nielegalnej (*pojęcie nie do zrozumienia w świecie zachodnim*), bądź też w precyzyjnych, na ogromną skalę motanych oszustwach i kradzieżach: czytało się wtedy nagle o olbrzymich procesach całych gangów, procesach, kończących się długimi szeregami wyroków śmierci. Publikowanie tych spraw, przy zupełnym niemal przemilczaniu przestępstw politycznych, wynika z faktu, że w systemie owym działanie nielegalne jest mniejszym wykroczeniem niż świętokradcza próba zmiany legalnych zasad wszelakiego postępowania, czyli zamach na podstawy ideowe czarodziejskiego świata. Działanie nielegalne bywa nawet mile widziane, jako dopuszczalny wyjątek, istnieniem swym potwierdzający regułę, co więcej, trafiający się czasem przeciwnicy ideowo-polityczni nader chętnie określani są jako kryminaliści i bandyci.

Tak więc, nieprawidłowości i odchylenia zdarzają się nawet w samej centrali, w Cesarstwie Wschodu czyli jądrze ciemności (*lub światła, zależy od punktu widzenia*). Rekord niekonformizmu pobił jednak kiedyś ni stąd ni zowąd sam kolejny cesarz, ów przybierający pozory jowialności, podobny do wesołego prosięcia z rysunkowego filmu, następcą Sekretarza Wielkiego. Najpierw dokonał, wręcz niefrasobliwie, olbrzymiego wstrząsu, opowiadając na międzynarodowym zjeździe szczegóły zbrodni i głupstw Stalina, bez owijania sprawy w jakąkolwiek bawełnę i bez tajenia swojego we wszystkim udziale — nic też dziwnego, że kilku nieprzywykłych do tego rodzaju szczerości działaczy

„międzynarodowego ruchu robotniczego” na miejscu kofnęło na serce a jeden pono nawet strzelił sobie w łeb. Potem wesoły cesarz, zgoła wbrew radzieckim obyczajom oraz ceremoniałom, jął podróżować na Zachód, biorąc tam udział w burzliwych, publicznych dyskusjach i zyskując sobie niejaką popularność, prasa zachodnia bowiem z lubością notowała jego niepozabawione chłopskiego humoru i zgoła nie konformistyczne powiedzonka. Na przykład w Danii, gdzie pokazano mu najlepiej na świecie zorganizowane rolnicze fermy, oświadczył jak wiadomo *coram publico*: — Gdy mam do wyboru albo nawozy sztuczne albo socjalizm, wybieram socjalizm! W końcu sanhendrynowi kremlowskich arcykapłanów było tego wszystkiego dość, a i partyjny lud jął się burzyć, lud przez wieki przyzwyczajony do carów poważnych. I oto pewnego dnia Następca znikł jak zmyty: z wyżyn władzy spadł w niziny starczej emerytury, i tak łaska Boska że go odwiecznym zwyczajem, po cichu nie sprzątnięto. *Habent sua fata...*

Ale co wolno księciu, to nie prosięciu: herezja zrodzona na dworze papieskim jest sprawą papieża, gdy jednak rodzi się ona w pomniejszym arcybiskupstwie, rzecz zaczyna grozić inkwizycją. Towarzysze polscy, zawstydzeni wobec rosyjskich nauczycieli tu-tejszymi nieprawidłowościami w różnych dziedzinach, szlachecką wsią i kościołem, modą, sztuką, inteligencją i resztkami wolnych zawodów, kontaktami z zagranicą, a także pajęczą siecią różnych finansowych powiązań, postanowili, dla ratowania sytuacji i twarzy, pokryć wszystko jak najgrubszą, jak najsolenniejszą warstwą ochronnej, drętwej mowy. Wydawałoby się to logiczne i w ogóle bez zarzutu: co szkodzi kłamstwo, jeśli poza tym wszystko idzie normalnie? Tak by się zdawało i zasada ta przyświeca na ogół mężom stanu wszystkich krajów, bez względu na epokę i ustrój. Tyle, że w kapitalizmie obowiązkowo kłamią jedynie premierzy i ministrowie, którym się za to właśnie płaci, tutaj natomiast, widocznie w ramach demokracji, zaczęto wymagać posługiwania się nowym, spajającym taktykę z uroczystą solennością językiem od wszystkich, absolutnie wszystkich, a już w trójnasób od ludzi zawodowo zajmujących się pisaniem. I tu już przed Romanem oraz jemu podobnymi otworzyła się przepaść, której zresztą długo nie dostrzegali, bo rzecz aplikowano im stopniowo, mądrze ją rozkładając na lata i pokolenia, dzięki czemu wielu skrybom umknęła gdzieś nieznacznie moralna istota zagadnienia: przecież nikt nie neguje, że polityka jest grą brutalności, kłamstw i przypadków, ale pisarz dotąd nie musiał się w to włączać, tymczasem teraz czarodzieje i mocodawcy zaczynają tego żądać, ba mobilizują cały rynek słowny, domagając się przy tym indywidualnych oświadczeń utrzymanych bez reszty w regułach Nowej Mowy.

Gdy się zaś który pisarczyk opiera, zaraz ktoś zainteresowany zaczyna nań krzyżeć: po co ludzie mają wiedzieć, że kłamią, argumentuje taki typ — po co im utrudniać życie, jeśli zapomną że kłamią, będą szczęśliwsi i uczciwsi. Było to zresztą nic innego, jak uproszczone zastosowanie teorii Kazika B..., dotyczącej subiektywnej prawdy i subiektywnej uczciwości. I w ten sposób w imię wyższej, bo perfidniej uzasadnionej moralności, wszystkie koty po społu zaczynają jeść musztardę, ten zaś, który nie chce lub się waha, zostaje przez inne napiętnowany. Oto sztuka — zasady jej pojął i gruntownie a szczerze przecież Romanowi wyłożył Jego Magnificencja Rektor-laureat Kazik B...

Być kotem samotnym i napiętnowanym — ładna historia. Nawet temu, kto zarzeka się, że nie lubi śpiewać w chórze, przykro jest boczyć się samotnie po kątach, gdy inni śpiewają unisono: śpiewanie w chórze podnieca, bez względu na to, co się śpiewa, bocznie się rozgorycza, choćby się miało rację. Roman długo i zrećnie wymijał ten problem, ale dłużej się już nie da — nie można w kraju kolektywnym oficjalnie pozostać osobną jednostką, chyba, żeby się z tym obłudnie a bezczelnie kryć, jak Kazik B... Tylko, że Roman nie chciał się kryć, od lat przecież trawiła go nieprzeparta pisarska chętka, aby DAĆ ŚWIADECTWO. Świadectwo nie musiało okazać się koniecznie negatywne czy wrogie, przeciwnie, tłumaczące, wskazujące na złożoność spraw w kraju, gdzie dobre i złe czy też głupie i mądre splątane jest ze sobą w tkaninę o wzorze zawiłym, lecz chyba na swój sposób także i kunsztownym. Nie miało to więc być świadectwo ani ujemne ani obelżywe: wszystko zrozumieć znaczy przecież wszystko przebaczyć. Miało spełniać właściwie tylko jeden warunek: być napisane w mowie, znanej Romanowi od dziecka. Tymczasem teraz żądano rzeczy przeciwnej, całkowitego przejścia na nową mowę, której Roman nie znał, której wyuczenie się wymagało zasadniczej zmiany osobowości. Kto tego nie chce, ten będzie już na zawsze publicznym niemową, jedynym niemym wśród tłumu mówiących. Pozostaje mu rzeczywiście wzruszyć tylko ramionami. Ale na co czy też na kogo?! Na rzekę, za to, że płynie?!

XX

A przecież w gruncie rzeczy miał jedynie napisać powieść, tyle, że nie taką jak pisali inni. Zbierał do niej materiały, notował je już za pierwszym pobytom w C..., ale do powieści wszakże

potrzebna jest fabuła, akcja, same opisy, wspomnienia i strzępy myśli nie wystarczą, choćby tak nawet twierdzili twórcy nowomodnych koncepcji „montażowych” czy *collage*’owych w prozie literackiej lub w kinie. Zwątpił, czy potrafi taką zbiorczą, bo organizującą wszystko kanwę powieściową wymyślić, nigdy właściwie tego nie robił, gdy oto Biała Bluzeczka a raczej pojawienie się takowej w jego życiu poddała mu pomysł: napisać romans, to przecież jest odwieczny pretekst aby powiedzieć wszystko, wystarczy pisać o miłości i śmierci, o niczym innym na pozór, podobnie wszak postąpił Poeta spod Moskwy. Tak, napisanie romansu, nie zaś chęć wzruszenia ramionami — to był właśnie zasadniczy impuls, impuls artystyczny, formalny niejako, bez niego nie ma co zasiadać do pisania. Tylko że właśnie romans mu się nie udał, ten w życiu, nie na papierze, ten rozpoczęty spotkaniem w C..., w „Srebrnym Jarze”, w „gazetowej salce”. Zmarnował Bluzeczkę, zraził ją, uniemożliwił jej miłość, mieszając, nie wiedząc po co, uczucie z polityką, z historią, z własną historią, no bo przecież to on tak rzeczy widział i odczuwał, ona patrzyła pod innym kątem z perspektywy innego wieku, innej epoki i ani myślała dać sobie to odebrać, chciał ją pozbawić legendy jej młodości, ona się broniła i zupełnie słusznie: to co dla niego jest snem, który przeminie lada chwila, dla niej było rzeczywistością, jedyną realną rzeczywistością. Ona już nigdy nie pozwoli odebrać sobie tej rzeczywistości, tak jak on nie da sobie odebrać okupacyjnego sklepu na spalonej czerwcowym słońcem starej Marszałkowskiej, czy też tonącej w mroźnym mroku lecz rozpylającej wśród nocy tajemnicze polskie ciepło Kuchni Autorów. Może dla następców Bluzeczki, tych najmłodszych, rzeczywistość Polski zwanej Ludową (*choć lud wcale nie cieszy się tutaj ze swej ludowości*) stanie się tak normalna, że aż zbyt normalna, że aż nadnormalna i godna przezwyciężenia, stanie się Picassowską dziewczyną o dwóch profilach, podczas gdy kochać naprawdę można wyłącznie dziewczynę zwykłą, jednoprofilową. Tymczasem Bluzeczka widziała w dniu dzisiejszym jeden tylko profil i broniła się przed innym widzeniem, które chciał jej narzucić Roman. Widzieli odmiennie, ale może to jego wina, może on nie lubi już młodości (czyżby zazdrość?!), dlatego to młodzież wydaje mu się tak śmieszna, prymitywna, wtórna, w swych smakach i zapachach, stąd zapewne tak go denerwują niewinni mazowieccy trubadurzy z hiszpańskimi gitarami, gapiowaci chłopcy o fryzurach angielskich pederastycznych cherubinów, w spodniach wąskich jak getry dawnych dworskich paziów. Bzdura oczywista, Bluzeczka nie należała przecież do tego pokolenia, była starsza i doskonale mogła się z Romanem porozumieć, zraził ją tylko

swym maniakalnym antyhistoryzmem, czy, jak mawiała, antykomunizmem, który wydać się może równie obrzydły, niewolniczy i niszczący, jak maniakalny, obrzędowymi czarami przyozdobiony komunizm. Zraził ją, zmarnował, żyjąc na skrzyżowaniu epok chciał i ją wciągnąć na to niewygodne miejsce, pokazał jej przez to, że pochodzi sam z minionego świata i normalnie już żyć nie potrafi, bo ma historyczny (czy *pozahistoryczny*) lęk przestrzeni, przede wszystkim lęk przed nowymi pokoleniami, przed młodzieżą wszechczasów: na świecie jest za dużo obcej, nowej młodzieży — nigdy jakoś nie uderzyło go to tak bardzo jak teraz — ta młodzież tworzy dzisiaj zamknięty klan, a tu on, za pośrednictwem Bluzeczki, chciał zbliżyć się do owego klanu, przeszmyglować się do niego, toteż dostał w łeb i ośmieszył się porządnie: śmieszna to bowiem rzecz udawać Fausta, gdy nie ma się pod ręką swojego Mefista.

Z początku myślał, że to wiatr epok, gorzki wiatr, niosący zatrucie dziwactwem historii oderwał go od Bluzeczki, tymczasem teraz nawiedza go myśl, że to chodzi o co innego, o problem stary jak ludzki świat: o młodość i jej mijanie. Młodość, to epoka, kiedy wszystko jest prawdziwe — nic dziwnego, że dziś sprawa Bluzeczki okazała się nieprawdziwa, toż jest już dawno „po sezonie”. Bluzeczka zrozumiała to i odeszła, bez słowa, tak jak odchodzi się od impotentą. Był impotentem życiowym, pokazał, że w tej epoce zadomowić się już nie umie, że zmoęła go historia, której istnienie negował. A jeśli tak, jeśli nie ma miłości, to nie ma i romansu, a więc nie ma i powieści. Bo miłość zmarnowana, popsuta, nie konserwuje się w dorobku pamięci jak inne sprawy: miłość musi posiadać uwieńczenie i nadbudowę w utrwalonych złudzeniach, miłość zdemaskowana, rozszczepiona po drodze na poszczególne elementy, przestaje istnieć w wewnętrznym ludzkim skarbcu jako wartość trwała, może tylko rozgoryczać i jątrzyć. Nie o to chodzi, że Roman nigdy już nie zobaczy szarych oczu, utkwionych weń na tle purpurowego zmroku gazetowej salki: chodzi o to, że nie wolno mu a także nie warto o nich myśleć, bo myśl ta jest zatruta, bo wpatrzona oczy nie żyją w nim bytem krzepiąco niezniszczalnym, jak płonące słońce okupacji czy kamienna, mroźna noc narodowa, przeciwnie, oczy z nadmorskiej kawiarni to wyrzut sumienia, symbol dysharmonii, niedokonania, zaniedbania sprawy ważnej, która nadarza się tylko raz. Miłość ma swoje prawa i wymogi, kto ich nie spełni, ten straci okazję bezpowrotnie, niczym nowy Lord Jim. Skoro Roman przerwał romans, pozostawił go bez dalszego ciągu, to tak, jakby przerwał lekturę, jakby stracił fabułę powieści: powieść wniosłaby w jego życie zbawczy porządek duchowy i nawet zewnętrzny, formalny

— ale widać nie będzie mu to dane, dane mu są tylko strzępy urywki, ułamki, refleksy, a któż i jaką sztuką zbuduje z tego całość, gdzież owo wewnętrzne spoiwo, owa kanwa, ofiarowywana przez miłość i jej perypetie?

Prawda: została jeszcze śmierć, czyli drugi temat, zostały perypetie umierania. W życiu Romana było kilka ważnych śmierci, prawdziwych, a także symbolicznych. Odszedł po wojnie ojciec, doczekawszy się przedtem dosłownej realizacji swych całozyciowych lęków i złych przeczuć, odszedł pod koniec wojny krytyk R..., któremu też sprawdziły się najgorsze, katastroficzne domniemania, bo tak czy owak stracił większość tego, co napisał, pozostawiając po sobie pusty dźwięk nazwiska i nieco wspomnień, głównie tych, zawartych w pamięci Romana. Do symbolicznych śmierci zaliczyć było można natomiast odejście Andrzeja i Bluzeczki, którzy, jeśli chodzi o Romana, przeszli w niebyt, mimo iż naprawdę ukryli się tylko w dwóch imaginacyjnych Polskach, dwóch z wielu możliwych: Andrzej w skamieniałej Polsce z chwil warszawskiej, krwawej wielkości, którą to wielkość przechowywano jak stary bibelot wśród filisterskiego, szkopskiego życia w Monachium, Bluzeczka zaś w Polsce słów, sztandarów i akademii, Polsce, którą wbrew dygnitarskiej i zaskorupiałej formie, mieniono wciąż Polską rewolucyjną. — Rewolucja zmarła, trzeba nam szukać nowego płomienia — powiedział pewien rozzarowany zachodni komunista, ale Bluzeczka o śmierci rewolucji nie miała pojęcia, żyła formą, nazwami, hasłami i dobrze jej z tym było, zresztą każdy człowiek żyje jakąś własną konstrukcją złud, Roman też tak żył, dopóki nie nadszedł kryzys, który za jednym zamachem pozbawił go wszystkiego: wiary, nadziei i miłości, jak patetycznie powiedzieliby chrześcijanie.

Cóż więc zostało? Został, o dziwo, Kazik B..., ten nie tylko że nie umarł, lecz zjawił się Romanowi po latach w nowej postaci, odrodził się, przekreślając jednocześnie swą dawną sylwetkę, ową, utrwaloną w Romanowej wizji postać zdenerwowanego, ba, wstrząśniętego chłopca z piorunowo ognistej łaźni września 39. Mało przy tym tego, że Kazik B... sam zmienił skórę, lecz jeszcze proponował to samo Romanowi, podając nawet sposób na ową cudowną transformację. Prawdę mówiąc, Kazik odgrywał czy odegrał przy Romanie rolę Mefista, proponując odmłodzenie za cenę zresztą wiadomą, tyle że Roman się nie połakomił, wobec czego nie miał za co płacić. Znalazła się również Małgorzata czyli Bluzeczka właśnie, były więc do dyspozycji główne *dramatis personae*, ale w końcu sztuki nie wystawiono, bo Roman nie stanął na koturnie romansu i dramatu, choć nie powstrzymywały go przecież żadne względy osobiste, nie myślał wszakże o rodzi-

nie, dzieciach, w zasadzie dorosłych już i obcych, o opinii, bo czyżby właściwie opinia mogła go obchodzić? Nie szło o żadne względy uchwytnie i konkretne, a jednak „Fausta” nie odegrano, przedstawienie, choć po tylekroć zapowiadane, nie odbyło się, mimo niezaprzecznego uroku Małgorzaty i niezaprzeczonej, autentycznie trującej mądrości Mefista. Doktor Faust strwożył się obcością, przeląkł się obcej, zimnej młodości Małgorzaty — otóż to!

Jakżeż więc ma postąpić twórca dramatu, skoro główny aktor odmówił swego udziału? Opisać spektakl, który się nie odbył, to jest w istocie, formalnie rzecz biorąc, nader awangardowe, coś w rodzaju modnego w nowatorsko-snobistycznych kołach *happening*'u, mającego zastąpić sztuczność tradycyjnych przedstawień — dobrze łączyłby się z tym fakt braku określonej fabuły, wynikły z niedopełnienia, nieukoronowania romansu z Bluzeczką; Roman miał wszakże kiedyś chwile, gdy za jeden wieczór z nią, ba, za jedno jej ufne przytulenie, tam, na moło w C... oddałby wszystko inne i to było prawdziwe, prawidłowe: miłość, która jest sama dla siebie zarówno treścią, jak formą, zarówno przyczyną jak też i celem. Ale rzecz ta w dziwny i niewytłumaczalny sposób się rozchwiała, szybko ukazała swe płytkie dno: w sposób dziwny, bo przecież trudno jako przyczynę owej nagłej zmiany rajy w piekło podać różnicę poglądów czy nawet różnicę pokoleń — odegrały tu rolę jakieś czary, czary, odróżniające obecną epokę od wielu innych w historii, choć w swoim czasie istniała przecież i inkwizycja i wyprawy krzyżowe, a kiedyś przedtem jeszcze, w Bizancjum, walka o obrazy lub o potępienie takowych.

Że w tym wszystkim co ich otaczało chodziło o czary, że Bluzeczka była zaczarowana, ujęta w sieć zaklęć i egzorcyzmów, o tym przekonał się Roman jeszcze raz, śledząc z relacji oraz z prasy to, co w Wielkim Wschodnim Radzieckim Kraju objawiło się jako niezafałszowny głos ludu, tego ludu, wielbiącego przecież zawsze *jurodziwych*, wędrownych, obłąkanych a natchnionych proroków. I oto głos taki, mimo wszelkich przeszkód i zahamowań, doszedł był kiedyś Romana: przed laty jeszcze, nieliczni podróżujący po bezkresnej Rosji Polacy (*niewielu ich dzisiaj było, mimo „wiecznej braterskiej przyjaźni”*) donosić jeli o osobliwym zjawisku, że mianowicie cała niezmierna Matuszka Rosja szepcze i plotkuje tylko i jedynie na temat zagadkowych, pojawiających się na niebie „fruwających spodków” czy talerzy. Po latach sprawa ta potwierdziła się w sposób wręcz zdumiewający: czarodziejska prasa, strzegąca się przecież jak ognia wspomnienia o czyichkolwiek subiektywnych nastrojach, wśród powodzi wiadomości nic nie znaczących, doniosła nagle, że powołano Najwyższą

Wszeczwiązkową Komisję do zbadania sprawy fruujących tale-rzy. Informację tę zresztą niezadługo, zgoła się nie krępując, odwołano niemniej samo pojawienie się jej w prasie, zazwyczaj uroczystej, tudzież suchej jak kamień było niezwykle ważne, znaczące, odsłoniło na chwilę rąbek nieprzenikliwej kurtyny: rządzący czarodzieje bali się dla ludu tylko jednego jedynego, tylko konkurencyjnych czarów, przeciwczarów, antyczarów, tylko cudu lub legendy, o których wieść rozeszłaby się między ruskim narodem błyskawicznie a tajemniczo, mimo wszelkich materialnych przeszkód i zakazów. Dlaczegoż by innego wymordowano carską rodzinę wraz z dziećmi, jeśli nie po to, aby wokół jakiejś pozostałej przy życiu carówny nie rozjarzyła się aureola legendy, legendy irracjonalnej i przez to właśnie najniebezpieczniejszej, bo nieuchwytniej dla wszelkich racjonalnie zorganizowanych systemów kontroli czy nacisku. Nie brakowało wszakże w historii Rosji wszelakich oszalałych, tajemniczych pretendentów i samozwańców, Dymitrów i Rasputinów, mnichów i biesów: kraj był magiczny i magicznym pozostał, nawet marksowski racjonalizm przybrał w nim formę szamańskiej magii, z czego dobrze zdawali sobie sprawę ludzie z Kremłowskiej Góry (*właściwie Kreml pozostał w Moskwie tylko symbolem, punktem, gdzie odbywały się jedynie wielkie publiczne procesje i nabożeństwa — istotny mózg a raczej serce Nowej Wiary biło gdzie indziej, w miejscu, jak przystało na centralne laboratorium kultu, ukrytym i zamaskowanym*).

Zatem istnienie magii nie ulegało wątpliwości, nic więc dziwnego, że czary odebrały Romanowi Bluzeczkę, czyniąc z dnia na dzień z ich miłości żłudę — wszakże w normalnym życiu dwoje ludzi nie rozchodzi się z powodu tak błahego, jak różnice poglądów ideowych, coś podobnego działo się tylko w zwariowanie romantycznych polskich powieściach z epoki Żeromskiego, o którym Piłsudski miał powiedzieć, że to nie jest pisarz polski lecz rosyjski. Tak czy owak, czyjaś magia przemieniła miłość w parodię, uroczą zaś Białą Bluzeczkę w syczącą żmiję, tak jak czarodziejka Cyrce na poczekaniu przemieniała podróżników i żeglarzy w wiadome czworonogi. Skoro zaś nagle, choćby za sprawą pechowego przypadku, okazało się, że nie ma oto ani miłości ani Bluzeczki, to nie było już także ani romansowej akcji ani postaci z krwi i kości, odpowiedniej na powieściową bohaterkę. Nagłość całego fiaska okazała się tu elementem najbardziej negatywnym, bo można przecież opisać stopniowe umieranie miłości, niesposób jednak przybrać w interesujące barwy raptownego jej bankructwa i zgonu, jakby kto przeciął całą sprawę nożem czy toporem. Owszem, jeśli miłość jest imaginacyjną żłudą, można by to opisać,

możliwa byłaby książka o ludzkich złudach, bo wszakże złuda czyli gra wyobraźni jest czymś równie realnym jak postrzeganie przez człowieka zewnętrznego świata, jest faktem psychicznym, mającym swój odpowiednik w konkretnych procesach energetycznych, angażujących przeróżne fale elektromagnetyczne, fluidy, drgania kwantowe i licho wie co jeszcze, procesach, których dynamika we wszechświecie nie ginie, lecz sublimuje się w coś, co kiedyś odkryje tudzież ustali przyszły super Einstein Einsteinów i tak dalej i tak dalej... Ale wśród złud też istnieje hierarchia, nauczał o tym niegdyś krytyk R..., ciekawsze dla czytającego ogółu mogą być zwłaszcza złudy (*wciąż słowo „złudy”, ukryte jako kryptonim faktów psychicznych a więc zarazem fizycznych, bo tego się na ziemi rozdzielić nie da*), wspólne swym punktem zahaczenia dla wielu ludzi, więc na przykład złudy czyli fakty narodowe, takie właśnie jak palące słońce czy ścinająca kamiennym mrozem noc Okupacji, jak wielopostaciowa legenda Sierpnia 44, jak jeszcze dawniejsze, dalsze, cichsze echa wspomnień, choćby wcielonych w postaci starsuszków w granatowych mundurach i rogatywkach, czyli weteranów powstania 1863 roku, których Roman jako dziecko obserwował łakomym, zaciekawionym okiem na ulicach dawnej Warszawy. Jest tu zresztą sprzeczność sama w sobie, bo po cóż krępować się tym, czy tematyka powieści okaże się systemem złud znanych w kraju czy też nieznanymi, skoro książka ta, jak książka Poety spod Moskwy, nie będzie tu drukowana, dostępna, ani czytana, autora zaś ukarzą, napiętnują, może zamkną do więzienia czy coś takiego. Ale nie w tym rzecz: rzecz w tym, że, jeśli się daje świadectwo swoim czasom, nawet świadectwo skierowane w próżnię, to musi ono być jakoś historyczne, choćby się negowało pojęcie historii, uważając je za twór ludzkiej, scalającej i mitologizującej wyobraźni, choćby się miało na celu zadeklarowanie temu tworowi *votum* nieufności i wzruszenie nań ramionami. Oczywiście, istnieje tu wzmiankowane już niebezpieczeństwo, że wzruszenie z tak dużym nakładem pracy i ryzyka ramionami nad historią okaże się pośrednim uznaniem jej rządów, co oznaczałoby mimowolną akceptację taktyki owych czarodziejów, którzy cały swój system magicznych sztuczek konstruują po to, aby wmówić ludziom, że za nimi stoi właśnie bezosobowa i nieodparta logika dziejów. Za dużo to dla nich zaszczytu dostarczanie im jeszcze jednego laurowego listka, zbędną rzeczą też jest dobrowolne uprawdopodobnianie czyjejś mistyfikacji. Można jednak przecież znaleźć wyjście zarówno zbiorowo jak i indywidualnie interesujące: pojąć historię jako niewyjaśnialny (*nie potrzeba go wyjaśniać!*) splot poszczególnych osobowych losów widzianych od środka, od psychiki, te zaś, jak

wszystko co psychiczne, na pewno są realne, realniejsze bezwątpienia od rzekomych praw rządzących zbiorowością. Wyjątek jest zawsze konkretem, reguła natomiast może się okazać hipotezą, domysłem czy właśnie mistyfikacją zgoła lub szantażem.

Roman zbierał sobie kolekcję indywidualnych, na pozór nie typowych a przecież symbolicznych losów polskich — bohaterowie romansów czy fantastycznych przygód zawsze są wszakże wyjątkowi, ale wyjątek potwierdza pono regułę. Był na przykład sobie pewien emigracyjny ostatnio poeta, który w liście do jakiejś również emigracyjnej redakcji opisał swoje życie — Roman czytał ów list za swym ostatnim pobytom na Zachodzie, bo w zaryglowanym kraju nikt, rzecz prosta, o takich rzeczach nie miał pojęcia. Poeta pochodził z przedwojennej „klasy robotniczej” i to z tej najbiedniejszej, ze służby folwarcznej czyli parobczańskiej. Przed wojną tępony był bardzo za swój bojowy komunizm, kilkakrotnie aresztowany, pobity przez policję. W 39-tym znalazł się we Lwowie, gdzie po krótkim okresie spełnienia czerwonych marzeń, nagle go również aresztowano, pobito i wraz z setkami tysięcy innych Polaków wywieziono do Rosji. Tu, po długim bezsensownym śledztwie skazany został za zdradę sprawy rewolucji, trockizm, szpiegostwo, sprzyjanie burżujom i wiele podobnych zbrodni, na dwadzieścia pięć lat więzienia. Po wybuchu wojny z Niemcami i pakcie Sikorski-Stalin zwolniony bez słowa komentarza, po miesiącach niesamowitej, głodowej podróży wcielony do armii Andersa, opuścił wreszcie z nią Rosję, strząsając pył z podartych butów, wyleczony z komunizmu raz na zawsze i po wszystkie zdawałoby się, czasy. Walczył we Włoszech, potem znalazł się w Londynie, redagował płomienne pisemka (*po tamtej stronie też używano ciepłego określenia „płomienny”*), domagając się wyzwolenia ojczyzny przez Zachodnie Demokracje. Kiedy wyniknął znany Wielki Klops, tudzież plajta, Jałta i inne niezbyt dla owychże Demokracji pochlebne zdarzenia, były więzień radziecki krzyczał wielkim protestującym głosem, stając się jednym z najbardziej nieprzejednanych piór emigracji, tyle, że pióro owo zawisło w próżni, bo nie bardzo miało teraz gdzie i za co pisać, a także do czytania komunałów nikt się już nadmiernie nie kwapiał. Krzyczał jeszcze, ale już coraz ciszej, tymczasem daleki (choć o trzy godziny jazdy samolotem) kraj szedł drogą swego dziwnego przeznaczenia, pracował jakoś i krzepł pod firmą komunistów, a już dawnym fornalom i ich rodzinom wiodło się na pewno lepiej niż przed wojną, w końcu minęła ich i zhora kołchozów, zasiedlali ziemie zachodnie, kształcili dzieci, porastali w piórka, tyle że sfilistrzeli całkiem, żadnego ducha rewolucyjnego nikt by się w nich nie dopatrzył, chcieli świętego spokoju

i dóbr materialnych, o istnieniu zaś osobliwego kuzyna eks-komunisty nad Tamizą zgoła nie wiedzieli. Ten zresztą sprawował się coraz spokojniej, powodziło mu się coraz gorzej, wreszcie zrzucił pychę z serca (*jak niegdyś pył radzieckiej ziemi z żołnierskich butów*) i został starszym pomywaczem talerzy w wielkim londyńskim hotelu. Po paru latach tej kariery obudziła się w nim znowu żyłka pisarska i posłał do pewnej emigracyjnej choć nieco dwuznacznej redakcji list, opisujący swe paradoksalnie przekoziołkowane, nieudane życie. List zakończył retorycznym pytaniem: za co, za jakie winy spotkało go to wszystko?! Dlaczego Polak nie może mieć normalnego kraju rodzinnego i normalnego życia, jak inni ludzie na świecie?!

Ba — dlaczego! I co właściwie jest a co nie jest normalne? Może Polacy uwikłali się w starą, inteligentką czy szlachecką koncepcję ojczyzny, przekazywaną im w przeróżnych romantycznych powstaniach czy innych okazjach i dlatego teraz nie mogli pojąć ojczyzny normalnej, choć uwarunkowanej Eurazją, do której wreszcie w sposób jawny i bezapelacyjny ich wcielono? Naród okrzepł i zagnieździł się w tej Eurazji, a że sfilistrzał, spłaszczyl się, zbaraniał — to i lepiej dla niego, lżej mu przyjdzie przejść transformację. W innym świecie niż komunistycznym Polski konkretnej nie będzie, chyba że komunizm upadnie, na co wszakże, jak na każdy racjonalny ewenement w historii, czekać można nawet wieki: na razie tu jest Rosja, Ameryki tu nie zaznamy, choć wszyscy tak lubią oglądać westerny i dostawać dolary czy kolorowe ciuchy. Trzeba więc zmienić swoją wizję Polski, swoje marzenie o niej albo też — emigrować i żyć sobie za granicą, hodując krzepiącą moralnie fikcję, ale w takim wypadku nie skomleć już jak ów poeta-fornal, że odebrano mu ojczyznę. Co mają robić małe narody, którym kazano być patriotami sprawy narodów wielkich? Ano — przetrwać, kosztem zapomnienia, przystosowania, zmaterializowania, udawania, przetrwać, a że to się nudzi literatom, nie mającym okazji snucia na piśmie swych fantazji o narodowym życiu, lub przypominania o tym, co było?! Cóż z tego — Polska to nie zabawka dla igrających piór, prawda nieużyteczna czy zgoła szkodliwa traci rację bytu, po cóż przypominać wciąż grzech pierworodny i zatruwać jeszcze bardziej polskie życie, skoro ono jakoś już się ułożyło, a cały naród nie może wegetować w wiecznej frustracji i pokutnictwie za nieswoje grzechy. Polska jest ludowa, dziwnego nowego ludu, nic jej tamte wszystkie stare i „klasowo obce” porachunki nie obchodzą, przeważnie zresztą o nich nie wie i nie chce wiedzieć, trzeba więc pohamować zbędne zapędy twórcze, tudzież wspominkowe czy polemiczne i milczeć — ewentualnie czekać. Na co? Na przyszłe

pokolenia, nie obciążone nadmierną, bolesną wiedzą o dwuznacznej i tragicznej przeszłości tego kraju, pokolenia, którym Eurazja znudzi się na nowo, gruntownie a inaczej: może bolszewicy, ani o tym wiedząc, wzbudzą po latach i nakłonią do życia nowy polski patriotyzm, tak jak durni Niemcy chcąc zniszczyć wzbudzili Polskę (*der böse Geist*). Na razie, w epoce Trzech Światowych Kolosów, małym narodom przeznaczono surowy reżym wydzielnego porcjami konkrety, owego patriotyzmu ograniczonego (*w nowym języku zwanego „internacjonalizmem”*), oraz realistycznej dyscypliny — wszelkie próby wyłamania kończą się w sposób wiadomy, jako że Wielcy, choć z sobą rywalizują, okazują się solidarni, gdy chodzi o poskramianie Małych. Nie każdy ma takie szczęście jak Izrael, któremu po tysiącach lat rozbicia, prześladowań, upokorzeń i degeneracji, dane zostało odzyskać swój legendarny patriotyzm heroiczny, ba, swą religię nacjonalizmu zgoła. Ale na to trzeba mieć lud osobliwy, zarazem mistyczny i praktyczny, zakochany w życiu, lecz zdolny do wyrzeczeń i fanatycznej ofiary krwi na co dzień, gdzie zaś szukać takich ludów w dzisiejszej Europie — wyśmiano by cały pomysł w owych najpierw umęczonych a potem umaterialnionych ludowych ojczyznach. Wiedzą o tym czarodzieje i dlatego nie boją się niczego — chyba cudu.

Ale historia poety-fornala z Londynu skończyła się ciekawie, zgoła wyjątkowo. Ktoś tam z „krajowej” ambasady przeczytał jego list otwarty, może się wzruszył, może zastanowił, w każdym bądź razie poszły w ruch telefony i szyfrowe depesze, wszczęto rozmowy, znalazły się pieniądze i oto nasz skołatany Polską rozbitek stał się z dnia na dzień redaktorem „reżymowej” gazetki propagandowej w Londynie. Został nim pod jednym tylko warunkiem: aby poniechał swych wspomnień z Rosji „okresu minionego” (*nazwa najskromniejsza w świecie*), aby wszedł w nowe życie bez utrudzającego bagażu przeszłości — warunek nie tak ciężki, zważywszy że nie bardzo było już do kogo o tamtych sprawach mówić, powojenni ludzie małe mieli pojęcie o tym, skąd się wzięli i co robili Polacy w Rosji, usłudni zaś profesoriwie historycy wychodzili ze skóry, aby rzecz zatrzeć, zatuszować, przenieść w niepamięć. I tak oto tułacz-pechowiec po sześćdziesięciu paru latach życia, trzydziestu zaś niemal wygnania — odzyskał ojczyznę. Podobnych zresztą nawróceń, tyle, że na krótsze nieraz rozłożonych etapy, Roman znał znacznie więcej: oto bohaterowie konspiracji krajowej czy walk na frontach Zachodu, więzieni, katowani, absurdalnie oskarżani, po wyjściu z cel i po „rehabilitacji”, po niedocieczonych przemianach umysłu i nieznanym nikomu przeobrażeniach i walkach wewnętrznych, nagle, heroicznie

rzucali się głową w dół, wstępowali do Partii czy organizacji pokrewnych, a potem już szło wszystko normalnie: małe kompromisy, duże kompromisy, małe na pozór niewidoczne sprzeniewierzenie się przeszłości, później, stopniowo, mniej lub więcej świadoma akceptacja kłamstw drobnych, średnich, większych, wielkich, ogromnych, wreszcie jawne już bzdury, intrygi, afery — istny korkociąg małości, szkoła małości, tak toczy się ten świątek, obowiązuje wszakże moralność rewolucyjna, nie zaś przestarzała i zgrana moralność mieszczańska.

Roman znał też jednak i inny przykład polskiego losu, przykład budujący, jak z opowieści dla młodzieży, wręcz nieprawdopodobny, cudowny, choć też na pewno gdzieś na dnie podszyty goryczą obczyzny. Miał oto szkolnego kolegę, chłopaka ciężkiego, kwadratowego, małomównego, rodem z Pomorza, o niemieckim nazwisku. Podśmiewali się z niego w klasie niemało, że gruby i nieruchawy, po dwóch latach porzucił gimnazjum i poszedł do Szkoły Morskiej, pragnąc, jak mówił, specjalizować się w łodziach podwodnych, a było takowych w ówczesnej Polsce chyba z pięć czy sześć. Minęły lata, o grubokościstym Jurku M... zapomniano z kretesem, przyszła wojna, i oto nagle angielskie radio, słuchane po kryjomu gdzieś w warszawskim, okupacyjnym ukryciu, podało zastenografowaną i przekazaną potem przez tajne komunikaty wiadomość, że zbiegła w roku 39 do wyspiarskiego azylu polska łódź podwodna, pod dalszym dowództwem swego polskiego kapitana, lecz już z angielską załogą, bohatercko szaleje na Atlantyku, topiąc Szkopów ile wlezie. A potem znów minęły długie lata powojenne i kiedyś tam w prasie brytyjskiej i emigracyjnej ukazała się krótka wiadomość, że na wyspach Bahama we własnej rezydencji zmarł emerytowany komandor-porucznik Jur (nie Jerzy!) taki to a taki, kawaler najwyższych angielskich odznaczeń za waleczność. A więc istny cud: nieśmiały lecz uparty pomorski chłopak stał się Anglikiem z powieści Kiplinga i zmarł w blaskach królewskiej wdzięczności na jakichś egzotycznych wyspach. Raz chociaż Zachód wypłacił się Polakowi za jego nieszczęśliwą miłość do dalekich, obojętnych krajów, raz chociaż żołnierz — tułacz wygrał los na światowej loterii, czy też, jak sobie mówił Roman, wygrał partię historycznego mah-jonga. Mah-jong to taka modna kiedyś chińska gra, w której każdy zbiera sobie inny gatunek kamieni: jeden wiatry, drugi smoki, trzeci charaktery, czwarty kolory. Kto zbierze całą serię, ten na przekór innym wygrywa. Komandor Jur zbierał pilnie po dalekich morzach polskie złudzenia, a oto, skompletowawszy wszystkie, wygrał, jak najniespodziewaniej w świecie życiowy konkret — tyle, że daleko od rodzinnego Pomorza, na które powracać mu było

wówczas z różnych, zapomnianych i zakłamanych później w Polsce względów, nader niesporo. Względów tych cudzoziemiec pewno by nie zrozumiał, toteż komandor-porucznik Jur nie wspominał o nich zapewne swym kolegom Anglikom przy wieczornym brydżu.

Lecz to znów przecież wypadek nietypowy, marginesowy, i znowu bohaterem jest jakiś inteligencki Hamlet czy Lord Jim. Inteligencki, owszem, czemużby nie — Roman należał do inteligencji, dawnej „postępowej”, niepodległościowej, owej dziwacznej specyficznie polskiej niby elity, niby, bo z reguły wyzbytej pieniędzy, należał i nie miał zamiaru się tego wstydzić, ani podszycać się pod inną, polecaną klasę czy warstwę, jak to robiła Biała Bluzeczka. Tę osobliwą inteligencję, sprzed Pierwszej Wojny rodem, Druga Wojna tępiła bezlitośnie a na wszelkie sposoby; najpierw odpowiedzialna za niezbyt udane rządy grupa legionowo-urzędnicza w dużej części odpłynęła przez Zaleszczyki, potem wzięli się do dzieła zniszczenia Niemcy w egzekucjach i obozach oraz Rosjanie w Katyniach i łagrach. A jednak, mimo wszystko, stara inteligencja jako całość, jako gatunek, przeżyła wojnę i dopiero w Polsce Ludowej ją rozpływać się na dobre. Czemużby nie zostać kronikarzem tej jedynej w swoim rodzaju klasy nie klasy, zasilanej na przestrzeni lat sokami wszelkich polskich warstw społecznych, rozpiętej nad narodową przepaścią, między kilkoma epokami, wszak wszystko co żyje w ojczyźnie winno zostać utrwalone dla potomnych, zwłaszcza, jeśli grozi mu zagłada. Nie będzie przecież Roman pisać o „klasie robotniczej”, boć właśnie jako „klasowo obcy” wcale się do tego nie nadaje. A miałby o tej również arcyciekawej grupie ludzkiej wiele do powiedzenia, więcej na pewno, niż jego koledzy pisarczykowie, którzy dla kariery realizowali na temat robociarski wykoncypowaną na górze, zgoła nie podobną do rzeczywistości kliszę. Nie podobną, gdyż marksiści uwikłali się we własną teorię, na gwałt usiłując dostosować do niej życie, które się na to ani rusz nie zgadzało, konserwowana bowiem we wszelkie sposoby klasa robotnicza marzyła tylko o tym, aby się przestać wyróżniać i w ogóle przestać istnieć, aby się rozpląnąć, aby strojem, obyczajem i potrzebami upodobnić się do mieszczańskich „białych kołnierzyków” całego świata. Nieaktualna w rozwiniętych krajach doktryna o proletariacie jako jednolicie rewolucyjnej, osobnej, wrogiej kapitałowi klasie, w Czerwonym Imperium utrzymywana jest sztucznie, wbrew doświadczeniom rzeczywistości: w istocie klasa robotnicza nie jest w społeczeństwie grupą merytorycznie przodującą, lecz najbardziej zacofaną, bo spełnia przestarzałą i zanikającą funkcję pracy fizycznej, celem ludzkości zaś nie może być przedłużanie

tego stanu rzeczy lecz przeciwnie — zlikwidowanie go. Robotnicy stanowią więc klasę przodującą chyba w sensie chrześcijańskim, bo najbardziej cierpią, przodują upośledzeniem — tutaj okazałby się marksizm zbliżonym do Ewangelii, głoszącej że ostatni będą pierwszymi a pierwsi ostatnimi; w praktyce jednak nic takiego nie widać, robotnikom w nowej Polsce żyje się bowiem, poza specjalnymi wyjątkami, dosyć średnio i nieciekawie, obsypuje się ich tylko pochlebstwami, wciąż się na nich powołując i wmawiając, iż mają pozostać po wsze czasy grupą nic nie posiadających, bo to zaszczyt, bo na tym polega ich antykapitalistyczna misja — może dźwięczą tu znowu echa chrześcijańskiej cnoty wyrzeczenia i pokory? Zadziwiający swoją drogą ludzie ci komuniści, zwłaszcza owi uczciwi, ideowi, wierzący święcie, że kapitalizm to wynik spisku kilkudziesięciu bogatych rodzin, naiwniacy i wruszający duchowi prowincjusze, których wkręcono następnie w aprioryczny dogmat i wpisano bez ich wiedzy do wyższej szkoły obłudy, nakazującej bałwochwalczo czcić nazwy (nominalizm?!), nazywać rzeczy po socjalistycznemu, a w rzeczywistości robić co się da, tyle że z nadmiernym trudem, jako że utrzymywanie mitów kosztuje. W ten sposób nazwa „ruch robotniczy” stała się już czystą fantazją: ruch był elitarny i hierarchiczny, kierowany w sposób tajny i intelektualnie czarodziejski, zaś hasło o rządzącej klasie robotniczej zachowywano dla dekoracji i osłony, dla upozorowanego nagięcia życia do teorii. Nagięcie to zresztą jest tylko zewnętrznym gestem: robotnicy w rzeczywistości nie mają na nic wpływu, pod groźą zbrodni stanu nie wolno im strajkować, a ich „wśród burzliwych owacji” uchwalane, podane przez prezydium bojowe rezolucje i protesty tyczą się zazwyczaj stosunków w krajach od Polski jak najdalszych, w Hiszpanii, Portugalii, Korei, Chinach, Wietnamie czy Izraelu. Ideologowie proletariackiej równości, pomysłu zasianego kiedyś przez pewnego zgoła nie proletariusza z łopaciastą, okropnie gęstą brodą, nie mogą pojąć, czemu hasło to tak dziwne w praktyce przynosi rezultaty, czemu lekarstwo okazuje się gorsze od samej choroby. Tymczasem ludzie mają po prostu skłonność do nierówności i z tą to skłonnością właśnie a nie z żadnym odradzającym się kapitalizmem walczy u siebie komunizm. Taki to już los filozofów utopistów, jako że świat ludzki jest z natury swej po biblijnemu skażony i zawsze z którejś strony objawi się ułomność, rozwiązań doskonałych nie ma, długotrwałych też nie, tylko częściowe, empiryczne reformy niczym nie grożą. Ale reformy takie w wielkiej są pogardzie zarówno u komunistów jak i u oszalałej z dobrobytu, anarchistycznej młodzieży zachodniej, bowiem są one podobno przejawem „ducha mieszczańskiego”. Tyle, że, jak sądził

Roman, duch mieszczański to po prostu odwieczny ułomny duch człowieczy, a najpełniej objawia się właśnie wśród ludu.

Natomiast owej osobliwej, odziedziczonej po początku stulecia inteligencji polskiej (*była zresztą duchowo różnolita, wywiódł się z niej wszakże nie tylko Piłsudski lecz i Dzierżyński*) przypisywał Roman małe stosunkowo skłonności mieszczańskie, dużą za to potrzebę życia w historii, w pełnej świadomości historycznej. Ta właśnie inteligencja niosła na sobie przez długie lata ciężar narodowej samowiedzy, ciężar tragedii rozbiorowej, i dopiero Druga Wojna przerzuciła ten ciężar w sposób konkretny na barki innych warstw; Rosjanie zjednoczyli naród polski na wschodnich, mieszanych ziemiach Rzeczypospolitej, wywożąc na Syberię po społu chłopów, robotników, inteligentów i Żydów; Niemcy zjednoczyli kraj swym terrorem, także nie wybierającym sobie warstw czy klas. Jedni i drudzy, w różnych na pozór celach niszcząc ową starą inteligencję, torowali mimowiednie drogę dla przyszłej nowej, nie inteligentckiej już Polski, właśnie owej dzisiejszej, po socjalistycznemu (z nazwy) mieszczańskiej i pesymistycznie obojętnej na wszelkie hasła, mogące prowadzić do nowej martyrologii. Ten kraj, zmieniony za Niemców w jedną straszliwą mogiłę, miał wszelakich cierpień zupełnie dosyć, zwłaszcza, że sparzeni własnym stalinowskim doświadczeniem polscy uczniowie Czarnoksiężnika rządzą już dzisiaj względnie łagodnie, nie zabijając obecnie nikogo bez wyraźnej po temu potrzeby. Za ich to cichym przyzwoleniem lud, zwłaszcza wiejski, żyje teraz w istocie poza całym owym doktrynalnym dziwactwem, to jego szansa i jego nadzieja. Gorzej z ich awansowanymi, ukształconymi w nowej szkole synami, zwłaszcza z ową młodą kadrą humanistyczną, która, pozbawiona historycznej perspektywy niewiele rozumie i do dziedziczenia narodowej świadomości po tamtej poprzedniej inteligencji, rodem z czasów tragicznych, niezbyt się poczuwa.

Choć różnie to i bywa: prawda, właściwa dawnej inteligencji i dawnej świadomości historycznej, prawda, zaczerpnięta z tradycji, przechowywanej wśród owej sfery Romanowego ojca, potrafi objawić się nagle, jak spod ziemi, w okolicznościach najdziwniejszych. Przekonał się o tym Roman, uczestnicząc przed paru laty w międzynarodowym zjeździe dziennikarzy krajów socjalistycznych, a więc grupy ludzkiej najbardziej, zdawałoby się, wykorzystanej i zdemoralizowanej działaniem najrozmaitszych czarów, wcielonej bez reszty w cudze myślenie.

Zjazd odbywał się w górach południowej Bułgarii. Któregoś wieczora, po obradach, siedzieli po społu na restauracyjnej weran-

dzie: Rumun, dwaj Węgrzy, dwaj Bułgarzy, Czech, Jugosłowianin i Roman. Werandy restauracyjne i knajpki ludowe na południowschodzie Europy zdają się przeczyć twierdzeniom, jakoby socjalizm wykorzenił i zlikwidował wszelkie przedwojenne uroki życia. Werandy takie przybrane tam bywają gałęziami i słomianymi wiechami, wśród których ukryte są, niczym karnawałowe lampiony, różnokolorowe żarówki. Cyganie grają z przejęciem, jak za najlepszych CK austrowęgierskich czasów, pije się malowniczo i dekoracyjnie, nalewając wino z oplatanych jak we Włoszech butelek, stojących w wiadrze z lodem, oraz sącząc słabą, lecz piekącą jak samogon bułgarską wódkę, zagryzaną zieloną papryką i oliwkami, na zewnątrz zaś, a wystarczy tylko się wychylić, oddycha i paruje owa zawsze pełna niewiadomych obietnic, gorąca, bogata południowa noc. Pili więc i pili, gdy oto nagle, ni stąd ni zowąd, rumuński dziennikarz zagadał do Romana. — Że my tu jesteśmy, to nic dziwnego — powiedział — ale dla pana to musi być tragedia. Roman nie zrozumiał o co chodzi, wobec czego tamten, w zapadłej nagle ciszy, tłumaczył dalej nienaganną francuzczyzną. — Widzi pan, my tu na Bałkanach zawsze byliśmy w czyjejś niewoli, w tatarskiej, tureckiej, austriackiej, teraz — wiadomo. My jesteśmy od wieków przyzwyczajeni. Ale wy, Polacy, byliście mocarstwem, ogromnym wolnym królestwem, wspaniałą, swobodną unią kilku narodów, Moskwa nic dla was nie znaczyła, ani Turcy, ani Tatarzy. I na co wam teraz przyszło — siedzieć tu z nami! Tragedia, istna tragedia, wielka tragedia!

Zdumiony tą niespodziewaną przemową Roman spojrzął po twarzach swych międzynarodowych współbiesiadników, komunistycznych przecież dziennikarzy. Ale nikt nic nie powiedział, nikt się nie zdziwił, ani zaprotestował, ani oburzył, wszyscy milczeli. I nagle Roman zrozumiał: ONI WIEDZIELI, cały czas wszystko wiedzieli, nie mówili tylko o tym, udając, że zapomnieli. A więc historia żyła, ICH dawna polska historia, przezywana dziś szlachką, inteligentką, klasową, burżuazyjną, skazana na banicję, na przemilczenie, na zapomnienie, ta historia żyła nadal i to gdzie — w najbardziej niesprzyjającym, jakie sobie można wyobrazić, środowisku. Krzepiąca to i niezwykła nowina!

Chociaż właściwie, mitygował się później Roman, wspominając ów wieczór, cóż z tego: „martwe znasz prawdy, nieznanne dla ludu” — może dzisiejszy lud, zamknięty między Odrą a Bugiem nie pragnie już takiej archaicznej wolności, uważając słusznie, że dostępna jest ona tylko dla wielkich, dla Eurazji, Oceanii, ewentualnie całkiem na razie zwiariowanej chińskiej Wschodnioazji, może lud ów ma teraz wyłącznie marzenia skrojone na miarę,

marzenia ekonomiczne, nie wychodzące poza, co najwyżej, samochód, domek z ogródkiem, czasem zagraniczny wояaż? Nikt nie czeka na nową jakość, wszystko się kręci przy problemach ilości: komunizm rosyjski, na przykład w sztuce czyli w *circenses* objawił swą niezdolność jakościową, wydoskonalając jedynie to co Moskaliki miały zawsze — balet klasyczny i cyrk, czyli konwencję, nudę i dziecięcość doprowadzone do perfekcji. Polska jakościowo była ciekawsza, ale młode pokolenie mniej się już tą sprawą interesowało, przybierając, może instynktownie, barwę ochronną, aby nie drażnić braci Rusów; Polska na oko pięknieje, (ma wszakże Roman utrwalone w notatkach nieco pejzaży), ale i filistrzeje, mało czym się zajmując, prócz swoich spraw prowincjonalnych — jedna Warszawa się wyłamuje, oko cyklonu, centrala obłędu, stolica intryg, zawiści i owych niezrozumiałych dla nikogo walk wewnątrz partyjnych, istna zakała, czarny lub raczej czerwony punkt na sielsko-anielskiej mapie kraju. Jakże tu pisać powieść prawdomówną, toć to byłoby antynarodowe: nie wolno odkryć całej prawdy, bo ona zaszkodzi naszym stosunkom z Eurazją, czyli naszym, jak mówiono „żywotnym interesom narodowym”. Jakże tu pisać przeciw ojczyźnie?! (*Leninowi dozwolono piorunować na rodzimy rząd znad idyllicznych, szwajcarskich jezior, gdzie założył swą kwaterę, ale jego carska ojczyzna to było co innego: klasowo obca, pijąca krew ludu*). I sama tematyka zmieniła swój wymiar, z syberyjskiej na nadwiślańską: Poeta spod Moskwy pisał o Biesach, w Polsce takowych niewiele, w dodatku mało znanych, przeważają w kraju prowincjonalni społecznicy, ludzie dobrej woli, co najwyżej zaprzężeni w służbę biesom i z dużym zawstydzeniem powtarzający uświęcone magiczne zaklęcia, że wszystkiemu złu świata winni są Amerykanie, a Rosjanie to same świetlane postacie, które nigdy, przenigdy nie skrzywdziłyby nawet muchy, że należy wychwalać Rząd i Partię od rana do nocy i od nocy do rana a każda krytyka grozi Ojczyźnie utratą niepodległości, że brak wolności jest żrenicą wolności, zaś wolność, na przykład wolność słowa, to „drobnomieszczańskie ciągoty”, i tak dalej i dalej. Mówili to wszystko z zawstydzeniem, maskując je nonszalancją lub krzykiem, za to gdy tylko jakiś komunistyczny funkcjonariusz zwiął na Zachód, natychmiast, jakby odczarowany, zaczynał mówić normalnym, ludzkim językiem. A więc znali ten język, a więc wiedzieli, że kłamią, żyli podwójnie, byli po prostu także zgwałceni, zaszantażowani, bezradni — jakże tu pisać przeciw nim powieść, przecież oni to również ojczyzna, poza tym Roman powieści napisać nie potrafi, powieści nie da się skleić z pejzaży i refleksji, tylko w publicystyce i to dawnego typu należało pokazywać swe myśli,

w dziełach beletrystycznych trzeba raczej ukrywać je pod fabułą, skoro zaś kanwa romansowa stała się nieaktualna, w ogóle niepoznawalna i nie do odtworzenia, wypada dać sobie spokój z zapędami literackimi i powrócić na przykład do reportażu, opisując robotnicze miasta-ogrody, z ich mnogością wielopiętrowych szklanych domów, miasta tonące w kwieciu i w błogiej, społecznej nieświadomości, bo po cóż świadomość, gdy ktoś tam za nas wszystko pomyślał i ułożył, nam zaś polecił tylko powtarzać pewne zestawy słów czy zdań, dotyczące spraw dalekich i abstrakcyjnych. Nikt tu w końcu nie żywi dziś żadnych zasadniczych pretensji, jeśli ludzie chcą zmian, to tylko ilościowo materialnych, przekonali się już bowiem, że w socjalizmie pieniądź decyduje również, tyle że jego dystrybucja odbywa się w sposób tajemniczo opaczny i przypadkowy, więc, żeby sobie z nią poradzić, mniej trzeba pracy a więcej perfidii, czyli, jak mówi plebejskie porzekadło, „nie siłą lecz sposobem”. Zdolny to naród, inaczej istnieć by nie mógł, bo w Eurazji życie jest zawile, po cóż więc ściągać dodatkowe nieszczęście na Bogu ducha winnych ludzi, w imię niedorzecznej pasji pióra, każącej wypychać się na pierwszą linię ze swoją prawdą. Rzeczywiście: tak, jak elitarna Warszawa była ciemną plamą na apolitycznej, ludowej polskiej idylli, tak samo plamą było skazane na niemożność i niewolę słowo mówione czy pisane i to, paradoksalnie, w epoce gdy każdy dzieciak latał na spacer z tranzystorem, gdy góry i doliny, lasy, plaże rozbrzmiewały nieustającą i donośną, centralną, zmechanizowaną gadaniną. Ten zalew gadulstwa w połączeniu z żalosnym ograniczeniem treści, dawał jednak materiał do zastanowień: może, w dwuznacznej polskiej sytuacji, słowo masowo i głośno rozpowszechniane służyć ma po prostu do ukrycia myśli, może panuje tu powszechna zмова, może wszyscy wszystko dobrze wiedzą, dlatego właśnie umówili się, żeby nic nie mówić i pozwalać za siebie gadać radiu, tylko nieświadomy rzeczy Roman pcha się, aby gwałtem wykrzyzczyć swoją prawdę, prawdę nieużyteczną, bo wszystkim znaną, zaś w głośnym wypowiedaniu nader szkodliwą? Prawda nieużyteczna, prawda szkodliwa to wynalazek wręcz katastrofalny, trzeba ją obezwładnić powszechnym spiskiem milczenia. Byliżby Polacy rzeczywiście aż tak zdolni, aż tak świadomi, aż tak zakonspirowani i solidarni?! Po cóż więc pisać książkę, zniechęcającą ludzi do systemu („... *Pan chce naprawić błędy systemu?!... Był tu już taki dziesięć lat temu...*”), po cóż obrzydzać życie i wkładać kij w szprychy, jeśli nie wywoła to ani ruchu politycznego, ani odzewu; lud nie pójdzie, bo zaabsorbowany jest swą pogonią za awansem, a znowu inteligencja nie ruszy się bez ludu (przykładem Bluzeczka-ludomanka). Roman

został więc sam i nie ma prawa zatruwać innych, skoro się przystosowali: czas najwyższy sięgnąć po rozum do głowy i zdecydować się, czy zamiast ciągłych, nadaremnych prób zrozumienia życia, nie należałoby wreszcie zacząć je smakować, poczuć jego prawdziwe tchnienie, niweczone dotąd przez refleksję? Sprawa z Bluzeczką pokazała wprawdzie, że raczej już jest za późno, ale może, jeśli się okaże, że istotnie nie ma wyjścia, to... Może „zachodni styl”, „mieszczański styl”, czyli owe talleyrandowskie przedrewolucyjne szczęścia i uroki rzeczywiście nigdy już nie wrócą, wszak oni tam na Zachodzie siedzą okopani w swym dobrobycie, ale już nie atakują, nie mogą się odważyć, nie wiedzą w imię czego, trzeba by poza tym wskrzesić prężne Niemcy, to zaś oznaczałoby powtórzenie przestarzałej i zdjętej z repertuaru tragedii, przy okazji zaś nowy *finis Poloniae*. Nie ma jednak obawy, na nowym piętrze teatru historii pisano widać Słowianom całkiem nową rolę, mniej patetyczną, perfidną raczej, jako że epokę obecną dałoby się nazwać Czasami Perfidii. A więc Lenin z Marksem pokazali w końcu swą rację, bo jeśli coś jest silne i wygrywa, to nie może być niesłuszne — tak również nauczał Kazik B..., czujący się, o dziwo, w zawiłej współczesności jak ryba w wodzie. On też formułował dla Polski żelazną regułę polityczną: w epoce Trzech Kolosów trzeba mieć jednego wielkiego sojusznika i protektora, trzeba go mieć za wszelką cenę, cóż dopiero za cenę kłamstwa. Kłamstwo rzecz względna, jeśli wszyscy w nie wierzą, to już nie jest kłamstwem, o racji w skali masowej decyduje jedynie sukces, gdy wszyscy bredzą, brednia przestaje być brednią. Tak mówił w C... Kazik, istny polski Raskolnikow. Dostojewski miał widać objawienie, kiedy prorokował, że Rosja powie światu Nowe Słowo, choć myślał to całkiem inaczej: rzeczywiście na Wschodzie marksizm z nauki praktycznej przekształcił się w filozofię i ideę, w ascezę, szamaństwo i magię, podczas gdy coraz bardziej naiwny i zamerykanizowany, podminowany dziś ekscentrycznym buntem młodzieży Zachód grzął w tłumaczeniach praktyczno-universalnych, w *behavior’yzmach*, strukturalizmach, freudyzmach, nawet marksizm tam pasował, traktowany jako pierwotnie cząstkowa metodyka społecznego myślenia. Tylko magii już nie mieli, czarów nie mieli: ostatnim czarnoksiężnikiem okazał się Hitler, a sztuki zademonstrował tak przerażające, że skrwawiona stara Europa zakryła twarz, gdy zaś ją odsłoniła, było już dla niej za późno. Nie ma bowiem już teraz żadnej Europy, nie ma ojczyzn, nie ma granic, poza granicami Oceanii i Eurazji, Eurazji i Wschodnioazji. Co zaś najgorsze dla Romana: nie ma już tutaj słowa, poza umownym i czarodziejskim.

Roman buntuje się: kiedyś, w Okresie Minionym (*wszystkie*

okresy stają się z czasem minione, lecz tamten, wydawało się, nie minie nigdy — choć może rzeczywiście w rezultatach swych wcale nie minął?), kiedyś, zaraz po wojnie, bał się, teraz poznawszy bliżej lunaparkowe kulisy czarów, wyzbył się strachu i chce dać świadectwo, choćby świadectwo swojej szmacianości czyli bezradności, które miało być wstrząsające, boć przecież, tak sądził Roman, sprawa jednostki jest najważniejsza, symboliczna, ta właśnie sprawa jest celem, nie zaś, jak pisali kiepscy dziennikarze, „magia wielkich cyfr”. Jednostka ma prawo wzruszyć ramionami na historię czyli na dziwaczny układ przypadków, sam siebie po fakcie mieniący logiką. Ale co będzie, jeśli także przypadkiem (*przypadek to forma konieczności*) wzruszy ona jednocześnie ramionami na rzecz odwieczną i najnormalniejszą w świecie — na to, że ludzie rodem z jednej epoki źle i obco czują się w innej. A tu właśnie epoki przełamały się i nasunęły na siebie tak szybko i drastycznie, podczas gdy jemu tak się jakoś dziwnie czas zatrzymał — dopiero powiewająca na bezrozumnym wietrze dziejów Biała Bluzeczka obudziła go z pozaczasowej drzemki i nagle ujrzał i zrozumiał, że przespał powojenne lata, że zbiegły mu jak chwila, jak krótki, dziwacznie absorbujący film, „jak sen wariata śniony nieprzytomnie”, mówiąc słowa tego samego co zawsze poety od garbu, i że już jest późno — na dogonienie czasów, na usadowienie się w nich, na rehabilitację — jaką rehabilitację? Zrobił niby w swoim poplątanym „historią” życiu to, co do niego nominalnie i sakramentalnie należało, dla ojczyzny, dla społeczeństwa, dla rodziny, dla pracy, był niby na wojnie, w konspiracji, w powstaniu, wychował i wypuścił w świat dorosłe dzieci, starał się jak mógł, pisał, próbował, a przecież wszystko wydawało mu się teraz szmaciane, połowiczne, przypadkowe. Może to zawsze przebyta już ludzka droga tak z perspektywy wygląda? W dodatku było teraz PO SEZONIE. Uzmysłowiła mu to ostatnio Bluzeczka, spóźniona, posezonowa właśnie miłość, nieudana, bowiem, jako umieszczona nie w swoim czasie (*nie w swoim czasie historycznym — chciało mu się powiedzieć wbrew sobie*), miłość ta udać się nie mogła. Przez wojnę i dziwność, która potem nastąpiła, stracił mnóstwo bezcennych lat, stracił właśnie sezon, swój sezon. Wszędzie już zgłaszał się za późno, ostatni w szeregu, ostatni w kolejce. Ta myśl, dojmujące uczucie jałowości spóźnienia nawiedziła go, gdy parę lat temu znalazł się po raz pierwszy w życiu w Wenecji: nagle uzmysłowił sobie, ilu ludzi było tu przed nim, jak się nazachwycano, nawzdychano, jak wytarta jest już ta niegdyś tyle sławiona dziwna Wenecja, ze swymi teatralnymi niczym płaskie, staroświeckie dekoracje kanałami, pałacami, gondolami, jak wytarta jest, opustoszała i obojętna dla

niego — który tu przybył za późno. Nie jego wina, pech, drugorzędność zgoła mimowolna — zdarza się, tyle że słaba to pociecha dla tego, któremu się zdarzyło, tak jak garbusa nie cieszy widok innych garbusów, a umierającemu nie przynosi ulgi świadomość, że tylu ludzi przed nim umarło i tylu jeszcze po nim umrze...

Wszystko w Polsce powojennej wydawało mu się kiedyś zbyt skomplikowane, nie tak uczuciowo jednoznaczne, jak w Rosji, dlatego zapewne wahał się, czy powinien na to wszystko w prosty sposób wzruszyć ramionami. Ale teraz nasunęła się wątpliwość przeciwna: może po prostu chodziło tu o sprawę najwyklejszą i najbanalniejszą, że mianowicie człowiek starzejący się, przekroczywszy swój, jak mówiono w nowej mowie, limit wieku, swoją granicę, swoją smugę cienia, nie jest już w stanie naprawdę zrozumieć nowych czasów, w których jeszcze się płacze i telepie. Jakimże sukcesem byłaby taka interpretacja dla czarodziejów komunizmu, uparcie twierdzących, że żadnych czarów tutaj nie ma, że wszystko, co się dzieje, dzieje się samo z siebie, w sposób organiczny, naturalny, prawidłowy, że dzieje się NORMALNIE. A wzruszać ramionami na normalność, to już za dużo by było indywidualnego romantyzmu, ba, pretensjonalnego egocentryzmu czy staromodnego niemieckiego *Weltschmerz*'u. Czyżby Roman, osamotniony przez wiadome odejścia kilku ważnych w jego życiu osób, naprawdę uwierzył, że jest Faustem i że jedyne, co go jeszcze może spotkać, to transformacja, do której zachęca wciąż z daleka obleśnymi gestami i porozumiewawczymi uśmiezkami polski Mefisto — Kazik B...? Wszak, jeśli cały problem sprowadza się do starości i samotności, to można, choćby na przekór brakowi w tej dziedzinie talentu, napisać powieść, może być to powieść bez romansu ale o kimś samotnym, szczególnym, powieść psychologiczna, w każdym jednak razie nie powieść o całym kraju i o historii, bezosobowa i beztematyczna — to byłoby monotonne, któż by taką rzecz czytał: już nie autor lecz znużony czytelnik wzruszyłby w tym wypadku ramionami. Nawet przecież Poeta spod Moskwy stworzył w końcu romans, taki co dał się przerobić na film, na operę, rozmienić na nastroje i nawet na piosenki. Był on w końcu wierszopisem, właśnie łowcą nastrojów, nie zaś społecznym diagnostą — jakże go tu naśladować z owymi kilkoma rozwlekłymi opisami pejzaży w notatkach?

Ale przecież Roman wierzył w protest, w wagę słownego, indywidualnego wystąpienia, racjonalistycznie wierzył w słowo nie tylko artystyczne, lecz również w słowo definiujące i perswadujące. Racjonalizm nie jest oczywiście prawem, obowiązującym

świat, ale jest ludzkim wzorcem, do którego można przymierzać rzeczy, lub przynajmniej próbować przymierzać, próbować samodzielnie, obiektywnie, poza zbiorowością, poza ojczyzną, choć dla jej dobra czy wzbogacenia, poszerzenia czy sprowokowania — wszak wieczną prowokację zalecał kiedyś krytyk R... A poza tym — przez pisanie prostej własnej prawdy osiągnąć można wolność, duchową wolność, tak chytrze i przemyślnie niweczoną w krajach Europy Wschodniej, wolność, na którą zapracował sobie w końcu Poeta spod Moskwy, ocalając przy tym nawet własne życie, wbrew losowi Zoszczenków, Pilniaków, Babelów, Mandelstamów i dziesiątków innych, zabitych czy zamęczonych na zesłaniu. Warunek był tylko jeden: pisać, ale pozostać w kraju. Zdarzały się przecież nie raz wypadki, kiedy to literat radziecki (o polskich już nie mówiąc), uciekał z wielkim trudem za granicę, sądząc, że wstrząśnie światem rewelacjami o złożonej, trudnej do opisania niewoli słowa w Czerwonej Ojczyźnie. Rzecz z reguły niemal kończyła się żałością, bo, po chwilowej sensacji i rozgłosie, uciekiniera otaczać jąła pełna zażenowania próżnia. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że na Zachodzie nie przyznaje się literaturze takiej roli, takiego posłannictwa, jak na Wschodzie, wobec czego nie krępuje się jej, ale też nie adoruje ani nie przechwala, pozostaje ona marginesowym raczej upodobaniem *hobby*'stów, zaś wielkie narodowe i polityczne reflektory dyskursywne monopolizuje sobie prasa, twórcza, polemiczna publicystyka, nieznaną zupełnie w krajach Wschodu, zapomniana tam, jak organ cielesny, który zanikł na skutek nieużywania. Tak więc zbuntowany, bo spragniony prawdy uciekinier, który w ciągu paru godzin stał się z publicznego idola, prywatnym, nawołującym słuchaczy petentem, może sobie na Zachodzie wyrzaskiwać swą prawdę ile tylko chce, ale patos całej sprawy ulatnia się jak kamfora, bo wobec obojętnie zdziwionych tamtejszych ludzi, rzecz staje się co najwyżej ciekawostką i to z gatunku patologicznych: jeszcze jeden przejaw wschodniego obłędu, wartego tylko, aby zbadali go komputerowi specjaliści od „sowietologii”. I oto bohaterski w swym pojęciu uciekinier bardzo szybko znajduje się odarty z wszelkiego nimbu i widzi, że właściwie nie było dokąd uciekać, bo Zachodu sprawa ta wcale nie interesuje, tak jak, ogromnie interesowałaby Wschód, gdyby tylko mógł ją śledzić. Jechać z samowarem do Tuły czyli z wolnością literackiego słowa do krajów, gdzie jest ona strawą powszednią i nikogo za bardzo nie podnieca — istne błędne koło. Bo wszak nie chodzi o to, żeby swym gestem i patosem utwierdzić wolność na Zachodzie, lecz aby wzbudzić ją na Wschodzie. Tymczasem to jedno właśnie okazuje się niemożliwe: misja pisarstwa jako narodowego sumienia, stała się dziś mitem czysto

wschodnim, mitem, bo funkcji pisarza spełniać na Wschodzie nie można, gdyż aplikowany wobec rzeczywistości osąd („*sprawiedliwość wymierzana widzialnemu światu*”) jest w krajach doktrynalnych z góry określony i racjonowany, pisarz staje się tylko pośrednikiem, przekazywaczem cudzego widzenia spraw, słowo istnieje bowiem tutaj po to, aby nim coś osiągać, nie może więc być wolne. Na Zachodzie za to można wszystko, ale słowo pisarskie nie posiada tam już wagi, legendarne czasy wieszczów minęły. Tak więc wyjścia właściwie nie ma: wielki to pech być pisarzem, zapatrzonym w misję wschodnią, lecz przyzwyczajonym do literackiej prawdomówności Zachodu. I znów ten sam zabójczy paradoks: tam można mówić, nie będąc słyszanim, tu można być słyszanim, lecz nie można mówić. Na Zachodzie kto chce, może sobie chwalić komunizm, na Wschodzie nikomu nie wolno chwalić publicznie kapitalizmu i w ten sposób zachodnia wolność słowa dostarcza argumentów oraz pochwał wschodniej codziennej a planowanej satrapii. Wobec tak rosnącej obcości i wzajemnej nieprzenikliwości obu światów, Roman był przeciwnikiem emigracji: pozostając na Wschodzie unikał zachodniej naiwności i snobistycznej minoderii literackiej, utwierdzał się tutaj bowiem w realnej wiedzy o dwuznaczności ludzkiej natury, o tkwiących w niej nieograniczonych możliwościach subtelnego fałszu, wymuszonej zmienności i podwójnego myślenia — przykładem choćby Kazik B..., cóż za znakomita postać do powieściowego studium. Tu, na miejscu, w Krainie Wiadomości Dobrego i Złego, gest pisarski miał prawdziwą wagę moralną, choćby nawet, jak w wypadku Poety spod Moskwy, dzieło powstałe w kraju zamieniło się dla publiczności tegoż kraju w króciutką, obelżywą notatkę prasową o autorze. Nie szkodzi: gest nie znany, nie postrzegany, pozostaje jednak gestem, gest dokonany w próżni nie przestaje być konkretem, w eterze kosmicznym nic wszakże nie ginie. Człowiek podejmuje oto wyprawy międzyplanetarne, potem, kiedyś, wybierze się do innych układów słonecznych, wreszcie do innych galaktyk, tam, gdzie upada przegroda między przestrzenią a czasem; zdarzyć się więc może, że w trakcie tej podróży będzie młodniał, że znajdzie się nawet w epoce sprzed swego urodzenia lub że odszuka swe dawne myśli i przeżycia. Okaze się wtedy, że w perspektywie międzykosmicznego ruchu nie ma przemijania, ani dawności, ani hierarchii następstwa, że wszystko, jak to sobie Roman od lat przeczuwał i fantazjował, trwałe jest i pełnoprawne. Oto pociecha i nadzieja dla ludzi, zamierzających spełnić gest samotny, niezauważalny, bezcelowy, dla wszelkich Don Kichotów i Rejtanów świata.

„Nie potrafię kochać ojczyzny z zamkniętymi oczyma, ze

zgiętym karkiem i zakneblowanymi ustami”, napisał Rosjanin Piotr Czaadajew w liście filozoficznym „Apologia wariata”, wydanym roku Pańskiego 1837 w Moskwie. Cesarz Mikołaj I skorzystał z poddanego mu przez autora pomysłu i kazał osadzić śmiałka na zawsze w domu wariatów, uważając, iż człowiek zdrowy, zamknięty wśród chorych MUSI po dowolnym czasie sam zostać wariatem. Istotnie, ktoś, kto wbrew wszystkim i na przekór własnemu interesowi, głosi prawdę niepotrzebną, to niewątpliwie, a przynajmniej potencjalnie, człowiek obłąkany. W Warszawie blisko lat siedemdziesiątych pewien poeta wystawił rzykową sztukę: oto dwie starsze panie, dowiadując się, pod koniec wojny, że Polska ma być oswobodzona od Niemców przez Armię Czerwoną, oraz domyślając się, iż wprowadzony tu zostanie ustrój sowiecki, postanawiają na znak protestu przez pięć lat nie wychodzić z domu. Cenzura, rzecz to znacząca, sztukę puściła i nie przeliczyła się w swych rachubach: krytycy na wyścigi zaśmiewali się, jaka to zabawna komedyjka o starych, obrażonych na historię dziwakach i pomyleńcach, publiczność też się nie doszukała ukrytej trucizny, bowiem prawda nie popularna, skazana na banicję, staje się tylko pośmiewiskiem i obłędem. Incydent ten okazał się tryumfem czarodziejów, którym zależy głównie na wykazaniu, że żadnych czarów nie ma, że wszystko dzieje się samistnie i samoczynnie, bez jakiegokolwiek reżyserii. Roman pamiętał też jednak inny wypadek, kiedy to instykt warszawskiej publiczności okazał się lepszy, taki, jak za starych niedobrych czasów. Oto prasa w połowie lat sześćdziesiątych podała, iż dwaj przedwojenni urzędnicy Banku Polskiego, którzy ukryli przed hitlerowcami część złota i dewiz a po wojnie przekazali ów skarb władzom Polski Ludowej, otrzymali wysokie odznaczenia państwowe. Na pytanie, dlaczego stało się to dopiero w dwadzieścia lat po fakcie, każdy Warszawiak odpowiadał nieodmiennie: bo przedtem siedzieli w więzieniu! Zawierała się w tej odpowiedzi niewątpliwa znajomość czarów oraz podejrzliwej psychiki czarodziejów, którzy długo się wahali, czy ów czyn poczciwców z banku wart jest ukarania czy uwięźnienia, tymczasem zaś, dla pewności, trzymali ich pod kluczem.

Była to jednak tylekroć sławiona trzeźwość warszawska, cwaniacka trzeźwość wielkiego miasta, mało jej dziś w kraju rewolucji „post-agrarnej”, gdzie z każdym dniem coraz więcej ludzi myśli już że wszystko dzieje się naprawdę, bez inspiracji, gdzie każde odgórne kłamstwo przykryte jest i zneutralizowane prowincjonalną poczciwą idyllą codziennego polskiego życia. („*My Słowianie my lubim sielanki...*”). Nowe miasta a także odnowione przemysłem tradycyjne miasteczka zaludniają się ludem miesza-

nym, rolno-przemysłowym, „chłopami z Marszałkowskiej”, nowymi Polakami. Lud to coraz bardziej dorodny, młodzież w dzinsach i „mini” spódniczkach, wysocy, zręczni, wysmukli, choć twarze jeszcze jak z rysunków Wyspiańskiego, trochę smutne i psie, niebieskookie, jasne, a starzy noszą nadal głębokie bruzdy dawnej, znoјnej wiejskiej pracy. Ale żyją już coraz dłużej, leczą się, obsprawiają, z jednej strony natkani dolarami, z drugiej polską drogą do socjalizmu. A za strzeżoną jak skarb sowiecką granicą pasą krowy stare babuszki w chustkach sprzed pięćdziesięciu lat — Roman jechał kiedyś do Rumunii przez Lwów i zdumiewał się kontrastom po obu stronach linii demarkacyjnej, przedzielającej wszakże dawne polskie ziemie: tam zacoфanie, bieda, Wschód, w Polsce ciuchy, moda, fason, Ameryka, Kanada, Zachód! Cóż dziwnego, że lud rosyjski przyjmuje do wierzenia wersję, jakoby niósł na sobie ciężar utrzymywania i dotowania ościennych niby przyjaciół, ludowej Polski, Czechosłowacji, Hungarii czy innych, wersji wcale wygodnej dla kremłowskich władców. W istocie wiejsko-miejska Mała Stabilizacja nad Wisłą to walny tryumf idei a raczej praktyki drobnego kapitalizmu prywatnego: wszystkich tutaj żywi stary chłop liczykrupa, tyle, że się tego głośno nie mówi, choć owi wszyscy doskonale o tym wiedzą. A więc jednak żyje się tu inaczej niż w Rosji, a więc idzie się jakąś własną drogą, wyźłobioną nie przez doktrynę lecz przez rzeczywiste okoliczności, a więc jest tu coś organicznego, naturalnego, a więc dzieje się to jednak NAPRAWDĘ.

Istotnie, wędrując turystycznie przez polskie wsie, miasta i miasteczka, trudno się od razu zorientować, że to kraj Wielkiej Utopii, nie widać też czarodziejów ani w ogóle ludzi wyróżniających się, nawet resztkę bezpartyjnych Żydów wystraszone, pobudzając odgórnie i to dla nie wiedzieć jakich celów, oddolną ksenofobię, w latach pięćdziesiątych zaś przepłoszone mrowie autochtonów z Warmii i Mazur: wyjechali wtedy do Niemiec historyczni Polacy, ci, co przez wieki opierali się skrzętnemu morzu germanizacji, ale nie wytrzymali zetknięcia z całkiem nieoczekiwaną, zaskakująco przemienioną ojczyzną. Na polskiej prowincji trwa więc dziś dla oka ukwiecona w lecie, ośnieżona zimą, szlachecka, choć po chłopsku ujęta idylla, bo walk i intryg w ukrytej partyjnej pajęczynie gołym okiem wędrowca dojrzeć niesposób, co najwyżej krzyczą do przybysza w słońcu wielkie białe litery na czerwonym tle, a także nazwy ulic, ochrzczonych imionami dziwnych bohaterów o nieznanym czy zmienionym życiorysach, owych Marchlewskich, Dzierżyńskich, Świerczewskich, owego Kasprzaka, Nowotki, Findera, osobliwie tajemniczych kapłanów i wodzów elitarnego ruchu. Nie ma za to ulic bohaterów powojennych, widać

w przewidywaniu przyszłej selekcyjnej operacji historycznej, pominięto wielu tych, którzy po potopie, służąc swoistej konieczności, wbudowali Polskę w komunizm, nie znajdziesz więc wędrowcze ulic Bieruta, Ochaba, Zambrowskiego, Osóbki, Bermana, Minca, Mazura, Albrechta, Rapackiego czy Radkiewicza: jedni podciągnięci zostali pod stalinizm, trzeba wszakże spłacić ten trybut, skoro ów szalony, do rozigranego prosięcia podobny Drugi Pierwszy Sekretarz wyciągnął już był rzecz na tapetę, innych złożono na ołtarzu poświęconym magii syjonizmu (*dla porozumiewawczego odróżnienia pisano to słowo przez „y”*), wszyscy jednak w gruncie rzeczy padali ofiarą przyszłej, nieznannej jeszcze i tajemniczej czystości linii, widzianej wstecz, dla której to linii nazwiska ich trzyma się w odwodzie, tak jak owych uczciwych pracowników banku pod kluczem. To są właśnie czary, najprawdziwsze czary, choć niedostrzegane już przez tłum owych zaludniających miasta i osady zapobiegliwych nowych Polaków.

Ale przecież coraz to budził się jeszcze w Romanie prymitywny bunt, bunt już nawet nie literacki lecz dziennikarski, bunt w obronie powszechnie rozdzielanego, masowego słowa. Dlaczegoż to, jeśli system jest tak czy owak historyczny (*boć w końcu, o ile nawet historia stanowi beztąd przypadków, to jednak uznać ją trzeba także za ich zbiór czyli antologię*), jeśli system ów posuwa dokądś jakieś sprawy, jeśli jego komedia ludzka odgrywa się na jawie, nie zaś w czymś urojonym śnie, to dlaczegoż nie można o nim mówić prawdy, choćby tej zewnętrznej, kronikarskiej, niewątpliwej, dlaczegożby nie dawać świadectwa, nie rejestrować jego dziejów i imion jego kolejnych przywódców, a także jego błędów, choćby się półgębkiem sam do nich przyznał, dlaczego nikt tu za nic publicznie nie odpowiada pod grozą bluźnierstwa i świętokradztwa, dlaczego monstrualnie głupia prasa pisze bojowo i arogancko o krajach obcych i niesprawdzalnych, natomiast w Polsce widzi głównie obdarowujących się wzajemnie orderami dygnitarzy, akademie ku czci, pochody, parady, wiece, rocznice, depeze gratulacyjne, protokolarne, nic nikomu nie mówiące wizyty, wszystko „w imieniu ludu pracującego miast i wsi”, dlaczego o dymisjonowanych, choćby przed paru dniami, dostojnikach rewolucji (*samo określenie trąci wewnętrzną sprzecznością*) nie wolno dziś wspominać słowem, dlaczego nikt nie próbuje nawet dotrzeć do częściowej choćby ale uogólnionej prawdy i co ma w tym wszystkim robić napompowany tu właśnie, nie gdzie indziej poczuciem swej misji, nieszczęsny zawodowy a bezrobotny świadek — literat?

Dążyć do prawdy? — powie na to niechybnie ów warszawski Poncki Piłat, ów zadziwiający Kazik B... — a cóż jest prawda?

Prawda, pochodząca z powszechnego przekonania, nie może być nieprawdą — ludzie przed Kopernikiem wierzyli w różne nieprawdziwe rzeczy na temat słońca, ziemi, planet, ale przecież nie kłamali. Dziś także nikt już nie kłamie, wierzą bowiem nie tylko ci, co na dole rzecz powtarzają, lecz również ci, co ją na górze podają: nikt wszakże nikogo nie przymusza, nikt nie przykłada kotu pistoletu do pyszczka aby jadł musztardę, nawet pod ogon wsmarowywać mu jej nie trzeba, pałaszuje musztardę sam, rano, w południe i wieczorem, musztarda stała się jego nieodłączną życiową konwencją, jego naturalnym i koniecznym pokarmem, któż go od tego odczyty? Prawda samotna, opuszczona, zapomniana nie jest już prawdą, a każda sprawa z różnych punktów widzenia wygląda inaczej, jakaż to więc istnieje mnogość punktów widzenia, aż się w głowie kręci od myśli, że każdy człowiek może mieć w sobie inną prawdę, że każdy na przykład uznaje za normę to, w czym go wychowano od dzieciństwa. Cóż tu się dziwić Białej Bluzeczce, która ratując się przed zamętem i zawrotem głowy, przeciwstawiła nieznaną, straszną, przepaścistą prawdzie świata swoją prostą prawdę, złożoną z paru wybranych elementów — to nawet heroiczne. A mit prawdy obiektywnej? Jeśli człowiek ze swej jaskini widzi tylko cienie, to cóż pewnego mógłby o nich powiedzieć, o nich i o odpowiadających im sylwetkach lub rzeczach, czyż byłoby to ważne? Czarodzieje komunizmu zniszczyli przyszłość, odsłaniając ją przed oczyma ludzi i determinując, tylko niektórzy pisarze sprzeciwiają się tej regule, twierdząc, że to oni sami określą swe przyszłe dzieło. Czy to trud potrzebny, czy w ogóle możliwy?

Jak bo miałyby wyglądać owe przyszłe dzieło, wobec skomplikowanej wielowymiarowości świata? Życie jest jak krótka wizyta w obcym mieście: przy pierwszym spacerze mówimy sobie, że to dopiero wstęp, że później obejrzymy wszystko dokładniej. Tymczasem pierwszy spacer staje się jedynym, pierwsze spojrzenie — ostatnim. Jakże tu dać świadectwo, widziawszy tak mało, jakże nawet wzruszyć ramionami — chyba nad własną niewiedzą i spłaszczonym przez nią, jednowymiarowym oglądem prawdy.

Owszem, znalazłby się sposób na danie świadectwa, na głębsze, wielowymiarowe oddanie rozmigotanej, na pozór powierzchownej i polotnej własnej wizji: utrwalić WSZYSTKO, to znaczy wszystko, co rozgrywa się w naszym wnętrzu podczas kontaktu ze światem. Ale do tego trzeba by mieć MAGNETOFON MYŚLI, magnetofon wewnętrzny, przyrząd jeszcze nie wynaleziony, który rejestrowałby właśnie owe wszystko, utrwalał je całe, przepływające przez naszą psychikę w każdej sekundzie

strumień myśli, odczuć, wrażeń, świadomych i podświadomych, a także drgnień jeszcze nie odkrytych, jakich nawet sami nie znamy. Próbował to ręcznie łąpać i aluzyjnie utrwalac Joyce, ale bez magnetofonu mu nie szło, męczył się nad ekwiwalentem słowotwórczym, choć i tak zrobił więcej, niż ktokolwiek inny. Tylko, że idealne zarejestrowanie całej uniwersalnej mnogości nie byłoby już dziełem sztuki, tworzenie to jednak akt oparty na selekcji, zaś płynący przez nas stale strumień świadomości czy podświadomości, strumień wewnętrzny, lecz niewątpliwie konkretnie energetyczny i tak udziela się we wszechświecie, przetworzony, wysublimowany w inne formy materio-energii. Utrwalenie go w całym jego skomplikowaniu byłoby powtórzeniem życia, a czyż da się powtórzyć życie w sposób aluzyjny, na papierze, na przykład przez ułożone w syntetyczny deseń, najważniejsze z widzianych i zanotowanych wędrownych pejzaży? Trudności są olbrzymie, zniechęcające, cel i skutek wątpliwy, czasu mało!

Czy jednak Roman podejmie w końcu ów wysiłek, czy, mimo wszystko, pojedzie znów do C..., aby samotnie, tym razem bez rzekomych wysłanników życia, bez Kazika i Bluzeczki, zagłębić się w atmosferę polskiego Meranu, zweryfikować krajobraz, porównać z nim notatki i czy oto znowu spróbuje zatrzymać czas, rozpocząć postępowanie rehabilitacyjne i, rozważywszy wszystkie pro i contra, a także zatemperowawszy nieużywane pióro bezinteresownego widzenia, czy zapragnie znowu dać świadectwo swym czasom, oglądanym w sposób specjalny, bo przez osobliwy, niepowtarzalny pryzmat własnej kruchości, drugorzędności, skołatania, niewiedzy, przez pryzmat niedoskonałości przelotnego a nazbyt pieczołowicie, z trudem utrwalanego postrzegania? Widzi oto siebie, wędrującego jeszcze raz przez nieskończenie długie molo, pod którym kłębi się burzliwie lub też spokojnie marszczy i kołysze woda najrozmaitsza i najbardziej zmienna: raz granatowa, gniewnie wrząca, ze śnieżysto-białymi, rozpryskanymi grzywami fal, to znów łagodnie złocista, przetkana ciemnym rozłamującym się rysunkiem czy konturem, za moment szaroniebieska, jednolita, rozfalowana aż po horyzont, na którym tkwią czarne, białe lub szare kominy, maszty, kadłuby. Ta, odbita we wrażliwości Romana, więc przetransponowana na konkretne procesy psychofizyczne mnogość i migotliwa zmienność kolorów, światła oraz ich odcieni, mnogość ruchów, kształtów, perspektyw, załamaniań, przechyleń nie jest ważna sama w sobie, lecz dzięki utrwaleniu w postaci fluktuacji duchowych, ważna jest, jako gotowa do przetworzenia się, a raczej do stałego przetwarzania forma energii, lub ruchomej, rozrzedzonej materii, jako zespół owych nieuchwytnych, elektronicznych czy jakichkolwiek, niedocieczonych ale real-

nych wyładowań, które łańcuchowo działać będą dalej, działać i sublimować się kędyś we wszechświecie, tam, gdzie przestrzeń spotyka się z czasem. A tutaj? Tutaj przecież każdej chwili wszystko się rozplynie. Wszystko się rozplynie. Wszystko się rozplynie...

XII 67 - IX 69.



A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 1 1 F E V R I E R 1 9 7 1
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N
P A R I S (X V I I I ^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1971



Odkwaszone
19-09-2008

.....
Daw wydawa
16. III. 71r

Cena 30 F (dol. 6,00; sh. 50/-)